

# Rzemiosło

## w przestrzeni kulturowej

Magdalena Zabłocka

# Rzemiosło

w przestrzeni kulturowej

Lublin 2019

Autorzy:

**Magdalena Zabłocka:**

*Szewcy w tarapatach. Rzecz o słynnych rzemieślnikach*  
*Rzemiosło – kręgosłup miasta*  
*Upadek*  
*Rzemieśnicze apostołowanie*  
*Szewski gnyp daje chlyb czyli rzemieśnicze cuda-wianki*

**Piotr Sewruk:**

*Rzemiosło lubelskie na tle ogólnych tendencji i zmian*  
*w rzemiośle krajowym w okresie II Rzeczypospolitej Polskiej*

Oprawa graficzna:

**Magdalena Litwin-Kiec**

Wydawca:



**Izba Rzemiosła i Przedsiębiorczości w Lublinie**

Współwydawca:

**„MULTIPRESS” G. Wodecki, D. Wodecka, B. Wodecki Spółka jawna**

**ISBN 978-83-953497-2-0**

## **Tytułem wstępu – opowieść o ludziach**

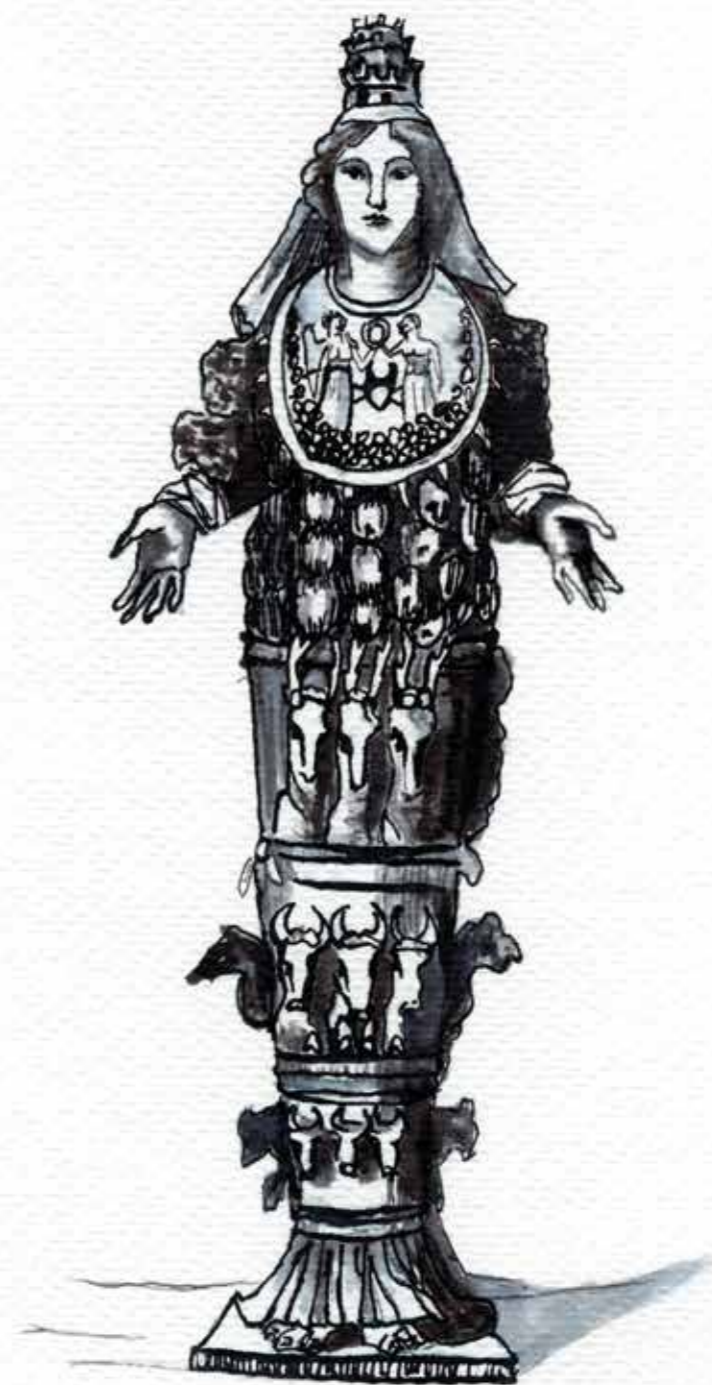
Historię ludzkości można pokazać na milion sposobów, historię człowieka – na miliardy, bowiem tyle historii, ile ludzi. Czemu więc nie pokazać historii ludzkości, jednego jej fragmentu, poprzez historię miasta? Nie można powiedzieć, że historia miasta jest tak stara, jak historia ludzkości, gdyż miasta pojawiły się stosunkowo późno jak na dzieje człowieka, kiedy to najlepiej rozwinięty gatunek ssaków zdążył już na trwałe wpisać się w pejzaż Ziemi, nieustannie przystosowując go do własnych potrzeb i kreując otaczającą go rzeczywistość zgodnie ze swoimi wymaganiami.

Czym właściwie jest miasto? Współczesne nam ośrodki miejskie stanowią pewną wydzieloną i urbanistycznie, i architektonicznie przestrzeń, w jakiej kształtują się różnego rodzaju doświadczenia, ściśle ze sobą powiązane, dzięki czemu tworzą gęstą sieć wielorakich zależności, czasami nawet heterogenicznych, które występują na wielu płaszczyznach – kulturowej, socjologicznej, psychologicznej, prawnej, ekonomicznej i tak dalej. Miasto możemy postrzegać też przez pryzmat osób w nim zamieszkujących, a wtedy staje się najbardziej kolorowym i wielokrotnie złożonym organizmem, jaki kiedykolwiek wyodrębnił się dzięki staraniom człowieka.

Miasto to przestrzeń, gdzie formowane są wartości i od sposobu rozumienia człowieczeństwa będzie zależało, czy miasto stanie się synonimem kategorii pozytywnych czy negatywnych. W „Zbrodni i karze” Fiodora Dostojewskiego, gdzie miasto staje się nie tłem, a pełnoprawnym bohaterem powieści, ze skonkretyzowaną charakterystyką, narzuconą czytelnikowi przez pisarza, widoczny jest substrat etyczny. Miasto może być więc postrzegane w kategoriach etycznego dobra lub etycznego zła, będzie Moskwą (zbiorem czynników pozytywnych) lub Petersburgiem (zbiorem czynników negatywnych). W przypadku miasta sportretowanego przez Dostojewskiego ocena raczej nie nastrocza trudności, autor oskarża miasto o współudział w zbrodniczym czynie Rodiona

Raskolnikowa, ale jest to zabieg czysto literacki, służący napiętnowaniu ideologii wyznawanej przez głównego protagonistę. Miastu nie można mimo wszystko jednoznacznie przyporządkować etykiety, zaszerzować do tworu dobrego lub złego, gdyż nie mieści się ono w żadnych kategoriach, w jakich dla odmiany będą się mieścić konsekwencje różnych wymiarów miasta. A moje miasto jest piękne. Kiedyś, być może, było brzydkie, ale dla mnie, odkąd pamiętam, moje miasto jest piękne, bo jest moje. I wciąż pięknieje, wciąż staje się coraz bardziej zaskakującą przestrzenią. A to właśnie w ramach miejskiej przestrzeni następuje realizacja pewnych konkretnych już treści, zatem wszystkie składniki miasta wpływają na kreowanie przez miasto wartości. Refleksji nad miastem jako odrębnym bytem nie można ograniczyć przecież do płaszczyzny stricte fizycznej (przestrzeni urbanistycznej i architektonicznej), gdyż bez płaszczyzny kulturowo-społecznej, do której należałoby zaliczyć wszystkie pozostałe sfery, czyli i ekonomię, i prawo, i religię, i sztukę, i tak dalej, nie byłoby możliwe kształtowanie świadomości miasta w ujęciu całościowym. Miasto jest dziełem sztuki, ale, jak pisał E. H. Gombrich, coś takiego jak sztuka nie istnieje, istnieją za to artyści, ludzie, którzy kiedyś ujęli w dłonie kawałek kolorowej gliny i naszkicowali na ścianach jakiś kształt bizona. Miasto jest więc pod każdym względem synonimem ludzi, w tym przypadku pewnej określonej grupy, czyli rzemieślników, bowiem to właśnie rzemiosło stanowiło i stanowi kręgosłup miasta. Dlatego, czytając tę książkę, będziecie Państwo czytać opowieść o ludziach, którzy to miasto tworzyli i nadal tworzą.

Magdalena Zabłocka



**Szewcy w tarapatach.  
Rzecz o słynnych rzemieślnikach**



Dawno, dawno temu, bo lat przeszło dwa tysiące i jeszcze kilka stuleci, około roku 580 p.n.e.<sup>1</sup>, w dalekim Efezie, jednym z dwunastu miast jońskich w Azji Mniejszej, dwóch śmiałych architektów – Chersifron z Knossos i jego syn Metagenes – na zlecenie króla Krezusa rozpoczęło wznoszenie świątyni ku czci bogini Artemidy. Artemizjon, gdyż tak budowlę tę nazywano, zbudowano we wczesnym stylu jońskim, wyróżniającym się już smukłością kształtów, chociaż nadal trzymającym się ścisłych reguł projektowania, o wiele bardziej rygorystycznych niż w przypadku stylu doryckiego, a przecież do dziś zachwycamy się rastrowym rozplanowaniem i niewymuszoną lekkością kompozycji, będącą finałem greckiego dążenia do doskonałości. Świątynię budowano z pietyzmem, używając najszlachetniejszych materiałów – marmuru i libańskiego cedru. Piękno tej budowli nie tylko zachwycało, ale i zadziwiała, gdyż Artemizjon wyróżniał się nieparzystą liczbą kolumn (117) o wysokości 19 metrów, z których 36 pokryto u dołu reliefami, o czym wspomina Pliniusz w swojej „Historii naturalnej”, a potwierdzają to badania archeologiczne. Był to zatem piąty z siedmiu cudów świata starożytnego – obok posągu Heliosa (Kolosa Rodyjskiego), piramid egipskich czy wiszących ogrodów Semiramidy.

<sup>1</sup> Zob. Piszczek Z. (red.), *Mała encyklopedia kultury antycznej A-Z*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1966, s. 97. Niektórzy autorzy podają jednak inne datowanie – poł. VI w. p.n.e, por. Koch W., *Style w architekturze. Arcydzieła budownictwa europejskiego od antyku po czasy współczesne*, Bertelsmann Publishing, Warszawa 1996, s. 19.





Jednakże ta perła architektury, te wszystkie ornamenty, płaskorzeźby, plecionki, meandry, spirale, lesbijski kimation i palmety przetrwały zaledwie 200 lat, do roku 356 p.n.e., do nocy, podczas której na świat przyszedł Aleksander Macedoński, zwany przez potomnych Wielkim.

Tej nocy gorącej lipcowej (z 19 na 20 lipca) nie tylko narodził się bohater wielce ludzkości zasłużony, ale na scenie pojawił się i antybohater, którego imię przekłete jest po wsze czasy przez archeologów, wielbicieli sztuki czy architektów. Otóż tej nocy sławetnej, jak głosi legenda, zacny dotąd Herostrates<sup>2</sup> na trwałe zapisał się na kartach historii. Sławę postanowił zdobyć poprzez popełnienie zbrodni i zbrodnię tę popełnił, bowiem Herostrates zamordował świątynię. Owładnięty obsesją zyskania wiecznej sławy podpalił Artemizjon. Za swój czyn nieczny i zbrodniczy został skazany na śmierć i zapomnienie – *damnatio memoriae*, gdyż pobudki działań tego przestępcy uznano za wyjątkowo obrzydliwe, podłe i karygodne. Jednakże przewrotność losu i przeraźliwy chichot historii dały o sobie znać, bo nikt nie pamięta, kto świątynię wznosił, a wszyscy znają

2 Kopaliński W., *Słownik mitów i tradycji kultury*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 377.

imię Herostratesa. Co ma podpalacz do rzemiosła? Ano, ten pierwszy w dziejach znany z imienia piroman był szewcem, a szewc to zawód rzemieślniczy, jakże przecież potrzebny i poważany. Cóż, szaleńców nie brakowało i do dziś nie brakuje, ale umówmy się, że ten jeden szewc, chociaż tak sławny, był jedynym złym szewcem, który chwały rzemiosłu nie przyniósł. Jego całkowitym zaprzeczeniem był bohaterski szewc Skub<sup>3</sup>, dzięki któremu Kraków od złego smoczyska uratowano, aby w czasach już historycznych miasto to mogło stać się jedną z pierwszych stolic Polski. Przemysłny szewczyk podstępem gada ukatrupił, wykorzystując do tego swe umiejętności i zawód, gdyż operowanie szewską dratwą wcale do najłatwiejszych zadań nie należało.

Gród na wzgórzu był bogaty, piękny, a władca sprawiedliwy i mądry, bowiem to sam Krak był. Od niego to właśnie gród Krakowem zaczęto nazywać. Do miasta tak wspinałego przybył pewnego razu szewczyk młody, Skub, który chciał założyć własny warsztat rzemieślniczy. Warsztat oczywiście założył, interes się kręcił, a dni mieszkańcom Krakowa upływały w szczęściu i spokoju. Do czasu. Otóż na niebie pojawił się smok! Wredna gadzina zamieszkała w jaskini pod wzgórzem, siejąc w okolicy panikę i strach. Ludność, w obawie o własne życie i dobytek, zaczęła uciekać ze swojego miasta, gdyż smoczysko polowało na bydło, pożerając je niemalże stadami, a apetyt miało wprost wyborny. Kraków pustoszał, podupadał, więc władca zwrócił się do rycerzy, aby gród od złego smoka uratowali. Wielu próbowało, ale bezwzględny gad potrafił ukatrupić każdego w tej jakżeż nierównej walce. Nawet stu śmiałków nie dało mu rady! Smok pożarł rycerzy, mlasnął wdzięcznie i poszedł spać po tak smakowitej przekąsce. Młody szewczyk Skub, widząc, że sytuacja staje się coraz bardziej groźna, postanowił wziąć sprawę w swoje ręce i pozbyć się potwora podstępem. Całą noc pracowicie wywijał dratwą i oto rankiem przed jaskinią smoka wawelskiego stanął baranek. Cóż, pomyślał smok, lepszy baran w paszczy, niż armia rycerzy za murami, więc kłapnął pyskiem i chapnął baranka na śniadanie jednym kęsem. Wówczas nielicznych już mieszkańców Krakowa dobiegł ogłuszający ryk! Smok, bestia piekielna, ze świstem skrzydeł wylądował na brzegu Wisły i zaczął czym prędzej żłopać wodę z rzeki. Pił, pił, pił i pił, pił, jakby chciał ugasić jakiś wielki ogień, a zaiste pożoga trawiła jego trzewia, bowiem przemysłny szewczyk w skórze baranka zaszył całe pokłady siarki! Gadzina nie mogła opanować pożaru i piła dotąd, aż pękła. Tak to właśnie dzielny Skub od złego smoczyska wybawił Kraków, za co, oczywiście

3 W oryginalnej wersji legendy Joachima Bielskiego imię szewca brzmiało Skub, nie Skuba, dopiero w XIX wieku utarło się błędne nazewnictwo, zob. Plezia M., *Legenda o smoku wawelskim*, Rocznik Krakowski 42, Kraków 1972, s. 24.





ście, dostał pół królestwa i królową za żonę. Jak można śmiało wnioskować z tej legendy, warto zostać szewcem, bowiem to świetlana przyszłość, kariera jak u Rockefellera, od szewca do króla.

Pierwsze wzmianki o smoku wawelskim znajdują się w „Kronice polskiej”, autorstwa mistrza Wincentego Kadłubka. W sobie tylko wiadomych celach Kadłubek powiązał, a bazar był z niego wielce udany, zamierzchłe dzieje Polski z historią starożytnego Rzymu i tak oto jednym z władców polskich krain uczynił Grakcha, którego następcy mistrza utożsamiali z Krakiem. Legenda Kadłubkowa miała trochę inne brzmienie, gdyż smoka pokonali synowie króla, będący konkurentami do tronu. Młodszy wykorzystał sytuację i zabił starszego, eliminując go na zawsze w drodze do osiągnięcia zamierzonego celu. Prawda wyszła na jaw, zabójcę wygnano, a tron odziedziczyła córka króla, Wanda, czyli ta, co potem Niemca za męża nie chciała. Temat smoka przejęli od mistrza Wincentego kronikarze z przełomu XIII i XIV stulecia. Anonimowy franciszkanin, który spisał tzw. „Kronikę polsko-śląską”, zauważył podobieństwo pomiędzy zabiciem smoka a zabiciem węża z Księgi Daniela<sup>4</sup>. Kolejni kronikarze, w tym autor „Kroniki książąt polskich”, również o szewczyku nic nie wspomnieli. Nawet Długosz w swoich „Rocznikach polskich” twierdził, że smoka zgładził król Krak, co powtórzyli za nim Maciej Miechowita w „Kronice polskiej”, Bernard Wapowski czy Marcin Bielski w „Kronice wszystkiego świata”. Dopiero w 1597 roku Joachim Bielski, syn Marcina, opracowując do druku dzieło ojca, wprowadził do legendy postać dzielnego szewczyka, czyniąc z niego pomysłodawcę przemysłnego sposobu zgładzenia gada. Nawiasem mówiąc, nie tylko Kraków miał swego smoka, jeden z przedstawicieli gatunku przypalał się na Łysiec, szczyt w Sudetach Wschodnich, gdzie nękał okolicznych ludzi, a szczególnie polubił nękanie dziewic. Tu dla odmiany od smoczyska mieszkańców wybawił bohaterski sołtys, ale to temat na zupełnie inną historię.

Skub jednakże nie był jedynym dzielnym szewczykiem w dziejach. Zapewne wszyscy słyszeli o szewczyku Dratewce, tytułowym bohaterze baśni napisanej przez Janinę Porazińską<sup>5</sup>.

Szewczyk Dratewka nie był bogaty, ba!, był wręcz biedny, ale uczciwy i pomocny. Nie stać go było na otworzenie własnego warsztatu, więc wędrował po świecie, oferując ludziom swoje usługi. Łatał stare buty, fleki naprawiał, coś tam podszyl, coś podkleił. I wędrując sobie tak od miasta do miasta, od wsi do wsi, pomagał każdemu żywemu stworzeniu, które spotkał na swojej drodze. Raz były to mrówki, którym niedźwiedź mrowisko rozkopał,

<sup>4</sup> Dn 14, 1–42, *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2012.

<sup>5</sup> Porazińska J., *Szewczyk Dratewka*, Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2011.



innym razem pszczoły, którym zniszczono pasiekę. Sam często był głodny, ale potrafił i reszką chleba z dzikimi kaczkami się podzielić. Wszystkie zwierzaki, jakim udzielił pomocy, zaoferowały, że jeśli sam będzie w potrzebie, one również mu pomogą. Dratewka trochę zlekceważył ich słowa, bowiem czego on, biedny szewczyk, potrzebował więcej niż paru groszy na chleb? Wędrował i wędrował, aż przybył pewnego razu do krainy, gdzie wielkie zamczysko zamieszkiwała zła czarownica. Kiedy zapytał mieszkańców miasta, dlaczego są tacy smutni, odpowiedzieli, że podłe babsko więzi w zamku cud-dziewczynę, którą wielu śmiałków próbowało bezskutecznie uwolnić z rąk wiedźmy. Dratewka, jako że pomagał wszystkim, co byli w potrzebie, postanowił pomóc i dziewczynie. Zapukał grzecznie do wrót zamczyska, a kiedy mu otworzono, wyjawiał swoją propozycję i chęć poślubienia panny. Czarownica odrzekła, że owszem, dziewczynę uwolni, ale Dratewka musi wykonać dla niej pewne prace. Jeśli mu się powiedzie – odda mu pannę, jeśli nie – straci łepetynę. Chcąc nie chcąc, szewczyk warunki baby zaakceptował. Wówczas czarownica zaprowadziła go do komnaty, gdzie znajdował się wór piasku pomieszanego z makiem. Pierwszym zadaniem biedaka było rozdzielenie piasku od maku nim świt nastanie. Dratewka znalazł się na skraju załamania nerwowego (w końcu to nie bajka o Kopciuszku...), usiadł i upadł w zadumę. Wówczas na pomoc przyszły mu mrówki, którym kiedyś mrowisko poratował. Czarownica zdziwiła się, że chłopak dał radę i wymyśliła dla niego kolejne zadanie – miał znaleźć w stawie zagubiony złoty klucz. A w stawie nie dość, że zimna woda, to i glonów, i mułu pełno. Jak tu klucz znaleźć?! Siadł szewczyk na brzegu i niemal zapłakał. I wtedy pojawiły się dzikie kaczki, co je chlebem kiedyś nakarmił. Kaczki zanurkowały w stawie i klucz Dratewce znalazły. Ale czarownica cwana była. Widząc, jak sprytny szewczyk dobrze sobie radzi, zabrała go do komnaty, w której siedziało dziewięć panien jednako-wo na biało ubranych i w welonach zakrywających twarze. Ostatnim zadaniem Dratewki było odgadnięcie, która z nich jest więzioną przez wiedźmę dziewczyną. Zafrasował się chłopiec nielicho. No to klops, pomyślał szewczyk, nie dość, że cud-dziewicy nie uratuje, to jeszcze głowę przyjdzie mu stracić w tej nierównej walce, bo jak tu pannę od panny odróżnić, skoro wszystkie jednakie? Wtem przez otwarte okna wleciały pszczoły i zaczęły krążyć wokół jednej z panien. To ta!, zakrzyknął Dratewka i wcale, dzięki pszczołom, się nie pomylił. Wściekła wiedźma przemieniła się w ptaka i natychmiast uleciała za okno, a wdzięczna pannica rzuciła się swemu wybawcy na szyję, dziękując za wytrwałość i uratowanie. Oczywiście, skoro mieli wolne lokum, szybko się pobrali, zamieszkali w zamczysku porzuconym przez czarownicę i żyli długo i szczęśliwie. Jak to w bajkach.



A jak jesteśmy przy bajkach, to warto wspomnieć o innym szewcu, o którym mało kto wie, że był szewcem, gdyż chodzi o rozbójnika Rumcajsa. Pochodził z Jiczyna, a zawód, zanim wziął się za zbójowanie, wykonywał godny. Dopiero sytuacja życiowa zmusiła Rumcajsa, że zszedł na drogę przestępstwa. Razem z żoną Hanką i synkiem Cypiskiem zamieszkał w jaskini w Rzaholeckim Lesie. Głównym wrogiem, wokół którego osnuta jest fabuła bajki, był Książę Pan i Księżna Pani. Pomysłodawcą postaci jest czechosłowacki pisarz Václav Čtvrtek<sup>6</sup>, który był nie tylko autorem książek dla dzieci, ale i dobranocek. Na podstawie ośmiotomowego cyklu powstał prawie czterdziestoodcinkowy serial w reżyserii Ladislava Čapka. Postać rysunkową stworzył natomiast Radek Pilař. Szewcem, acz tylko z nazwiska, jest José Luis Rodríguez Zapatero<sup>7</sup>, hiszpański polityk, w latach 2004–2011 piastujący urząd premiera.

Ale najśłynniejszym szewcem w historii, szczególnie dla Polski, postacią z krwi i kości, był Jan Kiliński, wielce zasłużony ojczyźnie. Jeszcze nie ucichły echa Targowicy, kiedy Polskę spotkał kolejny cios. Wbrew nadziejom króla i jego zwolenników 23 stycznia 1793 dwa mocarstwa – Rosja i Prusy – podpisały konwencję rozbiorową. Prusacy zagarnęli Wielkopolskę, Mazowsze, Toruń i Gdańsk, natomiast Rosjanom przypadła w udziale

<sup>6</sup> Čtvrtek V., Pilař R., *Rumcajs*, Wydawnictwo Wilga, Warszawa 2008.

<sup>7</sup> Hiszp. *zapatero* – szewc.



Ukraina, Białoruś i Podole<sup>8</sup>. Losy ziem, które pozostały przy macierzy, w zasadzie z góry były przesądzone, gdyż apetyty agresorów wciąż rosły, a i sytuacja polityczna w okrojonej Rzeczypospolitej nie sprzyjała możliwości zaprowadzenia porządku. II rozbiór okazał się katastrofą, dzięki której trawione przez wojny i nieudolne rządy państwo pogrążyło się w zapaści nie tylko gospodarczej, ale i moralnej. Polska emigracja w Saksonii była wręcz przekonana o nieuchronnym końcu państwowości, dlatego też zaczęła przygotowywać zbrojne powstanie przeciwko zaborcom<sup>9</sup>. W założeniu miał to być ruch ludowy, wspierany przez francuskich jakobinów i żyrondistów, do czego jednak nie doszło. Akt powstania został zaprzysiężony przez Tadeusza Kościuszkę na krakowskim rynku 24 marca 1794 roku.

*Wkrótce się okolny jakiś ogień żarzy,  
Dziwna jest postać kraju wyraz wszystkich twarzy,  
Jakaś tajna niezwykła czynność, ruch po dworach,  
Zda się, kordy i bronie w nocnych znoszą porach,  
Idą skrytą ofiarą srebra i klejnoty,  
Po wszystkich razem kuźniach huczne tętnią młoty...  
Ciśnie się lud do świątyń i z grzechu obmywa,  
Wsparcia polskich patronów łzę i pieśnią wzywa,  
Błaga dla chat obrony, dla Ojczyzny cudu,  
A kapłan skrytej myśli błogosławi ludu...  
Myśl ta, jak sieć płomienna, szerzy się, rozrasta,  
Łączy dworce z klasztory, z wsiami wiąże miasta;  
Krąży po lasach, górach, w jaskiniach się żarzy,  
Tętni w sercu młodzieńców i w śnie starców marzy...*<sup>10</sup>

Naczelnik doskonale wiedział o potrzebie poruszenia mas, zmobilizowania jak największej liczby obywateli do wzięcia udziału w powstaniu, uzbrajał w kosy nawet chłopów. Wojna trwała.

*Wstawał dzień, modrawe świty rozlewały się po ulicach, że domy dawały się widzieć jakby zanurzone w przemglonych wodach. Rosy obficie ściekały z dachów. Nad połacią domów od strony Wisły niebo poczynało się rumienić, powiało jakieś tchnienie niepojętej lu-*

<sup>8</sup> Tymowski M., Kieniewicz J., Holzer J., *Historia Polski*, Editions Spotkania, Warszawa 1990, s. 204.

<sup>9</sup> Tymowski M., Kieniewicz J., Holzer J., op. cit., s. 205.

<sup>10</sup> Morawski F., *Dworzec Mojego Dziadka*, w: Mościcki H., *Jan Kiliński. Szewc warszawski i pułkownik wojsk polskich*, Wydawnictwo im. M. Brzezińskiego, Warszawa 1919, s. 5.



bości, zaświergotały pierwsze jaskółki, okna wysokich pięt zagrały różaną farbą bladych zórz... Daleki grzmot strzału armatniego rozdarł ciszę i pomnażał echami... Zadzwonął dzwon od Fary; bił w jedną stronę, ponuro, mocno, gorączkowo, na trwogę, a za nim wnet zahuczał drugi, potem trzeci, czwarty i dziesiąty i po chwili dzwoniły już ze wszystkich stron, ze wszystkich kościołów jednym ogromnym, jak świat, niebosiężnym głosem, jakoby stado orłów, lecących nad miastem, zaśpiewało spizową pieśń na bój, na śmierć, na zwycięstwo!<sup>11</sup> W Warszawie, po dwóch dniach zaciętych walk (17 i 18 kwietnia), udało się rozbić stacjonujący w stolicy rosyjski garnizon, Polakom brakowało jednakże i doświadczenia, i uzbrojenia. Podczas tych wydarzeń warszawskich ludzie Kilińskiego, który mawiał, że taktyki ani praktyki nie znali<sup>12</sup>, skutecznie poradzi sobie z Moskalami, gdyż z dwukrotnie silniejszego wojska zaborcy ponad połowa zginęła lub została przez Polaków wzięta do niewoli.

Jan Kiliński urodził się w Wielkopolsce, w Trzemesznie. Jego ojciec, Augustyn, był murarskim majstrem. Dostyc wcześniej nasz bohater został sierotą, nie ukończył żadnych szkół, ale przysposabiał się do zawodu szewca najpierw w rodzinnym mieście, a następnie w Poznaniu. Gdy młody Jan miał 20 lat, to wyruszył do stolicy, gdzie w 1788 roku uzyskał tytuł mistrza szewskiego i otworzył własny zakład. W tym że roku ożenił się z Marianną Rucińską. Szybko zdobył klientów, dorabiając się całkiem pokaźnego jak na owe czasy majątku. Został nie tylko członkiem Związku Rewolucyjnego, ale w latach 1792–1793 pełnił funkcję radnego Warszawy<sup>13</sup>. Był odważny, przedsiębiorczy i krewki, stając się symbolem walczącego mieszczanina. Rzemieślnika. Bardzo szybko zaangażował się w spisek przygotowujący zbrojne powstanie przeciwko zaborcom. Uzyskane w Radzie Narodowej stanowisko wykorzystywał w słusznym celu – nieustannie zabiegał wśród władz powstańczych o większe przywileje polityczne dla mieszczan. Tak, to Kiliński stanął na czele ludu Warszawy w pamiętny Wielki Czwartek 1794 roku, posiadając informacje, że Rosjanie przygotowują się do przeprowadzenia krwawej pacyfikacji mieszkańców stolicy podczas uroczystości rezurekcyjnych. Drugiego dnia, w Wielki Piątek, przy ulicy Miodowej, przy której obecnie ma swoją siedzibę Związek Rzemiosła Polskiego – hierarchicznie najwyższa organizacja rzemiosła broniły się już tylko resztki rosyjskiego garnizonu, a warszawskie pospólstwo pod wodzą Kilińskiego zdobyło rosyjską ambasadę. Wówczas to wypuszczono polskich jeńców, których więziono w piwni-

11 Reymont W. S., *Insurekcja*, w: Mościcki H., op. cit., s. 33.

12 Kukiel M., *Dzieje Polski porozbiorowe 1795–1921*, Editions Spotkania, Paryż 1983, s. 36.

13 Paprocki F., *Jan Kiliński 1760–1819*, Biuro Wydawnictw C.T., Warszawa 1970, s. 20.

cach budynku. Następnego dnia, 19 kwietnia, insurekcja warszawska przyłączyła się do ogólnonarodowego zrywu powstańczego, uznając Tadeusza Kościuszkę za Najwyższego Naczelnika Sił Zbrojnych. Władza została przejęta przez Radę Zastępczą Tymczasową, której członkiem został również bohaterski szewc, gdzie pełnił funkcję radcy w Wydziale Skarbowym, Deputacji Indagnacyjnej i Paszportowej, a wkrótce powołano go na zastępcę radcy Rady Najwyższej Narodowej. Do Rady Zastępczej został desygnowany przez samego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego jako jedyny przedstawiciel średniego mieszczaństwa!

Powstanie trwało, Kiliński działał. Wysyłał oddziały na front. Zorganizował 20 Regiment Pieszy Koronny, broniący stolicy przed wojskami zaborców, a Kościuszko mianował go pułkownikiem milicji mazowieckiej. W październiku pamiętnego roku 1794, kiedy było już widać nieuchronną klęskę insurekcji, wysłano go do Poznania, gdzie został aresztowany przez Prusaków, a następnie wydany Rosjanom. Został osadzony w Twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu. Dwa lata po pojmaniu, na rozkaz cara Pawła I, zwolniono go z więzienia. Zamieszkał w Wilnie, ale nadal angażował się w działalność konspiracyjną i niepodległościową. Został ponownie ujęty przez władze carskie i tym razem zesłany w głąb Rosji na kilka lat katorgi. Po powrocie z niewoli powrócił do rzemiosła i znów prowadził w Warszawie zakład szewski, lecz nie uczestniczył już czynnie w życiu politycznym. Skupił się na pisaniu pamiętników, które wydano pośmiertnie w dwóch tomach (ok. 1830 i w 1899 roku), oraz na pracy w wyuczonym zawodzie. Wyjątkowo, w okresie Księstwa Warszawskiego, objął funkcję radnego Warszawy.

Kiliński został dwukrotnie internowany w czasach austriackiej (w 1809 roku) i rosyjskiej okupacji (w 1813). W dobie Królestwa Polskiego stał się emerytem, a emeryturę pobierał wojskową. Zmarł w wieku 59 lat, 28 stycznia 1819 roku. Pogrzeb bohaterskiego szewca przeistoczył się w wielką manifestację patriotyczną, gdyż żegnały go tłumy warszawiaków (około 30 tysięcy osób), wśród których znaleźli się towarzysze powstańczych walk z 1794 roku – generał Józef Zajączek (Namiestnik Królestwa Kongresowego) i Julian Ursyn Niemcewicz, autor słynnego „Powrotu posła”. Kilińskiego pochowano na Cmentarzu Powązkowskim, ale jego nagrobek został zlikwidowany podczas rozbudowy kościoła pw. św. Boromeusza. Na ścianie świątyni umieszczono jedynie epitafium upamiętniające jego osobę i jego czyny. Niedaleko Związku Rzemiosła Polskiego, od strony ul. Podwale, znajduje się monument ku chwale i wielkości dokonań Jana Kilińskiego postawiony. Został zaprojektowany przez Stanisława Jackowskiego, a odlany w pracowni „Braci Łopieńskich” w 1935 roku. Cokół zdobi napis „Janowi Kilińskiemu Wodzowi

Ludu Stolicy roku 1794 Rodacy r. 1934”. Sam cokół, o historio przewrotna i ślepa sprawiedliwości Temidy!, wykonano z granitu finlandzkiego, jaki ostał się po rozbiórce soboru św. Aleksandra Newskiego na placu Saskim. Kiliński wreszcie cara zwyciężył...

Pomnik odsłonięto dopiero w 1936 roku podczas hucznych obchodów jubileuszu powstania Warszawskiej Izby Rzemieślniczej w obecności prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacego Mościckiego. W trakcie niemieckiej okupacji pomnik zdemontowano na mocy decyzji ówczesnych władz Warszawy w 1942 roku. Był to odwet za zdjęcie przez Aleksego Dawidowskiego, „Alka”, tak, tego z „Kamieni na szaniec” Aleksandra Kamińskiego, niemieckojęzycznej tablicy, jaka znajdowała się na pomniku upamiętniającym Mikołaja Kopernika. Według pierwotnych zamierzeń monument miał być zniszczony, ale dzięki staraniom Stanisława Lorentza okupanci zmienili zdanie. Posag ukryto w czeluściach magazynów Muzeum Narodowego. Alek z odpowiedzią na ten haniebny czyn nie czekał długo. Na murach muzeum wymalował napis: „Jam tu ludu W-wy. – Kiliński Jan!”. Polskie podziemie wypuściło również ogłoszenia sygnowane jakoby przez samego Kopernika, w których to astronom obwieścił, że w odwecie za zniszczenie monumentu Kilińskiego zarządza przedłużenie zimy o 6 tygodni... Stało się dokładnie tak, jak Kopernik zarządził. Zima 1942 roku była wyjątkowo długa...

Kiliński z brązu spokojnie oczekiwał końca wojennej zawieruchy, nieświadom zupełnie piekła, jakie działo się na ziemi. Trzeba jednak przyznać, że dzięki temu stał się jednym z nielicznych pomników stolicy, które nie uległy zniszczeniu wskutek działań wojennych. Brakowało mu jeno szabli, wymagał też kilku pomniejszych napraw, ale tym ponownie zajął się zakład „Bracia Łopieńscy”. Początkowo umieszczono go w alei 3 Maja, następnie przeniesiono na plac Krasińskich. Lecz nie był to koniec wędrówek Kilińskiego po jego mieście ukochanym. W 1959 roku został przeniesiony na stałe już miejsce, na Podwale, u wylotu Piekarskiej, żeby być blisko swoich – nie tylko cieni poległych w kwietniu 1794 roku, ale i rzemiosła, bo rzemieślnikiem był przecież przez niemal całe swoje życie.

Zakład „Braci Łopieńskich” istniał już od 1862 roku. Była to rodzinna firma, która specjalizowała się w wyrobach ze srebra, brązu i metali szlachetnych. Polski rynek doby dwudziestolecia międzywojennego postrzegał wyroby Łopieńskich jako jedne z najlepszych, a dowodem tej uwagi były liczne nagrody przyznawane przez gremia polskie i międzynarodowe, w tym na Wystawie Światowej w Paryżu w 1925 roku. Łopieńscy byli naprawdę poważanymi rzemieślnikami. Swoje prace rzeźbiarskie odlewali tu Dunikowski, Makowski, Godebski, Madeyski, Raszka czy Nitschowa. Po II wojnie świa-

towej w zakładzie naprawiano zniszczone podczas okupacji pomniki. Nadeszły jednak złe czasy dla braci, złe czasy dla rzemiosła. W 1950 roku pracownię upaństwowiono i bezdusznie przekształcono w spółdzielnię „Brąz Dekoracyjny”. Trwały wówczas prace nad odtworzeniem pomnika Fryderyka Chopina. Obydwaj bracia, Tadeusz i Władysław, zostali zatrudnieni w spółdzielni, ale kiedy tylko skończono realizację projektu, w dowód „wdzięczności” komuniści zwolnili ich z pracy, jednocześnie wydając dożywotni zakaz wykonywania zawodu. Tadeuszowi, po sześciu latach starań, udało się w końcu uzyskać zgodę na otwarcie malusieńkiej „Pracowni Metalowej Sztuki Zdobniczej d. Bracia Łopieńscy”, która była następnie prowadzona przez córkę, Annę z Łopieńskich Lipczykową, i jej męża Wojciecha.

Kiliński na trwałe związał się z Warszawą nie tylko jako bohater insurekcji, ale również jako patron batalionu z okresu II wojny światowej. Stworzony przez rotmistrza Henryka Leliwę-Roycewicza baon „Kiliński” należał do najliczniejszych formacji z okresu AK, bo liczył aż 2000 żołnierzy i to nie tylko bardzo dobrze wyszkolonych, ale przede wszystkim – bardzo dobrze wyposażonych, co w chwili wybuchu powstania warszawskiego stanowiło sprawę niesamowicie istotną. 1 sierpnia 1944 roku „Kilińszczacy”, walcząc w Śródmieściu, zdobyli gmach Prudentialu<sup>14</sup>, a następnego dnia rotmistrz poprowadził trzecie uderzenie na budynek Poczty Polskiej od strony Świętokrzyskiej i na tyłach budowli. Tym razem się udało! Do niewoli wzięto 25 jeńców niemieckich, ale „Kilińszczacy” stracili 34 ludzi. Było też wielu rannych. Jednakże dzięki zdobyciu poczty, powstańcy mogli się zaopatrzyć w broń, amunicję i samochody, a także ropę naftową (towar bardzo deficytowy) i sprzęt pożarniczy. Ludność cywilna natomiast skorzystała na zdobyciu... 15 ton włoskiego makaronu! Długo jeszcze makaron gościł na stołach warszawiaków...

Ale jednym z największych sukcesów batalionu i samego powstania było zdobycie PAST-y<sup>15</sup>. Walki o PAST-ę trwały od 2 do 20 sierpnia. Niemcy bronili się zażarcie, lecz w końcu musieli ulec zaciekłości powstańców. Sam budynek został dość dotkliwie zniszczony, jednak pozostał w polskich rękach aż do dnia kapitulacji. Gmach był bardzo dobrze ufortyfikowany, więc batalion korzystał z pomocy saperów oraz kobiecej drużyny minerskiej. W trakcie szturmów używano wytwarzanych metodą chałupniczą miotaczy ognia. W dowód uznania za bohaterski szturm rotmistrz Leliwa-Roycewicz został po

14 Pierwszy z prawdziwego zdarzenia warszawski drapacz chmur, zbudowany w stylu *art déco*, był pierwszym co do wysokości budynkiem w przedwojennej Polsce i drugim w Europie. Został przeznaczony na siedzibę brytyjskiego Towarzystwa Ubezpieczeń „Prudential”. Obecnie mieści się w nim pięciogwiazdkowy hotel „Warszawa”.

15 Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna, zwyczajowo nazywana „PAST-a”. Był to pierwszy stoliczny wysokościowiec zbudowany w latach 1906–1908 w stylu modernistycznego nowego historyzmu, inspirowanego średniowieczem.



raz drugi odznaczony Krzyżem Virtuti Militari (pierwszy raz za walki z UPA we wrześniu 39 roku). Roycewicz walczył do 8 września, kiedy został ciężko ranny i gdyby nie pomoc jego wiernych żołnierzy, mógłby wykrwawić się na śmierć. Przed wojną święcił tryumfy na arenie międzynarodowej jako wspaniały jeździec (srebrny medal olimpijski w 1936 roku). Po wojnie po latach więzienia powrócił do ukochanych koni i sportu, pracując, mimo kalectwa, jako trener<sup>16</sup>. Członkami batalionu „Kiliński” byli Alina Janowska oraz Zbigniew Maklakiewicz. Alina Janowska była łączniczką dowództwa, natomiast Maklakiewicz – strzelcem kompanii motorowej „Iskra”, wchodzącej w skład „Kilińskiego”.

Zawód szewca związany jest także z legendami chrześcijańskimi, a szczególnie z jedną, mistyczną, odwołującą się do misterium Męki Pańskiej. Tą tajemniczą postacią jest Żyd Wieczny Tułacz, człowiek, który zgubił śmierć. Legenda głosi, że podczas drogi na Golgotę Chrystus został znieważony przez jednego z przyglądających się Jego męce Żydów, którego spotkała okrutna kara, bowiem został ukarany wieczną po kres świata tułaczką. Przybierał Tułacz różne imiona jako i sama opowieść przybierała różne wersje. Znany jest pod postacią Ahaswera, Ahaswerusa lub Aswerusa, żydowskiego szewca. Błądzi wciąż w nieskończoność, zgodnie z tym, co zapowiedział mu Jezus: *Idę jak jest zapisane, niebawem odpocznę, ale ty będziesz wędrował aż do mojego powrotu*. Tym zapowiedzianym powrotem jest oczywiście ponowne przyjście Pana w dniu Sądu Ostatecznego, a do tego czasu Ahaswer przypatrywać się będzie ludzkim radościom i troskom, błakając się nieustannie w oczekiwaniu na upragnioną śmierć. W XVII stuleciu, mimo że pojawiła się cztery wieki wcześniej, legenda była już znana powszechnie na całym Starym Kontynencie, a wydeptującego wciąż nowe ścieżki Żyda widziano w Hiszpanii, Austrii czy Czechach. Pojawił się nawet anonimowy list. Miał on być opowieścią niemieckiego biskupa Paula von Eitzena, który w czasach swej młodości spotkał Ahaswerusa w hamburskim kościele i rozmawiał z nim po zakończonym nabożeństwie. W opowieści położono nacisk nie na znieważenie Bożego Syna, ale na samą karę i istotę nawrócenia, legenda przybrała wymiar bardziej metafizyczny, podkreślając motyw winy i odkupienia, boskiego wybaczenia i miłosierdzia, gdyż Bóg jest wszechogarniającą miłością.

Ludzie spotykali Żyda Wiecznego Tułacza i w XVII, i w XVIII, ba!, a nawet w XIX stuleciu. Doniesienia o jego wędrowności dotyczyły w zasadzie całej Europy, a potem i Ameryki Północnej, gdyż ostatnią osobą, jaka spotkała widmo, był mormon z Salt Lake

<sup>16</sup> Chmielewski Z., *Rotmistrz Henryk Leliwa-Roycewicz i jego żołnierze*, Stowarzyszenie Tenisowo-Narciarski Klub Dziennikarzy Media, Warszawa 2018.

City. Po 1868 roku źródła milczą już na temat tułacza. Sama legenda nie traciła nigdy na popularności, cieszyła się dużym zainteresowaniem szczególnie w dobie romantyzmu, wykorzystującego w swych założeniach motyw *homo viator*. Jej echa pojawiły się u Mickiewicza w „Prelekcjach paryskich”, a przede wszystkim w „Rękopisie znalezionym w Saragossie” Jana Potockiego, powieści łotrzykowskiej z przełomu XVIII i XIX wieku, utrzymanej w konwencji awanturniczego romansu.

Postać Ahaswera inspirowała nie tylko pisarzy, ale i malarzy, czego dowodem jest obraz olejny na płótnie autorstwa Maurycego Gottlieba, znajdujący się obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie. Gottlieb, jak i Ahaswerus Żyd z pochodzenia, był najznakomitszym uczniem Jana Matejki. Zmarł bardzo młodo, bo w wieku zaledwie 23 lat, wskutek powikłań pooperacyjnych. Antysemickie wystąpienie jednego ze studentów Akademii Sztuk Pięknych spowodowało, że pomimo wzięcia w obronę Gottlieba przez Matejkę, młodzieniec opuścił i uczelnię, i Kraków. Odtąd żył w poczuciu ogromnego, nieutulonego wręcz rozłamu, swoistej dychotomii i dysharmonii, oscylujących wokół poczucia winy z przynależności do narodu polskiego, wśród którego się wychował, z jednej strony, a drugiej – z utożsamiania się z tradycją i kulturą żydowską<sup>17</sup>.

Na obrazie malarz wciela się w postać Ahaswera, marzącego o powrocie do mitycznej wówczas krainy, w Żyda Wiecznego Tułacza. Ahaswer Gottlieba jest piękny. W zasadzie to autoportret samego artysty, z silnymi efektami światłocieniowymi, które odbijają się w złocistych tkaninach, mających ten unikalny, przezroczysty, złoto-bursztynowy ton, jaki w finale rozmywa kontur, pozbawiając postać kształtów, a co za tym idzie – i realności. Jak u Rembrandta. Wizje Rembrandta są bardzo silne w malarstwie Gottlieba, w obrazie wyczuwalny jest nastrój smutku, skonfrontowana nędza z bogactwem, tragizm losu i szczęście posiadanej tajemnicy, mizerialistyczna współczesność i wielka przeszłość, która już nie wróci. Ahaswerus jest odległy. Widoczny jest grymas cierpienia na jego twarzy, czern żałobnych szat kłóci się z walorami młodości, podkreślonymi jeszcze przez oryginalną, semicką urodę portretowanego. Czy tak wyglądał Żyd Wieczny Tułacz?

Ale dość o szewcach! Rzemiosło to wielce bogaty obszar działań ludzkich, w zasadzie, parafrazując znane powiedzenie, gdzie diabeł nie może, tam rzemieślnika pośle. Dlaczego? Ano chociażby dlatego, że na pewno wiecie, co to jest biegun południowy i że wyprawa w te koszmarnie zimne i nieprzyjazne rejony nie należy do łatwych, stanowiąc jedno z najtrudniejszych wyzwań dla ludzkości. Najsłynniejszą wyprawą była ekspedycja Roalda Amundsena w 1911 roku, wśród której członków znalazł się również Olav

<sup>17</sup> Malinowski J., *Maurycy Gottlieb*, Arkady, Warszawa 1997, s. 18.

Bjaaland, nie tylko norweski mistrz narciarstwa i polarnik, ale przede wszystkim stolarz. W skład załogi weszli ponadto: Ludvig Hansen (blacharz), Adolf Lindstrøm (kucharz), Jacob Nødtvet (kowal i mechanik), Karenius Olsen (kucharz), Knut Sundbeck (mechanik). Teraz wyraźnie widać, że bez rzemiosła biegun nie mógł być eksplorowany, nie mówiąc już o tym, że zdobyty! Olav Bjaaland urodził się w 1873 roku w regionie Telemark, w miejscowości Morgedal. Był naprawdę wysoko wykwalifikowanym stolarzem, ponieważ to dzięki jego zręczności zmniejszono wagę sań, jakie Amundsen zakupił w Oslo, z 88 kg do zaledwie 22 kg, nie zmieniając zarazem ich wytrzymałości. Powiedzmy więc to sobie otwarcie: geniusz stolarski Bjaalanda umożliwił ekspedycji poruszanie się w ciężkich warunkach polarnych, maksymalnie zwiększając szanse na osiągnięcie zamierzonego celu. Mistrz zapalił znicz olimpijski podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Oslo w 1952 roku, zmarł w wieku 88 lat jako ostatni z wielkich zdobywców, jako człowiek, który dokonał niemożliwego. Biegun został zdobyty 14 grudnia 1911 roku.

W ogóle stolarstwo to bardzo ciekawy dział rzemiosła. Stolarzem, a w zasadzie cieślą, był przybrany ojciec Chrystusa, św. Józef. Stolarzem był też Julien Brulé, francuski łucznik, który pięciokrotnie zdobył medale na igrzyskach olimpijskich, oraz Zenon Franciszek Baranowski, słynny polski biegacz. Stolarzem z zawodu jest, niestety, seryjny włoski morderca, Maurizio Minghella, zwany „dusicielem z Genui”, odsiadujący obecnie wyrok dożywocia za zamordowanie 9 kobiet. Cóż, w każdym zawodzie znajdują się jakieś czarne owce, ale że rzemieślnicy to na ogół brać porządna i wesoła, nie można nie wspomnieć o takiej sławie, jak Pierce Brosnan, który wprawdzie stolarzem nie jest, ale synem stolarza i owszem. Tak sam zresztą jak Donald Tusk czy Jurij Gagarin. Stolarzem z wykształcenia jest amerykański aktor filmowy Harrison Ford, znany z takich ról, jak Han Solo albo Indiana Jones. Skoro będąc szewcem można zostać królem, to czy można zostać prezydentem, będąc stolarzem? Można.

James Abram Garfield urodził się 19 listopada 1831 roku w Orange, w hrabstwie Cuyahoga. Był synem farmera, który osierocił chłopca bardzo wcześnie. James miał zaledwie dwa lata, kiedy ojciec zmarł. Został z matką i czworgiem rodzeństwa<sup>18</sup>. Już w wieku 10 lat pracował dorywczo, do szkół nie uczęszczając, przy budowie kanału w Michigan, natomiast w 1848 roku był już stolarzem podczas budowy kanału w Ohio. Nie zakończył na tym ścieżki kariery, bowiem poszedł na studia, a nawet został wykładowcą Williams College w Williamston, zajmując się literaturą angielską, matematyką, filozofią, historią

i filologią klasyczną. Garfield był naukowcem, ale był również osobą bardzo religijną, a przy okazji świetnym mówcą<sup>19</sup>, dzięki czemu ujawniły się jego talenty polityczne.

Jesienią 1862 roku, będąc już bohaterem wojny secesyjnej w stopniu generała brygady, został wybrany do Izby Reprezentantów, nadal jednakże pozostał czynny wojskowo. Rok później, doczekawszy się szlifów generała majora, przeszedł w stan spoczynku i został kongresmenem, reprezentując Partię Republikańską. Popierał działania Abrahama Lincolna, choć nie do końca zgadzał się z linią polityki wyznaczoną przez ówczesnego prezydenta. Po śmierci Lincolna w 1865 roku wskutek zamachu dokonanego przez Johna Wilkesa Bootha, popularność republikanów spadła, bowiem opinią publiczną wkrótce wstrząsnęły informacje o nieprawidłowościach i malwersacjach, jakich dopuściła się skorumpowana administracja Ulyssesa Granta, prezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1869–1877. W tym okresie James Garfield, wraz z Jamesem Blaine'em, objął przywództwo w partii. W 1880 roku wygrał wybory do Senatu, ale nigdy nie zasiadł w jego ławach, gdyż został kandydatem do urzędu prezydenta z ramienia Partii Republikańskiej. Wybrano go na dwudziestego pierwszego prezydenta USA.

2 lipca 1881 roku na dworcu kolejowym w Waszyngtonie miał miejsce zamach, podczas którego James Garfield został ranny, jak się okazało – śmiertelnie. Sprawcą zamachu był niejaki Charles Julius Guiteau, prawnik i teolog. Zamachowiec zaangażował się w politykę ze względu na własne niepowodzenia na polu prowadzonych interesów i działalności religijnej. Przekonany o swoim znaczącym wpływie na wybór Garfielda na urząd prezydenta, oczekiwał od niego nadania mu lukratywnego stanowiska<sup>20</sup>. Prezydent zdecydowanie odmówił, więc Guiteau uznał go za nieźrównoważonego i zaczął przygotowania do zamachu. Uważał, że jego czynami kieruje sam Bóg. W celu zamordowania Garfielda zakupił rewolwer marki British Bulldog, kaliber 44<sup>21</sup>. 2 lipca 1881 roku przybył na dworzec kolejowy w Waszyngtonie wczesnym rankiem, ponieważ było wiadomo, że James Garfield będzie wraz z dwoma synami tego dnia wyjeżdżał do Nowej Anglii, aby spędzić trochę czasu z rodziną. Zamachowiec zaszedł prezydenta od tyłu i oddał dwa strzały w plecy. Rannego przewieziono do Białego Domu. Początkowo rokowania lekarzy dawały nadzieję. Były dobre, wręcz zadowalające, stan chorego poprawiał się. Jednakże podejmowanie kolejnych prób zlokalizowania i wyciągnięcia jednej z kul nie powiodło się, zaczęła się rozwijać infekcja, wskutek której James Garfield zachorował na zapalenie

19 Ibidem, s. 413.

20 Pastusiak L., *Zamachy na prezydentów USA*, Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna ADAM, Warszawa 2010, s. 173.

21 Ibidem, s. 174.

18 Pastusiak L., *Prezydenci Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2002, s. 411.

płuc, a następnie dostał ataku serca. Zmarł 19 września 1881 roku. Guiteau został po jego śmierci oskarżony o zabójstwo, w styczniu 1882 roku wydano na niego wyrok śmierci. Wyrok wykonano 30 czerwca przez powieszenie.

Stolarze to również artyści, a chyba najslawniejszym z tych artystów był stolarz-lalkarz, Dżepetto, drugoplanowy bohater powieści dla dzieci autorstwa Carla Collodiego pt. „Pinokio”<sup>22</sup>.



Pewnego razu do mistrza Wisienki trafił niezwykły, bo gadający ludzkim głosem, kawałek drewna. Wisienka podarował go swojemu przyjacielowi, a zarazem koledze po fachu, staremu Dżepetto, który nadał drewnu kształt chłopca. Wyrzeźbionego pajacyka nazwał Pinokio i kochał go jak prawdziwego syna. Ale Pinokio okazał się małym i wrednym niewdzięcznikiem, pragnął przygód, a nie spokojnej egzystencji pod dachem Dżepetta. Chciał zasmakować życia i pewnego dnia, przyłączając się do trupy wędrownych artystów, uciekł z domu. Potem zaprzyjaźnił się z Lisem i Kotem, przebywał nawet w Krainie Pracowitych Pszczół. Jego największym marzeniem było stać się prawdziwym chłopcem. Collodi na podstawie przygód Pinokia uczy dzieci odpowiedzialności za swoje czyny, walki z własnymi przywarami, takimi jak kapryśność czy samolubstwo. Przygody pajacyka mają obudzić w młodym czytelniku wrażliwość i zwrócić uwagę na niestosowność pewnych zachowań. Pisarz przedstawia zbiór gotowych rad, jakimi należy kierować się na co dzień, aby jak najmniej ranić innych, a szczególnie tych, którzy nas tak bardzo kochają. Losy Pinokia to ostrzeżenie przed zgubnymi skutkami próżniactwa, a także przed nieposłuszeństwem wobec dorosłych. Książeczka to również zachęta, by starać się być człowiekiem uczciwym, pilnym i zaangażowanym w pracę. Staruszek

<sup>22</sup> Collodi C., *Pinokio*, Wydawnictwo Olesiejuk, Warszawa 2017.

Dżepetto to archetyp poczciwego, kochającego ojca, potrafiącego wybaczyć dziecku każde przewinienie. Zarazem jest to alegoria wiary w dobro drzemiące w każdej istocie – trzeba je tylko umiejętnie wydobyć i oszlifować, a będzie wówczas błyszczeć jak diament.

Stolarze artyści potrafią nie tylko rzeźbić figurki pajacyków, ale też instrumenty, a konkretnie chodzi o ukulele, wywodzące się z portugalskich instrumentów strunowych, nazywanych *cavaquinho*, *machete*, *braguinha* i *rajão*. Instrumenty, będące pierwowzorem ukulele, przybyły do Honolulu w 1879 roku na statku emigrantów, który wypłynął z portu na Maderze. Emigranci mieli rozpocząć pracę na hawajskich plantacjach trzciny cukrowej. Trzech z nich – Manuel Nunes, Augusto Dias oraz José do Espírito Santo – było z zawodu stolarzami, zajmującymi się również lutnictwem. Po zakończeniu prac pozostali na rajskich Hawajach, powracając do pierwotnego zawodu i stając się zarazem pierwszymi wytwórcami ukulele. Pomysłowość stolarskiej braci widać również na polu wynalazczości.

W 1795 roku brytyjski stolarz i wynalazca skonstruował pierwszy mechaniczny chronometr na świecie. Tym geniuszem był John Harrison. Wynalazek Harrisona umożliwił precyzyjne określanie długości geograficznej. Chronometr cechował się nie tylko bardzo dużą dokładnością, ale i odpornością na zmienne warunki pracy, jakie panowały na statkach. John był najstarszym dzieckiem i do zawodu przyuczał go ojciec. Pracując jako cieśla i stolarz, zegarami zajmował się w wolnym czasie. W trakcie swojego życia (1693–1776) opracował szereg nowoczesnych rozwiązań, które wpłynęły na poprawę działania zegarów mechanicznych. Harrison przede wszystkim wyeliminował błędy, jakie wynikały ze zmiany długości samego wahadła, gdyż w swoich konstrukcjach zastosował łączenie na przemian prętów mosiężnych i stalowych. Ponadto zmajstrował kulkowe łożysko koszyczkowe, stosując w swoich pracach bimetal. Kamienie szlachetne wykorzystywał jako elementy beztarciovych łożysk zębatach.

Precyzji w zawodzie wymaga nie tylko zawód stolarza albo zegarmistrza, ale również zawód krawca. Rzemieślnicy są bardzo ciekawym środowiskiem, gdyż mogą się pochwalić jedynym krawcem wśród noblistów i zarazem jedynym noblistą wśród krawców. Tą osobą jest Władysław Stanisław Reymont.

Reymont (właściwie *Rejment*) urodził się 7 maja 1867 roku we wsi Kobile Wielkie w powiecie noworadomskim guberni piotrkowskiej. Wychowywał się w ubogiej rodzinie organisty. Jego ojciec był nie tylko człowiekiem wykształconym, ale i czytany. Józef Rejment grał na organach w tuszyńskiej parafii, prowadził też księgi stanu cywilnego, notując w nich tak ważne wydarzenia jak narodziny, śmierci i śluby. W imieniu probosz-



cza prowadził również korespondencję z władzami rosyjskimi. Matka przyszłego prozaika, Antonina z Kupczyńskich Rejmentowa, posiadała niezwykle dar snucia barwnych opowieści, w które tak lubił się wsłuchiwać. Miał ośmioro rodzeństwa, czasy były okrutne, a pieniędzy w domu mało, bo jak tu wyżyć z nędznej pensyjki wiejskiego organisty. Zatem rodzice postanowili, że syn odziedziczy zawód po ojcu. Ale młodzieniec zbuntował się, nie czując powołania do muzyki, nie chciał się kształcić i w ogóle unikał szkół jak ognia. Wreszcie udało mu się ukończyć Warszawską Niedzielną Szkołę Rzemieślniczą. W zawodzie krawca kształcił się w latach 1880–1883, aż został czeladnikiem. Wyzwolinę nastąpiły 2 stycznia 1884 roku, kiedy okazał komisji doskonale uszyty frak. Wprawdzie nigdy zawodu tego nie wykonywał, szyc jednak umiał i szył najpiękniej – ze słów uszył epopeję polskiej wsi, „Chłopów”. Lecz zanim uszył dzieło swojego życia, często zmieniał nie tylko zawody, lecz i adresy, lubił podróżować i zwiedzać, chłonąc jak gąbka atmosferę każdego miejsca, które odwiedził czy to w Polsce, czy w Europie. Zdarzało mu się bywać nawet aktorem i przemierzał wraz z wędrowną trupą wsie i miasteczka, poznając ludzi, zapisując w pamięci ich drobne sprawy życia codziennego. Na deskach teatralnych występował również w Lublinie i w Puławach. Miał nawet nadzieję zostać mnichem, tyle że czmychnął od paulinów częstochowskich tuż przed złożeniem ślubów zakonnych, bo przerażały go rygory życia klasztorne. I skandale, i miłostki nie były mu obce. Dzięki ojcu mógł się trochę ustatkować, ponieważ Józef załatwił mu posadę dróżnika Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, a młodzieniec pełnił tę funkcję niskiej rangi funkcjonariusza między innymi w Lipcach i w Rogowie. To wtedy właśnie zaczął tak na dobre pisać swoje powieści, opowiadania, dramaty i utwory poetyckie, które następnie darł i palił, co sam wielokrotnie podkreślał. Tylko czy mu wierzyć można? Życiorys Reymonta pełen jest luk, niejasności, niedopowiedzeń i sprzeczności, a autorem większości jest jego główny bohater. Swobodnie dawał się ponieść fantazji, dość często sprowadzając swoich interlokutorów na manowce. Był człowiekiem wrażliwym, porywczym, ulegającym zmiennym nastrojom, słabego zdrowia. Kiedyś, ze względu na dużą wadę wzroku, zamiast zejść ze sceny, wszedł do szafy... Miewał nawet myśli samobójcze. Miał żywiołowy talent. Posiadał niezwykle chłonny umysł i cechowała go bystrość obserwacji, ale uważano, że brakuje Reymontowi kultury i twórczej samowiedzy. Nazywano go „medium piszącym”, również ze względu na jego zainteresowania okultystyczne.

Ponieważ apodyktyczny ojciec ani też współziomkowie nie wykazywali zainteresowania, a wręcz byli zniesmaczeni literackimi eksperymentami Władysława, pod nieco zmienionym nazwiskiem w 1892 roku opublikował swoją pierwszą nowelę „Wigilia

Bożego Narodzenia”. Rok później, finansowo goły jak święty turecki, ruszył na stałe do Warszawy, mając jeden cel – podbić swoją twórczością cały świat. Początkowo, jak to zwykle bywa, nikt nie poznał się na jego talencie i nie wydawał jego utworów. Przełomowym okazał się reportaż „Pielgrzymka do Jasnej Góry”, napisany za namową Antoniego Świętochowskiego. Reportaż ukazał się w „Tygodniu Ilustrowanym” i otworzył Reymontowi wrota do literackiej kariery. W 1896 roku doczekał się wreszcie pierwszego zamówienia na powieść. W fabule „Komediantki” wykorzystał wątki autobiograficzne z okresu aktorskiego. Główną bohaterką jest Janina Orłowska, córka kolejarza. Dziewczyna ma głowę pełną marzeń, nie chce wychodzić za człowieka, którego nie kocha. Zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli podejmie decyzję o odrzuceniu oświadczyn, będzie musiała opuścić dom. Wyjeżdża do Warszawy, aby poświęcić się sztuce i zostać aktorką w teatrze Cabińskiego. Nie jest to jednak łatwy chleb, doznaje wielu rozczarowań, które prowadzą ją na skraj rozpacz, nawet do myśli samobójczych. Dalsze losy Orłowskiej Reymont opisał w powieści „Fermenty”. Utwory przyniosły mu upragniony sukces literacki i finansowy. Wówczas znowu zaczął podróżować, kolekcjonując ludzkie charaktery jak pocztówki. Po powrocie do Polski napisał jedno ze swoich najważniejszych dzieł – „Ziemie obiecane”.

Ożenił się w 1902 roku, z Aurelią *de domo* Szacznajder, *primo voto* Szabłowską. Dzięki pieniądzom uzyskanym w ramach odszkodowania za wypadek kolejowy, mógł z powodzeniem rozwieść swoją wybrankę serca z poprzednim mężem i wstąpić z nią w związek małżeński. Podróżował. Przemieszczał się między Polską, Francją i Włochami, pisząc swoje *opus magnum*, „Chłopów”. Był pionierem w przedstawieniu życia wiejskiego, bowiem dotąd tego tematu nie podjął żaden z twórców, a jeśli nawet – nie na taką skalę. Panoramiczny obraz łowickiej wsi, to wielkie, epickie malowidło, pisał dwukrotnie. Pierwszy rękopis zniszczył w 1901 roku cztery lata od złożenia zamówienia przez „Tygodnik Ilustrowany”. Dopiero drugie podejście wydało się pisarzowi na tyle dobre, że wyraził zgodę na druk. Rytm przyrody wyznacza rytm prac, a jednocześnie kalendarz obrzędów i świąt wyznacza porządek codziennego życia lipeckiej gromady. Wewnętrzne funkcjonowanie społeczności ukazane jest bez zbędnego koloryzowania – bez upiększania Reymont pokazuje mały tygielek tarć spowodowanych różnym stopniem zamożności, różnorodnością ludzkich charakterów, wielowarstwowymi powiązaniem i egzystencjalnymi problemami. Lipecki mikrokosmos wiruje po orbicie, której centrum stanowi Maciej Boryna, patriarchalny gospodarz, przedstawiony przez pisarza w końcowej fazie życia – od wesela z Jagną, momentu inicjującego drugą młodość Boryny, aż po śmierć.

Tłem, trzecim planem, a zrazem pełnoprawnym bohaterem epopei, jest cykl pór roku, nadający wszystkiemu sens i porządek.

Starania o przyznanie Reymontowi Nobla planowano podjąć już w 1916 roku. Dwa lata później Akademia Umiejętności w Krakowie oficjalnie wysunęła jego kandydaturę, a ponowił ją w 1920 roku Per Hallstrom, członek Komitetu Nagrody Nobla. Ale dopiero w 1924 roku, dzięki zabiegom Alfreda Wysockiego, 13 października, na wniosek prof. Andersa Österlinga, Akademia przyznała pisarzowi Literacką Nagrodę Nobla za powieść „Chłopi”. Reymont przyjął ten sukces z goryczą, był już mocno schorowany, bez sił, na co mu były, jak sam twierdził, sława i pieniądze. Zdawał sobie sprawę ze swojego stanu zdrowia i wiedział, że jego dni są policzone. Zmarł dwa tygodnie po Żeromskim, 5 grudnia 1925 roku. Pochowano go na koszt państwa, a w pogrzebie uczestniczył sam prezydent Wojciechowski, rząd i korpus dyplomatyczny. Ciało złożono na cmentarzu Powązkowskim, gdzie nad trumną pięknie przemawiali Witos, Staff i Iwaszkiewicz. Urna z sercem pisarza spoczęła w kościele pw. Świętego Krzyża.

Krawcy chyba nigdy nie mieli łatwego życia. Nawet ten biblijny. Adam był pierwszym człowiekiem, stworzonym przez Boga na Jego obraz i podobieństwo. Razem ze swoją małżonką Ewą, według opisów w Księdze Rodzaju, dali początek na tym padole łez – Ziemi. Zanim na zawsze raj stał się dla nich (i dla nas) utracony, mieszkali sobie w Edenie, gdzie mogli robić wszystko. No, prawie wszystko, bowiem jedyną rzeczą, jakiej zakazał im Bóg, było podjadanie owoców z drzewa poznania dobra i zła. Jednakże nasi protoplaści złamali ten nie wcale surowy zakaz i w finale my musimy się użerać ze swoją codzienną egzystencją nie wśród rajskich krzewów, a wśród samych siebie, targani własnymi namiętnościami i słabostkami. Cóż, zapewne Adam w grobie się przewraca, skoro już całe pokolenia mu złorzeczą... Kiedy Adam i Ewa naruszyli Boże zarządzenie, z przerażeniem odkryli, że są nadzy. Dotąd jakoś brak odzienia zupełnie im nie przeszkadzał, ale przekroczenie granic naznaczonych przez Stwórcę spowodowało naruszenie boskiego pierwiastka w duszy człowieka. Pycha i nieposłuszeństwo, tak cwanie zapoczątkowane przez szatana, zupełnie zmieniły ich priorytety. Zerwał zatem Adam listki z drzewa figowego i przykrył nagość swoją i Ewy. Pomysłowość naszego praojca zatem stała się pierwszym, mistrzowskim – trzeba przyznać, rzemieślniczym majstersztykiem na miarę wszech czasów. Och, pewnie nie raz i nie dwa żałował Adam swego występku, a owoc z drzewa poznania dobra i zła kością mu w gardle stawał... Tak samo zresztą żałował jeden krawiec, kolejny, który uległ czczej propagandzie, tym razem nie szatana, a kozuchy-klamczuchy.

Dawno, dawno temu żył sobie pewien ubogi krawiec, który miał trzech synów i cudowną kozę, posiadającą dar gadania ludzkim głosem. Zadaniem kozy było dawanie tyle mleka, aby można było wyżywić czteroosobową rodzinę, dlatego krawiec bardzo dbał o zwierzaka. Któregoś razu wysłał najstarszego syna, aby popasał kozę i by dopilnował, żeby najadła się do syta. Syn cały Boży dzień stosował się do zaleceń ojca, niemalże chuchając i dmuchając na podopieczną. Po powrocie krawiec zapytał zwierzaka, czy jest najedzony, na co koza odparła, że przez calusieńki dzionek nie skubnęła ni listeczka, ni ździebełka trawy. Krawiec wpadł w gniew! Najpierw syna zwymyślał, a następnie jeszcze kijami otłukł i wygnał z domu. Następnego dnia wysłał z kozą drugiego z synów, a sytuacja się powtórzyła. Koza zeznała, że głodowała cały dzień, a młodzieniec w finale jeszcze batów parę oberwał i z domu musiał pójść. Trzeciego dnia z kozuchą na łąki poszedł najmłodszy, ale i on nie uniknął gniewu ojca, gdyż zwierzę uparcie twierdziło, że nie jadło znowu cały dzionek, więc i najmłodszy zakosztował ojcowego pasa i wygnany został z domu.

Krawiec, jako że już wszystkich synów z domu pogonił, nie miał wyjścia, musiał sam pójść kozę pasać. Zwierzę żarło, aż mu się uszy trzęsły, ale kiedy krawiec w domu zapytał, czy nie jest głodne, koza wciąż uparcie twierdziła, że nie jadła nic dzień cały. Zafrasował się krawiec okrutnie, gdyż zrozumiał, że niesprawiedliwie potraktował swych potomków, najpierw, kiedy dał im w skórę, a potem, kiedy wyrzucił ich z domu. Wówczas kozę obił za jej kłamstwa bezczelne i wygnał precz od siebie.

Po odejściu z domu najstarszy syn został stolarzem. Znalazł się jeden taki, co go zatrudnił u siebie i zawodu wyuczył. Kiedy przyszedł czas na opuszczenie zakładu przez chłopaka, stolarz podarował mu czarodziejski stolik. Stolik na wezwanie „Stoliczku, nakryj się!”, sam zapełniał się wszelkiego rodzaju jadłem i napitkiem. Syn krawca podziękował pięknie swojemu majstrowi i wyruszył w drogę do domu, mając nadzieję, że ojciec przyjmie go z powrotem pod swój dach. Po drodze zatrzymał się w karczmie, a że młody był jeszcze i głupi, to pochwalił się karczmarzowi, jaki skarb posiada. Chciwy karczmarz podmienił nocą stoliki, a prawda wyszła na jaw dopiero wówczas, gdy syn dotarł do ojcowskiego domu i chciał wyprawić ucztę dla starego krawca i jego przyjaciół.

Tymczasem średni syn najął się na termin u młynarza. I młynarz chłopaka u siebie zatrudnił, i zawodu wyuczył. Kiedy przyszedł czas na pożegnanie pracodawcy, ten podarował uczniowi magicznego osiołka. Jak wymówiło się zaklęcie „Osiołku, połącz się!”, wylatywały z niego złote monety! Syn krawca pięknie majstrowi podziękował i wyruszył do domu, jak i starszy brat mając nadzieję, że ojciec go z powrotem weźmie. W tej samej

karczmie się zatrzymał, zawierzył karczmarzowi, który wykorzystał naiwność młynarczyka i podmienił osiołki. Chłopak zorientował się, że został niecnie okradziony dopiero u ojca w domu.

Najmłodszy z synów krawca trafił do tokarza. I ten dobry człowiek ulitował się nad biedakiem i do pracy wziął do siebie, zawodu wyuczył. Jak przyszedł czas na powrót, majster podarował mu wór czarodziejski, z którego na magiczne wezwanie „Bij, kiju-samobiju!”, wyskakiwał kijaszek i okładał delikwenta po plecach. Chłopak wiedział już, co się stało z braćmi, więc tym bardziej pięknie podziękował i wyruszył do domu. Zatrzymał się w tej samej karczmie, co i starsi bracia. Powiedział nieuczciwemu karczmarzowi, że w worku trzyma cenne skarby, po czym poszedł spać. Udając, że już zasnął, czekał cierpliwie na wizytę gospodarza. Kiedy chciwiec zakradł się, aby podmienić worki, zerwał się chyżo najmłodszy i zakłęcie wymówił, aby kije-samobije zdrowo wygarbowały skórę złodzieja. Przyłapany na gorącym uczynku karczmarz nie dość, że przeprosił, to jeszcze oddał i stoliczek czarodziejski, i osiołka. Najmłodszy wrócił do ojcowskiego domu z kijami i skradzionymi przez karczmarza rzeczami, a w domu zapanowała radość i dostatek. A co się z kozuchą-kłamczuchą stało? Wynnana koza szachrajka ukryła się w lisiej jamie. Lis, przerażony wtargnięciem kozy do swojej nory, poprosił o pomoc niedźwiedzia w wykurzeniu intruza z domu. Ale niedźwiedź, zobaczywszy dwoje groźnie patrzących na niego ślepi tak się przestraszył, że uciekł, bo myślał, że to smok jakowys albo inny potwór. Kozie radę dała dopiero malusieńka pszczołka, która użądliła podstępnego zwierzaka w zadek. Koza beknęła wcale nie kozim głosem i jak zaczęła uciekać, tak ucieka chyba po dziś dzień, bo słuch wszelaki po niej zaginął.

Mówi się, że każdy z nas jest kowalem własnego losu. Tyle że ślusarz zawinił, a kowala powiesili. Tego jednego najstynniejszego wprawdzie nie powiesili, ale ile wstydu najadł się za swoją żonę, ile żartów i wyśmiewania, to tylko on sam może wiedzieć. Hefajstos, bo o nim tu mowa, był najpracowitszym z bogów. Nie interesował go świat olimpijskich celebrytów, zatem z rzadka bywał na wystawnych ucztach organizowanych u Zeusa i Hery, nie mając czasu na wycieranie się na ściankach. Wszyscy mieli go za odszczepieńca i samotnika, a przecież Hefajstos wcale samotny nie był. Ani nieszczęśliwy. W kuźni swej cudownej, która wedle mitów znajdowała się we wnętrzu Etny lub, jak twierdzili niektórzy, na wyspie Lemnos<sup>23</sup>, otoczony wiernymi jak psy cyklopami, pracował dniem i nocą, gdyż, jak każdemu rzemieślnikowi, praca dawała nie tylko satysfakcję, ale i szczęście. Jak stachanowiec nie baczył na odpoczynek, wciąż realizując kolejne plany gospodarcze

ku chwale bogów. Na przykład pioruny kuł dla Zeusa, a że Gromowładny był porywczy, żonę zaś miał o charakterze Ksantypy, to od czasu do czasu, aby baba przestała mu suszyć głowę, pogonił ją artylerią niebieską. Uszkodzić nie uszkodził, ale dzięki temu miał bodaj chwilę świętego spokoju, chociaż lubił uganiać się za spódniczkami, czego dowodem są całe zastępy jego potomków – herosów, przewijające się przez grecką mitologię. Zatem Hefajstos musiał mieć zawsze na podorędziu broń dla ojca, bowiem nie tylko matka sprawiała problemy, ale awanturny Zeus często w jakiejś utarczki się wdawał, broniąc majestatu i spokoju olimpijskiego. Obowiązkiem szlachetnego kowala były także naprawy i przeglądy złotego rydwanu Heliosa, na którym Najjaśniejszy co rano w świetle jutrzeńki wyruszał na całodniową podróż po nieboskłonie. Pewnego dnia jego syn Faeton podstępem wymusił na ojcu, aby ten na jeden dzień wóz mu w posiadanie oddał. Cóż, zatroskał się Helios okrutnie, ale słowa dotrzymał. Faeton, jak tylko na kozła wskoczył, hajda w górę!, dalej!, szybciej, jazda bez trzymanki po całutkim niebie! O, zaiste była to jazda bez trzymanki, bowiem gdy posłuszne dotąd rumaki poczuły niewprawną rękę urwisa, zaczęły brykać po firmamencie jak żrebaki, hasając z chmurki na chmurkę, bez ładu, bez składu, jak młodzieniaszki. Skończyło się to katastrofą ekologiczną. Faeton, kreśląc po niebiesiech esy-floresy, zbyt blisko zbliżył się do zielonych jeszcze wtedy pól Afryki, przez co Etiopczykom poczerniała skóra, żyzne pola zamieniły się w pustynię, a rydwan słoneczny przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Aż Zeus musiał zainterweniować i ukrócić rozpasany taniec niebieski Faetona. Hefajstos ochoczo zabrał się do naprawy, z radością porzucając drobne serwisowanie biżuteryjnych cacek Hery i Afrodyty, swojej żony.

Misterne tworzył cudowna. I unikatowe, a niekiedy wielce zmyślne. Potrafił skonstruować ze złota niewolnice, które jak żywe wyglądały, usługując gościom na Olimpie. Nie brakowało też foteli – same biegły na salę, gdzie bogowie obradowali. Kiedyś zdarzyło mu się zmajstrować krzesło. U bram królestwa niebieskiego zjawiło się dwóch cyklopów. Grzecznie zapukali do wrót i powiedzieli, że przynieśli skromny podarunek od swojego pana. Oczywiście był to prezent dla samej Hery, pani wszechświata. Hera dostała krzesło wykonane ze złota, zdobne w diamenty, szmaragdy i rubiny. Wyglądało na bardzo wygodne, więc od razu kazała je ustawić w swojej komnacie i nie czekając długo, ochoczo na nim zasiadła. I wtedy stała się rzecz straszna! Nagle, nie wiadomo skąd, kleszcze się jakoweś wysunęły i zamknęły Herę w potrzasku! Za nic nie mogła się ruszyć z tego więzienia! Na szczęście uproszono złośliwca, aby ofiarę swego żartu z więzów wypuścił.

Najlepiej jednak czuł się w swojej kuźni, gdzie wielki żar buchał od palenisk, rozsypując wokół fontanny złotych i czerwonych iskieł, które spadały łukami światła na kamien-

23 Parandowski J., *Mitologia*, Iskry, Warszawa 1982, s. 61.



ną podłogę. Czasami Hefajstos odkłada młot i cęgi, nasłuchuje śpiewu Apolla, patrzy w niebo na rydwan Heliosa. Sam jest przecież synem królów, tylko nieprzystającym do wystawnej celebry Olimpu. Bardzo był przywiązany do matki. Swego czasu Hera tak zażąda Zeusowi za skórę, że w gniewie powiesił żonę u skał. Jedynie Hefajstos za matką się wstawił, więc ojciec stracił go za karę na ziemię. Leciał tak, biedaczyna, dzień cały, aż nocą gwiazdzistą upadł, jak meteor, na wyspę Lemnos. Cudem nogi tylko sobie połamał. Wówczas to zaopiekowała się nim Tetyda, bogini morska, w swoim domu z koralami, przykrytym przez szmaragdowe zwierciadło wody. Dobrze mu było w tym domu, odgradzonym od świata blichtru, którego i tak nie lubił. Wyrabiał Nereidom misterne naszyjniki, tak delikatne, jakby były utkane z morskiej piany, bransolety, pierścienie i wisiory, co tylko zapragnęły. Minęło 9 lat, matka o nim zapomniała, ojciec zapomniał, świat wokół nie istniał, a jemu było dobrze. Dopiero Dionizos podstępem sprowadził go z powrotem na Olimp, najpierw pojąc do nieprzytomności, żeby oporu żadnego nie stawiał. Och, jaka to radość była ogromna, że ten, o którym myślano, że zginął w morskich odmętach, nie tylko ma się dobrze, ale żyje mu się całkiem wygodnie i szczęśliwie. Ojciec Zeus, chcąc zadośćuczynić swojemu gniewowi dał Hefajstosowi za żonę Afrodytę, najpiękniejszą z bogiń. Nie było to jednak szczęśliwe małżeństwo. Afrodyta za nic nie chciała zaakceptować stylu życia swojego kulawego męża, wołała świat, który ją przyciągał jak magnes. Hefajstos nad zabawę przedkładał siedzenie w swojej kuźni. Afrodyta lubiła się śmiać i tańczyć, on czuł się dobrze wyłącznie w towarzystwie swoich wiernych cyklopów. Kiedyś i Hefajstos był młody, radosny, piękny, z czasem dopiero stał się ponury i mrukliwy. Małżeństwo z Afrodytą uważał za jeszcze jedną drwinę ze swojego kalectwa.

Był bogiem ognia i patronem kowali. Uważano, że jest synem Hery i Zeusa, ale według jednej z wersji był dzieckiem samoistnie zrodzonym ze swojej matki. W ten sposób Hera chciała dorównać mężowi, z którego głowy wyskoczyła Atena w pełnej zbroi<sup>24</sup>. Mimo że kaleki, był odważny jak lew, brał udział w wielu bitwach i wojnach, na przykład w gigantomachii i pod Troją. Jego bronią był ogień albo też rozpalone żelazo. Jednak główną domeną działalności Hefajstosa było rzemiosło i to jemu był w pełni poświęcony. To on wykuł słynną tarczę Achillesa, którą Homer opisał w „Iliadzie”:

*Wielki i tęgi puklerz boski sztukmistrz robi:  
Złoty obwód okręgi troistymi zdobi,  
Srebrzysty wiąże rzemień. Pięć blach w kupę bije,*

24 Pietrzykowski M., *Mitologia starożytnej Grecji*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1979, s. 129.

*A na powierzchni cuda swojej sztuki ryje.  
Wydana ziemia, niebo, ocean głęboki,  
Słońce nieustannymi biegające kroki,  
Księżyc i nieba w gwiazdach ozdobna korona,  
Plejady i Hyjady, i moc Oryjona,  
I Arktos, wozem zwany, bo jak wóz się toczy  
Na Oryjona ciągle obracając oczy;  
W tej części nieba krąży wiecznymi obwody,  
A nigdy się nie zniża w oceanu wody<sup>25</sup>.*

Tarcza przedstawiała w trzecim kręgu dwa miasta, a w jednym z nich trwały przygotowania do wesela. Z drugiego, oblężonego miasta, wojsko na czele z Ateną i Aressem wyruszało na spotkanie z wrogiem. Następny krąg zdobyły żyzne pola, pracujący i odpoczywający oracze. W piątym kręgu Hefajstos umieścił winnicę, ciężką od gron życiodajnych, sceny z lwami i tańczących chłopców i dziewczęta. Tarczę okalała prastara rzeka, opasująca swą pieszczotliwą wstęgą cały świat – Okeanos.

Żelazo, podstawowy materiał kowala, miało sakralny charakter. Przenikała je potęga świętości i to niezależnie od tego, czy dostarczały go meteoryty spadające z nieba, czy też wydobywano je z trzewi Ziemi. Niemal wszystkie ludy żywiły wobec niego szacunek, a kowal był jego pracownikiem<sup>26</sup>. Także jego narzędzia miały mistyczny charakter. Kowadło, miechy czy młot traktowano wręcz jako ożywione, cudowne istoty. Niemało było osób, które uważały, że mogą one żyć własnym życiem bez pomocy kowala. W ujęciu chrześcijańskim rolę kowala odgrywa często sam Chrystus lub św. Piotr, św. Eliaz, niekiedy też św. Mikołaj. Jezus odmładza starców i leczy chorych, wsadzając ich do kowalskiego pieca bądź zdrowo kując na kowadle. Chcąc być równy Mesjaszowi, jeden żołnierz pokusił się o powtórzenie tego cudu na własną rękę. Otóż miał nadzieję pomóc starej, schorowanej kobiecie. Niestety, poniósł sromotną porażkę, ale dobrotliwy Syn Boży uratował nadgorliwego wojaka od linczu, wskrzeszając denatkę z resztek popiołu. W jednej z baśni Chrystus wędrował sobie przez świat. I tak wędrował, i wędrował, aż przywędrował do kuźni, nad którą widniał napis „Tu mieszka mistrz mistrzów”. Uśmiechnął się Pan. Jakoś się z kowalem samochwałą dogadał i ten pozwolił Mu na próbę zostać, zupełnie nie wiedząc, jaki to gość zawitał w jego progach. Któregoś dnia jeden z mieszkańców

25 Homer, *Iliada*, Fundacja Nowoczesna Polska, s. 165.

26 Eliade M., *Kowale i alchemicy*, Fundacja ALETHEIA, Warszawa 1993, s. 21–23.

wioski przyprowadził do kuźni konia do podkucia, a kowal w swej łaskawości wyraził zgodę na załatwienie sprawy przez nowego ucznia. Pan Jezus, chociaż synowcem był ciesielskim, ochoczo przystąpił do pracy – raz, dwa! uniósł zwierzę za kopyta, położył na kowadle, rozgrzał podkowy i przybijał jedna po drugiej. Potem dokonał kolejnej rzeczy, zdawałoby się, niemożliwej. Wrzucił do pieca starą żonę kowala i oto cud się stał, gdyż kując ją potem na kowadle – zamienił w prześliczną, młodą dziewczynę. Kiedy kowal spróbował naśladować ucznia, finał był wiadomy i gdyby nie boska interwencja, miałby parę istnień na sumieniu. Jedno jest pewne – nigdy już nie pochwalił się, że jest mistrzem nad mistrzami...

Kowal przechwalał się czczo, że jest mistrzem nad mistrzami, ale zgubiła go pycha. A jak było w przypadku człowieka, który uciekł od polskiej biedy początku XX wieku i stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci świata mody pierwszej połowy ubiegłego stulecia? Ale zanim stał się najznamienitszym mistrzem Antoine'em de Paris, to mieszkał sobie w małym miasteczku i był zwyczajnym Antkiem. Antoni Cierplikowski urodził się w Sieradzu w rodzinie typowo rzemieślniczej. Jego matka była krawcową z zawodu, ojciec natomiast szewcem. Do Paryża Antoni przyjechał mając w kieszeni, bagatela – majątek cały!, 5 franków, a już wkrótce sławy mogła mu pozazdrościć sama Coco Chanel. Był skandalistą i geniuszem, przyjaźnił się z koronowanymi głowami i duchownymi. Spędził życie tylko z jedną kobietą, Marie-Louise-Berthe Astier, pozostając z nią w związku małżeńskim przez 50 lat. Nigdy jej nie zdradził z żadną inną, ale też nigdy jej nie kochał, ponieważ Cierplikowskiego fascynowali wyłącznie mężczyźni. Darzył ją raczej uczuciem podobnym do synowskiego, szukając w niej oparcia, przyjaźni i głosu rozsądku.

Jako ubogi chłopiec z Sieradza w wieku zaledwie 17 lat wybrał się na podbój francuskiej stolicy, ówczesnie będącej w zasadzie stolicą całego świata, z jedną lichutką walizką w ręku. Na tyle wówczas było go stać. W ciągu raptem kilku lat dokonał rewolucji, stając się Che Guevarą branży fryzjerskiej i niekwestionowanym władcą Paryża. Był nie tylko królem fryzjerów, ale i fryzjerem królów. Zawodu wyuczył się w Łodzi u Pawła Lewandowskiego, swojego wuja. W 1901 roku wyjechał z kraju na spotkanie międzynarodowej sławy i uznania.

Paryż początku XX wieku tętnił życiem, stanowiąc synonim postępu i nowoczesności. To gościnne miasto chętnie przyjmowało pod swoje skrzydła marzycieli z całego świata, nie każdemu może dając szansę na lepsze jutro, ale każdemu dając nadzieję, że osiągnie szczyty. Przez trzy lata Cierplikowski pracował u monsieur Decoux, nieznużenie ucząc

się języka i doskonaląc swój fach. Aż nadszedł rok 1903. Francja właśnie szykowała się na coroczne obchody katarzynek, święta ku czci niezamężnych dziewcząt. A każda z nich chciała mieć fryzurę najbardziej bajeczną we wszechświecie. Tego dnia zakład monsieur Decoux pękał w szwach, zatem poproszono młodego Antoniego o pomoc w czesaniu klientek. Antoni przeobraził się w Antoine'a. Zaczął zyskiwać coraz większą popularność i wreszcie mógł otworzyć firmę pod własnym szyldem. Przepustką do sławy stała się koafiura Ève Lavallière. Aktorka miała wyglądać, mimo 40 wiosen, świeżo i promiennie jak majowy poranek. Czego, oczywiście, Antoine dokonał. Zrobił to za pomocą rewolucyjnego cięcia, jakiego świat dotąd nie widział – *à la garçonne* (na chłopczycę). Odtąd rok 1909 jest równoznaczny z przełomem w dziejach kobiecej mody. Ève triumfalnie powróciła do kręgu celebrytów, a mistrzowskie cięcie zapewniło Cierplikowskiemu tłumy wielbicielek. Z Coco Chanel łączyła go forma trudnej przyjaźni, bowiem projektantka bywała zazdrosna o jego sukcesy nie tylko zawodowe, ale i na gruncie towarzyskim, szczególnie zaś – o uwielbienie, jakiego doznawał niemal na każdym kroku.

Pozostawał też w bliskich, ciepłych relacjach z lady Daisy Fellowes, redaktor naczelną francuskiej edycji „Harper's Bazaar”. Daisy mogła poszczycić się nie tylko zasłużonym tytułem najbardziej eleganckiej kobiety, lecz i sesjami fotograficznymi, podczas których pozowała we fryzurach i perukach, jakie wyszły spod ręki mistrza Antoine'a dla „Vogue'a”. Razem z nim dowiodła, że szminka i róż nie są wcale atrybutami kobiet upadłych, a udany makijaż to taki, który dostosowany jest i do okazji, i do pory dnia, a przede wszystkim jest naturalny, a nie przerysowany. Cierplikowski cesał też i Matę Hari, chociaż zwykł oceniać jej urodę jako przeciętną.

W 1933 roku Hollywood zapragnęło mieć Antoine'a dla siebie, na własność. W Warner Bros. zaproponowano mu, aby zajął się wizerunkiem Bette Davis, wówczas młodej, jeszcze początkującej aktorki. To był prolog nie tylko pasma sukcesów, ale i wieloletniej przyjaźni. Cierplikowski znał też Brigitte Bardot i to od czasów, kiedy jeszcze jako uczennica szkoły baletowej odwiedzała go w salonie w Cannes. Była jedną z niewielu kobiet, którym nie proponował krótkich włosów i drastycznych cięć. Strzygł też Eleanor Roosevelt, ówczesną pierwszą damę. Nowa fryzura spodobała się jej mężowi i wywołała w USA zachwyt u dotychczasowych oponentów Cierplikowskiego. Stany Zjednoczone Ameryki mógł uznać za zdobyte.

W Paryżu cesał Josephine Baker. To on był autorem i pomysłodawcą króciutkiej, acz bardzo pociągającej fryzurki z mocno przygładzonymi i wysmarowanymi brylantyną włosami. Josephine kochała Antoine'a, nazywając go „wielkim czarodziejem”. Jego

klientką była także, sól w oku wielu Anglików i przyczyna abdykacji Edwarda VIII, słynna Wallis Simpson. Wallis lubiła zmiany i jednocześnie poszukiwała własnego ja, własnego stylu. Wybór mógł paść tylko na Antoine'a i nie pomyliła się. Wizerunek, jaki stworzył król fryzjerów, był przysłowiowym strzałem w dziesiątkę.

Cierplikowski pokazał swoje mistrzostwo nie tylko w dziedzinie fryzjerstwa. Stworzył ekskluzywną sieć salonów – w Polsce, Kanadzie, Japonii, Australii, no i oczywiście – we Francji i Stanach Zjednoczonych. Wyroby kosmetyczne marki „Bain de soleil” i „Antoine de Paris” sprzedawano na 5 kontynentach. W USA i Paryżu założył słynne szkoły, które miały za zadanie kształcić przyszłych pracowników jego salonów. Wydawał luksusowe czasopismo „Antoine – Document pour la femme moderne”. Latał takim samym modelem prywatnego samolotu jak Al Capone – Stinsonem Reliantem. Ceny, jakie klientki były gotowe zapłacić za możliwość strzyżenia i czesania w salonie Cierplikowskiego, były koszarne. Wizyta w salonie kosztowała do 150 dolarów amerykańskich (dzisiejsze 2000), a spotkanie prywatne osiągało nawet równowartość 6000 współczesnych dolarów! Bez Antoine'a koronacja Jerzego VI i Elżbiety II zapewne nie przebiegałaby tak bezproblemowo, ale on przecież osobiście czuwał nad pracą wynajętych do tych wydarzeń fryzjerów.

Nie wiadomo, co się stało z jego ogromnym majątkiem. W 1970 roku na stałe powrócił do Polski, do domu. Przyjaźnił się z sieradzkim proboszczem, księdzem Apolinarym Leśniewskim, w przeszłości duszpasterzem AK i Warszawy doby powstania. Regularnie bywał na mszach celebrowanych przez przyjaciela, pojawiając się w kościele w ekscentrycznych strojach i bardzo mocnym makijażu, co nigdy nie spotkało się z krytyką ze strony infułata czy też samych sieradzan. Władze PRL odznaczyły Cierplikowskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł zapomniany przez świat, chociaż to on właśnie dokonał rewolucji w życiu każdej kobiety<sup>27</sup>.

Kiliński, Cierplikowski, bracia Łopieńscy i wielu, wielu innych... Ale czy staliby się tymi, którymi się stali, gdyby nie pewien kołodziej, co był protoplastą polskiej dynastii? Po raz pierwszy wspomniął o nim Gall Anonim w swojej słynnej „Kronice”, twierdząc, że Piast był synem Chościska. Mieszkał on razem z dziećmi i żoną Rzepichą. W kulturze jest utożsamiany ze wszystkim, co bezpieczne, swojskie i rodzime, ale niekoniecznie dużo o nim wiemy, a w zasadzie nic. Mieszkał więc sobie Piast na kruszwickim podgrodziu, kiedy rządy sprawował król Popiel, ten, co go to potem myszy zjadły. Podły był to władca i za nic miał prawa przodków, honor czy swoich poddanych. Piast był kmieciem

27 Na podst. Orzeszyna M., *Antoine Cierplikowski. Król fryzjerów, fryzjer królów*, Znak Horyzont, Kraków 2015.

pracowitym. Wyróżniało go i dobre serce, i ogromna siła, lecz nigdy nie użył jej w niesłusznej sprawie. Żył tak sobie z Rzepichą całkiem udanie i zacnie, aż nadszedł dzień postrzyżyn syna.

Ta niezwykła uroczystość stanowiła bardzo ważny rytuał, bowiem potomek płci męskiej przechodził spod troskliwych skrzydeł matki pod opiekę ojca. Obrzędowi towarzyszyło nadanie imienia. Postrzyżyn dokonywał ojciec albo jakaś obca osoba spoza rodziny. W ten magiczny sposób nabywała prawa powinowactwa i wchodziła w swoiste pokrewieństwo z dzieckiem<sup>28</sup>. Kiedy tylko chłopcu obcięto włosy, stawał się pełnoprawnym członkiem społeczności. Nie ma się więc co dziwić, że na ten dzień ucztę wesolą przewidziano w domu Piasta, a i mały dumny chodził, choć zapewne zastanawiał się, co to się stanie, kiedy nie będzie już się mógł ukryć w fałdach matczynej spódnicy. Kołodziej wszystkich sąsiadów sprosił, by mogli wspólnie cieszyć się jego szczęściem, nie żałując ni chleba, ni miodu, ni piwa, ni mięsiwa czy łakoci wszelakich. Zasiadli goście za suto zastawionymi stołami i bawili się przy trzaskającym wesoło ogniu. Daleko po polach niesły się ich radosne okrzyki i piosenki śpiewane ochoczo... Późnym wieczorem, kiedy zmierzch już wpełzł na podwórzec i na chaty opadł miękkim płaszczem, dostrzegła Rzepicha dwóch wędrowców podążających od strony Kruszwicy. Ich buty pokrywał kurz wielu dróg, szaty długie i luźne dodawały dostojeństwa jako i kostury bogato rzeźbione, o które wędrowcy utrudzeni marszem mimowolnie się wspierali. Zaprosił ich Piast do stołu, piwa, wody i jadła podał. Ucieszyli się pielgrzymi, że tak wdzięczne przyjęcie mieli w gościnnych progach kołodzieja, bo zafrasowali się już okrutnie wcześniej i znikąd pomocy już nie widzieli. Otóż najpierw zapukali do bram kruszwickiej warowni, gdzie Popiel urzędował, ale nie dość, że ich precz wygnano, to jeszcze psami poszczuto. A tu noc już ciemna się robi, jakże dalej wędrować?

I nadszedł czas postrzyżyn małego Piastowicza. Usadzono go na krześle jak na tronie, w samym środku zgromadzenia, aż malec pokraśniał z radości i dumy. Ujął Piast pukiel włosów syna jak pszenica jasnych, obciął i do ognia wrzucił. A potem, w dowód szacunku do przybyłych, poprosił, by i wędrowcy po kosmyku obcięli i imię chłopczkowi nadali. Wówczas pielgrzymi uczynili to, o co ich Piast poprosił i rzekli: od dziś imię twoje będzie Ziemowit i przyniesie ci ono szczęście i chwałę. Po czym znak jakiś tajemny krzyż przypominający uczynili nad dzieckiem. Powrócili wszyscy do stołów dalej radować się i biesiadować. Przybysze musieli jednak dobrych ludzi opuścić i ruszyć dalej w świat. Dała im więc Rzepicha jadła w tobołki na drogę, lecz ci, zanim wyruszyli, przeprosili,

28 Leciejewicz L., *Mały słownik kultury dawnych Słowian*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1988, s. 303.

że żadnych darów dla chłopca ze sobą nie mają, ale właśnie przyszłość przepowiedzieć mu mogą. Będzie więc on panem mądrym, sprawiedliwym i rozsądnym, a potomkowie jego do najznamienitszych w całym świecie zaliczani będą. Zdziwił się Piast, bo jak to, Ziemowit księciem? Toż jest on synem ubogiego kołodzieja, nie króla, ale nic nie rzekł, jeno podziękował pięknie i w ukłonach. Pobłogosławili wędrowcy swym magicznym znakiem wszystkich biesiadników i odeszli. Próżno potem było szukać śladu po nich. Ale jakże wielkie zdziwienie było, gdy okazało się, że mimo że ucza trwała i trwała, ni jadła, ni napitku nie ubywało...

Zapomnieli wkrótce wszyscy o przepowiedni, bo i czasy nastały nielitościwe i nijak radości było znaleźć, bowiem okrucieństwo Popiela, a szczególnie jego żony Brunhildy, każdemu dawało się we znaki. Podstępna Niemka, do męża się przymilając, namówiła go do pozbycia się rady starszych, w której stryjowie króla zasiadali, służąc wsparciem i mądrym starszyny słowem. Co tam władca taki będzie słuchał staruchów, skoro sam może rządzić, a przecież ona, Brunhilda, chętnie mu w tym pomoże. Postanowił Popiel, że najpierw uda się do wróża, gdyż tak zwyczaj nakazuje, aby ten przepowiedział mu, co się wydarzy, jaki los bogowie zgotują. Długo siwowłosa wpatrywał się w Popiela, aż wreszcie odrzekł, że władza królewska silna jest, mocna kłamstwem i orężem, strzec się musi zaś myszy. Roześmiał się władca w głos, bo jak to mężowi przystoi maluszkich myszek się bać, co to mizeroty takie, że czubkiem buta rozdeptać można. Wcale go słowa mędrca nie zniechęciły i dalej trwał w postanowieniu, by niegodziwie stryjów się pozbyć. Obmyślił więc chytry plan, aby starców na kruszwicki zamek zaprosić i tam zgładzić zdradziecko. Jak tylko starszyna pojawiła się na dziedzińcu, dalej ich przepraszać zaczął, dalej im kazać i na ucztę zapraszać. Brunhilda, zimna dotąd i wyniosła wobec powinowatych męża, dziś ochoczo dzbany miodu między radę roznosiła, wcześniej zaprawiając je trucizną. Po chwili goście zaczęli wic się z bólu, ale najstarszy z nich zdążył jeszcze przed śmiercią przekląć ród Popiela i zgonu życzyć gorszego, niż ten, który wraz z żoną król stryjom przeznaczył. Trupy Brunhilda i jej nikczemny mąż w Gople potopili, zbrodnię przed światem ukrywając. Zdawało się, że wszystko jest należycie, tylko czasami Popiel słyszał echo głuchego dźwięku spadającej po schodach zamczyska korony. A że nic się więcej nie działo, to i sumienie jakoś spało. Nadszedł jednak czas kary. Któregoś wiosennego dnia w zamku kruszwickim niespodziewanie pojawiły się myszy, nawała myszy, całe chmary myszy tysiącami maszerujących od strony jeziora. Na nic zdała się walka z gryzoniami, co jedną usieczono, trzy następne się pojawiały. Ratował się Popiel ucieczką na wieżę, co na środku Gopła na wysepce stała. Zrozumiał, że to z ciał otrutych stryjów owe myszy się

wylęgły. Zamknął się z Brunhildą w wieży, wszystkie sztaby pozasuwał. Tu, powiedział, będziemy bezpieczni, nie sforsują myszy jeziora ani wrót niczym ze spiżu. Myszy jednak jezioro przepłynęły, ostrymi zębami sztaby i odrzwia żelazne poprzegryzały, z piskiem popędziły hordą za niegodziwcem i królową. Nie było już ucieczki. Migiem ich zjadły. I wtedy wszystko ustało. Myszy zniknęły, piski ucichły, a ciszę przesywał tylko głuchy dźwięk toczącej się po schodach wieży korony... To się ludzie ucieszyli! Tylko władcę trzeba było wybrać. Wybór padł na Ziemowita, syna Piasta kołodzieja, bo mądry był i sprawiedliwy. I tak oto dopełniła się przepowiednia dwóch wędrowców, co mu na postrzyżynach imię dali, wielką przyszłość wieszcząc.

*Gdzieś w drugiej połowie IX wieku, zapewne nie bez wpływu potężnego wówczas państwa wielkomorawskiego, doszło w Gnieźnie do obalenia panującej nad Polanami dynastii, której ostatnim przedstawicielem był Popiel. Tron po nim objął Siemowit, po nim Lestek i Siemomysł; rządy więc przypadają na drugą połowę IX i pierwszą X wieku<sup>29</sup>. W owym czasie państwo Polan, w którego skład wchodziły dzisiejsze Kujawy i Wielkopolska, poczęło się rozszerzać na dalsze ziemie, czyli ziemię łęczycko-sieradzką, Sandomierszczyznę czy Mazowsze. Może też, pod koniec panowania Siemomysła – również na ziemię lubuską. Trzeba jednak zaznaczyć, że ten ostatni łup terytorialny mocno już zahaczał o sferę interesów niemieckich. Ówczesnie nasi sąsiedzi rozciągali swe drapieżne macki na obszary położone między Łabą i Odrą. Syn Siemomysła, Mieszko, stanął zatem przed wyborem, który miał charakter przełomowy. Potrafił podjąć wyzwanie i *zdołał stawić czoło wszystkim przeciwnościom losu, to, że przez opanowanie Śląska, Pomorza, a może również Małopolski zbliżył obszar swego państwa do terytorium, które dziś nazywamy Polską, zawdzięczał nie tylko swym talentom, ale w dużej mierze organizacji stworzonej przez ojca, dziada i pradziada, którym należy się dobre miejsce w polskiej tradycji historycznej*<sup>30</sup>. I tak oto, dzięki dobroci serca poczciwego Piasta kołodzieja i przepowiedni dwóch aniołów, z mroków historii wyłonił się kraj wielce przez historię naznaczony, wielce doświadczony, sromotne kary za grzechy przodków ponoszący, ale nasz. Polska.*

29 Zientara B., *Siemowit, Lestek, Siemomysł*, w: Garlicki A., *Poczet królów i książąt polskich*, Czytelnik, Warszawa 1984, s. 15.

30 Ibidem, s. 15.





**Rzemiosło – kręgosłup miasta**

## Rzym Wschodu

Na wieży furgotał blaszany kogucik  
na drugiej – zegar nucił.  
Mur fal i chmur popękał  
w złote okienka:  
gwiazdy, lampy.

Lublin nad łąką przysiadł.  
Sam był –  
i cisza.

Dokoła  
pagórków koła,  
dymiąca czarnoziemiu połąć.

Mgły nad sadami czarnemi.  
znad łąki mgły.  
Zamknęły się oczy ziemi  
powiekami z mgły.

Józef Czechowicz, *Poemat o mieście Lublinie*<sup>31</sup>

---

<sup>31</sup> Czechowicz J., *Poemat o mieście Lublinie*, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Oficyna Wydawnicza Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie, Lublin 2007.

W przypadku założenia Rzymu stwierdzenie *ab urbe condita* jest datą dość łatwą do określenia, ponieważ wiemy, że Wieczne Miasto powstało 21 kwietnia 753 p.n.e. (także przynajmniej rzecz legenda), a czynu tego wiekopomnego dokonał Romulus, ten drugi z bliźniaków, a potem został tam królem. Wszystko jednakże miało swój początek jeszcze w czasach wojny trojańskiej, kiedy to Grecy przez dziesięć lat oblegali miasto i kiedy wreszcie udało im się wdrzeć do Troi, bogowie postanowili ocalić z powszechnej rzezi Eneasza. Wykorzystując zamieszanie, przedzierając się przez płonące ulice, przez zaułki, widząc wokół strach, zniszczenie i śmierć, Eneasza dzięki boskiej opiece umknął przykładowo przed greckim wymiarem sprawiedliwości. Umknął na tyle skutecznie, że po wielu perypetiach przybył wreszcie do Italii, a kurs miał równie długi, jak Odyseusz, tylko tułaczka trochę mniej czasu mu zajęła. Jego syn, Askaniusz, założył miasto Alba Longa, które stało się właściwą siedzibą dynastii Eneasza. Wielu władców tam panowało, a zastępy ich są równie długie, jak zastępy biblijnych patriarchów. Aż przyszedł czas na Prokasa, który miał dwóch synów: Numitora i Amuliusa. A że Numitor był starszy, to on zatem odziedziczył berło po ojcu. Jednak, jak to między braćmi bywa, młodszy starszemu pozazdrościł i stracił Numitora z tronu. Acz zdawał sobie sprawę z tego, że skoro sam dokonał zamachu stanu, i on może skończyć w równie sympatyczny sposób, dlatego myśląc o własnych dzieciach, swoją bratanicę, córkę Numitora, postanowił uczynić westalką, co zresztą mu się udało. Będąc służką Westy, bogini domowego ogniska, dziewczę było skazane na 30 lat służby zakonnej, składając śluby dziewictwa. I stała się oto rzecz niespodziewana, bowiem Rea Sylwia, owa westalka, powiła bliźnięta, Romulusa i Remusa. Cud był to, gdyż cała sprawa stała się za zrządzeniem bogów. Ojcem dzieci był Mars, w co wszyscy uwierzyli, oprócz stryja dziewczyny. Kazał więc biedaczkę zamorzyć głodem, a bliźniąt pozbyć się w sposób okrutny – utopić je w Tybrze.

Był to czas, kiedy Tyber akurat wystąpił z brzegów. Królewscy słudzy ułożyli chłopców w koszyku i puścili z prądem rzeki, a woda zaniósła kosz aż pod Palatyn, gdzie rosło sobie drzewo figowe. Kosz zahaczył o wystający pień i tak został na pastwę losu, kiedy to rzeka powróciła do swego łóżyska. Maluchy były głodne i płakały, a ich płacz usłyszała wilczyca, która w swym matczynym odruchu przybiegła je nakarmić. Codziennie zjawiała się o tej samej porze, żeby podzielić się mlekiem z chłopcami, ale miała też własne dzieci, więc nie zawsze dla biedaków wystarczało pokarmu. Wówczas przylatywał dzięcioł, ptak poświęcony Marsowi, i rzucał im leśne owoce, żeby z głodu nie pomarli.

Pewnego dnia dziwy owe zauważył królewski pasterz, Faustulus. Zaczaił się w krzakach, aby wilczyca spokojnie odeszła, a dzięcioł spokojnie odleciał, i poszedł sprawdzić,

kto to tam leży. Jak zobaczył śliczne bliźnięta, postanowił je przygarnąć, gdyż z żoną jakoś się dzieci doczekać nie mogli. Rośli więc królewicze na tęgich chwatach, uczestnicząc w łowach i zabawach. Któregoś dnia wywiązała się bójka pomiędzy ludźmi Amuliusa i Numitora i chłopcy stanęli po stronie tego pierwszego. Zwada skończyła się porwaniem Remusa, którego poprowadzono przed oblicze Numitora. Stary, zdetronizowany król, zaczął pytać młodzieńca o jego rodzinę, o ojca, o matkę. Wówczas Remus opowiedział to, co słyszał od Faustulusa, opowiedział o koszyku, wilczycy, dzięciole i przygarnięciu przez pasterza i jego żonę. Poznał Numitor w Remusie swojego wnuka, ucieszył się, a następnie kazał potajemnie sprowadzić Romulusa. Bracia wraz z dziadkiem obmyślili plan obalenia niecnego władcy, skazując uzurpatora na śmierć i przywracając na tron prawowitego króla. Nie chcieli jednak zostać w Alba Longa, mieli przecież marzenia, a marzyli o założeniu własnego miasta. Miejscem, które wybrali na jego zbudowanie, były okolice drzewa figowego, gdzie znalazł braci Faustulus. Oczywiście zaraz zaczęli się kłócić, kto nazwie nową stolicę. Ponieważ nie mogli się pogodzić, postanowili odwołać się do woli bogów. Zasiedli zatem do nocnego czuwania – Romulus na Kapitolu, a Remus na Awentynie. Najpierw Remus wypatrzył sześć nadlatujących sępów, ale jeszcze nie zdążył dać znać bratu, kiedy to Romulus zauważył ich dwanaście. Uznano zatem, że bogowie na założyciela miasta wybrali Romulusa. Kazał on więc przynieść pług, zaprzął do niego parę wołów i zorał przestrzeń dookoła Palatynu, która wyznaczyła granice Romy. Rzymu.

Otaczały go Błota Pontyjskie, oddzielając Wieczne Miasto od Morza Tyrreńskiego. Do Rzymu wiodła przez nie Via Appia. Roma rozbudowywała się, rozrastała, aż pokryła płaszczem zabudowań siedem wzgórz – Septimontium – Awentyn, Palatyn, Kwirynał, Wiminał, Celius, Eskwilin i Kapitol. Potem rozciągnęła na Watykan, Ianiculum i Pincio. Ale ten starożytny Rzym rozsiadł się na siedmiu wzgórzach, a w ślad za nim – i dawny Lublin.

Rzym miał swój Tyber, my mamy Bystrycę, Rzym otaczały Błota Pontyjskie, a Lublin usadowił się wśród podmokłych dolin, gdzie trzy rzeki – Bystrzyca, Czerniejówka i Czechówka, jak ramionami obejmują miasto. I wzgórz tych starych też jest siedem, bo mamy Wzgórze Zamkowe, Wzgórze Staromiejskie, Górę Dominikańską, Grodzisko ze starym kirkutem, Czwartek, Białkowską Górę i Żmigród. Miasto rosło i piękniało, a tak opisywał je Sebastian Klonowic w „Philtronie”:

(...) *Lublin to miasto darami nieba darzone obficie.  
Miasto i mury szczególną się cieszą Boga opieką.  
Słońce promieniami Rodos przewyższa, żyznością Gargarę,  
Kraje Feaków i gaje Alkinoosa sadami.  
Dolin zroszonych pięknnością przewyższa dolinę Peneju,  
Miód zaś tak jak hyblejski jest słodszy nad miody Attyki.  
Parki twoje piękniejsze nad świata całe ogrody,  
Wobec twoich trawników ustąpią trawy znad Kajstru,  
Chóry ptaszęce piękniejsze niż nad brzegami Penejdu,  
Żyzność twej ziemi przewyższa sławne Cypru krainy.  
Ni Tyryjczycy, ni Korynt, z dwóch stron oblany morzami,  
Handlu nie miały takiego, ni ról tak żyznych Asyria.  
Wody piękniejsze niż fale Tybru, niż Idy potoki,  
Woły wypasz roślejsze niż sławne błonia Epiru.  
Miasto to godne być Boga mieszkaniem i królów siedzibą.  
Ludne, bogate, znacznych już wielu mężów wydało,  
Wiele działało w pokoju, sławne zawarło przymierza<sup>32</sup>.*

32 Michalski W., *Pięć wieków poezji o Lublinie. Antologia*, Związek Literatów Polskich Oddział w Lublinie, Lublin 2002, s. 28.

## Czas w przestrzeni i przestrzeń w czasie

Lublin wyrósł na skraju Wyżyny Lubelskiej, na obszarze, na którym od czasu neolitu nieprzerwanie mieszkał człowiek<sup>33</sup>. Geograficznie to ośrodek znajdujący się w strefie granicznej Niziny Lubartowskiej i Wyżyny Lubelskiej, o bardzo dawnych tradycjach osadniczych. Otóż Płyta Czarnomorska, pokryta urodzajnym lessem, osiąga tu swój najdalszy zasięg ku północy i zachodowi. Przy drodze związanej z jej północną krawędzią wyrosło największe, najpiękniejsze miasto wyżyny – Lublin.

Jest on odsunięty od krawędzi wyżyny około 10 km na południe, co było spowodowane wykształceniem się naturalnego punktu obronnego u zbiegu Bystrzycy i Czechówki, gdzie w wyniku działań natury powstało dość odosobnione wzgórze. Kolejnym argumentem za powstaniem miasta w tym miejscu właśnie jest istnienie Wyniosłości Giełczewskiej, formy terenowej, która zdecydowanie utrudnia przemieszczanie się w kierunku równoleżnikowym. Północna droga wyżyny mogła zatem biec z Włodzimierza Wołyńskiego na Chełm, albo też przez Hrubieszów na Krasnystaw, jednakże obie te odnogi nie mogły inaczej, jak zejść się właśnie w Lublinie, bowiem Wyniosłość Giełczewska swoją majestatycznością tamowała drogę wprost na zachód. Jednakże to właśnie owo oddalenie od północnej krawędzi Wyżyny Lubelskiej u zbiegu dwóch rzek było najważniejszym elementem powstania miasta. Dostępne nam współcześnie źródła wyraźnie mówią, że przed XII wiekiem istniała na tym terenie osada targowa na Czwartku. Lublin stanowił dogodny geograficznie punkt styku dróg, niezależnych od sieci rzecznych, wiodących z Wyniosłości Giełczewskiej, z Płaskowyzu Urzędowskiego i Płaskowyzu Nałęczowskiego. Z tego też powodu nasze miasto zostało zaliczone do grona miast granicznych, gdyż kil-

33 Wojciechowski S., *Położenie i rozwój przestrzenny miasta*, [w:] Dobrzański J., Kłoczowski J., Mazurkiewicz J., Mencil T., Myśliński K., Ćwik W. (red), *Dzieje Lublina. Próba syntezy, t. 1*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1965, s. 14.



kukilometrowe odchylenia od granic fizycznych spotykamy również na brzegach gór, w miejscach bardziej dogodnych komunikacyjnie<sup>34</sup>.

Najdawniejszy rodzaj źródeł do badań dziejów człowieka stanowią przedmioty materialne, teksty pisane natomiast są znacznie młodsze, bowiem pismo nie było domeną każdej kultury, jaka przewinęła się przez historię ludzkości. Człowiek nie zawsze pozostawiał po sobie litery, ale dla odmiany zawsze pozostawiał po sobie ślady swojej bytności na danym terenie, które, w postaci artefaktów, są obecnie kluczem do zagadek przeszłości. Niezbite dowody zamieszkiwania przez naszych przaprzodków terenów Lublina pochodzą z neolitu, młodszej epoki kamienia, dowodzą, że embrionalna faza miasta miała swoje początki w mrokach niepamięci. Na pewno osiedliły się tu plemiona kultury pucharów lejkowatych, zwanej też niekiedy kulturą czasz lejkowatych, należącej do największej wówczas grupy plemion rolniczych. Ci pramieszkańcy na obszarze Lubelszczyzny założyli w II połowie III tysiąclecia p.n.e. ludne osady, budując na terenie Lublina wielkie grobowce, znane również z wykopalisk archeologicznych, jakie przeprowadzono na Kujawach. Odkrycia lubelskie są bardzo cenne chociażby z tego tytułu, że stanowią pierwszy ślad występowania budowli megalitycznych z wielkimi nasypami ziemnymi tak daleko na południu. Plemiona kultury pucharów lejkowatych na pewno żyły głównie z uprawy roli, hodowli, prowadząc osiadły tryb życia. Nie wykluczało to jednakże różnych praktyk tajemnych, guseł i wierzeń, dla nas, współczesnych, będących czymś zupełnie zaskakującym i niezrozumiałym, a wręcz chwilami odstręczającym. Nie są wcale rzadkie ślady wskazujące na praktyki kanibalistyczne (no cóż), masakrowanie zmarłych, chociaż dziś pewnie powiedzielibyśmy – bezczeszczenie zwłok... Możemy się także pokusić o stwierdzenie, że i krwawe ofiary ze współziomków również im się zdarzały... Niestety, nie są to luźne dywagacje, bowiem dowodów na istnienie powyższych patologicznych i barbarzyńskich z naszego punktu widzenia praktyk dostarczają badania archeologiczne.

Koniec III tysiąclecia p.n.e. to dalsze ślady dłuższego pobytu kolejnych plemion neolitycznych w Lublinie, który, jak wiadomo, Lublinem jeszcze nie był i daleka była droga ku temu. Na granicy Sławinka i Czechowa, nieopodal wielkich grobowców, odkryto pozostałości po małej osadzie, a w okolicy kościoła św. Mikołaja na Czwartku – cmentarzysko. Nie, nie, kołków osinowych nie wykopano, ale same znaleziska są nie mniej

34 Janiszewski M., *Geograficzne warunki powstawania miast polskich*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1991, s. 113.

widowiskowe, bowiem dostarczają nam wiedzy o kulturze tak zwanych amfor kulistych. Kulturalny ten nasz Lublin w przeszłości był szalenie, nieprawdaż?

Plemiona, które wówczas tu mieszkaly, poświęcały się raczej hodowli, mniej rolnictwu, prowadząc dzięki temu bardziej ruchliwy tryb życia. Interesujące są dla badaczy szczególnie grobowce, jakie po sobie pozostawili, bowiem nie ma tu żadnych kamiennych budowli w stylu megalitów, a jedynie groby wkopane w ziemię. Na Lubelszczyźnie, uogólniając, przeważają cmentarzyska z kamiennymi grobami, stąd tym bardziej ciekawe są te czwartkowskie. W okresie od około 2000 do 1800 roku p.n.e. osiadły tu plemiona tzw. ceramiki sznurkowej, których śladów bytności doszukano się na Rurach, Czechowie i w okolicy dworca kolejowego. Następną wielką epoką była epoka brązu (1800–800 r. p.n.e.), ale niewiele artefaktów z tego czasu zostało odkrytych, aczkolwiek wyjątek stanowi tu pewien kurhan, prawdopodobnie prasłowiańskiej kultury trzcienieckiej z lat około 1400–1200 p.n.e. Ślady osadnictwa (między innymi w pobliżu ulicy Kalinowszczyzna) dowodzą jedynie, że teren Lublina był w owym czasie po prostu zamieszkaany. Nie ma również zbyt dużo informacji o ludziach, którzy zasiedlali te obszary pod koniec I tysiąclecia przed Chrystusem. Odkryto na Czechowie osady z I połowy I tysiąclecia n.e., a znalezione monety rzymskie niewątpliwie są dowodem, że i w innych dzielnicach, chociażby niedaleko Ogrodu Saskiego czy ul. Narutowicza, istniało osadnictwo, zresztą nieprzerwanie aż do czasów nam już współczesnych.

Na początku III wieku na ziemiach polskich nastąpiły znaczne zmiany kulturowe i migracyjne. Z Pomorza wyruszyły liczne grupy, które identyfikuje się z Gotami, zajmując coraz większe połacie ziem: Mazowsze (na wschód od Wisły), Podlasie oraz Lubelszczyznę. Ta ludność, która na Pomorzu stworzyła kulturę wielbarską, stopniowo przesuwała się na Wołyń i Podole, aż do Morza Czarnego. Grupa masłomęcka, stanowiąca enklawę kultury wielbarskiej na obszarze Kotliny Hrubieszowskiej, posiadała szczególnie żywe kontakty z Gotami z terenów Europy Południowo-Wschodniej. W tym czasie gospodarka osiągnęła stabilizację, rozwijając się w oparciu o hodowlę i rolnictwo. Zastosowanie żelaznych części radła pozwoliło na rozprzestrzenianie się rolnictwa na tereny o wiele trudniejsze w uprawie. Znano już wówczas koło garncarskie i umiejętność wytopu żelaza w piecach hutniczych. Lata młodszej oraz późniejszej części okresu rzymskiego (III i IV w.) były czasem dobrobytu ekonomicznego, niezakłócanego przez większe migracje<sup>35</sup>. Czas zmian miał dopiero nadejść.

35 Mączyńska M., *Ziemia w dorzeczu Odry i Wisły w III i IV w. po Chr.*, [w:] Bursche A., Kowalski K., Rogalski B. (red.), *Barbarzyńskie tsunami. Okres Wędrówek Ludów w dorzeczu Odry i Wisły*, Uniwersytet Warszawski,

I nadszedł, a za jego początek uznaje się tradycyjnie rok 375. Okres wędrówek ludów, datowany na mniej więcej od końca IV do początków VI wieku n.e., posiada już mocne oparcie w źródłach pisanych, zwłaszcza tych, jakie dotyczą południowej i zachodniej Europy. Wówczas to wielu historyków chylącego się ku upadkowi Cesarstwa Rzymskiego z przerażeniem odnotowało nawałę barbarzyńców, którzy nieustępliwie naruszali święte granice, siejąc spustoszenie i w finale przynosząc kres Cesarstwu Zachodniemu, a jednocześnie stając się zalążkiem nowego porządku w Europie. Warto wspomnieć, że jeszcze przed wybuchem I wojny światowej na terenie cmentarza przy ul. Lipowej odkryto grób, pochodzący z wczesnego okresu wędrówki ludów, prawdopodobnie z I połowy V w. n.e.<sup>36</sup> W tymże grobie znajdowało się wyjątkowo cenne znalezisko – brązowa sprzączka do pasa, o owalnej ramie. Przypuszczalnie wchodziła w skład grobu inhumacyjnego. Do Muzeum Archeologicznego Erazma Majewskiego została przekazana w 1908 roku, natomiast naczynia z grobu znajdują się w zbiorach Muzeum Lubelskiego. Kolejnym wyjątkowym artefaktem jest okucie końca pasa, które zostało wykopane podczas prac na terenie Zemborzyc-Dąbrowy, na stanowisku wielokulturowym. Wyjątkowość tego znaleziska polega na tym, że jest jednym z niewielu śladów, jakie dotąd odkryto, które potwierdzają kontakty Słowian z ziem południowo-wschodniej Polski z mieszkańcami kaganatu awarskiego. Okucie wykonane jest z brązu metodą odlewania, zdobione stylizowanymi motywami roślinnymi. Obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum Lubelskiego.

Dzięki temu możemy śmiało sądzić, że już u zarania dziejów Lublin był kolebką wielu kultur, wyróżniających się wówczas chociażby różnorodnymi obrzędami pogrzebowymi, by stać się potem ośrodkiem trzech kultur, tak do siebie podobnych, a jednocześnie tak bardzo odmiennych, które stanowią nieodłączną część jego dziejów. Nieprzerwany rozwój Lublina został zapoczątkowany w VII stuleciu naszej ery, w czasie, kiedy znikła pierwotna wspólnota, a zaczynała się wykształcać zupełnie nowa forma, jaką był feudalizm.

Polskie miasta wczesnego średniowiecza można postrzegać jako osady specjalnego typu. Powstawały przy ważnych grodach, które pełniły istotną funkcję na płaszczyźnie administracji i obronności. Zamieszkiwała w nich przede wszystkim ludność rzemieślnicza, zajmująca się także handlem, co w zupełności zaspokajało potrzeby mieszkańców. Obwarowane podgrodzia uzupełniały osady, a w czasach wojen istnienie grodu wręcz

Muzeum Narodowe w Szczecinie, Warszawa–Szczecin 2017, s. 39.

36 Antoniewicz J., *Brązowa klamra do pasa z okresu wędrówek ludów. Sprawozdania PMA*, t. II, Książka i Wiedza, Warszawa 1949, s. 101-104.

od nich zależało. Najstarsze osiedla miejskie powstały już w IX i X wieku, kiedy to na terenie Polski kształtowały się zręby późniejszej państwowości. W okresie panowania pierwszych Piastów – Mieszka I i Bolesława Chrobrego, władza, którą reprezentowali, nie dążyła do tego, aby przy wzgórzu czwartkowym zbudować duży ośrodek obronny wraz z podgrodziami, przekształcając go następnie we wcale udany punkt administracyjny i graniczny z Rusią Kijowską. Otóż w połowie X stulecia na ziemiach na wschód od Lublina, pomiędzy Wieprzem i Bugiem, istniał szereg dość silnych grodów, zapewniających bezpieczeństwo. Na pierwszy plan wysuwał się wśród nich Czerwień nad Huczwą, dziś będący już tylko wspomnieniem dawnej świetności – grodziskiem we wsi Czermno niedaleko Hrubieszowa. Następnie był to Wołyń nad Bugiem (obecnie grodzisko w Gródku Nadbużańskim), o czym w swych kronikach wspominał Jan Długosz. Grody Czerwieńskie, dopóki znajdowały się w strefie wpływów Piastów, hamowały niejako potrzeby budowy kolejnego grodu i tworzenia osobnej kasztelanii<sup>37</sup>. Przyjmuje się, że najstarsze formy osadnictwa w Lublinie były osiedlami wiejskimi, a w zasadzie wiejskimi osadami podgrozdowymi. Osada na Czwartku istniała już w VI wieku, zatem na długo przed powstaniem samego grodu. Najstarsze formy osadnicze można podzielić na trzy fazy. Charakteryzują się one rozwojem form garncarskich, ale nie zmianą typu budownictwa. W odkrytych dotąd chatach szczególną uwagę zwraca przemyślność naszych przodków w kwestii ogrzewania. Mamy tu do czynienia z piecami kopułkowymi, które konstruowano z kamieni i gliny, albo też drążono przy glinianej podłodze, wykorzystując plastyczność materiału, jakim jest less. Żywot swój ten zaczyn Lublina zakończył w X wieku, kiedy to Piastowie przejęli obszar pomiędzy Wisłą a Wieprzem pod swoje opiekuńcze skrzydła. W okresie wczesnopiastowskim popularną formę skupisk ludzkich stanowiły osady targowe. Używanie w niej mieli nie tylko sami mieszkańcy, ale i okoliczni rolnicy, kiedy to w ramach wymiany handlowej pozyskiwali wyroby rzemieślnicze, oddając w zamian płody rolne. Targi, jakie umiejscowione były z dala od grodów, nie były obwarowane, bowiem wydarzenia gospodarcze wymagały przestrzeni niczym niemalże nieograniczonej. Wydaje się, że taką osadą targową był i nasz Czwartek, o czym może przesądzać sama nazwa. Nie było to miejsce wspaniałe, powalające wielkością, raczej rzecz by można, skromne. Intensywna zabudowa różniła się od pierwotnej, zapewne składając się ze zrębowych budynków naziemnych. Zabudowa była dość gęsta, ale miasta na ziemiach lessowych rządziły się zupełnie innymi prawami niż zwarte kompleksy,

37 Myśliński K., *Średniowiecze. W dobie tworzenia się państwa polskiego*, [w:] Zins H. (red.), *Historia Lublina w zarysie 1317–1968*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1972, s. 14.

jakie występują chociażby w Wielkopolsce. Lublin to miasto, które wyrosło z kilku osad, mniejszych lub większych, rozproszonych po okolicznych wzgórzach, gdzie brylował przez jakiś czas Czwartek.

A zatem, pamiętajmy, że pierwszy zespół osad o charakterze otwartym powstał nad dolinami naszych trzech jakże uroczych rzek: Bystrzyca, Czechówka i Czerniejówka. Funkcjonował on sobie dwa stulecia, w VI–VII wieku po Chrystusie, w czasach najwcześniejszego osadnictwa słowiańskiego na Wyżynie Lubelskiej. Następnie przyszła kolej na fazę tworzenia się grodu jako ośrodka plemiennego. Być może były to plemiona Słowian, może Łędzian, w każdym razie na Wzgórzu Staromiejskim od VIII do X wieku istniał gród, posiadający naturalne umocnienia obronne w postaci Żmigrodu. W X stuleciu ośrodek lubelski został ochoczo wcielony pod panowanie księcia gnieźnieńskiego, a wówczas to wzniesiono nowy gród, na Grodzisku. Następne wieki (XI i XII) przyniosły ze sobą kolejne arcyciekawe rozwiązania, bowiem w rzeczonym czasie powstał jeszcze jeden gród, tym razem na Wzgórzu Zamkowym i rozwijał się targ na Czwartku, a wraz z tym rozwojem ustanowiono pierwszą parafię z kościołem św. Mikołaja.

## Świt miasta – okres przedlokacyjny

W zasadzie w okresie prenatalnym polskiej państwowości, jakiś tysiąc lat temu z lekkim okładem, prawie wszyscy mieszkańcy terenów późniejszej Polski zajmowali się rolnictwem. Uprawiali proso albo pszenicę, hodowali świnie albo krowy, a czasami nawet konie. Sielsko drzewiej bywało. Do miast nie jeździli, bowiem coś takiego jak miasta po prostu nie istniało, a takie molochy w stylu Gniezna, Poznania i Krakowa były zaledwie zwykłymi grodami obronnymi. Chłopi na swój własny użytek produkowali samodzielnie niemal wszystkie wyroby o charakterze rzemieślniczym. Na ówczesnym etapie społecznym i cywilizacyjnym rzemiosło było nierozdzielnie związane z rolnictwem. Taki rolnik doby IX czy X stulecia mógł sobie sam upleść buty, utkać płótno czy też skroić sukmanę lub ciżmy. Sam także warzył piwo, piekł chleb albo lepił garnki. Rzemiosło samo w sobie nie tyle nie istniało, co nie stanowiło odrębnej, wyspecjalizowanej wyłącznie w wytwórstwie dziedziny. Odnośnie tych czasów pradawnych możemy mówić raczej o przemyśle domowym, a zatem o przetwarzaniu dostępnych surowców w obrębie tej samej rodziny, która je zdobyła, i na jej własny użytek. Ale czasy się zmieniały, gdyż w miarę postępu ludzkość coraz bardziej zwracała uwagę na jakość przedmiotów codziennego użytku. Poza tym pojawiła się tak zwana specjalizacja, a rzeczonemu rolnikowi coraz bardziej zaczynało doskwierać poświęcanie się innym zajęciom, takim chociażby jak szycie butów. O wiele praktyczniejszym i lepszym rozwiązaniem było to, aby owym szyciem, czyli uprawianiem rzemiosła, zajął się ktoś, dla kogo będzie ono stanowić zawód i główne zajęcie.

Patrząc przez pryzmat dziejów ludzkości, ten okres wyodrębnienia się rzemiosła stanowił moment przełomowy na różnych obszarach, w tym ekonomicznym, technologicznym i stosunków społecznych. Nie był to jednakże podział, jaki nastąpił raptownie, nie od razu wyłonione rzemiosło było podobne do nam współczesnego. Potrzeba było na ten proces setek lat, a następował on w każdym kraju w nieco odmiennych formach i w róż-

nym czasie. Z biegiem lat powstały w Polsce tak zwane wsie służebne, gdzie mieszkańcy zajmowali się jedną bądź też kilkoma zblizonymi do siebie gałęziami produkcji. Te osady mogły stanowić część jakiejś większej całości – włości, które miały, rzecz oczywista, swojego właściciela i które pełniąc określoną rolę gospodarczą, dostarczały chociażby drewnianych naczyń, tarcz, srebrnych wyrobów czy beczek. W wielu wypadkach posiadaczem owych włości był król albo panujący książę, względnie jaki bogaty pan. Ciekawe jest to, że do dziś te ślady rzemiosła zachowały się w nazwach osiedli ludzkich, np. mamy Grotniki, Rudniki, Bednary, Winiary, Szczytniki<sup>38</sup>, które swoją historią sięgają daleko poza XII stulecie. Nie można jednakże absolutnie sądzić, że do XII wieku na ziemiach polskich rzemieślnicy wykonywali swoje usługi jedynie we wsiach służebnych. Istnieli oni również w powstających miastach. Osiedlali się w wygodnych dla swojej działalności punktach handlowych, blisko ośrodków władzy, produkując na rzecz miejscowych i przyjezdnych kupców, nie będąc tak zależnymi od woli feudała, jak rzemieślnicy wiejscy.

Naturalną konsekwencją ewolucji jest nieustanny rozwój gatunku ludzkiego. Społeczeństwo zatem, wciąż się rozwijając, potrzebowało coraz to więcej i coraz to nowych wyrobów przemysłowych. Wymuszało to od rzemieślników specjalistów, aby pracowali nie tylko więcej, ale i lepiej. Cóż, na wsi, wbrew pozorom, było o surowce o wiele trudniej, a i nadzór samego feudała, nierzadko kapryśnego w autorytarnych decyzjach, nie rokował wielkich nadziei. Brakowało nowinek technologicznych i technicznych, co było skutkiem odosobnienia od pozostałych producentów. Sytuacja była naprawdę nie do pozazdroszczenia, ale że brać rzemieślnicza to lud wielce przemyślny, potrafił poradzić sobie i w takich ekstremalnych warunkach. Niektórzy po prostu przenosili się do ośrodków miejskich i oddawali pod opiekę panującego, inni nie mieli tak komfortowych warunków i ratowali się ucieczką, co było domeną co bardziej przedsiębiorczych. Mizerny dowcip polegał na tym, że aż do schyłku feudalizmu w Polsce pan mógł sprzedać albo (w najlepszym wypadku) zastawić takiego swojego kowala czy kołodzieja, który już wówczas zaliczał się do ludności zajmującej się produkcją. Ale w odróżnieniu od zwykłego rolnika ów kołodziej czy kowal nie był człowiekiem, jakiego można było łatwo złamać poprzez odebranie mu ziemi, gdyż miał już fach w ręku i umiał pracować inaczej. Miasta wabiły, przyciągały jak magnes, dając równocześnie szansę na lepsze życie.

Stare Miasto najlepiej podziwiać z punktu widokowego przy kościele pw. św. Mikołaja na Czwartku. Obronę zewsząd zapewniały strome skarpy, opadające ku średniowiecznym bagnom, dając tym samym niemalże całkowitą izolację grodu. Jak pisze Andrzej

38 Szczytnik – rzemieślnik, który zajmował się wyrabianiem tarcz.

Rozwałka, gdy spojrzy się z góry na staromiejską zabudowę, od razu można zauważyć odstępstwa od charakterystycznej geometrycznej zabudowy miast lokacyjnych<sup>39</sup>. Rynek jest osadzony na przestrzeni o kształcie trapezu, a wychodzące zeń ulice wcale nie są do niego prostopadłe, wijąc się wśród zabudowy. Rybna–Rynek–Złota albo Szambelańska–Królewska lub Lubartowska–Królewska są łukowato wygięte, wprowadzając orzeźwiający motyw w sztywne dotąd ramy architektoniczne średniowiecznej modły. Doskonale opisał to Paweł Kościński:

*Matko moja! Czy pamiętasz  
Gród spiętrzony z boku wzgórza,  
Otoczony rzeki wstęgą,  
Na nizinie u podnóża?  
Czy pamiętasz te zaułki  
Takie ciasne, takie kręte,  
Te akacje nad figurą,  
Przy katedrze tuż rozpięte?*<sup>40</sup>

Za czasów Kazimierza Odnowiciela Kozi Gród przeistoczył się w ważny punkt administracji państwowej (kasztelania) i kościelnej, kiedy to powstał archidiakoniat. Niestety, tak to często bywa, że życie nie jest usłane różami, a obok wzlotów występują też upadki. Dotyczy ta zasada również rozwoju osadnictwa – wytyczone przez księcia kierunki polityki spowodowały, że Lublin stał się łakomym kąskiem dla naszych wschodnich sąsiadów. Przyjmuje się, że właśnie w tym okresie nastąpiła ostateczna transllokacja grodu na Wzgórze Zamkowe. Od tego momentu miało ono wraz ze Wzgórzem Staromiejskim stanowić centrum lubelskiego mikrokosmosu pośród tych wszystkich bagien i wąwozów. W przestrzeni dzisiejszego Starego Miasta wyodrębniło się nowe osiedle i archidiakoniat, z czasem zbudowano kościół pw. św. Michała Archanioła. Ale wcale nie był to koniec osadniczych zasadzek. Trudno jest np. określić dziś, gdzie tak naprawdę ten pierwotny dwór archidiakona się znajdował. Od południowej strony kościoła raczej nie, bo tam był cmentarz miejski, od zachodu – plac targowy, od wschodu – krawędź wzgórza i obronne umocnienia. Wychodzi na to, że archidiakon mieszkał sobie na północ od

39 Rozwałka A., *Przemieszczenia lubelskiego grodu w czasach średniowiecza i jego związki z powstaniem miasta*, [w:] Radzik T., Witusik A. A. (red.), *Lublin w dziejach i kulturze Polski*, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Lublinie, Krajowa Agencja Wydawnicza – Lublin Sp. z o.o., Lublin 1997, s. 7.

40 Kościński P., *Obrazki lubelskie*, [w:] Michalski W., op. cit., s. 62.





kolegiaty, jeśli już mamy iść tropem logicznego myślenia i wiedzy geograficznej. I jako plebania budynek ten istniał do końca XV stulecia. W czasach archidiakonatu do wzgórza zamkowego biegł trakt ku kasztelanii, obecnie będący ulicą Grodzką. Koło kościoła rozszerzał się on w plac. Osada archidiakońska kumulowała szlaki handlowe, które przebiegły w kierunku Krakowa przez Bełżyce, Urzędów, Zawichost i Sandomierz, albo do Radomia przez Wąwolnicę, Kazimierz Dolny (Wietrzną Górę) i Wojszyn. Przeniesienie parafii z Czwartku sprawiło, że osada zaczęła nabierać cech ośrodka miejskiego i dynamicznie się rozwijać.

Wiadomo, że lokacja miasta nastąpiła na mocy aktu wydanego w 1317 roku przez Władysława Łokietka. Ale czy rzeczywiście nic wcześniej się w tym temacie nie działo? W Roczniku Traski (lub Trzaski) jest wzmianka, która brzmi tak: *Eodem anno inierunt milites Cracovienses et Sandomirenses Russiam, videlicet Lublinum Novum quod Rutheni occupaverunt pluribus annis expugnauerunt, deinde in paucis cum multitudine Ruthenorum et Lithuanorum ac Tartarorum pungaverunt et Domino cooperante de omnibus triumphaverunt. Postea reversi ipsum castrum optinuerunt.* Z tego opisu jasno wynika, że Lublin w 1302 roku został odzyskany przez krakowskie i sandomierskie rycerstwo z rąk ruskich. Najpierw zdobyto nowe miasto a po pokonaniu przeciwnika poza umocnieniami obronnymi, nastąpił powrót i zajęcie grodu. Ciekawe jest to, w opozycji do jakiej osady autor mówi o *Lublinum Novum*? Pojawienie się i usytuowanie kościoła, a potem i klasztoru dominikańskiego wskazują, że umieszczenie tych budowli było wynikiem jakiegoś logistycznego, architektonicznego planu. Istnieją przesłanki, że dominikanie pojawili się w Lublinie już w latach sześćdziesiątych XIII wieku, co wbrew pozorom jest bardzo istotne. Zbliżamy się bowiem do sugestii, że miasto było rozplanowane urbanistycznie jeszcze przed 1317 rokiem, co oznaczałoby, że istniała wcześniejsza lokacja oparta na prawie czynszowym! Jeszcze w pochodzących z XVIII stulecia ilustracjach można znaleźć odwołania do jakiegoś bliżej nieokreślonego, ale zdecydowanie wcześniejszego dokumentu lokacyjnego. W ogóle dowcip jest nielichy z tym aktem lokacyjnym Lublina, gdyż, na dobrą sprawę, jest to kontrakt. Tak, umowa sprzedaży wójtostwa, określająca przede wszystkim kompetencje wójta w zakresie sprawowania władzy sądowniczej oraz jego uposażenie. Kwestie, które są dla nas tak ważne, mają tu raczej znaczenie drugorzędne, a dotyczą nadania ziemi, zwolnienia z płacenia czynszów czy posługiwania się prawem magdeburskim. W. Muller zwraca uwagę, że na podstawie aktu z 1317 roku można mniemać, iż mieszkańcy Lublina płacili już wcześniej czynsz, co oznacza, że sama lokacja musiała nastąpić zdecydowanie przed tą datą! Ten wiekopomny

fakt miał wydarzyć się między 1253 a 1259 rokiem, kiedy to Bolesław Wstydlawy, ówczesny pan na dzielnicy senioralnej, hojną ręką dokonał serii lokacji miast małopolskich.

Cóż, pomimo to brakuje jednoznacznego potwierdzenia tej tezy, stąd też i oponenci się znaleźli. Założenie to mocno krytykuje K. Myśliński, zarzucając, że przeciwko takiej lokacji przemawia brak chociażby porządku architektonicznego, właściwego takim posunięciom. Ale przecież osada archidiakońska posiada cechy urbanistyczne właściwe osadom przedlokacyjnym, na obszarze otaczającym kościół i cmentarz. Nowy układ przestrzenny z pewnością zakładał zintegrowanie całości osadnictwa na wzgórzu, gdyż, w sumie, na inne rozwiązania nie pozwalało ani jego ukształtowanie, ani też skromność jego powierzchnia.

Wzmianka z Rocznika Traski zwraca również uwagę na bardzo ważną rzecz – w Lublinie w 1302 roku istniały umocnienia obronne, z którymi następnie pokryły się mury i fosy z okresu lokacyjnego. Lublin znalazł się wcześniej w orbicie wpływów polityki wschodniej autorstwa Kazimierza Sprawiedliwego, czego dowodem jest powstanie osiedla archidiakońskiego i kościoła św. Michała, co stanowiło trzon miejskiej aglomeracji. Zbudowano potem i zamek (na Wzgórzu Zamkowym) wraz z donżonem, dokonując organizacji miasta lokacyjnego na przestrzeni II połowy XIII i początkach XIV wieku. Opisywano to tak: *Pomijając bajeczne opowiadanie o mniemanej Julii, siostrze Juliusza Cezara, a żonie Leszka III-go, i dziwaczne podanie, jakoby nazwany (Lublin) został od wyrzeczenia przez panującego księcia przy wyciągnięciu sieci z rzeki: szczupak lub lin, zaznaczyć należy, że początek Lublina jest niewiadomy; lubo osada tutejsza pewno jeszcze za czasów pogańskich powstała, a pod rządem pierwszych Piastów już był tu obronny zamek drewniany; według podania za Mieczysława I-go miał tu być wystawiony r. 965 kościół św. Mikołaja, na przedmieściu zwanem Czwartek, na wzgórzu, nad rzeczką Czechówką, który jest uważany za najdawniejszą świątynię w Lublinie. Za Bolesława Chrobrego krainy okoliczne wchodziły w skład państwa tego monarchy; a zamek drewniany w Lublinie był właśnie za jego panowania zbudowany. Po synu Bolesława Krzywoustego, Henryku, który dostawszy Lublin, przeszedł 1167 r. do Kazimierza Sprawiedliwego, najmłodszego z synów Bolesława Krzywoustego, po nim do Leszka Białego, i odtąd prawie nieprzerwanie był z resztą Polski połączony. Nieraz jednak w ciągu XIII-go wieku napadany i przywłaszczany przez rozmaitych nieprzyjaciół, najsmutniejszego doznawał losu<sup>41</sup>.*

Genezę powstania samego Lublina znamy, ale skąd się nazwa wzięła? Bo już wiemy, że Lublin do grodów wielce starożytnych należy, ale nazwa, skąd ta nazwa? W źródłach hi-

41 M. A. R., *Ilustrowany przewodnik po Lublinie ułożony przez M.A.R.*, nakładem autora, Warszawa 1901, s. 5–6.

storycznych nazwa *Lublin* występuje już w początkach XIII wieku, a zapisy są jednoznaczne. W dokumentach łacińskich przymiotnik brzmi zawsze *lublinensis*, a od XVII wieku pojawia się już jako *lubelski*<sup>42</sup>. Skoro osada jest stara, to i nazwa zawiera w sobie odległą podstawę słowotwórczą i znaczeniową, dziś w zasadzie nieczytelną. Z punktu widzenia językoznawcy *Lublin* zalicza się do grona nazw dzierżawczych, czyli takich, które wyrażają przynależność czegoś do kogoś. Analogiczna sytuacja występuje w nazwach *Sulęcín*, *Borzęcín* czy *Drogocín*, wywodzących się od męskich imion: *Suleta*, *Borzęta* i *Drogota*. Wokół nazwy miasta narosło wiele legend i podań ludowych, ale można sądzić, że założycielem lub też właścicielem grodu był osobnik płci męskiej, o imieniu w jego skróconej wersji *Lubla*, a Lublin nie był niczym więcej, jak grodem *Lubla*. Tyle naukowego wywo-  
du, bowiem legendy i poezja brzmią o wiele przyjemniej:

*Jak cię nie lubić, o stary nasz grodzie!*

*Gdy w tobie przeszłość tak głęboka drzemie*

*I gdy mąż, znikły w przeddziejów pochodzie,*

*Tym fundamentom dał „Lublin” na imię...<sup>43</sup>*

A było to tak. Swego czasu okolice naszego grodu porośnięte były chaszczami, ziel-  
skiem tak bujnym, że w maju i czerwcu, kiedy kwiaty kwitły jak oszalałe, zapach roz-  
nosił się na kilometry. Gród, jak osiadł na jednym ze wzgórz, pomimo że zamieszkany,  
jakoś nazwy dotąd żadnej nie miał, a mieszkańcy przez to bezimienni trochę się czuli.  
Pewnego pięknego dnia, jak to w baśniach bywa, nad Bystrzycą zatrzymał się orszak  
cudny i bogaty, drużyna wojów z księciem na czele. Okolice ich urzekła, a że strudzeni  
byli długą drogą, to postanowili zatrzymać się na popas i odpocząć. Na brzegu rzeki stali  
w łodziach rybacy i przypatrywali się przyjezdnym, podziwiając szaty kolorowe i nie-  
śmiało zerkając na księcia. Księżę, widząc zainteresowanie miejscowego ludu, zesko-  
czył chyżo z konia i podszedł do rybaków, pytając o nazwę miejsca, do którego właśnie  
przybył. Zaskoczeni i zażenowani obecnością księcia rybacy słowa z siebie wydusić nie  
mogli, tym bardziej, że co tu było opowiadać o grodzie bezimiennym. W końcu najod-  
ważniejszy z nich wydukał, że mimo, iż tu mieszkają z dziada pradziada, gród nazwy nie  
posiada, a przynajmniej nie jest im ona znana. Wypowiedź rybaka zaskoczyła księcia,  
który postanowił zmienić ten stan rzeczy. Pomyślał chwilę, popatrzył spod zmrużonych

42 Warchoł S., *Nazwy miast Lubelszczyzny*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1964, s. 119.

43 Znatowicz E., *Trudno cię nie lubić*, [w:] Michalski W., op. cit., s. 56.

powiek na rybaków i oznajmił, że miejsce otrzyma nazwę od ryby, jaka zostanie pierwsza z rzeki wyłowiona. Rybacy poczęli wyciągać sieci, szepcząc między sobą, co to za ryba być może, która niemalże patronką miasta zostanie. W sieciach oczom zgromadzonych ukazały się ryby dwie: jedną z nich był szczupak, a drugą lin. To się wtedy dziać zaczęło! Dalej wszyscy w spory, która była pierwsza i od której miasto będzie nazwane! Rejwach się zrobił okrutny, jeden przez drugiego gadał i resztę chciał przekrzyczeć. Nijak było porozumienia osiągnąć, więc głos zabrał mądry książę. Wytłumaczył rybakom, że szczupak to zwierzę drapieżne, rzeczny wilk, nie przystoi od niego imienia miastu nadawać, bo to źle wróży na przyszłość. Skoro wilk byłby patronem, to i ludzie wilkami się staną. Lin natomiast to ryba łagodna, lepsza by była nazwa od niego. Stanowczy musiał być, kilkakrotnie nazwę w myślach powtarzał, szczupak lub lin, szczupak lub lin. Po chwili oznajmił zgromadzonym, że gród odtąd będzie się zwał Lub-linem<sup>44</sup>. Wincenty Kamiński opisywał to tak:

*Miasto to Lublin, od czego się zowie?  
Niewiecie ziaśnić. Byliście prostacy.  
Baba gruntowniey rzeczy biorąc powie;  
Iż mu to imie nadali rybacy.  
Bo rzekli szczupak, lub lin gdy się schwyci,  
Jak nazwiem miasto: aż o to lin w sieci<sup>45</sup>.*

Nie koniec legend wcale, bowiem wersji powstania nazwy miasta istnieje kilka. Pierwiastka, na którym imię oparto, poszukiwano nieustannie. W swoim „Obrazie miasta Lublina” Seweryn Zenon Sierpiński, oprócz „legendy rybnej” podaje jeszcze takąż rzecz: (...) *sądzę, iż sławiański wyraz lublu, lubli (lubię) mógłby być tym pierwiastkiem. Położenie Lublina istotnie mogło się spodobać pierwszym onego założycielom, czyli mogli je lubić, w lasach panujących w tem miejscu lubił może polować dawny jaki monarcha, i tu udawał się na spoczynek, w strugach Bystrzycy lubił też łowić ryby i t.p. a bywając tam często, tworzył nową osadę, która potem zamieniając się w miasto przyczynę swego powstania za nazwisko wzięła. Osobliwe znajduje się o Lublinie podanie, w kronice Prokosza i Kagnimira, pisarzy dziesiątego wieku; jakoby miasto te założył Książę Lublin potomek Polacha, czyli Polaka, na lat około tysiąc przed narodzeniem Chrystusa; o czem świad-*

44 Sierpiński S. Z., *Obraz miasta Lublina*, Drukarnia Maxymiliana Chmielewskiego, Warszawa 1839, s. 2–3.

45 Kamiński W., *Przypadki lubelskie, poema oryginalne wierszem takim jak Monomachium, ułożone w dziewięciu Pieniach przez W.K.*, 1810, s. 17.

*czyć miała wysoka przy mieście temuż książęciu wysypana mogiła, jeśli to zasługuje na wiarę, niewiem gdzieby była owa wyniosła mogiła, gdy teraz żadnej prócz mniejszych za Kalinowszczyzną, w bliskości miasta niema. Jest jednak niemałe podobieństwo, iż góra na której zamek stoi, mogła być olbrzymią mogiłą przez ludzi usypaną, trudno bowiem w naturze położen kraju naszego, znaleźć tak foremną zewsząd odosobnioną wyniosłość<sup>46</sup>.*

Najdalej w swoich fantazjach (iście ułańskich!) posunął się Mistrz Wincenty, zwany Kadłubkiem, który w swoim dziele z XII wieku również zanotował nazwę Koziego Grodu. Początkowy fragment dzieła traktuje o legendarnych rodzicach nie mniej legendarnego Popiela I, na użytek Mistrza Pompiliuszem zwanego. Otóż rodzicami tymi byli Leszek III i Julia, siostra... Cezara! A więc Julia, zostając księżną słowiańską, założyła miasto *Julia*, przechrzczone następnie w *Lublin*. A było to tak. Leszek pokonał Juliusza Cezara w trzech bitwach, w Kraju Partów Krassusa rozniósł w pył i na cztery wiatry, wlewając do ust wroga złoto, rzekł: Złota pragnąłeś, złoto pij. Dzielny był ten Leszek niemożebnie, bowiem podbił kraj nie tylko Partów, ale i Gotom dał radę. Wtedy to Juliusz (Cezar) poszedł po rozum do głowy i stwierdził, że niczym innym, jak węzłem małżeńskim jeno bohaterskiego Leszka zatrzyma. Wydał za niego siostrę swą, Julię, która wniosła księciu w posagu Bawarię i ziemię serbską. Dwa miasta księżna założyła: na część brata *Julius* (obecnie *Lubusz*), a od swojego imienia – *Julia*, zwane obecnie *Lublinem*. Cezar próbował potem odebrać siostrze to, co dał w posagu. No cóż, prostak nie człowiek ten Juliusz, więc w zemście Leszek żonę odprawił, pozostawiając przy sobie maleńkiego synka Pompiliusza. Na miejsce królowej hycnęła zaraz nałożnica królewska i z nienawiści do rywalki zmieniła nazwy tych dwóch miast, jakie Julia założyła.

Kadłubek miał niespożytą fantazję, rozmach sięgający gwiazd, ale te jego opowieści, sami wiecie, między bajki, chociaż piękne, można włożyć. Niektórzy twierdzą jeszcze, że dawno, dawno temu na wzgórzu zamkowym gród założono i zamek wybudowano, co akurat jest prawdziwe. Mieszkali w nim szczęśliwi Sława, córka drwała, i Lubla, którym sam Świętowit błogosławił, kiedy to umknął Merlin of Horeborg, który przeląkł się prawicy Lublowej i zrezygnował ze swych niecných planów. I od imienia tego władcy, Lubla, nazwa grodowi przypadła.

Faktem jednak jest to, że Lublin istniał i miał się całkiem dobrze. Utworzenie kasztelanii, prawdopodobnie około połowy XII stulecia, zaktywizowało ziemię i spowodowało wytrwałą ekspansję na wschód. Miasto kasztelańskie na przełomie wieków (XII i XIII) składało się z trzech elementów – grodu obronnego (kasztelanii), osiedla

46 Sierpiński S. Z., op. cit., s. 4–5.



archidiakońskiego na wzgórzu staromiejskim i targowej osady na Czwartku. Taki zespół miejski w pełni był gotowy na pełnienie ważkich funkcji obronnych i gospodarczych, a także politycznych. Miasto rozprzestrzeniało się przede wszystkim wokół dworu archidiakona. W latach czterdziestych XIII stulecia stanęły pod Lublinem wojska wrogiego Daniela Romanowicza, księcia halicko-wołyńskiego. Pojawił się on pod murami wskutek politycznych obietnic złożonych Konradowi Mazowieckiemu, któremu Rusin pomagał w walce o tron krakowski. Zgodnie z zapisami ruskich kronik, mieszkańcy grodu musieli zobowiązać się, że nie będą wierni dotychczasowemu seniorowi, którym był Bolesław Wstydlivy. Ale Danielowi nie udało się zająć Lublina, musiał odjechać z kwitkiem. Roczniki pochodzące z tamtego okresu wspominają o spaleniu w mieście kościołów, zatem w grę wchodziły co najmniej dwie świątynie. Można przypuszczać, że chodziło o kościół św. Trójcy oraz św. Mikołaja. Czy istniał już wtedy kościół św. Michała? Powstanie tej budowli legenda łączy z Leszkiem Czarnym i najazdem z 1282 roku.

W tymże roku Pańskim ziemie polskie najechali Jadźwingowie i Litwini, panosząc się wstrętnie na Lubelszczyźnie. Na pomoc miastu wyruszył Leszek Czarny, ówczesny senior na dzielnicy krakowskiej. Droga z Krakowa do Lublina do najkrótszych nie należała, toteż jak księżę przybył do Koziego Grodu okazało się, że i wroga już tam nie ma. Najeźdźcy czmychnęli na wieść o dzielnym władcy. Leszek, znużony długą podróżą, usnął pod wiekowym dębem, który rósł na Wzgórzu Staromiejskim. We śnie ukazał mu się św. Michał Archanioł, a podając księciu miecz, nakazał pogoń za wrogiem. Zerwał się dzielny rycerz, na koń wskoczył i puścił się pędem za barbarzyńcami. Klęskę Litwinom i Jadźwingom zadał wielką, w chwale wracał potem do Lublina. Z wdzięczności jako wotum, dąb stuletni Leszek ściał, a z jego pnia kazał uczynić podstawę ołtarza. Ołtarz zaś stał się częścią kościoła, który księżę kazał ufundować na pamiątkę tych wydarzeń przedziwnych, świątyni, która przez następnych sześć wieków będzie służyć lublinianom. Sierpiński podaje, że w 1839 roku *za wielkim ołtarzem szacowna pamiątka, pień dębu tego, pod którym król spoczywał, obmurowany dotąd stoi*<sup>47</sup>.

Przez Lublin w XIII wieku biegł trakt handlowy z Rusi do Krakowa, dalej ciągnący się aż do Niemiec i Czech. Nie był to wcale czas spokoju, przez Lubelszczyznę przetaczały się obce wojska – litewskie, pruskie, tatarskie i ruskie, które pustoszyły żyzne ziemie. Sam Lublin jednak rozwijał się systematycznie i prężnie, oparty na silnym zapleczu gospodarczym. W tym okresie, a potwierdził to akt lokacyjny z 1317 roku, istniało w Lublinie piekarstwo, szewstwo, rzeźnictwo, również i łaziebnictwo.

47 Sierpiński S. Z., op. cit., s. 41.

*(...) I gwiazdy stały co noc nad Lublinem  
i Lublin w gwiazdach  
brodził po kolana*<sup>48</sup>.

Nie ulega wątpliwości, że istniejące na ziemiach polskich w XIII wieku stosunki rolne uległy diametralnej zmianie, do czego, w znacznej mierze, przyczyniła się kolonizacja miast. Jeszcze przed wyodrębnieniem się cechów jako samodzielnych organizacji, w Polsce znane były stowarzyszenia zawodowe. Pod koniec omawianego stulecia, ze względu na doskonałe warunki, rzemiosło wstąpiło na drogę rozkwitu. Wówczas obejmowało ono całą produkcję przemysłową, a przemysł był równoznaczny z rzemiosłem. W Lublinie, w okresie przedlokacyjnym, na pewno znajdowała się rzeźnia, ale, ze względu na braki w źródłach pisanych, trudno jest powiedzieć, czy były także i jatki, a jeśli, to w jakiej ilości. Rzeźnia służyła do uboju głównie rzemieślnikom, bowiem z tego typu sprawami mieszczanie rozprawiali się w swoich domach na swój własny użytek. Dość zaawansowane było piekarstwo i szewstwo. Nie można jednak wywnioskować, ile ław szewskich, a ile piekarskich istniało w mieście. Według A. Samsonowicz rzemiosła skórzane osiągnęły wcale wysoki stopień zaawansowania już w połowie XIII wieku, natomiast na podgrodziach, przekształcających się wówczas w miasta, był stanowczo wyższy niż na wsiach. Jest jedno rzemiosło, którego istnienia odmówić przed lokacją nie można, a jest nim łaziebnictwo. Lubelski wójt otrzymał bowiem łaźnię, już istniejącą, a nie ukrywajmy, co najmniej przez jednego znawcę tematu musiała być ona obsługiwana.

W świecie przedchrześcijańskim na terenie ziem polskich znano tkactwo, kowalstwo, garncarstwo, ciesielstwo, garbarstwo, wyrabiano narzędzia rolnicze i broń. Wraz z upływem czasu pojawiały się nowe rzemiosła – piekarstwo, kołodziejstwo, tokarstwo, szewstwo i murarstwo. Dłuższą chwilę te rzemiosła stanowiły raczej pojęcia techniczne, gdyż jako klasa (lub stan społeczny) rzemieślnicy wyodrębnili się dopiero w XIII stuleciu. Rzemieślnicy skupiali się na podgrodziach, a rękodzieło zaczęło przekraczać granice prywatnych domostw. Pierwotnie stanowili zwartą całość, kowal pełnił funkcję nie tylko kowala, bo był i dentystą, i ślusarzem, a szewc krawcem jednocześnie. Dopiero powstanie cechów ugruntowało ściśle rozgraniczenie. Rosnąca potęga miast była równoznaczna z formowaniem się rzemiosła. Do patrycjatu średniowiecznej Polski zaliczano, obok kupców, co znaczniejszych rzemieślników.

48 Łobodowski J., *Ballada lubelska*, [w:] Michalski W., op. cit., s. 117.



Powstanie miast było uwarunkowane oddzieleniem się rzemiosła od rolnictwa. Od XIII wieku widać ogromne zmiany w porównaniu z wcześniejszymi stuleciami. Wówczas to wprowadzono szereg wynalazków, które usprawniły produkcję i pozwoliły na wykonywanie jej na większą skalę. Wydaje się, że największą innowacją było na ziemiach polskich koło wodne. Do XIII wieku nie znano zakładów produkcyjnych, a więc kuźni, młynów czy tartaków, poruszanych siłą wody. Jedynymi większymi warsztatami były kieraty lub piece hutnicze, napędzane wołami lub końmi. Ziarna na mąkę mielono w ręcznych żarnach, sporadycznie wykorzystując kieraty do produkcji mąki. Sam wynalazek koła wodnego był, rzecz jasna, o wiele starszy, bowiem pojawił się już w II wieku przed Chrystusem. Nasi praprzodkowie z pewnością o nim słyszeli, ale zaczęli je stosować dopiero w XIII stuleciu<sup>49</sup>. I oto koło wodne zaczęło masowo wprowadzać w ruch młyny, miechy i młoty w kuźniach czy bijaki (stępor) we wszelkiego rodzaju foluszach – płócienniczych, krupniczych, sukieniczych, olejarskich, garbarskich i papierniczych.

Ale na tym wynalazku się nie skończyło. Geniusz rzemieślnika przejawiał się również w umiejętności ujarzmienia kolejnej siły natury, jaką jest wiatr. Wykorzystanie służebnej roli wiatru dotyczyło przede wszystkim terenów, które nie cierpiały na możliwość łatwej eksploatacji spadku rzek. Zaczęto więc budować wiatraki, na początku, oczywiście, bardzo prymitywne konstrukcyjnie, bowiem poruszały jedynie żarna, ale z czasem i one dzięki rzemieślniczej pomysłowości stawały się coraz bardziej doskonałe. Z biegiem lat wyposażano je w rozmaite pytle i stępor. Produkowano także o wiele bardziej zaawansowane technicznie kieraty górnicze, które bryły soli lub kosze rudy mogły wyciągać na znaczne wysokości. W rzemiosłach włókienniczych kołowrotek wyparł wolne i niewygodne w obsłudze wrzeciono. Udoskonalano narzędzia kowalskie, stolarskie i szewskie. Wówczas to w Polsce upowszechniła się przepiękna w swej monumentalności architektura gotycka, gdzie ostrołuk wraz z przyporami noszącymi ciężar dachu bardziej udanie podtrzymywał sklepienie niż łuk romański, co stanowiło skutek wprowadzenia i propagowania technicznych modyfikacji. Powstawały warsztaty zespołowe, następował podział pracy w obrębie jednego rzemiosła, a tym samym podział wiedzy technicznej. Majątki rzemieślników specjalistów niejednokrotnie przewyższały bogactwa zgromadzone przez wielkich kupców. Ci mistrzowie swojego fachu zaczęli tworzyć grupę społeczną niezależną od woli feudalnego pana, a istniejący ówczesny ustrój był dla nich zbyt ciasny

<sup>49</sup> Mączak A., Samsonowicz H., Zientara B., *Z dziejów rzemiosła w Polsce*, Państwowe Wydawnictwo Popularno-Naukowe „Wiedza Powszechna”, Warszawa 1954, s. 23.

i ograniczający ich niespożyte możliwości wytwórcze. Te nowe śmiało i nieustannie rozwijające się siły zaczęły rozsądzać stare i niewygodne już stosunki społeczne.

Wynalazki techniczne różnicowały rzemieślników i ludzi zatrudnionych w rzemiosle. Inną pozycję społeczną miał poganiacz koni, a zupełnie inną konserwator kół wodnych, którego usługi naprawiania młynów były potrzebne na terenie niemal całego kraju. Unowocześniona technika, zespołowe formy pracy, specjalizacja – to wszystko sprawiało, że produkowano nie tylko więcej, ale i lepiej. Odbiorcy, czyli kupcy, feudałowie i chłopci, woleli korzystać na co dzień (i na wypadek niespodziewanych okoliczności – wojen) z artykułów wyrabianych przez specjalistów alias rzemieślników, a nie z przedmiotów wytwarzanych przez domorosłych rękodzielników w zaciszu domowego warsztatu. Co ważne, mogli sobie na takie pozorne zbytki pozwolić, ponieważ dla odmiany rzemieślnicy, aby żyć i produkować, musieli od kupców czy rolników kupić nie tylko surowce, lecz także i żywność. W taki oto sposób powstał i rozwijał się obrót towarowy. Równoległe, oprócz rynku, upowszechniał się podział pracy, a tym samym rozwijało się społeczeństwo. Rzemiosło stało się kręgosłupem, w oparciu o który budowano wygodę również przyszłych pokoleń. Otóż do obiegu jał coraz poważniej wchodzić pieniądź, wypierając dotychczasową wymianę barterową. Taki rozwój wypadków sprawiało, że rzemieślnikom o wiele bardziej opłacała się produkcja uwzględniająca szeroki zbyt, a nie tylko wytwarzanie na indywidualne zamówienie klienta. W konsekwencji bogacili się i dystrybutorzy (kupcy), sprzedający produkty rzemieślnicze szerokiemu gronu społeczeństwa. Każdy zatem na pracy rzemieślnika korzystał, nie tylko on sam. Rzemiosło uruchomiło intratny dla wszystkich proces, stanowiąc centrum rozwoju – kupując surowce, wytwarzając, a następnie zbywając swoje towary. Rzemieślnicy wiedzieli, że znajdą nabywców wśród ludzi miast i wsi, że przybędą kupcy, którzy te towary kupią, a następnie sprzedadzą tym, którzy ich potrzebują. A że nie samym chlebem człowiek żyje, to warto podkreślić, iż dzięki talentowi rzemieślniczego ludu możemy podziwiać te wszystkie dzieła sztuki, gdyż każdy malarz, rzeźbiarz, złotnik czy architekt był integralnym członkiem tej społeczności.

Miasta podówczas rozwijały się bardzo bystro, tam bowiem osiedlali się rzemieślnicy i tam zmierzali kupcy. Stały się miasta nośnikami postępu, ośrodkami rewolucji przemysłowej i kulturowej. Równocześnie, dzięki rzemiosłu, miasta przeistoczyły się w synonim nowoczesności, gdyż wysoko wyspecjalizowana produkcja przyczyniała się do wymiany towarowej produktów wiejskich i miejskich. Należy jednak dodać, że te ośrodki produkcji istniały, ale i rozwijały się wcześniej, nie tylko w wieku XIII. Ten najintensywniejszy progres rzeczywiście został zapoczątkowany w tym stuleciu, gdy zaczęto kolonizować

i lokować miasta w oparciu o prawo niemieckie. Był to rodzaj pomostu pomiędzy rentą naturalno-odrobną a wyższym szczeblem postępu, czyli rentą naturalno-pieniężną. Ówczesnym właścicielom ziemskim wygodniej było posiadać pieniądze, za które mogli kupić całą masę produktów rzemieślniczych. Chłopi natomiast zdecydowanie woleli płacić pieniędzmi, jakie otrzymywali od mieszkańców miast za sprzedane przez siebie produkty rolne niż odrabiać ciężką robociznę. A i samym ośrodkom miejskim ten stan rzeczy bardzo odpowiadał, stosunkowo zamożny rolnik był chętnym i niekiepskim nabywcą artykułów rzemieślniczych.

Te wszystkie zależności społeczne poukładały się w prostą drogę do rozwoju i bogacenia się części ludności. Jednakże wymagały szeregu aktów prawnych, które określałyby zarówno obowiązki, jak i prerogatywy, budując tym samym mocne fundamenty pod korzystną dla wszystkich ewolucję miast. Kolonizacja ośrodków miejskich odegrała znaczną rolę na scenie rozwoju gospodarczego i kulturowego Korony. W miastach, jak w soczewce, zaczęły skupiać się najważniejsze wydarzenia, jakie miały decydujący wpływ na całe państwo i zamieszkującą je ludność, na historię. To miasta stanowiły odbicie tendencji politycznych, tym samym będąc żywym odzwierciedleniem dziejów Polski. W dobie Piastów, szczególnie dbających o rozwój ośrodków miejskich, postęp był naturalną konsekwencją decyzji ówczesnych władców, co utrzymało się jeszcze za czasów Jagiellonów. Niestety, wraz z umacnianiem się pozycji stanu szlacheckiego i wprowadzeniem demokracji, a raczej anarchii szlacheckiej, tragiczne w skutkach przeniesienie środka ciężkości z miast do dworów szlacheckich i magnackich doprowadziło w finale do upadku państwa i wymazania go z kart historii na długie 123 lata. Kupcy i rzemieślnicy stanowili trzon, w oparciu o który budowano potęgę nie tylko samych miast, ale i całej Korony Polskiej. Większe ośrodki miejskie wyzwoliły się spod kapryśnej niekiedy władzy feudałów, a komasując coraz większą rzeszę rzemieślników, szybko rosły w siłę. Od okresu kolonizacji na prawie niemieckim wyraźnie widać, że zdecydowana większość rzemiosła gromadziła się w miastach, a była to liczba rzeczywiście pokaźna, bowiem stanowiła  $\frac{3}{4}$  rzemieślników w ogóle. Tego rodzaju kumulacja sprzyjała akceleracji produkcji na rynki krajowe i zagraniczne. Pamiętajmy natomiast, że miasta istniały wcześniej, były jeszcze niewielkie w odniesieniu do miast Europy Zachodniej. Taki Kraków, ówczesna stolica, liczył zaledwie 10 tysięcy mieszkańców, co w porównaniu z kilkudziesięcioletnim Paryżem nie stanowiło ilości mroźącej krew w żyłach. I miast samych było podówczas niedużo, a więc i progres handlu początkowo był niewielki, ale w tym przypadku upływ czasu działał tylko na jego korzyść.

## Dobry król Władysław

*Dziecię cudu, potomek u Boga uproszony, któremu wielkie imię Bolesławów na chrzcie dano, od małego w dzieciństwie skrzywienia ust noszący swe nazwisko (nadawano takie naówczas wszystkim) – wskrzesza w istocie czasy Bolesławów, przodków swych, i w odrodzonej Polsce panuje bohatersko, potężnie a sławnie. Przedewszystkiem jest to rycerz i wojownik<sup>50</sup>. Charakterystyka piękna, tylko finał marny. Bolesław Krzywousty przywrócił wprawdzie polskie panowanie nad Ziemią Lubuską i Pomorzem Wschodnim, podporządkował sobie ziemie zachodniopomorskie, a nawet miał chytry plan podbicia Rugii, tylko że zaskoczyła go śmierć. Ten władca, mimo kontynuacji działań Chrobrego i Śmiałego, nie uwieńczył swych skroni koroną. Zmarł w 1138 roku, tuż przed śmiercią wydając akt, mający regulować sprawy dziedziczenia tronu i organizacji władzy w państwie. Bolesław stał się na tyle potężnym księciem, że jego zwierzchność została uznana nawet za Odrą, ale nie odważył się mimo wszystko na zupełne zerwanie więzi z Niemcami. Nie koronował się na króla, ba! nawet złożył hołd cesarzowi, który samodzielnie próbował podbijać i nawracać Słowian połabskich z dość zresztą dobrym skutkiem<sup>51</sup>. Umierając i dzieląc państwo pomiędzy swoich synów, Krzywousty pragnął wbrew pozorom utrzymać jego jedność za pomocą senioratu.*

Była to także próba regulacji sprzeczności, jakie narastały w obrębie samego państwa. Dotychczasowa praktyka opierała się na zasadzie, że od czasów Mieszka I w sumie każdy władca był zmuszony walczyć o swoją pozycję, którą, no cóż, bardzo często zdobywał w drodze zamachu stanu. Trzeba też podkreślić, że nie tylko Krzywousty wpadł na genialny pomysł podziału kraju między swoich następców, gdyż zjawisko rozbicia dzielnicowego było charakterystyczne niemal we wszystkich państwach wchodzących

50 Kraszewski J. I., *Wizerunki książąt i królów polskich*, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1888, s. 51.

51 Zakrzewski W., *Historia powszechna. Tom II. Historia wieków średnich*, G. Gebethner i spółka – Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków 1908, s. 79.

w kolejną fazę umacniania się feudalizmu. Monarchia oparta na władzy suwerena i będąca niejako jego własnością stała się w pewnym momencie, delikatnie rzecz ujmując, niepopularna. Udział czynnika społecznego we władzy mógł przejawiać się w stopniu minimalnym, chociażby dlatego, że możni posiadali dość, hm, ograniczone horyzonty polityczne. Ich nowe możliwości oddziaływania na gospodarkę, rosnąca coraz szybciej rola wymiany opierającej się na pieniądzu – to wszystko raczej nie wpływało dobrze na dotychczasowe formy samowystarczalności majątkowej. Państwo wymagało mądrych reform. W tych warunkach statut Krzywoustego mógł stanowić próbę umocnienia pozycji kraju<sup>52</sup>. Testament Bolesława regulował sprawę dziedziczenia tronu, postanawiając, że seniorem, czyli księciem zwierzchnim, będzie zawsze najstarszy przedstawiciel rodu piastowskiego. Przemyślność Krzywoustego polegała na tym, że tym dokumentem starał się zapewnić następcom przeważający wpływ na wytyczanie kierunków polityki zagranicznej i wewnętrznej, jednocześnie oddając im we władanie dzielnicę senioralną wraz ze stołecznym ówczesnie Krakowem. Była to próba zapobieżenia tendencjom odśrodkowym, równoznaczna z przyznaniem pozostałym synom dziedzicznych dzielnic, które na ogół pokrywały się pod względem obszaru z dawnymi terytoriami plemiennymi. Okres rozbicia dzielnicowego nie ominął Lublina, który, na przekór losowi, systematycznie budował swoją pozycję i wybijał się na poziom ważnego ośrodka politycznego i gospodarczego. Dopiero pojawienie się na scenie politycznej Władysława Łokietka nie tylko przyniosło chwałę Polsce, ale i Lublinowi, szczególnie rok 1317.

Władysław Łokietek zaliczany jest do pocztu najwybitniejszych władców Polski, a dla Lublina okazał się szczególnie ważny. Był jego dobroczyńcą, bowiem to on właśnie w 1317 roku nadał Koziemu Grodowi prawa miejskie, wykorzystując sprzyjającą sytuację polityczną. *Są w dziejach chwile, dla których zesłańcy opatrnościowo się rodzą, a przez nich dzieją się cuda. Takim posłanym dla odtworzenia Polski z ruin i szczątków wielkiego państwa Chrobrego, był ów mały wzrostem, ubogi mieniem, znaczeniem pośledni między książętami Piastów rodu – Władysław Łokietek. Nazwać go można istnym twórcą przyszłej Polski, której Mieszko i Bolesław byli tylko zwiastunami, u wrót dziejów przyszłość jej zapowiadającymi*<sup>53</sup>. W naszej świadomości historycznej zarówno dzieło, jak i postać Władysława Łokietka zajmują poczesne miejsce. Władca miniaturowego księstwa gdzieś na Kujawach, którego wielkim przeznaczeniem stało się odnowienie Królestwa Polskiego, do dziś budzi nie tylko respekt, ale i sympatię.

52 Samsonowicz H., *Historia Polski do roku 1795*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1990, s. 36.

53 Kraszewski J. I., op. cit., s. 119.

Ojcem Władysława był prawnuk Bolesława Krzywoustego – Kazimierz, książę kujawsko-łęczycki, a matką śląska księżniczka, Eufrozyna. Najstarszym ich dzieckiem był właśnie Władysław, urodzony około 1260 roku. W chwili śmierci swojego ojca miał zaledwie 7 lat i nie działo mu się dobrze, bowiem dwaj przyrodni bracia rozparcelowali, co mogli – Leszek Czarny wziął Sieradz, Ziemomysł – północne Kujawy, podczas gdy Władysławowi i jego dwóm rodzonym braciom zostały południowe Kujawy, ziemia dobrzyńska i księstwo łęczyckie. Niewiele było tej ojcowizny na trzech. Dopiero śmierć Leszka Czarnego rozpoczęła polityczną karierę Łokietka. Wprawdzie parę ziem po bracie odziedziczył, ale nie dostał tej najważniejszej, jaką była Małopolska z Krakowem. Postanowił więc się o nią upomnieć, wykorzystując do tego argumenty zbrojne. Panować nawet wówczas trochę panował, ale zaledwie pół roku. Tak sobie wrogów wokół narobił, że i ojcowiznę mu odebrano. W 1304 roku, z pomocą węgierskiego rycerstwa, Władysław zajął ziemię sieradzką i sandomierską, a kiedy Waclaw II przeniósł się do wieczności, opanował Kraków, przywilejów mu parę nadał i pozyskał aprobatę tamtejszego mieszczaństwa. Po gwałtownej śmierci Waclawa III w 1306 roku, zwierzchnictwo Łokietka uznało także Pomorze Gdańskie, a Wielkopolska dalej trwała w swoim stuporze. Jednakże już w owym roku Pańskim zaczął być on postrzegany jako restaurator jedności polskiej i najpewniejszy kandydat na króla Polski. Jedną z przeszkód ku temu stanowili Krzyżacy, panoszący się na północy, a drugą, wcale nie mniejszą – wrogie nastawienie elit społecznych mieszczaństwa małopolskiego, głównie pochodzenia niemieckiego. Bunt wójta Alberta został wprawdzie stłumiony, ale był też niezłą nauczką na przyszłość. Łokietek zaczął więc popierać miasta średnie i małe, odbierając przywileje największym. W ten sposób przyszedł król umacniał rodzime mieszczaństwo, równie żywo zainteresowane rozwojem nie tylko handlu, lecz i rzemiosła, łąkające własnego, mocnego państwa z ojczystą kulturą, ojczystym językiem i obyczajami. A Lublin był wierny Łokietkowi, mieszkańcy natomiast z nadzieją popierali jego poczynania.

Przywilej handlowy i samorządowy otrzymał Radziejów, Nakło, Lipnica Murowana, Tarnów i Rymarzewo. 15 sierpnia 1317 roku również Lublin, co wiele zmieniło w życiu grodu. Przede wszystkim dotyczyło to zmian administracyjnych – miasto zostało wyłączone spod dotychczasowej władzy urzędników królewskich, czyli wojewody sandomierskiego (województwo lubelskie powstało dopiero w 1474 roku) i kasztelana lubelskiego. Był to naprawdę intratny interes dla mieszczan, bowiem zwalniał ich z obowiązków płacenia wcale niemałych pieniędzy do krakowskiego skarbcza, a ponadto Kozi Gród otrzymał prawo niemieckie – magdeburskie.

W głównych ośrodkach handlowych Polski zaczęli osiedlać się nie tylko obcy kupcy, ale i rzemieślnicy, pozyskując tym samym prawo gości. W stosunkach między sobą rozdzielili się własnym prawem, podlegając wyłącznie księciu i jego pełnomocnikowi, czyli wójtowi. Do krajów Europy Wschodniej w XIII stuleciu coraz liczniej napływali osadnicy niemieccy. W ten to właśnie sposób osady zamieszkałe przez gości, na początku niewielkie i wyłączone spod jurysdykcji miejscowego prawa, powiększały się, tworząc na terenie miast odrębne gminy. Brakowało mimo wszystko jednolitej organizacji prawnej i układu przestrzennego, a ten stan rzeczy zmieniły dopiero lokacje. Pierwsze nadania nowego statusu prawnego miastu i jego mieszkańcom, czyli właśnie lokacje, miały miejsce na Śląsku, a dotyczyły osad górniczych. Najważniejsze miasta polskie – Kraków, Poznań czy Wrocław – prawa miejskie wzorowane na Magdeburgu otrzymały dopiero w XIII wieku. Lokację organizował zasadzca, działki w mieście były dziedziczne, odtąd miasto posiadało własne sądownictwo, a także wspólne dla całej społeczności pastwiska czy łowiska. Ponadto przyznawano przywilej wolnego targu, co oznaczało, że wszelkie dochody z handlu przypadły nie danemu władcy, lecz pozostawały w gminie. Wraz z upływem czasu miasta wywalczyły sobie również przywilej wolnego handlu, sprawdzając się do zwolnienia od ceł na obszarze całej dzielnicy, a nawet kraju.

Zasadzca, który zainwestował w całe to przedsięwzięcie własny kapitał, był naprawdę sówicie wynagradzany, gdyż przyznawano mu większy i nieźle położony teren w mieście, a kiedy postawiono na nim folusze, kramy, młyny czy warsztaty – czerpał z tego tytułu dochody.

Właśnie prawem magdeburskim mieli się posługiwać mieszkańcy Lublina począwszy od 1317 roku. Łokietek zwolnił mieszczan z opłacania czynszów i innych należności aż na 20 lat. Ponadto przyznał mieszkańcom 100 łanów ziemi uprawnej i nieuprawnej, a i o wygonie dla bydła (2400 ha!) nie zapomniał. Miało to stanowić rolnicze zaplecze kształtującego się miasta, stymulując jego rozwój.

Akt z 15 sierpnia 1317 roku uważany jest za dokument lokacyjny i w zasadzie jest to jedyny dokument z tego okresu, który wspomina o rzemiośle. Nie do końca spełnia on współczesne oczekiwania w zakresie charakterystyki rzemiosła, ale H. Samsonowicz potwierdził przydatność dokumentów lokacyjnych w tej materii, stwierdzając, że taki dokument był odzwierciedleniem stanu rzemiosła danego miasta w chwili jego lokacji<sup>54</sup>. Pamiętać należy, że omawiany tu akt nie kreował nowego miasta, a jedynie zapewniał rozwój już istniejącej i funkcjonującej osady. Wymieniono w nim rzeźnictwo, szewstwo, piekarstwo i łaźieb-

54 Samsonowicz H., *Ideologia mieszczańska w Polsce w XIII w.*, [w:] Skubiszewski P. (red.), *Sztuka i ideologia XIII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1974, s. 163.

nictwo, przyjmuje się też, że w Lublinie w owym czasie było znane i sukiennictwo. Łokietek zawarł umowę z Maciejem z Opatowca, na podstawie której przekazał mu w dziedziczne posiadanie urząd wójtowski. Jednocześnie ksiązę nieźle uposażył Macieja, bowiem oddał mu dochody z opłat sądowych, czynszów miejskich i różnego rodzaju przedsiębiorstw, jakie miał jako wójt prowadzić w oparciu o zasady monopolu.

Chyba najbardziej rozwiniętym rzemiosłem było naonczas rzeźnictwo. Niestety, tu się przyszył król nie rozpisał, gdyż nie wiemy, ile jatek rzeźniczych otrzymał Maciej do swojej dyspozycji, oprócz tego, że wiemy, że więcej, niż jedną. Ale na sto procent istniała w Lublinie rzeźnia jako miejsce uboju dla rzemieślników. Cóż, w przypadku piekarstwa sytuacja jest analogiczna – nie wiadomo, ile było ław chlebnych i ilu rzemieślników tej branży działało w mieście. Jednakże można sądzić, że skoro zapis o piekarstwie znalazł się w dokumencie tak ważnym, to piekarstwo musiało być na wysokim poziomie, a i co ważne – istniało przed 1317 rokiem. Niczego też nie wiemy o ławach szewskich ani o stopniu zaawansowania tego rzemiosła. W sumie najprecyzyjniej akt lubelski mówi o kramach sukienniczych, jakie mają odtąd wójtowi podlegać, a dotyczyło to 1/6 ogólnej ich liczby. Skąd natomiast pochodziło sukno? Nie zawsze wzmianki o kramach sukienniczych muszą oznaczać, że sukno produkowano na miejscu<sup>55</sup>. Kram przecież nie był ściśle związany z warsztatem rzemieślniczym, stanowiąc w zasadzie odrębne przedsiębiorstwo handlowe. Nie należy również wątpić w łaźiebnictwo, bowiem i ono było obecne w świadomości społecznej i ekonomicznej mieszkańców Lublina. Składnikiem uposażenia Macieja z Opatowca była istniejąca już wcześniej łaźnia, która musiała być obsługiwana przynajmniej przez jedną osobę znajdującą się na rzeczy. A sam Maciej z Opatowca był wiernym Łokietkowi mieszczaninem. Sprawował funkcję zarządcy dóbr królewskich, które znajdowały się w Małopolsce, a zarządcą tym mógł być jeszcze w 1321 roku<sup>56</sup>.

Dokument z 1317 roku nadał także prawo budowy młynów w dowolnej liczbie na rzekach w granicach miasta. Niestety, na tej podstawie ciężko jest określić, czy jakoweś istniały tutaj już wcześniej. Gdyby żaden faktycznie nie funkcjonował, oznaczałoby to, że miasto było w pewien sposób zacofane, co wiązało się z ciągłym użytkowaniem przestarzałych już wówczas żaren. Mimo wszystko jest to jednak mało prawdopodobne. Lokacja objęła nie tylko teren wykupiony kilka lub kilkanaście lat wcześniej przez księcia na wzgórzu staromiejskim, ale i obszar znajdującej się na nim osady, nazywanej *nowym Lublinem*.

55 Wyrozumski J., *Tkactwo małopolskie w późnym średniowieczu*, PWN, Warszawa-Kraków 1972, s. 34.

56 Ptaśnik J., *Studia nad patrycjatem krakowskim wieków średnich*, „Rocznik Krakowski” 1913, s. 73.

W rzeczywistości to wójt był prawdziwym panem feudalnym i co jakiś czas ten stan rzeczy wywoływał opór nie tylko ze strony poszczególnych władców, ale i samego mieszczaństwa, a to dlatego, że gospodarował ów wójt niezwykle samodzielnie. Proces ograniczania władzy wójtowskiej rozpoczął się już w XIII stuleciu, kiedy to poczęto przenosić część władzy na czynnik samorządowy, czyli radę miejską. Wybierano ją różnymi sposobami. Składała się z obywateli miasta, najczęściej reprezentantów najbogatszej warstwy – patrycjatu. W tak dużych ośrodkach miejskich jak Wrocław czy Kraków pojawiła się ona wkrótce po lokacji. Jednakże większość miast musiała czekać nieraz i kilkadziesiąt lat na jej powołanie. Do tego grona zalicza się Poznań, ale i Lublin, gdzie pierwszą wzmiankę o istnieniu rady miejskiej znajdujemy w dokumencie z 1377 roku<sup>57</sup>. W tym okresie, a także w latach osiemdziesiątych XIV stulecia widać szczególne nasilenie szeregu samodzielnych wystąpień mieszczan lubelskich, co wskazuje na wzrost ich znaczenia. Pierwszy znany ze źródeł zatarg dotyczył sporu pomiędzy kasztelanem i starostą lubelskim a mieszkańcami Lublina. Otóż królowa Elżbieta pod nieobecność króla Ludwika Węgierskiego, poleciła staroście, Piotrowi ze Szczekocin oraz jego następcom, aby nie łamali praw, jakie mieszczaństwo nabyło wskutek przywilejów wydanych przez Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Ponadto w tym samym roku cała rada miasta udała się do obozu Ludwika, który naówczas oblegał Bełz. Król, po rozpatrzeniu przedstawionej mu sprawy, uwolnił od wszelkich opłat dwa łany ziemi poza murami miejskimi, które to tereny znajdowały się przy drodze na Wąwolnicę. Dochody miały być przeznaczone na potrzeby grodu, a szczególnie na udzielanie pomocy licznie do miasta przybywającym biedakom lub wygnańcom, uciekającym przed wojną z Litwinami. Punkt kulminacyjny sporu starosty lubelskiego Piotra z mieszczaństwem miał miejsce dwa lata później. Wówczas do miasta zjechali najznakomitsi panowie Korony, a zatem kasztelan sandomierski i marszałek królestwa w jednej osobie – Jan z Tarnowa oraz wojewoda krakowski Dobiesław. Podjęli panowie decyzję, na podstawie której we wrześniu 1379 roku starosta lubelski pisemnie i uroczyście zobowiązał się do przestrzegania praw przynależnych mieszczanom, a ponadto do wynagrodzenia im poniesionych krzywd, czyli wypłaty sowitego zadośćuczynienia w pokażnej kwocie 100 grzywien. Było to bardzo poważne zwycięstwo, stanowiące dowód na to, że mieszczaństwo stali się już na tyle ważnym czynnikiem władzy, iż nawet możni panowie musieli liczyć się z ich głosem.

Dobry król Władysław zmarł w Krakowie 2 marca 1333 roku. Pozostawił po sobie dwoje dzieci, z których syn, Kazimierz, miał stać się Wielkim. Z wawelskiego sarkofagu

57 Ptaśnik J., op. cit., s. 312–313.

Łokietka spogląda twarz bardzo jasna, słowiańska, a jednak o rysach grubo ciosanych, mimo to niepozbawiona ani majestatu, ani szlachetności. To twarz człowieka, wobec którego historia uczyniła wielki ukłon, pozwalając mu stanąć się jednym z budowniczych polskiej państwowości, a zarazem jednym z władców mocnych w mądrości i dobroci.

*Godnym spadkobiercą Łokietka jest ten jedyny syn jego. Potomność nadała mu zasłużone Wielkiego imię, złość i szyderstwo – przezwisko króla chłopów, które się stało najwyższą jego chwałą. Nie orężem, jak ojciec, miał on już walczyć dla powiększenia państwa i nowych zdobyczy*<sup>58</sup>. Kazimierz wstąpił na tron w sytuacji, jaka wcale nie rokowała pomyślnie nowemu władcy. Kraj był spustoszony i zniszczony przez najazdy tatarskie, krzyżackie, czeskie, brandenburskie. Bogatsze dzielnice nadal były w posiadaniu bogatych sąsiadów. Mazowsze było lennem czeskiego króla, który w swej pazerności zgłaszał również pretensje do polskiego tronu. Kazimierz jako ojcowiznę wziął tygiel sporów, jakie dwa nieudane zlepki – Małopolska i Wielkopolska, wciąż ze sobą prowadziły, skłócając wewnętrznie i tak jeszcze mało stabilne państwo. W 1333 roku faktyczne zjednoczenie było jedynie pobożnym życzeniem, którego wprowadzenie w życie wymagało wielu wysiłków i pozornie wcale nie dawało nadziei na przyszłość. Pozycja Polski po okresie dwustuletniego rozbicia dzielnicowego była co najmniej drugorzędna. A jednak Piastowicz dokonał cudu, bowiem podsumowując jego trzydziestosiedmioletnie panowanie, bilans wychodzi zdecydowanie dodatnio. Za jego czasów obszar państwa wzrósł ponad dwukrotnie, mieszkańców przybyło również. Skarb, o dziwo, co nie jest w dziejach Polski zjawiskiem zwykłym, napełniony został, a to dzięki zmyślnej realizacji różnych zamierzeń. Po pierwsze – Kazimierz zakładał miasta i wsie. Po wtóre – modernizował te już istniejące. Po trzecie – rozwijał handel w oparciu o doskonale przemyślane plany. Po czwarte – rozwijał również górnictwo, a także usprawnił politykę podatkową i przeprowadził szereg reform monetarnych. Stał się też głównym architektem, gdyż za jego panowania zbudowano około siedemdziesiąt punktów obronnych – zamków, ale i murów miejskich, co umożliwiło ustabilizowanie polityczne wewnętrzne i zewnętrzne dość niepewnej wówczas sytuacji. Dzięki reorganizacji wojska zaczęło się ono liczyć na militarnej arenie Europy. Złośliwi nazywali go „królikiem krakowskim”<sup>59</sup>. Niedługo przyszło im używać tego przydomku, bowiem z czasem król Kazimierz stał się arbitrem sporów międzynarodowych, a sam cesarz traktował go jako równego partnera w dysku-

58 Kraszewski I. J., op. cit., s. 137.

59 Samsonowicz H., *Kazimierz Wielki*, [w:] Garlicki A. (red.), *Poczet królów i książąt polskich*, Czytelnik, Warszawa 1984, s. 247.



sji. Był cenionym i poszukiwanym sprzymierzeńcem, aktywnie biorącym udział na forum politycznych rozgrywek Europy. Włączenie do Korony Polskiej ziem Rusi Halickiej spowodowało wprowadzenie w obręb państwa polskiego odmiennego elementu etnicznego, a zarazem i ideologicznego. Tolerancja religijna stała się warunkiem koniecznym do harmonijnego współżycia w ramach różnych systemów kulturowych. Polska zaczęła być makrokosmosem, w którym mieszały się wartości Wschodu i Zachodu.

Był Kazimierz typowym pozytywistą, dalekim od romantycznych uniesień na gruncie restauracji państwowości. Niechętnych nie brakowało, a i cała lista jego błędów istnieje, co wcale nie umniejsza jego dokonaniom. Z charakteru był gwałtowny, okrutny chwilkami, jak lis niestały w sojuszach, bigamii też się dopuścił. Te jego miłosne perypetie zjednywały mu sympatię, zbliżając królewski majestat do poziomu zwykłego człowieka. Był pełen sprzeczności, bowiem miłostki i pogoń za osobistym szczęściem niezbyt pasowały do wizerunku dobrego i zapobiegliwego gospodarza, wspaniałego reformatora i budowniczego kraju. Wykorzystując okoliczności, Kazimierz doprowadził do rozwoju górnictwa, produkcji miejskiej, napływu kapitałów. W Lublinie natomiast zbudował mury miejskie, gdyż i Koziego Grodu nie ominął w swej łaskawości.

Obwarowanie miasta i zamku murami, wybudowanie baszt, bram miejskich i klasztoru Dominikanów to niewątpliwa zasługa króla. Kolejne inwestycje wymagały jednak kolejnych nakładów pieniężnych, a że dotyczyły budowy obiektów miejskich, jakie stanowiły monopol wójta, wójt musiał się z tym faktem uporać. Nie zdołał. Maciej z Opatowca zawiódł pokładane w nim nadzieje i Kazimierz przekazał wójtostwo lubelskie Franczkowi z Moguncji, pochodzącemu najprawdopodobniej z Niemiec mieszczaninowi jednego z polskich miast. Musiał dobrze wywiązywać się z powierzonych mu zadań, bowiem rada miejska za jego czasów nie została powołana, a sam Franczko sprawował niczym nienaruszoną i niepodzielną władzę w mieście. Ława sądowa była wybierana przez wójta i w zasadzie zastępowała go w czynnościach stricte sędziowskich. Nie ma wówczas także mowy o cechach rzemieślniczych, organizacjach, które ze względu na ewentualną siłę i liczebność budziły respekt i każdy wójt musiał się z rzemiosłem liczyć.

W dokumencie sprzedaży wójtostwa w 1342 roku wyraźnie zaznaczono, że do uposażenia wójta nie wchodzi młyn, który znajdował się na podgrodziu i stanowił własność samego monarchy. Równocześnie król rozkazał co do pozostałych młynów – należały one do wójta, aczkolwiek (jak zwykle...) nic nie wiemy na temat ich liczby, atoli, skoro mowa była o młynach, musiały istnieć minimum dwa. Władca na domiar tego przyznał wójtowi prawo do budowy kolejnych tego typu maszynarii, o ile będzie to celowe i za-

sadne. Treść aktu sprzedaży jest również ekscytująca z innego punktu widzenia. Otóż dokonano w nim specjalizacji w dziedzinie przemiału. Od 1342 roku wszystkie słody mogły być mielone jeno w młynie monarszym, a jeśli chodzi o zboże – wedle upodobania klienta albo w wójtowskim, albo w królewskim. Zdaniem niektórych historyków to młyny bezsprzecznie symbolizowały rozwój gospodarczy danego ośrodka miejskiego<sup>60</sup>. Ale, jak to w dziejach Lublina bywa, pełno tu luk i nieudomówień, więc o samych młynarzach akt milczy i wiemy o nich całe nic.

Dokument Kazimierza Wielkiego z 1342 roku wymienia także inne rodzaje rzemiosł, w zasadzie te same, o których mowa w akcie lokacyjnym Łokietka. Tym razem jednak monarcha podkreślił, że wójt w ramach swojego uposażenia otrzymał wszystkie kramy sukiennicze, ławy szewskie i piekarskie. Nadal mimo to, o historio przewrotna i niewdzięczna, nie podano ich liczby. Wprawdzie można przypuszczać, że skoro Lublin rósł w potęgę, to adekwatnie do tego procesu wzrastała liczba jego mieszkańców. A skoro wzrastała, to i samych kramów i ław mogło być więcej.

I Franczko otrzymał jatki rzeźnicze, lecz, o cudzie!, monarcha w swej królewskiej łaskawości i majestacie wreszcie wymienił ich liczby. Było tych jatek trzy. Dużo – niedużo, być może i w rzeczywistości było ich więcej, ale król orzekł jeno o trzech. Logiczne wydaje się, że te trzy przysporzone wójtowi przez króla jatki musiały przynosić tak duże dochody, że Kazimierz stwierdził, iż ten stan w zupełności Franczkowi do życia wystarczy. Franczko zainkasował także ławy rybne. Może sprzedawano tam ryby złowione w lubelskich stawach? Wójt i jego następcy w każdym razie mieli prawo korzystać z zasobu stawów, ale wykonawcami ich woli, ma się rozumieć, byli rybacy. Niektórzy historycy kwalifikują rybactwo jako gałąź rzemiosła spożywczego<sup>61</sup>.

Ponieważ w dokumencie Kazimierza była mowa o mieleniu słoju w młynie królewskim jedynie, od razu nasuwa się prosty wniosek, że w Lublinie pędziło sobie żywot piwowarstwo i słodownictwo. Ten młyn mełł więc słody dla rzemieślników, którzy parali się tymi jakże szlachetnymi zawodami.

Mimo dość skomplikowanej sytuacji wojskowej, a przede wszystkim politycznej na przestrzeni XIV wieku, Lublin cieszył się dużym poparciem i życzliwością kolejnych monarchów. W czasach Kazimierzowych już pojawiały się tendencje wyodrębnienia ziemi lubelskiej z dzielnicy sandomierskiej. W dokumentach znalazły się adnotacje, że starosta

60 Ziółkowska H., *Poznań w okresie tworzenia się państwa Piastów i feudalnego rozdrobnienia kraju (IX – połowa XIII w.)*, [w:] Malinowski K. (red.), *X wieków Poznania*, t. I, Wydawnictwo „Sztuka”, Warszawa 1956, s. 57.

61 Topolski J., *Gniezno miejscem wielkich jarmarków*, [w:] Topolski J. (red.), *Dzieje Gniezna*, PWN, Warszawa 1965, s. 304.

lubelski był o wiele lepiej wyposażony niż pozostali panowie małopolscy (z wyjątkiem Sącza), którzy piastowali urzędy państwowe. Mieliśmy też swojego wojskiego i chorążego lubelskiego. Lublin, jak soczewka, skupiał w sobie efekty koniunktury gospodarczej. Rozwój lokacji wsi na prawie niemieckim i rozpowszechnianie się gospodarki pieniężnej umacniały lokalną wymianę. Ogromne możliwości dawał też bieg szlaków handlowych. Zajęcie przez Koronę Rusi Czerwonej i nawiązanie kontaktów z nieźle prosperującymi koloniami genueńskimi nad Morzem Czarnym, dzięki energicznemu poparciu kolejnych królów, otwierało przed mieszczanami całą panoramę możliwości.

W 1349 roku Kazimierz Wielki na mocy umowy zawartej z Krzyżakami zagwarantował pruskim kupcom swobodę przemieszczania się na Ruś, a szlak im wytyczył właśnie przez Lublin i to tędy wiodła droga na Włodzimierz.

W II połowie XIV stulecia mieszczaństwo lubelskie było samodzielną grupą, posiadającą ogromny potencjał polityczny i społeczny. Dzięki swojemu uporowi i konsekwentnemu działaniu złamano opór starosty, mądrze wykorzystując koniunkturę gospodarczą, zabezpieczając swój byt i byt przyszłych pokoleń na drodze przywilejów prawnych.

Kazimierz Wielki nie pozostawił po sobie męskiego potomka. Tron objął jego siostrzeniec, syn Elżbiety Łokietkówny, Ludwik. Wojny wuja z Rusią doprowadziły do bezpośredniego zaangażowania się Ludwika w północną politykę. Za cenę uznania go następcą ostatniego Piasta, szlachta polska wymogła na nim obietnice określające przyszłe świadczenia rycerstwa na rzecz państwa, co miało miejsce pod Lublinem w 1354 roku i w Budzie w 1355. Bezpomna śmierć Kazimierza w 1370 roku zahamowała wzrost znaczenia polskiego państwa. Tron objął, wcześniej nań desygnowany, król węgierski, ów Ludwik właśnie, ale mimo rozkwitu handlu, kierował swoją uwagę raczej na sprawy własnego państwa, czemu dziwić się raczej nie można.

W czasie jego krótkiego panowania poziom anarchii znacząco wzrósł, Korona traciła ziemie na rzecz Brandenburgii i Litwy, Władysław Biały natomiast próbował sobie uzurpować prawo do królewskiego berła. Źle się działo. Chcąc zapewnić sukcesję swojej córce, Ludwik wydał w Koszycach przywilej, jaki będzie podstawą do wszelkich roszczeń szlachty. Na jego mocy gwarantowano królowi tylko jeden stały podatek, który wynosił 2 grosze z łana. Jeśli król chciał od tego momentu uzyskać jakieś dodatkowe fundusze na potrzeby państwa, musiał prosić o zgodę panów polskich. Odtąd coraz bardziej stan szlachecki stawał się nie przedmiotem, a podmiotem polityki, reprezentując raczej własne interesy, niż państwowe, i to niezależnie od dynastii aktualnie panującej. Ludwik zmarł w 1382 roku, a wówczas zaczęła się prawdziwa jatka. W Wielkopolsce przybrała

nawet postać otwartej wojny domowej, a poczesną rolę odgrywał w niej starosta. Od głównych rodów, jakie brały w niej udział, określa się ją mianem wojny Grzymalitów z Nałęczami. Grzymalicy popierali kandydaturę Siemowita IV, faworyzowanego również przez Krzyżaków. Jednakże to grupa skupiona wokół Spytka z Melsztyna, Jana z Tarnowa i Klemensa z Moskorzewa oraz Jana Kmity uzyskała znaczącą przewagę, więc do tronu zaczęła pretendować najstarsza córka zmarłego króla, Maria. Szkopuł tkwił w tym, że była ona żoną Zygmunta Luksemburskiego, którego notowania wśród Polaków właściwie równały się zeru. W 1384 roku szlachta, pod groźbą detronizacji Andegawenów, wymogła przyjazd do Krakowa młodszej córki Ludwika, Jadwigi. Jak tylko dziewczę przybyło do Polski, prędko założono jej koronę na skroń. *Na tle całych dziejów Polski, nawet w wiekach, które na Zachodzie wydawały istne potwory okrucieństwa i rozwiązości, nie spotykamy ani jednej takiej postaci, któraby wstręt budziła i ohydę. Nasi królowie,*



bohaterowie mają namiętności właściwe ich krwi, obyczajom i epokom, w których żyli; ale hamulec pobożności i wstydu nie dopuszcza w nich zbytowego rozpasania. Straszne owo morderstwo św. Stanisława jest dziełem uniesienia chwilowego, bo nawet nieprzyjaciele Bolesława nie zarzucają mu okrucieństwa. Natomiast ileż to jasnych i pięknych postaci mężów i niewiast! Ile charakterów rycerskich! Żadna z nich wszakże pięknocią, szlachetnością anielską, wdziękiem czystym nie dorównywa królowej Jadwidze<sup>62</sup>.

Jej narzeczony nie znalazł już uznania w oczach polskich panów, obawiających się (i słusznie) supremacji Habsburgów, więc rychło postarano się o jego wydalenie poza granice Korony. Jadwigę trzeba było mądrze wydać za męża, toteż już w 1385 roku zaczęto prowadzić pertraktacje z wielkim księciem litewskim, Jagiełłą, który w Krewie zobowiązał się, w zamian za rękę Jadwigi, do przyłączenia Litwy do Polski i przyjęcia wraz z poddanymi chrztu w obrządku łacińskim. W Lublinie, podczas swej podróży do stolicy, Jagiełło został obwołany królem przez rycerstwo, jakie przybyło na ten zjazd z terenu całej Polski. Było to o tyle doniosłe wydarzenie, że nie tylko zapoczątkowało rządy nowej dynastii, ale stanowiło równocześnie pierwszą powszechną elekcję, stając się na przyszłość precedensem.

62 Kraszewski J. I., op. cit., s. 168.

## Anielskie emporium – miasto umiłowane

*A gdy na sąd ostateczny wezwą mnie z góry  
Wstanę, by jeszcze raz ujrzeć kochane mury.  
Wówczas, gdy mię Bóg zapyta: „Czego ci trzeba?”  
Powiem: „Panie! bez Lublina nie chcę i nieba!”<sup>63</sup>*

Rzemieślnicy zamieszkiwali Lublin przed sławetną datą 1317 roku, będąc przedstawicielami zawodów, jakich w mieście najbardziej potrzebowano w życiu codziennym. Reprezentanci profesji artystycznych przybyli do Lublina raczej nieco później. I oni zaczęli tworzyć swoje organizacje zawodowe, ale dopiero w latach trzydziestych XV wieku, aczkolwiek przyjmuje się, że te bractwa w swej niesformalizowanej postaci istnieć już musiały w ostatnim ćwierćwieczu XIV stulecia. Niestety, można dziś wyłącznie domniemywać, czy wśród nich byli i złotnicy. Być może pierwszym złotnikiem, jaki osiadł na lubelskiej ziemi w 1415 roku, był Bartosz Tasmarr, *aurifaber*<sup>64</sup>, pochodzący prawdopodobnie z Niemiec<sup>65</sup>. Tego samego roku Pańskiego przyjęty został do prawa miejskiego również złotnik Piotr. W 1420 roku przybył kolejny złotnik Piotr, tym razem z Pragi. Wolno nam zatem stwierdzić, że te trzy znane z imienia i pochodzenia osoby utworzyły zacyzyn lubelskiego złotnictwa, rozwijającego się szczególnie w XVI i XVII stuleciu.

Wiek XIV był dla Lublina okresem oszałamiającego rozwoju. Powstanie dynamicznego ośrodka miejskiego umożliwiła szczególna, matczyna protekcja polskich królów, a zwłaszcza Jagiellonów. Kolejne przywileje ugruntowały pozycję Koziego Grodu

63 Barwicki W., *Lublin w pieśni. Przygrywka*, [w:] Michalski W., op. cit., s. 64.

64 Łac. złotnik.

65 Rolska-Boruch I., *Cech złotników lubelskich (XVI–XVII w.)*, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1997, s. 9.



pośród innych miast. Lublin stał się miastem umiłowanym. Pokażny wpływ na taki stan rzeczy miało także dogodne, acz specyficzne położenie geograficzne niemal w samym centrum ziem polskich, co tylko sprzyjało jakże szerokiej wymianie towarów z różnych krajów. Jednym z bardziej zbawiennych czynników intensyfikacji życia gospodarczego i społecznego naszego miasta było genialne wręcz w swej konsekwencji ustanowienie jarmarków. To w Lublinie właśnie zbiegały się drogi handlowe z Rusi, ze Lwowa, z Litwy. Tu przecież dochodziło do ważkiego wydarzenia, jakim była sprzedaż towarów z Norymbergi, Mołdawii czy południowych Niemiec. Przyjmuje się, że co najmniej od połowy XVI wieku w jarmarkach lubelskich uczestniczyli kupcy ze Śląska, z Gniezna, z Poznania czy z Gdańska, a te kontakty miały wyraźne znamiona targów międzynarodowych. Idealne niemal położenie miasta na pograniczu trzech gospodarczych sfer umożliwiało wykrystalizowanie się centrum handlowo-produkcyjnego Korony. Intensywny rozwój Lublina przyciągał rzesze rzemieślników i kupców. Rada miejska, jaka została powołana do życia, niestety początkowo składała się z samych kupców, którzy niechętnie dążyli do ograniczenia praw rzemiosła, gdyż doskonale zdawali sobie sprawę z siły i potencjału, jakie w nim drzemały. Kupcy na tyle obawiali się rzemieślników, że w roku 1455 rajcy wydali zakaz ich gromadzenia się bez uprzedniej zgody zakazujących. Druga połowa XV wieku upłynęła pod znakiem ofensywnej walki rzemiosła z kupiectwem, którą, oczywiście, wygrało rzemiosło, ponieważ już w 1460 roku jego przedstawiciele weszli w skład rady. Wówczas to po raz pierwszy prawdopodobnie rzemieślnicy wzięli czynny udział w zarządzaniu miastem, a rok wcześniej złotnik Hanusz został miejskim ławnikiem. Po nim, w latach 1465 oraz 1467–1469 członkiem ławy był mistrz Michał, a w 1466 roku – Stefan.

XV stulecie to synonim nadal jeszcze skąpych dokumentów, które mogą nam dać jakieś konkretne informacje na temat lubelskiego rzemiosła. Dzięki Jagiellonom i zawarciu unii polsko-litewskiej, miasto przeistoczyło się w pokaźne centrum gospodarcze, gdzie stworzono dogodne warunki do działalności wytwórczej. W XV wieku Kozi Gród zamieszkiwało 488 rzemieślników, którzy wykonywali 39 rzemiosł w obrębie 7 branż. Istniała więc branża skórzana, w której skład weszli szewcy, kuśnierze, siodlarze, rymarze, czerwonoskórnicy i białoskórnicy, w sumie 144 wytwórców. Branża spożywcza składała się z 89 rzemieślników – rzeźników, piwowarów, piekarzy, młynarzy, winiarzy, rybaków i olejarzy. Wśród branży włókienniczej można było znaleźć krawców, czapników, sukienników, tkaczy, postrzygaczy płótna i powroźników, co dawało w sumie 78 producentów. W branży metalowej (62 rzemieślników) pracowali kowale,



ślusarze, złotnicy, miecznicy, nożownicy i konwisarze<sup>66</sup>. Sektor budowlany obfitował w cieśli, murarzy, zdunów, garncarzy, szklarzy i strycharzy<sup>67</sup>. Z tą branżą identyfikowało się 38 wytwórców. Branża drzewna składała się z bednarzy<sup>68</sup>, kołodziejów i stolarzy. W sektorze usługowym pracowali łaźiebnicy<sup>69</sup>, balwierze<sup>70</sup>, mydlarze, malarze oraz woskobojnicy<sup>71</sup>, a było tych rzemieślników 15<sup>72</sup>.

Trzeba mimo to mieć na uwadze, że te liczby nie do końca odzwierciedlają stan faktyczny i w istocie rzemieślników mogło być więcej. Znane nam współcześnie dokumenty z pewnością nie ujmują wszystkich mieszczan zajmujących się rzemiosłem, nie wszyscy bowiem figurują w źródłach sądowych. Miarodajne jest to, że na przykład w 1419 roku mowa jest o cechu czapniczym, jaki wówczas w Lublinie funkcjonował, a zatem musiał powstać przed tą datą! Z drugiej jednakowoż strony jest to jedyna adnotacja o istnieniu tej branży w I połowie XV wieku. Nie odnotowano natomiast z imienia żadnego przedstawiciela tego zawodu. Logiczne wydaje się, iż najliczniejsze były pod względem wykonywania te rzemiosła, na które w mieście był największy popyt.

Rzemiosło lubelskie w XV wieku miało się naprawdę dobrze. Owszem, nie dorównywało takim ówczesnym molochom, jak Poznań, Kraków czy Wrocław, gdzie wcześniejsze lokacje spowodowały wcześniejszy rozkwit tych ośrodków miejskich. Poza tym na ten fakt miały wpływ rozmaite czynniki polityczne. Migracje rzemieślników, wynikające z atrakcyjności naszego miasta w oczach ówczesnych, owocnie odbijały się na liczebnym rozwoju rzemiosła. W latach 1406–1437 prawo miejskie przyjęło 77 wytwórców. Wśród nich byli i tacy, przy których nazwiskach na szczęście nie zapomniano odnotować wcześniejszych miejsc pobytu lub ich pochodzenia. Wywodzili się z Drohiczyna, Wyszogrodu, Łowicza i Opatowa, a nawet zaszczylił nas swoją obecnością jeden krawiec aż z Gdańska. Byli też tacy, którzy pierwotnie na wsiach wykonywali swoje rzemiosło – a więc niejaki Jaki *sartor*<sup>73</sup> de Konopnicza, Jan *sartor* de Chłopowo. Wśród nich

66 Konwisarstwo to dział rzemiosła zajmujący się wyrobem – techniką odlewania lub wykuwania – oraz obróbką przedmiotów ze spiżu lub cyny.

67 Strycharz – rzemieślnik zajmujący się wyrobem cegieł, inaczej ceglarz.

68 Bednarz – rzemieślnik zajmujący się wyrobem naczyń drewnianych metodą klepkową – kadzi, beczek, kufli, wiader, wanienek, dzieży, balii, cebrzyków, łopat do chleba czy wiader.

69 Łaźiebnik – rzemieślnik zatrudniony w łaźni publicznej, gdzie trudnił się przede wszystkim przygotowywaniem kąpeli.

70 Balwierz – osoba wykonująca ten zawód zajmowała się rwaniem zębów, goleniem, czyszczeniem uszu, kąpielami, puszczaniem krwi oraz mało skomplikowanymi zabiegami chirurgicznymi, a także leczeniem niektórych chorób.

71 Woskobojnik – zwany też niekiedy woskobojem, rzemieślnik trudniący się obróbką wosku.

72 Nowak B., *Rzemiosło Lublina od XIV do połowy XVI wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1991, s. 21.

73 Łac. krawiec.

był i Mikołaj *faber*<sup>74</sup> de Ossilino albo Jan *sutor*<sup>75</sup> de Rodathycze. Cudzoziemców też nie brakowało, czego można domniemywać na podstawie analizy językowej nazwisk rzemieślników. Być może więc był sobie złotnik z Pragi (Piotr de Praga) i czeski kuśnierz (Mikołaj Czech). Wyszczególnianie przezwisk bądź dodawanie miejscowości, z której przybyli, nierzadko ułatwia identyfikację samej narodowości. Trochę bałaganu wprowadzają w te reguły Niemcy. To, że mieszkali w Lublinie jest więcej niż pewne, problem natomiast tkwi w określeniu ich rzeczywistej liczby. W pierwszej połowie XV stulecia odnotowano zaledwie dziesięciu, lecz nie do końca wiemy, czy akurat ci byli Niemcami i czy byli to wszyscy Niemcy, jacy trafili do Lublina. Można więc sądzić, że Nickel rzeźnik był Niemcem z pochodzenia, gdyż na to wskazuje jego imię. Podobnie rzecz się ma z piwowarem Andrzejem Reusem lub szewcem Piotrem Freylichem albo kuśnierzem Janem Schrimmerem. Językowa jazda bez trzymanki zaczyna się dopiero przy rymarzu Byalyanie i krawcu Dzenie, bowiem nie sposób dociec, skąd owi panowie pochodzili.

Sami lublinianie też emigrowali. W latach 1396–1450 prawo miejskie nadano w Krakowie 20 przybyszom z naszego miasta, wśród których było aż 5 rzemieślników. W takiej samej liczbie odnotowano ich w księgach lwowskich.

Koniec XIV wieku przyniósł wydarzenia, które okazały się przełomem nie tylko w dziejach Lublina, ale i samego państwa. Jednym z nich była pierwsza unia polsko-litewska. Od chwili jej zawarcia Lublin kwitł jeszcze bardziej, jako że stał się miastem prawdziwie przez Jagiellonów umiłowanym. Wzrost znaczenia grodu nie pozostał obojętny dla jego powierzchni. Już w pierwszej połowie XV stulecia miasto w obrębie murów stało się zbyt ciasne dla realizacji potrzeb, jakie przede wszystkim wynikały z życia gospodarczego. Wówczas to powstały przedmieścia. Do rozbudowy miasta przyczyniła się także omawiana wcześniej rosnąca liczba jego mieszkańców. Aglomeracja lubelska zapewniała nieustannie zapotrzebowanie na produkty i usługi rzemieślnicze, więc Lublin jak magnes przyciągał nowych mieszczan. Chłonny jak gąbka rynek potęgował handel i ten lokalny, i ten wielki, dostarczający wytwórcom potrzebnych do ich działalności surowców. Szacuje się, że 1/5 ogółu mieszczan zajmowała się rzemiosłem, a tych mieszkańców było w pierwszej ćwierci XVI wieku 4250, a w połowie tego stulecia – już 5500.

W dokumencie wystawionym w Wilnie 18 kwietnia 1383 roku wielki książę litewski Jagiełło (wraz ze swoim bratem Skirgiełłą) zezwolił *naszym kochanym mieszczanom z Lublina* na swobodne prowadzenie handlu na całej Litwie i swobodne przekraczanie

74 Łac. rzemieślnik, ale też cieśla, kowal.

75 Łac. szewc.



granic Litwy i Korony, ilekroć tylko przyjdzie im na to ochota<sup>76</sup>. Potwierdzeniem litewskiej życzliwości było to, że właśnie nie kto inny, a starosta lubelski, Włodko z Charbinowic, stanął na czele poselstw (w 1385 i 1386 roku), wysłanych najpierw do Budy, a następnie do Wołkowyska w celu sfinalizowania planów małżeństwa Jagiełły i Jadwigi. Kolejnym dowodem owej życzliwości jest dokument pochodzący z 11 stycznia 1386 roku, na podstawie którego Jagiełło obejmuje tron polski, a Włodko wymieniony jest na pierwszym miejscu ani chybi jako lubelski starosta.

Unia Polski z Litwą spowodowała, że Lublin znalazł się na pograniczu kulturowym i gospodarczym Korony Polskiej, Litwy i Rusi, co z biegiem czasu pozwoliło na osiągnięcie przez miasto jednego z poczesnych miejsc na mapie ówczesnej Rzeczypospolitej i stworzyło warunki wymiany handlowej słynne na całą Europę. Jagiełło przypieczętował tę pozycję dwoma kolejnymi, ogromnej wagi przywilejami. Na mocy pierwszego z nich nadał naszemu miastu prawo składu, czyli zobowiązał wszystkich kupców przejeżdżających przez Lublin do wystawiania swoich towarów w mieście aż przez osiem dni. Drugi z przywilejów dotyczył wyrażenia zgody na organizację w czasie Zielonych Świątek długich, bo szesnastodniowych jarmarków. Za czasów Jagiellonów Lublin ukształtował się już na wzór wielkich ośrodków miejskich zachodniej Europy. Finał natomiast stanowiło wyodrębnienie się silnej grupy społecznej, którą charakteryzowało głębokie poczucie przynależności do miasta.

*Długie panowanie Jagiełły, ciągnące się od r. 1386 do 1434, charakter jego, wpływ na wyrabiające się nowe stosunki społeczne, na sam ustrój rządowy Polski i Litwy – były niezmiernej dla obu krajów doniosłości. Mąż wielkiej energii i wykształcenia, samoistności, a chociażby swego instynktu, którym obdarzeni bywają monarchowie dla krajów, w których są zrodzeni – król bohater, podbójca, byłby w Polsce ład zaprowadził, a władzę swą ukrzepił i następnie zdał silną. Jagiełło nie był ani genialnym, ani energicznym. Przybywał do kraju zupełnie sobie nieznanego, obcego, niedawno nawet wrogiego, zmuszony okupować się za to, że go wezwano i przyjęto. Przybywał z pojęciami o władzy, które się tutaj utrzymać nie mogły i natychmiast wyrzec się ich było potrzeba<sup>77</sup>. Czy Kraszewski rzeczywiście miał rację oceniając tak surowo pierwszego Jagiellona? Jadwiga postrzegала go jako nie tylko poganina, ale i nieokrzesanego barbarzyńcę. Trudna sytuacja zarówno wewnętrzna, jak i zewnętrzna wymagały rzeczywiście ogromnej giętkości i obrotności.*

<sup>76</sup> Kłoczowski J., *Lublin po nadaniu prawa miejskiego*, [w:] Dobrzański J., Kłoczowski J., Mazurkiewicz J., Mencil T., Myśliński K., Ćwik W. (red.), op. cit., s. 55

<sup>77</sup> Kraszewski J. I., op. cit., s. 177.

Wbrew słowom Kraszewskiego nie brakło ich Jagielle, acz spryt nie zawsze szedł w parze z dotrzymywaniem przyjętych przez niego zobowiązań, czy nawet, o zgrozo, dotrzymywaniem lojalności chociażby w odniesieniu do najbliższych.

Od momentu objęcia tronu polskiego Jagiełło diametralnie się zmienił. Nie musiał już działać w myśl zasady *per fas et nefas*, a ciężąca na skroniach korona zobowiązywała do postępowania, jakie odpowiadałoby piastowanej funkcji, a przede wszystkim regułom gry, które przyjęto w Polsce. Ale i sam Jagiełło mocno zaangażował się w sprawy swojej nowej ojczyzny. Regularnie, corocznie objeżdżał wszystkie ziemie Królestwa Polskiego, na miejscu rozstrzygając spory, sprawując sądy, a jednocześnie kontrolując poczynania starostów i urzędników ziemskich. Na Litwę wyjeżdżał w końcu listopada, by spędzić tam Boże Narodzenie oraz Nowy Rok. Między podróżami, chcąc nie chcąc, mieszkał na Wawelu, którego wręcz chronicznie nie znosił, więc wolał przebywać w Korczynie, gdzie kazał pobudować rezydencjalny dwór.

Chcąc przezwyciężyć opór rady królewskiej, kiedy to starał się zapewnić sukcesję swemu pierworodnemu, Władysławowi, zrodzonemu z Sonki Holszańskiej, monarcha szukał poparcia w miastach. Jednakowoż sojusz miast i króla był za słaby, by przeciwstawić się możnowładcom i ślepo podążającej za nimi szlachcie. Skoro nie udało się złamać opozycji, król postanowił ją przekupić, a była ona łasa na przywileje. W marcu 1430 roku na mocy przywileju jedlneńskiego król potwierdził wszystkie prawa szlacheckiego stanu, dodając do nich słynną zasadę *neminem captivabimus nisi iure victum*. W zamian za takie prerogatywy szlachta w miarę ochoczo przystąpiła na powołanie na tron jednego z synów Władysława Jagiełły w przypadku jego śmierci. Zatem pozorne jest mniemanie, że choć Jagiellonowie panowali w Polsce niemal przez dwa stulecia, a sukcesja opierała się na prawie dziedziczenia, gdyż tak naprawdę w grę wchodziła elekcja, która, na szczęście, w praktyce nie wybiegała poza obręb Jagiełłowych potomków.

Rozsądny kompromis, jaki wypracował Jagiełło, pozwolił na neutralizację litewskiego i ruskiego separatyzmu. Nawet z Witolda uczynił lojalnego i cennego współpracownika. Władysław, bardzo przywiązany do Litwy, dbał równie troskliwie o interesy Polski, godnie też ją reprezentując. Nie bierzmy za złe, że łączył to ze swoimi wizjami dynastycznymi. Bywał uparty, nawet często, ale doskonale rozumiał, że polityka jest sztuką realizacji rzeczy możliwych i rozgrywał trudne politycznie partie z możnowładztwem, które, jak wiadomo, posiadało swoją wizję świata. Czasami ustępował, ale potem zyskiwał w drugim podejściu.

Jagiello nie należał do religijnych fanatyków, pielęgnował pokojowe współzycie z prawosławiem. Nie będąc człowiekiem wykształconym, świetnie rozumiał potrzebę nauki i wiedzy. W obejściu codziennym był bezpośredni i prosty. Jadał niewyszukane potrawy, nie pijał piwa ni syconych miodów, a jeno wodę. Jego ulubioną rozrywką były polowania.

Kochał ten król przyrodę i do późnych lat swego życia zachował wrażliwość na jej surowe piękno. Umarł w zasadzie w wyniku tej miłości, na zapalenie płuc, którego nabawił się podczas pobytu w Medyce. Miał w zwyczaju chadzać do lasu, by posłuchać śpiewu słowików, ale tym razem za dużo czasu spędził na świeżym powietrzu, mocno się przeziębając. Zmarł 1 czerwca 1434 roku, pozostawiając po sobie związek dwóch państw, może jeszcze niespójny, ale już zaliczany do potęg ówczesnej Europy.

Przywilej Jagielly z 1383 dla kupców lubelskich potwierdza, że byli oni pionierami na polu handlu z Litwą. W Lublinie zaczęli się osiedlać i mieszczenie litewscy. Najbardziej z nich przedsiębiorczym był Maciej z Trok, bogaty kupiec sukmem, a zarazem i członek rady miejskiej. W 1405 roku Lublin uzyskał następne prerogatywy, dzięki którym został zwolniony od ceł na terenie całego państwa, a więc wówczas już i na terenie Rusi i Litwy. Miasto potrafiło się odwdziżyć Jagiellonom za ich dobroć i życzliwość. Przez pierwsze lata swoich rządów Kazimierz Jagiellończyk spotykał się z silną opozycją panów polskich. Z tego względu musiał, jak i ojciec, szukać poparcia wśród innych sił i innych warstw społecznych, wśród miast właśnie. A Lublin go nie zawiodł. Dlatego też i Kazimierz pamiętał o mieszczanach i w 1448 roku powiększył liczbę jarmarków aż do czterech rocznie, a zrobił to tak, że na kwartał przypadał jeden jarmark. W 1450 roku monarcha przekształcił trakt handlowy, wiodący z Wrocławia przez Radom i Lublin do Lwowa, w drogę otwartą dla wszystkich. Ilość przywilejów rosła, a wraz z nią i znaczenie Lublina. Król zezwolił na mierzenie i taksowanie przez miasto przywożonego na jarmarki sukna. Kozi Gród otrzymał również prawo do zbudowania smatruza, to znaczy kramnicy, gdzie kupcy mieli możliwość sprzedaży swoich towarów. Powołano do życia miejskie urzędy tragarstwa i wagi, wytyczono szlak przepędzania wołów z Rusi na tereny zachodnie.

Rola Lublina nie wynikała wyłącznie z dogodnego położenia geograficznego. Równie ważny czynnik rozwoju stanowiło rzemiosło. Wiemy już, że rzemieślników branży spożywczej (piekarzy i rzeźników) wymienia akt Łokietka, a na przestrzeni XV stulecia wzrosło znaczenie krawców, płócienników i rymarzy, jak również najbogatszych wśród rzemieślniczej braci – kuśnierzy i złotników. Mimo to rzemieślnicy dość długo nie mogli doczekać się własnych organizacji zawodowych,

czyli cechów. Konkretnie informacje pochodzą z lat trzydziestych XV wieku, kiedy to rzemieślnicy występowali kontra decyzjom rady miejskiej. To właśnie rada stanowiła centralny punkt oporu przeciwko utworzeniu cechów, gdyż zdawała sobie sprawę z konsekwencji, jakie mógłby przynieść kupcom wzrost znaczenia rzemiosła.

Cechy były tworzone na zasadzie analogii do organizacji Europy Zachodniej. Tam to ukonstytuowały się po raz pierwszy, tam też stworzyły (zaszczepione następnie na grunt polski) zasady i formy prawne. Mimo tego, że pierwotnie wykształciły się poza granicami Korony Polskiej, znalazły na polskiej ziemi doskonałe miejsce do rozwoju, a trafiły tu wraz z ewolucją miast. Europejskie ośrodki miejskie przeobraziły się w jednostki organizacyjne posiadające swój ustroj administracyjny i sądowniczy. Wyróżniały się także określonym stosunkiem do państwa i mieszkańców wewnątrz tego państwa. Wobec państwa występowały jako osoba prawna, będąca odrębną całością. Cechy były korporacjami rządzącymi się autonomicznie. Wewnątrz miały to do siebie, że posiadały ściśle ułożoną hierarchię, a jednocześnie ściśle określony stosunek do miasta na zewnątrz.

Korporacje zrezygnowały z zasady indywidualizmu, opierając się na zasadzie zbiorowości, co było odzwierciedleniem ducha czasu. Epoka ustroju stanowego była okresem łączenia się w jednolite, spójne wewnętrznie organizacje, oparte na wspólnych celach, interesach i zadaniach. Rozwojowi korporacji rzemieślniczych sprzyjał dominujący w średniowieczu uniwersalizm, a wszechogarniające w jego imię pojęcie jedności jako emanacja dominacji religii chrześcijańskiej stwarzało idealne podstawy ideologiczne, a w konsekwencji również kulturowe i ekonomiczne, do tworzenia i utrwalania się roli cechów w świadomości społecznej. Idee św. Tomasza z Akwinu były bardzo żywe, dotyczyły nie jednostki, a ludzkości, mówiły o ludzkości w ogóle. Duch chrześcijańskiej supremacji sprawił, że miasta, więc i organizacje rzemieślnicze, przerodziły się jednocześnie w bractwa religijne. Pociągało to za sobą szereg następstw.

Przyjęta w średniowieczu zasada wyznaniowości skutkowała tym, że obywatelami danego miasta (*civitas*) mogli być wyłącznie chrześcijanie. Powodowało to, że Żydzi nie mogli być nie tylko mieszczanami, ale i członkami cechów. Przeszczepione na grunt polski korporacje rzemieślnicze miały więc charakter wyłącznie chrześcijański.

Lublin, stając się pełnoprawnym miastem, oparł się w tym procesie na wzorach zagranicznych. Sytuacja cechów w całym Królestwie Polskim nie należała do łatwych, bowiem stanowiły one cel ataków najpierw kupców, a potem i szlachty. Raz je likwidowano (Władysław Jagiello), a mimo że faktycznie dalej działały, to wymagały prawnej reakty-

wacji za Jana Olbrachta. Zygmunt I Stary potwierdził ich obecność, by następnie zniósł je Zygmunt August. Zaszlepią prywatnymi interesami szlachta dążyła do kasacji cechów, widząc w nich zagrożenie dla swoich gospodarczych i politycznych zapędów. Określona w ramach cechów hierarchia i kult pracy stały w zdecydowanej opozycji do szlacheckiej lekkomyślności.

Nadawanie cechom lubelskim statutów rozpoczęło się w I połowie XVI wieku. Mając już formalne podstawy, rzemiosło w tym okresie weszło w fazę bardzo intensywnej działalności. Pierwszy znany statut (1535 r.) dotyczył krawców, rok później został nadany i kowalom. W 1544 roku statut otrzymali między innymi stolarze i bednarze, a w 1546 roku – konwisarze. Trzy lata później też i kuśnierze. Można więc przyjąć, że lata trzydzieste XVI stulecia to okres zaistnienia cechów w ich sformalizowanej prawnie postaci. Wiemy też, jednakże, że cechy jako organizacje rzemieślnicze zwyczajowo funkcjonowały na terenie Lublina już znacznie wcześniej. Jedne z pierwszych wzmianek o rzemiosle dotyczą szewców i słodowników, a informacja o cechach pochodzi z 1432 roku. Mówi ona o uchwale, jaką podjęli miejscy rajcy, nowi i starzy, z ławnikami i cechmistrzami. Na tej podstawie zakazano mieszkańcom Lublina zwracania się do innych sądów poza miejscowymi. W tej uchwale cechmistrzowie określani są jako *magistri mechanicorum*<sup>78</sup>. W zbiorze *Constitutiones seu arbitria* z 1455 roku czytamy o kolejnej decyzji, jaką powzięli rajcy lubelscy, w tym cechmistrzowie. Jednocześnie ten akt prawny wyjaśnia sens słów *magister mechanicorum*, tłumacząc je jako równoznaczne z *cechmagister*, czyli cechmistrz. Jest to kolejny dowód na to, że organizacje rzemieślnicze istniały daleko wcześniej, zanim statuty określiły ich formalnoprawny charakter. Wydaje się zatem naturalne stwierdzenie, że od początku XV wieku cechmistrzowie stanowią ważny i integralny czynnik w ustroju oraz zarządzie miasta. W 1483 roku Kazimierz Jagiellończyk wydał akt, na mocy którego zatwierdzono ugodę pomiędzy rajcami, ławnikami, cechmistrzami i pospólstwem Lublina z jednej strony, a z drugiej – z mieszkańcami przedmieść. Cała sprawa dotyczyła wyboru rajców, ale najważniejsze jest to, że znów mowa o cechmistrzach, którzy zdobyli status elementu ustrojowego miasta.

Cechmistrzowie występują w dokumentach miejskich jeszcze parokrotnie. Po pierwsze w roku Pańskim 1504, kiedy to upoważniano delegatów mieszczaństwa lubelskiego do wykupu wójtostwa z rąk Morsztynów. Następnie 2 lata później, a wówczas miasto zawarło umowę z rurmistrzem; potem w 1522 roku – ustalając zasady, że rajcy miejscy są zobowiązani przedkładać do wglądu rachunki komisji złożonej z ławy i dwóch cech-

78 Mazurkiewicz J., *Początki ustroju cechowego w Lublinie*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1948, s. 10.

mistrzów. Akt Zygmunta I Starego dotyczył natomiast wyboru wójta sądowego, który to wybór był odtąd dokonywany łącznie przez rajców i delegatów cechów.

Wiedzy o ówczesnym rzemiosle dostarczają ponadto dwa rejestry. Pierwszy z nich jest częścią księgi rachunkowej, pochodzi z 1524 roku i ma charakter wybitnie podatkowy. Jest to jedyny znany nam obecnie pełny spis mieszczan, którzy w owym czasie płacili podatek na rzecz ekwipażu. Drugi rejestr za to jest w rzeczywistości wykazem płatników szosu<sup>79</sup> z lat 1554–1558.

Ten pierwszy rejestr wyszczególnia aż 199 nazwisk w mieście, 173 na Krakowskim Przedmieściu oraz 70 na Czwartku i folwarkach nad stawem. Łącznie dotyczy 442 osób, będących samodzielnymi głowami rodzin. Jest on podstawą, dzięki której możliwa jest identyfikacja zawodowa lublinian z tamtego okresu. A zajęcia były przecież tak różnorodne! Mieszkali bowiem w Lublinie i finansiści, i kramarze, i kupcy, i rzemieślnicy, i furmani, a nawet rolnicy, nie mówiąc już o służbie miejskiej. Najliczniejsi byli, a jakże, rzemieślnicy, zidentyfikowano ich 209, co stanowiło 47,3% wszystkich, których w rejestrze wymieniono. Wtedy to przedsiębiorcy wykonywali 37 zawodów. W branży skórzaney znaleźli się podówczas szewcy, kaletnicy, paśnicy, kuśnierze, rymarze i siodlarze (42 osoby łącznie). W specjalizacjach branży spożywczej funkcjonowały również 42 osoby, a z zawodu były one piekarzami, piwowarami, rzeźnikami, olejarzami czy młynarzami. Wśród rzemieślników branży metalowej wyróżniano ślusarzy, kowali, mieczników, złotników i konwisarzy, w sumie 40 producentów. Wewnątrz specjalizacji branży włókienniczej mieliśmy krawców, czapników, powroźników, tkaczy i postrzygaczy sukna, ogółem 28 osób. Tyleż samo było w sektorze drzewnym: bednarzy, stolarzy, kołodziejów, szklarzy i strycharzy. Usługodawców, a zatem łąziebników, aptekarzy, balwierzy, grzebienników (grzebieniarzy), malarzy i woskobojujników było 7. W latach 1554–1558 wykaz kształtował się następująco:

1. w branży skórzaney – szewcy, kuśnierze, rymarze, siodlarze, paśnicy, kaletnicy – razem 55 osób;
2. w branży metalowej – ślusarze, kowale, złotnicy, konwisarze, kotlarze i miecznicy – 40 rzemieślników;
3. w sektorze spożywczym było rzemieślników 28; należeli do nich piwowarzy, piekarze, rzeźnicy, olejarze i młynarze;

79 Szos – jeden z podstawowych podatków miejskich, który mieszczanie płacili od swojego majątku do królewskiego skarbcza.

4. w branży drzewnej wyróżniamy stolarzy, stelmachów, bednarzy i kołodziejów (razem 26 osób);
5. w sektorze budowlanym znaleźli się murarze, cieśle, garncarze, szklarze i strycharze (22 rzemieślników);
6. branża usługowa poszerzyła się o cyrulików, a do tego dochodzą jeszcze aptekarze, mydlarze, woskobojnicy, balwierze, grzebiennicy, łaźiebnicy i malarze (17 usługodawców).

Ogółem według zapisów rzemiosło wykonywane było wówczas przez 223 fachowców, a proces specjalizacji wciąż postępował. Najstarszym cechem był cech krawców. Trudno jednakże, ze względu na skąpe źródła, powiedzieć, kto w rzeczywistości wywarł wpływ na jego powstanie w 1535 roku. W 1583 roku krawcy zgłosili się do rady miejskiej w Lublinie, a następnie jeszcze w 1703 roku, aby udoskonalić zapisy statutowe. Do zredagowania przywileju z 1583 roku przyczynił się Świdzki, Zygmunt Bronakowski (cechmistrzowie krawieccy) oraz mistrzowie – Jarosz Ligoń, Jan Sobański, Jan Spierz i Jakub Trzaskowski. W 1703 roku inicjatorami zmiany byli cechmistrzowie dwaj – Stanisław Grzedziński i Jan Krajowski, jak również mistrzowie – Mateusz Paluszkiewicz, Adam Zotnikiewicz, Jan Janczewicz, Jan Garliński, Piotr Radewicz, Stanisław Łopoka. Oni to właśnie przedstawili rajcom nieco zmienioną formę konstytucji cechowej z 1583 roku.

Skoro w dwóch przywołanych wypadkach inicjatywa powołania do życia cechu wyszła bezpośrednio od samych krawców, to, być może, i w roku 1535 również ruch należał do rzemieślników, a statut był ułożony według potrzeb członków cechu, jak to później przecież bywało. Na mocy przyznanych przez rajców przywilejów korporacja stała się podmiotem publicznoprawnym. Opierała swoje działania o zasadę przymusu i swobodnego systemu prohibicyjnego, polegającego na wyłączności. Ważna była także dewiza subordynacji, co sprowadzało się do pełnego podporządkowania się przez krawców organizacji cechowej. Cech posiadał własne organy, w tym również sąd, lecz ta władza ograniczała się wyłącznie do stowarzyszonych w korporacji.

Zgromadzenie cechowe zajmowało się sprawami organizacyjnymi, kontrolując równocześnie finanse. Posiadało umocowanie do wyrażania zgody na wydatkowanie pewnych kwot ze skarbu cechowego, a każdego roku poddawało kontroli całość gospodarki pieniężnej, czyniąc to przy okazji wyboru nowych cechmistrzów. Szczególnie naówczas brano pod uwagę, czy ustępujący z urzędu cechmistrz nie sprzeniewierzył gdzieś na boku pieniędzy, które były własnością ogółu. Owo ciało przede wszystkim wybierało cechmistrzów. Czynne prawo wyborcze od roku 1583 przysługiwało wszystkim mistrzom, na-





tomiast bierne prawo wyborcze – jedynie mistrzom dobrze osiadłym, a zatem wykazującym się posiadaniem odpowiednich własnych zasobów finansowych, żeby przypadkiem nie kusiło kogoś zachachmęcenie pieniędzy cechowych. Nie wolno było także wybierać na cechmistrza krawca, który nie zaprzestał jeszcze posług swoich z tak zwanym młodszestwem związanych.

Cechmistrzów wybierano dwóch. Mistrz krawiecki obowiązany był wybór korporacji przyjąć, inaczej karę musiał zapłacić w postaci jednego kamienia<sup>80</sup> wosku topionego, a ten do tanich artykułów nie należał. Taki obowiązek nie spoczywał już na osobach, które rzemiosła nie wykonywały, bowiem, mówiąc współczesnym językiem, przeszły na emeryturę. Wybory odbywały się dwa tygodnie po Trzech Królach.

Taki majster, jak już został obrany cechmistrzem, wcale nie miał lekkiego życia. Oszem, prestiż był, ale i jaka odpowiedzialność! Zaraz po wyborach, jak zresztą wszyscy cechmistrzowie w Lublinie, składał przysięgę na wierność królowi i władzom miejskim, od 1593 roku według słów specjalnej roty, jaką na tę okoliczność spisali rajcy miejscy. Przede wszystkim w jego gestii leżało dysponowanie funduszami cechu, ale za każdym razem za wiedzą i za zgodą zgromadzenia, które zresztą zwoływał. Był reprezentantem cechu i interesów jego członków na zewnątrz, czuwał nad dyscypliną, a szczególnie w czasie posiedzeń, bo przecież to różnie bywało. Dbał także, aby bracia młodszy, zobligowani do różnego rodzaju czynności wynikających z zasady młodszestwa, zawsze wypełniali je z należytą starannością. Cechmistrzowie wykonywali również zadania policji przemysłowej, sprawowali sądy nad członkami cechu, a naprawdę mogli skarżyć niemal o wszystko. Przywilej z 1583 roku umożliwił niezadowolonym z wyroku apelację do rady miejskiej.

Krawcy funkcjonowali w oparciu o przymus cechowy. Każdy rzemieślnik zatem, chcący zajmować się swoim wyuczonym rzemiosłem, musiał należeć do kontuberni. Jeśli nie dopełnił tego obowiązku, zostawał partaczem, a i kary za takie niegodne krawca z krwi kości zachowanie można było wyznaczyć. Jak już wcześniej wspomniano, do cechu mogły należeć jedynie osoby wyznania rzymskokatolickiego. Właściwość miejscowa stowarzyszenia nie ograniczała się raptem do samego miasta, bowiem starało się ono objąć swym zasięgiem jak największy obszar. Członkowie mieli obowiązek stawać pod bronią na każde wezwanie, nieważne, czy tumult jaki w mieście wybuchał, czy wróg stał pod murami. Czasami też przywdziewano zbroję ku samej ozdobie i chwale Rzeczypospolitej. Obowiązkami wojskowymi obarczeni byli wszyscy krawcy. Pod

<sup>80</sup> Kamień – staropolska miara wagi. Nazwa pochodzi od kamieni, które były częścią żaren. Jeden kamień równał się 32 funtom nowopolskim, a te z kolei – 64 grzywnom, czyli 1024 łutom, co dawało w sumie 12,96 kg.

groźbą utraty rzemiosła rada miejska mogła ich w każdej chwili do zbroi i rusznic powołać. Od 1651 roku krawcy mieli swoje baszty w murach miejskich, a zaopatrywanie się w broń (białą i rusznice) oraz proch, leżało już w gestii cechu. Całą sprawę z basztą kontrolował pan ławnik młodszy, co roku dokonując przeglądu wspomnianej bastei i sprzętu, a spostrzeżenia swoje następnie przedstawiał w magistracie rajcom pod rozpatrzenie. Cech witał również królów, senatorów i obcych posłów, którzy uroczyście wjeżdżali do Lublina. Wówczas to występował z bronią w odpowiednim ordynku jako organizacja wojskowa.

Warto zwrócić uwagę na zasadę prohibicji, jedną z naczelnych, jakimi cech się posługiwał. Przede wszystkim jej pierwszym skutkiem było to, że korporacja regulowała całość życia cechowego i nie tylko. Wyjątkowo zaledwie dopuszczano obcych krawców do sprzedaży szytych przez nich ubrań, a i to za zgodą cechmistrza i jedynie w czasie jarmarków. Ci, którzy do cechu lubelskiego nie należeli, nie mogli wykonywać swojego krawieckiego rzemiosła, ani też sprzedawać uszytego przez siebie przyodziewku.

Przywileje wynikające ze statutu wymieniały formy naruszania praw, którymi mogli posługiwać się nie tylko członkowie stowarzyszenia, ale i partacze. Cech płacił podatki, czasami zastępując je opłatami na rzecz rady miejskiej, pełnił służbę wartowniczą i kupował broń. Prerogatywy zabraniały przechowywania przez kogokolwiek tak zwanych *szturarzy*, czyli osób naruszających mir. Nie wolno było udzielać pomocy partaczom, ani też przyjmować ich do swoich warsztatów na robotę.

Prawo określało dokładnie maksymalną liczbę czeladników i uczniów, co dotyczyło każdego mistrza bez wyjątku. Można było trzymać najwyżej trzech czeladniczków i jednego ucznia. Wyzwoliny odbywały się w cechu, co skrzętnie notowano w księdze cechowej. Jeśli ktoś się wyłamał, karę zaraz dolegliwą dostawał. Żaden krawiec nie mógł prowadzić dwóch warsztatów położonych w dwóch różnych miejscach. W jednym budynku mógł pracować jeden krawiec, ale tu na szczęście dopuszczono wyjątek, bo najwyżej dwóch krawców mogło stać obok siebie, o ile jeden był krawcem męskim, a drugi damskim. Cechy od czasu do czasu rozdzielały pomiędzy mistrzów określone prace, zwłaszcza gdy w grę wchodziło szycie tak zwanych barw wielkich i barw wielkich senatorskich. Z początku barwa była po prostu kolorem. Szata pod barwą oznaczała, że wszystkie stroje, np. sług czy konnych, były w jednym kolorze. To cechmistrzowie rozdzielali takie prace, a to ze względu na to, że za wszelką cenę chciano uniknąć niepotrzebnych swarów, szczególnie w przypadku zbyt dużego zysku pobratymca<sup>81</sup>.

<sup>81</sup> Kamiński J., *Z przeszłości cechu krawieckiego w Lublinie*, Drukarnia Popularna, Lublin 1933, s. 9–16.



Wśród lubelskich fachowców rzemiosł włókienniczych krawcy dominowali. Na rozwój tej dziedziny wpływ wywarła rosnąca liczba ludności miejskiej i podniesienie stopnia jej zamożności. Ówczesni krawcy nie tylko obsługiwali tych najbogatszych mieszczan, z równie wielką ochotą konfekcjonowali dla pospólstwa i plebsu. Obok indywidualnych zamówień, szyli całą masę partii ubrań gotowych, które następnie sprzedawali tym mniej zamożnym lublinianom. Była to epoka, kiedy ubiór zaczął również stanowić nie tylko konieczny element codziennego życia, ale z czasem stał się czymś, co odróżniało majątnych lublinian i podkreślało ich pozycję w mieście. Materiały krawcy zdobywali sami, kupując od lokalnych producentów bądź od kupców. Szyli z adamaszku, sukna zagranicznego i krajowego, płótna albo czamletu<sup>82</sup>, aksamitu, jedwabi i atlasu.

Równoległe do krawiectwa rozwijało się tkactwo, chociaż nie tak dynamicznie, jak krawiectwo, bowiem jeszcze w XV wieku nie wyróżniało się na tle innych rzemiosł zbyt dużą liczebnością. Dotyczyło to zjawisko zresztą nie tylko Lublina, ale i innych miast polskich. Apogeum rozwoju tkactwo osiągnęło dopiero w XVI stuleciu, a w parze z tym zjawiskiem szło zwiększenie liczebności zajmujących się tym rzemiosłem fachowców. W pierwszej połowie XVI wieku w Lublinie było ogółem 45 tkaczy. Na dynamikę progressu tkactwa wpłynęło pozytywnie nadanie miastu przez Zygmunta I Starego prawa do budowy specjalnych *blechów*, traktowanych jako fabryki wyrobów płócienniczych. Blechy pobudowano na podstawie aktu z 1527 roku nieopodal Bystrzycy, nad Stawem Królewskim. Wydaje się więc, że tkacze, o których mowa w wykazach miejskich, byli i płóciennikami. A i płóciennictwo miało tu pożądane warunki rozwoju. Zarówno konopie, ale i len należały w Małopolsce do popularnych bardzo upraw. Na rynku pojawiały się w postaci półfabrykatu, czyli przędzy dostarczanej przez dwory i przez chłopów. Można było także kupić nawet bawełnę. Płótna były bardzo różnorodne pod względem gatunkowym, co powodowało zróżnicowanie również w obrębie cen. To natomiast pobudzało popyt do wzrostu.

Niewiele informacji dotyczących sukiennictwa zachowało się do naszych czasów. W XV wieku sukienników było zaledwie ośmiu, czyli naprawdę mało. Ale trzeba pamiętać, że na początku tego stulecia sukiennictwo podupadło, co wynikało ze zmian struktur gospodarki wiejskiej na ziemiach Korony Polskiej. Otóż szlachta, duchowieństwo i monarcha zaczęli przestawiać się na uprawę zboża, niejednokrotnie kosztem nawet pól chłopskich zwiększając swój areal pod uprawy. Pańszczyzna zubożyła ludność wsi, która ze względu na brak funduszy zaczęła samodzielnie produkować sukno na swój własny

82 Czamlet – tkanina z koziej lub wielbłądziej sierści (wełny).

użytek. Tym samym w miastach spadł popyt na sukna i w konsekwencji rynek uległ wyraźnemu zmniejszeniu.

W Lublinie swego czasu zbudowano postrzygalnię. Była ona własnością miasta, podobnie zresztą jak woskobośnia czy waga miejska. Rzemieślnicy otrzymywali ją jedynie w dzierżawę<sup>83</sup>. Taka forma użytkowania utrzymała się prawie do XVIII wieku. Musiała dawać znaczne dochody, gdyż w roku 1536 czynsz dzierżawny podniesiono z 8 na 10 grzywien rocznie. W tym czasie użytkował ją postrzygacz Grzegorz. Zajmował się wykańczaniem sukien wykonanych przez sukienników, a okolicznościowo i handlem.

Powroźnictwo nie odegrało dużej roli w produkcji rzemieślniczej. Wykorzystywano do niej ten sam surowiec, z jakiego wytwarzali płóciennicy. Szykowano z niego powrozy, liny, postronki, sieci, sznury lniane i konopne, a także nici. W zasadzie były to artykuły potrzebne przy transporcie, więc głównymi odbiorcami wyrobów powroźniczych byli siodlarze i rymarze. A czapnictwo? Czapnictwo najbardziej rozwinęło się w Wielkopolsce, na terenie Małopolski nie osiągnęło tak wysokiego poziomu. Prawdopodobnie ściśle związało się z sukiennictwem i rozwijało się tam, gdzie sukiennictwo osiągało odpowiedni wymiar. Czapników w Lublinie było ledwie trzech.

Za to do jednego z najliczniejszych rzemiosł z powodzeniem można zaliczyć słodownictwo i piwowarstwo, acz nie jest łatwo na podstawie skąpych lubelskich dokumentów jednoznacznie stwierdzić, który to rzemieślnik był piwowarem, a który słodownikiem. W wykazach obydwie specjalizacje wykonują tak zwani *braxatores*. Intensyfikacja kontaktów handlowych Lublina powodowała, że miasto odwiedzane było przez całe zastępy przyjezdnych. Tym samym przyczyniali się oni do rozwoju aglomeracji, bowiem w II połowie XVI wieku znacząco podnosi się liczba konsumentów. Absolutnie przy tym nie zaprzestano, a wręcz jeszcze zwiększono warzenie piwa na własny użytek.

Przemysłnych przedsiębiorców na owym polu nie brakowało. Na przykład taki ławnik Stanisław Suchopiątek browarnikiem nie był, a browar posiadał. Sprzedał go potem za niezłą cenę Piotrowi, wikariuszowi kościoła parafialnego. Browar Suchopiątka znajdował się obok browaru należącego do rzeźnika Marcina Klosmana. A taki przeor klasztoru Dominikanów, Mikołaj Sieniński? Przeorem był i browar miał. W 1444 roku wydzierżawił wraz z konwentem browar klasztorny niejakiemu Grzegorzowi Gózdziowi, dla odmiany jednemu browarnikowi z prawdziwego zdarzenia w tym wesołym towarzystwie, za czynsz w wysokości 1 grzywny rocznie. W 1524 roku kował, imć Stanisław Staczywka, kupił murowany browar i dom za cenę 60 grzywien. Synowie szewca Szymona, po jego

83 Nowak B., op. cit., s. 40.

śmierci w 1542 roku, sprzedali dom będący własnością biedaka i sprzęty, jakie miały zastosowanie przy warzeniu piwa. Niekiedy browary mogły być naprawdę dużymi zakładami produkcyjnymi zatrudniającymi sporo pracowników, wśród których, oczywiście, najwyższe notowania mieli piwowarzy. Co zamożniejsi browarnicy częstokroć zatrudniali specjalnych pomocników do prowadzenia skupu chmielu, słoju czy zaopatrywania fabryczki w drewno<sup>84</sup>.

Wydaje się, że w I ćwierci XVI stulecia lubelscy piwowarzy jeszcze radzili sobie z zaspokajaniem potrzeb miasta. W 1518 roku król Zygmunt wydał dokument, będący odpowiedzią na skargi wnoszone przez mieszczan na starostę lubelskiego, Jana z Pilczy. Monarcha przychylił się do prośby mieszczan i zakazał uprawiania, pod okiem i za zgodą onego starosty, sprzedaży i szynkowania w łaźni miejskiej oraz wsi Tatarzy piwa tam przywożonego. Odtąd wszędzie miało być tylko piwo lubelskie. I kropka. To ważna decyzja z punktu widzenia ochrony interesów mieszczaństwa oraz rodzimej produkcji, równocześnie będąca wyrazem troski o lokalne rynki zbytu, a zarazem gest poparcia dla lokalnego wytwórstwa. Co i tak, z biegiem czasu, uległo zmianie.

Obok browarników-słodowników mieliśmy i winiarzy. Byli producentami wina, ale posiadali jakoweś związki z browarnictwem. O takich konotacjach świadczy chociażby zapis o Jakubie Winiarzu, który w roku Pańskim 1466 nabył browar. Wprawdzie nie wiemy, czym tak naprawdę ów Jakub się zajmował, ale jego nazwisko i kupno browaru o czymś muszą świadczyć. Wśród zacnej braci lubelskiego rzemiosła znaleźli się i olejarze, i rybacy, a możemy o nich trochę poczytać w źródłach pochodzących z XV i XVI stulecia. Rybacy obsługiwali istniejące w mieście dwa stawy. Jeden z nich, zwany Wielkim Stawem, znajdował się na Bystrzycy i Skrzyniczce, a drugi – na Czechówce. Nie do końca zasobność stawów zaspokajała apetyty mieszczan, gdyż na stoły lublinian trafiały ryby również ze stawu wrotkowskiego oraz z dwóch stawów w Zemborzycach. Niby wszystko funkcjonowało dobrze, ale zdarzały się różne sensacje. W 1544 roku kuśnierż Jan Konopnica został oskarżony, że handlował zepsutymi rybami. Broniąc się, stwierdził, że ryby kupił od Anny Ostrowskiej, a ta z kolei nabyła je od Żyda z Łucka. W 1548 roku doszło do aresztowania nawet! Otóż Tomasz Morawski aresztował w domu Grzegorza postrzygacza dwa wozy ryb, które w rzeczywistości należały do Wasyla z Krasnegostawu. Nieźle się Grzegorz obłowił...

W Lublinie istniały młyny. Trzy z nich należały do króla, ale dzierżawił je Jan Domarat do roku 1536, a następnie Jakub Osmulski i Mikołaj Bogusz. Znajdowały się na gro-

84 Bogucka M., *Gdańsk jako ośrodek produkcyjny w XIV–XVII w.*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1962, s. 36.

bli Stawu Wielkiego, a na stawie mniejszym – stał młyn służący do mielenia słoju. Mieszczanie korzystali ponadto z młynów prywatnych, a i z młynów leżących w okolicach miasta. Posiadanie młynów przez miasto wróżyło dostatek. Podstawowym rzemiosłem spożywczym było jednak piekarstwo, tylko, hm, w Lublinie było trochę inaczej. Wydaje się bowiem człowiekowi rozumnemu, że produkcja piekarnicza powinna wzrastać proporcjonalnie do rosnącej liczby mieszkańców, więc skąd tak mało rzemieślników zajmujących się wypiekiem chleba? Należy zatem wątpić, czy ci, którzy widnieją w wykazach, byli w stanie zaspokoić potrzeby żywnościowe mieszczan lubelskich. Może przyczyną tego stanu rzeczy jest ustanowienie w mieście tak zwanej wolnicy na chleb? Funkcjonowała ona w dni targowe. Miasto miało prawo raz w tygodniu, a tym dniem był poniedziałek, sprowadzać chleb z okolicy. Domniemywa się, że ten stan wymusiły braki pieczywa na lubelskim rynku.

Samą ideę cechu piekarskiego zapoczątkowali w Lublinie mistrzowie. Inicjatorami byli *Andrzej starego Brata*, Antoni Schar (Sara), Wawrzyniec Oszust i Sebastian Bodek. To ci rzemieślnicy zgłosili w 1580 roku do pełnej rady miejskiej gotowość założenia cechu piekarskiego, tłumacząc, że w ten sposób, na wzór innych miast, osiągnie się większy porządek i powszechną korzyść. Ze sobą przynieśli gotowy przywilej, który rada miejska owszem, zatwierdziła, ale że składała się ówczasie ze złotników, to i parę artykułów, mając na względzie interes konsumenta, dodała<sup>85</sup>.

Sami ojcowie założyciele pewnie należeli uprzednio do cechu krakowskiego, gdyż rzemieślnicy głównie stamtąd napływali i przed powstaniem cechów lubelskich należeli do stowarzyszeń krakowskich. Cech rządził się tymi samymi prawami, co i cech krawców, dalej bowiem był modny uniwersalizm w obrębie stanowionych praw.

Obok piekarstwa drugim podstawowym zawodem branży spozywczey było rzeźnictwo. Przez niemal cały czas należało ono do najliczniejszych rzemiosł, a istniało już w pierwszej połowie XV wieku. Zaopatrywanie się lubelskich rzemieślników w bydło rzeźne ułatwione zostało dzięki ustaleniu przez Zygmunta I Starego w 1532 roku dróg do pędzenia wołów i przewożenia towarów aż z Podola, Rusi, Wołynia i Wołoszczyzny na Zachód. Jedną z nich biegła, rzecz jasna, przez Lublin. Przy okazji zaopatrywania się w „surowiec” rzeźnicy lubelscy penetrowali ochoczo okolice, kupując często od samych chłopów. Uczestniczyli w jarmarkach organizowanych w innych miastach i stamtąd też towar przywozili. Ale wydaje się, że takie formy zaopatrywania się w towar były domeną

85 Kamiński J., *Z przeszłości rzemiosła piekarskiego w Lublinie*, Drukarnia Państwowa w Lublinie, Lublin 1932, s. 9.

raczej bogatych rzeźników, ci biedniejsi kupowali w najbliższej okolicy i po prostu na targu. Do rozprowadzania mięsa z uboju służyły jatki. Cztery z nich były w XV wieku własnością wójta, a po wykupieniu wójtostwa w roku Pańskim 1504 wraz z całym majątkiem przeszły prawdopodobnie na własność rady miejskiej. I sama rada posiadała jatki, a wiemy o tym stąd, że jedna z nich została wynajęta na jeden rok znanemu już nam Grzegorzowi, postrzygaczowi sukna. Ale właścicielami jatek byli nie tylko rzemieślnicy, trzy z nich w II połowie XV stulecia należały do dominikanów. Raz trafił się nawet ksiądz, Jan z Konopnicy, który swoją jatkę zbył rzeźnikowi Janowi Kuncza. Urszula, wdowa po Janie Trzęsitobole, jatkę sprzedała w 1475 roku niejakiemu Mikołajowi Gorczycy, profesji nieznanej.

Jednak trzeba to otwarcie powiedzieć, że pewna grupa ludzi była zbyt uboga, aby kupować lepsze gatunki mięsa. Żywiła się więc o wiele tańszymi rybami, od czasu do czasu jedynie pozwalając sobie na kupno gorszych gatunków mięsa bezpośrednio od osób parających się nielegalnym ubojem. Informacja o tym nieczym procederze zawarta jest w statucie cechu rzeźników z 1533 roku oraz w dekrete króla Zygmunta I, wydanym przez monarchę 20 lutego 1545 roku. Dokument oczywiście powstał wskutek sporu, tym razem pomiędzy przedmieszczanami a starostą lubelskim, Janem z Tęczyna. Na mocy



dekretu *sochaczni*, rzeźnicy zamiejscowi, zostali zobowiązani do oddawania na zamek w okresie urzędowania Jana z Tęczyna łopatki od wołu. Miała to być forma opłaty targowej. Taniej mięso sprzedawali również Żydzi zamieszkujący Podzamcze, a na początku XVI wieku cieszący się takimi samymi prawami w kwestii handlu mięsem, jak chrześcijanie.

Stale rozwijały się w mieście nad Bystrycą rzemiosła metalowe. W połowie XVI stulecia na podium pod względem liczebności (tuż za branżą skórzaną) zajęły drugie miejsce. Zdecydowanie na pierwszy plan wysunęło się kowalstwo, a jego rangę podkreśla nazwa jednej z ulic, Kowalska, jaka znajdowała się w obrębie miejskich murów. Rzemieślnicy tej branży wytwarzali narzędzia głównie związane z rolnictwem: kosy, topory, sierpy czy siekiery, ale też i klamki, okucia, zawiasy, przedmioty codziennego użytku i broń. Z czasem z rzemiosła kowalskiego wyłoniło się ślusarstwo, co było związane z rosnącym wciąż zapotrzebowaniem na produkty tychże rzemieślników. Nożownictwo, ślusarstwo i kowalstwo stanowiły trzon branży metalowej w Lublinie. Coraz większy popyt, a i postęp w rolnictwie, jak i w samym rzemiośle, sprawiły, że wymagano lepszych jakościowo narzędzi żelaznych. Samych ślusarzy można podzielić na trzy kategorie producentów. Po pierwsze byli to ci wytwórcy, którzy produkowali na potrzeby życia codziennego. Następną grupę stanowiło ślusarstwo związane z architekturą, tu w warsztatach wyrabiano bramy żelazne, kraty, chrzcielnice oraz drzwi. Trzecią kategorią było ślusarstwo konstrukcyjne<sup>86</sup>. Kowale i ślusarze odpowiadali również za prace remontowe i montażowe na gruncie budownictwa, kiedy to różnorakie zwory i sztalugi wykonywali<sup>87</sup>. Z kłodziejami także w spółki wchodził, bowiem jak tu jakiś wóz zbudować, kiedy ślusarza czy kowala tuż-tuż nie ma? Wykonywali ci rzemieślnicy też kajdany i łańcuchy, a i udział swój – obok cieśli i murarzy – mieli przy wznoszeniu szubienicy.

Kiedy ślusarstwo na trwałe wydzieliło się z kowalstwa, kowale zajmowali się pracami prostszymi, natomiast ślusarzy cechowała swoista misterność wyrobów, o wiele zresztą drobniejszych niż kowalskie. Ponadto w Lublinie działali konwisarze, złotnicy, kotlarze, miecznicy i rusznikarze. Miecznicy swą pracą służyli głównie wojsku, produkując nie tylko miecze, ale i coraz popularniejsze szable. Nie było ich w mieście naszym zbyt wielu, jak też i niewielu było kotlarzy. Kotlarze wytwarzali na potrzeby miejscowego rynku, a swoje kotły, rynienki i kociołki sprzedawali w znacznej mierze browarom, łaźniom

<sup>86</sup> Haisig M., *Rzemiosła kowalsko-ślusarskie na Śląsku do połowy XVIII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, Wrocław 1962, s. 46.

<sup>87</sup> Ibidem, s. 54.

czy garbarniom. Mimo iż w I połowie XVI wieku nie odnotowano w rejestrach żadnych informacji o rusznikarzach czy nożownikach, to pojawiają się oni w miejskich księgach. Nożowników reprezentował Stanisław, Jakub i Jan. Jan pół domu zakupił, a Stanisław ogród swój na przedmieściu położony sprzedał. Pamiętajmy, że było to rzemiosło wysoce specjalistyczne, przy tym nieliczne, a jednak bardzo potrzebne i poważane. Rusznikarze w pisanych źródłach lubelskich pojawiają się raz, w I połowie XVI stulecia, kiedy to mowa była o płacących szos. Zajmowali się wyrobem strzelb i ich części, sprzedając swój towar na dwory szlacheckie.

Byli też tacy rzemieślnicy branży metalowej, dla których surowcem nie było żelazo, lecz cyna i ołów. Z metali tych korzystali konwisarze, wyrabiający przedmioty zbytkowne – lichtarze czy świeczniki, pracujący na zlecenie szlachty albo bogatego mieszczaństwa. Cyna służyła jako materiał również do produkcji naczyń liturgicznych oraz stołowych. Według niektórych znawców tematu w tymże okresie więcej jednak było rzemieślników pracujących w srebrze, niżli w ołowiu lub cynie<sup>88</sup>. A Lublin jest tego dowodem, bowiem liczniej reprezentowali swój fach złotnicy, a nie miecznicy czy konwisarze. Niedostatek źródeł pisanych nie pozwala na jednoznaczne stwierdzenie, jakie to wyroby przodowały wśród lubelskich złotników. Można sądzić, że przeważała produkcja biżuterii, a w mniejszym stopniu wykonywano naczynia, zwłaszcza liturgiczne. I konwisarstwo, i złotnictwo należały do grona rzemiosł luksusowych, zbytkowych, dobrze rozwijając się i funkcjonując przede wszystkim w dużych ośrodkach handlowych, wśród których, obok Krakowa, Poznania, Lwowa czy Warszawy, i Lublin trzeba wymienić. XVI wiek wyróżnia się wzrostem zapotrzebowania na wyroby rzemieślnicze tych branż, co wiązało się z przemianami o charakterze społeczno-ekonomicznym, ze zmianą mody i obyczajowości, a też i ze wzrostem zamożności wśród niektórych warstw. W tym okresie Lublin był jednym z ośrodków konwisarstwa w Koronie. Wzrastała także liczba złotników w mieście, pracujących zwykle na powierzonym materiale. Złotnicy lubelscy posiadali silne więzi z poznańskimi. Uczniowie z Lublina zdobywali kwalifikacje u mistrzów w Poznaniu.

Mniej było zawodów drzewnych. Zresztą podobnie rzecz miała się i w Warszawie, gdzie przez cały XV wiek byli zaledwie bednarze, kołodzieje i stolarze<sup>89</sup>. Dopiero w następnym stuleciu pojawiają się snycerze<sup>90</sup> czy stelmachowie<sup>91</sup>. Najwięcej mimo to było

88 Baranowski I. T., *Przemysł polski w wieku XVI*, wyd. K. Tymieniecki, Warszawa 1919, s. 57.

89 Koczorowska-Pielińska E., *Liczebność i specjalizacja rzemiosła w Starej i Nowej Warszawie w latach 1417-1526*, „Rocznik Warszawski” 1972, t. 11, s. 13.

90 Snycerz – rzemieślnik specjalizujący się w rzeźbieniu w drewnie.

91 Stelmach – rzemieślnik, który zajmował się wyrabianiem kół lub też innych elementów wozów, bryczek, powozów czy sań.

bednarzy. Sprzyjał temu popyt na produkty bednarskie: beczki, kadzie czy inne pojemniki. Klientami byli nie tylko indywidualni odbiorcy, ale i piekarnie, browary albo garbarnie, załączki dzisiejszych przedsiębiorstw. W Lublinie marniej rozwijało się stolarstwo, traktowane ówczesnie jako rzemiosło leśne, stąd jego niedostateczny rozrost w ośrodkach miejskich<sup>92</sup>. Dopiero w połowie XVI wieku stolarzy przybyło, a wiązało się to z ogólnym rozwojem tego rzemiosła. Stolarstwo wówczas nadal opierało się na starych, acz udoskonalanych technikach. Jego rozkwit był dopiero wynikiem wzrostu zamożności magnaterii, patrycjatu oraz szlachty, co łączyło się z poprawą warunków mieszkaniowych tych warstw społecznych. Wydaje się, że i w Lublinie stolarze pracowali w oparciu o konkretne zlecenia, tak jak to miało miejsce w innych miastach Korony.

Ze względu na rolę Lublina jako prężnego ośrodka handlowego, szerokie pole do popisu mieli kołodzieje. Tyle tu wozów zjeżdżało, tyle stąd wozów wyjeżdżało! A wszystkie wyładowane dobrem wszelakim! Czasami wozy się psuły, koła trzeba było wymienić i coś podreperować, bez kołodzieja nie dało rady. Atoli i kołodziejów mało było, bowiem i to rzemiosło przez długi czas traktowano jako gałąź rzemiosł leśnych, które produkowały wówczas zapewne na potrzebny lokalny rynek. Późno pojawili się w Kozim Grodzie stelmachowie, gdyż przez długi czas ich fach wchodził w skład zawodu kołodzieja. Dopiero rysująca się coraz wyraźniej specjalizacja oraz postęp techniczny spowodowały ich funkcjonowanie w Lublinie. Snycerzy też w mieście nad Bystrzycą nie było wielu, w zasadzie to jeden, tak mówiąc między nami. Wzmianki o nim pochodzą z I ćwierćwiecza XVI stulecia. Jego działalność wytwórcza ściśle wiązała się z meblarstwem, gdyż to właśnie snycerz był odpowiedzialny za kunsztowne zdobienia. Cóż, na podstawie tej skromnej informacji można domniemywać, że lublinianie nie byli specjalnie zainteresowani artystycznym zdobieniem mebli... Albo też, co jest równie prawdopodobne, zbytkowe wyposażenie domów, godne patrycjatu, sprowadzano z Gdańska, ówczesnego potentata na rynku meblarstwa w Polsce.

Niewielka liczebność rzemiosł branży drzewnej to wynik ich charakteru, bowiem miały one wyraźne cechy przemysłu wiejskiego. Wykonywano je niejako dodatkowo jako uzupełnienie podstawowego zajęcia, jakim była uprawa ziemi. Rozwijały się zwłaszcza tam, gdzie nietrudno było o surowce. Tym trudniej mieli miejscy „drzewni” rzemieślnicy, gdyż potrzebny surowiec musieli po prostu zakupić. A i nie bez znaczenia był fakt, że Lubelszczyzna terenem obfitującym w tartaki nie była. Niełatwo było więc takiemu rzemieślnikowi zaopatrzyć się w drewno odpowiednio przygotowane do obróbki.

92 Baranowski I. T., op. cit., s. 132.

I branża budowlana nie była zbyt liczebna. Najwięcej było cieśli, ale już w kolejnych wiekach ciesielstwo pod tym względem ustępowało murarstwu. Ta początkowa przewaga cieśli jest łatwa do wytłumaczenia – zanim Lublin stał się murowany, był drewniany. W ogóle budownictwo drewniane w naszym mieście dominowało jeszcze w XVIII wieku<sup>93</sup>! Bez cieśli nie mogli też obyć się przecież murarze, bowiem to cieśle, a nie nikt inny, byli mistrzami w produkcji drzwi, podłóg, okien, stropów, konstrukcji dachowych, a wreszcie i rusztowań, bez których żaden murarz obejść się nie mógł. Cieśle wyposażali także cegielnie, wznosili (prawdopodobnie) lubelskie młyny oraz blechy.

W XV wieku w mieście nad Bystrzycą coraz bardziej zaczęła się upowszechniać zabudowa murowana. Związane to było także z rosnącym prestiżem miasta. A co działo się wcześniej? Jak w to księgach lubelskich starych bywa, źródła w zasadzie nic na temat murarzy w tymże okresie nie mówią, a zgoła milczą. Skoro jednak zamek był murowany i donżon też, można pokusić się o stwierdzenie, że jacyś murarze w owym czasie tu działali. Nie mamy natomiast pewności, że byli rzemieślnikami lubelskimi, mieszkającymi na stałe w mieście, a nie tylko przyjezdnymi, wynajętymi do konkretnej roboty. Dopiero w XV stuleciu liche notki się pojawiają. Z funkcjonowaniem tych późniejszych murarzy wiąże się budynki murowane, które powstały potem, taki ratusz na przykład, którego jedni wzniesienie datują na rok 1389<sup>94</sup>, a inni – na lata 1408–1409<sup>95</sup>. Nie tylko ratusz wtedy postawiono, ale i kilka obiektów sakralnych. Najwcześniej przebudowano kaplicę Trójcy Świętej (1395–1400), a potem i farę św. Michała Archanioła, która odtąd była ceglana. W 1419 roku wzniesiono kościół pw. Świętego Ducha, a dwa lata później biskup krakowski Wojciech Jastrzębiec założył obok szpital pod tym samym wezwaniem. W latach 1412–1426 Władysław Jagiełło ufundował w swym mieście umiłowany klasztor i kościół dla brygidek. W II połowie XV stulecia zbudowano klasztor Bernardynów. Jan Długosz twierdzi, że wykorzystano do tego w 1459 roku pruski marmur, potem jednakże przebudowano zespół z wykorzystaniem cegły.

Miasto rosło w siłę, ludności przybywało, zatem musiała ona gdzieś się podziąć na co dzień, więc wówczas wymurowano kamienice Wawrzyńca Porczaka, Marcina Klosmana, Macieja Kuninogi, Jana Chudyńca, Grzegorza Goździa, a i o dominikanach też nie zapomniano. Ruch w interesie zatem był naprawdę imponujący! W I połowie XVI stulecia nie ma wprawdzie relacji o stawianych wówczas lub przebudowywanych obiektach sakral-

93 Wyrobisz A., *Budownictwo murowane w Małopolsce w XIV–XVII w.*, „Przegląd Historyczny” 1966, t. 57, z. 2, s. 35.

94 Gawarecki H., Gawdzik Cz., *Lublin*, Arkady, Warszawa 1959, s. 31.

95 Myśliński K., *Wójt dziedziczny i rada miejska w Lublinie 1317–1504*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1962, s. 43.

nych, ale istnieją zapisy, według których w Lublinie istniało natenczas 20 murowanych kamienic, a ich właścicielami byli sami mieszczanie. Murowano również i zakłady rzemieślnicze, na przykład dla niejakiego Stanisława Staczywki, kowala, kuźnię postawiono.

Lublin dalej mimo to był w większej części drewniany, o czym mogą świadczyć konsekwencje nawiedzających go pożarów. Budownictwo murowane przeważało wśród konstrukcji sakralnych, a mieszkania mieszczan wciąż stawiano z drewna. Murarze pracowali na zamówienie. Rzemieślnicy lubelscy potrafili przyjmować zlecenia także spoza miasta, chociażby jak Jan Kryspin, który domy wznosił w Bochothnicy, Kazimierzu, Dłotliczach i Wilkołazie. Mistrz z głową na karku i ekonomicznym zmysłem, będąc przy okazji odpowiedzialnym za terminowe wykonanie zleczonej roboty, musiał wraz z czeladzią i uczniami tak manewrować rozkładem zajęć, aby podczas sezonu zarobić na utrzymanie na cały rok. Zdarzało się więc nie raz, nie dwa, że faktycznymi kierownikami budowy byli murarscy czeladnicy. Im to właśnie podlegali uczniowie oraz pracownicy najemni, którzy żadnych kwalifikacji zawodowych nie posiadali<sup>96</sup>.

Murarz w Polsce budował zarówno z cegły, jak i z kamienia. To właśnie na cegle opiera się murowana architektura lubelska. Te dość liczne budynki potwierdzają, że materiał musiał być produkowany na miejscu, więc prostą sprawą jest, że w Lublinie były cegielnie, a i na Podzamczu jedna sobie też funkcjonowała, dawniej niż w XVI wieku będąc założoną<sup>97</sup>. Cegielnie zazwyczaj należały do miasta. Jako duże przedsiębiorstwa zatrudniały sporą liczbę pracowników najemnych. Pierwsze znane nam informacje o lubelskich cegielniach pochodzą z 1521 i 1545 roku. *Strycharz* dzierżawił cegielnię miejską. W I połowie XV stulecia był nim Petrus Cigelstricher, który przyjął prawo miejskie w 1406 roku. Źródła dowodzą, że dwadzieścia parę lat później był ów Petrus posiadaczem wcale niemałego majątku.

Cegłę wykorzystywali też zduni. Ci wysoko wykwalifikowani rzemieślnicy wznosili piece, kominki i kominy. Jak przydarzyła się budowa pieca reprezentacyjnego, używali również kafla<sup>98</sup>. Kafle czasami wytwarzali garncarze, acz ich głównym zajęciem była produkcja dachówek, garnków i płytek na posadzki. Glinę garncarze mogli kopać na polach miejskich, za co uiszczali specjalną opłatę w naturze. W XVI wieku w powszechnym już użytku było koło garncarskie, co sprzyjało wydajności pracy. Kiedy zaczęto stosować po-

96 Wyrobisz A., op. cit., s. 36.

97 Baranowski I. T., op. cit., s. 106.

98 Wyrobisz A., *Warunki rozwoju przemysłu w Polsce w XVI i pierwszej połowie XVII w.*, [w:] Kwapien M., Maroszek J., Wyrobisz A., *Studia nad produkcją rzemieślniczą w Polsce XIV–XVIII w.*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1976, s. 210.



lewy do pokrywania garnków, podniosło to jakość produktów, bowiem mniejsza prześlakliwość sprzyjała większej trwałości takiego glinianego gara.

W mieście nad Bystrzycą pracowali też szklarze, chociaż pierwsze informacje o tej branży pochodzą dopiero z II połowy XVI stulecia. Wyróżnia się wśród dwie grupy. Jedni byli zatrudniani w hutach, gdzie zajmowali się wytopem masy szklanej i formowaniem z niej konkretnych wyrobów. Drugą grupę stanowili rzemieślnicy kupujący owe półprodukty i poddający je dalszej obróbce. To oni właśnie byli również swoistymi pośrednikami pomiędzy hutnikami a osobami, które nabywały szkło w różnej postaci. Wydaje się, że lubelscy rzemieślnicy w tym zawodzie reprezentowali raczej drugą grupę, ponieważ huta w Lublinie nie istniała. Bardzo często miejski szklarz korzystał ze szkła nie tylko polskiego, ale i zagranicznego. Wiek XVI to okres początku prosperity szklarzy, bowiem to wówczas rozpowszechniła się moda na szklenie okien, a z tym wiązał się większy popyt na usługi szklarskie. Konkurencja była niewielka, sami zaś szklarze nie byli licznie w miastach reprezentowani.

Obok branży skórzaney, spożywczej, włókienniczej, metalowej, drzewnej i budowlanej istniała jeszcze tak zwana branża usługowa. Podczas gdy w XV stuleciu odnotowano zaledwie pięć specjalności, to w następnym mieliśmy ich już osiem. Najwcześniej mówi się o znanym już łaźiebnictwie, gdyż w łaźnię dobry król Władysław Łokietek uposażył pierwszego lubelskiego wójta, Macieja z Opatowca. Do czasu wykupu wójtostwa łaźiebnik prawdopodobnie pracował więc w łaźni wójtowskiej. Gdy uposażenie wójta przeszło na własność miasta, wówczas pewnie stał się jej dzierżawcą<sup>99</sup>. Łaźnia nie tylko służyła mieszkańcom, ale i dostarczała do miejskiej kasy niezłe dochody. Druga łaźnia znajdowała się na Podzamczu i należała do króla. Miał on swojego łaźiebniaka. Otóż w 1525 roku pan Jan Pączek z Lublina był winien 3 wiardunki<sup>100</sup> niejakiemu Waclawowi, *balneatori castrensi*, królewskiemu łaźiebnikowi. Łaźnie były ważnym punktem życia w mieście. Nie tylko można było się w nich ogolić, umyć czy poddać prostym zabiegom chirurgicznym, ale były też swoistymi klubami towarzyskimi. Na dodatek szynkowano w nich piwo...

Z tym przybytkiem czystości związany był również zawód balwierza. To on właśnie golił, strzygł, stawiał bańki, leczył, w tym także puszczał krew, co, jak wiadomo, było lekiem na całe zło i miało w teorii zapobiegać powstawaniu chorób i innych wrednych

99 Lachs J., *Dawne łaźiebnictwo krakowskie*, Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, Kraków 1919, s. 33.

100 Wiardunek – monetarna jednostka obrachunkowa w dawnej Polsce.

przypadłości. W wykazach z lat 1554-1558 pojawiają się też chirurdzy. Trudne jest rozgraniczenie tych dwóch rzemiosł. Podczas egzaminu na mistrza w cechu lwowskim (o lubelskim źródła milczą) najpierw pytano zdającego o ogólne wiadomości z zakresu praktyki chirurgicznej. Egzamin praktyczny zdawał adept sztuk tych tajemnych z gołeniam, strzyżenia, a nawet ostrzenia brzytwy! To nie koniec jeszcze – ponadto musiał umieć przygotowywać lekarstwa i znać ich szczegółowe receptury oraz działanie. Sama praktyka chirurgiczna ograniczała się do leczenia wrzodów, ran, puszczenia krwi i stawiania baniek<sup>101</sup>. W Lublinie rzemiosło swoje wykonywali również aptekarze. Sprzedawali zioła, wyroby cukiernicze, korzenie czy nasiona. Można było u aptekarza kupić leki sporządzone z ziół lub też różnego rodzaju chemikalia, czyli ocet, wino, rtęć itd. Leki produkowano w formie plastrów, maści, proszków oraz syropów<sup>102</sup>. Zdarzało się, że specyfików aptekarze posiadali co niemiara. Augustyn był wierzycielem aptekarza Stanisława. A ponieważ ten mu długu nie oddawał, poszedł więc do jego apteki i zabrał z niej leki, które wycenił na 71 florenów i 21 groszy. Aptekarze czasem też zajmowali się i innymi rzeczami, nie tylko swoją branżą. Ów Stanisław na przykład był właścicielem kramu znajdującego się tuż obok wójtowskiego urzędu.

W II połowie XV i I połowie XVI stulecia w Lublinie rzemiosło swe uprawiali także woskobojnicy. Woskobojnia zazwyczaj stanowiła własność miasta, a rzemieślnicy z nią związani mogli ją zaledwie dzierżawić. Trudnili się obróbką wosku – czyszczeniem i przygotowywaniem do wyrobu głównie świec. Świece mogli produkować również mydlarze, acz ich głównym zajęciem było wytwarzanie mydła dwóch rodzajów – miękkiego i twardego. Używali do tego łożu. W Lublinie zapewne zajmowali się zaspokajaniem potrzeb lokalnego rynku.

Skromnie było w mieście nad Bystrzycą z malarzami. Zwykle pracowali oni dla miasta, a potwierdza to informacja, że rzemieślnik za malowanie kościoła ówczesnego Świętej Trójcy otrzymał zapłatę w wysokości 1 grzywny (w 1407 roku). Czasami z usług malarzy korzystali przedstawiciele patrycjatu, ale ze względu na zaporowe ceny tych pierwszych, krąg odbiorców był mizerny. Prawa miejskie przyjęli też grzebiennicy (grzebieniarze), produkujący nie tylko grzebienie, ale i wyroby z rogów albo kości. Z rogów konstruowano... latarnie, które wyposażano w przezroczyste szybki<sup>103</sup>.

101 Charewiczowa Ł., *Lwowskie organizacje zawodowe za czasów Polski przedrozbiorowej*, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Lwów 1929, s. 162.

102 Bogucka M., *Życie codzienne w Gdańsku w XV i XVI w.*, [w:] Cieślak E., *Historia Gdańska 1454-1655*, t. 2, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1982, s. 337.

103 Charewiczowa Ł., op. cit., s. 128.

W Kozim Grodzie, prawdopodobnie już w I połowie XV stulecia, istniały wodociągi. Przekazy wspominają o roku 1438 i 1453. Najstarszy zapis o lubelskim wodociągu pochodzi z 1471 roku. Wówczas król zezwolił na wykopanie dla miasta nowych kanałów, ale wiązała się z tym ingerencja w koryto rzeczne. Długo zwlekano z ich budową, bo aż 35 lat... Dopiero w roku Pańskim 1506 zawarto umowę pomiędzy rurmistrzem Janem i jego towarzyszem Łukaszem Czyriską a miastem. Kanały miały doprowadzać do Lublina wodę z Bystrzycy. W porównaniu z innymi ośrodkami miejskimi, u nas tego typu urządzenia pojawiły się dość późno.

Kolejnym *novum* było papiernictwo. Do produkcji papieru służyła papiernia, czyli młyn papierny. Papiernie prężnie rozwijały się wokół Poznania, Krakowa, Gdańska czy Wilna, nie były za to wielkimi przedsiębiorstwami. W Lublinie młyn papierny został założony na mocy przywileju Zygmunta I Starego, który król nadał Janowi Faiferowi w 1538 roku. Młyn działał, wykorzystując pracę kół rzecznych. U Faifera czerpano dwa rodzaje szlachetnego papieru – piśmienny średni o mniejszym formacie oraz królewski, o wymiarach 28x20 cali. Głównymi klientami były drukarnie, czasami intrologatorzy czy zakłady kartownicze. Skąpe mamy wiadomości o intrologatorach, wiemy, że rzemiosłem tym trudnił się niejaki Adam, Żyd mieszkający na Podzamczu.

Zmiany formy prac budowlanych nastąpiły dzięki wprowadzeniu rysunku architektonicznego. Ten typ rysunku opierał się już na przekrojach, rzutach i projektach elewacji. Można przypuszczać, że zajmowali się nimi wykwalifikowani architekci, a Lublin miał ich dwóch, o tylu przynajmniej mówią księgi miejskie. Jednym z nich był Marcin Szytko, a drugim Jenek. Ci fachowcy nie tylko projektowali, ale również znali sztukę budowania. Marcin Szytko w 1533 roku procesował się z pewnym Żydem z Podzamcza, który nie zapłacił mu za wzniesienie domu. Niemało było pięknych budowli w Lublinie, większość z nich pobudowali bezimienni mistrzowie, których chwała przetrwała jedynie w kamieniu.

Wpływy kulturowe Zachodu szły przez Rzeczpospolitą na Wschód, wpływy Wschodu oddziaływały poprzez Polskę na kraje Zachodu, co podkreślało znaczenie naszego państwa na polu kulturowym i politycznym. Położone na rubieżach dwóch antagonistycznych światów, stało się obszarem, gdzie odmienne i nierzadko wrogie sobie cywilizacje starały się nauczyć wzajemnego szacunku, przekonując się, że w oparciu o owo poszanowanie mogą współżyć i się bogacić. Jednym z przejawów tej roli Polski było transponowanie i adaptowanie sztuki bizantyjskiej. Szczególnie upodobali ją sobie Jagiellonowie, a jej rozkwit przypada właśnie na okres ich panowania. Wówczas malarstwo bizan-

tyńskie przenikało do kościołów, ulegając tym samym wpływom łacińskim, co widać chociażby na przykładzie malowideł, jakie zdobią prezbiterium kaplicy Trójcy Świętej w Lublinie. Dekoracja składa się z trzech części. Pierwsza z nich to przedstawienie Boga i Jego niebiańskiego dworu. Druga seria dotyczy historii dzieła odkupienia ludzkości przez Chrystusa, trzecia przedstawia Matkę Przenajświętszą oraz św. Jana Chrzciciela w postawach orantów, będących orędownikami grzesznego gatunku ludzkiego. Na sklepieniu namalowano Chrystusa Pantokratora, który prawą rękę wznosi na znak mowy, lewą natomiast podtrzymuje księgę, otwartą na ewangelii Janowej: *Ergo sum lux mundi, qui sequitur me, non ambulat in tenebris, sed habebit lumen vitae*<sup>104</sup>. Ewangelię trzymają również anioł, lew, wół i orzeł, oznaczający czterech ewangelistów<sup>105</sup>, którzy wychylają się spod promieni nimbu. Poniżej postaci Zbawiciela koła rozpościerają szeroko skrzydła, a nad serafinami unosi się gołębica, symbol Ducha Świętego. Serafini i archaniołowie swoją obecnością na malowidłach potęgują majestat Chrystusa, którego męka zobrażona jest w szeregu scen na ścianach prezbiterium, ilustrujących zwiastowanie o męce, samą mękę, zmartwychwstanie oraz wniebowstąpienie. W zwiastowaniu o męce Syn Boży występuje pod postacią anioła z krzyżem. *Aniołem jest Chrystus Syn Boga (...), bo anioł, któremu przysługuje imię Boga (...) jest tylko jeden jedyny Chrystus (...). Ten przybył na świat przez tajemnicę wcielenia. Albowiem przez to, że zszedł [na świat] i obwieścił nam wolę Ojca, nazywamy go aniołem i jest nim, jak pisał Rupertus*<sup>106</sup>. Na sklepieniu dwaj aniołowie niosą Pantokratorowi świece, a Maria wraz z Janem Chrzcicielem błagalnie wyciągają ku niemu ręce. Elementy przedstawienia Majestatu Pańskiego są zapożyczone z wizji proroka Izajasza, Ezechiela i św. Jana Ewangelisty. Izajaszowi Pan ukazał się siedząc na tronie, a wokół niego śpiewały sześcioskrzydłe serafiny: *Sanctus, Sanctus, Sanctus Dominus, Deus Sabaoth. Pleni sunt coeli et terra gloria tua*<sup>107</sup>. Natomiast Ezechielowi, kiedy miał trzydzieści lat, rozwarły się niebiosy nad jego głową. Ponad czterema cherubinami zobaczył prorok postać z metalu i ognia, siedzącą na tronie. Każdy z cherubinów miał po cztery oblicza i cztery skrzydła. Twarze upodabniały się z przodu do człowieka, z prawej strony do lwa, z lewej – do wołu, z tyłu natomiast – do orła<sup>108</sup>. Święty Jan Ewangelista również ujrzał tron w niebiesiech, a postać siedzącą na tronie

104 J 8,12: Ja jestem światłością świata. Kto idzie za mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia.

105 Mateusz – uskrzydłony człowiek, anioł, Marek – lew, Łukasz – wół, Jan – orzeł.

106 Filipowicz-Osieczkowska C., *Ze studjów nad szkołą polską malarstwa bizantyńskiego*, Gebethner i Wolff, Kraków 1936, s. 6.

107 Iz 6,3: Święty, Święty, Święty Pan, Bóg zastępów. Pełne są niebiosy i ziemia chwałą Twojej.

108 Ez 1, 1-30.

przypomina kogoś o wyglądzie istoty z jaspisu. Tron otaczała tęcza. Wokół znajdowały się dwadzieścia cztery inne trony, na których siedziało dwudziestu czterech starszych. Przed tronem głównym gorzało siedem lamp, symbolizujących siedem Bożych duchów. Wokół królewskiego fotela siedziały zwierzęta. Jedno było podobne do lwa, drugie do wołu, trzecie miało twarz człowieka, a czwarte przypominało orła. A każde z nich miało po sześć skrzydeł<sup>109</sup>.

W dekoracji kaplicy Trójcy Świętej w Lublinie serafiny pochodzą z wizji Izajaszowej, z Janowej – anioł, wół, orzeł i lew, chociaż mają tylko po jednej parze skrzydeł, a kolejność ich rozmieszczenia i koła skrzydlate przywodzą na myśl słowa proroka Ezechiela. Wizja nowotestamentowa ma zdecydowanie przewagę nad starotestamentową, gdyż te pierwsze są urzeczywistnieniem idei Starego Testamentu, zarazem dając najpełniejszy obraz Boga. Aniołem jest Chrystus, o którym Izajasz napisał, że nazywać Go będą Zwiastunem dobrej rady. Sam jest słońcem, a dla nas, w bojaźni żyjących, imię Jego będzie słońcem sprawiedliwości, jak czytamy w księdze prorockiej Malachiasza<sup>110</sup>. Berengaudus opisał to tak: *od wschodu słońca zstąpił Chrystus, to jest od siebie, stwarzając swe niepokalane ciało z ciała Dziewicy, by pogrążonym w ciemnościach śmierci i mrokach grzechu nieść światło. Zmartwychwstał, wychodząc z otchłani, a to zmartwychwstanie stało się dla wiernych prawdziwym wschodem słońca*<sup>111</sup>.

Budynek kaplicy Świętej Trójcy, jeśli chodzi o formę architektoniczną, jest dosyć skromny i niewielki. W swoim wnętrzu jednakże kryje prawdziwy skarb, czyli freski w stylu rusko-bizantyńskim, malowidła ściennie, pochodzące z pierwszego ćwierćwiecza XV wieku. Same dzieje kaplicy sięgają zapewne I połowy XIV stulecia, najwcześniejsze informacje dotyczące kościółka mają początek w wykazie rachunków Arnolda de Verulisa i Piotra z Alwernii, którzy w latach 1325–1327 byli odpowiedzialni za zbieranie w Polsce świętopietrza. Wydaje się, że w tym okresie współczesna kaplica była kościołem drewnianym, którego kształt dziś trudno określić<sup>112</sup>. Znana nam obecnie forma, mimo przebudowy, posiada jednolitą konstrukcję, a zarazem i cechy, jakie są właściwe tego typu obiektom sakralnym z II połowy XIV wieku. To niewielka, dwunawowa świątynia, wzniesiona głównie z cegły, a częściowo też i z wapienia. W XVI stuleciu kościół został przebudowany zgodnie z duchem czasu, czyli w stylu późnorenesansowym. Co nie oznacza, że w strukturę budowli nie ingerowano później, choćby w 1890 roku, kiedy to między

109 Ap 4-6.

110 Ml 3, 20.

111 Filipowicz-Osieczkowska C., op. cit., s. 6.

112 Adamek T., *Kaplica zamkowa Św. Trójcy w Lublinie i jej polichromia*, [w:] Radzik T., Witusik A. A., op. cit., s. 51.

innymi rozebrano schody prowadzące do wejścia w szczycie zachodnim. Wówczas drzwi stały się oknem, co znamy z dzisiejszego wyglądu kaplicy. Odgrywała ona najznaczącą rolę w życiu religijnym miasta aż do 1574 (1575) roku, kiedy to dekretem biskupa krakowskiego, Krasieńskiego, kościół pw. św. Michała Archanioła został podniesiony do rangi kolegiaty, aby odtąd stać się aż do czasów rozbiórki główną świątynią Lublina.

Doskonale skomponowany, jakżeż różnorodny i obfity w przedstawienia cykl fresków dość szczelnie wypełnia ściany kaplicy. Od posadzki aż po sklepienie polichromie – jedne z najpełniejszych i najpiękniejszych w Polsce – subtelnymi, przygaszonymi i zharmonizowanymi barwami pokrywają mury tak niewielkiego i zwartego wnętrza, stanowiąc bezcenny skarb kultury i jedyny tak dobrze zachowany. Malowidła rusko-bizantyńskie z kaplicy lubelskiej związane są z Władysławem Jagiełłą, będąc świadectwem jego osobistych zainteresowań i ciążeniem ku sztuce cerkiewnej, jaką darzył wielką atencją, podob-





nie zresztą jak Lublin. Dzięki litewskiemu królowi wpływ sztuki ruskiej osiąga swoistą supremację, wchodząc w niepowtarzalne związki z rodzimą cechową.

Cykl malowideł lubelskich został ukończony w 1418 roku. Odpowiada kanonom wschodniego chrześcijaństwa pod względem dekoracyjnym i ikonograficznym. Całość malarskich wizji uwiecznionych na ścianach prezbiterium to eschatologiczna wizja Sądu Ostatecznego, oparta na bogato ilustrowanym cyklem pasyjnym. Analiza formalna i stylistyczna dowodzi, że freski zostały namalowane przez zespół trzech artystów. Jednym z nich był mistrz Andrzej, który wykonał polichromie znajdujące się w prezbiterium. Drugim był nieznan z imienia malarz, czasami określany jako Cyryl, który jest autorem malowideł na łuku tęczowym w północnej nawie oraz górnych partiach ściany zachodniej. Trzeci z mistrzów pędzla mógł wykonać dekoracje ścian południowej nawy oraz partie ścian zachodnich, a te malowidła wyróżniają się dość banalnym i niezgrabnym rysunkiem.

Mimo wszystko lubelskie polichromie nieco odbiegają od tradycji malarstwa rusko-bizantyńskiego, gdyż bezpośrednio przejmują wzory czy detale naturalistyczne rodem z malarstwa gotyckiego. Ta metamorfoza jest szczególnie widoczna w scenach spod ręki mistrza Andrzeja, kiedy po raz kolejny – tym razem na polu artystycznym – zetknęły się pierwiastki kultur tak odmiennych – Zachodu i Wschodu.

A Lublin, to anielskie rusko-bizantyńskie emporium, miasto umiłowane Jagiellonów na pograniczu Okcydentu i Orientu, kwitł.



**Upadek**

## Ostatnie tchnienie

Zaczęło się tak:  
żałobne chorągwie strzepił wiatr,  
głos księdza darł niepokój jesieni,  
leciały kruki – czarne zimy ptaki,  
potem trumna odeszła w nieznany trakt,  
zostały mi dotąd po niej w oczach cienie,  
nie było już matki.

O wieczory, jak z dymu duszące smugi,  
kiedy z lasu zwiezione drzewo trzaska w ogniu kuchni!  
Szły dni szeregiem długim  
skąpo i nieufnie.

Od mrozu skrzypiały gonty w dachach,  
w ciemne zimowe noce,  
budziłem się i wyteżałem oczy,  
jeżył mi włosy strach.

Najgłośniejszą mówiła zima srebrnym śniegu blaskiem,  
najmocniej wabiły olchy, stojące nad potokiem,  
ich drobne szyszki na tle białych obłoków  
migotały jak czarne gwiazdki.

Drogi się wtedy kładły myślom nieudolnym  
w świat, który dopiero stawał się prawdziwy.  
Przyglądałem się w zdumieniu kwiatom polnym,  
wierzdom, grusdom i iwom (...).

Antoni Madej, *Dzieciństwo*<sup>113</sup>

113 Madej A., *Dzieciństwo*, „Pamiętnik Lubelski” t. 2 za lata 1931–1934, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1935, s. 1.



XVI wiek i pierwsza połowa XVII stulecia były dla Koziego Grodu okresem prosperity. Uroczy Lublin dominował nad miastami regionu, a na polu gospodarczo-społecznym, reformacyjno-kulturalnym i politycznym zajmował arcyważne miejsce. Stał się naprawdę istotnym i bogatym w zasoby ośrodkiem życia miejskiego, jednym z najważniejszych ówczesnych centrów gospodarczych w Koronie Polskiej. Kwitła tu produkcja rzemieślnicza, wspierana przez wysokiej klasy urzędników, takie jak szlifiernie, wodociągi, blech, młyny, postrzygalnia sukna, a przede wszystkim – papiernia. Mieściła się tam, gdzie obecnie znajduje się słynny młyn Krauzego (braci Edwarda, Henryka i Adolfa Krausse, braci Krauze). Jej założycielem był Jan Feifer, lokując budynek na mocy przywileju Zygmunta I Starego na wielkim stawie pod zamkiem. Młyn wzniesiono na gruntach należących do lubelskiego starosty, ale dzierżawca miał prawo do czerpania z młyna dochodu w wysokości stu florenów w złocie. Same papiernie mają w Europie dość długą tradycję za sobą. Początki produkcji papieru to czasy ok. 123 roku przed narodzeniem Chrystusa. Tajniki przedostały się na Stary Kontynent za sprawą Arabów, którzy – okupując wówczas ogromne połacie Półwyspu Iberyjskiego – zaszczepili w Hiszpanii modę na produkcję papieru. Pierwszy młyn papierny powstał w Walencji, w San Felipe, w 1154 roku. Potem trend rozprzestrzenił się na tereny Włoch, Francji, by przez Niemcy, Czechy oraz Śląsk dotrzeć wreszcie i do Polski. W Koronie powstanie pierwszych papierni zbiega się w czasie z powstawaniem pierwszych drukarni. Najstarsze drukarnie, jeszcze wędrownie, są coraz bardziej powszechne od 1473 roku, a wzmianki o najdawniejszych papierniach pochodzą z 1499 roku.

Feifer nie był więc właścicielem zbudowanego przez siebie młyna, a jedynie jego dziedzicznym dzierżawcą. Trudno jest nam dziś jednoznacznie powiedzieć, jak owa pierwsza lubelska papiernia wyglądała, żaden opis czy szkic z tego okresu do naszych czasów nie przetrwał. Dowcip zresztą polega na tym, że już w 1564 roku istnieje nad stawem zupełnie nowa budowla. Ta pierwotna spłonęła, co stało się chyba ostatnim gwoździem do trumny przedsiębiorczego dzierżawcy. Feifer umarł, a po nim zostały dwie córki. Jedna z nich poszła za niejakiego Tomasza Wąsa, papiernika nomen omen. Odziedziczył więc imię Wąs i córkę, i te 100 florenów w złocie, chociaż na nowy budynek musiał wyłożyć pieniądze z własnej kieszeni. Budowa trwała kilka lat. Skrzyknął potem królewskich luźników, żeby nowy młyn otaksowali. Komisarze *stwierdzają więc, że młyn papierni zbudowany jest na wielkim stawie pod zamkiem, a drugim upuście stawowym, na którym młyn tylko. Dwie stawidła małe, wodę z tego stawu przy jednym brzegu obrócono, w tym młynie są koła stępne cztery. Z opisu tego można wywnioskować, że tak wyglądał i młyn*

*pierwotny przed zgorzeniem. Sądząc z ilości kół, trzeba tę papiernię w tym stanie uznać za jedną z największych w Polsce. O czterech kołach papierni w tym czasie były tylko w Grebiennicach pod Miechowem, bo nawet krzeszowicka papiernia Tenczyńskich miała tylko 3 koła, a mogilska i słynna duchacka pod Krakowem miały po dwa koła*<sup>114</sup>, Ha! A to się Kraków pienił, że ten Kozi Gród lepszy...

Tytułem czynszu papiernik nie tylko grzecznie 20 florenów na zamek do starosty oddawał, ale i ryzy papieru obowiązkowo tam składał, przecież na czymś te gryziętki starościńskie pisać dokumenta musieli. Był ten Wąs Tomasz człowiekiem bardzo energicznym, kochającym swój zawód, o dużych ambicjach. Kontakty utrzymywał rozległe, z Krakowem też, warsztat swój nieustannie podnosił i umiejętności ćwiczył, bo chciał w Polsce stworzyć pierwszą fabrykę papieru z prawdziwego zdarzenia. Nie tylko młyn na zgliszczach odbudował, a i rozbudował, i wielce wspaniale wyposażył. Czynił też starania o nowy przywilej, który dawałby zupełnie nowe podstawy finansowe. A papiernia w 1566 roku wyglądała tak: *składała z wielkiego budynku murowanego z izbami dużymi i średnimi na parterze i na trzech piętrach, z sypialniami, z komorami dostatecznymi i wygodnymi, następnie z warzelnią, klejarnią, płuczarnią, a murowanym sklepem, a dalej szły inne drewniane już budynki i szopy, mieszczące urządzenia do fabrykacji papieru. Budynki były nowe, silne, dobrze wykończone, otoczone parkanem, pokryte dachówką*<sup>115</sup>. Do papierni przynależał jeszcze ogród, co widać wszystko dokładnie na planie miasta z 1618 roku. Cieszył się życiem i dostatkiem ten Tomasz Wąs, ale w końcu umrzeć musiał, a stało się to około 1600 roku. Po nieboszczyku młyn w posiadanie syn wzięł, Adam Papiernik Wąsowicz, a wtedy szereg zmian nastąpił. Tomasza już nie było wśród żywych, już nie starosta czynsz dzierżawny pobierał, jeno kasztelan, bo tak blisko wsi Tatary papiernia leżała. Jako że nic nie trwa wiecznie, to przyszedł niestety kres i na papiernię. Roku Pańskiego 1661 młyn papierny upadł. Tej jesieni bowiem, dzień po św. Michale, dokonała się jego intromisja do Słomianego Rynku na rzecz Baltazara Trembińskiego, na mocy decyzji Mikołaja Firleja z Dąbrowicy.

Z ksiąg wynika, że Adam Wąsowicz spłodził był z pierwszego małżeństwa córkę Zuzannę, primo voto Zieniewiczową, secundo voto Borkowską, oraz Michała Wąsowicza, a z drugiego małżeństwa – Annę, co potem za Urbanikiem była. Michał został pierwszym mężem Zofii, po trzecim małżonku Radogorskiej. I to Zofia właśnie zamieszania

114 Kamykowski L., *Papiernia lubelska*, Pamiętnik Lubelski t. 2 za lata 1931–1934, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1935, s. 153.

115 Baranowski I. T., op. cit., s. 78.

narobiła, bo wystąpiła do Firlejów o zwrot 1000 florenów tytułem spadku, który się jej po synu zrodzonym z Michała należał. Mości Radogorska pretensje zaczęła rościć wtedy, kiedy dowiedziała się, że Tatarzy przechodzą do owego Trembińskiego Baltazara w dożywotnią dzierżawę. Wynika stąd, że ostatnim lubelskim papiernikiem był praprawnuk Jana Feifera, Adam Wąsowicz, za czasów którego zaczął się młyn ku upadkowi chylić. Zobowiązania nie były realizowane, starosta ani pieniędzy za czynsz nie widział, ani papieru. Najbujniejszy okres rozkwitu papierni przypada na panowanie Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i początki rządów Zygmunta III Wazy. Wówczas papiernią zarządzali Tomasz Wąs i Adam Wąsowicz. Sam Lublin piękniał w oczach, przyciągając do siebie ówczesne sławy – Klonowica, Kochanowskiego, Rojzjusza (doktora Hiszpana). Był to okres wielkich dysput i walk religijnych, intensywnego rozwoju arianizmu i początki działalności zakonu Jezuitów. Od polemik aż huczało, wielcy pisarze tworzy wielkie dzieła, powstawały drukarnie jak grzyby po deszczu, stąd też i wielkie zapotrzebowanie na papier było. Papier lubelski opatrzone znakiem wodnym z herbem „Lewart” Firlejów, bowiem ci byli w owym czasie starostami lubelskimi, stąd też i ich znak rodowy. Zaspokajała papiernia nie tylko ogromne apetyty rodzimego miasta, gdzie od początków XVII wieku funkcjonował cech introligatorów. Przynależeli do niego również księgarze, papiernicy i szkatulnicy<sup>116</sup>. Sporo też papiernia eksportowała poza jego granice, kto wie, może i do tego Krakowa, skoro oni tam tylko te dwa koła mieli. Przyszły jednak zawieruchy, zniszczyły papiernię, nie miał kto jej odbudować w ciężkich czasach Jana Kazimierza, kiedy to i cała Rzeczpospolita zaczęła chwiać się w posadach, to co się dziwić, że papiernia lubelska odeszła w niepamięć. Jak stała rodem Feifera, tak i z jego końcem – sama upadła. Ostatni z dziedziców umarł bezpotomnie, a reszta rodziny zmarniała, wstyd tylko żyjącym jeszcze przynosząc.

Zgodnie z lustracją z 1602 roku obok młyna papiernego znajdowały się jeszcze cztery inne, mączne tym razem, do dóbr starosty lubelskiego, Jana Firleja z Dąbrowicy, należące. Z czasem na własność Firlejów przeszła i sama papiernia, by potem stać się dzierżawą dla Trembińskiego, którą ten przekształcił na kolejny młyn mączny. Ale kiedy papiernia jeszcze działała, całe lubelskie rzemiosło zorganizowane było w cechy. Samych papierników było jednak zbyt mało, by mogli utworzyć oddzielną konfraternię, nie należeli też oni do kontuberni *kartowników*<sup>117</sup>, która przecież w Lublinie działała. Wydaje się więc, że

116 Szkatulnik – rzemieślnik zajmujący się wyrobem ozdobnych skrzyneczek (szkatulek), służących do przechowywania kosztowności.

117 Kartownik – rzemieślnik zajmujący się produkcją malowanych i drukowanych kart do gier i zabaw.

wszelkie sprawy prawne regulował przywilej z 1564 roku. Ów statut Zygmunta II Augusta dotyczył zawodu papiernika na obszarze całej Rzeczypospolitej, ujmując wszystkich jakby w jeden cech, jednocześnie porządkując kwestię uczniów i towarzyszy, jako i samo wykonywanie tej zacnej profesji. Wyrabiano ówczas dwa gatunki papieru. Był więc tak zwany papier średni, którego arkusz wynosił 24x17 cali, był i arkusz królewski, *regalis*, o wymiarach 28x20 cali. *Czeladnik w owym czasie wyrabiał 6 ryz papieru dziennie, w dni przedświąteczne 5 ryz, czyli rocznie około 1750 ryz papieru, ponieważ ryza liczyła 480–500 arkuszy, więc jeden robotnik wykonywał rocznie od 8750 arkuszy papieru. Ilu było papierników w Lublinie o tem nie wiemy. Biorąc za podstawę obliczenia Ptaśnika dla Krakowa, można przypuszczać, że razem z właścicielem pracowało około czterech wykwalifikowanych robotników, którzy mogli rocznie produkować około 7000 ryz papieru, a może jeszcze więcej, skoro papiernia ta opłacała najwyższy czynsz dzierżawny w całej Polsce, papiernicy zaś byli zamożni, skoro mogli włożyć w budowę papierni raz 100 florenów, a drugi raz 2200. Była to więc największa istotnie fabryka papieru w Polsce, a tem różna od innych, że można ją nazwać fabryką państwową, jako stającą na gruntach starościńskich i opłaty na zamek składającą i przez królewskich lustratorów badaną. W świetle dotychczasowych badań była ona pod tym względem jedyna, gdyż warszawska założona na dobrach królewskich, stała się wkrótce uposażeniem kapituły warszawskiej*<sup>118</sup>.

Lubelscy księgarze nie tylko handlowali książkami drukowanymi na lubelskim papierze, ale i samym papierem. Zapotrzebowanie na papier naprawdę było ogromne, zwłaszcza że od 1547 roku istniała na terenie miasta żydowska drukarnia, zajmująca się wydawnictwem świętych ksiąg hebrajskich. Natomiast pierwszym drukarzem polskich książek był imć Paweł Konrad, zajmujący się swym rzemiosłem od 1630 roku. Większość druków z jego warsztatu miała charakter panegiryczny i dewocyjny. W jego drukarni ujrzały światło dzienne pierwsze lubelskie kalendarze, noszące wielce znamienite tytuły, np. *Kalendarz świąt rocznych i biegów niebieskich z wyborem czasów. Na rok pański 1636 przestępny i przybyszowy z pilnością wyrachowany od Jerzego Lemki... Na merydian lubelski zgotowany. Zaćmienia, które będą tego roku, na swym miejscu znajdziesz*. Nie ma jednak co ukrywać, iż mimo niesamowicie wysokiego kunsztu w wymyślaniu tytułów wydawanym przez siebie dziełkom, warsztat drukarski Konrada raczej średnią klasę sztuki drukarskiej prezentował. Wykorzystywane przez niego elementy drzeworytnicze były dość topornie wycinane, więc nie ma co się dziwić, że lubelskie druki znacznie od-

118 Kamykowski L., op. cit., s. 160.

biegały jakością i wyglądem od chociażby współczesnych im zamojskich. Ale papiernia i drukarnie nie były jedynymi nowinkami technicznym, jakimi dysponował renesansowy Lublin.

21 czerwca 1471 roku w stolicznym Krakowie król Kazimierz Jagiellończyk, ten sam, co jego synowie na zamku lubelskim byli przez Jana Długosza chowani, wydał miastu umiłowanemu Jagiellonów, Lublinowi, pozwolenie na zbudowanie kanałów, które miały wodę sprowadzać z Bystrzycy. Była to pierwsza w dziejach miasta wzmianka świadcząca o tym, że Lublin zabiegał u króla o zaopatrzenie w wodę. W tych dawnych czasach niewiele ośrodków miejskich, no, może poza Krakowem, mogło się poszczycić posiadaniem wodociągów. Przywilej królewski nie od razu został zrealizowany, gdyż dopiero w 1506 roku zawarto umowę pomiędzy cechmistrzami, rajcami, pospólstwem a rurmistrzem Janem i towarzyszem jego, Łukaszem Czyriską z Nowego Sącza, na zbudowanie kanałów mających doprowadzać miastu wodę z nieodległej Bystrzycy: *Rajcy wraz z cechmistrzami wszystkich rzemiosł i całym pospólstwem miasta Lublina zawiadamiają, iż zawarli ugodę z rurmistrzem Janem i jego współtowarzyszem Łukaszem Czyriską z Nowego Sącza na budowę wodociągów w Lublinie. Majstrowie zobowiązali się wystawić na rzece Bystrzycy tamy (obstacula alias zajazy), od nich poprowadzić oddzielnie wykopanym korytem bieg wody, którą przy pomocy kół wzniosą ku miastu i rurami doprowadzą do jego środka, do dwóch skrzyń i do browarów oraz niektórych domów. Koszty kopania rowów poniesie miasto, które ponadto przeznaczy place pod budowę potrzebnych budynków i dostarczy drzewa, żelaza i miedzi. Mieszkańcy Lublina będą wolni od jakichkolwiek opłat za wodę, z wyjątkiem browarów od warów piwa i miodu, początkowo na rzecz rurmistrzów, a po upływie 6 lat na rzecz miasta. Koszty oczyszczania łożyska rzeki pokrywane będą z funduszków miejskich, do naprawy rur wodociagowych w okresie pierwszych 6 lat zobowiązali się majstrowie*<sup>119</sup>.

Rurociąg Jana składał się z kanału o długości około 5 km oraz równoległego do niego drewnianego rurociągu. Wodę pobierano ze stawu wrotkowskiego, prowadząc następnie specjalnie wydrążonym kanałem do folwarku kilowskiego (w okolicach dzisiejszej przepompowni), skąd, ile tchu, dzięki sile koła wodnego poruszającego dwutłokową pompę, spieszyła dalej, ku miastu, najpierw do baszty wodnej, osadzonej w murze okalającym klasztor Brygidek od południowej strony. Z poziomu doliny, za pomocą specjalnych czerpaków, piętrzone wodę na wysokość wieży, znajdującej się na wysokiej skarpie i stąd

119 *Budowa wodociągów w Lublinie*, w: Cieślak F., Gawarecki H., Stankowa M. (oprac.), *Lublin w dokumencie 1317-1967*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1976, s. 55.

siłą grawitacji wpadała rażno do skrzyni wodnej, zbiornika zbudowanego nieopodal Bramy Krakowskiej, mniej więcej w rejonie współcześnie znanej nam ulicy Koziej. Ze skrzyni, miedzianymi rurami, biegła chyżo do miasta, by wpaść następnie do drugiego zbiornika, z którego korzystali już wszyscy mieszkańcy lubelscy. Rury prowadziły wodę do szpitala św. Ducha, do klasztoru Karmelitów (dzisiejszy ratusz), i dalej, w stronę monumentalnej Bramy Krakowskiej, co stała na straży miasta. Po jej przekroczeniu, wykorzystując naturalny spadek poziomu powierzchni, przedostawała się Bramową do rynku, by następnie z ulicy Grodzkiej skręcić w uliczkę Ku Farze i zatrzymać się na placu Rybnym. Od głównego wodociągu prowadziły odgałęzienia, co dawały wodę do browaru, ulicznych studni, domów co bogatszych mieszczan czy łaźni publicznej, Rury wodne wydrążono z pni drzewnych, wierząc w ich otwory. Poszczególne elementy przemysłni rurmistrzowie połączyli za pomocą żelaznych muf, specjalnych kołnierzy, a niedoskonałości łączy uszczelnili budowniczo mchem. Mech miał ponadto i inne właściwości, bowiem służył jako swoisty odkażacz od całego groma bakterii, jaka razem z wodą ewakuowała się z wrotkowskiego stawu. Aby stale utrzymywać odpowiedni poziom wody we wszystkich urządzeniach, trzeba było podnieść poziom samej rzeki. Zbudowano więc tamę i jednocześnie wzmocniono brzegi Bystrzycy. Sebastian Klonowic tak opisywał te ówczesne cuda techniki:

*Niebieska Klio! Widzę cię z oddali,  
Lecisz k'tej stronie i twój orszak cały  
Kędy Bystrzyca cichym szmerem fali  
Napęlnia stawy, groble i kanały,  
Kędy się dzieląc w dwoiste ramiona,  
Rzeźwą się wodą przysłuża w Lublinie,  
Podmywa basztę, pryska się spieniona,  
Drugą odnogą do jeziora płynie.  
Miedzianą rurą wpuszczona do miasta  
Bije na kole fontanna swawolna,  
Jeden brzeg rzeczny wierzbami zarasta,  
Na drugim jodła i sośnina polna*<sup>120</sup>.

120 Klonowic S., *Ziemia Czerwonej Rusi (Roxolania)*, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego, Wilno 1851, s. 23.

Ze słów Klonowica wynika, że pod koniec XVI stulecia Kozi Gród mógł się poszczycić nie tylko posiadaniem wodociągu, co stanowiło o jego zamożności i nowoczesności, ale i fontanną, *nie wiemy tylko, czy jej uruchamianie sprawiało również niekończące się kłopoty, jak w nie tak odległych czasach XX wieku*<sup>121</sup>. Te drewniane rury odkryto przypadkiem w 1959 roku podczas układania nowych wodociągów i kanalizacji. Znajdowały się mniej więcej na głębokości 4 m pod powierzchnią Krakowskiego Przedmieścia. Tereny, przez które woda od stawu tak chyżo sobie płynęła ku miastu, częściowo pokrywały się z posiadłościami brygidek, które z tego tytułu wdały się w ciągnące się latami spory z miastem. Zakończono je ugodą dopiero w XVII stuleciu. Samo utrzymywanie wodociągu stanowiło bardzo duży wydatek dla Lublina, gdyż ówczesne rozwiązania techniczne, chociaż tak genialne w swej prostocie, wymagały nieustającej, a przede wszystkim wysoce kosztowej konserwacji. Nie dziwi zatem, że kiedy w połowie XVII stulecia, za czasów najazdów kozackich i potopu szwedzkiego, wodociąg został praktycznie zniszczony, podupadającego miasta nie było stać na odbudowę tak bardzo zdewastowanych wskutek działań wojennych urządzeń. Wodociągi praktycznie zniknęły ze świadomości mieszczan, a dowodem na to jest brak jakichkolwiek wzmianek o nich w miejskich księgach doby XVII stulecia. W związku z tym rażąco pogorszył się stan sanitarny Lublina. W 1782 roku niejaki Michał Bergonzoni, lekarz włoskiego pochodzenia, wydał skromne dzieło opatrzone znaczącym tytułem „Lublin podług ustaw medyki uważany”, na którego kartach zatroskał się o stan zdrowotności miasta i analizował powody licznych chorób, które srogo trapiły mieszkańców.

A jak to w ogóle z tą wodą było w mieście i okolicach? Ze względu na małą powierzchnię w obrębie murów, miasto zaczynało wychodzić na podgrodzia. Sukcesywnie więc pokrywano siecią budowli okoliczne przedmieścia: Krakowskie, Lwowskie, Czwartek czy Podwale. Budowano wściekle na Żmigrodzie, w dzielnicy żydowskiej i na Podzamczu. Wówczas otaczające Lublin rzeczne doliny straciły swój obronny walor i zaczęto je planowo zagospodarowywać. Wykorzystując naturalne uwarunkowania terenu, wznoszono groble piętrzące stawy przepływowe. Na groblach stawiano potem młyny ułatwiające codzienne życie mieszkańcom Koziego Grodu. Idealnym miejscem do budowy wszelkich urządzeń wodnych było przewężenie w dnie Bystrzycy na Kalinowszczyźnie, gdzie mniej więcej od połowy XIV stulecia aż do początków XIX wieku istniał Staw Wielki Królewski o powierzchni, bagatela, ok. 130 ha, ciągnąc się przez 2,5 km od znanej nam dziś ulicy Płazowej aż do Tatarskiej. Grobla służyła jako droga dojazdowa do wsi Tatary

121 Gawarecki H., *O dawnym Lublinie. Szkice z przeszłości miasta*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1986, s. 58.

i znajdujących się w jej pobliżu kamieniołomów, skąd czerpano materiał do budowy miejskich murów. Przy Wielkim Stawie Królewskim znajdowały się 4 młyny mączne. Kolejny staw położony był na Grodziance, połączonej kanałem z Czechówką, pomiędzy Wzgórzem Staromiejskim i Zamkowym. To tu osadzono najstarszy młyn, słodowy, królewski, o którym mowa w akcie sprzedaży wójtostwa z roku 1342. Otóż spływające od bijącego niedaleko traktu litewsko--ruskiego źródła utworzyły niewielkie rozlewisko. Ten zbiornik wodny nazywano w dokumentach miejskich *sadzawką pod zamkiem* lub *stawem pod zamkiem*. Znajdował się gdzieś poniżej ulicy Kowalskiej, a służył do połowu ryb. Stamtąd właśnie, przez Furtę Rybną w murach, można było przejść na plac Rybny, gdzie owe ryby, pięknie na ławach wyłożone, wolno było już swobodnie kupić. Z czasem jednak utrzymywanie i stawu, i młyna przestało się opłacać, Grodzianka wyschła, więc trzeba było poszukać innego miejsca do lokalizacji nowego zbiornika wodnego. Pomysłowi mieszczanie spiętrzyli nurt Czechówki i zagospodarowali teren między dzisiejszą Nadstawną a Lubartowską, a osuszony obszar pod zamkiem wchłonęło żarłoczne miasto pod kolejne zabudowy.

Woda była Lublinowi bardzo potrzebna, nie tylko ze względu na jej życiodajne walory, nie tylko ze względu na ryby czy młyny, co zaspokajało podstawowe potrzeby mieszczan, ale i ze względu na takie wynalazki, jak *blechy* (*blichy*, *albatoria*) czy szlifiernie. Blechem nazywano ówczesnie miejsca, gdzie poprzez polewanie wodą bielono w słońcu płótna. *Blechy* urządzało gdzieś nad wodą, nad brzegami stawów, sadzawek lub rzek, a wodę sprowadzano specjalnymi rynnami. W Kozim Grodzie blech mieścił się nad Bystrzycą, niedaleko Wielkiego Stawu Królewskiego. A że znowu był to teren przynależący do brygidek, to jak i w przypadku wodociągów, i blechu nie ominęły długotrwałe spory z zakonem. Na koszty konserwacji urządzeń łożyło miasto, ale nie wiemy, jaki dochód urządzenia te przynosiły, zwłaszcza że w lubelskim blechu oczyszczano również wosk. Blech i szlifiernię wybudowano na mocy przywileju Zygmunta I Starego z 29 stycznia 1527 roku: *Król Zygmunt, dążąc do zwiększenia dochodów Lublina, obniżonych na skutek częstych pożarów miasta, a także wskutek upadku handlu z krajami ruskimi, niszczonymi przez najazdy Turków i Tatarów, oraz pragnąc dać mieszkańcom tego miasta możliwość lepszego i mocniejszego obwarowania się, zezwala na wybudowanie pod miastem, nad rzeką Bystrzyca, w pobliżu wielkiej sadzawki królewskiej blechu (dealbatorium tele quod vulgo blech vocatur)<sup>122</sup> i szlifierni (officina ferramentaria schloffarnya nuncupata)<sup>123</sup> pod warun-*

122 Dealbatorium tele quod vulgo blech vocatur – miejsce bielienia płótna zwane blechem.

123 Officina ferramentaria schloffarnya nuncupata – zakład żelazny zwany szlifiernią.

kiem obracania wszystkich dochodów z tych przedsiębiorstw na zasilenie skarbu miejskiego<sup>124</sup>. Szlifiernia, jako i blech, również znajdowała się nad Bystrzycą. Jej urządzenia wykorzystywano także do wyrobu prochu, a tereny, które zajmowały oba te przedsiębiorstwa miejskie, zostały przedstawione na najstarszym widoku Lublina, pochodzącym z 1617 roku. Skoro w mieście była papiernia, były młyny, były wodociągi, blech i szlifiernia, nie mogło też zabraknąć *woskobojni* i postrzygalni sukna. Przywilejem wydanym w Gdańsku 1 sierpnia 1552 roku król Zygmunt August potwierdza przywilej z 1548 dany Lublinowi na budowę *woskobojni*, gdzie rozpuszczają wosk, i ustanawia następujące przepisy:

1. topienie wosku w jakimkolwiek innym miejscu poza *woskobojnią* jest zabronione,
2. dozorczy wyznaczeni przez burmistrza i rajców winni pilnować, by wosk nie był fałszowany,
3. [by] wosk przywieziony do Lublina mógł być wystawiony na sprzedaż po zbadaniu go i opieczętowaniu miejską pieczęcią.

Jednocześnie w domu przeznaczonym na *woskobojnię* ma być badana jakość korzeni przywiezionych do Lublina z Turcji i Grecji<sup>125</sup>.

Wosk był dostarczany głównie przez mieszkańców wschodnich obszarów Rzeczypospolitej, więc już w XV wieku miasta położone na tych terenach zaczęły organizować handel woskiem. Niektóre z nich powołały do życia miejskie przedsiębiorstwa, gdzie wosk topiono, ugniatano, jak również wazono i następnie opatrywano pieczęcią danego miasta, aby broń Boże nie odpuścić sobie tego luksusowego niemal artykułu, niezbędnego przecież do wyrobu świec. W *woskobojniach* (*kapnicach*) na świece przetwarzano przetopiony wcześniej łój. Te ośrodki, które posiadały królewski przywilej na prowadzenie *woskobojni*, jednocześnie miały wyłączność na przetwarzanie wosku. Najstarsze przybytki tego typu, pochodzące jeszcze z XV stulecia, znajdowały się we Lwowie, Wilnie i Kołomyi. Nasza, lubelska, mimo iż najstarszą nie była, do bardzo, bardzo starych się zaliczała. Mieściła się niedaleko Bramy Krakowskiej, *ex oppositio* klasztoru Karmelitów bosych. Wyrabiano w niej nie tylko świece, lecz i bryłki na kościelne wota. Lublin był miastem pożarów, więc nie dziwi, że pewnego pięknego dnia spłonął przywilej dotyczący postrzygalni sukna. Wówczas król Zygmunt August, wychodząc naprzeciw potrzebom mieszkańców, w 1564 roku ponownie stwierdził, że nikomu – ani w mieście samym, ani na przedmieściach czy Podzamczu – nie wolno zajmować się postrzyganiem materii

z wyjątkiem postrzygacza, który będzie urzędował w miejskiej postrzygalni, jaką mu panowie rajcy do dyspozycji dają. Jednocześnie władca orzekł, co następuje:

1) *aby w mieście, na wszystkich przedmieściach i na Podzamczu był tylko jeden blacharz (faber laminarius) i jeden pixidarius vulgo puszkarz;*

2) *aby nikomu w mieście, ani na przedmieściach, nie wolno było uprawiać jakiegokolwiek rzemiosła przed przyjęciem prawa miejskiego i zobowiązaniem się do posłuszeństwa starszym danego rzemiosła, a to pod karą odebrania i sprzedaży instrumentów rzemieślniczych na rzecz szpitala dla ubogich*<sup>126</sup>.

Istniała też łaźnia wójtowska, którą, jak wiadomo, zbudowano na mocy przywileju lokacyjnego z 1317 roku. Pod koniec XVI stulecia przybytek przeszedł na własność miasta, więc dzierżawiono ją łaźebnikom, pobierając niemały czynsz i tym samym wzbogacając miejską kasę. Łaźnia znajdowała się na placu Rybnym. Poza tym funkcjonowały też cegielnie, poważne przedsiębiorstwa. Tylko jedna z nich należała do władz, reszta pozostawała w rękach prywatnych rzemieślników, ale ciążyło na nich pewne zobowiązanie. Otóż musieli oddawać część wapna i cegły na naprawę i konserwację murów otaczających Kozi Gród. Nie mniej ważnym przybytkiem wbrew pozorom był zamtuż, dom publiczny, czyli *prostibulum*, wcale chętnie odwiedzany. Opiekę nad nim sprawował miejski kat, dzierżawiąc dom uciech i odprowadzając do kasy ustalony z góry czynsz. Kiedy *prostibulum* w roku 1575 roku strawił niemal do cna wielki pożar, rzucili się mieszkańcy do odbudowy, co uczyniono bardzo dużym nakładem kosztów. Pod ratuszem, w Rynku, funkcjonowało jeszcze jedno ucieszne sanktuarium. Była to piwnica, gdzie otworzono sklep, w którym sprzedawano trunki przywożone do Lublina nie tylko z okolicy, ale i z innych miast, czyli alkoholowe delikatesy. Także wagi i tragarstwo stanowiły monopol dla miasta. Ważenie przywożonych i wywożonych towarów odbywało się jeno na wadze miejskiej. Tragarstwo, nierozdzielnie z wagą złączone, było niczym innym, jak opłatą od wywozu, przywozu oraz składu do piwnic towarów bardzo szlachetnych, a przede wszystkim win i miodów.

*Prostibulum*, jak już wiemy, zajmował się miejski kat, a kat był zawodem, mimo że niewdzięcznym i szalenie wstydlivym, jak najbardziej rzemieślniczym. Swego czasu obecna ulica Narutowicza stanowiła średniowieczny trakt krakowski i dopiero później ustąpiła palmy pierwszeństwa na rzecz Krakowskiego Przedmieścia. Jej znaczenie podkreśla lokalizacja dwóch zespołów klasztornych, czyli brygidek i bernardynów. Obydwa poło-

124 *Blech i szlifiernia w Lublinie*, w: Cieślak F., Gawarecki H., Stankowa M. (oprac.), op. cit., s. 56.

125 *Woskobośnia w Lublinie*, w: idem, s. 58.

126 Riabinin J., *Materiały do historii miasta Lublina 1317 – 1792*, Wydawnictwo Zarządu Dziennika Lublina, Lublin 1938, s. 77.



zone były przy bardzo ruchliwych drogach, z czego braciszkanie i siostrzyczki całkiem nieźle dochody czerpali. Na tracie królewskim znajdował się także kościół św. Krzyża, obok którego bieгло odgałęzienie szlaku ku północy, do niedalekiej Wieniawy, wówczas osobnego miasteczka. Przy owym odgałęzieniu wybudowano ośmioboczną basztę, siedzibę kata. Najstarszy widok Lublina pokazuje ją jako budowlę zdobną obronnym krenelazem, a archiwa mówią, że w 1468 roku właścicielem otaczających ją ogrodów był pan Jan Krejdlar, którego grunty przylegały do terenów, gdzie od dawna znajdowała się szubienica. Kiedy to w roku Pańskim 1603 wytyczono granice pomiędzy posiadłościami miejskimi i dobrami swarliwych brygidek, ustalono od razu, że ma ona przebiegać *od Bożej męki murowanej aż ku szubienicom*<sup>127</sup>. Lubiło miasto podkreślać, kto szubienicą rządzi. Stało się tak w roku 1647, kiedy Lublin odkreślił swoje prawa do terenu, *na którym wymierzona jest złoczyńcom sprawiedliwość*<sup>128</sup>. Plan z 1783 roku nadal wykazuje basztę, w opisie nazywaną jeszcze szubienicą, mimo że sprawiedliwość od wielu lat nie była tam w świetle prawa wymierzana. W 1837 roku, kiedy Lublin podniósł się już na tyle z kolan, że mógł sobie zafundować piękny ogród miejski, baszta znalazła się na obszarze, na którym miano dokonywać rewitalizacji. Ówczesnie nie była już katownią jednak, a składem prochu i funkcjonowała w świadomości mieszczan jako prochownia. Feliks Bieczyński, gubernialny inżynier odpowiadający za założenie ogrodu, przedstawił rok później komitetowi odpowiedzialnemu za powstanie parku projekt rozbudowy starodawnej baszty wraz z pomysłem wykorzystania jej murów do hodowli jedwabników. Chociaż pomysł został zaakceptowany, niestety, nigdy nie doczekał się realizacji. A trochę szkoda.

Tętnił Kozi Gród życiem rzemieślniczym, rozwijały się stare i wciąż powstawały nowe bractwa, bo zasób rzemiosła decydował o bogactwie miasta. W połowie XVI stulecia w Lublinie było około 58 rodzajów rzemiosł. Najwięcej warsztatów prowadzili rzeźnicy, piekarze, szewcy i garncarze. W 1654 roku pracowało 24 szewców i 8 rzeźników, a na Podzamczu w 1570 roku było 9 piwowarów, a sama produkcja i piwa, i wódek popularna była bardzo, bowiem odpowiadała na zapotrzebowania samych mieszkańców jak i odwiedzających miasto gości, gdyż szeroko słynął Lublin ze swego handlu. Pełnił dużą rolę w międzynarodowej wymianie tranzytowej, na polu handlu krajowego z innymi miastami, prym wiodąc na płaszczyźnie czysto lokalnej. Sławę swą zawdzięczał nie tylko dogodnemu położeniu na przecięciu się szlaków handlowych, ale i licznym przywilejom, jakim poszczególni władcy obdarzali go przez wieki. Usytuowany był w samym sercu

Rzeczypospolitej, nie dziwi więc, że był najlepszym miejscem do organizowania spotkań kupiectwa z Rusi, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony. *Leżał on na pograniczu trzech sfer gospodarczych, którym do rozwoju ekonomicznego potrzebna była ciągła wymiana [...]. Na wymianie surowców różnego rodzaju na wyroby przemysłowe w najszerszym tego słowa znaczeniu polegał wielki handel Lublina i świetność jego jarmarków. Jest on zarazem wiernym odbiciem struktury gospodarczej i ekonomicznej krajów, których kupcy pojawiali się na jarmarkach polskich – lubelskich [...]*<sup>129</sup>. Kraje ruskie dostarczały bydło i produkty leśne – dziegieć, drewno, smołę i popiół, Litwa miała tu zbyt na futra i воск, a Zachód – na wszystko, czego krajom litewskim i ruskim brakowało. Z tym, że leżał sobie ten nasz Lublin na ważnych szlakach handlowych wiązało się to, że był jednocześnie istotnym centrum o charakterze administracyjno-komunikacyjnym. Królowie darzyli go szczególną atencją w trakcie swoich podróży na litewskie włości, tu właśnie zjeżdżali się panowie z Korony i Wielkiego Księstwa dla omawiania ważkich spraw państwowych, tędy też przejeżdżali posłowie zagranicznych władców. Niestety, owo położenie miało i swoje ciemne strony, ponieważ Kozi Gród leżał również na szlaku często przez wojska uczęszczanym. A przemarsze przynosiły duże straty, zwłaszcza w XVII stuleciu. W 1611 roku litościwy król Zygmunt III Waza zwolnił miasto od podwód, bo lublinianie znacznie ucierpieli od żołnierskiej marszruty i nieustających pożarów.

Powoli jednak uwidaczniały się różnego rodzaju tarcia. Po pierwsze – swarliwi mieszczanie przepychali się wciąż pomiędzy sobą. Po drugie – wojny niemal podjazdowe prowadzili z przedmieściami. A po trzecie – na cel obrano sobie też szlachtę, chociaż lepiej byłoby powiedzieć, że szlachta obrała sobie za cel mieszczan i był to, niestety, trend ogólnokrajowy. Jeszcze w dobie XV stulecia co bogatsi mieszkańcy Lublina mieli możliwość skoczyć oczko wyżej w społecznej hierarchii i zasilić szlacheckie szeregi. Wykorzystywali do tych skomplikowanych operacji stosunki pokrewieństwa lub swoje włości, bo liczyła się ilość posiadanej ziemi. Pieniądz w ręku mieszczanina również był doskonałym narzędziem do zrealizowania snu o herbie. Nierzadko żenili się mieszkańcy miasta ze szlachciankami, a synowie szlacheccy bez oporu poślubiali mieszczki, oczywiście, tylko te najbogatsze. Na przykład tacy Samborzeccy i Kryniccy, obywatele miejscy, zawierali związki małżeńskie z przedstawicielkami rodów szlacheckich, a w 1530 roku niejaki Mikołaj Suchypołek, kuśnierz, poślubił szlachciankę, pannę Annę Bystrzejowską. Z biegiem lat jednak, w miarę obrastania szlachty polskiej w sarmackie piórka, coraz bardziej

127 Gawarecki H., op. cit., s. 79.

128 Ibidem, s. 80.

129 Białkowski L., *Lublin na starych szlakach handlowych*, „Pamiętnik Lubelski”, t. III za lata 1835–1937, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1938, s. 293.

niechętnym wzrokiem patrzono na takie mariaże, na bogacenie się mieszczan w rezultacie ciężkiej i zwykle uczciwej pracy, na nabywanie przez mieszczuchów posiadłości ziemskich. Poza tym posiadanie dóbr zobowiązywało i tu akurat cierpieli na tym mieszczanie, pomijając już to, że byli solą w oku wyższych stanem. Ponieważ dobra istniały, a część z nich nawet do miasta należała, to trzeba było potem brać udział w wyprawach wojennych, a te potrafiły ciągnąć się latami. Szczególnym polem do zatargów na linii szlachta – mieszczaństwo były tak zwane jurydyki. Lublin owszem, rósł w siłę, piękniał, był ważnym centrum łączącym Wschód z Zachodem, pełniąc doniosłą rolę polityczną i gospodarczą. Zjeżdżała się tu więc szlachta i magnateria, chętnie nabywając place, grunty oraz ogrody. Wówczas ujawniły się tendencje do tworzenia jurydyk, czyli organizowania się niezależnie od władz miejskich. Posiadały jurydyki swoje magistraty i własnych wójtów, zależnych jedynie od feudalnych panów. Swoim zasięgiem obejmowały te twory prawne peryferie gruntów lubelskich. Ich mieszkańcy trudnili się rzemiosłem, rolnictwem, prowadzili karczmy i zajazdy. Zaczęły być więc jurydyki konkurencją dla rzemieślników miejskich, wielce dla nich niewygodną. Ale miasto nie próżnowało, broniąc zaciekle swoich obywateli, gdzie się tylko dało. Poza tym jurydyki godziły w miejski handel, nie ponosząc żadnych obciążeń na rzecz władz Lublina. Ta sytuacja znacznie się przyczyniła do upadku samego miasta w XVII stuleciu. Jednak w czasach, kiedy dobrobyt mieszkańców wzrastał w ślad za nieustannie postępującym rozwojem i różnorodnością produkcji rzemieślniczej, rosło też polityczne znaczenie mieszczaństwa. Lublin otrzymał więc szereg przywilejów, nie tylko za dynastii Jagiellonów, ale i za późniejszych władców, Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy. Miały one charakter ściśle gospodarczy, a zwłaszcza handlowy. Dzięki temu był Kozi Gród jednym z ekonomicznych filarów Korony. Mógł też wysyłać swoich posłów na sejmy, chociaż wiadomo, niezbyt przychylnie traktowała to szlachta. Charakter poselstwa z Lublina, podobnie jak z innych miast, znacząco odbiegał od posłowania szlacheckiego. Posłowie delegowani spośród mieszczan nie byli tylko i wyłącznie wysłańcami, bo dzięki swoim umiejętnościom politycznym i przedsiębiorczej smykałce starali się wpływać na kształt aktów ustawodawczych. Oczywiście nie mogli czynić tego bezpośrednio, zatem przemyślnie składali różnorakie prośby i skargi, starając się zaznaczyć tym swoją obecność i przypomnieć, że posiadają polityczne obycie i nie należy ich lekceważyć.

W 1578 roku król Stefan Batory powołał do życia Trybunał Koronny. Pierwsze jego posiedzenie odbyło się rok później pod laską marszałkowską Piotra z Dębna Oleśnickiego. Trybunałów było dwa. Jak kończyła się kadencja sądu dla Wielkopolski, trwająca od 19

marca do 15 września, wówczas Trybunał przenosił się z całym majdanem do Lublina, gdzie rozpoczynał swoje urzędowanie w pierwszy poniedziałek po niedzieli przewodniej, a kończył 20 grudnia każdego roku. Sesje te sprawiały, że nasze uroczę miasto przeżywało wówczas prawdziwe oblężenie, a Lublin gościł znakomitych panów z województwa nie tylko lubelskiego, ale i z sandomierskiego, z krakowskiego, z Zatora i Oświęcimia. *Napływał zatem zewsząd tłum dla nieustannego ruchu i zabawy. Magnaci i panowie co możniejsi najliczniej. Szlachta... już na kilka niedziel przed czasem i terminem oblegała Lublin rodzimym zwyczajem. Jedni z konieczności dla sprawy przyjeżdżali. Inni dla zabawy. Nawet Niemcowie a francuscy ludzie ściągali pod sklepy rynkowe zagranicznym kupczyć towarem*<sup>130</sup>. Dochodziło do tego, że ówczesni celebryci starali się właśnie podczas sesji organizować rodzinne uroczystości, *wesela szczególnie na tak publicznym miejscu za honor było odbywać*<sup>131</sup>. Wydawano uczyty Baltazara, wystawne bale i obiady. Za mieszkania służyły szlachcie domy w obrębie miejskich murów i na przedmieściach. Zwłaszcza od momentu ustanowienia Trybunału Koronnego rosły one jak grzyby po deszczu. Wówczas przecież zbudowano większość magnackich pałaców, należących do Zebrzydowskich, Firlejów czy Myszkowskich, a i domostw dla tych mniej zamożnych. To one właśnie dawały początek kości niezgody, czyli szlacheckim jurydykom. Miasto więc pęczniało w szwach i musiało się nieustannie rozbudowywać, aby sprostać oczekiwaniom przyjezdnych, jak i samych mieszkańców.

Ale od czasu do czasu, ze względu na dynamiczny rozwój, żeby zapobiec bałaganowi wewnętrznemu, trzeba było jakoś zapanować i nad nader wesołą miejską gromadką, bowiem Lublin był miastem królewskim. W 1660 roku poddano cechy lustracji, żeby sprawdzić, na jakiej to podstawie prawnej te bractwa lubelskie działają. Wykaz nie zawierał jednak wszystkich kontuberni, bowiem w Lublinie funkcjonował jeszcze cech bednarzy, haftarzy (hafciarzy), kotlarzy i paśników:

*Rzeźnicy. Jest rzeźniczych jatek w tym mieście 20, samych rzeźników 14. [...] Produkowali przed nimi ciż rzeźnicy lubelscy najprzód porządek cechu swego i pewnych w nim artykułów [...] z potwierdzeniem króla Zygmunta [...] anno 1533 [...].*

*Cech piekarski. Produkowali piekarze lubelscy punkta cechu swego [...] na które to [...] punkta zaszła aprobacja [...] króla Stefana [...] anno 1581 [...].*

*Cech szewski. Produkowali szewcy postanowienie i porządek cechu swego z potwierdzeniem JKMci pana naszego miłościwego [...] de data 1649 [...].*

130 Mayer Z., *Wizerunek Trybunału Koronnego. Studium prawno-obyczajowe*, Lwów 1929, s. 21.

131 *Ibidem*, s. 37.

*Cech pasamoniczy. Pokazali pasamonicy lubelscy artykuły cechu swego [...] de data [...] 1640 [...].*

*Cech ślusarski. Pokazali ślusarze punkta cechu swego z potwierdzeniem [...] Zygmunta III [...] de data [...] 1618 [...].*

*Garncarze. Porządku cechu swego, także i konfirmacji nam nie pokazali, twierdząc, że w przykrych okolicznościach zaginęł [...].*

*Krawcy. Pokazali przywilej JMci Stefana, de anno 1583 [...].*

*Kuśnierze. Pokazali cechmistrze cechu swego tego potwierdzenie dwóch przywilejów, jeden przez [...] Zygmunta III [...] anno 1604 [...], drugi [...] przez Władysława IV, de data [...] 1633 [...].*

*Miecznicy. Mają miecznicy lubelscy aprobatę punktów między sobą uchwalonych [...] od króla Zygmunta III, de anno 1618 [...].*

*Cyrulicy. Pokazali cyrulicy punkta cechu swego między sobą in anno 1597 zawarte [...].*

*Miechownicy. Produkowali miechownicy lubelscy potwierdzenie artykułów i postanowienia cechu swego przez [...] Zygmunta III [...] roku 1613 dane [...].*

*Rymarze, siodlarze i olsternicy. Produkowali przywilej potwierdzenia porządków i artykułów cechu swego od [...] króla Stefana, de anno 1583 [...].*

*Produkowali kowale na cech swój potwierdzenie od [...] Zygmunta Augusta in anno 1566 [...].*

*Iglarze i nożownicy. Mają potwierdzenie punktów cechu swego [...] anno 1651 dane [...].*

*Stolarze, snycerze, tokarze. Pokazali bracia cechów tych przywilej króla JMci Zygmunta III [...] anno 1613 [...].*

*Stelmaszy, kołodzieje, powroźnicy. Starsi cechów tych pokazywali przywilej JKMci pana naszego [...] anno 1658, którym przywilejem mają artykuły między sobą postanowione, potwierdzone [...].*

*Piwowarowie. Produkowali piwowarowie punkta i porządki cechu swego przez JKMci pana naszego [...] roku 1650 utwierdzone i ratyfikowane [...].*

*Konwisarze i blachownicy. Pokazali konwisarze przywilej [...] Władysława IV [...] anno 1635 [...].*

*Kurdybanicy podzameccy. Produkowali list JW. Pana Zbigniewa z Dąbrowicy Firleja, starosty lubelskiego, de anno 1645, którym aprobuje punkta cechu kurdybanicznego [...].*

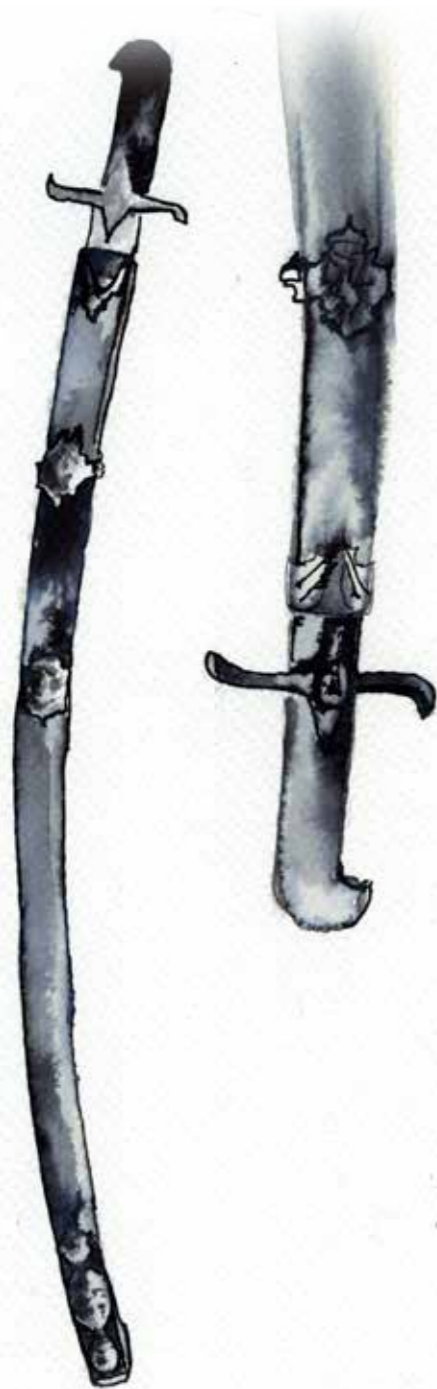
*Kaletnicy. Produkowało bractwo cechu tego potwierdzenie artykułów cechu swego przez [...] Zygmunta III de anno 1613 [...].*

*Opowiadanie względem zaginięcia pewnych cechów.*

*Dał sprawę urząd i pospólstwo miasta Lublina, że cechy te niżej opisane dla przeszkody w handlach od Żydów lubelskich całe zaginęć musiały, jako to: tkacze, powroźnicy, szmuklerze, czapnicy, kartownicy i cieśle<sup>132</sup>. Pierwszy statut cechu mieczników pochodził z 1596 roku, kolejne przywileje władcy nadawali w 1618 i 1678 roku. Księga bracka z 1596 roku została podzielona na tak zwane rejestry, gdzie miecznicy skrupulatnie notowali następujące wydarzenia: wybory cechmistrzów, przyjmowanie młodszych, oddawanie sztuk naprzód, kwitowanie cechmistrzów, oddawanie kolacji, listów, *dośćuczynienie cechowi*, jednanie chłopców, wyzwalenie chłopców, przychody do skrzynki brackiej, wydatki, winę bracką itp. Niestety, data powstania cechu mieczniczego nie jest dokładnie znana. Samo rzemiosło istniało od dawna, o czym można się dowiedzieć z taksy wojewódzkiej z 1521 roku, która ustanawiała maksymalne ceny za naprawę narzędzi produkowanych przez mieczników lubelskich. Kolejny ślad w miejskich dokumentach to dopiero sławetny rok 1596. Ówczesnie miecznicy tworzyli wspólne bractwo ze stolarzami, konwisarzami, kotlarzami, nożownikami, zegarmistrzami i iglarzami. Postanowili jednak majstrowie tych wszystkich rzemiosł, że utworzą razem organizację, zaczęli więc starać się o przywilej. Było ich 32, z czego aż 7 mieczników. Każdy z nich na ten szczytny cel dał po kopie, czyli po 60 groszy. Niestety, nic nie trwa wiecznie, zatem i wspólny cech nie za długo przetrwał, bo tylko do 1616, względnie 1618 roku. Wtedy to miecznicy postanowili opuścić bractwo i utworzyć samodzielną kontubernię na podstawie statutu rady miejskiej, który w 1618 roku Zygmunt III Waza podniósł do rangi królewskiego przywileju. Ostatni wpis w księdze brackiej pochodzi z 1793 roku i dotyczy wyboru cechmistrzów.*

System wyszkolenia w cechu podzielony został na trzy etapy: uczniowski, *robieńczy* i czeladniczy. Dopiero po spełnieniu tych warunków towarzysz mógł przedsięwziąć działania o uzyskanie tytułu mistrza. Jak to zwykle w konfraterniach bywało, szkolenie odbywało się w pracowni, pod czujnym okiem mistrza. Jak jakiegoś chłopaczka przyjęto do terminu, zaraz go chlebodawca polecał wpisać do tzw. rejestru jednania chłopców. Skrupulatnie notowano imię i nazwisko majstra, dane personalne *uczennika*, imiona i nazwiska rodziców, badając równocześnie, czy aby na pewno jest wyznania rzymskokatolickiego. Termin trwał trzy lata, a po ich upływie następowały uroczyste wyzwoliny ucznia na *robieńca*, co działo się w obecności starszyny cechowej, mistrzów młodszych, towarzyszy i *robieńców*. Nauczyciel oznajmiał wszem i wobec, że dał jego wychowanek zadość wszelkim powinnościom, a i uczył się należycie. Same wyzwoliny odnotowywano w rejestrze wyzwiania

<sup>132</sup> *Organizacje cechowe w Lubinie według lustracji starostwa lubelskiego*, w: Cieślak F., Gawarecki H., Stankowa M. (oprac.), op. cit., s. 78–79.



uczniów. Wówczas taki młodzieniec stawał się *robieńcem* i jeszcze przez dwanaście tygodni pracował u swojego dotychczasowego patrona. Jeśli po ich upływie chciał się dalej kształcić i zostać towarzyszem, wówczas to prosił o przyjęcie go na naukę i w przypadku uwzględnienia tej skromnej prośby, pracował u jednego i tego samego mistrza kolejnych dwanaście niedziel. Jak już te dwanaście niedziel miał za sobą, to sam się do cechu zgłaszał i wdzięcznie zabiegał o uznanie go za towarzysza. Znowu musiał dwanaście tygodni u tego samego mistrza odrobić, a to oczywiście pod karą 12 *wochlonów*. Potem znowu co żwawo biegł do cechu i znowu prosił, tym razem o zezwolenie, aby się na mistrza mógł uczyć. Szereg warunków musiał spełnić. Przede wszystkim trzeba było uzyskać obywatelstwo miejskie. Potem egzamin mistrzowski złożyć albo odpowiednio wygórowaną kwotę do skrzynki przeznaczyć. W obowiązku miał ponadto kolacje wystawić sute – tak zwaną sztuczną i mistrzowską, gryzipiórkowi zapłacić, na wosk dać itp. Na zrobienie sztuki znowu miał 12 niedziel. Oceniali ją wszyscy mistrzowie, zarówno starsi, jak i młodszy. Jak delikwent się spodobał, to wpisywano go podówczas do rejestru przyjmowania młodszych. *W razie, gdy cech odmówił kan-*

*dydatowi przyjęcia go w poczet mistrzów cechowych, mógł on żalić się przed radą miejską, która sprawę rozpatrywała i ostatecznie decydowała. Miecznika można było wydrzeć z cechu z powodów w prawie cechowym przewidzianych, jak np. z powodu wygładzania narzędzi mieczniczych partaczom, z powodu zmiany religii rzymskokatolickiej na inną, popełnienia czynu hańbiącego, jak np. kradzieży itp. Przeciwnie postanowieniu tego rodzaju wolno się było żalić przed radą miejską. Na skutek takiego żalenia się postanowienie cechu było przedmiotem rozpatrywania przez radę miejską, co również odbywało się systemem procesowym. Rada miejska zależnie od wyników władna była albo utrzymać w mocy postanowienie cechu*

*albo je uchylić*<sup>133</sup>. Z dostępnych nam dokumentów, jakie dotyczą cechu lubelskich mieczników, czerpiemy wiedzę na temat tego, jakie rodzaje broni były przez owych konfratrów produkowane. Otóż wyrabiali oni miecze, szarszuny<sup>134</sup>, granaty, noże, rurały<sup>135</sup>, siekierki, czekany i rohatyny, a także szpady, karabele oraz buławy itp. Niektóre były wykonywane nawet bardzo artystycznie, a niekiedy też aż nadto zbytkownie.

Jeszcze bardziej zbytkowne były hafty. W średniowieczu terminowanie u haftarza (hafciarza) trwało aż 6 lat, a na godność mistrza trzeba było zasłużyć kolejnymi czterema latami ciężkiej harówki. *Hafciarstwo, z niem. der Heft, posiadało w starożytności nazwy techniczne: haftować – acupingere (polskie „malowanie igielkowe” – Kołaczkowski), haftarz – acupictor, hafciarstwo – ars plumaria (plumarius od ściegu płaskiego, wyglądem przypominającego pióro), ars phrygonica, phrygio, bo przez Frygię szły hafty z wschodu do Włoch. Te trzy nazwy techniczne występują w aktach lubelskiego cechu haftarskiego. Do robót haftarskich, oprócz szat liturgicznych, należały: siodła, czapraki, oponcze, mieszki, rękawiczki, namioty, proporce, obicia meblowe i sajdaki*<sup>136</sup>. W najjaśniejszej Rzeczypospolitej wyróżniano 3 największe cechy hafciarskie, które powstały w XVII stuleciu. Zaliczamy do nich kontubernię lwowską, najstarszą, z 1658 roku pochodzącą, która wykonywała najbardziej artystyczne w swej wymowie dzieła, oraz cech lubelski (z 1669 roku) i cech warszawski (1689). Pierwsze wzmianki jednakże o tym rzemiośle dotyczą Krakowa i pochodzą jeszcze z początków XV wieku. Ciekawym bractwem była konfraternia lwowska, bowiem tu sztuką mistrzowską był obraz nabożny, a sam Lwów uważano podówczas za akademię sztuki hafciarskiej. Do tego cechu, o dziwo, należeli i Ormianie, i Polacy, i Rusini. Cech warszawski, który powstał najpóźniej, czerpał wzorce z naszego, lubelskiego, na tych właśnie rozwiązaniach opierając swoje statuty. Hafciarze lubelscy na sztukę wyzwolenia z terminu wyznaczyli wykonanie sajdaka i przynależnych mu części, czyli poduszki, płata, kapturki, tebinki, drutową robotą, a użytek z tego nie kto inny, jak właśnie husarze mieli. Lubelskie bractwo powstało z inicjatywy z dawna w Kozim Grodzie osiadłych hafciarzy, chociażby rodziny Dułkiewiczów. W mieście znajdowało się co najmniej pięć warsztatów tego rzemiosła. Bractwo, wzorem swoich konfratrów ze Lwowa, połączyło się z łucznicami. Wyroby sprzedawały szanowne małżonki majstrów we własnych budach podczas różnego rodzaju targów i jarmarków. Sam cech przetrwał

133 Riabinin J., *Miecznicy lubelscy*, „Pamiętnik Lubelski” t. 2 za lata 1931–1934, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1935, s. 194–195.

134 Szarszun – rodzaj miecza.

135 Rurał – rodzaj haka.

136 Dąbrowski S., *Cech haftarzy lubelskich w XVII wieku*, „Pamiętnik Lubelski” t. 2 za lata 1931–1934, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1935, s. 218.



jako tako okrutny wiek XVIII, jeszcze w XIX stuleciu o hafciarzach naszych słyszano, a wówczas w mieście było ich 10.

Początek XVII wieku dał o sobie znać spadkiem koniunktury. W trudnych czasach rokoszu Zebrzydowskiego, kiedy łupienie ośrodków miejskich przybrało zaskakującą skalę, biedni lubelscy mieszczenie doznali szeregu krzywd od rozjuszonej szlachty. Zatem rok 1606 można uznać za początek agonii anielskiego emporium Jagiellonów. Był sobie taki jeden Szczęsny Herbut, co szwendał się po okolicach Lublina po bitwie guzowskiej i jakoś srodze naszego miasta nie lubił, bo wciąż je najeżdżał i niszczył, dręcząc je i grabiąc co popadnie, a raczej – co tam jeszcze zostało. Potrafił nawet bezecnie kontrybucje z kupców miejskich ściągać. Jednak Herbut był tylko prologiem, bowiem po zaprzestaniu jego zbójczej działalności, Lublin otrząsnął się rychło z porażek i parł dziarsko do przodu. W 1616 roku w mieście, razem z Podzamczem i nieszczęsnymi przedmieściami, było 245 rzemieślników, w tym rzeźników 11, 20 sukienników, prasołów nawet 9. Jatek miasto naliczyło aż 36, tyle że 16 żydowskich. W odróżnieniu od innych miast, w tym, rzecz jasna, od Krakowa, sukiennicy nie mieli tu osobnego budynku, gdzie mogliby sukno zbywać, ale radzili sobie jakoś z tą niedogodnością, sprzedając je w sklepach pod kamienicami. Konfratry piekarscy uskarżali się na Żydów, że ci podczas licznych targów i jarmarków słynnych skupują hurtem pszenicę, by potem po cichu odsprzedać ją z zyskiem niecechowym. Popularny był wyrób piwa, a gorzałkę umiano tu pędzić wybitnie, toż na samym Podzamczu i wśród starozakonnych 22 banie gorzałczane się znajdowały. Wódkę przywożono do Lublina i z okolic, by potem spieniężyć. W trakcie sesji Trybunału Koronnego i wielkich wydarzeń handlowych, takich jak jarmarki, Lublin piwem stał. Sprowadzano tygodniowo do 100 beczek, ponieważ istniejące podówczas cztery browary nie były w stanie zaspokoić zachcianek łakomej na trunki szlachty. Tyle że niektóre jarmarki, a miały być ich cztery w roku, przestały dochodzić do skutku, bo na plecach Lublina zaczęła ostro wyrastać konkurencja w postaci Poznania czy Lwowa, więc i kupcy nie mieli co u nas robić, omijali zatem Kozi Gród coraz bardziej szerokim łukiem. Wewnętrzny rynek miasta zaczął się kurczyć, gdyż malała zdolność nabywczą ludności. W 1626 roku w mieście funkcjonowało 26 konfraterni rzemieślniczych, podczas gdy zaledwie 3 lata później już tylko 20, 18 w 1654, w 1657 ledwo 9, by liczba ta skurczyła się rok później do marniutkich 4... W 1660 roku rozwiązano 6 bractw – powroźników, tkaczy, szmuklerzy, kątowników, czapników i cieśli, bowiem nie mieli już żadnej roboty i gonili resztkami sił. Powodem drastycznego spadku liczby cechów były nie tylko diabelskie jurydyki, ale i liczne epidemie, jakie falami Lublin nawiedzały. Był jednak jeden cech, który na przekór wszystkiemu, kiedy inne podupadały,

a nawet upadały już całkowicie wskutek braku pracy i lichego wewnętrznego rynku zbytu, mógł się pochwalić nieustającym progresem. Był to cech złotników. Do końca XVI stulecia złotników naprawdę nie było wielu, bo nawet 15 by nie naliczył, ale w 1647 roku było ich aż 35. Zainteresowanie tym rzemiosłem wiązało się z zamówieniami, jakie składała szlachta, lubująca się w zbytkach, a także bogaty patrycjat. Kontubernia ta należała do najbogatszych i najbardziej w mieście poważanych.

Wytwórczość rzemieślnicza rujnowały również częste zarazy, a także zmniejszająca się liczba mieszczan, umierających z powodu gnębiących Lublin epidemii. Błędne koło. Do największych zaraz zaliczyć można te z lat następujących: 1620, 1623, 1625 1629, 1630, 1635, 1652 i 1657. Szczególnie wiele ofiar pochłaniała dżuma. W samym roku 1630 z powodu morowego powietrza zmarło 5000 osób, co stanowiło wtedy mniej więcej połowę mieszkańców. Te fale zarazy postrzegano jako objaw Bożego gniewu za popełniane grzechy. Niektórzy zalecali więc więcej modlitwy i pokuty, by odwrócić od siebie i współziomków owe przekleństwa. *W roku 1631, dla odwrócenia plagi, odprawiono uroczystą procesję w Lublinie, a całe miasto oddało się pod opiekę św. Stanisława Kostki. W roku 1652 sejmik lubelski odbył się w Lewartowie, gdyż w Lublinie miało miejsce „gniewu pańskiego szerzenie się”. Takie wytłumaczenie powodu wystąpienia morowego powietrza sprawiało, że walka z przyczynami jego powstania była zarazem, w dużym stopniu, walką z wszelkiego rodzaju herezjami, jako czynnikami, które przyczyniały się do powstawania nieszczęścia zarazy. Był to więc jeszcze jeden sposób i okazja do siania nienawiści*<sup>137</sup>. W ślad za postępującym załamaniem produkcji i równoległym wyludnieniem następował i upadek handlu. Sami kupcy lubelscy brali w rodzimych jarmarkach coraz mniejszy udział, a skrzydła podcinały tym wydarzeniom jarmarki ustanawiane w innych miastach, na przykład w Jarosławiu, a zwłaszcza wspomniana już konkurencja w postaci Poznania i Lwowa. A jeszcze w 1584 roku Klonowic pisał o Lublinie tak:

*Moskwa i Litwa, co dadzą ich kraje,  
Wnet do Lublina przywożą gromadnie,  
Co tylko w świecie przedawać się daje,  
Tutaj wszystkiego dopytasz się snadnie,  
Czym są bogaci Turkowie, Arabi,  
Czym Indyjanie, wszystko się odstoni;*

<sup>137</sup> Tworek S., *Rozkwit miasta. Renesans*, [w:] Dobrzański J., Kłoczowski J., Mazurkiewicz J., Mencil T., Myśliński K., Ćwik W. (red.), op. cit., s. 98.



*Tu pełno wschodnich, bogatych jedwabi,  
Pełno sabejskich kadzidel i woni.  
Brytyjski kupiec, co w podróży długiej,  
Obiegł krąg ziemski na korabi kruchej,  
Łakomy plonów północnej żeglugi  
Tutaj kupuje moskiewskie kozuchy.  
W lublińskim mieście zgromadza się wiernie  
Płód całej ziemi z bliska i z daleka;  
Tutaj nie braknie na starym falernie,  
Jest sok z winnicy Węgrzyna i Greka<sup>138</sup>.*



Wciąż też rósł w niebezpieczną, kipiącą jadem siłę odwieczny niemal antagonizm mieszczańsko-szlachecki, chociaż na płaszczyźnie relacji pomiędzy bogatymi rzemieślnikami i kupcami a szlachtą wciąż trwała przykładowa i ożywiona gospodarcza współpraca. Przybierała ona różne formy. A to w towary się szlachta u kupców zaopatrywała, a to u niektórych mieszczan zapożyczała, zwłaszcza że lubiła żyć ponad stan, więc korzystała z usług o charakterze kredytowo-pożyczkowym, czy też nawet lichwiarskich. Sprawa własni międzystanowych dotyczyła więc głównie pospółstwa. Ważnie trawiły mieszczan i od środka. Dotyczyły podziałów na tle finansowym, sporo więc było miejskich tumulców, w tym i wyznaniowych, bo Lublin słynął z aktywnej działalności innowierców. Zbór ariański w Lublinie w XVII wieku uległ daleko idącym przeobrażeniom wewnętrznym. Należała do niego obecnie już tylko szlachta średniozamożna, bogate mieszczaństwo i zawodowa inteligencja. Szczególnie lekarze, jako najbardziej oświeceni, dostarczyli Braciom Polskim szeregu wybitnych jednostek. Nastąpiło pogodzenie się z istniejącym porządkiem społecznym. Chrystianin nie tylko mógł piastować urzędy – ale również np. procesować się o własność, dochodzić jej sądownie, walczyć w wojnie obronnej, a nawet zabić nieprzyjaciela. Ewolucja, jaką przeszedł zbór, jest już w tych poglądach bardzo widoczna. Miejsce dawnego radykalizmu społecznego zajął umiarkowany humanitaryzm bliźnich<sup>139</sup>. To podejście było znakiem czasów. Podobnie i słudzy uległość względem panów swoich, a panowie dobre i ludzkie pochodzenie się ze sługami winni. W stosunku do swoich bliźnich należy zawsze tak postępować, by im od nas nie działa się krzywda<sup>140</sup>.

Ale życie w mieście zamierało. Był to wynik wieloletniego impasu ekonomicznego samego państwa, bowiem wspaniała Rzeczpospolita zaczęła coraz mocniej chwiać się w posiadach, co w konsekwencji zaowocowało ubóstwem obywateli, a tym samym i władz miejskich Lublina. Za czasów saskich można było spotkać tylko bogatego księdza, dumnego szlachcica, Żyda pokornego, wynędzniałego chłopca i ubogiego mieszczanina. Chłopca uciskano już od XVI wieku, ubóstwo było świeższej daty i tem bardziej raziło; cała też literatura polityczna jednogłośnie nie o miastach, tylko o ich »mizerji« i »dezolacji« prawiła. Król Leszczyński w „Głosie wolnym” utyskiwał: „jaka w nich (miastach) budynków ruina, jaka nieludność obywatelów, jaka »indigencja« mieszczanów, jaka »incapacitas« rzemieślników, jaka »insuficencja« towarów, jaki na ostatek przy wielkim niedostatku nierząd »in politia«”! Dziesięć lat później powtarzał to samo Garczyński w „Anatomji Rzeczypospolitej”: z miast i miasteczek „teraz tylko same zostały obaliny”, a po kamienicach „jeszcze cokolwiek

139 Tworek, op. cit., s. 103.

140 Pasierbiński T., *Hieronim z Moskorzewa Moskorzewski*, Kraków 1931, s. 146.

138 Klonowic S., op. cit., s. 58.

niewykorzenionych dyszy mieszczan”. Równie jednogłośnie przyczynę tej nędzy wskazywano: nie mór, co sprzątał nieraz połowę ludności (w latach 1707–1712), nie nieprzyjaciel, co ją łupił (np. Szwedzi Lwów), nie pożary, co ją nawiedzały (np. Wilno raz po raz), lecz dziedzice, starostowie i żydzi<sup>141</sup>. W konsekwencji żarłocznej i nieokiełznanej niczym polityki magnaterii i szlachty Najjaśniejsza z jasnych upadła na kolana na długie lata. Zmierch Polski jako niepodległego państwa przyniósł i zmierch gospodarczy, upadek obyczajów i ogóle zniechęcenie. Winni nie ponieśli kary, winni mieli się całkiem dobrze. *Ziemianin dbał o najwygodniejsze zbywanie surowców własnych i najwygodniejsze nabywanie produktów przemysłowych, więc marzył o zniesieniu wszelkich przeszkód, młynów i jazów na rzece, którą surowce woził, a myt i ceł na komorach granicznych; zdobył też tę wolność, przynajmniej dla własnej produkcji i konsumpcji, a zniszczył handel i przemysł miejski tak, jak dochody skarbowe. Upośledzenia mieszczan dokonał, gdy zdeklasował przemysł i handel: ponieważ one nie mogą wyłącznie uczciwą chodzić drogą, zabronił, zabronił ich jako niehonorowych szlachcie, która szlachectwo traciła, bawiąc się łokciem i kwartą. Konkurencji zagranicznej otworzył wrota, a to dobiło i przemysł, i handel. Rzemieślnik własne zaspokajał w końcu najprymitywniejsze potrzeby, szlachta ubierała się od stóp do głowy w towar cudzoziemski, spijała obce wina, sprowadzała z zagranicy sprzęty i kosztowności; tylko wyjątkowo jakiś towar warszawski czy z Leszna nabywał wziętości<sup>142</sup>.*

Srogim piętnem odcisnęły się na substracie miasta, na rzemiośle właśnie, wszystkie wydarzenia polityczne i elementarne klęski z przeszłości, których nijak już nie dało się naprawić. Lublin utracił dawny blask umiłowanego miasta Jagiellonów, anielskiego emporium, co łączyło w sobie pierwiastki wschodu i Zachodu. Znaczną część miasta stanowiły zgliszcza i szpetne ruiny, rynek świecił pustkami i nie przyciągał wcale, a wręcz odstraszał pustką ziejącą z opuszczonych kamienic. Smutny i żaloszny był to widok: *Nie wyróżniały się zbyt i znaczniejsze miasta: taki Lublin np., gdzie się czasowo pół Polski zbierało, wyglądał okropnie: ruiny, wśród nich jedna i druga kamienica, nieraz tylko w parterze zamieszkalna; drogi takie, że powozu Stanisława, co w błocie ugrzązł, konie marszałka Olizara nie wydobyły, musiano wołów przyprzegać; latarnie chyba jedna przy ratuszu i pochodniami oświecał sobie drogę, kto nocą ruszał. Typowe miasteczko opisał Krasicki: „w mieście, ponieważ zbiór pustek tak zowiem, stare zamczysko, pustoty ohyda... było trzy karczmy, bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki”. Ale jeszcze bardziej niż wsi, różniły się miasta w kierunku ku zachodowi; brudnych, żydowskich mieścin*

141 Brückner A., *Dzieje kultury polskiej*, t. III, *Czasy najnowsze do roku 1831*, W. L. Anczyc i Spółka, Kraków 1931, s. 22.

142 Brückner A., op. cit., s. 26.

*litewskich nie przypominały (o pruskich ani wspominając) wielkopolskie, te schludniejsze i zamożniejsze, czem bliższe pruskiej granicy. Ten stan trwał do r. 1772; w następnym dwudziestoleciu, czasie zupełnego spokoju, odżyły i miasta. Nawet wojewodowie starali się o ich podniesienie; taki wojewoda lubelski, Hryniewiecki, mógł nie wiedzieć, co są Dardanele, ale Lublin za jego staraniem pozbył się straszego nieładu<sup>143</sup>.*

Zamek, niegdyś królewski, wonczas bezpieczeństwa, wspaniałe rezydencje, klasztory, niszczały w oczach. Szczególnie odpychający obraz nędzy i rozpaczki przedstawiały sobą ulice, podwórka i place, zamienione w pokłady błota i śmieci, po których przejście suchą stopą było nie lada wyczynem. Lublin trawiły też nader częste pożary, nieraz celowo wzniecane przez różnorakich rabusiów, którzy chcąc uniknąć kary za szabrowanie domostw, wznecali ogień dla zatarcia śladów swego niecznego procederu. Dopiero lata osiemdziesiąte XVIII stulecia przyniosły jako taką poprawę warunków, bo na krótko zapanowało w całym kraju wielkie ożywienie, zgodne z oświeceniowym duchem czasów. Pomysł uzdrowienia gospodarki i stosunków miejskich poprzez tworzenie komisji szlacheckich znajdował coraz szersze grono zwolenników. Ale ta skądinąd wielce nowatorska tendencja zyskała na realnym poparciu dopiero po pierwszym rozbiórce Polski w 1772 roku, kiedy to już oddech zagrożenia coraz bardziej Polacy zaczęli na swoich plecach odczuwać. Lubelską Komisję Dobrego Porządku powołano do życia na podstawie dekretu Stanisława Augusta z 1780 roku. Jako pierwszego prezesa powołano Ignacego Twardowskiego, a wokół niego skupili się najwięksi działacze społeczni regionu. Z jednej strony Komisja była szlacheckim instrumentem do kontroli nad miastem, a z drugiej, na szczęście, jej pracami kierowała naprawdę szczerą chęć rzeczywistej odbudowy Lublina i poprawy panujących w nim warunków. Szybko zyskała zasłużoną sławę jako jedna z najprężniejszych w państwie. Swoją działalność zaczęła od porządków we władzach. Porzucono dawny system wyborczy, a nowy magistrat składał się z siedmiu osób, w tym wybieranego na roczną kadencję prezydenta i wiceprezydenta. Liczbę ławników sądowych również ograniczono, co zmniejszyło poziom szlacheckiej ingerencji w organizację miasta, potęgując znaczenie samorządu mieszkańców. Kasa, która świeciła pustkami i nawet myszy się z niej wyniosły, wymagała gruntownej reformy i nieustającej kontroli. Nadużycia były zadawnione, sięgały nawet lat czterdziestych, przez co Lublin nabijał kieszenie nieuczciwym władzom, a sam goły był i raczej niewesoły. Rozpoczęto pracę nad podniesieniem dochodów, które, co najlepsze, dały szybko zamierzone rezultaty. Można więc było przystąpić do generalnych porządków, remontowano rudery,

143 Brückner A., op. cit., s. 181.

budowano nowe domostwa, znikwały szybko zalegające jeszcze przed chwilą hałdy śmieci i błota. Zmieniał się na lepsze wygląd kamienic i otaczających je posesji co znamienitszych mieszczan. Mogli przecież oni liczyć na kilkuletnie zwolnienia od podatków na rzecz miasta, by spokojnie zająć się przywracaniem dawnej świetności obróconym w ruinę budynkom. Szczególną uwagę zwrócono na stan sanitarny nawet nie oplakany dotąd, a raczej nieistniejący na jakimkolwiek zadowalającym poziomie, czyli wcale. Zakazano zatem wylewania ścieków za okno, nakazano sprzątać koło domu trzy razy w tygodniu – w poniedziałki, w środy i soboty. Wszyscy mieli interesować się stanem rynsztoków i kanałów ściekowych, a ponadto dozorczy mieli w obowiązku kontrolować dostępne miastu urządzenia sanitarne. Znowelizowano też na użytek obywateli przepisy ruchu drogowego, surowo zakazując puszczania koni w cwał i zastawiania wozami i karetami wąskich miejskich uliczek, oraz, co było szczególnie przecież groźne, składowania przed domem drewna służącego na opał. Drzwi wychodzące na miejskie arterie też trzeba było umiejętnie otwierać, coby kogoś w głowę nie strzelić. Pojawiła się specjalna straż i nocni stróże, patrolujący ulice Lublina. Ich zadaniem było karanie i osadzanie w kozie wszelkich hultajów, którzy ośmielili się błogi spokój mieszkańców naruszać przez publiczne wrzaski, zwady różnorakie czy kłótnie. Warsztaty piekarskie, kowalskie i garncarskie przeniesiono na przedmieścia, by pożogom zapobiec, acz nie zawsze to stanowiło przyczynę pożarów, chociażby jak w 1790 roku, kiedy ogień złoczyńcy wstrętnei zaprószyli.

Nadal to rzemiosło było podstawowym zajęciem mieszkańców. „*Uświadomienie o stanie miasta Lublina*” sporządzone przez władze w 1786 roku wymieniało prawie 300 rzemieślników blisko trzydziestu specjalności zgrupowanych w ponad 20 cechach i odrębnej konfraterni muzyków. W następnych latach liczba cechów jeszcze wzrosła. Najliczniejsze grupy tworzyli szewcy (ponad 100 majstrów), kowale, rzeźnicy i krawcy. Sporo specjalistów nietypowych zawodów działało poza cechami. Trzeba wreszcie pamiętać o z pewnością znacznej grupie rzemieślników nie zrzeszonych, pracujących na obszarze jurydyk<sup>144</sup>. Pod względem społecznym i gospodarczym miasto było w miarę stabilne, ale nie wolne przecież od konfliktów. Starym antagonizmem były zatargi pomiędzy mieszczanami a ludnością żydowską, zamieszkującą głównie Podzamcze, bowiem starozakonni coraz większą konkurencję zaczęli tworzyć na obszarze rzemiosła i handlu. Ożywały tym samym spory odwieczne pomiędzy miastem a jurydykami. Zmierzch jednakże był już bliski. Wskutek Targowicy do Koziego Grodu zawitały wojska rosyjskie, które zostały tu niestety na dłu-

żej. Nawet sejm grodzieński nie obronił Polski, więc tym bardziej nie obronił i miasta. W przeddzień wybuchu powstania kościuszkowskiego Lublin nawiedzali wszelkiej maści konspiratorzy, powołano cywilne władze powstańcze, przyłączono się do insurekcji. Lecz Lublin, co stwierdził generał Zajączek, nie był przygotowany do obrony, ani, tym bardziej, do walki zbrojnej. Nadzieje zamierały, a entuzjazm wygasał. Znowu wojska rosyjskie opanowały miasto, by potem oddać je na jakiś czas w ręce Austriaków. Wkrótce, na mocy traktatów trzech wielkich mocarstw, Najjaśniejsza Rzeczypospolita przestała istnieć na mapach świata, pozostając tylko żywym i niedosięglym obrazem w sercach milionów Polaków.

144 Janas E., *Miasto wydziałowe. Lublin u schyłku XVIII wieku*, Radzik T., Witusik A. A. (red.), op. cit., s. 164.

## Feniks z popiołów zmartwychwstały

Lata 1788–1794 spowodowały, że miasta zaczęły z powrotem budzić się do życia z wiekowego uśpienia. Nastąpiły krótkie czasy postępu, a atmosfera, mająca dobre podstawy w wytyczonym przez Sejm Wielki kierunku polityki, po raz pierwszy w dziejach Rzeczypospolitej, porwała również i mieszczan, chociaż chwilami, pozornie, wyglądało to na gorączkowe podniecenie. W czasie insurekcji kościuszkowskiej mieszkańcy Lublina płomiennie wręcz poparli ruch narodowy, a potem przeżyli okupację nieprzyjacielskich wojsk, która zapowiadała czasy niewoli. Zapłacili też ogromną kontrybucję, nałożoną przez rosyjskiego generała Derfeldena. Nastąpiły nowe czasy, nadano nowy charakter magistratowi. Sam obraz miasta nie uległ jednak zmianie. Na podstawie dekretu z września 1798 roku w jego granicach znalazło się Stare Miasto, zamek, Krakowskie Przedmieście, Podzamcze zwane miastem żydowskim oraz kilka jurydyk – Kalinowszczyzna, Czwartek, Sierakowszczyzna i Piaski. Kozi Gród liczył sobie w 1787 roku 8550 mieszkańców, 10 lat później – już 9433, ale potem można było zauważyć wyraźną tendencję spadkową, bo w 1807 roku mieszkało tu zaledwie 7082 osób. Było to związane z widocznym upadkiem miasta. Kwaterunki i przemarsze wojsk w czasach Kościuszki doprowadziły do dewastacji wielu mieszczkańskich domostw czy pałaców, w ruinę popadły kościoły i klasztory, zamek, zniszczeniu uległy ulice. Tętniące jeszcze niedawno życiem rezydencje magnackie i szlacheckie dworki obróciły się w perzynę, a część z nich przeszła w ręce mieszczan lub rządu, na stałe zmieniając swoje przeznaczenie. Podobnego losu doświadczyły klasztory. W 1803 roku wybuchł w Lublinie kolejny groźny pożar, podczas którego spłonęło wiele kamienic i kilka budynków klasztornych, których już potem nie odratowano. Pozostałe po pożodze rudery sprzedawano prywatnym osobom albo rozbierano. W 1797 roku mogliśmy się poszczycić 882 domami, podczas gdy w 1807 roku było ich już 876. Kryzys nie ominął i miejskiej gospodarki, opierającej się przecież na rzemiośle i handlu. Ówczesne władze odrzuciły petycje o tymczasowo-

we ulgi w podatkach, żeby w tym czasie odrestaurować zniszczone warsztaty. Na początku XIX stulecia w mieście funkcjonowało 820 rzemieślników, w tym 402 majstrów. Zwykle były to małe zakładziki, składające się ledwie z jednego mistrza i jednego towarzysza lub ucznia. *Najwięcej było szewców – 160, krawców – 120, kuśnierzy – 50, murarzy – 46, cieśli – 38. Rzemieślnikami byli zarówno Polacy, jak i Żydzi. Ci ostatni stanowili większość wśród krawców (70), wyłącznie rzemieślnikami żydowskimi byli kuśnierze, złotnicy – 41, szmuklerze (pasamonicy) – 17, blacharze, rękawicznicy i szklarze. Cechy grupujące rzemieślników chrześcijańskich były ubogie<sup>145</sup>*. Jedynie kontubernia szewców osiągała jeszcze dochody ze skrzynek cechowych, ale wtedy stanowiły one depozyt magistratu i można było dysponować tymi pieniędzmi jedynie po uzyskaniu zgody cyrkułu. W 1803 roku powstała pierwsza w Kozim Grodzie manufaktura. Założył ją F. Rachan, sukiennik aż z Prus przybyły. Na Kalinowszczyźnie, w dawnych budynkach klasztoru Franciszkanów, zainstalował 5 tkackich i przędzalniczych warsztatów, gdzie produkowano sukno i flanelę bawełnianą, czyli baję. Część załogi stanowili więźniowie, a w zakładzie zatrudniano 96 pracowników. Razem z rzemiosłem w oczach gości również handel, w ówczesnym Lublinie funkcjonowało tylko 26 kupców i kramarzy. Wprawdzie znajdowała się tu komora celna, ale transporty zboża, które szły na ziemie polskie ze wschodu, najczęściej omijały nasze uroczę miasto, gdyż kierowano je od razu na Kazimierz. Międzynarodowy handel bydłem już dawno przeniesiono do Łęcznej, na słynne łączyńskie jarmarki. Nasze, tak kiedyś sławne i znamienite, przestały odgrywać poczesną rolę i powoli odchodziły w niepamięć. Władze starały się zaradzić tej dolegliwej dla finansów sytuacji, więc ogłoszono, że w celu polepszenia losu obywateli, zapewnienia wzrostu liczby ludności i pomnożenia funduszy, w Lublinie będą się corocznie odbywały aż cztery tego typu wydarzenia. Pierwszy jarmark przewidziano na osiem dni przed i osiem po święcie Matki Boskiej Gromnicznej, drugi – w okolicach Zielonych Świątek, trzeci – mniej więcej na Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny, a ostatni – na święto Szymona Judy. Jednocześnie magistrat gwarantował kupcom wszelakiej maści wolny handel wszystkimi towarami świata, przy zachowaniu przepisów celnych, udostępniając składy i murowane magazyny, zapewniając bezpieczeństwo i kwatery, a jakże, za mizerną wręcz cenę. Lublin, miasto cesarsko-królewskie, w ciągu swojej kilkuletniej kariery jako część imperium Habsburgów, przeżywał straszny czas, regres, kiedy nie mógł dźwignąć się z kolan, nie będąc w stanie odbudować ani zniszczeń, ani rzemiosła, ani też handlu, mimo naprawdę dobrej woli włodarzy. Nie było to jedynie wynikiem dość barbarzyńskiej

145 Śladkowski W., *W epoce zaborów*, [w:] Radzik T., Śladkowski W., Wójcikowski G., Wójcikowski W., *Lublin. Dzieje miasta. Tom II XIX i XX wiek*, Towarzystwo Miłośników Lublina, Lublin 2000, s. 14.

chwilami polityki zaborcy, ale głównie niekorzystnych zmian, jakich miasto doświadczyło w sferze pełnionych kiedyś funkcji. W bezpowrotnie utraconych czasach wspaniałej Rzeczypospolitej był siedzibą Trybunału Koronnego, tym samym też wielu wojewódzkich urzędów. Tu panowie zjeżdżali się na obrady sejmiku, a to przyciągało za nimi nieprzebrane rzesze szlachty. Na przedmieściach magnateria budowała wspaniałe pałace i dwory, hojną ręką obdarzając również liczne klasztory. To wszystko potęgowało siłę rzemiosła i handlu. *Likwidacja tych instytucji niekorzystnie wpłynęła na Lublin, a znakiem czasów regresu stały się popadające w ruinę wspaniałe niegdyś szlacheckie rezydencje czy klasztory. Część z nich zmieniła właściciela, czasami przerabiano je na manufaktury albo lazarety lub też składy. Będąc przed upadkiem Rzeczypospolitej ważnym centrum życia państwowego, sądowniczego i samorządowego, swoistym miastem o mieszczańsko-szlacheckim charakterze, spadł do rzędu peryferyjnego ośrodka zaborczej administracji, a ranga ustanowionych w nim nowych urzędów i instytucji była nieporównywalna z poprzednio istniejącymi. Nie udały się też próby ponownego wprowadzenia miasta na wielkie szlaki handlowe. W takim stanie wchodził Lublin w krótki okres burzliwych wydarzeń z lat 1809–1815<sup>146</sup>.*

Kłopoty finansowe, których Kozi Gród doświadczał od lat, nie były w stanie przesłonić żywiołowej radości mieszkańców na wieść o tym, że miasto stało się częścią Księstwa Warszawskiego wraz z pozostałymi ziemiami Galicji. Mimo trudności nie tylko związanych z sytuacją materialną, ale i z kwaterowaniem wojsk polskich i francuskich, w krótkim okresie Księstwa życie w mieście nabrało znowu barw i znacznie się ożywiło. Rozpętanie przez Napoleona wojny z Rosją w 1812 roku nie dało szans na rozwinięcie zainicjowanych wcześniej działań. Pilnie śledzono przebieg kampanii, wciąż śniąc swój wielki sen o niepodległości. Po klęsce Cesarza Francuzów w lutym 1813 roku Lublin zajęły wojska rosyjskie pod dowództwem generała Ratha i pułkownika Żywachowa. Na miasto nałożono ogromną kontrybucję i obowiązek utrzymywania armii najeźdźcy. Po czterech latach zgasła jutrzienka wolności, a Lublin wchodził w nowy etap niewoli. Był po prostu zrujnowany i spustoszony przez ostatnie wojenne zawieruchy. Większość zniszczonych domów nie nadawała się do odbudowy, ulice, delikatnie rzecz ujmując, były zaniedbane, a o bezpieczeństwie mieszczanie mogli tylko pomarzyć. Finanse miasta znajdowały się w gorzej niż opłakanym stanie, zadłużenie sięgało bająńskich sum, kasa miejska, świecąca pustkami, nie dawała nawet nadziei na częściową spłatę tych zobowiązań. Jedynym ratunkiem wydawało się wyegzekwowanie od kupców żydowskich zaległej dobrowolnej składki. Ale kolejne lata sprawiły, że Lublin odrodził się niczym Feniks z popiołów. Nie tylko miasto

146 Śladkowski W., op. cit., s. 17.

odbudowano, lecz i rozbudowano, rozwijało się więc wcale prężnie. Uregulowano przede wszystkim ciężając wszystkim na sercu kwestię finansową. Dokonano niezbędnych oszczędności, szczególnie ograniczając urzędnicze pensje, chociaż rezydujący wtenczas prezydent Finke wręcz domagał się podwyżek. Najbardziej na polu gospodarki materialnej zasłużył się niejaki Kazimierz Brandys, który sumiennie przejrzał wszystkie księgi i rachunki, a na tej podstawie stwierdził, że wielu nadużyć dokonano swego czasu, zaniedbań i to tak rażących, że nawet część podatków ściągano od ludności w zbyt niskich kwotach! Budżet rósł w oczach, niemalże z roku na rok, zaczęto osiągać dochody z tytułu podatków, z czynszów dzierżawnych, ponadto został ustalony limit wydatków i stał się rzeczą świętą. Nadwyżki przekazywano do dyspozycji Komisji Spraw Wewnętrznych z myślą o odbudowie i rozbudowie rachitycznego od kilkudziesięciu lat miasta.

Na ziemiach wchodzących w skład Królestwa Polskiego było ono największym po Warszawie, obok Kalisza i Płocka, ośrodkiem i znaczącym punktem w sieci komunikacyjnej. Odkąd w Zamościu powstała twierdza, zyskał też na znaczeniu czysto militarnym. Nie dziwi więc, że dotychczasowy grajdołek, który już nawet nie pamiętał czasów swojej świetności, znowu znalazł się w należnym mu centrum uwagi i w końcu przestał być zapomnianym przez samego diabła prowincjonalnym miasteczkiem. Żywo interesował się Lublinem sam generał Józef Zajączek, od 1815 roku namiestnik Królestwa. Dobro Koziego Grodu leżało na sercu także carowi Aleksandrowi I, który pewnego pięknego majowego dnia, pachnącego bzem i świeżymi liśćmi, zaszczycił mieszczan swoją obecnością. Wprawdzie bawił tu jeno przejazdem, ale cechy witały go uroczyście na rogatkach w strojach galowych i z chorągwiami, naprzeciw władcy wyszły władze cywilne, a duchowieństwo i zakony urządziły uroczyste powitanie przez kościołem św. Ducha. Zajączek zaś przyjeżdżał do nas kilkakrotnie. Więc w 1822 roku, dla uczczenia osoby tak znamienitego gościa, wdzięczni lublinianie ulicę Panny Marii przemianowali na Namiestnikowską, teraz zwaną Narutowicza. Lubił Lublin generał. Już w 1817 roku dał upoważnienie Komisji Wojewódzkiej do przebudowy mostów i dróg, odbudowy niektórych gmachów na potrzeby państwowe. Zajmowała się tymi sprawami również Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych. Przede wszystkim zajęto się ustaleniem, jednoznacznym, zakresu granic miejskich. Przystąpiono także do innych prac. A to się wtedy działo! Zrewidowano dawne traktaty, co było związane z ogólnokrajowym ruchem zmierzającym do polepszenia stanu dróg tranzytowych. Taką ważką rolę odgrywał szlak łączący stolicę Królestwa z Zamościem i trakt biegnący do Brześcia. W związku z tym wyburzono niektóre domy, a przy okazji zapobieżono obróceniu w perzynę jednego z najwspanialszych i najdawniej-



szych miejskich zabytków, jakim jest Brama Krakowska. Powstał wówczas trakt lubartowski, zastępując stary gościniec, zrewitalizowano szlak wiodący do Warszawy, dzięki czemu centralnym punktem miasta stało się Krakowskie Przedmieście. O samym Kozim Grodzie też nie zapomniano. Na przykład nieopodal traktu lubartowskiego postawiono rzeźnię, potem i cegielnię, dwa piece wapienne nawet i domy dla obsługujących je rzemieślników. Produkcja wspomagała rozbudowę miejskiej infrastruktury. Najpierw wzięto pod lupę pałac, co został po Radziwiłłach. Jego nabywcą był prezydent Finke, lecz on, w dowód miłości do miasta, darował gmazysko rządowi. Szybko znalazło ono lokatora, bowiem ulokowała się w nim prężniutki Komisja Województwa Lubelskiego. Na własność miasta przeszły też resztki po klasztorze Karmelitów, gdzie osiadł po gruntownej przebudowie Urząd Muncypalny. Za zamek też się wzięto. Zyskał nową szatę architektoniczną, nowogotycką, i nowe przeznaczenie. Przestał być siedzibą królów, a został więzieniem i siedzibą sądu karnego. Odremontowano kamienice na Starym Rynku, na Krakowskim Przedmieściu, poprzenoszono trochę braciszków z ich dawnych cichych klasztornych przystani. Niestety, zniszczeniu uległ pierwotny pomnik upamiętniający unię lubelską. Wówczas wkroczył do akcji Stanisław Staszic. Tak się postarał, że od sierpnia 1826 roku obelisk lany z żelaza stoi do dziś. Wtedy wytyczono wielki plac, o powierzchni prawie 2 hektarów, który wzorowano na warszawskim placu Saskim. Nazwano go placem Musztry. Był doskonałym miejscem do wystawnych i różnorodnych rewii z udziałem wojska, czyli polskiego garnizonu lubelskiego. Szczególnie lubował się w nich książę Konstanty. Brat carski słynął ze swojego porywczego charakteru i zamiłowania do niemal pruskiego drylu, więc nie raz i nie dwa plac był świadkiem bezpardonowego karcenia dowódców i spektakularnej chłosty niższych rangą żołnierzy. Przed kościołem, co po jezuitach został, również zbudowano wielki plac, a targ funkcjonował przed bernardynami, jarmarki przed brygidkami. Brukowano ulice, układano pierwsze w mieście trotuary z prawdziwego zdarzenia. Żwirowano place, kładziono tłuczeń i sadzono namiętnie włoskie topole wzdłuż najważniejszych arterii. Lublin doczekał się oświetlenia, powstał pierwszy w dziejach miasta publiczny ogród, nad Czechówką, za placem Musztry. Kozim Grodem rozkwitał, zaczynał lśnić wewnętrznym blaskiem, stał się miastem z prawdziwego zdarzenia. Ale dotyczyło to wyłącznie świata chrześcijańskiego, dzielnice żydowskie nadal charakteryzowały się zabudową głównie drewnianą, domy kryte były strzechą, upodabniając się do wiejskich chatek.

Jak rozbudowywało się miasto, to razem z nim zaczął się rozbudowywać przemysł. Powstawały różnego rodzaju manufaktury. Pierwsze organizowali rzemieślnicy napływowi, głównie z Niemiec. Taki Kasper Gierlicz już 1801 roku uruchomił browar, a cztery lata

później powstał drugi, dzięki staraniom Fryderyka Kerna. W wyrobie świec i mydła przodował Jan Meisner. W handlu przeważali raczej drobni kupcy, kramarze oraz tandeciarze. Nie było specjalizacji, handlowano więc wszystkim po trochu. *I tak na przykład Adam Fritsch prowadził handel korzenny, sukienny, norymberszczyzną i trunkami zagranicznymi; Józef Zaremba sprzedawał towary łokciowe, galanterię, wina i korzenie; Lejzer Celniker obok handlu korzennego i kramarszczyzną miał także wyroby metalowe. Handel towarami wielu innych branż prowadzili też: Chaim Krakaner i Szmul Peres<sup>147</sup>.* Chociaż gospodarka miasta daleka była od renesansu, było paru mieszczan, którzy dorobili się znacznych fortun. Wspomniany Kasper Gierlicz, jak umierał w 1814 roku, pozostawił po sobie majątek szacowany na sumę 148 000 złotych polskich, a przecież budżet miasta wynosił wówczas skromne 70 000. Rozkwit gospodarczy Lublina po 1815 roku był również wynikiem dążeń władz centralnych do zbudowania w południowo-wschodniej części Królestwa Polskiego ośrodka, który będzie centrum gospodarczym okalających go ziem o charakterze czysto rolniczym. W Lublinie więc powstała manufaktura, gdzie produkowano tytoń i tabakę, a jej organizatorem był niejaki pan Newachowicz. Mieściła się ona niedaleko placu Musztry. Potem zakład działał jako manufaktura rządowa. Przemysł sukienniczy miał się rozwijać dzięki staraniom pana Domańskiego, ale już od samego początku fabrykę trapiły problemy finansowe, chociaż zatrudniała aż 26 pracowników! Zatrudnienie znalazł w niej jeden majster, 10 czeladników, 13 robotników, 1 postrzygacz i razem z nim 1 folusznik. Ze względu na to, że jakoś fabryka szczęścia do pieniędzy nie miała, interesy jakoś jej nie wychodziły i goła była jak święty turecki, miasto postanowiło pomóc. W celu wsparcia założono więc spółkę pod nazwą Towarzystwo Akcjonariuszy do Wspierania Fabryki w Lublinie. Inicjatorami byli lubelscy prawnicy, bogaci mieszczanie, w tym Józef Skwarczyński, właściciel zakładu stolarskiego, czy okoliczni ziemianie. Niestety, wybuch powstania listopadowego uniemożliwił wprowadzenie w życie jego podstawowych zadań statutowych. Jednocześnie, razem z przemysłem sukienniczym, upadły i inne gałęzie, co osłabiło na ładnych parę lat tętno ekonomicznego życia w mieście. Znowu Lublin ikrę stracił.

W połowie lat trzydziestych do miasta przybyli dwaj Szkoci, John Douglas i Andrew Kedsle, co zapoczątkowali w Kozim Grodzie modę na przemysł maszynowy i wytwórstwo narzędzi rolniczych. W 1835 roku uruchomili Fabrykę Agronomiczną Narzędzi Rolniczo-Gospodarskich. Ale fabryka nie przetrwała długo, zamknięto ją już 9 lat później. Więc zaledwie rok po plącie pierwszej, uruchomiono drugą, również staraniem Szkotów, braci Baird. Produkowano tam młockarnie, sieczkarnie, młynki do ziemniaków, młynki zbożo-

147 Mikulec B., *Wśród pionierów polskiego przemysłu*, [w:] Radzik T., Witusik A. A., op. cit., s. 173.

we, pługi i taczki. Kiedy do spółki przystąpił MacLeod, wówczas manufakturę rozbudowano i zwiększono zyski z produkcji. Niejaki Zabłocki Marcin postanowił w 1858 roku uruchomić konkurencyjną fabrykę, produkującą również pompy, a także trudniącą się naprawą narzędzi i maszyn rolniczych. Trzeci zakład, bo takie było wielkie zapotrzebowanie, powołał do życia Ferdynand Mejnner, swego czasu należący do sprzysiężenia Piotra Wysockiego. Dosłownie uciekł śmierci spod kosa, bowiem za wywrotową działalność i czynny udział w powstaniu listopadowym został zaocznie skazany na karę śmierci przez powieszenie. Wyemigrował więc do Francji i Belgii, gdzie nauczył się tajników ślusarstwa i mechaniki. Uczciwą pracą dorobił się znacznego majątku i wreszcie postanowił wrócić na łono ojczyzny. W 1860 roku założył zakład wytwórstwa maszyn rolniczych, wcale nieźle wyposażony, bo mógł się poszczycić on kilkoma kuźniami, kilkoma tokarniami, warsztatami stolarskimi i ślusarskimi. Całkiem pomyślnie rozwijał się też w Lublinie przemysł miedziany i spożywczy. Po cukrownictwie młynarstwo było ówczesnie polem dla wprowadzania nowinek technologicznych, zwłaszcza że przechodzono powoli na tak zwany amerykański system mielenia zbóż i zaczęto budować młyny napędzane nie siłą wody, a parą, potem nawet turbinami. Czymże jednakże byłby Lublin bez piwa! Na pierwsze miejsce cały czas, a przynajmniej bardzo długo, wysuwał się browar Gierliczów, a potem klanu Vetterów, skromnych emigrantów z Poznania. W przededniu wybuchu powstania listopadowego w mieście funkcjonowało 6 browarów – Vettera, Majera, Breininga, Lewinszteina, Szafira i Akierberga. Słynął też Kozi Gród z destylarni i wytwórni słodkich wódek, a pierwszą fabrykę w latach czterdziestych XIX stulecia uruchomił Karol Rudolf Vetter. Produkowano na bardzo dużą skalę mydło, świece szare i łojowe. Mimo to aż do czasów insurekcji styczniowej życie gospodarcze nie było zbyt żywe. Dopiero po upadku powstania gospodarka miejska uległa znaczącej aktywizacji. Działo się to za sprawą szeregu reform, kiedy to istniejące dotąd manufaktury zaczęły przestaczać się w fabryki z prawdziwego zdarzenia. Poza już funkcjonującymi pojawiały się nowe gałęzie, na przykład produkcja wag. Coraz więcej też eksportowano na rynki rosyjskie. Rozwój przemysłowy nabierał tempa. Wytwarzano kotły parowe, cement, pompy, imadła, popularne było słodownictwo i cukrownictwo. Duże zasługi na tym polu położyła rodzina Vetterów, która na trwałe związała się z Lublinem, oraz bracia Krausse – Adolf, Edward i Henryk, co przejęli starą papiernię, założoną onego czasu przez Feifera. Roku Pańskiego 1880 na miejscu starego drewnianego młyna wybudowali zakład zgodnie z planami budapeszteńskiej firmy Gantz et Compania, nowoczesny, piękny młyn do mielenia zboża, narzucając takie wymogi, że już wkrótce reszta producentów musiała się dostosować do ich wysokich standardów, bo inaczej plajta bym im groziła. Młyn

był tak awangardowy, że miał nawet do dyspozycji własną bocznice kolejową, której tory wiodły prościusienko do stacji Lublin. Przemysł tytoniowy też był obecny, chociaż w latach siedemdziesiątych XIX wieku przeżył chwile grozy, kiedy zniesiono w Królestwie Polskim ograniczenia wszelkie przy wwożeniu towarów tytoniowych, co zaowocowało pojawieniem się dość silnej dla Lublina konkurencji. Doba powstania styczniowego to początek działalności w mieście fabryki maszyn i narzędzi rolniczych pana Mieczysława Wolskiego. Zawarł on spółkę swego czasu z Mieczysławem Łabęckim, pomyślnie bardzo na tym interesie wychodząc. Pionierem na niwie wyrobu kotłów i innych produktów z miedzi był pan Albert Plage, który karierę przemysłowca rozpoczął jako właściciel malusieńkiego zakładu kotlarskiego jeszcze w 1860 roku. Pompy zawdzięczamy Alojzemu Kuczyńskiemu, a produkcję wag Wilhelmowi Hessemu. Tę fabrykę uważano za największy zakład tego typu nie tylko na obszarze Królestwa Polskiego, ale i całej mateczki Rosji. Rozwój garbarstwa rozwijał się za sprawą przedsiębiorczego Emiliana Domańskiego, syna prezydenta Koziwego Grodu i absolwenta Szkoły Głównej w samej Warszawie. Pierwszą gazownię otworzył Anastazy Lubomił Suligowski, która po rozbudowie zaspokajała nie tylko potrzeby miasta, ale i różnorodnych prywatnych odbiorców.

Przemysłowcy lubelscy w lwiej części wywodzili się ze środowiska rzemieślniczego. To na rzemiośle oparły się fortuny Vetterów, Plagego, Hessa czy Moritza, ale i innych, drobniejszych podług nich producentów – Scholtza, Ossowskiego albo Vogta. Pierwsze lata okupacji rosyjskiej bardzo rzemiosłu sprzyjały, można powiedzieć, że poniekąd wróciły piękne czasy z XIV i XV stulecia, gdyż akurat na tym polu nieistnienie Rzeczypospolitej jako suwerennego państwa w niczym nie przeszkodziło. Ponadto na ziemiach zaboru rosyjskiego działało wielu światłych ludzi, wielu śmiałych wizjonerów, którzy swoje marzenia potrafili obrócić w czyn. Szczególnie rzemiosłem interesował się ksiądz Stanisław Staszic, polski mąż opatrnościowy. Ogarnął istniejący chaos i dekretem z 1816 roku uporządkował dotychczasowy bałagan. Odtąd w każdej miejscowości, gdzie pracowało ponad 10 mistrzów danego zawodu, musiał powstać cech. Bractwo rejestrowało członków, towarzyszy i uczniów, udostępniając te informacje odpowiednim władzom. Nadzorowało również przestrzeganie obowiązujących przepisów, czuwało nad porządkiem i spokojem warsztatów, wzajemnie wspierając się w razie chorób lub innych nieszczęść, pomagając materialnie i dając moralne oparcie wdowom i dzieciom po zmarłych braciach. To właśnie ta ustawa stała się opoką, na której później zbudowano przemysł. Nie brakło jednak trudności, szczególnie w dostosowywaniu się do nowych zarządzeń, w walce z partactwem. Te zakłady, które funkcjonowały dobrze, wcale ochrony nie potrzebowały i mnożyły się jak grzyby po

deszczu, świetnie sobie radząc z rosnącą konkurencją ze strony niezrzeszonych. W życiu cechowym zaczął w pewnym momencie przeważać czynnik obcy, napływowy, który dominował w mniejszych ośrodkach miejskich. Tworzyły się nowe rzemiosła, powstawały nowe cechy. Obok całej plejady znanych już profesji, pojawili się np. fortepianiści i organiści, meblarze i kaligrafowie. Lata 1831–1863 to czasy, kiedy rzemiosło wyraźnie spowolniło. Klęska powstania styczniowego wywołała zrozumiałą reakcję społeczeństwa, kiedy to osłabł pęd ku pracy, a szereg innych czynników przyczyniał się do rozwoju kapitalizmu, a co za tym idzie – wielkich ośrodków przemysłowych. Jak zaczął się rozwijać przemysł, to i zaczął się rozwijać handel eksportowy, w ślad za nim podążyło rzemiosło, głównie zwłaszcza branża krawiecka i szewska. Doszło do tego, że niektóre zakłady zatrudniały nawet po kilkuset czeladników! Były i takie branże, jak tkactwo chociażby, co wymogiem czasów uległy naturalnemu niemal przekształceniu w wielkie fabryki, dając początek mechanicznym tkalnicom i fabrykom. Solidarność cechowa natomiast stała się tak samo ważna i potrzebna jak te kilka wieków wstecz. Coraz bardziej też uaktywniało się rzemiosło żydowskie, acz nie wywarło ono większego wpływu na więzi braterskie. *Niewątpliwie w niektórych cechach solidarność organizacyjną podważało i to, że członkowie rekrutowali się z różnych narodowości i wyznań, stąd wynikały kłótnie i swary między członkami, które nawet w roli sądu rozjemczego występujący starsi nie mogli dość energicznie załagodzić. Często też, jeszcze na początku drugiej połowy 19 stulecia i władze zaborcze, idąc po linii swoich interesów, ze względów policyjno-administracyjnych, rozbiły solidarność organizacyjną np. przez usiłowanie włączenia do cechów tzw. konsensowych. Przed samym wybuchem wojny światowej (1914) zrodzona przed wiekami, a ostatnio obudzona, dawna solidarność cechowa ze swego łóżyska ustawowej organizacji przelała się w nowotworzące się organizacje, stowarzyszenia, związki i resursy rzemieślnicze<sup>148</sup>. Kontubernie zrzeszały mistrzów jednego zawodu w celu przygotowania nowego pokolenia rzemieślników, utrzymania więzi i solidarności, jedności organizacji połączonej, jak przed stuleciami, nie tylko wspólnymi interesami, ale i wspólnym punktem widzenia. Powstające nowe konfraternie były, jako i kiedyś, ośrodkami życia kulturalnego i gospodarczego, szerząc wszędzie tę niepowtarzalną, unikatową jedność rzemiosła.*

<sup>148</sup> Dębowski E., *Dzieje rzemiosła w krótkim zarysie. Solidarność organizacyjna czeladniczych Związków Zawodowych i Cechów Rzemieślniczych w Polsce*, Instytut Przemysłowo-Rzemieślniczy Województwa Łódzkiego, Łódź 1947, s. 94.



## **Rzemiosło lubelskie na tle ogólnych tendencji i zmian w rzemiośle krajowym w okresie II Rzeczypospolitej Polskiej**

## U progu niepodległości (1918–1926)

Proklamowanie przez Polskę niepodległości 11 listopada 1918 roku nie oznaczało, że oto nagle, z niebytu, wyłoniło się państwo polskie ze wszystkimi atrybutami niezależnego organizmu państwowego. Budowanie niepodległości było procesem, który trwał jeszcze długo po tej doniosłej dacie. Dotyczyło to nie tylko ustalania granic nowego organizmu, ale także, a może przede wszystkim, scalania w jedną całość trzech różnych systemów gospodarczych, prawnych i politycznych. Okres konsolidacji państwa polskiego trwał do roku 1922, kiedy to ostatecznie uformowano kształt granic. Od tego momentu można było nie tylko planować rozwój kraju jako całości, ale także prowadzić wiarygodne statystyki, które dostarczały danych do tworzenia tychże planów.

Różnice pomiędzy dawnymi zaborami dotyczyły niemal każdej dziedziny życia i do samego końca II RP były wyraźne i widoczne. Polska lat dwudziestych i trzydziestych była cywilizacyjnie podzielona na dwie części, które miały różny potencjał ekonomiczno-gospodarczy i przez całe dwudziestolecie rozwijały się nierównomiernie. Obszar tzw. Polski A tworzyły dawny zabór pruski oraz najbardziej rozwinięta gospodarczo część królestwa Polskiego. Był to obszar, gdzie istniał ukształtowany już przemysł oraz infrastruktura, a przede wszystkim dobre warunki komunikacyjne, czyli kolej. Polska B to dawna „dzielnica austriacka”, województwa centralne (wschodnie tereny Królestwa Polskiego) oraz tzw. „kresy wschodnie”, czyli obszary, gdzie panowały jeszcze niemal feudalne stosunki własnościowe, a etniczni Polacy, poza większymi ośrodkami miejskimi, stanowili wyraźną mniejszość wśród żywiołu ukraińskiego i białoruskiego. Tereny te były też w największym stopniu dotknięte przez działania wojenne, które na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej trwały jeszcze długo po zakończeniu I wojny światowej. To tu rozgrywały się przecież najbardziej krwawe i znaczące dla kształtu przyszłej Polski walki w ramach wojny z Rosją Radziecką w latach 1919–1921.



Rzemiosło u progu niepodległości Polski znajdowało się w naprawdę trudnej sytuacji. Różne prawodawstwo, a co za tym idzie różnice w definiowaniu i organizowaniu pracy rzemieślniczej, powodowały ogromny chaos w tej dziedzinie. „Rozbite pięciu ustawami przemysłowymi, obowiązującymi na terenach byłych państw zaborczych, zżyte z różnymi tradycjami, nie mogło rzemiosło w Polsce niepodległej zdobyć się na wspólny czyn, na wspólne organizacje, celem obrony swoich interesów”<sup>149</sup>. Rzemieślnicy organizowali się więc samorzutnie, kontynuowano stare tradycje cechowe i samorządowe, jednak sprawnemu funkcjonowaniu rzemiosła coraz bardziej dokuczał brak spójności. Nie tylko organizacyjnej, ale przede wszystkim prawnej. Działania w tym kierunku zaczęto planować, jeszcze gdy trwała wojna. „Już za czasów okupacji niemieckiej w Warszawie przy sekcji rzemieślniczej Warszawskiego Towarzystwa Popierania Drobного Przemysłu i Handlu powstała komisja do zbadania stanu i potrzeb rzemiosł w Królestwie Polskiem, która przede wszystkim zwróciła uwagę na potrzebę zawodowego wykształcenia rzemieślników, i opracowała odpowiedni program”<sup>150</sup>.

Już po powrocie Polski na mapy polityczne Europy, w roku 1919, Sejm Ustawodawczy polecił rządowi przygotowanie projektu kodyfikacyjnego dla rzemiosła, którego celem miało być ustabilizowanie sytuacji rzemiosła i ujednoczenie materii prawnej w tej dziedzinie. Dwa lata później rząd RP wystąpił z projektem ustawy zbliżonym do prawodawstwa niemieckiego, jakie zakładało swobodę i brak przeszkód formalnych do wykonywania zawodu rzemieślnika na terenie całego kraju. Jedynie ci majstrowie, którzy chcieli kształcić uczniów, musieli wykazać się umiejętnościami zawodowymi w swojej branży. Projekt ten nie spotkał się z przychylnością środowisk rzemieślniczych. Przeciwno niemu oponowało szczególnie rzemiosło małopolskie, które na podstawie szczególnego dzielnicowego ustawodawstwa było prawnie chronione, tzn. rzemieślnik małopolski bez przeszkód mógł wykonywać swój zawód np. w Warszawie, ale już nawet najlepszemu fachowcowi z Warszawy nie wolno było założyć zakładu w Małopolsce<sup>151</sup>. Również cechy warszawskie były przeciwne tak swobodnemu dostępowi do wykonywania zawodów rzemieślniczych. Domagały się one mianowicie wprowadzenia reglamentacji w dostępie do wykonywania zawodu rzemieślników Żydów. Przeciwny projektowi był także Związek Rzemieślników Chrześcijan, gdzie we władzach zasiadali posłowie na Sejm<sup>152</sup>. Opór czę-

149 Mianowski H., *O rzemiosle*, [w:] *Dziesięciolecie Polski Odrodzonej, Księga Pamiątkowa 1918–1928*, Kraków - Warszawa 1928, s. 1083.

150 Pietkiewicz Z., *Rzemiosła w Polsce*, Warszawa 1925, s. 10.

151 *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, (red.) Grochulska B., Prus W., Warszawa 1983, s. 477.

152 Ibidem.

ści środowiska spowodował, że aż do roku 1927, kiedy zaczęło obowiązywać na terenie Polski nowe prawo przemysłowe, stan prawny rzemiosła był nieujednolicony i opierał się na prawodawstwie trzech zaborców. Stwarzało to oczywiste problemy w normalnym funkcjonowaniu zakładów rzemieślniczych, gdyż każdy z tych systemów prawnych inaczej definiował pojęcia i rzemiosła, i rzemieślnika.

Według przepisów austriackich rzemiosłem był zawód wymagający takiej biegłości, że „dojście do niej, czyli należyte wyuczenie się roboty, możliwe jest jedynie przez dłuższe w takim rzemiosle zatrudnienie”<sup>153</sup>. Ustawodawstwo niemieckie określało rzemiosło jako zawód wykonywany samodzielnie, którego podstawę stanowi osobista, wyuczona biegłość zawodowa oraz znajomość doświadczeń zawodowych wykształconych przez pokolenia wraz z rozwojem danego zawodu. Prawo rosyjskie rozróżniało z kolei dwa rodzaje przemysłu: fabryczny i rzemieślniczy. Ten pierwszy oparty był na pracy maszyn i nastawiony był na zaspokajanie masowych potrzeb, drugi natomiast opierał się na pracy własnych rąk i prostych narzędzi. Ważne było też kryterium zatrudnienia, według którego zakład tracił charakter rzemieślniczy, kiedy zatrudniał powyżej 15 osób<sup>154</sup>. Już sam fakt tak dużych rozbieżności w definiowaniu podstawowego pojęcia, jakim jest rzemiosło, ukazuje, jak bardzo niejednolite było prawo obowiązujące w tych latach na terenie Rzeczypospolitej.

Nie mogąc dojść do porozumienia w kwestiach prawnych, postanowiono zająć się kształceniem rzemieślników. W ministerstwach: Wyznań Religijnych i Oświecenia oraz Przemysłu i Handlu podjęto pierwsze kroki w celu uporządkowania i ujednoczenia systemu szkolnictwa zawodowego, wychodząc ze słusznego założenia, że oświata zawodowa to jeden z fundamentów prawidłowo działającego systemu pracy rzemieślniczej. W początkach lat 20. ukonstytuowało się w Warszawie Centralne Towarzystwo Rzemieślnicze, które wkrótce stało się rzecznikiem interesów rzemiosła polskiego. Przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu powstała Rada Rzemieślnicza, a w ramach Ministerstwa powołano Wydział Drobного Przemysłu i Rzemiosł, „którego zadaniem jest badanie i przychodzenie im z pomocą. Wydział ten występuje z inicjatywą tak zwanej akcji surowcowej, to jest stworzenia takiej organizacji gospodarczej, która dostarczałaby rzemieślnikom z pominięciem wszelkiego pośrednictwa, surowców na warunkach dogodnych”<sup>155</sup>.

Mimo podejmowania takich inicjatyw, działania na rzecz poprawy sytuacji w pierwszych latach niepodległości były, nie ukrywajmy, niewystarczające. W literaturze przed-

153 Ibidem, s. 478.

154 Ibidem.

155 Pietkiewicz Z., *Rzemiosła w Polsce*, op. cit., s. 11.



miotu z okresu międzywojnia etap do roku 1926 jest zwykle krytykowany i określany jako stracony dla rozwoju polskiego rzemiosła. Kazimierz Sokołowski w opracowaniu „Rzemiosło”, które w roku 1936 ukazało się nakładem Izby Rzemieślniczej w Kielcach, pisał: „Pierwsze lata samoistnego bytu państwowego cechuje negatywne, a przynajmniej obojętne ustosunkowanie się do rzemieślnika, któremu przeciwstawiono wielki, zmechanizowany zakład fabryczny. Prawdopodobnie brano pod uwagę fakt, że rozproszony przedsiębiorca-rzemieślnik jest mało dostrzegalny i uchwytny pod względem organizacyjnym i wychowawczym, że nie daje się on szybko i w odpowiednio dużej skali użyć do akcji masowej, że nie można mu powierzyć specjalnych zadań w płaszczyźnie ogólnokrajowej, że jest bardziej skłócony i zróżniczkowany, że zanadto zrosł się z partykularnymi interesami zbyt drobnych rejonów etc.”<sup>156</sup>. Autor krytykuje tu projekt faworyzowania przemysłu fabrycznego kosztem rzemiosła. Jego krytyka wychodzi ze słusznego założenia, że w warunkach tak wielkich dysproporcji cywilizacyjnych w odrodzonej Polsce brak wsparcia dla małych zakładów rzemieślniczych jest całkowicie nieracjonalny, gdyż na pozbawionych podstawowej infrastruktury wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej rozwój przemysłu fabrycznego jeszcze przez wiele lat nie będzie możliwy.

## **Status prawny rzemiosła w II RP** **Rozporządzenie Prezydenta RP z 7 czerwca 1927 r.** **O prawie przemysłowym**

Sytuacja prawna polskiego rzemiosła zmieniła się diametralnie po przewrocie majowym w 1926 roku. Po tym wydarzeniu, wykorzystując sprzyjającą koniunkturę polityczną zdecydowanie przyspieszono prace nad ujednoczeniem prawa przemysłowego, a więc także kwestii rzemiosła. W przygotowanie nowych regulacji prawnych zaangażowani byli Kazimierz Bartel, piastujący wtedy urząd Prezesa Rady Ministrów, Eugeniusz Kwiatkowski, minister Przemysłu i Handlu, oraz Roman Górecki, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego. Z ich inicjatywy premier Bartel, w lipcu 1926 roku, doprowadził do wycofania spod obrad Sejmu projektu prawa przemysłowego, opracowanego jeszcze przed przewrotem majowym, który skierował do ministerstwa przemysłu i handlu celem ponownego opracowania. Do września 1926 roku pod osobistym nadzorem ministra Kwiatkowskiego przeprowadzano, w formie ankiet, ustne konsultacje, które były podstawą do opracowania nowego projektu ustawy *O prawie przemysłowym*. Nowa ustawa została podpisana 7 czerwca 1927 roku przez prezydenta Ignacego Mościckiego i weszła w życie 16 grudnia tego roku jako Rozporządzenie Prezydenta RP<sup>157</sup>.

Prawo rzemieślnicze stanowiło część ogólnego prawa przemysłowego, a regulacje dotyczące jego spraw znalazły się w dziale IX ustawy, w artykułach 141–198. Zawarto w nich całokształt problemów rzemiosła, przede wszystkim warunków jego wykonywania, nauki fachu, organizacji samorządu rzemieślniczego oraz izb rzemiosła, cechów i związków cechowych<sup>158</sup>. Nie było więc to prawo rzemieślnicze *sensu stricte*. Rzemiosło w myśl tej ustawy było częścią szerokiego organizmu gospodarczego jakim był przemysł. Mimo że środowiska rzemieślnicze, w trakcie konsultacji nad projektem, wysuwały postulat

<sup>157</sup> Mianowski H., *O rzemiośle*, [w:] *Dziesięciolecie Polski Odrodzonej*, op. cit., s. 1083. Ustawa obowiązywała na terenie całego kraju z tymczasowym wyłączeniem woj. śląskiego, gdzie nowe prawo miało obowiązywać od 1 lipca 1933 roku.

<sup>158</sup> *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, op. cit., s. 478.

<sup>156</sup> Sokołowski K., *Rzemiosło*, Kielce 1936, s. 30–31.

uchwalenia całkowicie odrębnej ustawy, to ministerstwo przemysłu i handlu nie przychyliło się do tego życzenia, uznając, że tworzenie osobnego aktu prawnego, gdzie wiele kwestii prawnych należałoby powtarzać, jest po prostu niepraktyczne. Ustawodawca częściowo jednak uczynił zadość postulatом rzemieślników ujmując przepisy dotyczące przemysłu rzemieślniczego w osobny dział omawianego aktu prawnego<sup>159</sup>.

## **Definicja prawna i rozumienie rzemiosła w okresie międzywojennym**

Mimo uchwalenia jednolitego prawa, które regulowało kwestie działalności rzemieślniczej na terenie Rzeczypospolitej, w dalszym ciągu nie ustalono skonkretyzowanej definicji samego rzemiosła. Poradzono sobie z tym w ten sposób, że art. 142 rozporządzenia wyliczał te rodzaje przemysłu, które nie są prowadzone metodami fabrycznymi, czyli można je zaliczyć do rzemiosła. Katalog zawodów rzemieślniczych zawierał 63 pozycje i z założenia nie była to lista zamknięta. W okresie funkcjonowania przepisów ustawy katalog ten ulegał zmianom, a uprawniony do jego modyfikowania był minister Przemysłu i Handlu<sup>160</sup>. Przedstawiając katalog zawodów rzemieślniczych i dając prawo jego modyfikacji ministrowi, ustawodawca kierował się w dużej mierze tradycyjnym podejściem do tej dziedziny przemysłu, co nie zawsze pokrywało się ze stanem faktycznym<sup>161</sup>.

Przemysł polegający na wykonywaniu zawodów wymienionych w art. 142 rozporządzenia będzie więc uznawany za rzemieślniczy jeżeli spełni następujące kryteria: nie jest prowadzony sposobem fabrycznym, nie mieści się w pojęciu „proponowanie i wykonywanie drobnych świadczeń natury przemysłowej” (art. 45 rozporządzenia), nie posiada cech przemysłu ludowego, przemysłu domowego i chałupnictwa<sup>162</sup>. W przypadku wątpliwości czy dany zawód można zaliczyć do zawodów rzemieślniczych czy fabrycznych, orzeczenie w tej sprawie wydawać miała „władza przemysłowa wojewódzka po zasięgnięciu opinii izby przemysłowo-handlowej i rzemieślniczej, oraz po zasięgnięciu opinii właściwej izby skarbowej i inspektora pracy danego okręgu”<sup>163</sup>. Rozwiązanie, jakie przyjęto w art. 142 rozporządzenia było wzorowane na obowiązujących na ziemiach pol-

<sup>160</sup> Ibidem.

<sup>161</sup> Ibidem.

<sup>162</sup> Ptasiński C., *Studium o rozmiarach, strukturze, wytwórczości i rozmieszczeniu rzemiosł w województwie lubelskim*, Lublin 1939, s. 18.

<sup>163</sup> Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 VI 1927 r. *O prawie przemysłowym*, Dz. U. RP 1927, nr 53, poz. 468.

<sup>159</sup> *Polska ustawa przemysłowa*, (red.) Dobiecki A., Ślaski R., Poznań 1927, s. 118.

skich w czasie zaborów rozwiązaniach austriackim i niemieckim, które również nie precyzowały pojęcia rzemiosła, a wyliczały te działalności, które należy do niego zaliczać<sup>164</sup>.

Warto w tym miejscu odnieść się do tego, jak rzemiosło było rozumiane przez samych rzemieślników i instytucje zajmujące się jego organizacją w praktyce. Kazimierz Sokołowski w opracowaniu „Rzemiosło”, które ukazało się nakładem Izby Rzemieślniczej w Kielcach, podkreśla, że przemysł rzemieślniczy ma wiele aspektów, m.in. społeczny, gospodarczy, czy naukowo-techniczny. „W przekroju społecznym – pisze Sokołowski – rzemiosło znajduje się w przejściu pomiędzy przemysłem domowym, a fabrycznym; wyzwala ono robotnika (wytwórcę), gdy przemysł fabryczny wyzwala kapitał. W sensie własności narzędzi pracy rzemiosło stoi na pograniczu przemysłu zarobkowego i fabrycznego. Na płaszczyźnie ekonomicznej stwierdzamy, że o ile przemysł domowy jest scentralizowaną produkcją przemysłową na własne potrzeby, przemysł zarobkowy – rozproszoną pracą dla odbiorców, chałupnictwo zdecentralizowaną, a przemysł fabryczny – scentralizowaną przemysłową produkcją towarową, o tyle rzemiosło nosi na sobie znamiona przemysłowej produkcji (nie pracy) dla odbiorców”<sup>165</sup>. Sokołowski próbuje znaleźć cechy, które wyróżniałyby rzemiosło spośród pozostałych rodzajów przemysłu. Zastanawia się, czy jest nią indywidualny charakter pracy rzemieślnika, jednak odrzuca tę tezę, gdyż indywidualizm to cecha tylko niektórych rodzajów pracy rzemieślniczej, w innych spotykamy wyroby skonwencjonalizowane, niemające cech indywidualnego dzieła. „Indywidualizm może cechować introligatora (i to nie każdego), ale trudno go dopatrywać się w piekarzu; indywidualizm szewca lub krawca nie ma nic wspólnego z indywidualizmem zduna lub bednarza; Stradivarius jest do pomyślenia w rzemiośle wyrobu instrumentów muzycznych, ale trudno dopuścić jego istnienie w rzemiośle rzeźnickim lub garbarskim.”<sup>166</sup>

W wielu aktach prawnych, jakie funkcjonowały w prawie europejskim, w tym również w ustawodawstwie zaborców, podkreślano „samoistność” jako cechę rzemiosła. Rzemieślnik miał być niezależnym gospodarzem przedsiębiorcą, producentem i sprzedawcą swoich wyrobów dla konsumenta. Sokołowski zwraca tu uwagę na istotny problem, jaki napotyka rzemieślnik ery industrialnej, a który nie dotyczył rzemieślników sprzed epoki wielkiego przemysłu. „Wiadomo jest również, iż tysiące rzemieślników, nawet majstrów, pracuje dla magazynów i sklepów. To nie jest jeszcze system nakładczy,

164 Polska ustawa przemysłowa, op. cit., s. 131.

165 Sokołowski K., *Rzemiosło*, op. cit., s. 35–36.

166 Ibidem, s. 37.

ale bardzo mu bliski. [Rzemieślnicy] sprzedający kupcom zamówione przez nich towary – nie są już rzemieślnikami w sensie tradycyjnym, są nimi natomiast z uwagi na to, że ustawodawca nie kreślił granicy pomiędzy kupcem, a rzemieślnikiem”<sup>167</sup>.

Wg Sokołowskiego realia epoki industrialnej i powszechne stosowanie maszyn stawiają pod znakiem zapytania kryterium pracy własnych rąk jako cechy rzemiosła. Lata 30. to coraz powszechniejsza mechanizacja przemysłu rzemieślniczego, a co za tym idzie ustalenie granicy pomiędzy tradycyjnym rzemiosłem, produkującym niewielkie ilości towarów, a drobnym przemysłem nastawionym na większą ilość egzemplarzy było trudne. Coraz powszechniejsza mechanizacja rzemiosła była w tym okresie koniecznością, aby mogło ono w ogóle funkcjonować i dostarczać wyroby konsumentom zgodnie z popytem. Niedostrzeżenie tego hamuje bowiem rozwój rzemiosła. Sokołowski przytacza w swojej pracy fragmenty sprawozdań regionalnych izb rzemiosła, w których zwraca się uwagę na niedostateczny stopień i powolne tempo mechanizacji różnych branż rzemiosła.

Dynamika zmian w realiach gospodarki kapitalistycznej siłą rzeczy dotykała rzemiosła, które aby sprostać wymogom rynku i potrzebom konsumentów także musiało się zmieniać. Topokazuje, że konstruując ustawę przemysłową ówczesny ustawodawca postąpił rozsądnie, nie umieszczając opisowej definicji rzemiosła, gdyż ta wymagałaby regularnych aktualizacji. Na koniec tych rozważań warto przytoczyć jak kwestię odrębności rzemiosła widzi Bolesław Sikorski, który w pracy „Rzemiosło w Polsce” pisze: „Analizując zagadnienie odrębności rzemiosła, należałoby przede wszystkim scharakteryzować istotę czynności rzemieślniczych w ten sposób, że są to czynności, wymagające poczucia kształtu i umiejętności operowania narzędziem. Stąd pracownik rzemieślniczy musi być nauczony zawodu, a nie tylko »przyuczony« do pewnych czynności, jak pracownik fabryczny. W odróżnieniu od przemysłu fabrycznego w rzemiośle potrzebny jest stosunkowo niewielki kapitał, albowiem włożona w produkcję praca ma w większości zawodów znaczenie decydujące, a czynności wytwórcze wiążą się tu z kierowniczymi i handlowymi. Fabrykant z reguły nie produkuje na zamówienie spożywcy podczas gdy rzemieślnik znajduje się z nim w bezpośrednim kontakcie. Stąd wynika możliwość zadowolenia indywidualnych wymagań klienta”<sup>168</sup>.

167 Ibidem.

168 Sikorski B., *Rzemiosło w Polsce*, Warszawa 1939, s. 8.

## Kto mógł być rzemieślnikiem?

Jedną z najważniejszych kwestii jakie uregulowało rozporządzenie z 1927 roku było to, kto w świetle prawa może zostać uznany za rzemieślnika i jakie są kryteria wykonywania przemysłu rzemieślniczego. W art. 144 rozporządzenie stanowiło co następuje: „Kto rozpoczyna prowadzenie samoistne rzemiosła, winien równocześnie ze zgłoszeniem [działalności rzemieślniczej] wykazać przed władzą przemysłową I instancji, że posiada zawodowe uzdolnienie do prowadzenia danego rzemiosła”<sup>169</sup>. Niedopełnienie tego obowiązku skutkowało tym, że osoba prowadząca warsztat rzemieślniczy bez poświadczonych urzędowo kwalifikacji była automatycznie zaliczana do grupy rzemieślników nielegalnych. Kolejne artykuły doprecyzowują, w jaki sposób rzemieślnik ma poświadczyć swoje kwalifikacje do wykonywania zawodu. Art. 145 rozporządzenia wprowadza obowiązek przedstawienia tzw. „dowodu uzdolnienia zawodowego” do samoistnego prowadzenia rzemiosła, którym w myśl przepisów tego aktu prawnego były: „uprawnienie do używania tytułu mistrza (majstra) rzemieślniczego danego rodzaju rzemiosła (art. 158 i 159), świadectwo nauki danego rzemiosła, zakończonej złożeniem z pomyślnym wynikiem egzaminu czeladniczego w połączeniu ze świadectwami, co najmniej trzyletniej pracy w charakterze czeladnika w danym rodzaju rzemiosła, świadectwo złożenia egzaminu przed komisją egzaminacyjną dla majstrów wojskowych”<sup>170</sup>.

Podstawą prowadzenia warsztatu rzemieślniczego była karta rzemieślnicza, którą odpowiedni organ władzy przemysłowej (starostwo) wydawał rzemieślnikowi na podstawie dowodu uzdolnienia zawodowego w terminie do 30 dni od jego dostarczenia. Kartę rzemieślniczą mogły uzyskać także stowarzyszenia oraz wszelkiego rodzaju osoby prawne (spółki, spółdzielnie) będące właścicielami zakładów rzemieślniczych, w których skład

169 Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 VI 1927 r. *O prawie przemysłowym*, Dz. U. RP 1927, nr 53, poz. 468.

170 *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, op. cit., s. 478.

wchodziło co najmniej dwóch rzemieślników. Obowiązkiem było jednak wskazanie osoby, która w imieniu podmiotu prawnego będzie prowadziła zakład. Osoba ta musiała posiadać uprawnienia do prowadzenia zakładu rzemieślniczego<sup>171</sup>.

Istotną zmianę tej kwestii wprowadziła nowelizacja prawa przemysłowego z 10 marca 1934, roku uzależniając rozpoczęcie działalności rzemieślniczej od uprzedniego uzyskania karty rzemieślniczej. Przed wejściem w życie nowelizacji, można było rozpocząć prowadzenie rzemiosła bez karty, a właściwym uzdolnieniem wykazać się już w trakcie jego prowadzenia. Po wejściu w życie nowych regulacji karta wydawana była *ex post*. Konieczność uzyskania tego dokumentu na podstawie dowodu uzdolnienia była przejawem reglamentacyjnego podejścia ówczesnej władzy do prowadzenia działalności rzemieślniczej<sup>172</sup>. Takie stanowisko było wyłomem z obowiązującej w ówczesnym prawie gospodarczym zasady liberalizmu i spotykało się z krytyką w środowiskach ekonomicznych II RP. Jednocześnie rozporządzenie dawało swego rodzaju furtkę dla tych, którzy z różnych przyczyn nie mogli wykazać się urzędowym dowodem uzdolnienia, o którym wspomniano wyżej. Dotyczyło to tych rzemieślników, którzy nie mogli wykazać się posiadaniem świadectwa czeladniczego ani dyplomu mistrzowskiego, ale byli w stanie udowodnić, że przed 15 grudnia 1927 roku samoistnie wykonywali zawód z katalogu rzemieślniczych. Osoby te mogły zostać dopuszczone do wykonywania zawodów rzemieślniczych na zasadzie praw nabytych. Art. 146 przewidywał też, że „władza przemysłowa wojewódzka może poszczególne osoby zwalniać z obowiązku wykazania uzdolnienia, określonego w art. 145, jeżeli dane osoby wykażą w inny, wystarczający sposób, że posiadają odpowiednie uzdolnienie zawodowe”<sup>173</sup>. Była to tzw. „dyspensa” i dotyczyła przede wszystkim tych rzemieślników, którzy przez dłuższy czas pracowali w cudzym warsztacie. Obowiązani byli oni do przedstawienia wraz z podaniem o wydanie karty rzemieślniczej świadectwa pracy. Takie rozwiązanie było szeroko krytykowane, gdyż *de facto* otwierało drogę do rzemiosła osobom, które nie posiadały kwalifikacji poświadczonych egzaminem rzemieślniczym, a jedynie w inny sposób (np. przez poręczenie innych osób). „(...) na terenie Izby Rzemieślniczej krakowskiej w 1936 roku na ogólną ilość wydanych kart rzemieślniczych – 52% uzyskało karty w drodze dyspensy<sup>174</sup> na podstawie

171 *Wskazówki dla działaczy rzemieślniczych. Referaty wygłoszone na kursie dla działaczy rzemieślniczych 18–20 stycznia 1936 roku*, Lublin 1936, s. 19.

172 Kwiecień S., *Polskie prawo przemysłowe 1927–1939*, „Zeszyty prawnicze UKSW”, 11.2 (2011), s. 220.

173 Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 VI 1927 r. *O prawie przemysłowym*, Dz. U. RP 1927, nr 53, poz. 468.

174 Czyli z ominięciem rygorów art. 145 rozporządzenia.

art. 146 ustawy przemysłowej<sup>175</sup>. Była to niestety tendencja ogólnokrajowa, a skutkiem był ogromny, coroczny spadek osób przystępujących do egzaminów rzemieślniczych. Wg danych z roku 1936 roku, w Stanisławowie na 30 podań o wydanie karty rzemieślniczej tylko jedno było składane w trybie art. 145, a więc na podstawie wymaganego dowodu uzdolnienia. W tym samym roku na terenie właściwości Izby Lubelskiej do regularnych egzaminów przystąpiło 341 kandydatów, natomiast w trybie art. 146 spłynęło do izby 2861 podań, z czego 1265 rozpatrzono pozytywnie<sup>176</sup>. Tworzyło to sytuację, że przewidziane w art. 146 rozwiązanie wyjątkowe stawało się regułą oraz miało demoralizujący wpływ na osoby kształcące się w zawodach rzemieślniczych w normalnym trybie, dla których uzyskanie w toku żmudnej nauki, a potem trudnych egzaminów świadectwo czeladnicze lub mistrzowskie stawało się o wiele mniej atrakcyjne od możliwości uzyskania uprawnień do wykonywania zawodu w uproszczonym trybie art. 146 ustawy przemysłowej.

## Kształcenie rzemieślników

Tworząc w ramach ustawy o prawie przemysłowym przepisy dotyczące rzemiosła, ustawodawca starał się też jak najszerszej uregulować kwestie kształcenia praktycznego przyszłych adeptów tej gałęzi przemysłu. Zagadnienia dotyczące nauki rzemiosła zostały zebrane w części C działu IX rozporządzenia *O prawie przemysłowym* (art. 148–157).

Kształcenie rzemieślników było przywilejem osób, które legitymowały się tytułem mistrza w zawodzie (art. 149). Naukę rzemiosła można było odbywać także w przedsiębiorstwie fabrycznym, pod kierunkiem osób, które posiadały odpowiednie kwalifikacje. Przepisy przewidywały także limit uczniów jakich majster mógł przyjąć na naukę. Liczbę tę powinien określać status cechu i była ona uzależniona od stanu liczbowego czeladników zatrudnionych w warsztacie rzemieślniczym. Jeżeli przepisy cechowe nie określały, jaka powinna być liczba uczniów, zadanie to należało do wojewódzkiej władzy przemysłowej, która ustalała ją w porozumieniu z inspektorem pracy i terenową Izbą Rzemieślniczą.

Cykl kształcenia rzemieślniczego miał trwać minimum 3 lata, jednak nie dłużej niż 4. Przepisy dopuszczały, że czas nauki terminującego u majstra ucznia może zostać, za zgodą Izby Rzemieślniczej, skrócony (art. 152). Dowodem na istnienie stosunku nauki powinna być ważnie zawarta umowa o naukę rzemiosła pomiędzy uczniem, a osobą spełniającą wszelkie wymogi do nauczania rzemiosła. Jeżeli terminatorem był pracownik młodociany (w wieku 15–18 lat), to obejmował go obowiązek szkolny, zgodnie z którym musiał on uczęszczać do szkoły doksztalającej zawodowej. Naukę rzemiosła można było pobierać także w zwykłych szkołach zawodowych.

Zwieńczeniem terminu w zakładzie rzemieślniczym był egzamin czeladniczy. Uprawnienia do egzaminowania kandydatów na czeladników posiadały Izby Rzemieślnicze, które w ramach ich właściwości terytorialnej powoływały komisje egza-

175 Mianowski H., *Rola ustawodawstwa przemysłowego w rozwoju rzemiosła z uwzględnieniem aktualnych tendencji nowelizatorskich*, Kraków 1938, s. 56.

176 Ibidem, s. 56–57.



minujące terminatorów w poszczególnych zawodach. W składzie komisji zasiadały osoby mające uprawnienia do nauki zawodu, przy czym prawo przemysłowe zakładało, że przewodniczącym może być tylko osoba posiadająca wyższe wykształcenie techniczne<sup>177</sup>.

Egzamin miał na celu „stwierdzenie, czy terminator nabył biegłości i wprawy zwykłej pracy odnośnego rzemiosła oraz potrzebne wiadomości co do wartości, nabywania, przechowywania i stosowania materiałów przerabianych w rzemiosle oraz co do sposobów poznawania ich jakości” (art. 154)<sup>178</sup>. Jeżeli terminator pomyślnie zdał egzamin, izba wystawiała mu świadectwo ukończenia nauki i przyznawała tytuł czeladnika rzemieślniczego. Kosztami egzaminu była obciążana izba. Jeżeli nauka rzemiosła odbywała się w szkole przemysłowo-rzemieślniczej to kandydaci zdawali egzaminy czeladnicze przed komisjami powołanymi przez tę szkołę (art. 156).

Analogicznie do egzaminów czeladniczych przeprowadzano egzaminy mistrzowskie. Również one były organizowane przez Izby Rzemieślnicze, która w porozumieniu z ministrem Przemysłu i Handlu oraz Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego ustalał regulamin i tryb przeprowadzania egzaminu (art. 158)<sup>179</sup>.

## Cechy, zrzeszenia i związki rzemieślnicze

Do czasu wejścia w życie rozporządzenia *O prawie przemysłowym* instytucją gospodarczą, której zadaniem było reprezentowanie interesów środowiska rzemieślniczego były cechy. Nowe prawo nie likwidowało tych organizacji, za którymi stała wielowiekowa tradycja, jednak w znacznym stopniu uszczupliło ich kompetencje, większość uprawnień przenosząc na nowe organy – izby rzemieślnicze.

Prawo przemysłowe dokładnie określało zasady, na jakich powoływane były i jak funkcjonowały te branżowe organizacje rzemieślnicze. Ustawa dawała prawo do zakładania cechu rzemieślnikom prowadzącym warsztaty rzemieślnicze, jednak liczba założycieli nie mogła być mniejsza niż 5 osób. Przy cechu swój wydział mogli założyć też czeladnicy pracujący w danym zawodzie<sup>180</sup>.

Zadaniami cechów wg prawa przemysłowego było: pielęgnowanie ducha łączności oraz utrzymywanie i podnoszenie godności zawodowej członków, piecza nad utrzymaniem dobrego stosunku między członkami cechu i ich pracownikami, piecza nad sprawami młodzieży rzemieślniczej pozostającej na nauce u członków cechu oraz załatwianie sporów wynikłych ze stosunku nauki rzemiosła. Cechy odpowiadały za tworzenie odpowiednich warunków do praktycznej nauki fachu oraz doskonalenie zawodowe na wszystkich szczeblach nauki rzemiosła, od uczniów, po mistrzów. W ich gestii leżało też popieranie zakładania placówek szkoleniowych, szkół, organizowanie kursów zawodowych itd. Ważnym zadaniem było też organizowanie życia kulturalnego i towarzyskiego dla członków cechów i ich rodzin. Cechy miały też uprawnienia do zakładania instytucji wsparcia finansowego swoich członków i ich rodzin, jakimi były różnego rodzaju kasy zapomogowe i kredytowe. Bardzo ważnym zadaniem tych organów samorządu rzemieślniczego było rozstrzygnięcie sporów pomiędzy rzemieślnikami w formie sądów polubow-

<sup>177</sup> Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 VI 1927 r. *O prawie przemysłowym*, Dz. U. RP 1927, nr 53, poz. 468.

<sup>178</sup> Ibidem.

<sup>179</sup> Ibidem.

<sup>180</sup> *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, op. cit., s. 480.

nych<sup>181</sup>. Jedną ze stałych akcji prowadzonych przez cechy w latach 30. było dożywianie uczącej się młodzieży rzemieślniczej i niesienie materialnej pomocy uczniom z niezamierzonych rodzin. Tylko w 1936 roku na 46 szkół doksztalających zawodowo – 33 zostało objęte akcją dożywiania<sup>182</sup>.

Pod koniec lat 30. funkcjonowało w Polsce około 2370 cechów, z czego 1470 chrześcijańskich i 900 żydowskich. Nie jest możliwe ustalenie ogólnej liczby stowarzyszeń i związków rzemieślniczych. Liczba organizacji zrzeszających rzemieślników może wydawać się spora, jednak bardzo duża część rzemiosła pozostawała niezrzeszona. Dotyczyło to przede wszystkim rzemieślników wiejskich i małomiasteczkowych<sup>183</sup>.

Obok cechów, które z założenia są organizacjami branżowymi skupiającymi rzemieślników wykonujących jeden zawód lub zawody pokrewne, istniały także różnego rodzaju związki rzemieślnicze, które skupiały osoby parające się różnymi dziedzinami rzemiosła. Ich zadaniem było wspieranie cechów oraz koordynacja ich działań oraz uzgadnianie sprzecznych nierzadko interesów pomiędzy organizacjami cechowymi, a także reprezentowanie interesów tych rzemieślników, którzy choćby z powodu zbyt małej liczebności nie posiadają własnego cechu.<sup>184</sup>

Zrzeszenia i związki rzemieślnicze były tworzone na podstawie prawa o stowarzyszeniach i do roku 1938, kiedy to rozszerzono kompetencje cechów, to one były głównym reprezentantem spraw rzemieślników. W dwudziestolecie międzywojennym związki i zrzeszenia rzemieślnicze były podzielone wg kryterium narodowościowo-wyznaniowego. Największym zrzeszeniem rzemieślniczym w Polsce był ogólnopolski Związek Rzemieślników Chrześcijan, który został założony jeszcze w 1906 roku. Związek miał silną reprezentację wśród polityków, jego członkowie zasiadali w Sejmie RP. Pod egidą związku działało wiele afiliowanych instytucji, m.in. banki spółdzielcze, kasy bezprocentowe, przytułki i jadłodajnie dla bezrobotnych rzemieślników, czy bursy dla młodzieży terminującej w zawodach rzemieślniczych.

Rzemiosło żydowskie reprezentowały 3 organizacje, z których największą był Centralny Związek Rzemieślników Żydów w Polsce. Była to największa organizacja zrzeszająca rzemieślników żydowskich w Polsce. Powstała w 1912 r. z siedzibą w Warszawie. Celem działalności C.Z.R.Ż.R.P. były: obrona interesów członków w Izbach Rzemieślniczych, Wydziałach Czeladniczych i cechach; organizowanie ruchu spółdzielczego w rzemio-

181 *Wskazówki dla działaczy rzemieślniczych...*, op. cit., s. 57–58.

182 *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, op. cit., s. 482.

183 Sikorski B., *Rzemiosło w Polsce*, op. cit., s. 14.

184 *Ibidem*, s. 58.

śle (w tym kas kredytowych); pomoc prawna członkom itp. W 1928 r. Związek miał 493 oddziały i 94 338 członków. Jako swój organ wydawał czasopisma „Handwerker un Industri-Cajtung” („Gazeta Rzemieślnicza i Przemysłowa”, ukazywała się w latach 1925–1927), i „Handwerker Cajtung” („Gazeta Rzemieślnicza”, ukazywała się w latach 1927–1938). Z C.Z.R.Ż.R.P. próbował konkurować Związek Rzemieślniczy Rzeczypospolitej Polskiej, zorganizowany przez działaczy związkowych socjalistycznego Bundu. Miał on jednak nieporównanie mniejszy zasięg (w 1928 działało 75 oddziałów zrzeszających 10 tys. członków). Oprócz tych organizacji działał w Polsce jeszcze syjonistyczny Związek Cechów i Korporacji<sup>185</sup>.

Mówiąc o związkach i zrzeszeniach na rzecz rzemiosła żydowskiego należy wspomnieć także o Organizacji Rozwoju Twórczości Przemysłowej Rzemieślniczej i Rolniczej wśród Ludności Żydowskiej w Polsce (w skrócie ORT<sup>186</sup>). Organizacja powstała w 1880 roku w Rosji, a jej zadaniem było popieranie i rozwój wykwalifikowanego rzemiosła i rolnictwa wśród Żydów poprzez organizowanie kursów i szkoleń zawodowych. Towarzystwo prowadziło też szeroko zakrojoną działalność charytatywną, wspierało tworzenie i prowadzenie szkół zawodowych dla Żydów, a także pomagało w znalezieniu zatrudnienia bezrobotnym rzemieślnikom i rolnikom. W 1921 r. w Berlinie zostało otwarte biuro ORT-u, który przekształcił się w organizację międzynarodową. W Polsce ORT działał od lat dwudziestych z oddziałem w Warszawie. Towarzystwo prowadziło szkoły dla młodzieży i kursy dla dorosłych, które ukończyło ok. 2 tysiące osób oraz kolonie i kursy specjalistyczne. Zaopatrywało też rzemieślników w narzędzia i stworzył nawet w tym celu specjalną agencję<sup>187</sup>.

185 [http://www.jhi.pl/psj/Centralny\\_Zwiazek\\_Rzemieslnikow\\_Zydow\\_Rzeczypospolitej\\_Polskiej](http://www.jhi.pl/psj/Centralny_Zwiazek_Rzemieslnikow_Zydow_Rzeczypospolitej_Polskiej) (dostęp 30.08.2018).

186 ORT to akronim od pierwszych słów nazwy towarzystwa w języku rosyjskim: Obszczestwo Rasprostranienija Truda sredi Jewrejew w Rossiji.

187 <http://www.jhi.pl/psj/ORT> (dostęp 30.08.2018).

## Izby rzemieślnicze

Ustawa o prawie przemysłowym zmarginalizowała znaczenie cechów, jednak nie pozostawiła samorządu rzemieślniczemu w stanie nieuporządkowanym. Instytucją, która została powołana w celu reprezentowania całego środowiska rzemieślniczego bez względu na branżę zostały izby rzemieślnicze.

Postulat wprowadzenia samorządu gospodarczego dla rzemiosła pojawił się tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości z inicjatywy Związku Ludowo-Narodowego, jednak projekt ustawy o izbach rzemiosła nie trafił wówczas pod obrady Sejmu. Projekt powołania odrębnych dla rzemiosła izb gospodarczych powrócił na obradach Sejmu Ustawodawczego w dniu 19 października 1920 roku za sprawą wniosku klubu Zjednoczenia Mieszczańskiego. Poseł Teodor Szybiłło, wnioskując w imieniu klubu o wpisanie do konstytucji zapisu o odrębnych dla rzemiosła izbach argumentował, że „choć jest wiele interesów zbieżnych pomiędzy rzemieślnikiem polskim, a przemysłowcem, to jednak w wielu przypadkach interesy są rozbieżnymi. (...) Przeto w ślad za izbą handlową, przemysłową my byśmy chcieli przynajmniej już poza niemi istnieć i mieć jakieś gwarancje, że nasze interesy, interesy polskiego rzemieślnika nie ucierpią”<sup>188</sup>. Wniosek posłów Zjednoczenia mieszczańskiego spotkał się z przychylnością Sejmu Ustawodawczego i na posiedzeniu z 4 lutego 1920 roku posłowie zatwierdzili wprowadzenie do Konstytucji zapisu o izbach rzemieślniczych. Zapis ten, jakkolwiek doniosły dla polskiego rzemiosła, aż przez siedem lat pozostawał martwym przepisem. Dopiero rozporządzenie Prezydenta RP z 1927 roku *O prawie przemysłowym* wprowadziło izby rzemieślnicze do obiegu prawnego i uregulowało kwestie ich powoływania, kompetencji oraz zasad funkcjonowania. Ustanowienie właściwości terytorialnych izb

<sup>188</sup> Wilk-Jakubowski G., *Prawne podstawy funkcjonowania samorządu gospodarczego w II RP*, Kielce 2008, s. 62–63.

rzemieślniczych leżało z kolei w gestii ministra Przemysłu i Handlu, który korzystając z tego uprawnienia wydał 12 grudnia 1927 roku rozporządzenie o powołaniu izb i wyznaczeniu ich siedzib oraz zasięgu terytorialnego. Na podstawie tego aktu prawnego powstało 17 regionalnych izb rzemieślniczych z siedzibami w: Warszawie, Włocławku, Łodzi, Kielcach, Białymstoku, Lublinie, Krakowie, Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Poznaniu, Bydgoszczy, Grudziądzu, Wilnie, Nowogrodku, Brześciu nad Bugiem i Łucku<sup>189</sup>. Większość izb obejmowała swoim terenem województwa, których stolica była jednocześnie siedzibą izby. Wyjątek stanowiło województwo poznańskie, które zostało podzielone pomiędzy izby z siedzibami w Poznaniu i Bydgoszczy. Ta ostatnia została jednak zlikwidowana rozporządzeniem ministra w 1933 roku, a powiaty, które wchodziły w jej właściwość terytorialną zostały przejęte przez izbę poznańską. Liczba izb pozostała jednak ta sama, gdyż do samorządu rzemieślniczemu włączono województwo śląskie z siedzibą izby w Katowicach. Nie był to jednak koniec zmian w ustroju terytorialnym izb. W 1936 roku przeniesiono siedzibę izby z Grudziądza do Torunia, a dwa lata później z Włocławka do Płocka<sup>190</sup>. Warto wspomnieć, że Płock był siedzibą władz izby rzemieślniczej dla województwa warszawskiego, z kolei Warszawa była siedzibą stołecznej izby rzemieślniczej.

Zadania, jakie nakreślono przed izbami rzemieślniczymi w rozporządzeniu z 1927 roku (w art. 170) polegały na: współdziałaniu z władzami państwowymi w sprawach popierania rozwoju rzemiosła przez udzielanie informacji i wydawanie opinii, rozważanie i przedstawianie władzom wniosków dotyczących interesów rzemiosła oraz przedkładanie rocznych sprawozdań o stanie rzemiosła, regulowanie spraw terminatorskich w myśl obowiązujących przepisów ustawowych i czuwanie nad przestrzeganiem tychże, tworzenie czeladniczych i mistrzowskich komisji egzaminacyjnych (w myśl artykułów 153 i 158 rozporządzenia)<sup>191</sup>.

Izby rzemieślnicze zostały wyposażone w osobowość prawną, co umożliwiało im występowanie jako odrębne podmioty oraz ułatwiało funkcjonowanie w obrocie gospodarczym i prawnym. Skład izb rzemieślniczych był ustalany w drodze wyborów, a prawo do głosowania przysługiwało rzemieślnikom (bez różnicy płci), którzy od co najmniej 3 lat prowadzili samoistny zakład rzemieślniczy na terenie właściwości izby, byli obywatelami polskimi i korzystali z pełni praw cywilnych. Bierne prawo wyborcze mieli rzemieślnicy,

<sup>189</sup> Ibidem, s. 64.

<sup>190</sup> Ibidem, s. 65.

<sup>191</sup> Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 VI 1927 r. *O prawie przemysłowym*, Dz. U. RP 1927, nr 53, poz. 468.

którzy ukończyli 30 rok życia i od co najmniej 3 lat prowadzili samoistny warsztat rzemieślniczy w okręgu izby. Kadencja członka izby trwała 6 lat, przy czym co 3 lata zmieniła się połowa jej składu. Przepisy pozwalały jednak, aby ustępujący członkowie byli wybrani ponownie. Organem wykonawczym izby był zarząd, który składał się z prezesa, wiceprezesa oraz trzech członków. Pracami izby na co dzień kierowało biuro kierowane przez dyrektora, który wraz z prezesem izby reprezentował ją na zewnątrz. W ramach izby działał także wydział czeladniczy, który zajmował się całokształtem spraw czeladniczych. Jego członkowie byli wybierani przez wydziały czeladników przy cechach działających w okręgu izby, a bierne prawo wyborcze przysługiwało osobom, które ukończyły 25 lat i przepracowały co najmniej 2 lata w warsztacie działającym na terenie okręgu izby. Kompetencje wydziału czeladniczego obejmowały przede wszystkim współdziałanie przy regulowaniu spraw terminatorskich związanych ze szkoleniem, nauką oraz egzaminowaniem kandydatów na czeladników<sup>192</sup>.

W katalogu zadań i kompetencji izb rzemieślniczych znajdowały się także działania o charakterze ogólnym, w tym organizowanie wszelkiego rodzaju wydarzeń o charakterze kulturalno-edukacyjnym, jak organizacja wystaw krajowych i regionalnych, udział w targach i wystawach rzemieślniczych poza granicami Polski, propaganda na rzecz rzemiosła w środkach masowego przekazu (przede wszystkim w prasie), a także prowadzenie działalności wydawniczej – izby wydawały własne biuletyny oraz literaturę o tematyce rzemieślniczej.

Przepisy prawa przemysłowego nadawały izbom przede wszystkim uprawnienia administracyjne, nie były więc one w stanie spełniać zadania samorządu gospodarczego sensu *stricto*. Dopiero nowelizacje prawa przemysłowego, a szczególnie dekret Prezydenta RP z dnia 27 października 1933 roku o izbach rzemieślniczych i ich związku w sposób zasadniczy zmienił ich kompetencje, dając tym instytucjom również prawo do reprezentowania gospodarczych interesów rzemiosła. Powołany został także Związek Izb Rzemiosła jako wspólna dla wszystkich izb instytucja koordynująca ich działania i reprezentująca je wobec władz państwowych<sup>193</sup>. Izby rzemieślnicze przejęły kontrolę nad cechami, które „winny się stosować do zarządzeń, które wydaje Izba Rzemieślnicza w swoim zakresie działania”<sup>194</sup>.

Kompetencje izb rzemieślniczych zostały rozszerzone w drodze ustawy z 19 lipca 1939 r. *O izbach rzemieślniczych i ich związkach*, wg której: „1. Ustanawia się izby rzemieślnicze, jako stałą reprezentację gospodarczych i zawodowych interesów rzemiosła. 2. Izba rzemieślnicza jest instytucją samorządu gospodarczego i osobą prawa publicznego. 3. Izba odpowiada za zobowiązania swoim majątkiem”<sup>195</sup>. Zakres kompetencji izb rzemieślniczych szczegółowo wyliczał art. 4 tej ustawy, który stanowił, że należą do nich: organizowanie i współorganizowanie wraz z cechami i innymi organizacjami rzemieślniczymi przedsięwzięć o charakterze gospodarczym oraz inicjatyw gospodarczych i finansowych; organizowanie i popieranie instytutów badawczych, muzeów, wystaw, pokazów, jarmarków rzemieślniczych itp.; popieranie szkół, kursów rzemieślniczych i przyczynianie się do podnoszenia sprawności zawodowej rzemieślników; wydawanie przepisów i zarządzeń dotyczących spraw terminatorskich oraz kontrola nad ich przestrzeganiem; powoływanie komisji czeladniczych i mistrzowskich; prowadzenie wykazów wszystkich warsztatów rzemieślniczych znajdujących się w okręgu swojej izby; współdziałanie z władzami państwowymi w zakresie udzielania informacji i wydawania opinii w sprawach dotyczących interesów rzemiosła; przekazywanie władzom państwowym i samorządowym wniosków i postulatów dotyczących interesów rzemiosła; wyznaczanie biegłych uprawnionych do wydawania opinii w sprawach rzemiosła; przedstawianie kandydatów na reprezentantów rzemiosła w sprawach, gdy wymagają tego przepisy, np.: sędziów handlowych, członków rad państwowych, komisji podatkowych itp.; wydawanie opinii i zaświadczeń o zwyczajach rzemiosła; tworzenie sądów polubownych do rozstrzygania sporów z zakresu rzemiosła; zbieranie danych statystycznych dotyczących rzemiosła; współdziałanie ze związkiem izb rzemieślniczych; współdziałanie z cechami, związkami cechów i innymi organizacjami rzemieślniczymi w ramach samorządu gospodarczego rzemiosła<sup>196</sup>.

Ustawa z 19 lipca 1939 roku nie weszła w życie z powodu wybuchu wojny, jednak po 1945 roku była w pełni honorowana przez władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i obowiązywała do 1956 roku<sup>197</sup>.

192 *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, op. cit., s. 485; Sikorski B., *Rzemiosło w Polsce*, op. cit., s. 15.

193 Sikorski B., *Rzemiosło w Polsce*, op. cit., s. 14.

194 *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, op. cit., s. 485.

195 Ustawa z dnia 19 VII 1939 r. *O izbach rzemieślniczych i ich związkach*, Dz. U. RP 1939, nr 65, poz. 434.

196 Ibidem.

197 *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, op. cit., s. 486.

## Stan rzemiosła w okresie II RP

Do czasu wejścia w życie rozporządzenia *O prawie przemysłowem* ustalenie jednolitych danych na temat stanu rzemiosła w Polsce jest trudne. Dopiero nowe prawo, a szczególnie obowiązek sprawozdawczości i przekazywania informacji o rzemiośle lokalnym przez izby, dały podstawę do prowadzenia statystyki na temat rzemiosła w II RP. Trzeba jednak mieć świadomość, że nawet te informacje były niepełne (dotyczyło to przede wszystkim stanu zatrudnienia w warsztatach). Według danych zamieszczonych w rozdziale o rzemiośle, w publikacji *Dziesięciolecie Polski Odrodzonej, Księga Pamiątkowa 1918–1928*, na terenie Polski działało 319 400 warsztatów rzemieślniczych, które zatrudniały 882 200 pracowników (majstrów i czeladników)<sup>198</sup>. Największym ośrodkiem przemysłu rzemieślniczego była Warszawa. W stolicy prowadzono blisko 46 tysięcy przedsiębiorstw rzemieślniczych, które dawały pracę 149 tysiącom osób. To bardzo duża liczba, zważywszy na to, że Warszawa liczyła wówczas 936 tysięcy mieszkańców. Jeżeli doliczyć do tego ponad 18 tysięcy warsztatów z obszaru województwa warszawskiego, które zatrudniały 49 tysięcy rzemieślników<sup>199</sup>, to okręg ten należy uznać za zdecydowanego lidera w przemyśle rzemieślniczym II RP. Ten stan utrzymywał się przez całe dwudziestolecie międzywojenne.

Drugim co do wielkości i znaczenia ośrodkiem rzemieślniczym w Polsce w tym czasie było województwo lwowskie. Na jego terenie funkcjonowało blisko 32 tysiące warsztatów rzemieślniczych, w których pracowało ponad 93 tysiące osób. Innymi ważnymi ośrodkami rzemiosła były województwa: wołyńskie (26 tys. warsztatów i 54 tys. zatrudnionych), krakowskie (22 tys. warsztatów i 66 tys. zatrudnionych), śląskie (22 tys. warsztatów i 59 tys. zatrudnionych), poznańskie (21 tys. warsztatów i 57 tys. zatrudnionych)

<sup>198</sup> Stan na 1 stycznia 1928 r.

<sup>199</sup> Mianowski H., *O rzemiośle*, [w:] *Dziesięciolecie Polski Odrodzonej...*, op. cit., s. 1083.

i łódzkie (20 tys. warsztatów i 58 tys. zatrudnionych). Najslabiej rzemiosło rozwinięte było w województwach wileńskim, nowogródzkim i poleskim, które było najbardziej zacofanym gospodarczo obszarem w Polsce. Najmniejsza liczba zakładów rzemieślniczych (3,5 tys.) działała w województwie wileńskim. Dawały one zatrudnienie zaledwie 8 tys. osób. W województwie nowogródzkim funkcjonowało 6 tys. warsztatów zatrudniających 16 tys. rzemieślników, a w poleskim w 8 tys. zakładach pracowało 24 tys. osób<sup>200</sup>.

Ogólna liczba legalnych (czyli posiadających kartę rzemieślniczą) warsztatów rzemieślniczych w Polsce utrzymywała się na w miarę stałym poziomie. Nawet w okresie kryzysu, mimo zubożenia całego społeczeństwa, a więc także rzemieślników, liczba warsztatów nie malała. Wręcz przeciwnie – wzrosła nieznacznie. Było to spowodowane faktem taniości, dostępności oraz „elastyczności” pracy rzemieślniczej. Szacuje się, że w latach 1930–1935 działało w Polsce około 400 tys. warsztatów (zarówno legalnych, jak i nielegalnych) zatrudniających około 600 tys. osób, dając utrzymanie co najmniej 3 milionom obywateli<sup>201</sup>.

Wg danych władz przemysłowych 1 stycznia 1935 roku w Polsce działały 320 604 zarejestrowane warsztaty rzemieślnicze. Dane te różniły się nieco od przedstawianych przez izby rzemieślnicze, które podawały, że stan ten wyniósł 329 516 zakładów<sup>202</sup>. Z liczby tej ponad połowa, bo aż 181 854 przedsiębiorstwa (55%) przypadła na województwa centralne. W województwach południowych zarejestrowano 55 703 warsztaty (17%), w zachodnich – 49 276 (15%), a we wschodnich 42 683 (13%)<sup>203</sup>. Mały rocznik statystyczny z roku 1937, a więc prezentujący dane za rok 1936, podaje z kolei, że w Polsce, na podstawie karty rzemieślniczej, funkcjonowało 346 871 warsztatów. Najwięcej było ich w Warszawie i województwie warszawskim – 56 239, kieleckim – 44 471, łódzkim – 34 455, lubelskim – 32 551 i poznańskim – 29 957<sup>204</sup>. Fundamentem rzemiosła w II RP były zawody tradycyjne, mające wielowiekową historię, które na stałe wpisały się w pejzaż życia gospodarczego ziem polskich. Wg danych zawartych w Małym Roczniku Statystycznym z 1937 roku, pięć branż skupiało ponad połowę wszystkich zarejestrowanych przedsiębiorstw o charakterze rzemieślniczym. Były to: szewstwo (55 237 warsztatów), krawiectwo (53 400), rzeźnictwo (29 459), kowalstwo (29 084) i stolarstwo (27 330). Kolejne branże, to jest: piekarstwo, fry-

<sup>200</sup> Ibidem.

<sup>201</sup> Sokołowski K., *Rzemiosło*, op. cit., s. 31.

<sup>202</sup> Różnice mogły wynikać choćby z faktu, że nie wszyscy posiadacze kart rzemieślniczych faktycznie wykonywali działalność rzemieślniczą, do której byli uprawnieni.

<sup>203</sup> Ibidem.

<sup>204</sup> *Mały rocznik statystyczny 1937*, Warszawa 1937, s. 93.



zjerstwo, murarstwo, wędliniarstwo, ślusarstwo, ciesielstwo, cholewkarstwo, kołodziejstwo, malarstwo, blacharstwo i zegarmistrzostwo skupiały w sumie 109 239 zakładów rzemieślniczych. W pozostałych 54 branżach rzemiosła działało 43 122 warsztaty<sup>205</sup>. Szacunkowo pojedyncze przedsiębiorstwo rzemieślnicze było miejscem pracy dla przeciętnie 1–2 osób. Biorąc pod uwagę, że utrzymywały one całe rodziny rzemieślnicze uzasadnionym jest stwierdzenie, że dawały one środki do życia około 3 milionom osób oraz, że rzemieślnicy byli w ówczesnej Polsce drugą, po rolnikach, warstwą społeczną<sup>206</sup>.

O znaczeniu produkcji rzemieślniczej dla całokształtu gospodarki krajowej w latach trzydziestych świadczy wartość jej produkcji. Bolesław Sikorski w swoim opracowaniu na temat stanu rzemiosła pod koniec lat trzydziestych pisze: „(...) wartość produkcji rzemieślniczej wynosi ogółem 2 700 milionów złotych, czyli, że na jeden warsztat przypada średnio 4 816 zł. Z własnych surowców wyprodukowano na sumę 2 miliardów złotych, z surowców powierzonych na sumę 300 milionów złotych, produkcja zaś z częściowo własnych, a częściowo z powierzonych surowców dosięgła wartości 400 milionów złotych”<sup>207</sup>. Według szacunków przedstawionych przez Sikorskiego, spośród wszystkich grup rzemiosła liderem była grupa spożywcza skupiająca takie branże jak: cukiernicy, piekarze, rzeźnicy, wędliniarze itd. Ich produkcja osiągała wartość 1 400 milionów złotych. Kolejną była grupa włókiennicza, w której zdecydowanie przeważali krawcy. Rzemieślnicy tej branży produkowali rocznie towary za łączną sumę 400 milionów złotych. Siłą napędową grupy rzemiosł skórzanych byli z kolei szewcy. Dzięki nim w ramach tej grupy wartość produkcji rokrocznie sięgała 300 milionów złotych. Wartość produkcji grupy budowlanej osiągnęła poziom 200 milionów złotych. Na taką samą wartość oszacowano produkcję w ramach grup metalowej i drzewnej, gdzie liderem produkcji była branża stolarska<sup>208</sup>.

Powyższe dane pokazują, że rzemiosło było bardzo istotnym uczestnikiem gospodarki II RP. Świadczą one także o dużych dysproporcjach pomiędzy poszczególnymi grupami rzemiosł. Widać to po zdecydowanej przewadze rzemiosł spożywczych. Także w ramach poszczególnych grup zazwyczaj były branże wiodące, które generowały większą część produkcji, a co za tym idzie zysków z działalności, i takie, które permanentnie borykały się z wieloma problemami – niedoinwestowaniem, przestarzałymi metodami produkcji, czy brakiem nowoczesnych narzędzi i maszyn.

205 Ibidem. Przedstawione dane oparte były na ilości zarejestrowanych kart rzemieślniczych.

206 Sikorski B., *Rzemiosło w Polsce*, op. cit., s. 17.

207 Ibidem.

208 Ibidem, s. 17–18.

Rzemiosło polskie w latach dwudziestych i trzydziestych cechował także nierównomierny pod względem terytorialnym rozwój i poziom technologiczny. Zdecydowanie najlepiej wyposażone i doinwestowane były warsztaty w województwach zachodnich, przedsiębiorstwa z centralnej Polski prezentowały średni poziom mechanizacji, natomiast im dalej na wschód tym niższy poziom usług rzemieślniczych i bardziej prymitywny poziom warsztatów, w których je świadczone. Powodów tego było co najmniej kilka. Sikorski podkreśla jednak, że niski poziom rzemiosła na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej wynikał nie tylko z braku funduszy na rozwój, ale także z konserwatywności i niechęci samych rzemieślników do doksztalcania się, zdobywania nowych umiejętności i przywiązania do tradycyjnych, przez pokolenia utrwalonych, metod produkcji<sup>209</sup>.

Potrzeba podnoszenia poziomu rzemiosła generowała kolejny problem – skąd rzemieślnicy mają brać środki na inwestowanie w rozwój swoich warsztatów? Dochody z działalności były często niewystarczające, dlatego samorząd gospodarczy rzemiosła od połowy lat trzydziestych zwracał się do władz przemysłowych o uruchomienie możliwości kredytowania rzemiosła. Prowadzący działalność rzemieślniczą korzystali z kredytów zarówno w finansowych instytucjach prywatnych jak i publicznych. Z danych za rok 1937 przedstawionych przez Związek Izb Rzemieślniczych widać, że z ogólnej kwoty 10 milionów złotych kredytu rzemieślniczego przyznanych przez Bank Gospodarstwa Krajowego, różnego rodzaju instytucje finansowe rozprowadziły wśród rzemieślników 9 milionów złotych w postaci kredytów i pożyczek. Oprócz tego rzemiosło otrzymywało wsparcie finansowe z Komunalnych Kas Oszczędności (2 miliony złotych), rzemieślniczych spółdzielni kredytowych (1,9 miliona złotych), innych spółdzielni rzemieślniczych (3,7 miliona złotych), kas bezprocentowych polskich (334 tysiące złotych) i żydowskich (500 tysięcy złotych) oraz z innych źródeł na kwotę 918 tysięcy złotych. Wg szacunków Bolesława Sikorskiego nie zaspokajało to zapotrzebowania rzemieślników na usługi kredytowe, które obliczał on na około 80 milionów złotych, a rzeczywiste pokrycie tych potrzeb oceniał na zaledwie 40%. Liczbę kas bezprocentowych jakie powołano w latach 1937–1939 ocenia Sikorski na „sto kilkadziesiąt”. W środowisku chrześcijańskim funkcjonowały m.in. Zjednoczenie Chrześcijańskich Kas Bezprocentowych i Polska Centralna Kasa Kredytu Bezprocentowego. Wśród rzemieślników Żydów działała Centrala Kas Bezprocentowych, która wg autora dysponowała większym potencjałem finansowym niż obie instytucje chrześcijańskie<sup>210</sup>.

209 Ibidem, s. 18.

210 Ibidem, s. 19.

## Lublin jako ośrodek rzemieślniczy w okresie dwudziestolecia międzywojennego

W okresie międzywojennym Lublin, jako stolica centralnie położonego województwa, był ważnym ośrodkiem administracyjno-gospodarczym, w którym mieściło się wiele instytucji mających istotny wpływ na kreowanie rozwoju miasta oraz województwa. Rolniczy charakter województwa lubelskiego determinował oblicze jego stolicy, które w odróżnieniu od innych dużych miast Polski nie miało jednoznacznie określonego profilu gospodarczego. Lublin spełniał wiele funkcji, których oczekiwało od niego rolnicze zaplecze miasta. Był więc ośrodkiem przemysłowym, usługowym, handlowym, oświatowym i kulturalnym. Rozwój miasta był nierozdzielnie związany z ogólnokrajowym trendem i cechowały go okresy dynamicznego wzrostu (druga połowa lat dwudziestych) przeplatane z okresami stagnacji, a nawet regresu (kryzys gospodarczy z lat 1930–1935).<sup>211</sup>

Jeżeli za kryterium, które decyduje o obliczu gospodarczym miasta przyjmujemy zatrudnienie w poszczególnych gałęziach gospodarki, to Lublin okresu międzywojennego jest miastem o zdecydowanie rzemieślniczym charakterze. Z rzemiosła utrzymywała się niemal jedna trzecia ludności miasta – 32%, podczas gdy z przemysłu zaledwie 8,1%. Dla porównania, w największych ośrodkach przemysłowych w kraju te liczby wyglądały następująco: w Łodzi 24,2% i 74,8%; w Katowicach 12,7% i 87,3%. Pod tym względem Lublin był drugim po Warszawie ośrodkiem rzemieślniczym<sup>212</sup>.

211 Duda S., *Rozwój rzemiosła w Lublinie w okresie międzywojennym*, „Annales UMCS”, vol. XXV, 4/1991, s. 45.

212 Ibidem, s. 53.

## Stan rzemiosła w Lublinie

Rozwój rzemiosła w Lublinie w okresie międzywojennym wykazywał powolną, ale stałą tendencję wzrostową, co widać po tym, jak zmieniała się liczba zakładów w latach 1918–1939. W roku 1921 na terenie miasta funkcjonowało około 1100 warsztatów parających się rzemiosłem<sup>213</sup>. W roku 1937 było ich już 2588<sup>214</sup>. Nawet w latach kryzysu gospodarczego lubelskie rzemiosło odnotowało niewielki, ale jednak systematyczny wzrost liczebności warsztatów. Wg danych lubelskiej izby rzemieślniczej w 1929 roku w mieście działało 1780 samodzielnych zakładów rzemieślniczych<sup>215</sup>, podczas gdy dwa lata później, a więc w apogeum kryzysu liczba ta wzrosła do 1836<sup>216</sup>. W 1935 roku w Lublinie działało już 2560 warsztatów<sup>217</sup>, rok później 2696<sup>218</sup>. W ostatnim ujętym w sprawozdawczości izby roku 1937, ich liczebność spadła do 2588 zakładów.

Najgorszym okresem dla lubelskiego rzemiosła był przełom lat dwudziestych i trzydziestych. Zanotowano wtedy drastyczny, bo aż 40% spadek produkcji rzemieślniczej. Przyczyną tego stanu była tragiczna sytuacja na lubelskiej wsi, a co za tym idzie wyraźny spadek popytu na wyroby rzemieślnicze u rolników, którzy stanowili najliczniejszą grupę konsumentów lubelskiego rzemiosła. Tendencja spadkowa utrzymywała się do roku 1934. Rosła co prawda liczba warsztatów rzemieślniczych, jednak spadały ich obroty, co powodowało pauperyzację zarówno właścicieli jak i pracowników. Dopiero lata 1935–

213 Kierek A., *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918–1939* [w:] *Dzieje Lublina*, T. 2, pod red. S. Krzykały, Lublin 1975, s. 67.

214 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, Lublin 1938, s. 71. Wg danych Magistratu liczba ta była wyższa i wynosiła 2893 warsztaty, patrz: Kierek A., *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918–1939*, op. cit., s. 67.

215 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie 1) ze stanu rzemiosła w 1930 2) z działalności za lata 1929–1930*, Lublin 1938, s. 7.

216 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, Lublin 1932, tabela nr 3a.

217 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1935*, Lublin 1936, s. 63.

218 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1936*, Lublin 1937, s. 61.

1939 przyniosły ożywienie i stały, rokroczny wzrost produkcji, której wartość w 1937 roku wyniosła 17 mln 679 tys. złotych, w stosunku do 10 mln 677 tys. zł w roku 1934<sup>219</sup>.

## Struktura rzemiosła w Lublinie

Lata dwudzieste i trzydzieste to okres wyraźnych zmian w strukturze lubelskiego rzemiosła. Stopniowo zmniejszał się udział tradycyjnych zawodów, a rosła liczba warsztatów parających się rzemiosłem z grup – metalowej (261 w 1930 r. i 378 w 1937 r.) i budowlanej (213 w 1930 r. i 279 w 1937 r.)<sup>220</sup>. Jednak nowe zawody przyjmowały się powoli i z oporami. Decydował o tym konserwatyzm środowiska rzemieślniczego, ale także brak wykwalifikowanych majstrów z takich branż, jak np. ślusarstwo mechaniczne, czy samochodowe (w 1937 roku działało łącznie tylko 5 zakładów z tych branż – 2 zakłady mechaniczne i 3 samochodowe). W niektórych zawodach można zauważyć jednak znaczny wzrost liczebności przedsiębiorstw. Tak było w przypadku zakładów fotograficznych, których w roku 1930 było w Lublinie zaledwie 13, a siedem lat później fotografią parowało się już 38 wykwalifikowanych mistrzów kamery<sup>221</sup>. Mimo to przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego w strukturze zawodowej lubelskiego rzemiosła dominowały 4 grupy: skórzana (25% udziału), włókiennicza (19,5%), spożywcza (14%) i drzewna (14%)<sup>222</sup>. Spośród najliczniej reprezentowanych zawodów jakie, w 1937 roku odnotowała lubelska izba rzemieślnicza, na czoło wysuwają się: krawiectwo (414 legalnych warsztatów i 85 bez kart rzemieślniczych), szewstwo (346 legalnych i 143 nielegalne), stolarstwo (201 legalnych i 27 nielegalnych), rzeźnictwo (142 – wszystkie legalne), piekarstwo (142 – wszystkie legalne)<sup>223</sup>.

220 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, op. cit., s. 8–9 i *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., ss. 71–72.

221 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, op. cit., s. 9 i *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 73.

222 Kierek A., *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918–1939*, op. cit., s. 67.

223 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, op. cit., s. 9 i *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 73–75.

219 Duda S., *Rozwój rzemiosła w Lublinie w okresie międzywojennym*, op. cit., s. 50.

Rzemiosło lubelskie opierało się na bardzo małych zakładach, w których zwykle pracowały jedna lub dwie osoby. Zazwyczaj był to sam właściciel, rzadziej zatrudniający pomocnika czy pomocników, a najczęściej polegający na pomocy członków rodziny. W większości przedsiębiorstw na terenie miasta pracowało od 1 do 4 osób, z właścicielem i członkami jego rodziny włącznie.<sup>224</sup> W 1936 roku zatrudnienie na 100 warsztatów oprócz właścicieli wynosiło przeciętnie 125 osób, a łącznie w lubelskim rzemiośle pracowało około 6500 osób.<sup>225</sup>

W rzemiośle lubelskim zdecydowanie dominowała własność prywatna. Spółdzielczość zaczyna rozwijać się dopiero od połowy lat trzydziestych, kiedy zaczynają zawiązywać się pierwsze tego typu przedsiębiorstwa w Lublinie. W 1934 roku powstały Kooperatywa „Stolarz”, Polska Wytwórcza Spółdzielnia Krawiecka i Chrześcijańska Spółdzielnia Handlowo-Wytwórcza Rymarzy i Siodlarzy. Był to sposób na jednoczenie się rzemieślników i obronę przed konkurencją ze strony przemysłu fabrycznego. Tendencja ta nie okazała się jednak w mieście powszechna<sup>226</sup>.

224 Zakłady rzemieślnicze były zaliczane do trzech kategorii wg zatrudnienia: VI – od 9 do 15 pracowników, VII – od 4 do 9 pracowników i VIII – od 1 do 4 pracowników. W roku 1921 w Lublinie najwięcej było zakładów z kategorii VIII – 612, w kategorii VII było ich 398, a w VIII – 81. Patrz: Duda S., *Rozwój rzemiosła w Lublinie w okresie międzywojennym*, op. cit., s. 47.

225 A. Kierek, *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918–1939*, op. cit., s. 68.

226 Ibidem.

## Nielegalne rzemiosło w Lublinie

Z podanych wyżej danych można wywnioskować, że sporym problemem dla władz miasta i samorządu rzemieślniczego byli ci, którzy prowadzili warsztaty bez wymaganej prawem karty rzemieślniczej. W sprawozdaniu za rok 1936 czytamy: „Ilość istniejących zakładów powinna się (...) pokrywać z ilością kart rzemieślniczych (...). W rzeczywistości obserwujemy notoryczne, powszechne i w znacznych rozmiarach zjawisko wręcz odwrotne: liczba rzeczywiście istniejących i działających zakładów jest znacznie wyższa niż liczba kart rzemieślniczych. Aczkolwiek władze rzemieślnicze zwalczają to zjawisko, aczkolwiek rzemieślnicy bardzo się na nie skarżają (...) [to] przez 8 lat obowiązywania prawa przemysłowego nie zostało ono usunięte, ale wykazuje tendencje rozwojowe (...)”<sup>227</sup>.

Wg danych izby lubelskiej na 45 tys. zakładów faktycznie działających na obszarze województwa aż 12 tys. było prowadzonych bez karty rzemieślniczej, co stanowiło (26%). W samym Lublinie dysproporcje te były mniejsze. W 1931 roku na 2085 faktycznie działających warsztatów 249 (12%), było nielegalnych. W 1937 liczba zakładów bez wymaganej karty rzemieślniczej wzrosła do 305, wzrosła jednocześnie liczba legalnie prowadzonych działalności, dlatego procentowy udział rzemieślników nielegalnych zmalał do 10,5%. Władze przemysłowe i samorząd rzemieślniczy próbowały walczyć z procederem

227 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1936*, op. cit., s. 58.



nielegalnego prowadzenia warsztatów, jednak skutki tej walki były znikome. Jak pokazują dane lubelskiej izby rzemieślniczej, w 1936 roku do odpowiedzialności pociągnięto 48 majstrów z Lublina, którzy nie posiadali wymaganych dokumentów. Jednocześnie nie został z tego powodu zlikwidowany żaden nielegalny warsztat.

Statystyki nie podają liczby pracujących bez zezwolenia, jednak znając liczbę nielegalnych warsztatów i fakt, że zatrudnienie w nich mogło kształtować się podobnie jak w legalnych, można oszacować, że pracujących w ten sposób rzemieślników było w Lublinie około 700.

## Kredytowanie rzemiosła

Jednym z najpoważniejszych problemów, z jakimi borykało się polskie rzemiosło było permanentne niedoinwestowanie i brak funduszy na rozwijanie i unowocześnienie działalności. Lublin pod tym względem nie był wyjątkiem. Brak środków szczególnie dał się we znaki lubelskim przedsiębiorcom w okresie kryzysu, a kwoty przyznawane przez instytucje finansowe na zwalczanie jego skutków były niższe niż w innych częściach kraju. Kwota kredytu, jaka w tym okresie przypadała w województwie lubelskim na jeden warsztat wynosiła zaledwie 18 złotych, podczas gdy w łódzkim było to 56 złotych, a w poznańskim aż 516 złotych. Uzyskaniu kredytu nie sprzyjała też trudna procedura. Był on też niedostosowany do potrzeb rzemiosła, udzielany na krótki czas i na trudnych warunkach, które mogli spełnić tylko nieliczni. W 1934 roku z sumy 71 000 złotych, jaką ze środków Banku Gospodarstwa Krajowego przyznano Lublinowi, Komunalna Kasa Oszczędności rozdysponowała 57 250 złotych. Z pożyczek skorzystało 205 osób<sup>228</sup>. Rok później kwota jaką KKO przyznała wnioskodawcom wyniosła tylko 16 964 złote, a stan zadłużenia rzemieślników wyniósł 21 882 złote<sup>229</sup>. W 1936 roku do lubelskiej Komunalnej Kasy Oszczędności wpłynęły 102 podania o kredyt na kwotę 56 100 złotych. Uwzględniono 61 próśb na sumę 29 220 złotych, a kwoty pożyczek wahały się od 30 do 1000 zł. Przyczyną odrzucenia 41 podań był brak odpowiednich zabezpieczeń pożyczki<sup>230</sup>. W roku 1937 o kredyt wnioskowało 75 osób, z czego 59 otrzymało pożyczkę w wysokości od 100 do 1500 złotych. Wnioskowano na ogólną kwotę 53 400 złotych, z czego udzielono 31 724 złote kredytu<sup>231</sup>.

228 Duda S., *Rozwój rzemiosła w Lublinie w okresie międzywojennym*, op. cit., s. 49.

229 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1935*, op. cit., s. 120.

230 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1936*, op. cit., s. 135.

231 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 151.



Oprócz Komunalnych Kas Oszczędności, które były operatorem środków przyznawanych przez Bank Gospodarstwa Krajowego, w środowisku lubelskim działały także inne instytucje, których zadaniem było udzielanie pożyczek dla rzemiosła. Były to spółdzielnie kredytowe i kasy bezprocentowe.

W Lublinie działały 3 spółdzielcze instytucje kredytowe. Spółdzielczy Bank Kredytowy w Lublinie powstał w 1926 roku. Siedziba banku mieściła się przy placu Litewskim 1, a prezesem zarządu był T. Pleskaczyński. Bank działał wśród chrześcijańskiej części lubelskiego rzemiosła i w 1937 roku liczył 372 członków, w tym 281 rzemieślników. Wysokość jednego udziału wynosiła 50 złotych, a odpowiedzialność członka spółdzielni – 500 zł. W omawianym okresie bank dysponował 856 udziałami (653 rzemieślnicze) i kapitałem 18 640 złotych oraz udzielił spółdzielcom 27 kredytów na kwotę 4 215 złotych<sup>232</sup>.

Bank Spółdzielczy dla Rzemieślników i Chałupników w Lublinie mieścił się przy ul. Nowej 2 i działał od 1928 roku. Jego prezesem był Ber Krempel. Bank skupiał 292 spółdzielców żydowskich, z czego 185 rzemieślników i chałupników, a jego działalność w latach trzydziestych wykazywała tendencje rozwojowe o czym świadczy wzrost kapitału udziałowego z 11 273 złotych w 1935 roku do 15 372 złotych w końcu roku 1937. Wysokość jednego udziału wynosiła 25 złotych (odpowiedzialność członków 250 złotych). W omawianym roku bank udzielił pożyczek na kwotę 186 143 zł z czego 60% udzielono rzemieślnikom i chałupnikom<sup>233</sup>.

Najmłodszą instytucją kredytową w Lublinie była w tym czasie Spółdzielcza Kasa Rzemieślnicza w Lublinie z siedzibą przy Krakowskim Przedmieściu 26. Jej inicjatorem była Rada Rzemieślników Żydów, która powołała kasę w 1933 roku przede wszystkim dla obsługi własnych członków. W 1937 roku w kasie było 127 spółdzielców, z czego 105 parało się rzemiosłem. Wysokość udziału określono na 25 zł, a odpowiedzialność członka na pięciokrotność tej kwoty. Kapitał udziałowy kasy w omawianym roku wynosił 3 330 złotych. Kasa udzieliła w tym roku pożyczek 624 spółdzielcom na łączną kwotę 49 115 złotych. Funkcję prezesa kasy sprawował Aron Lew<sup>234</sup>.

Oprócz wymienionych wyżej instytucji kredytowych w Lublinie funkcjonowały także 3 kasy kredytu bezprocentowego – 2 chrześcijańskie i 1 żydowska<sup>235</sup>.

232 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 148–149.

233 *Ibidem*, s. 149.

234 *Ibidem*.

235 *Ibidem*, s. 156.

## Struktura narodowościowa rzemiosła w Lublinie

Pisząc o rzemiośle lubelskim, nie sposób nie uwzględnić jego struktury narodowościowej. W zasadzie było ono podzielone pomiędzy dwie nacje – Żydów i Polaków, chociaż we wszelkiego rodzaju statystykach i opracowaniach występuje podział na rzemiosło żydowskie i chrześcijańskie. Analizując dane jakie zebrała lubelska izba rzemieślnicza można śmiało stwierdzić, że rzemiosło w Lublinie było domeną Żydów. Na 2588 legalnych warsztatów, aż 1523 (59%) były prowadzone przez rzemieślników żydowskich. Żydzi zdecydowanie dominowali w krawiectwie – na 345 (legalnych i nielegalnych) zakładów żydowskich przypadało zaledwie 86 chrześcijańskich. Zdecydowanie więcej było też żydowskich rzeźników – 108 zakładów wobec 55 chrześcijańskich. Również w dziedzinie produkcji pieczywa widać wyraźną przewagę producentów żydowskich. Posiadali oni 93 piekarnie wobec 49, jakie pozostawały w rękach chrześcijan. Żydzi wiedli prym także w rzemiośle zegarmistrzowskim. W tej branży prowadzili 51 warsztatów, chrześcijanie tylko 6. Zawody, w których przeważały zakłady chrześcijańskie działały w takich branżach jak: kowalstwo (51 warsztatów chrześcijańskich, 1 żydowski), ślusarstwo (72 chrześcijańskie, 48 żydowskich), czy wędliniarstwo (77 chrześcijańskie, 3 żydowskie)<sup>236</sup>.

Przewaga rzemiosła żydowskiego utrzymała się aż do wybuchu II wojny światowej. Jednak w drugiej połowie lat trzydziestych można zaobserwować tendencję do wypierania Żydów z niektórych branż i polonizacji rzemiosła w Lublinie. W tym okresie nasiliła się także antyżydowska propaganda, która była skierowana przede wszystkim przeciwko drobnemu handlowi i rzemiosłu. W agitacji przeciwko żydowskiej przedsiębiorczości prym wiodły ugrupowania skrajnie prawicowe – Stronnictwo Narodowe i faszystujący, nielegalny od 1934 roku, Obóz Narodowo-Radykalny. Do bojkotu przedsiębiorstw żydowskich wzywał też „Głos Lubelski”, ideologicznie związany z miejscowymi środowiskami narodowymi.

236 *Ibidem*, s. 78–86.

## Strajki i protesty lubelskich rzemieślników

Rzemiosło lubelskie, mimo szczególnej pozycji w strukturze gospodarczej miasta, pozostało przez całe dwudziestolecie międzywojenne słabo rozwinięte. Tak jak w przypadku całego kraju przyczyną było przede wszystkim niedoinwestowanie zakładów rzemieślniczych oraz ich niski poziom techniczny. Załedwie kilka zakładów w mieście było w pełni zmechanizowanych, niewiele z nich (głównie z branży metalowej, odzieżowej i skórzaney) dysponowało maszynami niewielkiej mocy (od 0,25 do 1,5 KM)<sup>237</sup>. Niedorozwój i zapóźnienie lubelskiego przemysłu rzemieślniczego przekładało się także na ciężkie warunki pracy. Nic dziwnego, że czeladnicy, praktykanci oraz pracownicy przedsiębiorstw rzemieślniczych próbowali walczyć o poprawę swego bytu, organizując strajki. Fale protestów pojawiały się w mieście cyklicznie, a największe ich natężenie miało miejsce w latach 1926–1929, a więc w okresie koniunktury gospodarczej, która jednak nie przekładała się na warunki pracy i płacy zatrudnionych w rzemiośle. Szczególnie gorącym miesiącem był wrzesień 1929 roku, kiedy doszło do strajku polskich i żydowskich piekarzy żądających od swoich pracodawców podwyżek, poprawy warunków zatrudnienia oraz uregulowania kwestii pracy nocnej. Jak donosiła „Ziemia Lubelska” negocjacje wsparte udziałem Inspektoratu Pracy zakończyły się fiaskiem, co spowodowało, że w trzecim dniu protestu do inicjatorów przyłączyli się wszyscy pracownicy piekarscy z Lublina, zarówno polscy jak i żydowscy, w liczbie około 250 osób. Żądano m.in. obowiązkowych konsultacji ze związkami zawodowymi przy wymówieniach i przyjmowaniu do pracy, bezwzględnego przestrzegania ośmiogodzinnego dnia pracy, podwyżek płac, likwidacji tzw. „sobotnich dubłówek” (16 godzin pracy w sobotę) i kontroli związków zawodowych nad przestrzeganiem czasu pracy, prawa do płatnych urlopów, bezpiec-

<sup>237</sup> Kierek A., *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918–1939*, op. cit., s. 68.

nych i higienicznych warunków pracy<sup>238</sup>. W wyniku protestów częściowo uwzględniono postulaty strajkujących. Pierwsze na żądania pracowników zareagowały piekarnie należące do spółdzielni Spólnota i Lubelskiej Spółdzielni Spożywców. W piekarniach pod ich zarządem podniesiono wynagrodzenia. Właściciele małych prywatnych zakładów usiłowali jak najdłużej utrzymywać płace na niskim poziomie.

W okresie międzywojennym strajki i protesty organizowali nie tylko pracownicy zatrudnieni w zakładach rzemieślniczych. Do wyjątków nie należały strajki właścicieli warsztatów. Najczęstszą formą protestu było przerywanie produkcji. W 1919 roku w ten sposób demonstrowali rzeźnicy, w latach 1924 i 1929 – właściciele piekarni, a w 1927 roku – właściciele zakładów krawieckich. Protestowano przeciwko fatalnym warunkom panującym w rzemiośle i braku wsparcia ze strony instytucji publicznych. W niektórych przypadkach władze miejskie, aby przywrócić produkcję, nie wahały się użyć wobec strajkujących środków przymusu administracyjnego<sup>239</sup>.

<sup>238</sup> *Żądania strajkujących piekarzy*, „Ziemia Lubelska”, 25.09.1929, nr 262, s. 4.

<sup>239</sup> Kierek A., *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918–1939*, op. cit., s. 70.

## Organizacje rzemieślnicze w Lublinie

Największą bolączką lubelskiego rzemiosła w okresie dwudziestolecia międzywojennego była jego słabość organizacyjna. Dotyczyło to przede wszystkim cechów, które stopniowo traciły na znaczeniu na rzecz innych form zrzeszania się. Słabości cechów upatrywano w odebraniu im na rzecz izb rzemieślniczych znacznej części kompetencji, takich jak: prawo rejestrowania umów o naukę, przeprowadzania egzaminów czeladniczych i mistrzowskich, wyłączenia ich z dziedziny gospodarczej i uzależnieniu finansów cechów tylko od dobrowolnych składek członkowskich. Cechy zostały po prostu pozbawione wszelkich atrybutów władzy. Rzemieślnik mógł się więc bez nich obejść, a wszelkie sprawy administracyjne załatwić w izbie rzemiosła<sup>240</sup>. Poza tym, jak pisze Stanisław Duda „[cechy] nie troszczyły się o rozwój produkcji, ograniczając swą działalność do zwalczania rzemieślników nie zrzeszonych w cechach oraz szkolenia uczniów”<sup>241</sup>.

Nic dziwnego, że liczba cechów i zrzeszonych w nich rzemieślników systematycznie malała. W 1930 roku w Lublinie zarejestrowanych było 39 cechów – 20 żydowskich, 18 chrześcijańskich oraz 1 o charakterze mieszanym. W 1937 roku było ich już tylko 23 – 13 chrześcijańskich, 9 żydowskich i 1 mieszany. Powodem tego regresu był przede wszystkim odpływ rzemieślników do innych form zrzeszania się, które powstawały na terenie miasta już od początku lat dwudziestych. Pierwszą taką organizacją było Okręgowe Towarzystwo Rzemieślnicze, które powstało w 1920 roku i prowadziło szeroko zakrojoną działalność na rzecz środowiska lubelskiego, m.in. pomagając rzemieślnikom w uzyskaniu kredytu państwowego (w tym celu powołano specjalny Komitet Kredytowy), czy skutecznie wnioskując o wsparcie Ministerstwa Przemysłu i Handlu na otwarcie bursy dla terminatorów rzemieślniczych. Członkowie towarzystwa zasiadali także w Radzie

240 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1936*, op. cit., s. 103.

241 S. Duda, *Rozwój rzemiosła w Lublinie w okresie międzywojennym*, op. cit., s. 47.

Miejskiej oraz instytucjach publicznych podległych Magistratowi<sup>242</sup>. Wśród lubelskich rzemieślników działało także Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Rzemieślników i Handlowców założone jeszcze w XIX wieku.

Wg danych lubelskiej izby rzemieślniczej w 1937 roku działały w mieście 3 niezależne organizacje zrzeszające rzemieślników. Wśród chrześcijan działał lubelski oddział Związku Rzemieślników Chrześcijan, z siedzibą przy Krakowskim Przedmieściu 74. Skupiał on 188 członków, a jego prezesem był A. Rybczyński. Z inicjatywy związku wprowadzono w życie kilka istotnych dla środowiska inicjatyw, jak powołanie spółdzielni rymarskiej, utworzenie bezprocentowej kasy kredytowej. Związek organizował także kursy i szkolenia dla swoich członków. W 1936 roku Związek Rzemieślników Chrześcijan w Lublinie powołał Radę Wojewódzką Rzemiosła Chrześcijańskiego, a rok później był organizatorem Wystawy Rzemieślniczej. Sekretariat związku obsługiwał nie tylko własnych członków, ale również 4 cechy. Prowadził także współpracę innymi cechami. Składka członkowska wynosiła 6 zł miesięcznie<sup>243</sup>.

Największą pod względem liczby członków organizacją była Rada Rzemieślników Żydów Miasta Lublina, którą kierował inż. H. Bekker. Rada skupiała 343 członków, a jej siedziba mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu 23. Była to nie tylko najliczniejsza, ale także najaktywniejsza organizacja skupiająca rzemieślników Żydów. Rada prowadziła sekretariat, który wspomagał członków oraz współpracujące z nią cechy żydowskie. Przy organizacji działały – świetlica, czytelnia, a w miesiącach zimowych tani bufet dla bezrobotnych rzemieślników. W lokalu rady miały też siedziby – kasa bezprocentowa i kasa spółdzielcza. Skupieni w radzie rzemieślnicy płacili miesięcznie 12 złotych składki<sup>244</sup>.

Trzecią organizacją, działającą wśród rzemiosła żydowskiego, był lubelski oddział Związku Rzemieślników Rzeczypospolitej Polskiej. Była to organizacja związana z socjalistyczną partią Bund, a jej siedziba mieściła się przy ul. Rybnej 1. Prezesem oddziału lubelskiego był Lejb Ryngiel. Związek aktywnie angażował się w obronę praw pracowniczych osób zatrudnionych w rzemiośle, udało mu się wywalczyć poprawę warunków pracy dla krawców, czapników i szewców. Związek prowadził też akcje dożywiania bezrobotnych rzemieślników i chałupników, wydając w 1937 roku 100 porcji chleba z herbatą dziennie. Rzemieślnicy, którzy należeli do tej organizacji płacili miesięcznie 24 złote składki członkowskiej<sup>245</sup>.

242 Radzki A., *Z dziejów rzemiosła lubelskich w ostatnich latach*, „Reklama”, 8 stycznia 1922, nr 2, s. 8–9.

243 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 116–123.

244 Ibidem.

245 Ibidem.

## Nauka rzemiosła

Nauka rzemiosła była organizowana, podobnie jak w skali ogólnokrajowej, w różnych formach: w zakładach rzemieślniczych, gdzie kształcono terminatorów (dorosłych i młodocianych pracowników), gdzie otrzymywali oni przede wszystkim praktyczne przygotowanie do wykonywania zawodu oraz w zawodowych szkołach dokształcających, w których uczniowie poznawali rzemiosło od strony teoretycznej. Kolejną formą nauki zawodu były rzemieślnicze szkoły zawodowe. Ważnym uzupełnieniem nauki szkolnej była edukacja dla dorosłych. Różne formy kursów kwalifikacyjnych dla dorosłych organizowały cechy i związki rzemieślnicze we współpracy z izbą rzemiosła.

Dokształcanie zawodowe było prowadzone głównie w trybie wieczorowym. Liczba uczniów utrzymywała się przez cały okres dwudziestolecia na podobnym poziomie. W roku 1925/1926 do tego typu placówek uczęszczało 657 uczniów, w 1936 było ich 722<sup>246</sup>. W 1937 roku nastąpił wzrost zainteresowania nauką w szkołach dokształcających zawodowo, a frekwencja w tym roku wyniosła 879 (736 uczniów i 143 uczennice) w 18 oddziałach, które prowadziły naukę trybem dziennym i wieczorowym. Zdecydowanie przeważali uczniowie chrześcijańscy, których było 795, podczas gdy Żydów tylko 84. Zawodami, które cieszyły się największym powodzeniem były – ślusarstwo (253 uczniów), krawiectwo (183 uczniów)<sup>247</sup>. Do szkół dokształcających uczniów posyłali zarówno majstrowie, którzy mieli z nimi zawartą umowę o naukę zawodu oraz ci, którzy takiej umowy nie mieli (tych była zdecydowana większość).

W Lublinie w latach dwudziestych i trzydziestych funkcjonowały 3 zawodowe szkoły rzemieślniczo-przemysłowe, dwie żeńskie i jedna męska. Chłopcy mogli uczyć się zawodu w Szkole Rzemieślniczo-Przemysłowej im. St. Syroczyńskiego, przy ul. Króla

246 Kierek A., *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918–1939*, op. cit., s. 69.

247 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 128.

Leszczyńskiego 11. Szkoła została założona w 1915 roku i kształciła w zawodach: ślusarskim, tokarskim, kowalskim, odlewniczym, modelarskim i elektromonterskim<sup>248</sup>. Cykl kształcenia trwał w roku 1930 3 lata, a po reformie oświaty 4 lata. Do szkoły przyjmowano młodzież w wieku od 14 do 17 lat, która ukończyła 6 klas szkoły powszechnej i pozytywnie zdała egzamin wstępny z j. polskiego, arytmetyki z geometrią, geografii i rysunku. Wpisowe w 1937 roku wynosiło 20 złotych, a czesne 200 złotych rocznie<sup>249</sup>.

Dziewczęta mogły kształcić się w dwóch szkołach na terenie Lublina. Pierwszą była Państwowa Szkoła Przemysłowo-Handlowa Żeńska, z siedzibą przy ul. Spokojnej 10. Założona w 1918 roku szkoła kształciła w następujących zawodach: krawiectwo, introligatorstwo, bielizniarstwo, handel, w których nauka trwała 3 lata oraz ogrodnictwo, gdzie nauka zorganizowana była w formie rocznego kursu. Do szkoły przyjmowano dziewczęta w wieku 14–17 lat, które ukończyły 7 klas szkoły powszechnej lub 4 klasy gimnazjum. Do roku 1930 szkołę ukończyły 293 uczennice. W późniejszych latach szkołę przekształcono w Państwowe Żeńskie Gimnazjum Krawieckie. Przyjmowano do niego dziewczęta w wieku 13–17 lat. W roku 1937 naukę pobierało w niej 125 uczennic. Opłaty szkolne w roku 1937 kształtowały się następująco: jednorazowe wpisowe – 10 złotych, roczne czesne – 170 złotych. Przy szkole działał internat, w którym opłata za całkowite utrzymanie wynosiła 35 zł miesięcznie<sup>250</sup>.

Drugą żeńską placówką szkolnictwa zawodowego była prywatna Żeńska Szkoła Gospodarczo-Zawodowa im. św. Kazimierza (w latach późniejszych Prywatna Szkoła Krawiecka im. św. Kazimierza) przy ul. Chmielnej 1. Założona w 1925 roku kształciła w zawodach: krawieckim oraz bielizniarstwie z nauką gotowania. W roku 1930 nauka w tej placówce trwała 3 lata. Przyjmowano dziewczęta w wieku 14–17 lat, absolwentki 5 klas szkoły powszechnej. W roku szkolnym 1929/30 uczęszczało do niej 91 uczennic, w roku kolejnym – 54<sup>251</sup>. W 1937 roku warunkiem przyjęcia do szkoły było ukończenie co najmniej 13 lat i nieprzekroczenie 17 roku życia i ukończenie 4 klas szkoły powszechnej. Wpisowe do szkoły za rok 1937 wynosiło 10 złotych, a roczne czesne 150 złotych. Szkoła dysponowała internatem, w którym pełne, miesięczne utrzymanie kosztowało 30 złotych<sup>252</sup>.

Wśród kursów zawodowych można było wyróżnić dwie formy: stałe o rocznym cyklu kształcenia i krótkoterminowe (trwające od kilku dni do kilku miesięcy, zwykle

248 Stan w roku 1930. Patrz: *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, op. cit., s. 54.

249 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., ss. 131.

250 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, op. cit., s. 55 i *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 132–133.

251 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, op. cit., s. 56.

252 *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 133.

jednak od 3 miesięcy do roku). W 1930 roku w Lublinie zorganizowano 5 różnego rodzaju kursów zawodowych z zakresu kroju, szycia i gospodarstwa domowego<sup>253</sup>. Przed rokiem 1930 powstały następujące kursy: Kroju i Szycia K. Dobrowolskiej, Kroju i Szycia Z. Twardowskiej, Kursy Kroju i Szycia St. Sawickiej oraz Kursy Czapnicze Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Wśród kursów krótkoterminowych przeznaczonych dla samoistnych rzemieślników w roku 1930 w Lublinie odbyły się dwa – pięcioletni kurs dla krawców zorganizowany przez żydowskie towarzystwo ORT<sup>254</sup> i pięciodniowy kurs dla blacharzy zainicjowany przez Zarząd Wystawy Ruchomej, w którym wzięło udział 67 blacharzy<sup>255</sup>. W roku 1937 kontynuowały działalność Kursy Kroju i Szycia K. Dobrowolskiej i Z. Twardowskiej. W tej samej dziedzinie kształciła E. Deczko, na której kursie naukę pobierały 23 uczennice. Związek Rzemieślników Chrześcijan w Lublinie zorganizował czteromiesięczny kurs z zakresu doksztalającej szkoły zawodowej i był przeznaczony dla kandydatów do egzaminu czeladniczego. Kurs cieszył się dużym powodzeniem. Zapisano się nań 150 osób, z których 121 uczestniczyło. Kształcili się oni w 4 oddziałach – dwóch metalowych i dwóch mieszanych. Koszty pokrywane były z opłat uczestników w wysokości 40 zł, przy czym 20 kursantów korzystało ze zniżek (nawet do 75%). Powodzenie tego kursu zachęciło Związek Rzemieślników Chrześcijan do zorganizowania na przełomie roku 1937 i 1938 drugiego turnusu, w którym wzięło udział 154 uczestników. Szkoła Budowlana w Lublinie w latach 1937/1938 zorganizowała przy współpracy z Wojewódzkim Biurem Funduszu Pracy w Lublinie dwa sześciomiesięczne kursy brukarskie. Obejmowały one praktyczne i teoretyczne doksztalanie słuchaczy. Wzięło w nich łącznie udział 113 osób. Wśród rzemieślników żydowskich popularnością cieszyły się kursy organizowane przez lubelski oddział towarzystwa ORT. W roku 1937 były to żeński kurs krawiectwa ze specjalnością konfekcja dziecięca. Uczestniczyło w nim 53 słuchaczki, z czego 40 ukończyło kurs z wynikiem pozytywnym. W roku szkolnym 1937/1938 towarzystwo prowadziło dwa kursy – konfekcji dziecięcej (33 słuchaczki) i konfekcji damskiej (23 słuchaczki). Wszystkie one miały roczny cykl kształcenia, a miesięczna opłata z naukę wynosiła od 5 do 10 złotych, jednak ze względu na trudną sytuację materialną większości uczestniczek towarzystwo w części refundowało im opłaty<sup>256</sup>.

<sup>253</sup> *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1930*, op. cit., s. 38.

<sup>254</sup> Organizacja Rozwoju Twórczości Przemysłowej Rzemieślniczej i Rolniczej wśród Ludności Żydowskiej w Polsce.

<sup>255</sup> *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, op. cit., s. 56–57

<sup>256</sup> *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, op. cit., s. 134–137.

## Rzemieślnicze apostołowanie



Toć ma list od urodzaju, lebryf i rekomendacją,  
Syn mistrza, a ociec ma pono dom w Lublinie...<sup>257</sup>

Rzemiosło to dziedzina arcyciekawa i wręcz zjawiskowa. Zjawiskowa? Trudno to sobie wyobrazić, ale tak! Zjawiskowa, bowiem obrzędowość związana z relacją mistrz – towarzysz/uczeń lub samego przyjmowania do cechu ma w sobie coś baśniowego. Kilkusetletnie rytuały może nie do końca przetrwały do naszych czasów, my, współcześni aż do granic, patrzymy chwilami na tradycje z przymrużeniem oka, ale gdyby nie owa obrzędowość, zachowawczość, cechy nie byłyby w stanie trwać tak długo na przekór wszystkiemu. Polskie rzemiosło swoimi korzeniami sięga daleko w głąb prehistorii, do epoki sprzed panowania Piastów, o czym świadczą dowody archeologiczne, a ziemia nie kłamie. Od XIII stulecia stawało się ono podstawowym zajęciem mieszkańców miast, ulegając coraz większej specjalizacji. Kiedy w Polsce zaczęto adaptować na własny użytek prawo niemieckie przy lokacji miast, rzemiosło wyznaczało trendy społeczne i gospodarcze, stanowiąc swoiste uniwersum, które genialnie wpisywało się w założenia średniowiecza jako epoki. W okresie wieków średnich w większości państw europejskich panował podobny model społeczny i kulturowy. Ludzie zamieszkujący Stary Kontynent wyznawali te same ideały, te same przekonania i, co ciekawe, te same przesady. Każdy z krajów funkcjonował w oparciu o ustrój feudalny, jaki dokonał ścisłego podziału na określone i dość szczelne stany społeczne. Ale wszystkich łączyła jedna i ta sama wiara – chrześcijaństwo, i jedna, i ta sama filozofia, na straży których stał niewzruszenie Kościół. Religii podporządkowano w zasadzie wszelakie dziedziny życia człowieka nie tylko jako jednostki, lecz i jako trybiku w dość sprawnie działającym mechanizmie. Kościół był strażnikiem wiary, a zarazem instytucją niosącą kaganek oświaty, tej wysokiej oczywiście, jaką były uniwersytety. Niższą, zawodową, z powodzeniem zajmowało się rzemiosło

<sup>257</sup> Bąkowski K., *Opowieści imci Pana Dymka żaka i pisarza cechowego spisał Klemens Bąkowski*, nakładem autora, Kraków 1908, s. 23.

(co zresztą z dobrym skutkiem czyni do dziś), uświęcając ten proces, gdzie się da i jak się da, zgodnie z przykazami ówczynie panującej ideologii.

Życie kulturalne kwitło w klasztorach, ale to nie oznacza, że rzemiosło nie stworzyło swojego alternatywnego niekiedy modelu, który tak bardzo ubogacał rodzące się miasta i ich potęgę. Hierarchiczny porządek społeczny uważano za kanon zgodny z wolą Bożą. Owszem, twierdzi się, że spośród wszystkich stanów największą rolę odegrało rycerstwo i duchowieństwo, a za symbole średniowiecza uważa się miecz i krzyż, ale ktoś ten krzyż i miecz musiał wykonać...

Mało wiemy, oprócz tego, że istniało, o rzemiośle przedlokacyjnym, o jego organizacji. Rozwijało się za czasów piastowskich, ale nieraz i do XVI wieku, jak w przypadku naszego uroczego miasta, funkcjonowało bez trwałych instytucji, czyli bez cechów. Wzorce organizacji cechowych zaszczerpione zostały z krajów Europy Zachodniej i były zjawiskiem w Polsce dość późnym. W miastach włoskich gildie istniały już w X wieku, na przykład cech rybaków w Rawennie, o którym mowa w dokumentach już w 943 roku, a o kontuberniach hamburskich pisano w roku Pańskim 1152. Zrzeszonych w nich rzemieślników łączyła nie tylko więź gospodarcza, ale i oświatowa. Tak. Jedną z najważniejszych funkcji cechu było przygotowanie zawodowe młodzieży. Realizacja tej misji pedagogicznej i ogromna odpowiedzialność spoczywała na mistrzu, rzadziej na czeladzi. Uczeń w cechowej hierarchii zajmował najniższe z możliwych miejsc<sup>258</sup>. Był dopiero kandydatem na członka cechu, toteż długa przed nim była droga, zanim wyuczył się zawodu i przygotował do jego samodzielnego wykonywania. Praca wraz z nauką zajmowała chłopcu cały *termin*. Przekroczenie progu warsztatu było inicjacją, wówczas wchodził w hermetyczny i tajemny krąg braci cechowej. Był to jednostronny akt poddania i oddania się twardym regułom, a podczas całego procesu dziecko miało szansę chłonąć i przeżywać specyficzną atmosferę, jaka kształtowała cały jego dorosły światopogląd. Cech oddziaływał na uczniów nie tylko w ujęciu dydaktycznym, ale i wychowawczym, bowiem jego zadaniem było przygotowanie ucznia do wykonywania zawodu, lecz również do bycia prawym obywatelem miasta, godnym miana rzemieślnika. Stąd też te kilka lat *terminu* sielanką nie było i różami usłane też nie, chyba że skupimy się na kolcach.

258 Ereciński T., *Prawo przemysłowe miasta Poznania w XVIII wieku*, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań 1934, s. 117.

## ***Disce puer rzemiosło, ego faciam te mości panie***

Uczeń – *uczeńnik*, chłopiec, *discipulus, iuvenis, tyro*, niekiedy *famulus, Lehrjunge, Lehrknaber, Jüngling*<sup>259</sup> – musiał się kształcić u odpowiedniego mistrza, bo nie każdy majster mógł sobie, ot tak, wziąć chłopca do *terminu*. Przede wszystkim majster był zobowiązany należeć do cechu. Gdyby młodzieniec, nie daj Boże!, trafił do takiego *szturara*, byłby to czas stracony, gdyż w momencie, kiedy chciałby zostać towarzyszem, to musiałby trud nauki podjąć od nowa. Wynikało to nie tylko z istnienia samego *przymusu cechowego* (obowiązku zrzeszania się), ale również z tego, że partacze byli po prostu niedouczonymi towarzyszami (lub też wyrzuconymi z bractwa mistrzami) i „partolili” robotę, nie dając gwarancji, że potrafią porządnie młodego człowieka nauczyć, skoro sami biegli do końca w zawodzie nie byli. Ale nawet nie wszyscy mistrzowie cechowi mogli dostąpić zaszczytu brania uczniów w naukę. Nauczycielem i przewodnikiem po arkanach danego fachu mógł być jedynie doświadczony majster, mogący unieść na swoich barkach trud nauczania. Nie tylko obligatoryjnie musiał być członkiem cechu, ale i posiadać warsztat, czyli miał obowiązek spełniać materialne przesłanki, a nierzadko wymagano od niego odpowiedniego stażu w rzemiośle jako mistrza. Niektóre cechy nastawały też, aby mistrz dopiero po roku (czasem nawet po trzech lub czterech!) od uzyskania mistrzostwa mógł podjąć się wyzwania wyszkolenia kolejnych pokoleń rzemieślników. Od czasu do czasu warunkiem koniecznym było posiadanie własnej posiadłości miejskiej, własnej rodziny i własnego domu. Mistrz uczący winien cechować się nieposzlakowaną opinią i prezentować sobą taką postawę moralną, która pozwalałaby na mówienie o nim, że jest porządny, uczciwy i uzasadniałaby przyjmowanie *uczenników*.

259 Pazdro Z., *Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich od drugiej połowy wieku XIV do połowy wieku XVII*, Drukarnia Wł. Łozińskiego, Lwów 1900, s. 4.

Zdolność przyjmowania uczniów przez majstra potwierdzał formalnie cech, któremu mistrz – nauczyciel zgłaszał przyjęcie chłopca<sup>260</sup>.

Do *terminu* nie wolno było przyjmować wdowom, które nadal po śmierci męża prowadziły jego warsztat. Od tej zasady istniał wyjątek, a mianowicie jeśli chłopiec rozpoczął naukę jeszcze za życia mistrza, wówczas pozostałą część mógł realizować u wdowy. Jej obowiązkiem było jednak trzymać towarzysza, aby ten mógł dalej wprowadzać *discipulusa* w zawilości zawodu. W przypadku, kiedy to biedna białogłowa rezygnowała z kontynuowania dzieła zmarłego małżonka bądź z różnych przyczyn nie chciała ucznia u siebie, władze cechowe wyznaczały mu odpowiednią pracownię, gdzie mógł swobodnie dalej się uczyć. Te same procedury stosowano, jeśli mistrz postanowił zwinąć swój interes. Zazwyczaj kandydat na ucznia miał prawo wyboru majstra. Sporadycznie starszyzna wyznaczała nauczyciela, kierując się zasadą starszeństwa. Pierwszeństwo mieli mistrzowie starsi, z dłuższym stażem i bardziej doświadczeni, dopiero po nich brano pod uwagę mistrzów młodszych. Młodzieniaszek, który zgłaszał się na naukę, miał w pierwszej kolejności przedstawić *świadectwo prawego pochodzenia*. Wymóg *prawego pochodzenia* został usankcjonowany w statutach cechowych mniej więcej w połowie XVI wieku. Zwyczaj ten jednakże istniał już daleko wcześniej, a dotyczył też wędrownych towarzyszy, którzy starali się o zdobycie mistrzostwa. Prawego pochodzenia można było dowodzić poprzez okazanie tzw. *listu urodzenia* (*listu urodzaju – litterae genealogiae, legitimi ortus, litterae testimoniales*)<sup>261</sup>. Alternatywę stanowiła ustna przysięga dwóch mężów poważanych i uczciwych. *Żadnego p.p. racje moderni et pro tempore existenses czasy wiecznemi ad iura civitatis przyjmować nie mają, który wprzód nie miał listów od urodzaju albo dwóch ludzi dobrze osiadłych rękojmów za dobre urodzenie, po tym jakiegokolwiek podług możliwości i kondycji swojej posesji na miesckim gruncie do jurysdykcji miejskiej należącym, albo przynajmniej cechu przeprawnionego*<sup>262</sup>. Jedynie syn majstra dowodu urodzenia składać nie musiał. *Zacnie urodzonym był chłopak, pochodzący ze ślubnego związku rodziców, nie splamionych nieczystem w ówczesnym pojęciu zajęciem. Do nieczystych zaliczono posługaczy miejskich i sądowych, stróżów nośnych, umiataczy, owczarzy, młynarzy, cyrulików, czyścicieli miejskich (hicłów) i katów*<sup>263</sup>. Na tym wcale nie kończyły się wymogi braci cechowej co do kandydatów na ucznia. Chłopek musiał jeszcze okazać świadc-

260 Kiryk F., *Cechowe rzemiosło metalowe. Zarys dziejów do 1939 roku*, Biuro Wydawnictw KDW, Cech Rzemiosł Metalowych, Warszawa–Kraków 1972, s. 82.

261 Pazdro Z., op. cit., s. 6.

262 Trojanowska M., *Dokument miejski lubelski od XIV do XVIII wieku. Studium dyplomatyczne*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1977, s. 13.

263 Herbst S., *Toruńskie cechy rzemieślnicze. Zarys dziejów*, Cechy Toruńskie, Toruń 1933, s. 17.

two moralności – *bona fama*, czyli wykazać się przystojnym i godnym zachowaniem przed dopuszczeniem do nauki rzemieślniczej, co oznaczało, że trzeba było być nie tylko grzecznym, ale i cnotliwym.

Bardzo często upominano się również o poręczenia, gwarantujące, że chłopiec nie rozpoczął *terminu* w żadnym innym cechu danego miasta. Poręczenia dawały też rękojmię, że dzieciak nauki nie porzuci i warunki umowy będą dotrzymane, tym samym mistrz finansowo w żaden sposób nie straci.

*Discipulus* winien być katolikiem. Miało to szczególne znaczenie w momencie, kiedy na ziemiach polskich zaczęła się szerzyć reformacja, aczkolwiek z biegiem czasu również innowiercy mogli rozpocząć swoją ścieżkę kariery zawodowej u rzemieślnika zrzeszonego w cechu. Bezwzględnie za to wykluczano z rzemiosła starozakonnych. Za przyjęcie do *terminu* dziecka pochodzenia żydowskiego groziły surowe kary, włącznie z wykluczeniem z bractwa, co w praktyce równało się utracie statusu rzemieślnika. Potwierdzenie spełnienia powyższych wymagań składało się najpóźniej do momentu wpisu delikwenta do ksiąg cechowych. Jedynie w drodze wyjątku dopuszczano do zwłoki, o ile wcześniej mistrz udzielił poręki.

Brzydkich nie brano do *terminu*. Każdy chłopiec miał być piękny, bez skazy, acz rzadko tego typu zapisy pojawiały się w oficjalnych dokumentach cechowych (wyjątkiem jest na przykład zapis w ordynacji toruńskiego cechu pasamoników). Nie przyjmowano młodzieńców z wadami – ułomnych, kulawych, ze zniekształconymi rysami twarzy. Konieczne trzeba było posiadać odpowiednie predyspozycje fizyczne, gdyż praca w rzemiosle nie należała do łatwych i lekkich. W zasadzie nie określano ściśle granicy wieku, ale zwykle młodzież szła do nauki, mając 10–15 lat. Wcale to nie oznacza, że do *terminu* nie zapisywano młodszych lub starszych. Dopiero z czasem sprecyzowano, że uczeń musiał mieć ukończone 14 lat. Dzieciak mógł być obywatelem miejskim i mógł również pochodzić z wsi. W tym drugim przypadku winien przedłożyć jeno *list wyzwolenia*, czyli *libertacji*. Dokument ten mógł być sygnowany wyłącznie przez pana feudalnego wioski, z której *famulus* pochodził. Prawdopodobnie usus ten wziął się stąd, że nader często, a w zasadzie aż za często, chłopski syn oddalał się z rodzinnego sioła samowolnie, bez wiedzy, a tym bardziej zgody, właściciela włości. Pojawiły się nawet przepisy, że za ledwie jeden chłopiec z danej wioski mógł iść do miasta na naukę.

Przydatność oraz predyspozycje sprawdzano w okresie tak zwanej *próby*. Jeśli rezultat wypadł zadowalająco, wówczas przyszły opiekun zawierał z rodzicami chłopaczka umowę i rejestrował swój narybek w cechu. Podczas owej *próby*, która rutynowo trwała

dwa tygodnie (aczkolwiek zdarzało się, że z tych dwóch tygodni robiło się i dwanaście...) każda ze stron mogła się wycofać bez żadnych konsekwencji. Przede wszystkim kandydat, oszołomiony nowymi warunkami i nową zupełnie rzeczywistością, miał szansę przekonać się, czy naprawdę podoba mu się to rzemiosło i da radę wytrwać w warsztacie. Chłopak uczył się podczas *próby* bez żadnych zobowiązań finansowych. Przyjmujący mistrz w trakcie tego okresu bacznie obserwował *tyro in spe*, sprawdzając, czy претендент do miana ucznia podoła. *Próby* przedłużano ewentualnie na prośbę mistrza, czemu sprzeciwiały się władze cechowe, gdyż był to, nie ukrywajmy, czysty wyzysk i praca w sumie niewolnicza, bez zarobku. Taki pracownik, co ważne, nie podlegał opiece cechu.

Jak strony przypadły sobie do gustu, wówczas następowało właściwe *jednanie* (*ujednanie ucznia*). Mistrz obowiązkowi wpisu ucznia do rejestrów musiał zadośćuczynić bez zbędnej zwłoki. W przypadku, gdy zbyt długo się ociągał, groziły mu dość dotkliwe środki represyjne. Mianowicie towarzysze nie mieli wyjścia i taki warsztat, gdzie pracował *niejednany*, z mety opuścić musieli. Działo się to w interesie ucznia, *żeby chłopcu czas nie zginął, a starsi nie mają czasu przyznawać żadnemu chłopcu, tylko od tego czasu, jako bytności ich będzie ujednany*<sup>264</sup>. Do aktu wpisu strony umowy musiały stawić się osobiście. Liturgia ta doniosła odbywała się uroczystie, przed starszyzną cechową, zwykle w obecności dwóch mistrzów, w tym cechmistrza. Starszy pytał chłopca o imię, czy był na *próbie*, czy wybrane rzemiosło mu odpowiada. Starsi badali też, czy *iuvenis* spełnia wszystkie określone prawem wymogi. Do kasy rodzice bądź opiekunowie chłopca składali opłatę określaną mianem *wstępnego*, *pamiętnego*, *wpisanego* lub *jednanego*. W drodze wyjątku to mistrz uiszcział *wstępne*. Jeśli zdarzyło się, że rodzice nie mieli pieniędzy, to mogli dokonać zapłaty później, ale taki zabieg wymagał cyrografu od szkolącego. Wysokość *pamiętnego* kształtowała się różnie, a z biegiem czasu drastycznie wzrosła z 4 groszy do 6 złotych polskich, co, oczywiście, było prawie skandalicznie wysokie. Niektóre źródła podają, że część *wpisanego* łądowała w sakiewce majstra. Podczas *jednania* porozumiewano się co do okresu trwania nauki, o ile strony miały na to wpływ. Co bywało zresztą rzadko.

Na ogół nauka była płatna, ponieważ to na mistrzu spoczywał obowiązek utrzymania *famulusa*. Jak ojciec żywił on i ubierał młokosa, często-gęsto pokrywając koszt popsutego przez *uczennika* materiału. Wysokość tej kwoty raczej ustalano indywidualnie, statuty nie regulowały tego typu transakcji. Dzieci z biedniejszych rodzin przyjmowane były *na wysługę*. Wtedy nie pobierano opłaty, ale taki uczeń zobowiązany był nie tylko do wykonywania szeregu prac w warsztacie, lecz i do różnorodnych posług osobistych. Jeśli

264 Pazdro Z., op. cit., s. 8.

ktoś decydował się na powyższą formę nauki, miał świadomość, że będzie ona trwać dłużej, niż w przypadku ucznia opłacającego termin<sup>265</sup>. Niektóre kontubernie stanowiły, że uczeń będzie mógł otrzymywać od mistrza wynagrodzenie. Działo się to wówczas, gdy patron *uczennika* nie był obowiązany do zapewnienia *terminatorowi* mieszkania, wikt i opierunku, ale z czasem stało się to normą, że uczeń będzie robić u majstra za pieniądze: *uczeń będzie miał u mistrza na potrzeby swoje pierwszego roku grosz trzeci od sternów, ogonów, rogów, drugiego i trzeciego roku (...) połowicę pieniędzy weźmie i skórę jedną*<sup>266</sup>.

Na dobitkę, podczas *jednania*, chłopiec (czyli jego rodziciele) wnosili też niewielkie sumy na wosk na świece do kościoła oraz dla pisarza, który przecież wszystko do ksiąg wpisać musiał. Zwykle opłaty wszelakiego rodzaju, jakie ponoszono w chwili wpisu do rejestru uczniów, były wyższe dla młodzieńców spoza danego miasta. Ulgi w opłatach należały się jedynie potomkom płci męskiej majstrów miejskich cechów. Bywało, że uroczystość przyjęcia na naukę łączono z uczcą, którą uczeń miał wyprawić mistrzom, oczywiście na swój koszt. Cechmistrze pouczali chłopca o jego obowiązkach i prawach, a brzmiało to tak: *Naprzód pytam cię, jakoć imię, a ktem jeśliś był na próbie u pana twego, do tego jeśli masz chęć i wolę na to rzemiosło, jeśli cię podoba, teraz powiedz, potem się szkoda rozmyślać. Ponieważ widzę, że chce być z ciebie dobry człowiek, tedyć przepowiem, jakoć się masz zachować. Naprzód abys się Pana Boga bał, pana i paniej twojej słuchał, bez ich woli z domu nie wychodził, powołania twego pilen był a co najprzedniejsza, abys wiernym i życzliwym był panu swemu i gdziebyś widział w domu, tak po czeladzi, jako i po kim innym, coby pana twego szkodzili, tak w kramie, jako i w domu, tedyś to powinien opowiedzieć panu swemu na stronie, a gdziebyś tego nie uczynił tedy sam w tem zostaniesz winien. Ktemu w niedzielę abys się pilno ibował, gdyż to tobie być ma. Przytem masz też to wiedzieć, że każdy sługa albo chłopiec za występki karany być musi obyczajnie (ile młodzi), to jest prętem albo biczem. A przetoż gdzieby ten pan twój jako srogo i nieobyczajnie chciał się z tobą obchodzić, żeby cię bić miał, tak żeby na zdrowiu szkodzić miało, tedy powinien[eś] przyjść do panów starszych i to im powiedzieć, a oni będą wiedzieć jako sobie z panem twoim postępować, o krzywdę twoją mówiąc. Przetoż strzeż tego pilnie, abys nie uciekał, ale czas swój cnotliwie wytrwał, bo gdziebyś swą wolą odszedł, przyczyny panom starszym nieopowiedziawszy, byś się też miał i tydzień jeno douczać, tedy twój wszystek*

265 *Prawa, Przywileje i Statuta Miasta Krakowa 1507–1795*, wyd. Franciszek Piekosiński i Stanisław Krzyżanowski, Kraków 1885, t. I nr 658 r. 1578 art. 18, cech rzeźników.

266 *Ibidem*, Kraków 1892–1909, nr 1600 r. 1623 art. 41.

czas tracisz. A gdzieby też Pan Bóg pana twego przez śmierć z tego świata powołać raczył, tedy powinieś się u pani twej douczać, a gdzieby ona rzemiosła robić nie chciała, tedy powinieś przyjść do panów starszych i powiedzieć im to, a oni cię powinni innym panem opatrzeć. Obiecujeszże temu dosyć uczynić – mów obiecuję – tak ci Panie Boże pomóż w Trójcy jedyny. Dajże nam na to rękę, a od zapisu masz zaraz 2 złote położyć i 1 i ½ garca wina<sup>267</sup>.

Trzeba pamiętać, że mistrz cechowy również podlegał wielorakim przykazaniom, chociażby nie mógł przyjmować dowolnej liczby *terminatorów*. Tę wysoce ważką kwestię regulowały wprost statuty, których zapisom przyświecała idea utrzymania równowagi w produkcji w obrębie danej społeczności miejskiej. Przeważająca część bractw zezwalała na przyuczanie dwóch *uczenników* w jednym zakładzie. Dopiero po ukończeniu nauki przez jednego z nich, tuż przed *wyzwolinami*, nabywał mistrz prawa do przyjęcia kolejnego *terminatora*. Owszem, zdarzało się, że w niektórych kontuberniach zaledwie jeden uczeń był zatrudniony na okres nauki w warsztacie, a bywały i takie cechy, które zezwalały na posiadanie i czterech uczniów, ale mniej więcej od XVII stulecia stanęło na trzech i ta równowaga utrzymana jest do dziś. W lubelskim cechu krawieckim każdy z mistrzów miał prawo trzymać w swoim warsztacie najwyżej trzech czeladników i jednego ucznia. Na mocy przywileju z 1703 roku w wyjątkowych, naprawdę wyjątkowo wyjątkowych przypadkach, dopuszczano do łamania tej zasady, a mianowicie jeśli z powodu *inkursji nieprzyjacielskiej, albo dla zjazdów publicznych po inszych miastach, brak było dostatecznej ilości czeladników w Lublinie, to przywilej ten przy rozdzielaniu czeladników pomiędzy mistrzów pierwszeństwo dawał tak zwanym starszym braciom, a tak zwani młodszy bracia mogli dostać tylko po jednym czeladniku, o ile dana ilość czeladników pozostawała jeszcze do dyspozycji po przydzieleniu czeladników tak zwanym starszym braciom*<sup>268</sup>. Zasada trzymania odpowiedniej liczby uczniów i czeladzi wynikała wprost z systemu prohibcyjnego. W Lublinie jasno określono, jakie kary mogą spotkać mistrzów wyłamujących się spod prawa: *żaden z majstrów nie miał prawa trzymać u siebie więcej uczniów i czeladników ponad ustaloną i obowiązującą wszystkich majstrów normę, niestosowanie się do tego postanowienia było karalnym i tak np. p. 36 przywileju z r. 1616 za niezgłoszenie w cechu przez majstra przyjęcia ucznia przewiduje grzywnę nawet bardzo wysoką, jak na owe czasy, bo wynoszącą 24 grosze*<sup>269</sup>.

267 Archiwum Państwowe w Krakowie (AP Kraków), Akta Depozytowe (AD) sygn. 948 Zbiór przepisów o zagejaniu zebrań cechu złotników, r. 1606.

268 Kamiński J., *Z przeszłości cechu krawieckiego...*, op. cit., s. 13.

269 Kamiński J., *Z przeszłości cechu bednarzy, stolarzy, stelmachów, kołodziejów, sitników i powroźników w Lublinie*, w: *Pamiętnik trzydziestolecia pracy naukowej prof. dr. Przemysława Dąbkowskiego wydany staraniem Kółka Historyczno-Prawnego Słuchaczy Uniwersytetu Jana Kazimierza 1897–1927*, Lwów 1927, s. 99–100.

Długość nauki była zróżnicowana. Zależała od poziomu „kunsztowności”, wyrafowania, mechanizmu złożoności danej kategorii rzemiosła, niektórych bowiem zawodów można się było wyuczyć zdecydowanie szybciej. Tak naprawdę, ten czas zależał od polityki cechu, co znajdowało swoje odzwierciedlenie w zapisach ordynacji. Niektóre bractwa dążyły do ograniczenia napływu siły roboczej, pozostałe – postępowały wręcz odwrotnie i starały się zachęcić potencjalnych *iuvenisów* do nauki. Zwykle *termin* trwał trzy lub cztery lata, lecz w niektórych cechach (piwowarskich albo rzeźniczych) okres ten skrócono zaledwie do jednego roku. Z kolei pasamonicy ustalili sobie rekordowy czas siedmiu lat, w ślad za nimi poszli hafciarze – na szczęście ograniczając się do raptem pięciu. Każdy z tych *terminów* stanowił bezwzględne minimum. Rzadko i niechętnie *termin* skracano. I jeszcze należało za to zapłacić *okup*. W krakowskim cechu kurdybanników mistrz miał możliwość wyzwolenia ucznia wcześniej, o ile wpłacił do brackiej kasy 10 grzywien. Przemysłność tego przepisu polegała jednak na tym, że w miejsce takiego przedwcześnie wyzwolonego chłopaka nie można było przyjąć nikogo w zamian, o ile nie upłynęły przepisane statutem cztery lata od momentu rozpoczęcia *terminu* do chwili *wyzwolin*, zatem i tak źle, i tak niedobrze. W Lublinie bywało tak: *żaden mistrz rzemiosła naszego ciesielskiego niema mieć więcej jedne dwie robocie, trzeci dorabiając pod winą pułkamentu wosku; także też żaden mistrz niema uczyć jedno jednego ucznia do trzech lat tym sposobem, gdy ucznia przyjmie pierwszego, który uczeń gdy się przeuczy pierwszy rok, żeby każdemu mistrzowi wolno było na drugi rok drugiego ucznia przyjąć, a trzeciego roku 3-go, gdy się pierwszy ma douczać, a to dlatego, żeby czeladzi zawsze dostatek było tak dla roboty króla jmci, jako i rzemieślników*<sup>270</sup>.

Niektóre cechy wręcz zastrzegały sobie, że żadnego *okupu* wnosić nie można i skracać nauki tudzież. Rzemieślnicy jak nie lubili skracać okresu nauki, tak samo nie darzyli sympatią jego przedłużania. Dbali cechmistrze o to, by majster nie kombinował i niepotrzebnie *terminu* nie wydłużał, chyba że powyższe zastrzeżone było w umowie *jednania*. W zasadzie wyłącznymi okolicznościami usprawiedliwiającymi wydłużenie pracy i odwołanie momentu *wyzwolin* były zbyt młody wiek chłopaczka bądź niedostateczne umiejętności, jeśli chodzi o rzemieślnicze kompetencje. W obu przypadkach nie można było nauki wydłużyć bardziej niż o rok.

Gdy umowa została wreszcie podpisana, a wszystkim ceremoniałom stało się zadość, uczeń stawał się członkiem rodziny mistrza i pozostawał od niego całkowicie zależny. Za

270 1619.26 VI. *Ordinatio fraternitatis contubernii fabrorum lignariorum seu carpentariorum Lublinsium*, w: Riabinin J. (oprac.), *Lauda miejskie lubelskie XVII wieku*, Magistrat Miasta Lublina, Lublin 1934, s. 32.



żadne skarby nie mógł zmienić sobie miejsca pracy bez uprzedniego zezwolenia. Gdyby natomiast postanowił, nie daj Boże, oddalić się w bliżej nieznanym kierunku, czyli po prostu zwać od roboty, a do tego karku nie ugiął i nie wrócił w przepisanej godzinie, wówczas już nie przysługiwało mu poszukiwanie straconego czasu. Czas nauki na zawsze został utracony. Zwykle cechy dopuszczaly, że delikwent może się zapomnieć i bywa, że ucieka, ot, młody i durny, zatem zastrzegały sobie, że biedakowi na ucieczkę można dać od dwóch do sześciu tygodni. Jak wracał *tyro* skruszony i winę chciał zadośćuczynić, wówczas biedaczyna musiał o pół roku dłużej pracować, niż wynikało to faktycznie z umowy. Ale i wśród rzemieślników zdarzali się liberałowie – cech tkaczy w Krakowie przystawał na samowolne opuszczenie warsztatu nawet na dwa miesiące, a nawet arcyliberałowie (ślusarze) – *uczennik* mógł bimbać przez sześć miesięcy i jeszcze, o cudzie boski!, żadnych konsekwencji z tego tytułu nie ponosił.

Zazwyczaj umowy pomiędzy mistrzem a uczniem zastrzegały, aby na wypadek przerwania *terminu* mistrz mógł odzyskać zwrot poniesionych na niewdzięcznika kosztów. Zabraniano również przyjmowania takiego delikwenta przez innego majstra. Podstawową karą była *trybówka*. Rozsyłano do odpowiednich bratnich cechów listy powiadamiające, że zbieg umowy nie dotrzymał i bez wiedzy mistrza poszedł w siną dal. Konsekwencją było to, że nigdzie już na naukę nie mógł być przyjęty do tego samego rzemiosła. Surowe sankcje groziły też za przyjęcie do terminu *trybowanego ucznia*: *gdyby mistrz przechowywał ucznia, który uciekł, karany jest kamieniem wosku, a uczeń więzieniem*<sup>271</sup>. Biedaczysko takie miało tylko jedną legalną drogę, aby winy swoje odkupić. Jeśli wrócił do prawowitego pracodawcy, majster miał prawo rachować sobie czas pobytu chłopca w zakładzie od nowa. W praktyce takie przypadki były sporadyczne. Zazwyczaj, jak huncwot zwał, nie miał co liczyć na miękkie serce i pobłażliwość mistrza. Powrót do majstra równał się nie tylko z karą, ale i pogorszeniem warunków, a to przecież zwykle te dotychczasowe okoliczności ciężkiej pracy były powodem ucieczki. Zatem jak *famulus* do czasu wyzwolin nie wytrwał w warsztacie, rzemiosło, w jakim rozpoczął naukę, stawało się dla niego zamknięte na amen. Czas *poprzednio na nauce przepędzony, zupełnie się nie liczył: tracił czas, należało go jak z nowa przyjmować i rzemiosła uczyć, jeśliby jeszcze był do tego go-dzien, i to nawet wtedy, jeśli poprzednio był już bliskim wyzwolenia, choćby mu tylko dnia i nocy jednej brakowało*<sup>272</sup>.

271 *Prawa, Przywileje...*, op. cit., t. I nr 567 r. 1567 art. 38, cech mydlarzy.

272 Pazdro Z., op. cit., s. 14.

Bywało, acz bardzo, bardzo rzadko, że krótsze nieobecności spowodowane samowolą uczniów, należało odrobić siedmiokrotnie. W lubelskim cechu krawców sprawę uregulowano następująco: *o wypadku ucieczki ucznia od mistrza, jeśli taki wypadek nastąpił po upływie dwóch tygodni po rozpoczęciu przez ucznia nauki, obowiązany był dany mistrz w ciągu dwóch tygodni po fakcie ucieczki zawiadomić o tem cech i to pod karą (15 groszy), a to wedle brzmienia art. 47 przywileju z 1583 r., wedle zaś przywileju z r. 1703 grzywna taka mogła być orzeczona przez cech w wysokości 5 zł*<sup>273</sup>.

Środki represyjne stosowane wobec swawolnych uciekinierów naprawdę były bardzo surowe, nie ma też co ukrywać, że owe kary niestety przyczyniały się do wzrostu liczby partaczy. Uniemożliwienie chłopcu powrotu do rzemiosła stosowano w praktyce w każdym przypadku, bez względu na przyczynę, nawet jeśli była ona godna usprawiedliwienia. Dlatego z czasem zaczęto powoli wprowadzać różnego rodzaju złagodzenia tych sztywnych zasad i sankcji. Po pierwsze, jeśli *uczennik* opuścił swojego patrona z powodu zarazy morowej lub wojny, wówczas nie ponosił konsekwencji swojego występku. Musiał li i jedynie odrobić ten czas, odpowiednio wydłużając termin. Wojenne zawieruchy i epidemie miały to do siebie, że zupełnie inaczej patrzono na kostyczne dotąd normy, bowiem nic tak nie rozluźnia więzi, jak strach przed śmiercią. Ludzie wpadali w panikę, życie nie tylko w rzemiosle, ale i ogólnie w danej społeczności niekiedy wręcz zamierało, nie dziwi więc, że takie powody stały się usprawiedliwieniem dla chłopców uciekających w popłochu przed zagrożeniem. Było to jednak nadal rzadkością i powyższe zapisy dotyczyły tylko wybranych kontuberni. Drugim sposobem złagodzenia był wspomina-ny już wcześniej ów magiczny okres, podczas którego skruszony basałk mógł liczyć na dispensę bez co bardziej dotkliwych dla siebie skutków swojej partyzantki. Kotlarze krakowscy dorzucali tylko achtel piwa, który musiał delikwent postawić przy *wyzwoli-nach*. Trzecim środkiem była rękojmia. Wiemy już przecież, że chwilami przy *jednaniu* wymagano, aby jakich dwóch znakomitych mieszczan potwierdziło, że chłopiec dopełni z najwyższą starannością wszystkich warunków umowy, a zatem również klauzuli co do okresu terminowania. W sytuacji dezercji rękojmcy musieli albo cwaniaczka znaleźć i odstawić z powrotem do mistrza, albo, co było zaiste bardziej srogie, szczególnie dla ich kieszeni, zapłacić wysoką karę grzywny. Niekiedy też spoczywał na nich obowiązek wynagrodzenia majstrowi wszelakich szkód, jakie wyrządził niewdzięczny uciekinier.

Oprócz ucieczki istniał też legalny sposób opuszczenia mistrza, kiedy to *tyro* mógł odejść z warsztatu. Wymogiem była pisemna zgoda dotychczasowego pracodawcy i na-

273 Kamiński J., *Z przeszłości cechu krawieckiego...*, op. cit., s. 19.

uczyciela, a dzięki temu chłopiec mógł kontynuować kształcenie nie tylko w tym samym rzemiośle, ale i w tym samym bractwie cechowym. Oczywiście, wyrażenie zgody darmowe nie było, a na taki luksus mogli sobie pozwolić zaledwie nieliczni. Jeśli Pan powołał mistrza w zaświaty, wówczas o losach *uczennika* decydowała starszyzna. Na ogół szedł do innego warsztatu, lecz zdarzało się, że wdowa postanawiała kontynuować dzieło męża. Wówczas chłopiec pozostawał u wdowy po mistrzu, a kiedy zbliżały się *wyzwoliny*, na sześć miesięcy przed końcem *terminu* przechodził do mistrza, u którego się mógł jeszcze douczyć, a który potem go wyzwał: *wdowa nie może chłopca rzemiosła uczyć, choćby był jednany na rzemiosło za nieboszczyka męża swego, jedno się musi douczać u inzego mistrza*<sup>274</sup>, jak mówiły przepisy ordynacji lubelskiego cechu miechowników. W zasadzie wdowom nie wolno było przyjmować uczniów, acz i tu zdarzały się wyjątki. Na sfinalizowanie takiej umowy potrzeba było jednak specjalnego zezwolenia ze strony rady cechu.

Jako że konfraternie kontrolowały w zasadzie wszystkie dziedziny życia rzemieślniczego, nie dziwi, że odnosiły się w swoich ordynacjach również do relacji na linii mistrz–uczeń. W tej kwestii postanowienia były na tyle ogólnikowe, że pozwalały na dość swobodną interpretację. Niestety, czasem mistrzowie nadużywali przypisanej im władzy i opieki. Mistrz stawał się dla chłopca zawodowym guru, ale miał prawne możliwości, aby dozorować każdą sferę jego życia, nawet te najbardziej intymne i osobiste. Podstawowym obowiązkiem *ujednanego* chłopaczka było bezwzględne posłuszeństwo. Miał wykonywać każdziutką zleconą odgórnie przez majstra robotę. Nie budzi więc zdumienia fakt, że szczególnie chłopcy, których nie było stać na zapłatę za naukę, a terminowali *za wysługę*, byli posługaczami do wszystkiego, nawet robót wszelakich najczarniejszych. A byli zobligowani do hołubienia nie tylko tak ważnej osoby, jak majster, ale i całej jego rodziny. Cóż, w tej materii większość statutów bractw rzemieślniczych milczy, oddając dzieciaki do dyspozycji mistrza i jego rodziny. Ciężkie zaiste było życie takiego ucznia, o czym świadczą pamiętniki krakowskiego kupca Jana Markowicza: (...) *co miał ramiona i żebra połamane, bo go przeszły pan w górę za ręce wiązał i na noc odchodził. Chcąc się uwolnić, zębami się rozrywał i, targając ciałem, żebra i ramiona wyłamał*<sup>275</sup>. Tego typu znęcanie się było rzadkością, ale baty można było dostać za wszystko. Statuty mówiły raczej o karach pieniężnych, a już najlepiej o daninie w świecach lub wosku, bo były to towary bardzo potrzebne, bardzo luksusowe i horrendalnie drogie. Co

274 1607. 18 VII. *Articuli inter crumenarios et familiam illoru actis inseruntur*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 12.

275 Kubala L., *Mieszczanin polski w XVII wieku*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1909, s. 18.

się jednak taki mistrz miał certolić w wosk i świece, skoro prędzej (i wygodniej) mu było manto utrapieńcowi spuścić. Czasami stosowano karę więzienia, co stanowiło raczej ekstrawaganckie rozwiązanie sprawy. *Trybówkę* zalecano nie tylko wobec chojraków, co postanowili świat sobie pozwiedzać, ale i wobec tych co bardziej hardych i krnąbrnych wobec mistrza swego. Taki Szymek, uczeń kotlarski z XVI stulecia, *trybówką* był potraktowany, bo *pana Jana, mistrza swego, wyzywał na rękę i słowy nieuczciwemi targal*<sup>276</sup>. Stosunek ucznia do mistrza był zawsze natury familiarnej, w zasadzie stawał się *tyro* członkiem rodziny, przy czym nie było tu podziału, jeśli chodzi o chłopięta uczące się za pieniądze (*na ceitówkę*), czy *na wysługę*: *w służbie niech się skromnie zachowa, starając się woli pańskiej we wszystkim, ile być może (bez obrazy Boga) stosować, rannemu wstawianiem, czystością około siebie, a nadewszystko wiernością. Bez znacznej przyczyny niechaj od pana nie odstaje, gdyż wszędzie trzeba cierpieć, a kto za młodu nie cierpiał nic złego, na starość niech się nie spodziewa niczego dobrego*<sup>277</sup>. Na ogół mistrz jak ten dobry ojciec raczej karmił ujednanego chłopca, sporadycznie dochodziło do sytuacji, o jakich pisał Markowicz.

Termin składał się z dwóch podstawowych elementów: nauki – *studium* i służby (wysługiwania się) – *servitium*. Wiele zależało od charakteru majstra, jego osobowości i wykształconego wewnątrznie szacunku wobec innych, na ogół dola ucznia lekką nie była: *mistrzowie uczenników swoich po wyzwoleniu nie mają za towarzysza, ale przecie za chłopca, i to nie jest rzecz słuszną, aby u niego miał być niewolnikiem, wycierpiawszy swe cztery lata*<sup>278</sup>. Widać w tym zdaniu diametralną różnicę pomiędzy statusem ucznia a statusem *towarzysza* (czeladnika), a zarazem przykre wskazanie, że lata *terminu* były żmudne i trudne. Nieborak miał za zadanie wykonywać nie tylko najprostsze, ale i zarazem najcięższe posługi – *more ancillae*, w tym również i takie, które z rzemiosłem niewiele miały wspólnego. Jedynie cech rybacki w ordynacji pochodzącej z 1559 roku wprost zabraniał zmuszania chłopców do tych prac *ad insolitos labores*. Gdyby doszło do takowego wyzysku, chłopiec mógł się skarżyć do starszych. Początkowo zapis ten istniał jedynie na papierze, lecz historia pokazuje, że z biegiem lat nie tylko był respektowany, ale i wdrażany przez inne kontubernie w Polsce.

Prace, jakie wykonywał chłopiec w ramach posługi, stanowiły odzwierciedlenie całego wachlarza ludzkiej pomysłowości. Między innymi biegał mistrzowi po piwo, dziec-

276 AP Kaków, AD 182, *Rejestr chłopców rzemiosła kotlarskiego*, s. 5.

277 Kubala L., op. cit., s. 16.

278 Pazdro Z., op. cit., s. 20.

ka mistrzowi też miał w obowiązku bawić i Boże broń, by się jakowejś sromoty w tym względzie dopuścił. Świetnie opisał to imć Franciszek Śniadecki, malarz krakowski, żyjący na przełomie XVI i XVII stulecia, cechmistrz, w utworze „Sługa abo uczeń co powinien panu swemu w rzemieśle”:

*Od Boga poczynajmy, Bóg początkiem wszemu,  
A początku zaś niemasz, ani końca Jemu.  
Przełoż ty, synu miły, twej umiejętności  
Od Boga grunt zakładaj, z serdecznej szczyrości.  
Potym napominania i nauki panowe  
Ochotnie czyń, bo za tym postępkę gotowe  
Będziesz miał do szczęścia i do zachowania  
U wszech ludzi, nie uznasz żadnego karania.  
O co dbaszli sam, z chęcią masz się mieć do tego,  
A dla pamięci i obaczenia prętszego,  
Spisałem ci powinności jakową czynili  
Ci, którzy na twym miejscu przed tobą tu byli.  
Kiedyć każą rano wstać, abo gdy cię budzą,  
Wstań zaraz, nie czekając, aż cię za łeb wszuczudzą.  
Ubierz się i ochędoż, a potym do tego  
Bież, coby w izbie było niepoprzątńionego,  
Postawiaj na swe miejsce, a z ochotą pręcej  
Miejże się do wszystkiego jako najgoręcej.  
Szaty z prochu i pierza ochędoż, a potym  
Czyń rządnie sobie, abyś nie był za kłopotem.  
W warsztacie miej ochędostwo w pilności wielkiej,  
O to cię pilnie proszę, bez wymówki wszelkiej.  
Jeśli są ptacy w klatkach, miej też czas do tego,  
By głodu i plugastwa nie miały żadnego.  
Niemasz sromoty żadnej po wodę dobieżeć,  
Drew urąbić, a chceszli z rana dłużej leżeć,  
Z wieczora sobie zgotuj, cobyś jutro zasie  
Z kwapieniem musiał czynić w owym krótkim czasie.  
Nim się pójdziesz położyć, trzewiki panowe*

*Z pantoflami, a zaraz i towarzyszowe,  
Wychędoż z swoimi. Te w domu postugi  
Spisane masz, tak czyniąc, nie uchybisz drogi  
A żeś uczeń, uczże się, nauka cię wszędzie  
I postugi ozdobią, toć z pożytkiem będzie.  
Dałyć się już nauki domowe, więc tego  
Nie rozumiej, żeś już nie powinien niczego.  
Osobne i daleko potrzebniejsze rzeczy  
Chcęć podać, które trzeba żebyś miał na pieczy.  
Miejże to naprzód, abyś wiernym był we wszystkim,  
Coć poleca, bowiem fałsz człeka czyni brzydkim.  
Nie tylko to nie ruszać czegoś nie położył,  
I nieprawdy w mowie strzeż żebyś nie przyłożył.  
O to cię najbarziej proszę i upominam,  
Bom takowych uczniów nie miał, ani ich też znam.  
Coćbyś nie wiem co słyszał, ty milcz a mało mów,  
Nie wynoś z domu plotek i niepotrzebnych słów.  
Ku temu miej też zawsze ludzkie zachowanie:  
Potrzebne jest, więc trzeba zdobywać się na nie.  
A jeśli jaki twój pan nieznośny był tobie,  
Przecie skromnie cierp, a miej za pokutę sobie.  
Nie wadzi to czasem skromnemu młodzieńcowi,  
Iż pokornie cierpi a posłuszny mistrzowi.  
Każdej rzeczy z osobna nie będąc wspominał,  
Tylko trochę przypomnię, co jeszcze przepomniał:  
Wracaj się w skok, kiedy cię z domu poślą kędy,  
A pomni coć rozkażą, a spraw dobrze wszędy.  
Chodź nie jako spętany, po ścianach patrząc,  
Gdy co mówisz, z lekka mów, słów nie zajkając.  
Izba często śmieciami, co czasem nanoszą,  
Bywa naprószona, więc niech cię nie proszą,  
Raz i kilka nie wadzi zamieść i poprawić,  
Co ma być na swym miejscu, zasie tam postawić.  
Uczyń co masz uczynić bez upominania,*

Bez bicia, bez kłopotu także i łajania.  
Rzeczec co pan, nie mrucze, boć to niedźwiedziowi  
Przystoi słowom mruczeć, a milczeć kijowi.  
Uśmiechów także nie czyni, choćby pan nie prawie  
Obyczajnie co czynił i mówił plugawie.  
Krom rozkazania, więcej twemu domysłowi  
Poruczam, nie chcąc bawić dłuższemi cię słowy.  
A komu cnota miła ten nie czeka tego,  
By go miano przymuszać do czego dobrego.  
Więc takie powinności przecie dla pamięci  
Sobie często czytywaj, a czyni wszystko z chęci.  
Przeto jeśli u mistrza statecznie trwać będziesz,  
Miłości między ludźmi i sławy nabędziesz.  
Nie chce jednak, byś nie miał czynić co inszego,  
Mówiąc, iż nie masz o tym nic tu pisanego.  
Sielać się nie pisało, ale nie chce więcej,  
Bawić cię: co masz czynić, idźże czyni co pręcej.  
A gdyć Bóg da dotrwać postanowionych lat twych,  
Wszystkich kłopotów, także nędze zabaczysz swych.  
Też pamiętaj, abyś mistrzom wszystkim życzliwym był,  
Tak w łasce bożej i w ludzkiej chęci będziesz żył.  
Nie bierz kształtu z niebacznej ku mistrzom czeladzi:  
Uzna też na swych karkach, gdy im toż zawadzi.  
Bo gdy na swój chleb siędzie, właśnie takąż miarą  
Bóg oddawać będzie, – mówię pod bożą wiarą.  
Bo od mistrzów wziąłeś już skarb nieprzepełacony,  
Którego ogień, woda, ni zły człek uрони.  
Franciszek Śniadecki spólnie wszego dobrego  
Wszem uczniom zawsze życzy od Boga miłego.  
Którzy trwają i cierpią w rzemieśle statecznie,  
Przyjacielem uprzyjmym jestem takim wiecznie.  
Idźże w Imię Pańskie, ostatka się domyślaj,  
A jeśli byś czemu nie sprostał, o to pytaj.

Mistrzu, pomni też ucznia dobrego szanować,  
Chceszli go też do kresu statecznie dochować,  
Boś też jest poddanym radzie i starszym swoim:  
Strzeż, abyć Bóg nie oddał tobież i dziatkom twoim<sup>279</sup>.

Jak widać, uczniem wysługiwali się nie tylko mistrzowie, ale i sprytni towarzysze, którzy już swoją kalwarię mieli za sobą, a teraz mogli odegrać się na młodszych za swoje męki. Cóż, zawsze być szczęśliwym i bez troski, to znaczy: nie znać drugiej połowy życia. Uważam za nieszczęśliwego tego, który nigdy nieszczęśliwym nie był; nie wie nikt, ani on sam, jaki jest i co potrafi<sup>280</sup>. Ponieważ rzemieślnicy to brać wielce dowcipna, słynąca z ogromnego poczucia humoru, zatem i w ordynacjach pozwalali sobie na krotocwilne zapisy, które dotyczyły spraw wysokich: *Gdzie was robi trzech, a między wami jeden towarzysz, macie go mieć w uczciwości, jako samego pana mistrza, albowiem nie zawsze pan majster z wami siedzi przy warsztacie. Jeżeli czego nie umiesz, on ci powinien ukazać, a ty mu masz być posłuszny: do ognia z żelazkiem, z koszulą do szwaczki, z gaciami do praczki, z wieńcem do panny, z chęcią rad czynisz<sup>281</sup>*. Przymioty, jakich życzo sobie od uczennika, dawały pewność, że w przyszłości wyrośnie z niego uczciwy, dobry i prawy rzemieślnik – obywatel miasta. Zatem uczeń powinien być wierny, posłuszny, uległy, z szacunkiem i życzliwością odnoszący się do mistrza, a nadto skromny i dbający o mienie i dobrobyt swojego patrona. Obowiązywał go bezwzględny zakaz grania w kości lub w karty, nie mówiąc już o degustowaniu trunków wyskokowych. Z reguły ani w dni powszednie, ani też i w święta jakoweś uczeń nie pijał piwa, o winie nawet nie marząc.

Żelaznym obyczajem było utrzymanie dystansu, a co za tym idzie i szacunku w odniesieniu do mistrza i czeladzi. Za żadne skarby i pod groźbą kary 1 funta wosku nie wolno było *famulusowi* pracować przy warsztacie mistrza, a najlepiej, żeby w ogóle się tam nie zbliżał. Jak nie otrzymał pozwolenia, to miał siedzieć w domu, nie mógł też spotykać się z chłopakami i czeladnikami z innych pracowni, a o kontaktach z kobietami to już w ogóle mógł zapomnieć. Jak pewnego razu jednego z uczniów u powroźników złapano in *flagrante delicto* z niewiastą, to się potem żenić z nią musiał, bowiem honorowego załatwienia sprawy wymagała ówczesna moralność. Przeważnie nie trzymano uczniów

279 Korotyński L. S., *Z życia cechowego w dawnych wiekach*, „Wisła” Miesięcznik Geograficzno-Etnograficzny t. XI, z. 1, 1897, s. 228–230.

280 Kubala L., op. cit., s. 23.

281 Koehler K., *Dawne cechy i bractwa strzeleckie: rzecz osnuta na danych o cechach i o Bractwie Strzeleckim w Kościanie*, Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, t. XXV, z. III i IV, 1899, s. 292.

zonaty, zabraniały tego przepisy, zatem jak już biedak poszedł w żeniaczkę, to obligatoryjnie opuszczał rzemiosło. Jeśli mistrz mimo wszystko podjął się trudu dalszego kształcenia młodożeńca, cech mógł nawet wytoczyć mu proces, chociaż ten chciał pomóc biedaczynie i umożliwić mu zdobycie zawodu, aby godnie na chleb zarabiał.

Mimo że uczeń stał najniżej w rzemieślniczej hierarchii, ordynacje nie pomijały i jego skromnej osoby: *jeśliby chłopiec miał jakieś bezprawie, nie ma swej woli dochodzić, ale ma to starszym w cechu oznajmić, a oni powinni w to pilnie wejrzeć i uskromić tego mistrza*<sup>282</sup>. Niekiedy więc kontubernie obligowały chłopców, aby ci przedkładali swoją krzywdę przed starszyzną, która mocą swojego urzędu, kierując się doświadczeniem i poczuciem sprawiedliwości, rozstrzygała, po której stronie leży prawda. Szczególny nacisk cechy kładły na to, by nie łamano zasad przy *próbach*. Kategorycznie i przykładowo wyciągano konsekwencje wobec tych, którzy sprzeniewierzyli się zasadom określonym w przywilejach bractw. Taki mistrz, który dopuścił się zdrady uświęconych i twardych reguł i przetrzymywał *tyro* dłużej, niż było to przewidziane, nie miał wyboru i płacił za swój występ niecny. Albo wosk musiał dawać. Niekiedy nawet uczniów mu zabierano! W czasach późniejszych bywało i tak, że uczeń bez konsekwencji przykrych dla siebie miał dozwolone, aby w dodatku mistrza opuścić, o ile ten nie zgłosił go do rejestrów przed upływem czwartej niedzieli od chwil przekroczenia przez chłopca progu warsztatu.

Podstawowym obowiązkiem mistrza było nauczenie młodzieńca tajników danego zawodu. Gdyby tego nie potrafił, majster mógł, a jakże, po zapłaceniu odpowiedniej kwoty, zlecić wykonanie tego zadania jednemu z czeladników. Bez pardonu przestrzegano, by chłopców kończących naukę u mistrza zgłaszać zaraz po upływie *terminu*. Taki *terminator*, co już znał się na rzemiosle, nie tylko był pomocą, ale i przynosił wielką korzyść warsztatowi. Pracodawca nie płacił mu za robotę, a jeśli nawet, to i tak mniej, niż wynosiły stawki towarzyszy. Mistrz zapewniał chłopcu przyodziewek – w formie gotowego ubrania bądź materiału, potem ograniczono się do przekazywania odpowiednich kwot, by *iuvenis* zadbał o to samodzielnie. Bywało i tak, że mistrz za kształcenie chłopca do kasy cechowej pieniądze płacił. Rzemieślnicy to uczciwi i mądrzy ludzie, wprawdzie dryl trzymali wśród uczniów i czeladzi wręcz nieziemski, ale inaczej trudno by było zmusić takiego do nauki i trzymać w karbach. Młode to było i głupie, świata chciało użyć, a praca przecież ciężka i odpowiedzialna, a i sam mistrz trzeźwo musiał myśleć, bo chłopaczki przecież się u niego uczyli, to ich kształcił, a ucząc kształtował ich światopogląd i wychowywał jak ojciec na prawych ludzi. Ordynacje cechowe wielce przemysłne były

282 AP Kraków, AD 531, Akta luźne odnoszące się do cechu siodlarzy.

i starały się nadać sens i porządek wielu dziedzinom. Przewidziały również sytuacje, kiedy to nie tylko mistrz mógł przenieść się w zaświaty, lecz i *uczeńnik*. W razie jego śmierci cech wyprawiał mu pogrzeb i dawał do kościoła za żałobne modły za biedną duszyczkę. Owszem, obrzędy te nie były tak uroczyste jak w przypadku zgonu któregoś z majstrów czy nawet towarzysza, lecz dbano, by podczas ceremonii pogrzebowej obecni byli wszyscy członkowie bractwa, którzy pod groźbą kary (jak najbardziej pieniężnej) obowiązani byli do uczestnictwa.

W którymś momencie kończyły się lata *terminu*, spełnione zostały wszystkie wymagania narzucone przez cech i szkolącego mistrza, chłopiec był zgłoszony i uzyskał zezwolenie starszyzny na przystąpienie do *wyzwolin*. *Terminator* miał prawo żądać od swego patrona, by go *uczynił wolnym*. Szewcy lubelscy ustanowili, że *któryby brat mając chłopca nie opowiedział go do niedziel dwóch, powinien dać do skrzynki brackiej złoty i piwa konwi*<sup>283</sup>. W księgach krakowskiego cechu cyrulików znajdujemy arcyciekawy wpis, pochodzący z 1722 roku, kiedy to sam magistrat wymusił na starszyźnie, aby wyzwolono biednego *tyro*: *stanąwszy obecnie do ksiąg i praw od Najjaśniejszych królów i panów nadanych p. Echyngier starszy dożywotni cechu złotniczego naszego krakowskiego wznosił instancję swoją przed szlachetnym magistratem panami i dobrodziejami naszymi, za uczniem swoim Ferdynandem Rydlem, ażeby mógł być wpisany i za towarzysza przyznany, który pan Echyngier dał za nim rekomendację i słowo dobre, iż się u niego dobrze i wiernie zachował. Więc wszyscy IPP. bracia od starszego stołu zasiadłszy za rozkazem szlachetnego magistratu na ratuszu w kancelaryi miasta Krakowa, przy deputowanym i asystującym panu pisarzu krakowskim pomienionego Rydla przyznali za godnego towarzysza i lubo różne kontrowersje koło tego wpisu zachodziły, jednak dla protekcji Jaśnie Wielmożnego Jegomości Pana wojewody sieradzkiego te wszystkie umorzemy i przepuszczamy. A dziś za godnego i poczciwego towarzysza przyznajemy i wypisujemy. Wotum naznaczone w księgach zapisowych na łutów trzy obliguje się pan lermistrz jego oddać za tydzień także i list urodzajny, za niedziele cztery powinien prezentować. A zaś ten pomieniony towarzysz obliguje się w cudze kraje wędrować, obyczaję dobre zachowywać i dobrze się sprawować, u żydów i partaczów nie robić i na ostatek według artykułów i praw cechowych sprawować się*<sup>284</sup>.

W trakcie *wyzwolin*, tego aktu doniosłego, inicjującego dorosłe życie, można było *wyzwolić, uczynić wolnym, spuścić, liberum reddere, dimittere, in socium promovere, freisagen, frei-sprechen, los-sprechen*. O ile nie zachodziły żadne przesłanki negatywne (*cum*

283 1649. 9 VII. *Contubernio sutorum articuli approbantur*, w: Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 57.

284 Lepsi L., *Cech złotniczy w Krakowie*, „Rocznik Krakowski”, t. 1, 1898, s. 250.



*magistro satisfecerit*), pod rygorem kary majster czynił zadość postulatowi swojego *tyro*. W obecności starszych cechu zdawał relację nie tylko z postępów chłopca w nauce, ale i z jego zachowania. Było to świadectwo, że dzieciak był obowiązkowy, pilny, a zeznania mistrza od razu sprawdzano, czy zgodne są z prawdą, a szczególnie, czy przepisany bądź umówiony czas rzeczywiście upłynął. Uczeń dziękował za opiekę, za poświęconą uwagę, za troskę i za wprowadzanie w arkana rzemieślniczego fachu. Zarówno mistrz, jak i jego uczeń, skazani byli na poniesienie pewnych kosztów, acz te rodzaje świadczeń nie były wszędzie jednakie. W przypadku, gdy ugodzono się, że chłopiec będzie przyjęty do warsztatu *na wysługę*, mógł on oczekiwać od swojego pracodawcy, że w momencie wyzwolenia dostanie jakąś zapomogę, bo przecież pieniędzy własnych nie posiadał. W XVI stuleciu pojawił się nowy usus, który w try miga się upowszechnił. Było to tak zwane *wykupne*, czyli uczeń musiał wykupić się u mistrza od *terminu*. Ale to nie były jedyne koszty *deponowania* (*wyzwolin*). Dotychczasowy nauczyciel miał w obowiązku sprawić swojemu podopiecznemu wcale niełychy przyodziewek, czyli ubranie o wiele porządniejsze niż to, jakie zwykł nosić uczeń za czasów *terminowania*.

*Famulus* wnosił do cechu opłatę, tak zwane *wyzwolone*, *od wyzwolenia*, *zapisne*, a *manumissione*. Jeśli otrzymał od majstra wynagrodzenie albo zapomogę, wówczas miał za zadanie wyprawić dla członków bractwa kolację, czyli ucztę, na którą zapraszano nie tylko mistrzów, ale i całą czeladź. Podczas uczy z okazji wyzwolin serwowano chleb, mięsiwo, piwo, z czasem wódkę, drób, przyprawy rozmaite i masło, zatem kosztowny był to obrządek. *Wyzwoleniec* musiał też wpłacić do kasy pewną kwotę za koszty „postępowania administracyjnego”, czyli przyczynił się do wynagrodzenia pisarza. Zdarzały się cechy, gdzie nie urządzano uczt, a za pieniądze uzyskane z racji *wyzwolin* wspomagano biednych i chorych towarzyszy i uczniów. Po zadośćuczynieniu wszelkim formalnościom, *wyzwoleńca* wpisywano do oddzielnej księgi, do *rejestrów wypisów*. W księgach cechowych notowano: *mistrz Jan Kazimirczyk wyzwolił i uczynił wolnym uczciwego Stanisława Bzowskiego, zeznał tenże, mistrz wobec cechu, że tenże wymieniony Stanisław Bzowski wyuczywszy się u niego rzemiosła 3 lata, zadość uczynił wymaganiom i złożył opłatę gr 12 na wypisanie się*<sup>285</sup>.

Obrzędy związane z aktem *wyzwolin* były o wiele bardziej uroczyste niż ceremoniały, jakie miały miejsce przy przyjmowaniu do *terminu*. Jedną z obligatoryjnych części było złożenie uroczystego ślubowania. Wówczas cechmistrz wygłaszał mowę skierowaną do

285 Orzelska-Konarska B., *Mistrzowie i czeladnicy. Pozycja społeczna czeladzi w cechach krakowskich w XV–XVII wieku*, Związek Izb Rzemieślniczych, Warszawa 1968, s. 20.

*wyzwoleńca*, podczas której opowiadał pokrótce o obowiązkach, a uczeń poprzez podanie ręki przyrzekał tych wymogów dopełnić: *a iżeś już na ten czas wolny, tedy cię upominamy: naprzód, abys się Pana Boga bał, a przytem, kędykolwiek będziesz, abys się cnotliwie i wiernie zachowywał, jakoś pod ten czas czynił, a osobliwie cię upominamy, abys w cudze kraje wędrował, bo z takich ludzie bywają. Złego towarzystwa, abys się strzegł, gdyż z tego nic dobrego nie przychodzi; ktemu pijaństwem i graniem, abys się nie bawił, jeno, abys tem pilniej ibował i ćwiczył, bo to tobie być ma, a u partacza żadnego abys nie robił. Przełoż cię pytamy, jeśli takie upominanie wdzięcznie od nas przyjmujesz, i jeśli temu wszystkiemu chcesz dosyć uczynić? Tak ci Panie Boże dopomóż w Trójcy jedyny. Dajże nam na to rękę...*

...<sup>286</sup>. Nowo wyzwolony był zmuszony do oddzielnego ugoszczenia swoich świeżo nabytych kumpli – czeladników. Mówiono o tym *sprawianie obyczaju*. Miał na to najdalej dwa tygodnie od chwili uczynienia wolnym, inaczej był narażony na karę w wysokości 12 groszy za każdy tydzień opóźnienia! Podczas naprawdę wesołej biesiady główny bohater uroczystości przechodził coś w rodzaju wtajemniczenia, otrzęsin, *zmycie na towarzysza* (*beania*), *depositio alias mycie*, a autorami poszczególnych części tej sztuki byli towarzysze, którzy nieraz wyróżniali się wręcz awangardowym konceptem, podszytym istic diabelskim poczuciem humoru. Zaczynano sutą kolacją, obficie zakrapianą trunkami wyskokowymi. Jedzenia też nie brakowało, lecz wydaje się, że ono odgrywało tu raczej drugorzędną rolę. Około północy, w towarzyskiej gospodzie, zjawiał się mieniący wszystkimi barwami świata wesoły korowód, który otwierali *beani*, a tuż za nimi kręcili się jak frygi *towarzysze przesynekowani*. W jednej izbie sadzano delikwentów, w drugiej, do której prowadzono każdego z nich pojedynczo, odbywały się właściwe misteria. Siadał tak na *kulawym krześle*, a jakże, na samym środku pomieszczenia i wtedy zaczynały się *dziać egzorcyzmy*. A to myli biedaczynę, a to golili drewnianą brzytwą, a to musiał się popisać sprawnością skakania przez stół czy zapaleniem fajki, a to go podszczypywali, a do najprzyjemniejszych te zabiegi w ich wykonaniu nie należały. Później następował *wesoły egzamin*, kiedy to wymęczony już do cna nowo wyzwolony towarzysz musiał zgromadzonym udowodnić, że pisać i czytać już umie, rachować tudzież, chociaż jak kazali mu gwiazdy na niebie policzyć, to, nie ukrywajmy, trochę trudności z tym miał. Dodajmy, że robił to przez rękaw, w który *przesynekowani* lali bez pardonu garniec wody... Główną atrakcją tego przedstawienia był ów *tyro* dotychczasowy, natomiast reżyserem i ekipą wykonawczą – ogół czeladzi. Czasami, co też się zdarzało, nie było żadnego jej przedstawiciela w mieście, wówczas więc kontubernia wysyłała delikwenta do innego ośrodka,

286 Pazdro Z., op. cit., s. 28–29.

aby tamtejsze stowarzyszenie dokonało rzeczoności obrzędu. Bywało, że kapłanem ceremonii był najmłodszy z mistrzów. Po wniesieniu, czego się można spodziewać, odpowiedniej opłaty zaczynał spektakl, niekiedy gorszący, ale na pewno śmieszny, chociaż częściej dla widzów i reżyserów, niż głównego protagonisty i dalejże *iako to Rycerzem bić, heblować, szlupować, kazanie mieć, ochrzcić iako to nazywaią, niezwycajnemi szaty stroić, po ulicach prowadzić*<sup>287</sup>. Na koniec trzeba było wychylić wilkom<sup>288</sup> i przejść na zaiste braterskie „ty”.

Z wyzwolniami związany był też zwyczaj, a w zasadzie przywilej, nadawania *przemianków*, czyli różnorodnych przezwisk i przydomków wymyślnych. Uroczystość tę określano mianem *przeszynku* lub *propinatio*, a to dlatego, że odbywała się podczas suto zakrapianych libacji w gospodzie – *cognomen in propina alias na szynku*. W ten sposób wyzwalanego ucznia obwoływano *szynkowym* lub *przeszynkowanym*. Teoretycznie bardzo przestrzegano, aby przemianki nie były prześmiewcze, co w praktyce oznacza, że były dość obelżywe i jak najbardziej śmieszne. Z czasem stawały się nazwiskami. W ordynacji krakowskiego cechu cieśli i kołodziejów wyraźnie zaakcentowano, że *to też będą mieć w mocy mistrzowie, że każdemu uczniowi po wyuczeniu mają dać przezwiska, ale takowe, któreby były uczciwe, a nie ku pośmiewisku, bo takowe nie mają być chowane*<sup>289</sup>. Lubelskie bractwo rzemiosł drzewnych zastrzegło sobie następująco: *przy wyzwalaniu zaś za dosiść uczynienie za rzemiosło stalmaskiego, kołodziejskiego, powroźniczego uczniowie rzemiosł przerzeczonych przemianki zaraz w cechu, jako w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu, w Warszawie brać mają, a pp. mistrzów wszystkich według dawnego zwyczaju tych w cechu rzemiosł zachowanego mają i powinni będą częstować przystojnie. Nadto darujemy tesz to przerzeczonemu cechowi z łaski i szczodrośliwości naszej zobopólnej te praerogative, aby w cechu swoim rządili towarzyszami rzemiosł swych i przemianki im dawać*<sup>290</sup>.

A te *cognomia ex arte* (*przemianki*) brzmiały naprawdę fantastycznie! Można było wśród nich znaleźć i Przyjaznych, i Nierychłych, i Upiornych, i Podleśnych, a nawet Szczęśliwych. Na pewno charakteryzowały delikwenta: Moczygęba, Piszczymucha, Nieranowstał, Kupinędza czy Trzęsigłowa<sup>291</sup>. Nie koniec na tym. Był Barszcz, Zimnaniewiasta, Dymek, Dorobiony, Kuropłoch, Kłopoczybaba, Kapłunbasza,

287 Herbst S., op. cit., 20.

288 Wilkom – szklenica godowa; duży, ozdobny puchar do picia piwa w trakcie uroczystości cechowych.

289 Ibidem, s. 30.

290 1650. 20 XII. *Privilegium contubernii carpentarium, rotificum et funificum*, w: Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 78.

291 Łoziński W., *Sztuka lwowska w XVI i XVII wieku: architektura i rzeźba*, nakł. Księgarni H. Altenberga, Lwów 1901, s. 20–22.

Kapinos, Liżytalerz, Łapikasza, Masło, Mokrowstał, Nicdobrego, Słomianadusza, Owczapokora, Płaczybabka, Postękałski, Skazimleko, Sztuczkaodmostku, Twardochleb, Wgardlepieniądze, Zkażdymdobrze, Zglupiaczytry.<sup>292</sup> W każdym razie ich źródła można szukać w zaletach lub wadach danej osoby. W naszym uroczym mieście, a podejrzewam, że w każdym, w którym cechy miały swoją siedzibę, przemianki można pogrupować w pewne bloki tematyczne. Pierwszy z nich odnosił się do pojęć związanych z żywnością: Wódka, Kwas Mleczko, Kapłonek, Flak, Wątróbka, Rybka. W drugim zbiorze znajdowały się przezwiska związane ze światem fauny i flory: Kobyłka, Szczurek, Fiołek czy Skowronek. W grupie trzeciej mamy nazwy, które wzięły się od poszczególnych zawodów: Puszkarz, Kapeluśnik, Pasztetniczka oraz Niciarz. Gdy ktoś wyróżniał się jakąś nader charakterystyczną cechą, zaraz to wykorzystywano: Pokwapny, Bury, Przelękły, Kulawy, Łysy i Nadziewany. Kolejną grupę stanowiły przemianki złożone: Małodobry, Lepiejjawiem, Kwasijadło, Częstopijany, Krzywopatrzy, Parzypieski, Darmochwał, Mięsopestek, Słabopasik, Parzymięso, Parzykasza, Dobresłowo, Kozieoko, Trzęsiworek, Suchypoletek, Pyerdzydupliczna (tak, tak!) czy Porzydupa<sup>293</sup>. Humanitarnie i taktownie, nieprawdaż? I niektóre wcale a wcale obraźliwe nie były... Mamy tu więc wykorzystanie osobistych przymiotów danej osoby, wydarzeń, jakich była uczestnikiem, wyrażen, które były jej ulubionymi w mowie. W Lublinie istniała też maniera używania nazwisk razem z przezwiskami. I tak był sobie Psiukowicz alias Kapusta, Kustrowski *dictus* Parzykasza, Godlewski Kuglarz nazwany, Słabopasik alias Cyganek i wielu, wielu innych<sup>294</sup>. Niektóre *przemianki* trudno jednoznacznie zakwalifikować do jakiejś konkretnej grupy, a wśród nich znajdzie się i Kłopocik, i Nieuk, i Sobota, i Gowyenko, i Dupak, i Choroba...<sup>295</sup> Zaiste rubaszny humor.

Nie tylko *przemianki* świadczyły o zakończonym sukcesem *terminie*. Na poświęcenie, że uczeń opanował kunszt rzemieślniczy na podstawowym poziomie, wydawany był *list wyuczenia, list wyuczony* – *litterae edoctiois, Lehrbrief*. Dokument nie był aż tak potrzebny, o ile wyzwoleniec pozostawał na miejscu, ale stawał się niezbędnym, gdy czeladnik postanawiał udać się na wędrowną lub pracować poza siedzibą macierzystego cechu. W jednym z najstarszych *listów wyuczenia*, pochodzącym z 1568 roku, czytamy: *My starsi mistrzowie rzemiosła introligatorskiego sławnego miasta Krakowa (...) wszystkim braći swojej, gdzieszkolwiek mieszkającej, zdrowia, pokoju, szczęśliwego panowania od Pana*

292 Pazdro Z., op. cit., s. 31.

293 Riabinin J., *Nazwiska, przezwiska i przemianki dawnych mieszczan lubelskich*, „Głos Lubelski”, Lublin 1936, s. 3–6.

294 Ibidem, s. 7.

295 Ibidem, s. 8.

Boga życzymy. Przy tym oznajmujemy wam, iż uczciwy młodzieniec (...) ukazawszy nam list urodzenia pod pieczęcią, przy tym, że mistrz jego (...), brat rzemiosła naszego zeznał przed nami, że ten, przez te lata w których się uczył, zachował mu się jako na uczciwego młodzieńca należy i zarazem zachowaniem i lat swych wytrwaniem uczynił go wolnym, prosząc nas za nim, aby też między nas i czeladź naszą był przyjęty za towarzysza. My, bacząc rzecz godną i przystojną, przyjęliśmy go i towarzyszom, jako słuszna, oddali. Teraz też przez ten list, gdziekolwiek powędruje i ukaże ten list, nie inaczej go wam zaliczamy tak ze strony rzemiosła jako też jego uczciwego zachowania między nami i prosim za nim, zaliczając go łaskom waszym, aby też jemu wolno było gdzie mu się podoba wędrować i rzemiosło nasze robić, tak jako inszym uczciwym towarzyszom, my też nie inaczej przeciw uczniom waszym chcemy się zachować. Do pewniejszego świadectwa pieczęć Bractwa naszego przycisnęliśmy<sup>296</sup>.

Nadzieje towarzyszy, iż po wyzwolinach rzeczywiście staną się ludźmi wolnymi, niekiedy bywały, co tu dużo mówić, płonne. Na dzień dobry już trafiali na przeszkody, a przede wszystkim na ciąg dalszy zależności od cechowych mistrzów. Większość ordynacji wręcz nakazywała, aby wyzwoleni towarzysze, czyli już czeladnicy, jeszcze przez jakiś czas pracowali u swojego dotychczasowego patrona. Czasami było to 12 tygodni, a momentami nawet rok. Poza tym towarzysz musiał zaliczyć ogniwo pośrednie, czyli był półtowarzyszem, *robieńcem*.

## *Suspensus in vacuo*

Od momentu wyzwolin uczeń zatem w teorii stawał się wolny. Wolność polegała na tym, że mógł wędrować tam, gdzie chciał, a także pracować tam, gdzie chciał. Oczywiście, nie obyło się od wyjątkowych wyjątków od tej reguły. Zatem był to wspomniany powyżej przymus pracy u starego mistrza. Chodziło tu nie tylko o udoskonalenie świeżo nabytych umiejętności, ale chyba bardziej o interes samych majstrów, bowiem *robieńcy* byli mniej wylewnie opłacani niż właściwi towarzysze i nie posiadali pełnych praw. Wśród miejscowej czeladzi ci byli *robieńcami*, zwanymi niekiedy *młodzieńcami*, *pacholęciami*, *Junger*, *Lohn-Junge*, *Halb-Geselle*, co dopiero zostali wyzwoleni. W zasadzie nie do końca wiadomo, kim ów *robieniec* był, na pewno trwał w zawieszeniu, *suspensus*. Niektóre ordynacje stanowiły, aby po okresie półrocznej karencji przyjąć takowego w poczet właściwych towarzyszy. Niekiedy zapisy stwierdzały, żeby nie zmuszać młodzieńca, by to, że chce stać się pełnoprawnym towarzyszem, mogło zależeć wyłącznie od jego woli. Sporadycznie *robieniec*, *gdy chce towarzyszem zostać, ma dać mistrzowi dwa wochlony*<sup>297</sup>, *a czeladzi, którzy go myć będą, wochlon jeden*<sup>298</sup>. Dodatkowo *mistrzowie mają mieć zupełną moc z uczniów i z robieńców wybierać i czynić towarzysze z tych, którzy baczą być ku rzemiosłu sposobniejsi i ćwiczeńsi*<sup>299</sup>. W ordynacji warszawskich cyrulików czytamy, że *po wyzwoleniu chłopiec każdy powinien u swego mistrza, u którego się uczył, za półtowarzysza pół roku nieodpustnie koniecznie przerobić. Lecz jeśli mistrz zechce, może mu te pół roku darować, to na łasce mistrza zostawać ma*<sup>300</sup>. Poza tym, okres kwarantanny był bardzo wskazany, ponieważ *aby panowie nie ważyli się chłopca z wyuczenia zaraz za towarzysza spuszczać albo wyzwalać, ażby pierwej swoją ratę igieł urobił własnymi ręko-*

297 Wochlon – tygodniowy zarobek czeladnika.

298 Orzelska-Konarska B., op. cit., s. 25.

299 Ibidem.

300 Giedroyć F., *Ustawy Cechów Cyrulickich w dawnej Polsce*, „Kronika Lekarska” 1897, r. 18, z. 3–8, s. 134.

296 Pachoński J., *Zmierzch sławetnych. Z życia mieszczan w Krakowie w XVII i XVIII wieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, s. 144.

ma; dotąd ma być pierwszej za robieńca<sup>301</sup>. Taki wyzwoleniec pobierał zdecydowanie niższe wynagrodzenie. Dzięki temu jednak płacił o wiele niższe składki do kasy bractwa, ale równocześnie mniej partycypował w życiu rzemieślniczym w porównaniu z pełnoprawnym czeladnikiem.

Pojęcie *robieńca* pojawia się tylko w niektórych ordynacjach cechowych. Absolutnie nie wynika to z braku dokumentów, lecz po prostu z braku powszechności tej pośredniej formy adeptów sztuki rzemieślniczej. Biorąc pod uwagę ówczesne uwarunkowania oraz całą strukturę rzemiosła, wydaje się, że w szczególności *póltowarzyszami* byli ci wyzwolenicy, którzy postanowili udać się na wędrowkę, o czym świadczy ordynacja lubelskich mieczników: *młodzieniec, czyli robieniec rzemiosła mieczowników skądkolwiek przychodzący (...) za towarzysza nie może być uważany pod karą połowy kamienia wosku*<sup>302</sup>. Bardzo możliwe, że po jakimś czasie wśród cechów zrzeszających co bardziej finezyjne rzemiosła wykształcił się precedens traktowania dopiero co wyzwolonego ucznia jako *robieńca*. Żeby móc osiągnąć kolejny stopień wtajemniczenia, ów *póltowarzysz* musiał udać się w obce strony, nie tylko do miast polskich, ale i zagranicznych, aby udoskonalić swój warsztat. Dopiero po powrocie z *wędrowki* mógł ubiegać się o status towarzysza.

W trakcie spotkań cechowych zadaniem *robieńca* było przede wszystkim usługiwanie pełnoprawnym towarzyszom. Przez pozostałych traktowany był po macoszemu – ani w kart nikt z nim nie zagrał, ani się nie napił: *robienicy nie mają się towarzyszom równać, ale mają być pokornymi, pod piórkiem ani z bronią chodzić nie mają pod wirgi*<sup>303</sup> *wiązaniem albo odkupieniem winy pieniężnej wochlonów dwa*<sup>304</sup>. Pozornie posiadał podobne prawa jak czeladź, jednak w ograniczonym zakresie. *Wochlon* dostawał niższy, mniej płacił do kasy cechowej i niższy wymiar kar za przewinienia mu groził. Miał też możliwość porzucić cech i odejść do innego miasta. Jednak za frywolne i niesalonowe zachowanie hojnie był traktowany *trybówką*.

301 Pazdro Z., op. cit., s. 36.

302 AP Kraków, AD 217 Akta luźne mieczowników. Statut z 1618 r. art. 47.

303 Kara cielesna.

304 Pazdro Z., op. cit., s. 37.

## *Puer discens*

Zwykle czeladnik, jak już uzyskał upragnione świadectwo swojej sztuki rzemieślniczej, czyli posiadał *świadectwo wyuczenia*, a przy tym miał przecież metrykę oraz świadectwo zachowania, to zazwyczaj udawał się na tak zwaną *wędrowkę* do innych miast, w tym też miast zagranicznych. Dzięki temu nabierał wprawy w swoim fachu, ale i znajomości innych krain i obyczajów. Trudno powiedzieć, skąd się ów usus wziął, być może u jego podstaw leżała ciekawość świata, jakaś żyłka awanturnicza, a może niechęć do przywiązania się do jednego miejsca tak do razu, skoro tyle innych jest, kto wie, bardziej może urzekających? Obowiązujące wszędzie te same standardy wymagań oraz te same procedury znacznie ułatwiały czeladzi bezstresowe poruszanie się pomiędzy różnymi ośrodkami miejskimi, bez względu na granice. Dopiero pod koniec XV stulecia zwyczaj przerodził się w obowiązek, konieczny warunek do uzyskania wyższego stopniem wykształcenia rzemieślniczego, czyli zdobycia tytułu mistrza. *Wędrowka* trwała od roku do czterech lat, sporadycznie – nie krócej niż 12 niedziel. Ponieważ z biegiem lat koniunktura w cechach zmieniała się i bractwa wskutek barbarzyńskiej polityki szlachty coraz bardziej traciły na znaczeniu, i *wędrowki* nie traktowano już tak poważnie jak dotychczas. Wystarczyło zapłacić *okup* w wyznaczonej wysokości i nie trzeba było tłuc się po świecie.

Kierunek swojej eskapady towarzysz wyznaczał sobie sam, a miał w czym wybierać i przebierać, bo w każdym większym ośrodku miejskim istniały przecież cechy. Wędrowano więc od Lublina i Lwowa aż po Kraków, Poznań, Gdańsk czy Wrocław, a nawet dalej, do Norymbergi, do Czech czy na Węgry. Niestety, samodzielne obranie kierunku czasami bywało samodzielne czysto teoretycznie. Ano, jak to między ludźmi, nie wszyscy się jednako lubili i poważali. Otóż w naszym cudownym kraju ówczesnie stolicą był gród prastary, Kraków. Więc chociażby z tej racji, a i z racji tego, że bractwa

krakowskie do najstarszych i najsilniejszych należały, poczęły więc sobie te organizacje uzurpować prymat pomiędzy wszystkimi cechami w Rzeczypospolitej. Owszem, zajadłe broniły swoich towarzyszy, ale niezbyt ochotnie przyjmowały czeladź z innych ośrodków miejskich, bo i trochę mniej znakomite one były, i jak by to wyglądało, tu Kraków taki, a tu Lublin, a co to... Nie ma więc co się dziwić, że w odwecie i inni na Kraków się wypięli i towarzysze krakowscy długo nieraz swojego miejsca poszukiwali. Wiadomym za to było jedno – pod żadnym warunkiem nie wolno było czeladzi podjąć pracy w rzemiośle innym niż wyuczone. Dotyczyło to pokrewnych dziedzin, gdzie było mnóstwo punktów wspólnych, na przykład stolarzy i snycerzy, bo, rzecz zrozumiała, kował raczej krawiectwa by się nie podjął.

Jak już taki towarzysz przybył do miejsca docelowego, albo nawet nie było to pierwotnie zakładane miejsce docelowe, a po prostu mu się spodobało, to zaraz musiał pracy szukać, bezzwłocznie. Pod żadnym pozorem nie mógł przebywać w mieście jako turysta, tylko piorunem o robotę się starać. Próżniaków natychmiast z miasta wydalano, aby złego nie nanieśli, przykładów funta kłaków niewartych nie dawali, żeby się rozwyrzenie wśród miejscowego narybku nie załęgło. W początkach samorządu rzemieślniczego w Polsce to mistrzowie cechu, do którego się wędrowiec zgłosił, wybierali mu pracodawcę. Pod uwagę brali majstrów wedle starszeństwa, a przede wszystkim cechmistrza, który z nich bardziej towarzysza potrzebuje. Wśród nich szczególne miejsce zajmowali mistrzowie chorzy bądź też wdowy po zmarłych braciach, jakie postanowiły kontynuować pracę nieboszczyka małżonka. Sama przecież wdowa zakładu prowadzić nie mogła, tym bardziej więc potrzebowała oparcia i pomocy. Dla wdów wybierano towarzyszy starszych, co bardziej doświadczonych, bieglejszych i stateczniejszych zarazem, bo i tak biedna kobiecina dość kłopotów miała. Kolejno obdarzano tych magistrów, co w ogóle czeladzi nie posiadali, czyli *na puste warsztaty* albo *na puste stolki*, a potem już od najstarszego do najmłodszego – *jako cech idzie jeden wedle drugiego, ex ordine qui sunt ordine priores, według rejestru, wedle porządku, bliższemu w rzędzie*. Stosowano więc zasadę równowagi – *paritas*.

Niekiedy ordynacje zastrzegały, aby wędrowny towarzysz najpierw na kilka dni zatrudnił się u tego majstra, z którym jako pierwszym rozmawiał po przybyciu do miasta. Raz czy dwa przepisy nakazywały, by pracę podjął u tego, co warsztat ma najbliżej bramy wjazdowej do miasta. Zmiany nastąpiły dopiero w II połowie XVI wieku, kiedy na ziemiach polskich zaczęły tworzyć się związki czeladzi, które przejęły pośrednictwo w znalezieniu miejsca pracy. Zgłaszał się więc taki towarzysz do gospody czeladniczej,

a tam starsi młodzieńcy sami kierowali go do odpowiedniego mistrza. Ciekawe jest to, że jedynymi dniami tygodnia, kiedy to można było załatwić te urzędowe sprawy, były poniedziałki lub niedziele. Działy i się takie rzeczy, że i sam mistrz pisał do współbraci z innych cechów branży prośby o przysłanie towarzysza. Oczywiście nie mogła to być żadna samowola, wszystko działo się za wiedzą i zgodą starszyny macierzystego bractwa, zwłaszcza że kopię swego listu błagalnego w dokumentach cechowych musiał zostawić. Ale jeśli taki towarzysz zabałamucił gdzieś po drodze i przybył na wezwanie po upływie terminu 6 tygodni od wysłania wniosku, majster już przyjmować go nie musiał, a ten szukał pracy zgodnie z ustalonym porządkiem.

Na przedłożenie dokumentów poręczających status czeladnika miał on 2 tygodnie. Jego zadaniem było zaprezentować po pierwsze metryki, po drugie świadectwa wyuczenia, po trzecie – *świadectwa dobrego zachowania*. *Świadectwo dobrego zachowania* nie było niczym innym, jak dokumentem potwierdzającym, że młodzieniec odprawił się u swojego dotychczasowego patrona wedle obyczaju, nic a nic nie uchybiając przyjętym procedurom. Łatwo było tu o błąd, w jaki mógł wprowadzić sam młodzieniec. Ale nawet wieki temu wieści się szybko rozchodziły i zła sława doganiała kłamczucha. Wtedy nie miał już czego szukać w mieście, co żywo go z niego wypędzano. Jeśli z różnych przyczyn towarzysz nie miał ochoty na wyprawę w dalekie kraje i postanowił zostać w mieście, gdzie się dotąd kształcił, wtedy to sam mistrz, który miał się stać jego kolejnym pracodawcą, skrupulatnie zbierał sobie o nim wszelakie informacje, ale zgodę na jego przyjęcie musieli starsi jak najbardziej wyrazić. Zasięgał języka u poprzedniego chlebodawcy, bo musiał wiedzieć, czy oddalił się zgodnie z prawem, czy niczego nie jest winien, jak się ten towarzysz zachowywał. Jeśli mistrz nie dopełnił obowiązku informacyjnego, wówczas, tradycyjnie, musiał do skrzynki cechowej karę zapłacić – najlepiej w wosku, bywało, że i pół funta, lub w pieniądzu – aż do bajońskiej sumy 50 grzywien. Takie ustne przekazy zastępowały dokumenty pisane, o które podówczas było jeszcze trudno. Bywało, że od nowej czeladzi wymagano potwierdzenia posiadania prawa miejskiego.

Pierwsze dwa tygodnie stanowiły próbę i dopiero po tym czasie zdecydowano, czy delikwent zostanie oficjalnie przyjęty do kontuberni. Jeśli wyrażono zgodę, musiał ów w gospodzie czeladnej zdać sprawę o sobie, wpisowe do skrzynki opłacić i dopiero wówczas mógł pertraktować z mistrzem o wysokość swojego wynagrodzenia. Trafiało się i tak, że chłopak pracy nie mógł znaleźć, bo niedojda był albo z jakichś innych przyczyn. Wtedy to jego zadaniem było przepracować dwie niedziele w którymkolwiek warsztacie, aby tak czy owak grosz do grosza uciułać i dalej ruszyć na *wędrówkę*. *A gdzieby który towarzysz,*



który by tu przedtym nigdy nie był, przywędrowawszy roboty nie dostał, takiemu są powin-  
ni mistrzowie starsi s skrzynki dać wochlon jeden<sup>305</sup>.

Decyzyjność cechmistrzów w sprawie przydzielenia warsztatu wędrownemu towarzy-  
szowi wynikała stąd, że ordynacje cechowe narzucały ograniczenia co do liczby towa-  
rzyszy w jednym miejscu pracy, zatem to nie zła wola chlebodawców decydowała o nie-  
przyjęciu delikwenta, tylko reglamentacja miejscówek. Dzięki temu zachowywana była  
równowaga produkcji i zaspokojone poczucie sprawiedliwości. Ponadto dochód czerpany  
z prowadzenia warsztatu także był relatywnie zbieżny, co nie rodziło niepotrzebnych dą-  
sów i wewnętrznych tarć. Kolejną przyczyną, dla jakiej wprowadzono ograniczenie licz-  
by pomocników w pracowni mistrza, była obawa przed zbytnim wzrostem konkuren-  
cji wśród wykwalifikowanych rzemieślników, natomiast obostrzenia, takie jak natych-  
miastowe usunięcie z miasta towarzysza bez pracy, minimalizowały niebezpieczeństwo  
zwiększenia się grupy *szturarzy*.

Jeszcze w XV wieku ograniczenia liczby czeladników, wynikające wprost ze średnio-  
wiecznego systemu prohibicyjnego, były sporadyczne, dopiero kolejne stulecie przynio-  
sło upowszechnienie i surowe przestrzeganie tej praktyki. Magister miał pracować samo-  
trzeć lub samoczwart, czasem i samopiąt. W pierwszym przypadku mógł więc mieć nie  
więcej niż dwóch, a w drugim – nie więcej niż trzech czeladników, w trzecim – czterech.  
Jedynie w kilku cechach można było trzymać dowolną liczbę towarzyszy. I tak można  
było, bez zgody samego przenoszonego i, co ciekawe, zgody jego chlebodawcy, przesunąć  
delikwenta do innego warsztatu, jeśli zachodziła taka potrzeba. *Choremu mistrzowi, także  
ubogiej wdowie towarzysz by snadź jeden był w mieście i przed samemi starszem ma bydz  
dany. A wdowa którego sobie towarzysza obierze według zdania i potrzeby swej, na tym jusz  
przestać ma, a dalej przebierać w towarzyszach nie będzie mogła*<sup>306</sup>. Często zdarzało  
się, że jeśli majstrowie mieli czeladników po równo, to według zasady starszeństwa, moż-  
na im było przydzielić dodatkowych. Jeśli jeden miał dwóch albo trzech nawet, a inny  
magister żadnego, wtedy to obowiązkiem tego, co posiadał towarzyszy, było odstąpienie  
jednego mistrzowi bez czeladzi. Przy *osadzaniu stołków* (przyjmowaniu towarzyszy) nie  
brano niekiedy pod uwagę synów mistrzów. Cechmistrzowi wolno było zatrudniać po-  
mocników ponad miarę, zwykle o jednego więcej niż inni, bowiem traktowano to jako  
specyficzne wynagrodzenie za posługi dla bractwa. Adekwatnie, w kontuberni kurdy-  
banników krakowskich, zasadę tę stosowano wobec... najmłodszego mistrza! Dlaczego?

305 1604. 21 V. *Articuli contubernii marsupiariorum*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 9.

306 Ibidem.

Ano dlatego, że ten, z racji swojego *młodszeństwa*, był Merkurym dla cechu, pełniąc  
rolę posłańca i załatwiając liczne, zlecone przez starszyznę sprawy dla konfraterni. W ten  
sposób chciano mu wynagrodzić czas zmitrężony na sprawy samorządu. Bywało, że ze  
względu na jakieś nadzwyczajne okoliczności, na przykład zjazd w mieście albo sejm,  
wesele monarchy lub pogrzeb króla, starszyzna cechowa udzielała zgody na tymczaso-  
we zatrudnienie dodatkowych rąk do pracy, ale jedynie do momentu zakończenia akcji.  
Starsi skrupulatnie kontrolowali tę zasadę na ogół samodzielnie, chociaż zdarzało się, że  
najmłodszego stażem brata obarczali tym dodatkowym obowiązkiem. Ten wcale nie czuł  
się wyróżniony, bo traktowany był jak donosiciel, a jeśli by nie daj Boże zataił czyjeś prze-  
winienia, to karę do skrzynki musiał cechowej płacić. Zakazane było też podkupywanie  
towarzyszy, czyli mamienie ich lepszymi warunkami pracy i wyższym wynagrodzeniem.

Towarzysza obowiązywała *zasada wypowiedzenia*, żeby mistrz bez czeladnika nie pozos-  
stał. Okres wypowiedzenia wynosił dwa tygodnie, ale jeśli w mieście właśnie miał się odbyć  
jarmark jakowyś albo zjazd czy inne większe święto, to wtedy absolutnie już odejść nie  
mógł, mimo tego wypowiedzenia nawet. Sam mistrz też mógł skorzystać z instytucji praw-  
nej wypowiedzenia, ale on mógł powiadomić młokosa o jego zwolnieniu na tydzień przed  
planowaną datą zakończenia pracy w danym warsztacie, co nie oznacza, że nie zdarzały się  
i terminy dłuższe, nawet do czterech niedziel. Bywało, z różnych przyczyn, że mistrzowie  
nie dochowywali terminu, może nie chcąc bez rąk do pracy pozostać. Wówczas czeladź  
skarżyła się do rajców miejskich: *kiedy towarzysz chce odstać, wedle przywileju naszego po-  
winien odpuszczenie wziąć dwie niedziele przed odprawą; a oni chcą, żeby im wyrabiali nie  
dwie niedziele, ale cztery albo sześć, snąc i jeszcze więcej. Panowie mistrzowie tak się mają za-  
chować z nami: gdy towarzysza chce odprawić, powinien mu tydzień opowiedzieć przed od-  
prawą, a towarzysz tem prędzej powinien robić dla zapłaty lepszej; ale ich odprawują, kiedy  
im się podoba, jeszcze i w nocy, chcąc ich kijem bić; to nie jest rzecz przystojna i niesłychana,  
aby u nas towarzysza miano tak odprawować. My nie chcemy być niewolnikami u mistrzów  
naszych, aleśmy się powinni sprawować wedle przywileju naszego*<sup>307</sup>. Towarzysz miał prawo  
poinformować o swoim odejściu jedynie w wyznaczone dni tygodnia, a mianowicie w nie-  
dziele, ewentualnie też w poniedziałki, jeśli by mistrz postanowił spędzić niedzielę poza  
domem. Gdyby coś się towarzyszowi pomyliło i czekał z informacją na przykład do wtorku  
lub środy, majster nie wypłacał mu *wochlony*. W przypadku rzemiosł, gdzie trudniej było  
o pracownika latem niż zimą, przykładowo w cechach mularzy, towarzysz musiał prze-  
trwać u chlebodawcy całe lato. Czas zimowy liczony był aż do śródpościa, a letni różnie –

307 Pazdro Z., op. cit., s. 48.

chwilami do dnia św. Bartłomieja, a niekiedy nawet do św. Marcina. Czeladź nie mogła wypowiadać pracy w okresie dwu lub nawet i trzech albo czterech tygodni przed i po Bożym Narodzeniu, Wielkanocą i Zielonymi Świątkami. Brak wypowiedzenia po którejkolwiek ze stron mogła zastąpić jedynie decyzja starszych cechu, kiedy niekiedy wymagano, aby towarzysz znalazł zastępcę na swoje miejsce. Z jednego warsztatu nie mogło równocześnie odejść dwóch towarzyszy. Nie można też było go opuścić przed zakończeniem rozpoczętej już roboty. Jeśli młodzieniec postanowił na zawsze opuścić warsztat swego chlebodawcy, wówczas też musiał mieć baczenie na inne sprawy: *niema bydź wolno żadnemu towarzyszowi z roboty od mistrza wstawać na dwie niedzieli przed każdym jarmarkiem lubelskiem tak świątecznym, jako i inszemi pod winą ćwierci kamienia wosku*<sup>308</sup>. Jeśli czeladnik postanowił odprawić się sam, bez wypowiedzenia, wtenczas narażony był na kary grzywny w pieniądzu lub w wosku. Zawsze za taką samowolę groziła mu *trybówka*. Jak towarzysz dochrapał się *trybówki*, równało się to końcowi jego kariery jako rzemieślnika. Już nigdzie, ani w miejscu, gdzie dopuścił się przewinienia, ani też gdziekolwiek indziej nie mógł być już przyjęty do pracy. Traktowano go wówczas jako banitę, wyjętego spod prawa. Nawet jeśli udało mu się jakoś zaczepić na chwilę, infamia trafiała tam w ślad za nim. *Trybówka* była więc skuteczną bronią w walce o zachowanie przepisów.

Tak do końca trudno jest jednak *trybówkę* traktować jako *stricte* karę, był to raczej efektywny środek egzekucyjny. Przede wszystkim brakuje tu kategoriycznie określonych ram czasowych, co ma miejsce w przypadku rzeczywistej kary. Koniec *trybówki* następował z chwilą, jak dotknięty nią nieszczęśnik ukorzył się uczciwie przed starszyzną bractwa, względnie powrócił skruszony do porzuconego chlebodawcy. Była więc ona czasowym i warunkowym zawieszeniem w prawach rzemieślniczych, a dokładniej w możliwości zawierania umów o zatrudnienie, a gdy chodzi o stronę mistrzów – czasowym i warunkowym zakazem dawania pracy *trybowanym* towarzyszom. Ze względu na skuteczność i poziom dolegliwości, stosowano ten środek znakomity także w przypadkach innych występków. Samo wykonanie *trybówki* w miejscu, gdzie delikwent dopuścił się czynu jakiego niecznego, nie było skomplikowane wcale a wcale, trudności pojawiały się, jeśli skubaniec postanowił jak najszybciej oddalić się z miejsca przestępstwa, a tak bywało najczęściej. Wtedy *pisano za nim listy, słano za nim trybówkę*, żeby zmusić cwaniaka do powrotu *na sprawę*, czyli umożliwić danemu cechowi przykładowe ukaranie. Jeśli uciekniemu udało się znaleźć następną pracę, wówczas nowe bractwo skwapliwie się rzezi-

308 1661. 19 VIII. *Contubernio figulorum Lublinskium articuli approbantur*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 118.

mieszka pozbywało. Po pierwsze, taki model tracił zaufanie swoich nowych mocodawców, a po drugie – po co zaprzepaścić z powodu jednego lichego ziarna dobre kontakty, chyba że utracono je już dawniej. Gdyby mistrz ociągał się zbyt z pozbyciem się czarnej owcy ze swojego warsztatu, wtedy pozostała czeladź miała prawo bez wypowiedzenia opuścić taki lewy zakład, aby przymusić majstra do wyrzucenia przechery.

W XVII wieku można spotkać podział na *małą* i *wielką trybówkę*. Z *wielką trybówką* mamy do czynienia wtedy, jeżeli towarzyszowi od razu nie wyrażano zgody na ponowne podjęcie pracy. *Mała trybówka* zachodziła natomiast wtedy, kiedy jeszcze przez okres czterech tygodni mógł rzeczony pracować, ale wyłącznie pod warunkiem, iż takowe rozwiązanie zaaprobowali zarówno mistrzowie, jak i reszta czeladników. W przypadku, gdy *trybowanego* towarzysza udało się pochwycić, to pakowano go do mamra i pomagały w tym cnym procederze władze danego miasta. Siedział więc sobie *trybowany* w kozie póty, póki nie obiecał, że odrobi nie tylko stracony czas, lecz i poniesie koszty strat, jakie wyrządził chlebodawcy swoją rejteradą.

Towarzysze mieli też możliwość legalnego oddalenia się z warsztatu (obok instytucji wypowiedzenia) na skutek odgórnego decyzji władz cechowych. Było to tak zwane *odjęcie czeladzi*, czyli zazwyczaj wynik kary nałożonej na majstra. Jako kary dla majstra nie traktowano przeniesienia pracowników z jednego warsztatu do drugiego, o ile sprawa dotyczyła pomocy wdowie, cechmistrzowi bądź choremu bratu tudzież wyrównania sprawiedliwego liczby towarzyszy u poszczególnych zrzeszonych w kontuberni rzemieślników. Najpierw zabierano czeladź mistrzowi najmłodszemu stażem. Nigdy jednak, nawet na korzyść wdowy, nie umniejszano zastępu czeladników u starszego, chyba że ten miał co najmniej dwóch, albo odwrotnie – nie zabierano towarzysza wdowie, by ten mógł pracować u cechmistrza. *Wdowie, któraby miała potomstwo, to jest syna, takiej niema bydź denegowane rzemiosło przy dziedzicu aż do śmierci i czeladnika sobie chować jej wolno, i gdyby onego nie miała, tedy go powinno dać jej z cechu, wzięwszy od młodszego brata którego, a gdy przydzie pobór cechowy, powinna oni spólnie dawać, jako i insi bracia*<sup>309</sup>. Jako kara umniejszanie liczby pracowników następowało za naprawdę ciężkie przewinienia, chociażby za permanentne lekceważenie decyzji starszyzny. Nazywano tę represję *familiam denegare* – *podniesieniem czeladzi*. Jeśli jakiś czeladnik odważył się mimo wszystko pracować u takiego majstra, wówczas narażał się na surowe konsekwencje, na ogół wysokie grzywny.

309 1661. 19 VIII. *Contubernio figulorum Lublinskium articuli approbantur*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 118.

Pracownika obowiązywał określony czas pracy, aczkolwiek ordynacje przeważnie pomijają ten temat, ergo każdy pracodawca mógł go wyznaczać według własnego widzimisię i zgodnie z własnym rytmem. Wiemy jednakże z różnych źródeł, że był on bardzo długi, bowiem nigdy nie wynosił mniej niż 14 godzin na dzień. Bywało, że wydłużano go do 17, toteż faktycznie niewiele chwil można było w rzeczywistości poświęcić na odpoczynek i inne rozrywki. Tudzież na głupoty. W Polsce ówczesnej posługiwano się *całym zegarem*, czyli, na wzór niemiecki, liczono godziny od 1 do 24. I to wiemy na pewno. Trudno jest niemniej arbitralnie stwierdzić, kiedy owa 1 godzina wypadała. Generalnie zaczynało rachować od wschodu słońca, ale że codziennie przecież słońce wschodzi o zupełnie innej godzinie, co jakiś czas zegar od nowa trzeba było regulować. Końcem końców tak się utarło, że godzina 24 wypadała zawsze w momencie, jak zaczynało zmierzchać, a słońce skryło się za nieboskłonem.

Czas pracy inaczej wyglądał latem, a inaczej zimą. Jedną z głównych dat granicznych przechodzenia z okresu letniego w zimowy był koniec sierpnia, a najlepiej święty Michał – 29 września. Koniec zimy przypadał na koniec lutego, od wielkiego dzwonu – i na koniec kwietnia, bywało, że i na Wielkanoc. Porą zimową, biorąc pod uwagę współczesną nam rachubę czasu, pracę rozpoczynano między 4 a 7 rano, a kończono – między 17 a 20, a bywało, że i około 22. Prościej cała rzecz się miała w okresie letnim, kiedy na ogół wszystkie bractwa ochotnie rozpoczynały robotę wraz z paniem koguta. *Czeladź ma się stawić do roboty skoro dzień, a nie mają z niej schodzić aż o dwudziestą trzecią godzinę tak lecie jako i zimie, a mają insze godziny wolne dla wythnienia sobie, to iest godzinę przy śniadaniu a godzinę przy obiedzie, która ma być od Wielkiej nocy do ś-go Michała, a zimie nie ma być godzina śniadanna*<sup>310</sup>, jak mówiły przepisy statutu cechu cieśli w Lublinie. Towarzyszom należały się przerwy – na śniadanie, obiad lub podwieczorek, ale ten czas odliczano od godzin pracy. Bimbanie sobie i odstępowanie od ustalonego z góry porządku – czyli norm czasu pracy – mogło nastąpić wyłącznie za zgodą majstra lub w przypadku choroby jakiegoś. Gdyby towarzysz sprzeniewierzył się tym nakazom, wówczas mógł spodziewać się bezwzględnych sankcji. *Któryby czeladnik alias towarzysz nie robił w poniedziałek, tedy w sobotę ma być po wieczery alias po robocie do więzienia urzędu wójtowskiego wsadzon, a w niedzielę do mistrza ma być na obiat wypuszczony*<sup>311</sup>. Zdarzało się, że czeladnicy musieli pracować ponad wyznaczony limit, szczególnie gdy

310 1619. 26 VI. *Ordinatio fraternitatis contubernii fabrorum lignariorum seu carpentariorum Lublinsium*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 35–36.

311 1649. 9 VII. *Contubernio sutorum articuli approbantur*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, s. 57.

wymagała tego pilna robota przyjęta przez pracodawcę. Wiązało się to z osobnym wynagrodzeniem za „godziny nadliczbowe”.

W statutach określano ponadto wysokość *myta* – *placy*, *salarium*. Sprawa ta leżała w gestii starszyny bądź cechowego zgromadzenia, nadzorowanego w tej kwestii przez radę miasta. Po pierwsze – mistrzowie mogli utrzymać wynagrodzenia swoich młodzieńców na tym samym poziomie i nie dopuścić do bezzasadnych podwyżek, a po drugie – eliminowano już na wstępie niezdrową według ówczesnych pojęć konkurencję. Zakazane bowiem było wypłacanie *salarium* ponad taryfę ustaloną przez konfraternię, ani też czeladź nie miała co się upominać o większe *myto*, wiedząc, że niczego nie ugra. Ordynacje jednak bardzo zapobiegawczo odnosiły się do górnej granicy wynagrodzenia. Decyzję o faktycznej jego wysokości podejmował sam pracodawca, który więcej dać nie mógł, ale mniej jak najbardziej. Brał pod uwagę wszystkie aspekty tej sprawy, czego nie mogli dokonać pozostali mistrzowie. Gdyby okazało się, że jakiś towarzysz pilnym i biegłym w wyuczonym rzemiośle tak do końca nie jest, bądź lekce sobie waży swojego patrona, wówczas tenże nie miał co się kokosów spodziewać. Owszem, posiadał za to prawo do wniesienia sprawy do rozpatrzenia przez starszyny cechową. Podówczas wzywano obu – i majstra, i czeladnika, a starsi, oceniając robotę skarżącego, sprawiedliwie osądzali, czy skarga jest zasadna. Ponieważ niektóre konfraternie przyjęły określony model kategoryzowania pracowników i kierując się tymi wytycznymi, ustanawiały indywidualnie *myta* dla każdej z grup. Na ogół po prostu dzielono towarzyszy na młodszych i starszych (stażem), acz zdarzały się i co bardziej skomplikowane rozróżnienia, na przykład biorąc pod uwagę rodzaj wykonywanej roboty bądź porę roku.

Wypłata *salarium* zwykle odbywała się co tydzień, chociaż wśród siedemnastowiecznych zapisów statutowych znajdziemy i takie, które mówią o wypłacie wynagrodzenia nie częściej niż raz na kwartał, co trudno sobie wyobrazić współczesnemu pracownikowi, podczas tak zwanego *rachowania wielkiego*. Owo rachowanie odbywało się np. w Boże Narodzenie, w święta wielkanocne, niedzielę pierwszą po św. Janie i czwartą niedzielę po św. Michale. Płacono na ogół za czas pracy, co w praktyce wcale nie oznacza, że nie płacono i od sztuki, chociaż były to skrajne przypadki, rozpowszechnione raczej wśród bractw złotników, czasem także u tkaczy albo sukienników. Bywało, mimo że sporadycznie, że w jednym cechu funkcjonowały obie formy podstawy wynagrodzenia.

Czeladnik nie otrzymywał zapłaty za dni, w które nie pracował, czyli za dni wolne. Obowiązkiem pracodawcy było płacenie na czas, bez zbędnej zwłoki, w innym przypadku miał on do czynienia z władzami cechowymi. Wynagrodzenie podlegało szeregowi

uzupełnień, a były to *trunkiele* i utrzymanie, czyli stół, mieszkanie i spanie. *Trunkiel* – *trunkal*, *bibales*, *na-piwek*, *Schosswerk*, *przepicie*, *Trunkgeld* – stanowił dodatkowy zarobek towarzysza. Najczęściej należał się za to, że czeladnicy zajmowali się drobnymi pracami (wyręczając mistrzów) na swój rachunek, sprawiedliwie dzieląc nadwyżkowy zarobek między siebie, jeśli czeladników w danym miejscu było co najmniej dwóch. Taką pracę wykonywali poza obowiązującymi godzinami pracy. Materiał, jakiego używali, musieli mieć własny lub poprosić majstra o użyczenie. Niezapytanie się o zgodę powodowało utratę całego *bibales*. I jak to w rzemiośle bywa, jego wysokość również z góry była ustanawiana. Czasami towarzysze mogli liczyć na obrywy, jeśli mistrz sprzedał jakiś droższy towar. Początkowo *trunkal* był tylko zwyczajem, z biegiem lat jednakże stał się obowiązującą normą. Towarzysze chytrze starali się rozszerzyć wachlarz robót, za które należałoby się *przepicie*, gdyż był to dla nich szybki i czysty zysk. Cwani młodzieńcy z cechu konwisarzy w Krakowie wzbogacenie podstaw *Schosswerku* o dodatkowe punkty argumentowali tym, że przecież także dzieje się w Lublinie, więc dlaczego ma to nie dotyczyć i ich? Przemysłni panowie mistrzowie list do Koziego Grodu z odpowiednim zapytaniem wysłali, jak się sprawy rzeczywiście tu u nas mają. Jakież musiało być ich zdziwienie, kiedy w odpowiedzi przeczytali, że informacje przekazane przez krakowską czeladź są wyssane z palca i to tylko czcze bajanie. Niestety, źródła milczą o konsekwencjach, które z pewnością do żywego dotknęły blagierów.

Prawie zawsze czeladnik miał utrzymanie u mistrza, bowiem i tu stosowano zasadę familiarności, czyli, hm, ograniczonego zaufania. Młodzieniec jadał przy majsterskim stole, a jeśli nawet tego nie czynił, to i tak miał w obowiązku mieszkać w domu swojego pracodawcy. Oczywiście nic darmo. Latem, kiedy czas pracy automatycznie się wydłużał, bo i dzień przecież był dłuższy, towarzysze jedli posiłki cztery razy dziennie, zimą natomiast trzy. Jak wypadały postne dni, spożywali wyłącznie ryby, o mięsiwie mogli zapomnieć. Plusem było to, że do obiadu i kolacji, a czasem też i do podwieczorku, dostawali piwo, chociaż ci co bardziej oszczędni zamiast piwa brali *piwne*, czyli finansowy zamiennik. Jeśli praca wykonywana była na akord, to czeladź zwracała pracodawcy za wikt.

Towarzysz otrzymywał nie tylko wyżywienie, ale również miał gdzie głowę przytulić do poduszki, bo mistrz oferował mu mieszkanie. Było to jednocześnie i obowiązkiem, i prawem. Z jednej strony nie musiał niepotrzebnie wydawać pieniędzy na wynajem jakiegoś lokum, a z drugiej – podlegał nieustannej kontroli majstra. Musiał się zastosować do jego reguł gry, w szczególności pilnując powrotu do domu na noc: *a kiedy by który towarzysz u mistrza nie nocował tak w niedzielę, święto i w dzień powszedny, tedy wochlon*

(s.) *traci*<sup>312</sup>. Niektóre cechy, dbając o higienę swej czeladzi, zarządzały, aby co kilka tygodni otrzymywała ona czystą i świeżą pościel, na przykład u lubelskich szewców: *mistrz powinien dać towarzyszowi pościel własną tak, jako się zachowuje. A jeśli by się towarzysz albo młodzieniec w pościeli nieucciwie i nieporządnie zachował, ma być karan obyczajem*<sup>313</sup>. Pranie odbywało się co 2 tygodnie. Wówczas towarzysz miał oddać swoją bieliznę, koszule czy chustki. Opierunek odbywał się w domu chlebodawcy. Łóżko czeladnika zawsze musiało być porządnie zasłane, o kładzeniu się na wyrku w butach lepiej było nawet nie myśleć. Utrzymywaniem czystości pościeli zajmowała się majstrowa białogłowa. W średniowieczu wbrew pozorom higiena odgrywała doniosłą rolę, stąd też ferajnie czeladników należał się dodatek (datek) na łaźnię – *główna prezerwatywa przeciw panującym chorobom zaraźliwym, a zarazem jedna z najmilszych wygódek i traktamentów*<sup>314</sup>. Wyruszano do łaźni gromadnie, był to bowiem czas, jaki można było poświęcić na pełne serdeczności spotkanie towarzyskie. *Jeśliby który w łaźni nie był, nie mają go towarzysze karać, gdyż na tem nie szkodzi, bo przyrodzenie towarzyszków drugich nie może znosić łaźni, jednak mistrz ma mu dać obyczaj tego*<sup>315</sup>, jak głosiła ordynacja stelmachów. Cóż, przykład idzie z góry, zatem majster co 10 dni lub co dwa tygodnie wysuptywał z sakiewki grosiki, żeby wspomóc podwładnego w pielęgnowaniu czystości, a i sam przykładowo do łaźni miał chadzać. Ów przybytek wolno było nawiedzać w dni wolne od pracy lub po skończonej robocie, bo, wiadomo, robota rzecz pierwsza. Każde bractwo miało wyznaczony konkretny dzień tygodnia, wtedy to zarówno mistrzowie, jak i towarzysze poddawali się gruntownym ablucjom. Przywilej cechu kotlarzy w Lublinie głosił: *towarzysze rzemieśla tego w sobotę o 22 godzinie mają wstać z roboty i do łaźni iść, którem mistrz łaźnienego po groszu dać będzie powinien*<sup>316</sup>.

W sumie towarzysz nie był, przeciwnie do ucznia, zobowiązany do wykonywania jakichkolwiek robót, które nie byłyby z rzemiosłem ściśle związane, ale i od tej reguły zdarzały się wyjątki. Bywało, że jeśli trafił do warsztatu, gdzie żadnego ucznia nie trzymano, to jednak jakoweś posługi wykonywać musiał. Przede wszystkim do jego zakresu czynności należało porządkowanie miejsca pracy swojego i mistrza, a także zamykanie okien. Niekiedy, na przykładzie zapisów statutowych cechu rzeźników w Krakowie, jak nie było sprzedaży mięsa ubojnego, co na ogół wiązało się z nakazami religijnymi, jesz-

312 1649. 9 VII. *Contubernio sutorum articuli approbantur*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 57.

313 Ibidem.

314 Pazdro Z., op. cit., s. 72.

315 Ibidem, s. 72.

316 1619. 4 I. *Oblata articularum contubernii caldeatorum*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 32.

cze swoje w oborze u majstra obrobić musiał, czasem poruczano mu rąbanie drew albo wodę musiał ze studni naprzynosić. Zdarzało się, że i inne posługi domowe nie miał wyboru, jak co pilniej i co rychlej spełnić. A na pewno, co wyraźnie podkreślano, nie mógł wykonywać robót zbyt skomplikowanych i solennych. Pod żadnym pozorem nie miał wpuszczać kogo obcego, jeśli w tym momencie chlebowdawca przebywał poza swoim warsztatem. Zakazano także skracania godzin pracy. Gdyby mimo to dopuścił się takiego występku, miał świadomość, że może utracić cały zarobek z danego dnia. Nie daj Boże dobrał się do beczek z piwem! A to miał za swoje – fałszowanie i spuszczenie piwa kosztowało smakosza 6 *wochlonów*, czyli jak przymus miał jaki piekielny i w gardle go paliło, tracił zarobek za sześć niedziel harówki... Każde przewinienie skrupulatnie zapamiętywano i za każde musiał bisurman odpokutować. Narzędzia były świętością, można ich było używać wyłącznie za zezwoleniem mistrza. Trafiła się, że nieraz musiał mieć towarzysz własny zestaw, a dotyczyło to rzemiosł co bardziej precyzyjnych – na przykład na robocie u stolarza czy chirurga. Mistrz miał wiedzieć dosłownie o wszystkim, ani chybi o tym, co towarzysz porabia. Pod żadnym pretekstem nie był upoważniony czeladnik do samodzielnego przyjmowania zamówień, czy też, Boże broń, leczenia na własną rękę, jeśli był towarzyszem w konfraterni cyrulików. Nie było możliwe, aby szafował produktem, jaki wykonano w majsterskim warsztacie. Poza tym nie zgadzano się na sprzedaż nowiutkiego, świeżo uszytego przyodziewku na tandecie. Jeśli jakowyś krawiecki mistrz namierzył któregoś z czeladników ze swojego cechu na takim procederze, konfiskował trefne mienie i przekazywał do ratusza dla biednych.

Na czeladniku ciążył nie tylko wymóg bacznego doglądania mistrzowskiej chudoby, ale i donoszenie majstrowi o jakichkolwiek zaistniałych niedociągnięciach czy grzeskach. Brzydki zwyczaj, nie powiem, gdyż taki system otwarcie popierał skarżypoctwo i wywoływał ferment wśród gromady czeladnej. Niestety, musiał towarzysz donosić, gdyż w przypadku, gdy wiedział o popełnieniu przewinienia przez ziomka ze swojego warsztatu, a nie doniósł uprzejmie o fakcie, tedy sam karze podlegał. Te szpiclowskie metody brały na cel przede wszystkim dyletantów, co psuli robotę, niszczyli materiały i narzędzia; złodziejasków, którzy mieli lepkie ręce i lubili sobie przywłaszczyć majstrowe dobra albo tych, co nieokrzesać się zachowywali, przynosząc wstyd rzemiosłu. *Jeśliby któremu z Magistrów iaki despekt odnieść ze strony czeladnika o złe wygotowanie roboty przytrafiło a Magister będąc też pierwszym impetem uwiedziony trącił czeladnika albo iakiey siności na twarzy nie uczynił, tak ma być od winy wolny*<sup>317</sup>.

317 Herbst S., op. cit., s. 21.

W życiu prywatnym status towarzysza i status mistrza dzieliła przepaść. Ten dystans notorycznie był podkreślany przepisami ordynacji bractw, ponadto gorliwie czuwano nad jego przestrzeganiem. Przykładem owej drobiazgowości było nasze lubelskie podwórko. Otóż mistrzowie jako ta najważniejsza grupa rzemieślników i zacni miasta obywatele na nabożeństwa uczęszczali do kolegiaty św. Michała Archanioła, a towarzysze po mieście do innych świątyń musieli latać, najczęściej do dominikańskiej bazyliki. Do majstra mówiło się per „panie mistrzu”, towarzysz takiego zaszczytu per „panie towarzyszu” nie mógł dostąpić. Jego obowiązkiem było zdejmowanie kapelusza podczas rozmów z panami, grzeczne i oględne wyrażanie się, a nadto wszelakich sporów unikanie: *A towarzyszu albo młodzieniec który by się na mistrza targnął słowem nieucciwym albo też przy białejgłowie, t. j. mistrzowej, albo przy dzieweczkach słowa nieucciwe mówił, jeśli starszy, ma bydz karan winą piennężną, a jeśli młodszy, obyczajem tak, jak się zachowuje*<sup>318</sup>. Bardzo duży nacisk ordynacje kładły na sprzeniewierzenie się w postaci podniesienia ręki na mistrza. Dość często musiały się zdarzać tego typu sytuacje, skoro niemal każdy przywilej cechowy wyraźnie zastrzegał, że rękoczynny są surowo wzbronione. Szacunek i posłuszeństwo trzeba było mieć w stosunku do całej rodziny chlebowdawcy. Mistrza, a jakże, też obowiązywał szereg zakazów: *żaden mistrz nie ma towarzyszowi pożyczać wprzód pieniędzy więcej dwanaście groszy, a robieńcowi 6 groszy; kto by przeciw temu wystąpił, 6 groszy winy przepada cechowi*<sup>319</sup>. Aby nie obniżyć swej godności, nie mógł, na przykład, siąść ze swoimi towarzyszami do jednego stołu i w kości albo w karty grać, jako też i piwa wspólnie szklanice wychylić.

Moralna kontrola nad poczynaniami czeladzi była o tyle łatwa, że czeladź przecież mieszkała wspólnie w jednym domostwie ze swoim pracodawcą, który czujnie obserwował, co rzeczona porabia. Ponadto stołowali się wspólnie, a każdorazowe wyjście towarzysza gdzieś „w miasto” winno być poprzedzone odpowiedzeniem się i zgodą majstra. O noclegu poza domem nie mogło być mowy, spóźnialscy mocno odczuwali na własnej skórze, a i sakiewce, swoją niesubordynację. *W wypadkach wykroczeń czekała młodź cechową kara cięga we warsztacie (haftarze i łucznicy) lub korbaczem w cechu (tkacze), gdzie również delikwentów darzono lagami na biskupie (piekarze). Te przyrzędy kary cielesnej wspominają liczne statuta, a księgi cechowe wymieniają je jako pozycję inwentarzową*<sup>320</sup>. Gdyby na dodatek któryś z czeladników wpadł na genialny pomysł wycieczki do zamtu-

318 1649. 9 VII. *Contubernio sutorum articuli approbantur*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 57.

319 1604. 21 V. *Articuli contubernii marsupiariorum*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 11.

320 Charewiczowa Ł., op. cit., s. 14.



za, wówczas tracił dobrą sławę i co rychlej z roboty wylatywał, co by sromoty dłużej nie przynosił, a panowie mistrzowie nie musieli się więcej za miłośnika niewiast lekkich obyczajów wstydić. Czasami wolno nawet było, w co bardziej spolegliwych cechach, zawierać towarzyszom związki małżeńskie. Ze względu jednak na wyśrubowane moralne zasady, żonaty towarzysz miał nakaz mieszkania wraz z połówicą. Nie mógł również bez swojej pani u jednego majstra dłużej niż 2 tygodnie robić, po tym czasie miał sprowadzić małżonkę do siebie bądź ruszyć w dalszą wędrówkę.

Skoro cnotliwość i rzetelność czeladnika podlegała kontroli, to tym bardziej jego ubiór. Obowiązkiem młodzieńca było odziewać się zarazem schludnie, jak i skromnie, Boże broń po ulicach chadzać boso, a w domu nosić miał roboczy fartuch. Zalecenia dla czeladzi można podsumować następująco:

*Art. XVIII: Kłopotów, poswarków, zawłósków, szkaradnych mów i pieśni mają się na warsztacie pilnie wystrzegać i przezwisków sprośnych sobie nie dawać, w pościelach się dobrze zachować, na ulicę po pijanemu z góry nie wyglądać, ani ciskać, ani się odzywać, pod winą, którą cech uzna i ustawi. (...)*

*Art. XX: Kart, kostek i inszej wszelakiej gry nie będą się ważyć grać, ani oręża, sukien, czapek, chustek i inszych rzeczy zastawiać.*

*Art. XXI: Żaden, aby się nie ważył po gospodach cudzych poniewierać i tam noclegować, jedno u mistrza swego, gdzie robotę ma i to tam gdzie zwyczajnie leganie mistrz mu naznaczy, nie tulając się długo po domu, pod winą.*

*Art. XXII: Nie ma mistrz czeladnika obiadem ani wieczerzą czekać, ale czeladnik powinien obiadu i wieczerzy pilnować i czekać, nie bawiąc się długim posiedzeniem na gorzałce, jako zwykły, pod winą.*

*Art. XXIII: Kiedy u mistrza piorą chusty, ma dać swoje koszule, chustki et caetera co mu mają uprać<sup>321</sup>.*

Klemens Bąkowski równie trafnie to ujął: *Żaden towarzysz nie ma niezwyczajnie od roboty wstać przed czasem, póki zegar nie wybija, pod straceniem tygodniowego myta.*

*Item: kiedy towarzysz wstanie od mistrza bez obyczaja, taki ma być karan ćwiercią kamienia wosku.*

*Item: jeśliby który towarzysz potajemnie gdzie robił robotę, tedy z pomocą urzędu mają wziąć takowego z robotą i naczyniem jego.*

*Item: żaden towarzysz stoliarski nie ma u snycerzów abo u malarzów robić.*

321 Bieniarzówna J., *Z dawnego Krakowa. Szkice i obrazki z XVII wieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957, s. 206.

*Item: towarzysz, który robi u mistrzów nieprawnych, to jest partaców, ten karan ma być kamieniem wosku.*

*Na pogrzeb mistrza abo towarzysza winni towarzysze iść i ciało do grobu nieść. Poniedziałków święcić towarzysz żaden niechaj się nie waży<sup>322</sup>.*

Jak który gwizdał sobie na imperatywy bractwa, to na pobłażanie nie mógł liczyć, aczkolwiek... *Działo się w cechu przy pp. cechmistrzach i przy bytności braci wszytkiej cechowej w niedzielę czwartą po Świątkach r. P. 1628. Na terminie dzisiejszym z remissji ich mości pp. radziec lubelskich, którą uczynieli dekretem swym w sprawie o nieposłuszeństwo towarzyszów przeciwko pp. cechmistrzom cechu rzemieślnicza złotniczego, pp. bracia wszyscy zszedłszy się jednostajnie do cechu, zabiegając tak wielkiej swejwoli, która się między towarzyszami od niemałych czasów pokazuje, więc tesz aby przywileje cechowe od króla j. mci ś. p. nadane wcale zostawały, aby też i porządek cechowy według dawnego zwyczajnego nie był naruszony, taki dekret spólnie uczynili. Naprzód pro hac vice za proźbą i przyczyną niektórych pp. braci te excessy terażniejsze odpuszczają i condonują towarzyszom. A jeśliby potym towarzysze terażniejsi, jaki i na potym insi będący, tak swawolni i nieposłusni byli, żeby na obesłanie cechowe do cechu i na załomse do kościoła według porządku cechowego przyść nie chcieli, ale z tej occasiej zuchwalstwa i bunty jakie czynieli, od robót swych odszedłszy, tedy zarazem od tego czasu mocą cechu wszytkiego trynkielt ma być onym odjęty wiecznymi czasy. Do tego żaden z towarzyszów, na których się ta swawola pokaże, o takowe nieposłuszeństwo i bunty nie ma mieć miejsca u żadnego brata, i powinien będzie każdy mistrz nie chować go odtąd u siebie i myto jego zarobione do cechu oddać pod winą dziesiąci grzywien, której winy połowica pp. rajcom, a połowica na wosk do kaplice obracać się ma. Nadto z takowych żaden nigdy przystępu do cechu mieć nie będzie, gdyby się chciał tu postanowić. A gdyby się między takowymi znajdował tuteczny uczeń albo syn złotnicy, taki beneficia zwykłe do stanowienia traci, ale za odprawieniem winy według wynalazku pp. braci jako obcy ma przyjmowan być do cechu. A jeśliby zaś który towarzysz sam jeden zaniedbał przyść za obesłaniem do cechu bez przyczyny słusnej, takowy winy złotych dwa niedopuszczenie dać ma toties, quoties będzie niesposłusny. Co się ma rozumieć o wszytkich towarzyszach tak od złota, jako i od srebra, tak cudzoziemcach, jako i o Polakach. Który decret wszytszy towarzysze w cechu przyjęli i od niego nie appellowali<sup>323</sup>.*

Niektóre przywileje cechowe „roztaczały” opiekę prawną i na grono towarzyszy i była to bardzo specyficzna opieka. Na przykład zakazano, aby mistrz zmuszał czeladnika do

322 Bąkowski K., op. cit., s. 37–38.

323 1628. 29 XII. *Aurifabri obtulerunt decretum*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 45–46.

pracy, bo zachodzi obawa, że w takiej sytuacji robotę spartoli i tylko szkodę panu swemu przyniesie. Ówczasie nie mówiono o ochronie praw pracowniczych, a o związkach zawodowych to już lepiej zapomnijmy. Co nie oznacza, że w zgodzie z niegdysiejszym pojęciem świata i sprawiedliwości społecznej nic w tym kierunku nie czyniono. Każdy mistrz, który nie wypłaciłby należytego *myta* na czas i w odpowiedniej do tego wysokości, musiał liczyć się z bezpardonowymi represjami. Kiedy niekiedy ordynacje cechowe postanawiały, że w obowiązku pana majstra będzie dogłądanie niedysponowanego czeladnika: *chorego towarzysza mistrz tylko dwie niedzieli opatrować ma, a dalej starsi mistrzowie, jeśliby chorował, mają mu dać na wyżywienie po groszy sześciu albo więcej, które pieniądze ozdrowiawszy odda albo na to zakład pod utraceniem rzemiosła położy*<sup>324</sup>, jak stanowił statut cechu garncarskiego w Lublinie. Zdarzało się więc, że mizerota nie zdążył w te dwie niedziele wyzdrowieć, albo więc panom mistrzom był, jak widać, za zapomogę dłużny, albo przekazywano go pod kuratelę towarzyszy w gospodzie czeladnej. Mogło zdarzyć się, że choróbko było na tyle ciężkie, że już nikąd pomocy, driakwie żadne nie pomogły i Pan powoływał do siebie nieboraka. W cechach lubelskich bractwa organizowały pogrzeb na swój koszt: *a jeśliby umarł, zastawę mistrzowie oszacują, a pieniądze do skrzynki włożą, ostatek na dobre uczynki za dusze ich obrócą. A jeśliby na milę albo trzy towarzysz od miasta umarł, mają poń mistrzowie posłać i onego słusznie pochować*<sup>325</sup>, co ustanowiło wspomniane już bractwo garncarzy, *bądź item jeśliby który brat albo siostra, albo kto z dzieci, czeladnik albo sługa umarł, ma byź od wszystkiej braci cechowej chędogo zaniesiony i pogrzebiony i nazad wracając się, mają osobę osierociałą na miejsce mieszkania jego odprowadzić i nawiedzić, także i pocieszyć pod winą grosza jednego*<sup>326</sup>, o czym mówiły przepisy ordynacji lubelskich piwowarów.

Podstawowym ograniczeniem samodzielności czeladzi był tak zwany *przymus cechowy*. Pod żadnym pozorem towarzysze nie mogli podjąć się i wykonywać pracy na własną rękę. Zakaz rozciągnięto także na zatrudnianie się u *partaczy*. Rzadko czeladnicy łamali te reguły, bowiem było to równoznaczne z całkowitym anulowaniem lat pracy i wcześniejszej nauki, czyli całego procesu kształcenia, a ponadto taki gangster automatycznie wylatywał z bractwa z wilczym biletem. Przymus cechowy dotyczył nie tylko czeladników, ale i panów mistrzów. W zasadzie, jeśli owi naruszyli srogie prawa cechowe, podlegali karom o wiele bardziej dolegliwym. Majster miał świecić przykładem, zatem wymagano

od niego i przystojnego, i zacnego zachowania; i baczenia na przepisy związane z ograniczeniem produkcji, i dotrzymywania zobowiązań nawet w stosunku do towarzyszy. Gdy uchybił tym nakazom, w konsekwencji karano go grzywną (pieniężną lub w wosku) albo, przy co cięższych występkach, odebraniem czeladzi lub w naprawdę skrajnych przypadkach, zamknięciem warsztatu bądź utratą prawa do wykonywania zawodu.



324 1661. 19 VIII. *Contubernio figulorum Lublinensium articuli approbantur*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 119.

325 *Ibidem*, s. 119.

326 1649. 28 VII. *Fundatio contubernii braxatorum*, [w:] Riabinin J. (oprac.), *Lauda...*, op. cit., s. 60.

## Magister

W teorii każdy towarzysz mógł zostać majstrem cechowym. Ordynacje poszczególnych bractw określały, ile to lat musiał być młodzieniec za towarzysza, aby móc potem poważyc się o podniesienie swojej pozycji w rzemiośle o oczko wyżej. Zwykle proces ten trwał około sześciu lat, co wcale nieoznacza, że cechy nie skracaly tego okresu do lat trzech albo nawet do roku. Niełatwo było jednak sprostać wszystkim warunkom, jakie obowiązywały przy tych wyzwolinach ostatecznych. Po pierwsze musiał się chłopaczyna na wędrowkę udać. Początkowo, jak wiemy, był to normalny tryb poszukiwania pracy i swojego miejsca, lecz z biegiem czasu stał się powinnością, niezbędną do zdobywania rzemieślniczego wykształcenia oraz ogłady towarzyskiej, poszerzenia swoich horyzontów myślowych, a nic przecież lepiej nie kształci niż podróże. Kwalifikacje zawodowe, fachowość i biegłość w rzemiośle sprawdzano podczas wykonywania *majstersztyku*. Była to tak zwana *sztuka mistrzowska*, *Meisterstück*, *meistersztyk*. Na początku *majstersztyk* dawał możliwość pokazania swoich możliwości, będąc jednocześnie niczym innym, jak odzwierciedleniem nowej postawy wewnętrznej ówczesnego człowieka, ponownymi narodzinami rzemieślnika, który w trakcie twórczej rywalizacji był w stanie samodzielnie rozwiązywać gospodarcze dylematy. Z biegiem lat *sztuka mistrzowska* straciła na znaczeniu, stała się po prostu nieprzystępnym, trudnym i bezsensownym pretekstem do prawienia złości pod adresem przyszłego mistrza. Przedmioty, jakie wyrabiano podczas tej procedury, nie miały racji bytu na rynku sprzedaży, na ogół były też do niczego nieprzydatne i wykonane z luksusowych i niepraktycznych w rzeczywistości surowców. *Meisterstück* został odarty ze swojej pierwotnej funkcji – ze sprawdzenia biegłości w rzemieślniczym fachu, stał się natomiast powodem do wycyganienia od obcego kandydata jak największych pieniędzy, co automatycznie zamykało cechowe podwoje przed niezamożnymi towarzyszami. Później te bardzo wysokie opłaty spowodowały, że do bractwa dopuszczano przede wszystkim członków rodzin po-

szczególnych mistrzów, synów, zięciów, kuzynów, w każdym razie bliską rodzinę. Cechy, wobec nieprzyjaznych warunków zewnętrznych, czyli polityki dominującej na polu gospodarczym szlachty wobec bierności monarchy, stawały się coraz bardziej hermetyczne, chcąc po prostu przeżyć, zamykając się na nowych, bo nowi stanowili zagrożenie.

Każda konfraternia rządziła się swoimi prawami, acz pod tym względem działo się podobnie. Na ogół czeladnik, który zapragnął ubiegać się o status mistrza, przede wszystkim o swoim zamiarze musiał powiadomić panów starszych cechowych oraz swojego chlebowodawcę na rok i sześć niedziel przed planowanym złożeniem sztuki. Od tego momentu nie wolno mu było zmienić pracodawcy. To od cechmistrzów zależało, co będzie wykonywał w trakcie egzaminu. Zdarzało się, że starszyzna sama dostarczała mu potrzebne surowce, niekiedy towarzysz musiał zadbać o nie sam. Jak co źle i po partacku wykonał, trzeba było zaczynać od początku, ale dopiero po rocznej karencji, chociaż i ten termin niektóre konfraternie skracaly. W tym czasie towarzysz miał szansę na zdobycie większej lekkości i biegłości w wybranym przez siebie rzemiośle. Bywało, że podówczas miał za zadanie wędrować, żeby przyjrzeć się cudzoziemskim zwyczajom i sztuczkom, podpatrzeć co ciekawsze rzeczy i ćwiczyć się, i ćwiczyć się, i ćwiczyć się... W kontuberni krakowskich introligatorów *odstąpienie od raz już powziętego zamiaru wykonania sztuki mistrzowskiej zamykało drogę do otrzymania tytułu mistrza z prawem pozostania w Krakowie*<sup>327</sup>.

W drugiej połowie XVI stulecia pojawiły się zupełnie nowe rozwiązania dotyczące wystawienia cenzurki sprawności rzemieślniczej. Niektóre bractwa zezwalały, by czeladnik wpłacił jeno do skrzynki cechowej określoną sumę i po sprawie. Zostawał mistrzem. Na ogół jednak trzymano się surowych reguł wykonania *meistersztyku*. A majstersztyki były różne, nigdy zaś łatwe, gdyż bycie mistrzem miało stanowić ukoronowanie całego żmudnego procesu kształcenia i podkreślić rolę nie tylko rzemiosła, ale i danego człowieka w miejskiej społeczności. W lubelskim cechu miechowników *odprawiwszy wędrowanie, jeśliby chciał wpośrodek mistrzów rzemiosła tego być przyjęty, powinien będzie u jednego mistrza przez rok zupełny robić, a po cztery razy się w cechu opowiadać i za każdym opowiadaniem do skrzynki cechowej groszy 12 włożyć. Zatym do krajania i kształtnego wyrobienia stuk rzemiosłu temu miechownicemu należących przystąpić ma, których jest cztery. Naprzód swedlar w pułtora koła, z czerwonego dobrego zamsu, na przodku trzy miechy nasadzone, w jednej stuce ukrojone pod forbogiem, między temi miechy mają być cudne lajstiki na wierzchu w chaptstuklu, w forbogu mają być mundt. Druga strona tego swedlera ma być z bodnem, na której mają być trzy miechy i mundt z jednej sztuki a prze-*

<sup>327</sup> Orzelska-Konarska B., op. cit., s. 36.

strono ukrojone i cudnie skrawowane, a wszystkie miechy mają być przestrono ukrojone, aby się dobrze otwierały, a fałdy wszystkie u miechów i mundtów mają być chędogo stadernetlowane farbistym jedwabiem. Wtóra stuka jest miech dwanaścierzędny o sześci mie-skach, a te dwanaście rzędy mają być od jedwabiu chędogo uczynione, a na wierzchnych czugrynach mają wisieć dwa miechy sześcierzędne. Hengiel ma być chędogo jedwabiem wyszywany, na niem knafel namisterniejszy, ku tej stuce należący; także tesz na spodku w koronce. Trzecia stuka jest fałdowany miech staroświecki crakowski, na każdej stronie po jednym miechu, na niem i nad niem rycerskie węzły, a zwierzchu i zewnątrz aby był dobrym zamszem futrowany i dobrze przestrony, a z stron wszędzie falcowany s pozłotki; u tegoż miecha hengiel wyszywany i knafel urobiony ku takowej stuce należący, strzępki s czerwonego zamszu pozłotką futrowane. Czwarta stuka jest para rękawic dolowana z jednej stuki, dobrze ukrojona i uszyta, aby w niej był szew wewnętrzny, żeby go nie widać, a po wierzchy ma być chędogo wyszywana rozmaitem jedwabiem co namisterniej być może. Te stuki mają być w domu starszego mistrza przy obecności wszystkiej braciej cechowej bez modła albo formy krajane i tak wygotowane, żeby za spólnem zezwoleniem i uznaniem wszystkich mistrzów rzemiosła tego za stuki prawe i dostateczne przyjęte były. A gdzieby kto w których przeopisanych stuk zblądził albo co omylnie ukrojeł, powinien znowu krajać, a takowej stuki dłużej nad sześć niedziel żaden robić nie ma pod winą, któraby w cechu uznana była. Wszakże od krajania i wyprawowania stuk wyżej mianowanych mają być excipowani i wolnemi uczynieni mistrzowiczowie wszyscy lubelscy, jednak rok cały wędrować, także rok cały robić u mistrza jednego, cztery razy w cechu się opowiadać i za każdym opowiadaniem 12 groszy do skrzynki cechowej kłaść będą powinni; także i kolacją sprawić<sup>328</sup>.

Inaczej rzecz się miała, a to przecież zrozumiałe, u kotlarzy w Kozim Grodzie: garniec gorzałczany miedziany, coby dwa cebry było, ma sam zrobić i smalcować z jednej sztuki, w którym garcu ma być fontów trzydzieści i sześć i wybrejtować ma pod swój raz. Item pokrywkę na ten garniec ma smalcować z siedmi fontów miedzi i ma wybrejtować, nie okrajając, i wybić i przywieść do tegoż garca, żeby lutowania tak w garcu, jako i w pokrywce nie było; rurki fałdowane do tejże pokrywki ze trzech fontów ma zrobić i przyprawić; którą sztukę ma robić niedziel seść, której mają mistrzowie doglądać<sup>329</sup>.

Lubelscy konwisarze ustanowili natomiast tak: naprzód formę glinianą na misę łokciową wszerek ma zrobić, do tego drugą formę glinianą na drugą misę głęboką staroświecką na trzy ćwierci szeroką ma zrobić; trzecią formę w cechu jemu przez pany mistrze pokazaną

na talerze; czwartą formę na konew na xtalt balwierskiej konwie, glinianą, do której formy glinianej ma zrobić zarazem gliniane dzierzadło, które dzierzadło ma zrobić albo oddać bez naruszenia. W pierwszej tedy formie ma odlać misę cynową na łokieć szeroką, otoczyć na małym kołku i od ręki okować. W drugiej formie ma odlać misę na trzy ćwierci szeroką, gładką na xtalt staroświeckiej. W trzeciej formie ma odlać dwa talerze, jeden czworograniasty, a drugi kowany gładki. W czwartej formie ma zrobić konew gładką na xtalt balwierskiej z dzierzadłem według formy zrobionej i bez nagany mistrzowskiej, które to sztuki ma robić u starszego cechmistrza i oddać je za sześć niedziel<sup>330</sup>.

Zachodu co niemiara ze sztuką mistrzowską mieli w Lublinie kandydaci na stelmachów: rydwan ma robić bez pokładu z lipiny i z buczyny na pięć łokci wzdłuż, a wszerek we dnie ma być na dwa łokcia i ćwierć; zatyłki do tego rydwana mają być fugowane do szmigle; podle zatyłku mają być krzyże rzezane w kostkę na snapy, także i na przodku stagi mają być przybite goździami i do nich gąsiorzy alias poręce wycinane samorodne przyprawić i rycoble mają być nawiercane we środku; między gąsiorami mają być z obu stron kraty rzezane, a ten rydwan ma być chędogi i oddać za niedziel sześć, który ma robić przy braci, jedne parę poranu, drugą odwieczór, którą bracią ma częstować i oddać ten rydwan z drzewa dobrego zrobiony i zfugowany, żeby woda z niego nie wyciekła; drągi spodnie i zwierzchnie do tego rydwana mają być z drzewa jesionowego<sup>331</sup>.

Nie lepiej i bardzo skomplikowanie dla nas, współczesnych, wyglądało sprawienie majstersztyku u lubelskich powroźników. Naprzód lina ma być robiona na dwanaście sążni, coby nie była ni dłuższa, ni krótsza, sieć ma być robiona na ośm sążni, którą urobioną mają pp. cechmistrze przerznąć wpoły i zarasz ją ma ten młody mistrz przy bytności wszystkich mistrzów od oka do oka szelować; poprąg ma być robiony na trzydzieści łokci chędogą robotą, wytarty i wyklejany. Powrozów dziewięć łokietnych od kołowrota po dwanaście nici ma zrobić trzydzieści powrozów, ośm łokietnych po dwanaście nici ma zrobić trzydzieści, powrozów siedm łokietnych od kołowrota po dwanaście nici ma zrobić trzydzieści, powrozów sześć łokietnych od kołowrota po ośmi nici ma zrobić trzydzieści, powrozów pięć łokietnych od kołowrota ma zrobić trzydzieści, strycków pięć łokietnych od kołowrota ma zrobić trzydzieści, lekarzów poczwórnych od kołowrota po siedmi łokci ma zrobić trzydzieści, biczów cztery łokietnych od naczynia ma zrobić trzydzieści, biców trzy łokietnych od naczynia ma zrobić trzydzieści, śli ma zrobionych być pięć po pułczwar-

330 1620. 18 XII. Articuli seu privilegium contubernii stanifusorum, [w:] Riabinin J. (oprac.), Lauda..., op. cit., s. 39.

331 1650. 20 XII. Privilegium contubernii carpentariorum, rotificum et funificum, [w:] Riabinin J. (oprac.), Lauda..., op. cit., s. 71-72.

328 1604. 21 V. Articuli contubernii marsupiariorum, [w:] Riabinin J. (oprac.), Lauda..., op. cit., s. 7.

329 1619. 4 I. Oblata articulorum contubernii caldeatorum, [w:] Riabinin J. (oprac.), Lauda..., op. cit., s. 27.



ty piędzi, pasów bernardyńskich ma zrobić parę, każdy ma być po pięci węzłach wiązany, a na końcach zołodkami mają być wiązane. Co wszystko ma być robotą chędogą zrobiono i wychędożono, przy której stuce lubo bracia rzemiosła stalmaskiego, także i kołodziejskiego mają być. Przy oddaniu stuki rzemieśl przerzeconych urobionej powinien będzie każdy nowy mistrz pp. mistrzom do skrzynki cechowej złotych dwanaście dać nierozdzielnie i kolacją przystojną podług przepomożenia sprawić dla pp. mistrzów wszystkich, a pp. mistrzowie w cechu miejsce mu mają naznaczyć według przyjęcia miejskiego i cechu po mniejszem mistrzu przed im bendącym, któremu miejscem niema on pogardzać pod winą cechową<sup>332</sup>.

Równoległe z przygotowaniem się do zrobienia sztuki mistrzowskiej, towarzysz zaczął się ubiegać o przyznanie mu prawa miejskiego, co również stanowiło warunek *sine qua non* utworzenia własnego warsztatu. Prawo miejskie można było otrzymać, jeśli dany petent przedstawił metrykę swojego urodzenia, a nadto świadectwo moralności (sic!) oraz zaświadczenie, że w danym mieście przebywał tyle a tyle czasu. Do cechu towarzysz przedkładał też poświadczenia, że odbył przykazaną wędrówkę i odpowiednią opłatę manipulacyjną do skrzynki dał za możliwość przystąpienia do egzaminu. Mało tego, jeszcze ucztę musiał w podzięcie sprawić dla wszystkich członków swojego cechu, bez wyjątku. Był to naprawdę ogromny wydatek, bo i okazja była nadzwyczajna, a trzeba się było pokazać swoim nowym braciom z jak najlepszej strony, żeby po kątach nie szeptano, że harpagon z niego jakiś i szkodzi jadła i napitku. Podczas tych wystawnych kolacji serwowano najprzedniejsze trunki – wino, miody, piwa wszelakie i mnóstwo potraw bardzo wykwintnych. A to akurat wzbudzało sprzeciw wśród miejskich rajców. Więc zaczęto zakazywać odgórnie tych uczt Baltazara albo zarząd miasta miał w swojej mocy wyznaczenie limitu wydatków, jakie można było na ten wcale szczytny cel przeznaczyć. W wiekach kolejnych miast uczt wprowadzono obowiązek złożenia określonej kwoty na potrzeby cechu, a można ją było wносить nawet w ratach. Uroczysty w swojej wymowie egzamin oraz pełnoprawne przyjęcie do bractwa następowały w trakcie tak zwanych *gajonych* zebrań, czyli tych legalnie zwołanych, na których stawiali się wszyscy majstrowie. Sztukę przyjmowano poprzez głosowanie, jednocześnie deliberując nad życiem przezacnym (tudzież nie) kandydata na mistrza, nad jego obyczajami, nad jego umiejętnościami. Wówczas, o ile każdy się z mistrzów na to zgodził, a towarzysz egzaminowany wcześniej się czeladzi opłacił za wystąpienie z jej organizacji, złożył dokumenta wymagane i uiścił opłaty wszelakie, stawał się samodzielnym pracownikiem i pracodawcą, rzemieślnikiem.

332 1650. 20 XII. Privilegium contubernii carpentariorum, rotificum et funificum, [w:] Riabinin J. (oprac.), Lauda..., op. cit., s. 72.



**Szewski gnyp daje chlyb,  
czyli rzemieślnicze cuda-wianki**



Kultura każdego narodu zawarta jest nie tylko w pielęgnowanych przez wieki obyczajach, nie tylko w tej sławetnej i uświęconej tradycji, lecz także w języku, bowiem język jest swoistym narzędziem, dzięki któremu poznaje się otaczający świat, innych ludzi czy samego siebie. Język nie jest niezależnym bytem i chociaż podlega i własnym regułom, to zarazem jest odpowiedzią na wszechogarniającą nas rzeczywistość, a także elementem ją kształtującym, czymś, co nadaje świadomość i tożsamość jednostce, równocześnie nadając tożsamość i świadomość społeczeństwu. Dzięki językowi wyrażamy przekonania, poglądy, swoje emocje, wiedzę, nawet stany fizjologiczne. *Kontekst społeczny wywołuje specyficzną konstelację stanów motywacyjnych oraz reprezentacji poznawczych, których ekspresja w działaniu uwzględnia kolejne zachowania innych ludzi oraz konkretne elementy sytuacji*<sup>333</sup>. Kiedy porównujemy język do narzędzi, mamy tu na myśli pewne specyficzne traktowanie słów: czasowników, przymiotników, przysłówków i rzeczowników tak, jak traktuje się narzędzia – młotek stolarski, cęgi kowalskie, kielnię czy piłę. Te przedmioty nie są tylko wytworem ludzkich rąk, przede wszystkim stanowią owoc naszej wiedzy technicznej i jednocześnie tę właśnie wiedzę reprezentują. *Jest to wiedza o najlepszym dopasowaniu narzędzi do zadania, jakie ma być wykonane. W tym sensie słowa zawierają kulturową wiedzę o ich najlepszym dopasowaniu, co należy rozumieć jako dopasowanie intencji i jej odbioru*<sup>334</sup>. Język nie istnieje w oderwaniu od społeczności, która się nim posługuje, co oznacza, że jednostkowy użytkownik nie ma na tyle mocy sprawczej, by usurpować sobie prymat nad społecznością, nad użyciem zbiorowym. Można by się pokusić o stwierdzenie, że język wyznacza granice i wytycza zarys całego ludzkiego poznania. Nie umiemy myśleć bez słów, a więc każdy, kto poznaje nowy język, równolegle odkrywa

333 Adamska K., *Język jako narzędzie poznania i komunikacji*, Acta Universitatis Lodzianis Folia Psychologica 17, 2003, s. 22.

334 Ibidem, s. 23.

nowe światy, towarzyszą mu nowe emocje, nowe doświadczenia, a przede wszystkim – nowa rzeczywistość. Zatem język determinuje obraz świata.

*W przypadku języka narodowego reprezentowany jest sobie tylko właściwy obraz świata, gdyż kiedy łącznie rozważamy naród i język, wówczas pierwotny charakter tego ostatniego stapia się w jedno z charakterem nabytym od narodu.*<sup>335</sup> Więc w momencie, gdy badamy jakies języki, zarazem poznajemy światopoglądy, czyli coś, co jest przyrodzone poszczególnym nacjom albo grupom, a stosując język jako narzędzie komunikacji – opisujemy społeczność, która danym językiem się posługuje. Leo Weisgerber pisał, że *każdy język jest jakimś sposobem dojścia do świata; każda wspólnota językowa tworzona jest przez wspólny obraz świata zawarty w języku ojczystym*<sup>336</sup>. W jego rozumieniu *istota językowego obrazu świata polega na tym, żeby zbadać i określić, jakie treści poznawcze, jaka wiedza i doświadczenie oraz wartościowanie ujmowanej poznawczo rzeczywistości jest zmagazynowane w języku, przezeń przenoszone i przekazywane przyszłym pokoleniom*<sup>337</sup>. A więc jesteśmy obarczeni dziedziczeniem, obciążeni tradycją stworzoną przez naszych antenatów, wnosząc wciąż i swoją część w ten kulturowy system kreacji.

Świat, dzięki językowi postrzeganemu jako środek ekspresji, budowany jest w oparciu o zwyczaje językowe danej grupy. *Widzimy, słyszymy i w ogóle doświadczamy, tak jak doświadczaliśmy w dużej mierze dlatego, że zwyczaje językowe naszej społeczności preferują pewne wybory interpretacyjne*<sup>338</sup>. Relewantnymi dla językowego obrazu świata są tak zwane *dane przyjęzykowe*, czyli *dokumentacja mitów, zrytualizowanych zachowań i systemów wartości*<sup>339</sup>. Można więc powiedzieć, że do zbioru kulturowego obrazu świata należą nie tylko takie elementy, jak językowy obraz świata, ale i sam język, a także pozostałe systemy znakowe, czyli *mimika, gesty, zachowanie i naukowe, ideologiczne, religijne, gospodarcze czy ekonomiczne i tym podobne komponenty globalnego obrazu świata*<sup>340</sup>. Oznacza to, że język rzemiosła jako grupy społecznej wraz z jej obyczajowością, dziedzictwem i kulturą jest jednym z filarów kultury *sensu largo*. Cywilizacji.

335 Humboldt von H., *O myśli i mowie. Wybór pism z teorii poznania, filozofii dziejów i filozofii języka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002, s. 261.

336 Anusiewicz J., *Problematyka językowego obrazu świata w poglądach niektórych językoznawców i filozofów niemieckich XX wieku*, w: Bartmiński J. (red.), *Językowy obraz świata*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1990, s. 281.

337 Ibidem, s. 281–282.

338 Sapir E., *Status lingwistyki jako nauki*, w: idem, *Kultura, język, osobowość*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978, s. 89.

339 Bartmiński J., *Lubelska etnolingwistyka*, „Analekta”, R. XI, 2002, z. 1–2, s. 38.

340 Anusiewicz J., Dąbrowska A., Fleischer M., *Językowy obraz świata i kultura*, w: Dąbrowska A., Anusiewicz J., *Językowy obraz świata*, „Język a Kultura”, t. 13, Wrocław 2000, s. 11–44.

Rzemiosło stanowi istotny element otaczającej człowieka rzeczywistości, a potwierdzenie tej tezy można znaleźć w różnorodnych zjawiskach językowych, z jakimi na co dzień mimowolnie się stykamy. Ze względu na swoją interdyscyplinarność – rzemieślnikami są przedsiębiorcy dostarczający konkretne towary: garnki, ubrania, biżuterię czy buty, jak również rzemieślnikami są przedsiębiorcy realizujący konkretne usługi: strzyżenie, naprawa samochodów, wykonanie mebli, remontowanie budynków – rzemiosło wywarło gigantyczny wpływ na język i nie chodzi tu jedynie o nazewnictwo poszczególnych zawodów lub osób je wykonujących, lecz także o warstwę metaforyczną i metonimiczną.

Najczęściej rzemiosło obecne jest w najprzeróżniejszych związkach frazeologicznych. Najwięcej z nich dotyczy szewca, zawodu wspólnie wymierającego, potem kolejno mamy kowali, młynarzy, rzeźników, krawców, następnie cieśli, złotników, kominiarzy, zdunów, piekarzy, garncarzy. Dalej są i kuśnierze, i balwierze, cyrulicy, tkacze i piwowarzy, szklarze, tracze, stolarze, bednarze, garbarze i krupiarze, smolarze i szlifierzy, ślusarze i miotlarze. Na podstawie analizy tych frazeologizmów można śmiało stwierdzić, że dzięki tym wyrażeniom przede wszystkim obrazujemy sobie, jakie to zawodowe czynności wykonywali owi rzemieślnicy, a zarazem – jakie były efekty ich pracy. O szewcu mówi się, że *nie chwałą szewca, który wielki but na małą stopę robi*<sup>341</sup>. Poza tym wśród przysłów widać wyraźną specjalizację w obrębie rzemiosła – *inszy szwiec, inszy kuśnierz, choć obadwa ze skóry, tamten rzemieniem, a ten futry lata dziury*<sup>342</sup>. Wszyscy przecież wiemy, że kowal żelazo kuje, a *kując zostaje się kowalem*<sup>343</sup> (zatem jakżeż ważna jest nauka w rzemiośle i jak bardzo wymaga systematyczności), nie mówiąc już o tym, że *z kamienia i dobry kowal nie wykuje*<sup>344</sup>, lecz co tu się dziwić, skoro z pustego w próżne to i sam Salomon nie dał rady...

Naród rzemieślniczy to naród wielce przemyślny i mądry, którego fachowość się ceni, bo *kto by chciał po mądrym cieśli pociesywać*<sup>345</sup>. Zresztą *lepsze zrobi płótno dobry tkacz na złym warsztacie, niżeli zły na dobrym*<sup>346</sup>, ale wiadomo – *jaki rzemieślnik, taka robota*<sup>347</sup>. Trzeba jednak pamiętać, że *dobry rzemieślnik roboty się swojej nie wstydzi*<sup>348</sup>, bo mistrza

341 Krzyżanowski J. (red.), *Nowa księga przysłów i wyrażen przysłowiowych polskich*, t. III, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969–72, s. 393.

342 Ibidem, t. III, s. 392.

343 Ibidem, t. II, s. 172.

344 Ibidem, t. II, s. 18.

345 Ibidem, t. I, s. 324.

346 Ibidem, t. III, s. 516.

347 Ibidem, t. III, s. 53.

348 Ibidem, t. III, s. 128.

*dobrego i z małej sztuki poznać*<sup>349</sup>. Od partaczy Boże chroń! *Z dzieła się mistrza poznaje*<sup>350</sup>, a każdy w rzemiośle swym biegły<sup>351</sup> i każdemu w swym rzemiośle wierzyć trzeba<sup>352</sup>, ale najpierw prawdziwego majstra trzeba znaleźć. Po pierwsze, *dobry rzemieślnik leda z czego uczyni co dobrego*<sup>353</sup>. Po drugie, *dobry rzemieślnik mało ucinków czyni*<sup>354</sup>, powierzonego materiału nie psuje i nie marnuje, a po trzecie – *rzemieślnik dobry na swym zdaniu poprzestaje*<sup>355</sup>, bo wiedzę i biegłość ma, innych pytać o zdanie nie musi, sam wie, doradców mu nie trzeba. Ale *nie byłoby dobrego, nie bywszy partacza*<sup>356</sup>. Jak który narzędzi nie ma swoich, to już podejrzana sprawa, bo *głupim jest majster bez narzędzi*<sup>357</sup>, a wiadomo – *żołnierz bez broni, rzemieślnik bez narzędzi, uczeń bez książki nic nie wskórają*<sup>358</sup>. Zresztą, *na to kowal ma kleszcze, żeby sobie ręk nie poparzył*<sup>359</sup>. Szanują swój warsztat, szwiec skóry, a krawiec igły pilnuje<sup>360</sup>. Zazwyczaj taki oberwaniec, co się śmie rzemieślnikiem mienić, *miele językiem jak w żarnach*<sup>361</sup>, nic tylko *kręci się jak w kołowrotku*<sup>362</sup>, a końca roboty jak nie było widać, tak nie widać dalej, aż strach! Przy tym cwaniaczek cały czas twierdzi, że na wszystkim się zna, tylko *partaczem taki rzemieślnik, który wiele rzemioł umie*<sup>363</sup>, gdyż *siedm rzemioł czternaście nieszczęść*<sup>364</sup>, szkodę tylko przyniesie i większego bigosu narobi, jakby tego było mało. *Lichy majster niech psu buty robi*<sup>365</sup>! Wiemy, że *każdy piwowar piwo swoje chwali*<sup>366</sup>, ale istnieją pewne granice przyzwoitości, w końcu *nie z każdej gliny garncarz garnek ulepi*<sup>367</sup>, więc i z takowego nic nie będzie, wszystko mu przeszkadza, przecież *złemu rzemieślnikowi abo robotnikowi każde naczynie złe*<sup>368</sup>. *Do zabicia komara nie trzeba młota ciesielskiego*<sup>369</sup>, po co tu cudować. Na robotę taki ani chybi

349 Ibidem, t. III, s. 495.

350 Ibidem, t. I, s. 535.

351 Ibidem, t. III, s. 129.

352 Ibidem.

353 Ibidem, t. III, s. 128.

354 Ibidem.

355 Ibidem.

356 Ibidem, t. I, s. 456.

357 Ibidem, t. II, s. 371.

358 Ibidem, t. III, s. 951.

359 Ibidem, t. II, s. 172.

360 Ibidem, t. III, s. 395.

361 Ibidem, t. I, s. 871.

362 Ibidem, t. II, s. 204.

363 Ibidem, t. III, s. 128.

364 Ibidem, t. III, s. 130.

365 Ibidem, t. II, s. 371.

366 Ibidem, t. III, s. 949.

367 Ibidem, t. I, s. 629.

368 Ibidem, t. III, s. 129.

369 Ibidem, t. II, s. 107.

bardzo się spieszy, że *jak koza do rzeźnika idzie*<sup>370</sup>, lecz gdy mowa o zapłacie, to *cieszy się jak szklarz na grad*<sup>371</sup>. Boże broń przed zapłatą, *chcesz skórę zanieść do garbarza, podczas gdy niedźwiedź jeszcze w lesie*<sup>372</sup>? Ile cierpliwości wtedy trzeba, ale cóż, *i dekarzowi ciężko do nieba się dostać*<sup>373</sup>... Och, *taki z niego tkacz, jak z rabina tracz*<sup>374</sup>. Idźże precz, *ty siciarzu z Biłgoraja*<sup>375</sup>, *idźże do kowala i daj się podkuć*<sup>376</sup>! I pieniądze tylko stracone, w błoto na lebiegę wyrzucone. Przepadło! No cóż, trzeba poprawiać, w końcu *nie majster ten, co zaczął, ale ten, co skończył*<sup>377</sup>, chociaż *najlepszemu piekarzowi czasem chleb się nie uda*<sup>378</sup>, na szczęście bardzo rzadko, sporadyczne przypadki. *Rzemiosło ma złote dno*<sup>379</sup>, bo *kto ma w ręku rzemiosło i niepusto w główce, obejdzie świat o złotówce*<sup>380</sup>. Znamy przecie starą prawdę, że *chłop rolę, kupiec zyskiem, rzemieślnik robotą żyje*<sup>381</sup>, przecież *wieśniak pragnie pola, szlachcic godności, żołnierz wojny, kupiec pieniędzy, gospodarz pokoju, rzemieślnik roboty, malarz piękności, a kobieta całego świata*<sup>382</sup>. Nie bierze się ten fakt znikąd, gdyż *pracowite rzemiosło, ale też zyskowne*<sup>383</sup>. Dzięki temu panna na wydaniu śmiało może rzec, że *nie chcę ją pisarza ani studenta, wolę ją rzeźnika, co wozi cielęta*<sup>384</sup>. Jak taka będzie *kuć żelazo, póki gorące*<sup>385</sup> i chłopca przy sobie utrzyma, będzie *syta jak młynarska kura*<sup>386</sup>. Tylko trzymajmy kciuki i za niego, żeby ładna ta pannica była, bo *jak żona szpetna, to jakby kowadła liznął*<sup>387</sup>. Teoretycznie zawsze do roboty może uciec, człowiek wszak sumienny i pracowity, *kowala od kleszczów, a zduna od garnców trudno odwieść*<sup>388</sup>, ale niechże jakieś pocieszenie ma, chociaż *kto młotem kuje, cepa nie potrzebuje*<sup>389</sup>. I pamiętajmy jedno – *Bóg najlepszy rzemieślnik*<sup>390</sup>!

370 Ibidem, t. I, s. 805.

371 Ibidem, t. II, s. 397.

372 Ibidem, t. III, s. 213.

373 Ibidem, t. I, s. 418.

374 Ibidem, t. III, s. 516.

375 Ibidem, t. I, s. 107.

376 Ibidem, t. II, s. 981

377 Ibidem, t. III, s. 815.

378 Ibidem, t. II, s. 864.

379 Ibidem, t. III, s. 129.

380 Ibidem.

381 Ibidem, t. I, s. 263.

382 Ibidem, t. II, s. 89.

383 Ibidem, t. III, s. 129.

384 Ibidem, t. II, s. 942.

385 Skorupka S., *Słownik frazeologiczny języka polskiego*, t. II, Wiedza Powszechna, Warszawa 1968, s. 894.

386 Krzyżanowski J. (red.), op. cit., t. III, s. 367.

387 Ibidem, t. III, s. 955.

388 Ibidem, t. II, s. 172.

389 Ibidem, t. II, s. 508.

390 Ibidem, t. I, s. 150.

W dawnej Polsce znajomość terminologii rzemieślniczej przechodziła z ojca na syna. Specyficzne położenie naszego kraju – na przecięciu się dwóch niezwykle ważnych szlaków handlowych, które łączyły południe Europy z północą, a wschód Starego Kontynentu z zachodem – nie tylko wywarło ogromny wpływ na rozwój podstawowych dziedzin ludzkiej wytwórczości, lecz i na słownictwo odnoszące się do narzędzi używanych przy produkcji. W tych najstarszych dyscyplinach rzemiosła, takich jak tkactwo, hutnictwo czy ciesielstwo, bardzo często funkcjonują jeszcze określenia rdzennie polskie, pochodzące sprzed wykształcenia się państwowości. Jednak wraz z rozwojem rzemiosła, a następnie przemysłu, szczególnie w okresie narodzin cechów, potem w dobie zaborów, do języka rzemieślniczego zaczęły przenikać nazwy obce, które niekiedy tu i ówdzie wyparły typowo polskie słownictwo. Te naleciałości wbrew pozorom funkcjonują do dziś, zwłaszcza wśród starszych pokoleń rzemieślników, chociaż dla młodzieży, ich następców, są coraz mniej zrozumiałe i nie dziwi fakt, że coraz szybciej odchodzą w niepamięć.

Średniowieczne lokowanie miast na prawie niemieckim wraz z równoległym napływem na ziemie polskie przybyszów z obcych krajów, a szczególnie właśnie ludności pochodzenia niemieckiego, odcisnęły trwałe piętno – w tym pozytywnym sensie – na rozwoju rodzimego systemu cechowego. Przejawem tego było chociażby wykształcenie się swoistej terminologii rzemieślniczej, która pełnymi garściami czerpała ze zdobyczy myśli technicznej naszych pobratymców zza zachodniej granicy. Z czasem w drodze ewolucji cechy niejako oderwały się od wzorców zagranicznych, ulegając metamorfozie z gruntu polskiej, dostosowanej do specyfiki ojczystej wewnętrznej koncepcji politycznej, gospodarki, mentalności czy obyczajów, co nie oznacza, że główne idee rzemiosła nie zostały jednak zachowane w zgodzie ze średniowiecznymi uniwersaliami. Ordynacje cechowe bądź przywileje królewskie podkreślały ich swoiste samostanowienie, lecz przez ten czas sam język tych aktów prawnych, pełen zapożyczeń, okazał się o wiele trwalszy niżli same więzi z druhami z Europy Zachodniej. Mimo iż z biegiem lat bractwa cechowe na swój sposób usamodzielniały się i stworzyły własny model instytucjonalny, odbiegający od pierwowzorów europejskich, miejscy pisarze nadal posługiwali się niemiecką, jednocześnie nieustannie zniekształcając niemieckie nazewnictwo, jak też zupełnie je zmieniając. Dzięki temu tworzyli nieprzebrane ilości słów, które określały poszczególne rzemiosła i tylko im były właściwe. Wpływ niemieczyny na rzemieślniczą terminologię był ogromny i żywy, płaszczyzna językowa była nieustannie wzbogacana o nowe kurioza i wymyślne nazewnictwo. Działo się tak w przypadku niektórych spółgłosek, jakie owi pisarze z uporem maniaka przeinaczali, np. „z” na „cz”, „f” na „w” albo „g” na „k”, wedle

własnego uznania i jak im tam było wygodniej. Z niemieckiego *Kupferschlag*, oznaczającego odłupkę od miedzi, dzięki fantazji iście ułańskiej wyszedł w finale *koperszlak*, a nawet *koperszal* i *koperzal*. A co, kto pisarzowi zabroni... Z bardziej swojsko nam brzmiącego *Zange* (czyli obcegi) w finale powstało *czang*, *czank*, *cank* (to akurat zrozumiałe). *Die Kluft* – kleszcze – stały się *kloftą*, a *der Blasebag* (miech) – *blozbakiem*. *Die Feile* (pilnik, tak po prostu) otrzymał – w wyniku płomiennej pasji pisarzy do robienia po swojemu – miano *wala* lub *fala*, zależało chyba, jak wiatr zawiął.

Przekopując się przez chwilami iście piekielne czeluści Archiwum Państwowego w Lublinie, posiadającego w swych zasobach między innymi dawne miejskie księgi, inwentarze itp., można trafić na różnego rodzaju spisy: narzędzi, instrumentów albo naczyń rzemieślniczych, które to rzeczy wiernie służyły do wykonywania zawodu. *Bogaty materiał w owych inwentarzach odnajduje nie tylko historyk kultury, lecz i językoznawca. Bo oto exempli gratia spis rzeczy złotniczych z zachowaniem ortografii: speraczek, zeka do przegowania, czyjazyny, stekelajzyn, czyczak, glajczajzynek, stokser, płufta, inkusek, koper-talka, ferzeczkruba*<sup>391</sup>. I tu mamy klops, bo mimo naprawdę szczerą chęć i katorżniczą pracę, porównywalnej jedynie z samodzielną orką na ugorze, nijak się przeznaczenia i zastosowania niektórych ustalić nie da, nawet potwierdzić przybliżonego znaczenia w dostępnych współcześnie słownikach. Niekiedy naprawdę trudno jest odcyfrować ich etymologię. Dotyczy to także analizy porównawczej ze słownikami staropolszczyzny, nie zawsze uwzględniającej cudzoziemskie naleciałości, jakie na przestrzeni wieków przyswoiło sobie polskie rzemiosło.

W lubelskiej branży złotniczej używano też *ambusów* (*ambosów*), czyli kowadeł, ponadto korzystano z *anki* (lub też *hanki*), innymi słowy – stalowych płytek, które posiadały wiele otworów o stopniowanym rozmiarze średnic. Dzięki temu łatwiej profilowano kształt pełnej półkuli o idealnie gładkiej powierzchni. Dowcip polega na tym, że *ambos* był też kowadełkiem zegarmistrzowskim, ale równocześnie tym mianem określano żelazko szewskie do rozprowadzania wosku po krawędziach podeszwy<sup>392</sup>. Przyrząd o „słodko” dla ucha brzmiącej nazwie *becharaisin* (*beharajzyn*) miał zastosowanie przy produkcji kielichów, a *cyban* (vel *cybank*) do wyrobu drutów<sup>393</sup>. Bywa, że pisarze to cudo nazywają *czybaniem* alias *czyczaniem*. *Pertragiery* służyły do wyłaczania, czyli pokrywania przedmiotu warstwą złota bądź nadawania mu złotego odcienia lub blasku. Nietrudno

391 Riabinin J., *Materiały do monografii Lublina. Lublin w księgach wójtowsko-lawnicznych XVII–XVIII wieku*, Magistrat m. Lublin, Lublin 1928, s. 13.

392 Kuroń H., *Słownik rzemieślniczy*, Wydawnictwo Przemysłu Lekkiego i Spożywczego, Warszawa 1963, s. 112.

393 Riabinin J., *Z lubelskiej terminologii rzemieślniczej, „Głos Lubelski”*, Lublin 1937, s. 6.

domyślić się znaczenia słowa *polerajza*, *rychtor* albo *nitajza*. *Rychtorem* można było coś „zrychtować”, zatem chyba to było jakieś magiczne *instrumentum*, dzięki któremu można było zrobić praktycznie wszystko. Albo prawie wszystko. Tak mniemam. *Polerajza* natomiast znaczeń miała wiele. Po pierwsze była *polerajza* do przypalania, czyli żelazko przygrzałkowe. Po drugie – wyróżniano też *polerajzę do skóry* (żelazko gładzikowe), a po trzecie – *polerajzę do świechtowania*, żelazko wylśnikowe<sup>394</sup>. *Polerajza* sławetna była więc czymś w rodzaju gładzika żelaznego, tak<sup>395</sup>. *Koperszlakiem* lub *koperszalem* nazywali ówczesni rzemieślnicy odpadki miedzi, jakie powstawały podczas bicia jej młotem. Był sobie też i wspomniany już *szparaczek-speraczek* (inaczej „pieszczotliwie” zwany *sparożkiem*, *sperongiem*, *sparukiem* albo *szperakiem*)<sup>396</sup>, rodzaj dwurogu, jubilerskiego kowadełka. Wielce udaną nazwę miało na stałe mocowane imadelko – *śrubsztak*, *śróbczang* czy *śróbczążek*. Do narzędzi ślusarskich zalicza się np. *szwayce* – szydła, a do kowalskich – *gwoździownicę ufnalową* lub *perlik* (*kijanę*, *pralnik*) – rodzaj młotka. Do ulubionych dorzucę jeszcze następujące: *anzacfajla* (pilnik okrągły)<sup>397</sup>, *bajcęgi* (cząłki do przecinania gwoździ, drutu, ostroszczyły)<sup>398</sup>, *bajtel* (dłuto, rzezak, dłubak, wcinak, *sztechajza*, dłuto grzbietowe, grzbietak, *rykbajtel*)<sup>399</sup>, *berlajm* (klajster, klej szewski)<sup>400</sup>, *szucbryle* (okulary ochronne)<sup>401</sup>, *sztamajza* – brzmi bardzo pysznie, mnie się kojarzy z nazwą ciasta, a w rzeczywistości to rzezak (ucinak, dłuto stolarskie płaskie)<sup>402</sup>, czy *zikajza* (młot żłobiasty)<sup>403</sup>. W dawnych dokumentach napotyamy na jeszcze inne cudeńka, których przeznaczenia autorce niniejszej pracy, pomimo chęci wszelakich, nie udało się ustalić. Ale że nazwy te brzmią naprawdę przezacnie dla ucha i język można sobie na nich połamać, to kilka jeszcze przytoczę: *zamysel*, *slichtwale*, *stochbajtle* i *grabsztychty*...

Postępująca nieustannie specjalizacja rzemiosł nie omieszkała odcisnąć się również na rzemieślniczej nomenklaturze w kwestii nazw zawodów. I tu mamy wiele wcale udanych terminów, określających całe zastępy fachowców, którzy parali się rzemiosłem. Niektóre zawody przetrwały dziejową zawieruchę i mają się świetnie aż do dziś, znaczenie innych jest znane, zatem zajmijmy się tymi co bardziej wydumanymi lub tymi, które zginęły

394 Lenart B., *Słownictwo introligatorskie*, Polska Gazeta Introligatorska, nr 2-3, rok II, Poznań 1929, s. 20.

395 Stadtmüller K., *Słownik techniczny*, t. II, wyd. Lech Dolniak, Poznań 1936, s. 74.

396 Riabinin J., *Z lubelskiej...*, op. cit., s. 6.

397 Kuroń H., op. cit., s. 112.

398 Ibidem, s. 113.

399 Ibidem, s. 113.

400 Ibidem, s. 114.

401 Ibidem, s. 148.

402 Ibidem, s. 168.

403 Ibidem, s. 185.

gdzieś w mrokach niepamięci. Był więc sobie taki *bartodziej*, co zajmował się wycinaniem barci w pniach drzew i *baumistrz*, co po prostu nie był nikim innym, jak mistrzem ciesielskim. Obok nich z powodzeniem funkcjonował *cieszykamień*, współczesny nam kamieniarz, a że w kamieniu robił, to pewnie i gęba mu się śmiała na widok dobrego materiału, stąd nazwa. Nie samą robotą człowiek żyje, należy mu się też odrobina stawy duchowej, dlatego i *cymbałownicy* byli potrzebni, cymbały wyrabiali, a cymbały wiadomo, instrument bardzo pożądanym, jak się komu do tańca nogi rwą. Wśród rzemieślniczej braci znajdziemy nadto *czaszarzy*. Nie, nie łupili wcale grobów i nie dobywali stamtąd ludzkich szczątków, jeno trudnili się wyrobem czasz, półkolistych mis, szalenie niezbędnych podczas wesołych uczt i zabaw. *Czepiennicy* produkowali czepce, rodzaj kobiecego nakrycia głowy. Ów czepec gładko przylegał do głowy niewiasty, nie miał ronda żadnego i był obowiązkowym elementem stroju każdej szanującej się mieszczanki, jako i szlachcianki. Należał się wyłącznie kobietom zamężnym, aby podkreślić ich status, lepiej przecież postrzegany od statusu młodych panien na wydaniu, nie mówiąc już o starych pannach, które też się czasem zdarzały. Z czepecem wiąże się weselny obrzęd oczepin, kiedy to zwykle matka chrzestna nakładała go na głowę panny młodej, aby odtąd nie chodziła już bez niego, coby diabła i innych mężczyzn włosami pięknymi nie kusić. Dzisiejszych tokarzy nazywano *dreznarami* lub *droźnikami*. Cukierników jako takich nie było, lecz ci, co piekli słodkie ciasta na potrzeby innych, zostali ochrzczeni mianem *kichlarzy*. *Ciast i pieczywa* były wszelakie rodzaje: *wypiekano codziennie stale w kształcie organów płciowych: buły (bułki) i rogale (zwane ornafkami, tj. hornaffe, rogliczkami z czeskiego); żemła pierwotnie tylko cienką mąkę oznaczała, później bułkę, białkę, osuch, rodzaj placka, podplomyk też, pokręty były, jak baby i kołacze, domowego początku, strucla i strucel (oba rodzaje w wieku XV, niemieckie), pirogi; mazańce, sadlnik, jajecznik, miodownik, piernik (od pieprzu nazwany, niem. Pfefferkuchen); placki (niem.); obarzanki; Corman (? może babka); kraple (dziś kreple), pączki (z niem. Pfannkuchen); ubogie włodyki tłumaczyły niem. Arme Ritter (niby suchary w gęstym słodkim sosie); twarożnik; grzyb (biskot)*<sup>404</sup>.

Byli też takowi rzemieślnicy, co imali się obróbki żelaza, *klejsmirami* zatem ich zwano. *Kobierzecznik* vel *kobiertnik* piękne tkał kobierce, zbytłowne, ku uciesze oczu w ptaki, sarny czy kwiaty malowane nicią. *Koleśnik* to takie alternatywne miano dla stelmacha albo kołodzieja, a bywało, że i dla *nożownika*. *Krupiarz*... Ten to miał ciekawe i smaczne życie! Kasze robił, krupy, ziarno obtłukiwał. Jak by nie brał, kasza była jedną z najstar-

404 Brückner A., *Dzieje kultury polskiej*, t. 1 *Od czasów przedhistorycznych do r. 1506*, W. L. Anczyc i Spółka, Kraków 1931, s. 485-486.



szych i najbardziej popularnych potraw na stołach całego świata. Przez stulecia stanowiła podstawę jadłospisu naszych przodków, przyrządzana raz na słono, raz na słodko, z roźdzynkami i innymi delicjami, raz z omastą, a raz i bez, jak lichy był w domostwie. Nasi antenaci wspięli się na wyżyny umiejętności kulinarnych, więc kasza odgrywała niemal główną rolę w ich kuchni. Byli na tyle zmyślni, że i zupę z kaszy potrafili przyrządzić albo do barszczu jako dodatek serwowali. Najbardziej popularna była kasza jaglana i jęczmienna, gryczana dotarła do nas stosunkowo późno, a o takich wynalazkach, jak kuskus lub manna, to już lepiej zapomnijmy. Rzemieślnicze młyny dawały gwarancję kaszy wysokiej jakości, delikatniejszej i drobniejszej, która mile gładziła podniebienia smakoszy. *Krupiarze* poddawali ziarna starannej obróbce, wiadomo – rzemieślnicza robota, styl i standard przede wszystkim. Czyścili więc te ziarna z łusek, skwapliwie łamali, ba, nawet polerowali, a następnie zaokrąglali. Takie wyroby należały do delikatesów, zwłaszcza kasza jaglana o złocistym kolorze lub orkiszowa.

Z czegoś jednak tę kaszę smakowitą trzeba było jeść, stąd zapotrzebowanie na *legarza*, rzemieślnika zajmującego się wyrobem naczyń i beczek z drewna, nie każdy bowiem mógł sobie pozwolić na zbytki i jadać z glinianych czy metalowych mis. Jak już taki jadał z drewnianej zastawy, bo mizernie w domu było, to i *łatacza* musiał czasem odwiedzić. *Łatacz* parał się naprawą zniszczonej odzieży, był szczególnie oblegany przez tych, co nie mieli wystarczająco dużo grosiwa, aby pójść do krawca i obstać nowy przydziewek. Do rzemiosł nazwijmy to odzieżowych zaliczano również *gramplerzy* (*gręplarzy*), czyli rzemieślników zajmujących się czesaniem i drapowaniem wełny. Siedział sobie taki *gręplarz* i czyścił oraz rozczesywał owcze runo. *Szmuklerz* – *pasamonik* – był wytwórcą współczesnej nam pasmanterii. Jego zadaniem było wyprodukowanie cudnych dodatków do ubiorów, a miał ogromne pole do popisu. Strój był uzależniony od pozycji społecznej danej osoby. Sznurówek produkowanych przez *pasamoników* używano na przykład do sznurowania na bokach kobiecych sukni, a wstążki ówczesne elegantki wpinały we włosy. Suknie sznurowano także z tyłu, żeby podkreślić smukłość talii, bogato haftując je ozdobnymi taśmami we wszystkich kolorach tęczy. Szmuklerska galanteria ukraszała surowość kroju rękawów, zalotne dekolty czy mankiety. Produkowali więc *pasamonicy* taśmy, wstążki, haftki, frędzle i troczki ku uciesze dam i kawalerów. Z czasem przyszło im wyrabiać koronki i galony, ot, moda się zmienia i żyje niemalże dniem dzisiejszym. W Krakowie to dopiero była rewia mody, bo Kraków wcale a wcale niczym pod względem mody miastom niemieckim nie ustępował, *nawet rzemieślnicy, ich żony i czeladnicy nosili suknie jedwabne i aksamitne, srebrne pasy, na szyjach sznury pereł itd.* Dlatego w r.

1468 ogłoszono ustawę przeciwko zbytkom, która przypisywała, żeby goście, zaproszeni na wesele, mieli jednako „kolnerz”. Zakazywała nadto mieszczanom, ich żonom i dzieciom noszenia srebrnych pasów, cięższych nad 3 grzywny srebra, pod karą kopy; jedwabnych sukien pod karą konfiskaty, i naszyjników z pereł, także pod ich utratą. Tylko żonom radców miejskich, ławników i znaczniejszych kupców pozwolono nosić naszyjniki z pereł („kolner”), ale tylko na palec szerokie. Nadto zakazano mieszczankom nosić aksamitne rękawy, a suknia nie miała mieć powłoki dłuższej nad dwa palce szerokości i to pod karą kopy groszy. Rzemieślnikom, ich żonom i czeladnikom zakazywano przytem noszenia koronek, jako wypustek u sukien, a nawet butów, nadto „załogów” i otwartych kaftanów (*jopen*) itd.<sup>405</sup>

Samo pasamonictwo na tle innych rzemiosł włókienniczych wyodrębniło się dosyć późno, bo dopiero w XVI stuleciu. Kaletnicy krakowscy zajmowali się wyrobem sznurówek czy troków jeszcze pod koniec XV wieku. W języku niemieckim słowo *Schmuck* oznacza biżuterię, ale również ornament albo ozdobę. Zdobili więc *szmuklerze* wyrobami swojej drobiazgowej roboty szaty mieszczkańskich modnisiów oraz szaty liturgiczne, przeznaczone do użytku podczas obrzędów religijnych. Wśród zawodów branży włókienniczej znajdziemy też *postrzygaczy*, czyli rzemieślników zajmujących się wykańczaniem sukna. Zwykle przynależeli do cechu krawców bądź sukienników. Ich zadaniem było ostateczne przygotowanie materii. To *postrzygacz* czesał, postrzygał lub też zdobił materiał. Jednak zanim przystąpił do swojej pracy, musiał poczekać, aż swoje czynności zakończy *folusznik*, czyli ten, który folując zagęszczał splot tkaniny, równocześnie usuwając z niej wszelkie zanieczyszczenia z klejów lub tłuszczów. Ciekawe rzeczy wyprawiali także *rogownicy*. Otóż zajmowali się produkcją przyborów codziennego użytku, wykorzystując rogi, drewno i kości. Na ogół były to szybki rogowe do miejskich latarni, guziki, kości do gry, frymuśne zakończenia pasów, rogi do picia itp. Rogownicy wyrabiający grzebienie często byli określanii mianem *grzebienniarzy* (*grzebienników*) i traktowani jako osobna kategoria rzemiosła.

Wśród całej plejady zawodów warto zwrócić uwagę na *obraźników*, czyli rzeźbiarzy, a w większości wypadków – *snycerzy*. Właściwie nie był to jakiś odrębny fach. Wśród encyklopedycznych definicji jak mantra powtarza się sformułowanie, że parali się sztuką zdobienia w drewnie, do której to potrzebowano specjalnych noży. Zadaniem snycerza było wycinanie w materiale misternych ornamentów, finezyjnych kształtów czy innych zdobień. W zasadzie snycerką zajmowali się stolarze, tyle że do owej sztuki używali bardziej specjalistycznych instrumentów, noży snycerskich do krzywizn o dość zawiłym

405 Chotkowski W., *Rzemiosła i cechy krakowskie w XV wieku*, nakładem autora, Kraków 1891, s. 25.



kształcie ostrza albo nie mniej unikatowych toporków do ciosania drewna. Wśród rzemieślników z branży metalowej możemy znaleźć *gwoździarzy*, *iglarzy* i *nożowników*, czasem *kowali kling*. Ci ostatni zwykle byli utożsamiani z *mieczownikami*, a wszystko przez łacińską nazwę – *gladius*. Jednak w celu sprecyzowania – ze względu na specyfikę swojego zawodu – *kowal kling* był bardziej *wykuwaczem* niż *kowalem*. W jego warsztacie, owszem, znajdowało się palenisko, lecz na dobrą sprawę nie zajmował się on procesem uszlachetniania stali, więc nie można tak do końca powiedzieć, że był *kowalem* albo *mieczownikiem*. *Mieczownicy* znali ponadto tajniki hartowania stali oraz jej nawęglania, czego o *wykuwaczu kling* raczej powiedzieć nie można. *Gwoździarze*, jak sama nazwa wskazuje, zajmowali się wyłącznie produkcją gwoździ, tyle że różnych rozmiarów. Taki rzemieślnik w swoim warsztacie miał i palenisko, i młotek, i płytę kowalską, lecz nic więcej nie było mu do szczęścia potrzebne. *Nożownicy* (alias *koleśnicy*) poświęcili się w całości wyrabianiu noży. Polegało to na tym, że *nożownik* dostawał od *wykuwacza kling* lub *mieczownika* gotową klingę, którą oprawiał, a następnie zajmował się rękojeścią. Musiał posiadać cały asortyment narzędzi, gdyż oprawy robił z rogu, z drewna lub z kości. Bywało, że *nożownicy* wykonywali roboty zbliżone do złotniczych. Ich zadaniem było chędogo a cudnie sprawić i ozdobić rękojeści, a to używając cennych i wymyślnych gatunków drewna, a to uzupełniając motywy dekoracyjne o cienkie złote blaszki. *Płatnerze* zajmowali się wyrobem zbroi płytowej, czasami hełmów, czasem kolczug. A jak taki rzemieślnik produkował wyłącznie hełmy bojowe, to nie był już *płatnerzem*, tylko *szłomnikiem*.

*Cyrulików* możemy śmiało traktować jako przedstawicieli ówczesnej medycyny i usług osobistych w jednym. *Cyrulik*, nazywany też *drapaczem*, *golibrodą* vel *balbierzem* (*balwierzem*), miał się tak szlachetnego zajęcia, jak amputacja nóg lub rąk, golenie, stryżenie, puszczenie krwi, opatrywanie ran czy nacinanie ropni. Owo puszczenie krwi było najpopularniejszą metodą leczenia wszelkich bolączek, tak mniej więcej aż do XIX stulecia. Krew puszczano z szyi, z rąk (czasami nawet ze skroni...), a sam zabieg trwał do momentu, kiedy biedny pacjent nie zemdlał. Wbrew pozorom uważane to było za korzystny rezultat całej operacji. Dużą popularnością cieszyło się też przykładanie pijawek, co dawało mniej więcej ten sam efekt. Do zabiegów chirurgicznych używano zwykłych narzędzi rzemieślniczych, w tym młotka i piły. Warto wiedzieć, że najlepsze, co mogło spotkać osobę, która miała złamaną kończynę, była jej amputacja, to zdecydowanie zmniejszało stres, a przede wszystkim bolało tylko raz, chociaż porządnie. Najwstydlivszym zawodem wśród rzemieślników był *kat*, no, może jeszcze jego pomocnik do zbierania

padliny po miejskich ulicach – *hysel*. Kat, nie dość, że patronował prostytutkom, to jeszcze zawodowo zajmował się wykonywaniem wyroków i wymuszaniem zeznań w mało wybredny sposób, czyli wysyłaniem na drugi świat całych rzeszy przestępców, ku ogólnej uciesze gawiedzi. W czasach średniowiecza wałęsanie się po nocy było surowo wzbronione. *Firtelsleute* – cyrkulatorzy zabierali na ratusz, kogo napotykali; do kłody wsadzano wszelakich przestępców i był osobny dozorca kłody, który czasem z wyższego jakiego nakazu winnego bezprawnie wypuszczał. Przestępcę wystawiano niegdyś na drabinie – skali (stąd nasz wyraz *szkalować go*, z łacińskiego *scalare*), później na pręg(l)erzu, tam go kat i smagał, albo po rynku smagając go gonił, poczem go z miasta „wyświecano”; kat brał oskarżonego na „próbę” męki; karę śmierci wykonywano przez wieszanie zazwyczaj, a stosowano ją często, szczególnie za złodziejstwo z „licem”, tj. na gorącym uczynku<sup>406</sup>.

Z prostytutkami sprawa również jest ciekawa, bowiem i one w XIV–XV stuleciu, dzięki rozszerzeniu się organizacji cechowej poza granice samego rzemiosła, mogły tworzyć cechy, podobnie zresztą jak notariusze, żebracy, grabarze czy wekslarze. Niewiasty lekkich obyczajów, „wspólne”, „wolne”, „wędrawne” kobiety w średniowieczu bynajmniej nie były otaczane pogardą; przeciwnie były one honorowymi gośćmi na weselach, delegatkami przy przyjęciach królów, w czym należy widzieć wyraz gościnności. Związki ich podobnie jak i inne cechy, miały swoją patronkę, mianowicie św. Magdalenę i w dzień tej świętej urządzały procesję; na czele ich stały *Frauenmeisterinnen* (np. w Lipsku), przełożone lub „królowe” (np. w Awinionie, Genewie); one proszą radę miejską (w Norymberdze), aby ta „w imię Boga i sprawiedliwości” nie dopuszczała konkurentek, gdyż inaczej trudno im będzie wyżywić się „uczciwie”<sup>407</sup>. Z biegiem czasu nastąpiła jednak diametralna zmiana w sposobie ich postrzegania, bo za czasów Jana Olbrachta nierządnicę winny były przy poborze nadzwyczajnym po groszu składać tygodniowo i chodzić z zasłoniętą głową.

Żebracy z takich miast, jak Bazylea, Ulm, Norymberga czy Frankfurt mieli swoich własnych starszych cechowych (*Bettlermeister*). Zabraniano na mocy ich przywilejów dziadowania obcym, z wyjątkiem dwóch dni w roku. Od nowicjuszy w zawodzie żądali znajomości na pamięć *Ojczenasz* i innych modlitw, posiadali własny sąd cechowy, który składał się (w Bazylei) z 7 żebraków, „nie noszących ani spodni, ani noża”. Sąd odbywał się uroczyście pod lipą, przyczem przewodniczący trzymał w rękach laskę, prawe biodro miał obnażone, a nogę zimą czy latem – zanurzoną w czasie sądu w kadź z wodą; po

406 Brückner A., op. cit., s. 475.

407 Kuliszer J.M., *Dzieje gospodarcze Europy Zachodniej*, t. I *Wieków średnie*, Gebethner i Wolff, Warszawa po 1920, s. 162.

*obu stronach przewodniczącego zasiadało sześciu ławników, również z obnażeniem prawem biodrem; po zakończeniu sądu przewodniczący przewracał kadź, wylewając wodę. W Niemczech w połowie XV w. istniało osobne bractwo trędowatych, do którego należeli trędowaci ze wszystkich miejscowości nadreńskich; zebrania doroczne odbywały się w marcu w Moguncji*<sup>408</sup>.

Wielu rzemieślników należało do branży skórzanej. Dziś skórnictwo kojarzymy na ogół z kuśnierzem, kaletnikiem, szewcem, ewentualnie rymarzem, a w dawnych czasach tych zawodów było o wiele, wiele więcej. Do tego szlacheckiego grona zaliczano *białoskórników*, którzy trudnili się garbowaniem oraz obróbką co delikatniejszych skór, tych cieniutkich, przeznaczonych na ubrania i rękawiczki. *Białoskórnicy* używali skór z cieląt, saren albo jeleni, wtedy można było polować legalnie i nie wymagało to miliona pozwoleń. Obok *białoskórników* byli i *czerwonoskórnicy*. Ci, dla odmiany, garbowali skóry z barana, z wołu albo i z cieląt, wykorzystując różne tajemne substancje pochodzenia roślinnego, najczęściej z kory dębu, co nadawało skórom piękne odcienie czerwieni. Tego typu skóry służyły do wyrobu obuwia bądź siodeł. *Kurdybannicy* (*kordybanci*, *kurdybanci*) wyprawiali kozłe skórki (czasem i jagnięce), służące następnie do obijania mebli lub produkcji instrumentów. *Miechownicy* robili mieszki i woreczki na pieniądze, ale i odzież – żupany, kolety (kurtki wojskowe) i kaftany. *Wackarze* natomiast ochoczo szyli *wacki* – skórzane woreczki na grosze, *tulnicy* – pokrowce na strzały, *kapsarz* – miechy, kapsy (kieszenie w męskich ubiorach) i woreczki. A te woreczki różne nazwy nosiły. Były i *szawłoki*, i *kapciuszk*, i *michasie*, i *trajturki*, i *trzęsiątka*, i *koty*. Futerały określano mianem *sahajdaków* (na łuk i strzały), *olster* i *nożenek*. Skórnicy robili też naczynia, wśród nich *bukłaki*, *bokłażki* albo *łagiewki* (do przechowywania i przenoszenia płynów). Miechy kowalskie, efekt zmagania *miechowników*, miały równie udane terminy: *blozbak*, *dymadło*, *pompacz* i *dymacz*. Rękawiczki także nie były po prostu rękawiczkami, wyróżniamy na przykład *glazejki* albo *dunki* (ze skóry ałunowej). Robiono także *uszmoły*, czyli rękawice wełniane z naszytą na dłoni skórą. *Paśnicy* zajmowali się pasami – *bandolecikami* (pas przewieszony przez ramię, do broni), *flintpasami* czy *cygnaturami* (przepaskami). Nie sposób tu wszystko wymienić...

Największe używanie, jeśli chodzi oczywiście o pieniądze, mieli rzemieślnicy w czasie targów albo jarmarków. Wówczas to, wśród ogólnego gwaru, przepychanek, tłoku, mieli szansę na pełne zaprezentowanie swoich wyrobów rękodzielniczych. Wtedy czerpali największe zyski ze swojej ciężkiej pracy. Prawo podjęcia pracy przysługiwało jeno wolnym

408 Kuliszer J. M., op. cit., s. 162.



obywatelom danego miasta, żaden partacz z jurydyk kramu swego wystawiać nie mógł. Kramy były różne, różniste: i szklarskie, i garncarskie, i czapnicze, i mydlarskie, i wiele, wiele innych. Za kram właściciel opłacał miastu roczny czynsz.

Ażeby uzyskać obywatelstwo, trzeba było spełnić szereg znanych już nam nakazów i być członkiem cechu. W dowód uznania dla pomysłowości, talentu i pracy ludzkich rąk wynagrodzenia w rzemiośle nie były wcale niskie, jak to sobie wyobrażamy, bo majster stolarski lub *cieszykamień* zarabiali tyle, co lekarze albo prawnicy, co uniwersytety pokonczyli. Same początki w rzemiośle, patrząc przez pryzmat zysków, do najłatwiejszych nie należały. Biedni towarzysze nie mogli zbyt dużo uciuć, chyba że mieli możliwość odłożenia grosiwa z *trynkieltów* albo *piwnego* chociażby. Jeśli ktoś był już w pełni wykształconym rzemieślnikiem, czyli zrobił pozytywnie ocenioną sztukę mistrzowską i dochrapał się po latach tytułu mistrza, mógł liczyć na zdecydowanie lepsze życie. Miasta w okresie pełnego rozkwitu wieków średnich zamieszkiwali rzemieślnicy najprzeróżniejszej maści, gdyż zapotrzebowanie na ich wyroby i usługi było ogromne. W zasadzie każda rzecz, każdy wyrób do użytku codziennego (i tego niecodziennego też) był wykonany w rzemieślniczym warsztacie bądź przez rzemieślnika, począwszy od domów i ich wykończenia, a skończywszy na takich zbytkach, jak pierścionki i wstążki. Dobrze żyło się złotnikom, dobrze i kuśnierzom, aptekarzom i malarzom, całej reszcie zresztą też, o ile majster był biegły w swoim fachu i rzetelny. Bardzo dobrze na Starym Kontynencie funkcjonowali hafciarze, choć robota ich żmudna, wymagająca wielkiej precyzji, a przede wszystkim w ciężkich warunkach wykonywana. Haftowano w świetle dnia, ale i po zmierzchu, przy blasku świec. Nie dość, że oślepnąć można było, to jeszcze zwyrodnienia kręgosłupa się nabawić albo inszych reumatyzmów. Najlepsi hafciarze w Europie mieszkali w Anglii, słynąc z kunsztownie dobranych kolorów wysokiej jakości jedwabnych nici. Hafty miały się złotem i srebrem, dając ludności zgromadzonej w świątyniach podczas obrzędów religijnych namiastkę luksusu. Zatem i w luksusy hafciarze opływali.

Dobrze, w miarę, płatnym zajęciem była profesja kata, mimo że zaliczano ją do tych najpodlejszych i wstydlivych. Kaci miejscy nie tylko zabawiali się wysyłaniem rzeźmieszków na łono Abrahama, lecz i musieli bydło lub trzodę do zagrody zagonić, jeśli zwierzęta postanowiły dotychczasowe domostwo chyłkiem i cichcem opuścić. Zyski kaci czerpali też stąd, że handlowali mandragorą i ciałami biednych straceńców. Najbardziej chodliwe były poszczególne części nieboszczyków, dzięki którym przyszli medycy odkrywali arkana swej sztuki i tajniki ludzkiego ciała, którego funkcjonowanie ówczesnie tak oczywiste nie było. Mandragorze przypisywano magiczne moce, więc głównymi

odbiorcami byli domorośli magicy vel alchemicy oraz różnej maści czarownice lub zaklinaczki, wykorzystujące ów korzeń do sporządzania różnorodnych mikstur tajemnych. Mandragora miała leczyć niepłodność, traktowano ją też jako afrodyzjak, przepisywano na chroniczne bóle, stąd i popularność jej była ogromna. Dlaczego to kat kupczył mandragorą? Ano dlatego, że wierzono, iż rośnie ona pod szubienicą, wyrastając z nasienia wisielca, które do ziemi spłynęło. Skoro więc kat onego powiesił, no to niech i korzeń czarodziejski ukopie. Cudowną moc posiadały (podobno) także postronki wisielcze i sznurki szubieniczne, a przede wszystkim owe przedmioty miały przynosić ludziom szczęście. *Nie należy przeto do zbyt charakterystycznych sprawa z r. 1680 sławetnej Katarzyny Karwatowej, którą nazywano czarownicą, bo „posyłała syna swego pod szubienicę, aby powrozy zbierał tych, które odpadają z szubienicy od złodziejów”<sup>409</sup>. Owe wyroby powroźnicze nie tylko szczęście miały zaskarbić, ale przede wszystkim wiadomo było, że wszelkie sznurki z męskiego odzienia pobudzały nawet najbardziej kamienne serca do miłości. W Lublinie w latach 1661–1662 „prędko po Węgrach”, podczas powietrza „na gruncie jurydyki N. Marji Panny, miała miejsce sprawa niejakiej Reginy Sokołkowej, która przed poślubieniem męża swego Stanisława Stelmaszka sprawowała się niepoczcziwie, nie podług panieńskiego stanu swego, miała z nim porozumienie i z pomocą danego jej napoju pozbyła się płodu. A że Stelmaszek Sokołek nie chciał się z nią żenić, udała się do bab – czarownic, aby zczarowały jej chłopca. W tym celu paliła z babą Baranową i inn. sznurek z spodni męskich rzeczy. Pozwana do sądu twierdziła na indagnacjach, że do bab udawała się nie dla czarów, lecz aby uleczyły ją z żółtej choroby, na którą właśnie jedna z nich dała ziela i kazała nim się obmyć. Sąd wszakże nie dał wiary zeznaniom tym i skazał Reginę na tortury z aplikacją ognia, a następnie spalenie na stosie<sup>410</sup>. Jak widać, w gusła i czary wierzyli wszyscy, wierzyli i rzemieślnicy. Wszyscy też jednakowoż byli przekonani, że co cięższe choróbka stanowiły skutek złej siły lub innych złych uroków. Gdy nie bez wpływu złej siły zachorowało na suchoty dziecko uczciwej kaletniczki lubelskiej, p. Michałowej Dankowiczowej, przyszła do jej gospody p. Kleczowska, zeznająca następnie przed urzędem radzieckim w r. 1631 co następuje: „Widząc dziecię w kąpieli u paniej Michałowej kaletniczki, zadzielałam jej, aby kupiła za szeląg mięsa jałowicznego i z zieleciem we dzbanku nowym uparzyć to i omyć dziecię do trzech razy, i potem wylać na krzyżowe drogi, powiadając to, że ja tesz to czyniela córce swojej, którą widzicie; nie dla czarów ja to czyniela, a dla potrzeby”. Po kąpieli p. Michałowa kazała dziewczynie wylać wodę za*

409 Riabinin J., *Jeszcze o czarach i gusłach w dawnym Lublinie*, „Głos Lubelski”, Lublin 1936, s. 7.

410 Ibidem, s. 7–8.

szańce, ta zaś wylała ją „kiedyindziej”. Stąd sprawa, przestraszony bowiem sąsiad posądził panią Michałową, że „dziewczyna jej wylała jakieś cary przed mię”<sup>411</sup>. W tym samym roku Pańskim rejwach przed trybunałem wywołała pani Kowalska, co się sądowna z mości Krawczykową. Otóż do uczciwej Anny, żony Jana Czapnika, pani Kowalska się udała, aby prosić o pępuszek dziecięcy, którą to prośbę Czapnikowa skwapliwie zaraz spełniła. Ów pępuszek miał być potem użyty przez szanowną Kowalską „na ślepienie” nie mniej szanownej Krawczykowej. W 1744 roku na rynnach dachowej na domostwie zacnego złotnika, niejakiego Bartosza Krzemińskiego, znaleziono kijankę<sup>412</sup> ubraną i wstążkami, jak dziecię, upstrzoną i akkomodowaną. Powołana na świadka uczciwa Katarzyna Makulina, służąca pp. Usarskich, krawców i elektorów lubelskich, zeznawała w sprawie tej: „kiedy ja byłam u państwa Usarskich na służbie do dziecięcia, przyszła była natenczas gospodyni z Dysa, która poznała, że dziecię panów Usarskich, imieniem Kasia, choruje na miesięcznik. Kazała mi koszulkę zdjąć z dziecięcia i wdziać na kijankę i na dach założyć”<sup>413</sup>.

Te kąpiele to w ogóle bardzo popularne były i wiele dobrego czyniły. W wiekach średnich ludność miast rzeczywiście bardziej dbała o czystość i zdrowie, niżli w naszych czasach. W każdym bowiem mieście były urządzone łaźnie dla rzemieślników, w których za małą opłatą kąpać się mogli. Bywało zaś tych łaźni tyle, że np. w Lubecie była już pod koniec XIII wieku na każdej ulicy łaźnia, w mieście Ulm było ich w XV wieku 11, w Norymberdze 12, we Wiedniu 29. Dlatego też powszechny był zwyczaj, że czeladnicy zaprzestawali roboty we wigilię świąt, mianowicie w soboty, wcześniej z wieczora, aby się iść wykąpać. Był to zwyczaj w Niemczech tak powszechny, że dawano wówczas robotnikom nie: „na piwo” – lecz: „na kąpiel”, co w Ratyzbonie było nawet ustawą miejską przepisane. We Frankfurcie rozdawał magistrat ubogim znaczki na wolną kąpiel co sobotę. Nawet osobne fundacje i zapisy robiono w testamentach na „zaduszne kąpiele” (Seelbäder) dla ubogich, a w Norymberdze namnożyło się tyle zapisów tego rodzaju, że magistrat postanowił je nadal obrać na inne miłosierne dzieła. Dzieci szkolne prowadzono do kąpiele w środy dlatego, że w soboty były zapelnione dorosłymi<sup>414</sup>. Chodzenie do łaźni było wydarzeniem niepoślednim, a zwłaszcza dla krakowskich mieszczek. Przed ślubem wybierały się zacne panny wesołą paradą (i kosztowną) do kąpiele, zapraszając przy tym liczne grono innych kobiet.

411 Riabinin J., *Jeszcze o...*, s. 3.

412 Kijanka – narzędzie używane do prania, które ma postać kija bądź krótkiej deszczułki, czasami drewnianej łopatką. Pranie polegało więc na rytmicznym uderzaniu kijanką obficie zmoczonych ubrań i obfitym polewaniu ich wodą. Wówczas cząsteczki brudu były „wybijane” spomiędzy splotów tkaniny i od razu wypłukiwane.

413 Riabinin J., *Jeszcze o...*, s. 3–4.

414 Chotkowski W., op. cit., s. 19–20.

Dobroczyne działanie kąpiele doceniono ponownie w XIX stuleciu, kiedy też i w czarę, guśla i uroki wszelakie już mniej wierzone, a dla odmiany coraz bardziej doceniano pracę rzemieślnika i jednocześnie zagrożenia, z jakimi na co dzień się stykał podczas swojej roboty. W ludzkiej społeczności, mówi P. Corvisart, sztuki i rzemiosła, pod względem potrzeb i rozkoszy, bez wątpienia największe korzyści dla człowieka zrzędziły; jego dowcip czynnym podżegany przemysłem, uczynił go panem ziemi, której rozliczne płody na swój obraca pożytek przekształcając je rozmaitym, podług swojej woli, sposobem. Wykonywaniu tyłu dzieł godnych podziwienia, żadna przeszkoda kroków nie wstrzymuje; nie zważa on na wpływ srogich klimatów, na nacyęższe znoje i trudy, na zgubne działanie najjadowitszych istot i wyziewów najszkodliwszych! (...) We wszystkich krajach i miastach dobrze urządzonych, ustawione są pewne prawa, błogi stan rzemieślników i ludzi, rozmaitym profesyom czyli powołanióm oddanych, ubezpieczające; sztuka więc lekarska, powinna także przyczynić się do sprawienia ulgi w trudach i pracy tych ludzi, na których mądre prawodawstwo tyle ma względu; a ożywiona właściwą sobie gorliwością, czuwać nad ich zdrowiem, aby każdy ze śmielszą pewnością i bez najmniejszej obawy poświęcał się rzemiosłu. Nie jestże to bowiem istotnym dla nich obowiązkiem sztuki lekarskiej (nayı́erwszý z pomiędzy wszystkich innych), która podług Hippokratesa, zarówno bogatym i ubogim powinna udzielać swojej bezinteresownej pomocy?<sup>415</sup> Według „Traktatu o chorobach rzemieślników i o tych, które pochodzą z rozmaitych profesy; napisanego przez Dra F. Patissiera według Ramazziniego” wszystkie owe choroby można było podzielić na trzy klasy. Do klasy pierwszej sławetny zapewne ówczesny autor zaliczył wszystkie choroby, jakie wywoływane są przez różnorodne cząstki pod postacią pyłu lub pary, zmieszane z powietrzem, służącym rzemieślnikom do oddychania, a które cząstki dostają się do organów i przeszkadzają regularnemu odbywaniu się ich funkcji<sup>416</sup>. Pośród tej klasy wyszczególniono ponadto pięć rzędów, między innymi problemy zdrowotne spowodowane wyziewami, czyli cząstkami ciał mineralnych albo przypadłości, których przyczyny należy szukać w wyziewach ciał zwierzęcych. Klasa druga dotyczyła wszelakich nieszczęść wywołanych wilgocią, klasa trzecia – chorób będących owocem zbyt małej ilości ruchu lub za dużego zbytku. Tu autor szanowny orzekł, że dotyczą one na przykład tokarzy, cieśli i stolarzy. Były też choroby tych, którzy po ciągłej pracy i trudach przechodzą do gnuśnego i spokojnego życia<sup>417</sup>, czyli, według współczesnej nomenklatury,

415 Pleszkowski S., *Prospekt dzieła. I. O chorobach rzemieślników i o tych, które pochodzą z rozmaitych profesy. II. O pożytku kąpiele i wód mineralnych*, Drukarnia A. Marcinowskiego, Wilno 1828, s. o.

416 Ibidem, s. 3–4.

417 Pleszkowski S., op. cit., s. 13.



choroby emerytów. Podstawowym zatem środkiem zapobiegawczym tych ostatnich byłaby nieustanna praca, ale nic nie trwa wiecznie, każdy materiał, nawet najlepszy, w końcu się zużywa, ludzki tudzież, zatem Sylwester Pleszkowski, doktor medycyny, młodszy lekarz 48. pułku strzelców pieszych w Grodnie i kreator przywoływanego tu dzieła w jednym, sugeruje, że najlepszym lekarstwem jest dla nich praca. Wszystkich jednak można wyleczyć KĄPIELAMI. I wodami mineralnymi. Że kąpiele pożyteczne są i to bardzo, to już rzemieślnicy przecież w średniowieczu wiedzieli, ale nie spodziewali się, że tych ucieśnych skądinąd ablucji może być aż tyle rodzajów. Pleszkowski wyróżnił kąpiele zwyczajne ciepłe, zimne, parowe, siarczane sztuczne, morskie i tajemniczo brzmiące *fumigacyynesiarczane*. Dobrze było równocześnie wody mineralne popijać, takie chociażby siarczane ciepłe i zimne lub kwasowe, ciepłe i zimne takowoż...

Rzemieślniczy rytm życia organizował przede wszystkim cech oraz praca. Pracę rozpoczynali kandydaci na rzemieślników bardzo wcześnie, w wieku zaledwie kilkunastu lat. Najpierw funkcjonowali jako uczniowie – terminatorzy, potem towarzysze, aż w końcu przychodził czas na *wyzwoliny* na mistrza. Sztuka mistrzowska, świadectwo uzdolnienia, pozwalała na samodzielne prowadzenie warsztatu i kształcenie kolejnych pokoleń. Rzemieślnika nazywano różnie. Raz był *rzymiśnikiem*, raz *rzemieśnikiem*, kiedy indziej – *rzemieślnikiem* lub *rzemiętnikiem*. Żartobliwie, szczególnie w baśniach lub opowieściach albo innych krotkach, zwano go *rzemieśniczkim*. Mistrza tytułowano *majstrem*, *mesterem*, *meśterem*, *misterem* i *mejstrem*, a bywało, że i *magistrem*. *Werkmajster* (*workmistrz*, *werkmistrz*) prowadził swoją własną pracownię (warsztat) i trzymał uczniów oraz towarzyszy. Jak był ten warsztat lichutki i biedny, wówczas chrzczono właściciela *majstrzyną*. Jeśli ktoś z rozmówców miał śmiałość albo mógł sobie pozwolić na dużą dozę poufałości, albo żarty słowne – zwracał się do mistrza per *majsterku*. I ogół magistrów nosił odrębne miano, bo tytułowano ich *majsterią*. Ze względu na to, że w cechach obowiązywała hierarchia wedle starszeństwa i funkcji, jaką dany mistrz pełnił w konfraterni, tych starszych wiekiem i doświadczeniem braci wołano *obermajstrami*, na wzór niemiecki. Byli *starszymi* bądź po prostu *starymi*. *Łachmytka* to rzemieślnik miejski, a *dłubała* – samouk.

Pod adresem *partaczy*, soli w oku rzemiosła cechowego, można było stosować całą paletę mniej lub bardziej obelżywych określeń, ale z pewnością oddających emocjonalne nastawienie braci do partaczy, czyli, delikatnie rzecz ujmując, niechęć. Owe miana trafnie także określały poziom partackiej roboty. Niefachowiec był więc przede wszystkim *fuszere*m, *przeszkadzaczem*, *zimnym rzemieślnikiem*, *majstrem klepką*, *majstrem ze-*

*psujem*, *majstrem psujskim*, *paterakiem*, *papudrakiem*, *psujmajstrem* i *przeszkodnikiem*. Lekceważeniu, w zasadzie pogardzie, nie było końca. Ten, co poważał się na wykonywanie rzemiosła bez zezwolenia i spełnienia wszystkich nakazanych prawem warunków, był tudzież *paterą* i *knociarzem*, *biegunem*, *peckielem*, *pozacechowym*, a niekiedy, o zgrozo!, *szewcem*... Tylko *konsensowy mistrz* miał pełne prawo do prowadzenia warsztatu i czerpania zysków z tytułu uczciwej roboty.

Zanim jednak ten mistrz został mistrzem, to, wiadomo, długa droga była przed nim. Po spuszczeniu z ucznia na towarzysza miał status *czeladnika*, *rzemieśniczka*, *rzemieślniczka* lub *giezela*. Ten towarzysz, który bezpośrednio pod czujnym okiem chlebodawcy w robocie mu pomagał, to *podmistrz* albo *podmajster*. Zwierzchnikiem wszystkich czeladników w cechu był *ojciec towarzyski*. A ogół czeladzi nazywano ciepło *czeladeczką* bądź *czeladką*. Pierwszy stopień rzemieślniczego wtajemniczenia stanowiło jednak kilka lat harówki jako uczeń – *uczen*nik, *terminator*, *praktykant* albo *praktykancik*, kiedy niekiedy i *pachotek*. Mieszczanie, co zlecali wykonanie jakiejś roboty, to było *kundmaństwo*, czyli był i *kundman* (*kondman*), i *kundmanka* (*kondmanka*), w zależności od płci.

Cech był najważniejszą instytucją zrzeszającą rzemieślników jednego lub kilku pokrewnych zawodów. Cechy zwano *bractwami*, *kontuberniami*, *kątybernijami*, *konfraterniami*, ale też *die Zieche*, *Innung*, *Zunft*, *contubernium*, *confraternitas*<sup>418</sup>. Na czele bractwa stał *cehmistrz* albo *cehmistrzmajster*. Cehmistrzowie byli kierownikami swojej konfraterni w sensie gospodarczym i moralnym, gdyż czuwali nad solidnością pracy, czuwali nad uczciwością życia, zarządzali nieruchomościami i gotówką, jaka znajdowała się w skrzynce. Najwyższą władzą o charakterze ustawodawczym, częściowo wykonawczym i sadowym było zgromadzenie ogólne wszystkich mistrzów. Jako stały organ wykonawczy funkcjonowali starsi, z cehmistrzem na czele i mistrzami stołowymi. Sesje cechowe (ogólne zebrania) dzieliły się na dwie kategorie. Po pierwsze były to sesje zwyczajne, odbywające się w terminach określonych przepisami danej ordynacji, czyli *suchedniowe*. Do drugiej kategorii należą zebrania nadzwyczajne. Zebrania *suchedniowe* wypadały mniej więcej raz na kwartał, ale niektóre z nich miały charakter wyjątkowo uroczysty. Zazwyczaj spotykano się w domostwie cehmistrza, ale co bogatsze kontubernie posiadały swoje własne budynki bądź gospody. Podczas owych posiedzeń załatwiano sprawy bieżące, a dotyczyły one uczniów, towarzyszy, poza tym produkcji i pracy, co akurat wynikało ze stosunków, jakie panowały pomiędzy samymi majstrami. Wówczas orzekano

418 Kiryk F., *Porządek cechowy w lokacyjnym Krakowie*, [w:] Rajman J. (red.), *Kraków: studia z dziejów miasta w 750 rocznicę lokacji*, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2007, s. 78.

i wymierzano kary za łamanie uświęconych statutów, omawiano różne grzeszki i przewinienia. Przestrzeganie rygoru, jaki narzucała nie tylko dyscyplina, ale również porządek i obyczaje w rzemiośle, miało cel edukacyjno-resocjalizacyjny. W większości kierowano kary pod adresem nowicjuszy, aby skutecznie wybić z głowy i im, i pozostałym ewentualne kolejne występki. Kary broniły też przed partaczami, równocześnie strzegąc mistrzów przed towarzyszami i uczniami. Ukracały skutecznie ich żarłoczne apetyty na władzę, dowodząc, że jedynie ciężka praca i dyscyplina mogą im pomóc w osiągnięciu wymarzonego statusu, nigdy zaś nie będzie to bunt i łamanie reguł gry. Ferowaniem wyroków i orzekaniem kar zajmowali się starsi bądź też sądy cechowe. Posiedzenia brackiego trybunału odbywały się w izbach cechowych, a wydawane orzeczenia popularnie zwano *schyłkami*. Przez długi czas, kiedy większość miast pozostawała w rękach prywatnych właścicieli, w sprawach karnych wszyscy bracia podlegali jurysdykcji wójta. Cechowy arbitraż był dla mistrzów sądem pierwszej instancji. W przypadku, gdy nie zgadzali się ze *schyłkami*, mogli apelować do sądów miasta. Burzliwe życie cechowe znajdowało odzwierciedlenie w księgach miejskich. W Lublinie te sprawy rozpatrywane przez władze miejskie dotyczyły zwykle mniejszych lub większych nadużyć cechowych albo odwiecznych niemal sporów z Żydami i partaczami, a także naruszania praw i przywilejów przynależnych cechom, czy dość licznych zatargów, jakie wybuchały na tle nieposzanowania panów starszych. Ci byli bardzo uczuleni na punkcie swojego honoru, szarganego częstokroć przez *piecuchów*, czyli mistrzów, którzy nie mieli prawa do zasiadania przy starszym stole, albo nie daj Boże, przez nowicjuszy. Miejsce miały i prawdziwe bitwy, a to zazwyczaj w konfraterni, kiedy to nie uwzględniano listów urodzaju, zarzucano sobie wzajemnie partactwo. Zdarzały się i błahe powody – na przykład nie odpowiedział jeden taki na kichnięcie cechmistrza zawołaniem „na zdrowie!”<sup>419</sup>... W 1781 roku rada naszego uroczego skądinąd miasta wydała pewną ustawę na skutek skarg konfratrów stolarskich. Zabroniono w niej czeladnikom i przede wszystkim magistrum kunsztu stolarskiego sprawowania rzemiosła swego u Żydów. Natomiast w 1736 roku w Lublinie miała miejsce prawdziwa jatka. Nieźle wówczas poobijano cechmistrza kuśnierskiego, Szymona Puchalskiego. Biedakowi popodbijano oczy, potłuczono go soczyście, aż krwawił z ran nieszczęśnik. Mości Puchalski kontuszu na rękawy swe nie wdział, a przecież taki ubiór, jak koszula bez rękawów, to strój niegodny w cechu! Jeden ze świadków bijatyki mówił, że zasiadając do skarbu, zawsze się bierze kontusz na rękawy. Nic dziwnego więc, że mu facjatę zdrowo otłukli. Ot, życie.

419 Riabinin J., *Materiały...*, op. cit., s. 10.

Przy okazji sesji mistrzowie, zobowiązani do obligatoryjnego w niej uczestnictwa, wpłacali do cechowej skrzynki tak zwaną *składkę suchedniową*. Owe *skrzynki cechowe* nazywano też *ladami cechowymi*. W nich umieszczano z pietyzmem najcenniejsze dla danej kontuberni przedmioty, przede wszystkim statuty. Chowano do lad także inne rodzaje dokumentów: przywileje, listy, księgi cechowe, rejestry mistrzów, rejestry towarzyszy i uczniów, księgi rachunkowe. Nadto znajdowały tam swoje miejsce pieczęcie, insygnia władzy cechowej oraz pieniądze. Musiały więc mieć te skrzynki naprawdę okazałe gabaryty. Wykonywano je z drewna lub kuto z żelaza, bogato zdobiąc w różnego rodzaju ornamenty. Misterność i różnorodność ornamentów świadczyła o zamożności danego cechu, ale i o przeznaczeniu samych skrzynek. Opiekę nad ladami sprawowali cechmistrzowie, głową za nie odpowiadając. Zazwyczaj było ich kilka, a fundowali je ze swoich składek członkowie bractwa. W ladach przechowywano też inne ciekawe przedmioty, kosztowne, a jakże, do celów ceremonialnych służące. Oprócz buzdyganów, były tam i krucyfiksy z cennych metali, kubki, kielichy, a nawet konwie używane z okazji uct. Szczególne znaczenie miały wilkomy, bo *tak wielką miały zawartość, że wychylenie ich duszkiem, ostrogi wytrawnego pijaka młodym mistrzom nadawało*<sup>420</sup>.

Zwykle spotykano się na przełomie lutego i marca, potem na przełomie kwietnia i maja, we wrześniu i obowiązkowo w grudniu. Jedno z tych zebrań poświęcano na wybory starszyny cechowej, a wówczas badano gospodarkę finansową bractwa, bacznie rachując zgromadzone w skrzynce zasoby i z uwagą przeglądając księgi, gdzie wpisywano każdy wydatek i każdą wpływającą należność. Nie było tych spotkań wiele, ale mimo to wciąż umacniały one władzę i prestiż starszych, którzy reprezentowali organizację na zewnątrz, również wobec bezpośredniego zwierzchnika, jakim była rada miejska. To za zgodą rady wybierano starszyny, a sam dzień elekcji był dla życia rzemieślniczej społeczności wielką uroczystością i okazją do świętowania. Elekcje odbywały się na początku lub pod koniec roku kalendarzowego. Zwykle ta uroczystość szła w parze z obiorem władz miejskich. Po wyborach w kontuberni nowi cechmistrzowie składali w ratuszu uroczystą przysięgę. Wówczas deklarowali, że będą sprawiedliwie oraz wiernie swój urząd pełnić, nie dopuszczając do wyrządzania jakichkolwiek krzywd i równocześnie ścigając nadużycia. Pierwszeństwo kandydowania mieli ustępujący starsi, więc mimo tego, że w statutowej teorii kadencja miała trwać rok, zwykle trwała znacznie dłużej. Cechmistrzowie byli ponadto zobowiązani do uczestnictwa w wyborach rajców i innych obieralnych urzędów. Dziarsko działali w konsultach miejskich i wraz z pospółstwem uchwalali *lauda*.

420 Charewiczowa Ł., op. cit., s. 18.

Cechy były łącznikiem pomiędzy władzą miejską a społeczeństwem. Już za panowania Kazimierza Wielkiego ustalono, że połowa rady miejskiej w stołecznym Krakowie ma składać się z rzemieślników. Wbrew pozorom gospodarcza sfera działalności konfraterni nie była sferą najważniejszą, lecz równoległą do odpowiedzi na potrzeby wspólnoty, która znalazła godne usytuowanie w miejskiej hierarchii.

Zgromadzenia nadzwyczajne zwoływano jedynie w przypadku jakiejś nagłej potrzeby. Jak zwykle zwoływali je starsi, ale działo się to już na polecenie magistratu, a także na prośbę któregoś z braci, a i w przypadku przełomowych okoliczności, wymagających natychmiastowego załatwienia sprawy. Do owych spraw nadzwyczajnych należały wyzwoliny ucznia bądź sztuka mistrzowska, więc to sprawcy owego zamieszania pokrywali koszty *schadzki*. W dawnych wiekach sztuka czytania i pisania nie była zbyt rozpowszechniona, toteż rzemieślnicy posługiwali się systemem znaków – językiem znaków, a wśród nich najdonioślejszą funkcję pełniła *cecha*, mająca znaczenie pradażnych wici. *Cechą* (*obesłaniem cechowym, tessera, cychą*) był tajny znak, właściwy jednemu bractwu, będący sygnałem do stawienia się na sesję. Bracia, powiadomieni o terminie i miejscu schadzki, *winni byli się zebrać przed wypaleniem do oznaczonej wysokości świecy, zapalanej na znak obrad cechowych*<sup>421</sup>.

Cechy owe miały różne kształty. Bądź wyglądały jak skręty z drewna jałowcowego, nazywanego *krywulą*, bądź kształt krzyża lub metalowej blaszki. Przekazywano je z rąk do rąk, ale na koniec cecha musiała wrócić do cechmistrza. Zawsze zaczynało od mistrzów najstarszych, a kończono na najmłodszych. Nieusprawiedliwioną nieobecność na zebraniach surowo karano jako i spóźnienia. Cechmistrz, z racji pełnionej przez siebie funkcji, *dzierżył buzdygan*, rodzaj obosiecznej broni, zbliżonej do buławy, o stalowej głowicy rozszczepionej na pionowe pióra. Główny mistrz ceremonii zgromadzenia miał prawo używać buzdyganu nie tylko podczas sesji, lecz i w pochodach, uroczystych procesjach, a także wtedy, kiedy dokonywano corocznego przeglądu arsenału, co stanowiło też okazję do zaprezentowania się władzom miejskim w pełnym rynsztunku bojowym, ale i innym mieszczanom, z zazdrością patrzącym na dzielnych majstrów. W trakcie obrad buzdygan leżał przed przewodniczącym zebrania, który uderzeniem w stół ogłaszał i początek, i koniec zgromadzenia. W czasach już późniejszych używano nie buzdyganu, tylko specjalnego dzwoneczka z herbem cechu, czyli *gmerkiem*.

Sam przebieg zebrań zależał od kategorii spraw, które postawiono pod obrady. Porządek regulowały ogólnie statuty, a poszczególne punkty programu referowa-

421 Charewiczowa Ł., op. cit., s. 17.

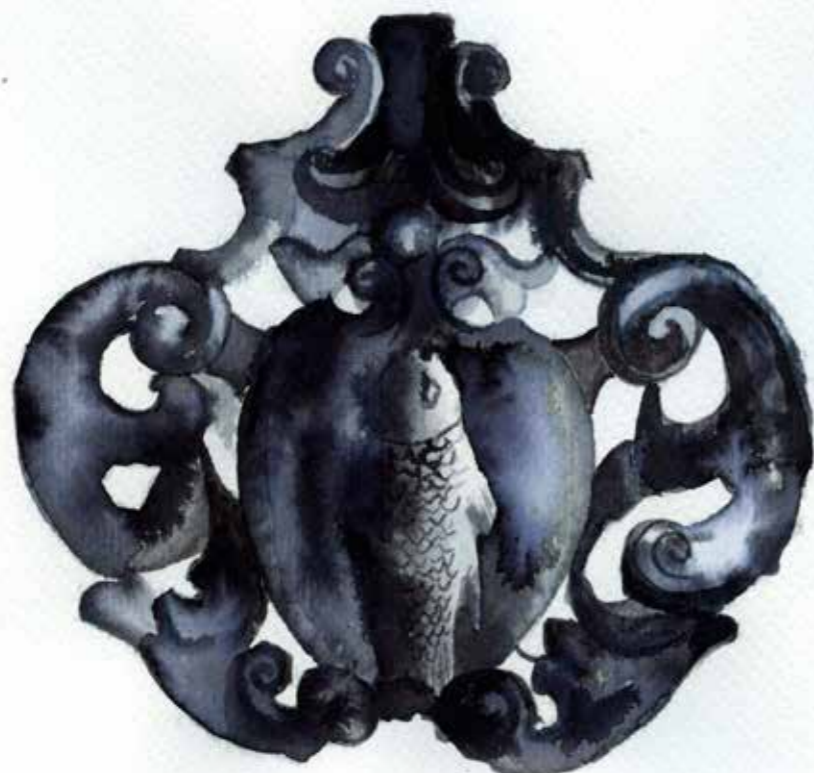
li starsi. Cała reszta obowiązkowo słuchała ich w milczeniu, dopiero po zakończeniu wystąpienia, zgodnie z zasadą starszeństwa, zabierali głos poszczególni mistrzowie, za każdym razem podkreślano więc hierarchię wiekową i prestiż pełnionych funkcji, czego należało ściśle przestrzegać. Przepisy dotyczące cechowego *savoir-vivre'u* podczas *schadzek* (sesji) obowiązkowo odczytywano, coby panom mistrzom nie przyszło do głowy awantur jakowys niepotrzebnie wszczynać. Pozycja i władza starszych była ogromna. To na nich spoczywała odpowiedzialność za reprezentowanie interesów bractwa na zewnątrz, to oni kierowali zgodnie ze swym doświadczeniem, wiedzą i mądrością wewnętrznym rytmem konfraterni, załatwiali sprawy uczniów, rozsądzały spory od czasu do czasu wynikające między *majsterią* a czeladzią. To starszyzna również kontrolowała produkcję u każdego ze zrzeszonych majstrów i jakość ich wyborów, równocześnie organizując walkę z partaczami. Wszyscy bracia obowiązani byli do bezwzględnej jej posłuszeństwa i szacunku.

Urzędy, jakie konfratry piastowali w swojej kontuberni, dodawały estymy osobom, które je sprawowały, przydając też i ważności, i szacunku nie tylko wśród swoich, ale i wśród innych obywateli miejskich. A zadań w cechu było do zrealizowania mnóstwo! *Bajzycmajstra* starsi delegowali do cechowej gospody, a *bezycmajster* asystował starszyźnie podczas spotkań. Byli mistrzowie *starsi*, byli mistrzowie *młodszy*, co dopiero pierwsze kroki na polu swojej samodzielności rzemieślniczej stawiali. Finanse bractwa powierzano *podskarbiemu*, a opiekę nad bracką kaplicą – *kaplicznemu*. Jak który cech posiadał swoją gospodę, to mistrza, w którego domostwie się ona mieściła, wołano *ojcem gospodnim*, zaś jego zadaną małżonkę – *matką gospodnią*. Mistrz, co zawsze na czas i w przepisanej wysokości uiszczał do lady wszyściutkie nakazane ordynacją opłaty, był *majstrem wypłatnym* w odróżnieniu od *suchedniarzy*.

Kiedy wnikliwie przyjrzymy się dostępnym materiałom, możemy stwierdzić, że zaczątki działalności socjalnej i prospołecznej narodziły się właśnie w rzemiośle. Ze względu na unikatową konstrukcję tych instytucji, zasady i określony porządek oraz władztwo, konfraternie działały też na polu spraw finansowych i bytowych. Bardzo często udzielały pożyczek hipotecznych swoim członkom, zajmowały się ubezpieczeniami, nieustannie inwestując, aby zwiększać systematycznie stan cechowej kasy. Niekiedy przyjęły rolę tzw. *societates certae pecuniae*, gdzie można było korzystnie ulokować własne środki pieniężne. Cechy nie działały charytatywnie, gdyż pobierały prowizję od tego typu transakcji, tak samo zresztą jak i od pośrednictwa w handlu, ale zebrane w ten sposób pieniądze łądowały nie w prywatnych mieszkach ówczesnych cechmistrzów i pozostawały

stałych starszych, lecz skrupulatnie wpisywano je do ksiąg rachunkowych, a pieniądze odkładano do skrzynki.

Cechy realizowały, i to z powodzeniem, różne zadania społeczne, będące odpowiedzią na zapotrzebowania mistrzów i społeczności miejskiej. *Najogólniej rzecz ujmując określały miejsce jednostki w zbiorowości, załatwiały jej działalność zawodową i życiową, stwarzały warunki zabezpieczające jej byt, umożliwiały realizowanie potrzeb towarzyskich.*



*Obie przyczyny ich powstania – gospodarcza i społeczno-kulturowa – na pewno wzajemnie się uzupełniały<sup>422</sup>. Swoje zadania statutowe konfraternie realizowały więc na różnych polach. W czasach pokojowej stabilizacji były zobowiązane do pewnej liczby dni prac na rzecz miasta: murarze i cieśle musieli dwa dni rocznie poświęcić na naprawę budynków i murów miejskich. Rybacy w razie powodzi musieli wraz ze sternikami ubezpieczać mosty. Z pożarami walczyli ślusarze, kotlarze, kowale, piwowarzy i tragarze. Z chorobami zakaźnymi – chirurgi<sup>423</sup>. Godność mistrza rzemieślnik cenił sobie tak samo, jak stan rycerski*

<sup>422</sup> Samsonowicz H., *Cechy rzemieślnicze w średniowiecznej Polsce: mity i rzeczywistość*, „Przegląd Historyczny” 75/3, 1984, s. 554.

<sup>423</sup> *Święto rzemiosła pomorskiego w Toruniu dnia 23 czerwca 1935 r.*, Pomorska Drukarnia Rzemieślnicza w Grudziądzu, Grudziądz 1935, s. 54.

cenił sobie herb i tytuły. Godło swojego rzemiosła (gmerk) stawiał na równi z innymi świętościami i równocześnie dbał o to, aby nie splamić się żadnym dyshonorem. Był zamożnym człowiekiem, zgodnie ze swoim etosem bogacącym się, ale nie kosztem cudzego nieszczęścia. Nie starał się zazdrościć, jednocześnie nie pozwalając na naruszanie zasad, jakimi sam się kierował i jakie jego dotyczyły. Status rzemieślnika postrzeganego jako obywatela bardzo szanowanego w społeczności miejskiej, pozwalał na noszenie broni, na ogół pałasza. Każdy magister miał obowiązek ćwiczyć się w „robieniu” mieczem i strzelaniu z łuku, potem i z broni palnej. W razie wrażego napadu nieprzyjacielskiego stawał do broni, gotów do ochrony miasta.

Ale piecza nad miastem to nie był tylko okrutny czas wojny, lecz i czas pożarów, a miasta dawniej płonęły bardzo często, gdyż zabudowa była głównie drewniana. Mieszczanie mieli obowiązek przez cały rok trzymać koło domu beczkę z wodą. Jak wybuchała pożoga u jednego w domostwie, wówczas wybiegać musiał przed bramę i krzyżeć, póki dzwonic nie zaczną na alarm. Nie wolno natomiast było uciekać, pod karą grzywny. W Krakowie na dźwięk dzwonu *wszystkie wozivody musiały spieszyć do ognia z kadziami, a kto z nich pierwszy do ognia wodę przywiózł, ten dostawał na ratuszu 1 fertona nagrody, drudzy dostawali od każdej beczki po 2 grosze. Każdy łaziebny (Bader) obowiązany był do ognia spieszyć ze służbą i wannami. Kto pierwszy z nich stanął u ognia, dostawał 4 grosze nagrody, a drudzy po 2 grosze, jeśli pilnie gasili. Natomiast nikomu nie wolno było biedz do ognia z gołymi rękami, bez haka, siekiery, wiadra itp., bo ktoby bez jakiego narzędzia był napotkany, tego czekała koza. Wyraźnie też zakazane było, żeby samotne kobiety do ognia nie biegły. Tak samo cech cieśli był obowiązany zawsze z narzędziami spieszyć do ognia i ratować, a w statucie z r. 1512 obiecywał magistrat cieślom za fatygę hojną nagrodę<sup>424</sup>.*

W przypadku nieszczęść lub innych katastrof losowych (nagła śmierć, ubóstwo itp.) członkowie kontuberni mogli liczyć nie tylko na duchowe wsparcie, ale przede wszystkim na realną pomoc. Zakładano więc szpitale, co było akurat domeną gildii zachodnioeuropejskich. Zbliżone instytucje powstawały i na ziemiach polskich, lecz w zdecydowanie mniejszym zakresie. Owe szpitale należały na Starym Kontynencie do najzaciejszych i największych placówek tego typu, zdecydowanie wyróżniając się swoją znakomitą organizacją na tle innych fundacji charytatywnych. Warto tu wspomnieć o florenckim *Ospedale degli Innocenti*, Szpitalu Niewiniątek. Wniesiony w stylu renesansowym gmach projektu Filippa Brunelleschiego (jedna z pierwszych budowli Odrodzenia) był niczym innym, jak przytułkiem dla nieszczęśliwych dzieci – sierot i dzieci porzuconych. Erygowany został

<sup>424</sup> Chotkowski W., op. cit., s. 54–55.



przez cech jedwabników i cech złotników, do którego zresztą należał i sam Brunelleschi, w 1424 roku, w początkowej fazie *quattrocenta*. W jednej ze ścian znajdowało się okienko, gdzie matki, które nie chciały lub nie mogły się zdecydować na (w większości przypadków – samotne) macierzyństwo, mogły bez obaw przed konsekwencjami pozostawić niemowlę. Powstawały kolejne przybytki miłosierdzia, szpitale, a wszystko dzięki fundacjom stowarzyszeń rzemieślniczych bądź kupieckich. Ich funkcjonowanie finansowano ze środków gildii i to głównie dla ich członków były przeznaczone, lecz jako filantropijne ośrodki w zgodzie z Bożymi ideałami otwierały swoje podwoje i dla potrzebującej ludności z zewnątrz. W Polsce ta forma opieki nie przyjęła aż takiego rozmachu, ale mimo wszystko bodaj jej namiastka istniała. W gospodach czeladniczych mieściły się specjalne izby, gdzie doglądano chorych, poza tym mistrzowie organizowali w ramach bractwa coś na kształt współczesnej kasy zapomogowo-pożyczkowej. Kontubernie zabiegały nie tylko o dobrobyt swoich członków, lecz również sprawowały opiekę nad magistrami starymi, zubożałymi i chorymi. Takiemu podupadłemu majstrowi pozwalała starszyzna na handel cechowymi wyrobami, wspomagając również finansowo. Dla córek i wdów po mistrzach cech był rodzajem kasy posagowej, a towarzyszom, którzy zapragnęli je poślubić, folgował znacznie przy egzaminie.

Zasadniczo uczeń przebywał w mistrzowskiej oficynie po to, aby się profesji nauczyć. Nie należy jednak zapominać, że ze względu na sposób kształcenia i zasadę familiarności, zadaniem majstra było odpowiednie wychowanie i odpowiednie ukształtowanie charakteru swojego podopiecznego. Przede wszystkim chłopiec miał być bezwzględnie posłuszny swojemu przełożonemu i pozostałym mistrzom. Miał być też okazem solidności, prawości i rzetelności zawodowej oraz pracowitości. Miał także być gorliwym chrześcijaninem. Mistrz i jego rodzina od chwili, kiedy młodzieniec przekraczał próg warsztatu, stanowili dla ucznia bezpośrednio środowisko wychowawcze, z którego czerpał wzorce i które naśladował. Cech i chlebodawca stali na straży moralności *uczenników*, ich obyczajowości. Dotyczyło to też sfery religijnej. Nawet w umowach o naukę można spotkać klauzule, że obowiązkiem majstra jest nie tylko wprowadzanie swojego *tyro* w arkana zawodu, lecz również kształtowanie zamiłowania do przestrzegania reguł wspólnoty, w tym też nakazów religijnych. Umowy odzwierciedlały troskę o duchowość chłopców: *aby pacierza tak rano jako i wieczór klęczący z uszanowaniem odmawiał i w owe dni święte uroczyste Mszy Święte słuchał i na innych nabożeństwach bywał, jako i w dni uroczyste skrypcy po południu pisywał i we wstrzeźliwości zawsze trwał.*<sup>425</sup>

425 Pękalski M., *Przyczynek do dziejów cechu krawców urzędowskich w XIX wieku*, Urzędów 1938, s. 15.

Nie ukrywajmy, uczniowie i czeladź to byli ludzie młodzi, ci ostatni mniej więcej w wieku dwudziestu lat lub trochę ponad, więc nie ma co się dziwić, że głupoty im jeszcze były w głowie i kusiły uciechy doczesnego świata. A tych pokus sporo było, oj, sporo. Normalne zatem, że łamali te święte obyczaje cechowe, cóż, krew nie woda. Stąd też bractwa nieustannie starały się przywołać bisurmanów do porządku, gorliwie studząc ich zapaly. Tamowali tę młodzieńczą naturalność i żywotność, ale...





*Jakoby też rok bez wiosny mieć chcieli,  
Którzy chcą, żeby młodzi nie szaleli*<sup>426</sup>.

Dla lepszej kontroli ze strony cechu na ulicy każdy towarzysz przymusowo nosił znak swojego rzemiosła, na przykład kowale młotki nosili. Musiał być przyzwoicie ubrany, żeby wstydu konfraterni nie przynieść. Zatem na głowę obowiązkowo miał wkładać kapelusz, a nie po ulicach latać w czapce płóciennej byle jakiej, której używał sobie przy robocie. Ordynacja cechu tkackiego z Urzędowa deklarowała, że *gdyby towarzysz robił u jawnie występnej i nierządnej majstrowej, podlegać miał zapłaceniu dwu funtów. Kara pieniężna groziła za przegranie w karty więcej niż poczwórny grosza, zaś towarzysz, który karty i insze zabawki porzucił, a drugi pozbierał, winien był towarzystwu cztery grosze, a cechowi sześć poczwórnych groszy*<sup>427</sup>. Zakazali tudzież mistrzowie swojej młodzieży chodzenia na rynek i szwendania się po ulicach, a jeśli który poważyłby się na odwiedzenie jakichś miejsc nieprzyzwoitych, to pół funta wosku niech lepiej od razu na stół kładzie. Jeden kamień wosku płacił ten winowajca, co wskutek swojego nieuczciwego zachowania niecnotę z kucharką albo komornicą zmajstrował. Towarzysze obowiązkowo mieli uczestniczyć w nakazanych obrzędach religijnych jako i w świątyni posługiwać. Na ich barkach spoczywał ciężar uświetniania uroczystości kościelnych, bowiem dbali o światło (i jego utrzymanie; broń Boże, żeby świeca podczas mszy zgasła) na ołtarzu i w pozostałej części kościoła. Dla uszanowania czci Najświętszego Sakramentu w Boże Ciało wszystka czeladź dzierżyła dziarsko w dłoniach półfuntowe świece woskowe. Jeśli który chciał się od tego pięknego obowiązku wymigać, od razu pół funta tegoż wosku na cech miał darować. Towarzyszy, podług statutów, karali starsi za nieprzyzwoite zachowanie w trakcie nabożeństw, chociażby za niezdjęcie czapki podczas procesji Bożego Ciała czy podczas egzekwii żałobnych nad marami.

Na uczcie, wydanej przez świeżo co obwołanego magistrą, dużą wagę przywiązywano do jego kulturalnego zachowania. Gdyby przydarzyły mu się jakieś błędy, a opór by zbyt wielki okazywał, a to napoje nie tak podawał, zaraz do skrzynki cechowej pół funta wosku musiał kłaść. Rzemieślnicy, mimo iż od zabaw hucznych nie stronili i wcale nie byli ponurakami, co jeno pracą żyją, rygorom poddali i sferę rozrywkową. A okazji do wesołych libacji, konsolacji i uczt wszelakich dość sporo bywało. Ucznia przyjmowano

426 Kochanowski J., *Na młodość*, w: idem, *Fraszki*, Fundacja Nowoczesna Polska, s. 12.

427 Surdacki M., *Edukacyjno-opiekuńcza funkcja cechów urzędowskich w XVI – XVIII wieku*, „Rozprawy z Dziejów Oświaty”, nr 44, 2005, s. 28.

– ucztą, wyzwoliny organizowano – ucztą, sztuka mistrzowska robiona – ucztą, elekcje cechmistrzów – ucztą, schadzka cechowa – ucztą, wesele – ucztą i pogrzeb – też ucztą. Fundatorem fety byli pretendenci do poszczególnych etapów rzemieślniczej kariery bądź zacne ich familie. Po części „urzędowej” następowała część „artystyczna”, nieoficjalna, *parogodzinny „szynk, zabawa-pogadanka cechowa, z normami ściśle przestrzeganymi: jak się zachować przy stole, ile pić, nie wylewać piwa więcej niż go ręką na stole przestłoni lub na ziemi nogą ukryje itd. Moralności i nabożności przestrzegano nadzwyczaj surowo – poszanowanie starszych (szczególnie ojca i matki gospody) było wzorowe, uczono istotnie obyczajności, wygładzano szpetotę mowy i ruchów*<sup>428</sup>. Poszanowanie dla starszych cechowych było też młodszym majstrom surowo przepisane i dlatego statut kuśnierzy (1377) przepisywał, że młodszemu wolno się odzywać tylko za zezwoleniem i uchwałą starszych (mit *urlob und lobe der eldsten*), do czego statut kołodziejów i powroźników (1458) dodawał, żeby był skromny i nie siadał, póki mu nie pozwolą starsi, bo zapłaci 1 grosz kary. Tak samo statut piekarzy (1458) przepisywał (§ 20), że kto w cechu stanie przed stołem bez pozwolenia starszych, wyjdzie z posiedzenia lub się starszyźnie hardo stawi, zapłaci 3 grosze. Dlatego też cechowe ustawy zabraniały wchodzenia na cechowe zgromadzenia z bronią. Kołodzieje jednak na to pozwalali, ale kto z nich prosił o głos, ten musiał oręż pierwszej na bok odłożyć. Wszelkie krnąbrne zachowanie się wobec starszych karano<sup>429</sup>.

Suto zakrapiane hulanki celebrowali bracia z wielką dbałością o szczegóły. Imprezy były za każdym razem niesamowicie wystawne. Skrupulatnie odnotowywano w księgach ilość wypitego i serwowanego alkoholu. Co ubożsi czeladnicy za przyjęcie w poczet magistrów sukcesywnie płacili w ratach kolejnymi partiami przepisanego napitku podczas następnych sesji, skoro nie stać ich było na jednorazowy wydatek. Wiadomo, prawo i tradycja to rzecz święta, zadość się im stać musiało. *Wspaniałe były ucztę cechowe. Mistrzowie nowoprzyjęci fundowali ucztę; i tak np. piwowarzy musieli postawić dwie beczki piwa i dwie szynki. Zapiski w księdze cechu kowalskiego świadczą, że i kowale trąbili w sposób niesłychany: przez 8 dni 8 braci cechowych wraz z małżonkami i dwie wdowy wypili 1728 kwart, tj. przeciętnie 10 kwart dziennie na głowę! Nawet w ciężkich czasach XVII wieku z pieniędzy wpisowych wyprawiano huczne ucztę: 7 sztofów wina węgierskiego, sery, wędzone ozory, to znów 10 sztofów wina, zające, chleb kandyzowany i tytoń do fajek*<sup>430</sup>. W Toruniu, mieście pierników, pachnącym tysiącem przypraw korzennych, rzemiosło

428 Brückner A., op. cit., s. 480.

429 Chotkowski W., op. cit., s. 35–36.

430 *Święto rzemiosła...*, op. cit., s. 53–54.

zabawiało się grą w karty lub w kości. Tak byli zażarci w tych grach tamtejsi rzemieślnicy, że czasem i odzież potrafili zastawić. Władze cechowe hazardu zabraniały, a oszukaństwo w grze karały wykluciem oczu... Podczas uczt nie tylko jedzono frykasy, ale i tańczono. Kto był nadto płocho bądź zachował się nieprzystojnie, zaraz karę musiał płacić. Tańce bardzo często odbywały się w ostatki, a mogły trwać nieprzerwanie od poniedziałku do środy. Jak który majster był fujarą i pozwolił swojej partnerce stać w czasie tańca, a jakże, do skrzynki grzywny dawał.

Rzemieślnicy byli nie tylko koneserami dobrego jadła i napitku, a przy tym celebransami dobrych manier. Potrzebowali także czegoś dla ducha, a nic tak człowieka nie uwzniośla, jak sztuka. Szczególnie ulubili sobie muzykę, nie tylko do słuchania, bowiem cenili też i śpiew. Śpiewanie towarzyszyło im w czasie świąt kościelnych, także na co dzień, w trakcie roboty. Na tę okoliczność ułożono nawet piosenkę religijną pt. „Pieśń podczas pracy”:

*Boże z Twoich rąk żyjemy,  
Choć naszymi pracujemy;  
Z Ciebie plenność miewa rola,  
My zbieramy z Twego pola.*

*Wszystko Cię Boże nasz chwali,  
Aleśmy i to poznali,  
Że najmilszą Ci się zdała,  
Pracującej ręki chwala.*

*Co rządzisz ziemią i niebem,  
Opatrz dzieci Twoje chlebem,  
Ty nam daj urodzaj złoty,  
My ci dajem trud i poty.*

*Kiedys przyjdziem na godzinę,  
Gdy kończąc ziemską gościnę,  
Z Łazarzem po naszym zgonie,  
Odpoczniemy na Twem łonie.*

*Boże w Trójcy niepojęty,  
Ojcze, Synu, Duchu Święty,  
Tobie chwałę oddajemy,  
Byś nas poświęcił prosimy<sup>431</sup>.*

W śpiewie wyrażano wszystkie radości i smutki, wszystkie tęsknoty, ale i szacunek do pracy oraz rzemieślniczego stanu.

*Hej bracia od szydła, młota i topora,  
Choć pracą stwardniała wam dłoń,  
Wy także sokoły, bo myśl skrzydłopióra  
Kochanką i waszę zwie skroń.*

*Wam geniusz jest ojcem, wy jego wcieleniem, –  
Myśl nagła zdobicie wy w strój.  
Badawczy duch biegnie waszem posileniem,  
On wasza krynica i zdroj.*

*Więc bracia sokoły od pracy z warsztata,  
Do góry ku niebu wzniesć wzrok,  
Was praca uzacnia, bo z nią świat ulata,  
Z was postęp skrzydła ma i tok.*

*Wy brzemień narodu weźmijcie na barki,  
Narodu pokutę i łzy  
Ujmijcie dłoń twardą i na wasze karki,  
Z nią ścigać wam innych  
To wy!<sup>432</sup>*

431 Marx L. F., *Żywoty świętych rzemieślników tudzież książeczka do nabożeństwa do nabożeństwa dla rzemieślników*, nakładem J. Glücksberga, Warszawa 1851, s. 139–140.

432 Danielewski I., *Ogólna pieśń dla młodzieży rzemieślniczej*, w: *Trzydzieści pieśni i piosenek dla rzemieślników, a szczególnie dla szewców, kowali, krawców, stolarzy, kołodziejów, piekarzy, rzeźników, rybaków, garncarzy, cieślów, mularzy, powroźników, młynarzy itd.*, z dodatkiem piosenki wykazującej, za którego rzemieślnika najchętniej panny za mąż iść rade, nakładem i drukiem Władysława Dyniewiczza, Chicago, ok. 1906 (?), s. 7-8.

W zasadzie, ile było rzemiosł, tyle piosenek. Śpiewano o wesołych i smutnych krawczykach, browarnikach, stelmaszkach. Nie ma co ukrywać, że chwilami owe śpiewy zachaczały o podłejsze maniery, a to szczególnie w momentach, kiedy wesoła czeladka urzędowała *szynki* w swoich gospodach. Był *szynk niezupełny*, był i *szynk zupełny*. Widać w obu przypadkach przemyślność mistrzów do trzymania w karchach rozentuzjzmowanych napitkiem towarzyszy. Szynki były swoistymi klapami bezpieczeństwa dla żywiołowego temperamentu młodzieży, które to hamulce nie dopuszczały do niekontrolowanych hulanków po karczmach i niepohamowanego trwonienia oszczędności wraz z przepijaniem ciężko zarobionych *wochlonów*. *Szynk niezupełny*, noszący również miano *wspólnego piwa*, odbywał się co drugą niedzielę, a zdarzało się, że i w dni powszednie, wieczorami. Zwykle miał miejsce w co większych kontuberniach, kiedy to podejmowano wędrującego lub udającego się na wędrowną towarzysza. *Szynk niezupełny ograniczał się do popijania piwa i zagryzania go obwarzankami, stokłosa, czyli trawą o przyjemnym zapachu oraz śledziami w oliwie*<sup>433</sup>. *Szynk zupełny* zostawiano na specjalne okazje, na przykład na czas karnawału lub okres Bożego Narodzenia. Wówczas to serwowano prawdziwe delicje – *pieczone* i *warzone*, czyli ciepłą kolację, suto zakrapiając ją piwem, a jak ta specjalna okazja była najbardziej specjalną ze specjalnych, to i miody podawano lub wino nawet. Taką uroczystość zaczynało od przypicia (przepicia) przydującego danemu związkowi towarzysza do pozostałych, na ucziwy szynk. I krążył wtedy wilkom z rąk do rąk, do ust łasych na dobre trunki. Długość zabawy była ściśle określona, stale pilnowano przyzwyczajoności, nakazom, jak zwykle, końca nie było: *żaden nie może przy utciwym szynku więcej piwa do siebie brać, niż utrzymać może... aby żaden piwa więcej nie rozlał, niż na stole ręką, a pod stołem nogą zakryć może... gry żadnej nie grać, rękoma zuchwale na stół nie bić*<sup>434</sup>. Ponieważ rozochociona i zdrowo podchmielona młodzież towarzyska różne harce wyczyniała, ubezpieczano się i na takie wypadki: *gdyby się z towarzyszą który w gospodzie tak bardzo ożłopał i opił, żeby mu womit stąd przyszedł, taki za winę do cechu jeden funt wosku odłożyć ma*<sup>435</sup>. Mimo tego, że, jak widać, różnie bywało i poziom wesołości wzbijał się na wyżyny, o śpiewie nie zapomniano:

*Z mą igielką, nożycami, przejdę wszystkie kraje,*

433 Pachoński J., *Zmierzch sławetnych. Z życia mieszczan w Krakowie w XVII i XVIII wieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, s. 368.

434 Bystron J. S., *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. I., Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 221.

435 Bystron J. S., op. cit., s. 221.

*Bo tym, co pracować lubią, każdy chleba daje.  
Umiem dobrze sukno krajać i umiem brać miarę,  
Umiem nowe robić suknie, i naprawiać stare.  
Gdy od kroju co zostanie, zwracam jak należy,  
Miłoś to pomyśleć sobie, że nam każdy wierzy!  
Kto rzetelny, sprawiedliwy, ma zawsze robotę;  
W jakimkolwiek będziem stanie, to kochajmy cnotę*<sup>436</sup>.

W takich wesoluchnych momentach szczególnie dobrze mieli towarzysze browarników, co to dreptali sobie koło kadzi i piwo warzyli. Z zazdrością musieli czeladnicy innych rzemiosł słuchać ich radosnych przyśpiewek i zawistnym okiem patrzeć na ich smakowitą robotę:

*Hej czeladzi, koło kadzi  
Tam twoje rzemiosło,  
Z tyłu, z przodu, nasyp słodu  
I mięszaj, by rosło.  
Niechajże nam rośnie sól,  
Będziem mieli piwa w bród.  
Żar połyska z pod kotliska,  
Dym się wali kratą.  
W lewo, w prawo, mięszaj żwawo,  
Drągiem i łopatą.  
A nie żałuj, bracie, rąk!  
Bo powiemy, żeś sam drąg.  
Teraz w rury, zlewaj z góry,  
Gładko, żwawo, zgodnie,  
Wpuszczaj z boku do kilsztoku,  
Niech tam sobie chłodnie.  
Chmiel mu nowej mocy da,  
Będzie czyste jako łąza.  
Hej, do miary, lej w kutnary,  
Gracko kieruj rurę,*

436 Jachowicz S., *Pieśń krawca*, w: *Ogólna pieśń...*, op. cit., s. 12–13.

Pilnuj w kolej, niech powoli  
Drożdże pójdą w górę,  
Towarzyszu, jesteś zuch,  
*Za dwóch robisz, pij za dwóch!*<sup>437</sup>

Zabawy zabawami, szynki szynkami, kiedyś trzeba się było ustatkować, panny sobie zaczęły poszukać, która umilałaby resztę dni ziemskiego żywota. Ale mieszczyki wybredne były, nie każdy rzemieślniczy zawód był na równi traktowany z innymi. Niektóre te profesje były bardziej miłe dla oka, niektóre mniej, niektóre bardziej wstydlive, niektóre mniej. Cóż, popłatność zawodu też była brana pod uwagę, nie tylko żartobliwie:

*Liście w ogrodzie, liście padają,  
Tego kowala, tego mi dają;  
Kowal bije młotem,  
Zalewa się potem;  
Nie chcę, nie pójdę – nie po mojej woli.*

*Liście w ogrodzie, liście padają,  
Tego rymarza, tego mi dają;  
Rymarz ciągnie skóry,  
Zębami do góry;  
Nie chcę, nie pójdę – nie po mojej woli.*

*Liście w ogrodzie, liście padają,  
Tego stolarza, tego mi dają;  
Stolarz robi skrzynki,  
Rad kocha panienki;  
Nie chcę, nie pójdę – nie po mojej woli.*

*Liście w ogrodzie, liście padają,  
Tego skotarza<sup>438</sup>, tego mi dają;  
Skotarz pędzi krowy,*

437 Szymanowski W., *Śpiewka piwowara*, w: *Ogólna pieśń...*, op. cit., s. 50–51.

438 Skotarz – skotnik, dawniej członek ludności służebnej, zajmujący się wypasem bydła.

*Rad on kocha wdowy;  
Nie chcę, nie pójdę – nie po mojej woli.*

*Liście w ogrodzie, liście padają,  
Tego garncarza, tego mi dają,  
Garncarz robi garnki,  
Rad on kocha starki;  
Nie chcę, nie pójdę – nie po mojej woli.*

*Liście w ogrodzie, liście padają,  
Tego młynarza, tego mi dają,  
Młynarz miele mączki,  
Rada jadam pączki;  
Chcę go i pójdę, bo mojej woli.*<sup>439</sup>

Pomimo akcesji do kręgu braci, a może właśnie dlatego, na każdego magistra nowicjusza spadał szereg nowych powinności. Musiał, do czasu zastąpienia go przez kolejnego rozpoczynającego karierę w rzemiośle adepta sztuki, być na każde zawołanie starszych doświadczeniem i rangą braci, pozostając nieustannie na *usłudze pospolitej* dla nich i dla Kościoła, nie mówiąc już o posłuszeństwie rygorom prawa miejskiego, skoro się go wreszcie dorobił. Majsteria to nie tylko były znacząco lukratywne korzyści i nie mniej zyskowne przywileje, ale i kolejne nakazania, o wiele poważniejsze, bo nowicjusz nie był już tylko towarzyszem, tylko aż mistrzem. Powołując się na święte prawo Kościoła, nakazywano, aby każdy magister rok od zrobienia sztuki mistrzowskiej musiał się ożenić. Gdy któryś odpowiedniej kandydatki smutnie nie znalazł, bądź ordynacje cechowe niepolitycznie traktował i ewidentnie się do poszukiwania żony nie kwapił, beczkę piwa osobiście współbraciom rozlewał w szklanice. Jeśli bracia uznali, że za mało w nim było pokory i niedostatek tego trunku wciąż mieli wielki, to musiał ponowić swoją gościnę i kolejną bekę piwa mistrzów hojnie obdarować. Ten zwyczaj stawiania piwa za przedłużanie sobie samowolne żywota poprzez trwanie uparte w kawalerskim stanie nazywano *bykowym*. Jedynie rada starszych mogła – i to z ważkich przyczyn – zwolnić takowego z obowiązku ożenku. Jeśli który był wyjątkowo grymaśny i oporny w kwestii żeniaczki, jako formę przymusu niekiedy stosowano

439 Autor nieznan, *Piosnka, z której można poznać, za którego rzemieślnika poszłaby panna najchętniej za mąż*, w: *Ogólna pieśń...*, op. cit., s. 53–54.

zawieszenie prawa do wykonywania rzemiosła, aż takiemu rozum nie wrócił. A i przyszła mistrzowa żona musiała mieć nienaganną przeszłość i być czysta jak łąza.

Za niepocziwe i lekceważące zachowanie wicherzyciele zaraz karę płacili. Jak który jęzor miał za długi i ploty wszędzie rozsiewał, zdradzając tym samym sekrety kontuberni, i zostało mu to udowodnione, darować musiał na potrzeby bractwa pół funta wosku. Rygor wykwiutnego zachowania obowiązywał nie tylko w cechu i wobec braci oraz sióstr, lecz także w miejscach publicznych. Jeśli magister nieuprzejmie sprawował się na rynku, to od razu funt wosku szykował. Demonstracyjne lżenie innych szpetnymi słowy kosztowało go już dwa funty. Do tego musiał zadośćuczynić zniesławionym i publicznie ich przeprosić. Klótnie w gospodzie cechowej były zdecydowanie tańsze. Mistrzowie wychodzący z gospody zwaśnieni lub ci, co przez przypadek za napitek „zapomnieli” zapłacić, do lady przekazać mieli jeno pół funta wosku.

Niemoralne prowadzenie się, a szczególnie naruszanie norm świętego sakramentu małżeństwa, zagrożone było surowymi karami. *Kto by się nieuczciwie sprawował przeciw prawu małżeńskiemu i w inszych rzeczach, a upomniany wcześniej przez cechmistrzów, złych uczynków nie zaprzestał, miał być pozbawiony prawa dalszego uprawiania rzemiosła. Dożywotnim odsunięciem od cechu i rzemiosła karano rzemieślników tkackich za publiczne występki i uprawianie cudzołóstwa*<sup>440</sup>. Trzeba pamiętać, że owe czasy to czasy sprzed emancypacji kobiet, zatem praw jakichś wielkich kobieta nie posiadała, oprócz jednego na pewno – prawa do przystojnego zachowania się wobec jej osoby. Kobiety w rzemiośle – siostry – cieszyły się sporym szacunkiem, niemal prestiżem podług ówczesnych obyczajów. Siostry, na tle niewiast niższego stanu, miały sporą dozę niezależności, podobnie jak ich szanowni małżonkowie były podmiotami praw cechowych, w tym podlegały ochronie. W przypadku owdowienia mogły dalej prowadzić warsztat i *wyborne robić rzemiosło w sierocińskim pozostając stanie*<sup>441</sup>. Białogłowa miała też możliwość powtórnego zamążpójścia, lecz zakazywano zmiany rzemiosła, oficynę po nieboszczyku dalej mogła prowadzić. I majsterskiej żony nie ominęły nakazy moralno-obyczajowe. Jeśli przytrafiły się jej jakoweś *poczwariki*, małżeńskie niesnaski, czcigodny małżonek fundował wosku funt jeden do konfraterni. Jeśli wdową będąc przystała na jakąś niemoralną propozycję towarzysza, co u niej w warsztacie robił bądź popełniła *przywiedziona porubstwo*, tedy odpowiedzialność za swawole z wesołą wdówką spadała na towarzysza i kosztowała go do cechu funtów wosku dwa.

440 Surdacki M, op. cit., s. 35.

441 Surdacki M., op. cit., s. 35.

Wyrazem szacunku i łączących ze zmarłym bratem więzi było obowiązkowe uczestnictwo w obrzędach pogrzebowych. I te zwyczaje były bardzo uroczyste, posiadające odpowiednią i szykowną oprawę. Gdy umarł któryś z braci lub któraś z sióstr, pozostali przy życiu członkowie gromadnie przybywali do domu nieboszczyka, by stamtąd towarzyszyć ciału aż do miejsca *sepultury*. Jeśli ktoś przybyć z różnych ważnych przyczyn nie mógł, musiał delegować zastępcę. Gdy jego nieobecności niczym nie dało się usprawiedliwić, zaraz wosk do cechu musiał dać bądź płacić karę w pieniądzu. Przygotowaniem drogiemu zmarłemu miejsca wiecznego spoczynku zajmowali się dwaj najmłodszy stażem mistrzowie. Kopali grób, a po złożeniu zwłok do dołu pogrzebowego, jeszcze kurhanek musieli usypać. Do pomocy mieli dwóch kolejnych. Wszyscy czterej dźwigali mary, bo inaczej wiadomo, funt wosku za karę. Najmłodszy dostarczał do domostwa zmarłego katafalk, co go potem pięknie ubierali. Ich obowiązkiem było też sprosić resztę współbraci na modlitwy i nabożeństwo żałobne. Niektóre cechy były na tyle przemyślnie, że tworzyły swoiste fundusze pogrzebowe. Co kwartał na przykład każdy mistrz płacił grzecznie wyznaczoną kwotę do lady. Dzięki temu mógł liczyć, że kiedy Pan powoła go do swojego domu, zamiast jednej woskowej świecy, przy marach będą się paliły dwie – jedna do północy, druga aż do następnego dnia. Jeśli ktoś był bardziej hojny i płacił podwójną stawkę, to i przy czuwaniu palono mu podwójną ilość przepisanych świec.

Ujmująco żegnali się, odchodząc w wieczność rzemieślnicy, ze swoimi bliskimi. Sukcesorów niejednokrotnie zaklinano sądem Bożym, o ile nie zastosują się do ostatniej woli testatora. Prosilili również o nieturbowanie się wymienionych w legatach osób. Gwarantowano także spełnienie obietnicy modlenia się przed Boskim Majestatem za żyjących. Proszono o grzechów odpuszczenie i uraz wszelakich w chwili oczekiwania na nieuchronne Boże wezwanie do zastępów niebieskich, jakim jest śmierć. W Lublinie, 1728 roku Marianna Wysocka, rzeźniczka, pisała tak: *Przepraszając wszystkich, których mogłam obrazić słowem, gniewem na honorze i w jakiejkolwiek okazji podanej, w czym suplikuję przez pięć ran Chrystusa Pana a Zbawiciela naszego onychże o odpuszczenie, pamiętając na to, co się dziś ze mną stało, co każdego zostającego w ciele nie minie, w ręce Boga a Stworzyciela mego oddaję duszę moją*<sup>442</sup>. A szewcowa Barbara Gorajska w testamencie pochodzącym również z 1728 roku zaznaczyła następująco: *cyny mam sztuk 9, jako to pułmisków 4, talerzy 4, prawdę, także panew miedzianą i kropielniczkę; te mają być do wzrostu Mikołaja i Agaty dochowane (...), a potym w należytych do tego leciech po*

442 Riabinin J., *Materjały...*, op. cit., s. 14.



połowie onym należeć będzie, jako to po 2 pułmiski i po 2 talerzy, jednemu panew, a drugiemu prawda i kropielniczka<sup>443</sup>.

Żadne jednak ustawy ani przepisy, choćby najsurowsze, nie zdołają utrzymać w karbach społeczeństwa, jeśli go nie łączy duch chrześcijańskiej jedności<sup>444</sup>. A to właśnie stanowiło siłę i spójność cechów i rzemieślników. Cech troszczył się o zbawienie owieczek Pańskich, w związku z czym ordynacje zobowiązywały żyjących jeszcze konfratrów, aby modlili się w intencji dusz zmarłych i to nie tylko wtedy, kiedy ktoś akurat wziął był umarł, lecz i w czasie późniejszym, aż po kres dni swoich, by i za nich ich następcy się modlili, jako i oni czynili wobec poprzedników. Ofiarowano czasami i po sto pacierzy i tyleż samo zdrowasiek. Co kwartał majsteria schodziła się na uroczystą mszę świętą, podczas której każdy w intencji zmarłych piętnaście pacierzy miał odmówić i na ofiarę dać. Jeśli ktoś zaniedbał temu obowiązkowi, wówczas groziły mu wysokie grzywny. Apogeum posługi kościelnej uwidaczniało się w święcie Bożego Ciała i oktawie Bożego Ciała. Obecność była obowiązkowa. Procesja, sunąca majestatycznie miejskimi uliczkami, była wielkim wydarzeniem nie tylko religijnym dla danej społeczności, ale i towarzyskim, i kulturalnym. Członkowie poszczególnych cechów ubrani w togi, przyozdobieni insygniami, niesli świece i chorągwie. To dawało im szansę na zmanifestowanie swojej odrębności i wyjątkowości, podkreślając jednocześnie ich pozycję społeczną. Kupcy z gildii warszawskiej, odświętnie odziani, po wniesieniu do kościoła Najświętszego Sakramentu, oddawali na zewnątrz świątyni trzykrotną salwę z muszkietów ku chwale Bożej<sup>445</sup>. Na procesjach Bożego Ciała w Lublinie *jawić się musiały cechy korporatywnie i postępować według ustalonego porządku, mianowicie według hierarchii cechowej, a zatem na czele każdego cechu kroczyli jego przełożeni, następnie szli majstrowie, a za nimi dopiero postępowali czeladnicy. Cechy występowały w procesjach uroczyste, w ordynku i rynsztunku bojowym, z chorągwiami, berłami, buzdyganami, przy czym majstrowie obowiązani byli nosić zapalone świece, z tym jednakowoż, że w niektórych cechach, jak np. cechu krawieckim, przepisano z góry, że najmniej ośmiu majstrów musi nosić zapalone świece w czasie wspomnianych procesji*<sup>446</sup>. Konfraternie zakazywały także lekceważenia pozostałych świąt kościelnych. Surowo więc zabraniały wystawiania w święta towaru na sprzedaż, a w wigilię dnia świątecznego obowiązkowo robota miała się kończyć wraz z niesporami. Gdyby

443 Ibidem, s. 15.

444 Chotkowski W., op. cit., s. 31.

445 Kitowicz J., *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1951, s. 56.

446 Kamiński J., *Działalność wychowawcza dawnych cechów lubelskich*, Odbitka z „Księgi Pamiątkowej”, Lublin 1939, s. 6.

przyłapano jakiegoś majstra na gorącym uczynku, czyli na pracy przy zapalanej świecy w ową wigilię, zaraz winowajca musiał płacić wosku pół funta do lady. To samo dotyczyło towarzyszy. A kiedy, co już z gruntu się niemożliwe wydaje, cechmistrza złapano na takim procederze, to już całym funtem musiał się od winy wykupić.

Ustrój cechowy oparto na zasadzie wyznaniowości, zasadniczo członkami konfraterni mogli być li i jedynie katolicy, chociaż zdarzały się potem i takie przypadki, że dopuszczano i niekatolików, byle nie starozakonnych. Konsekwencją tej zasady było to, że każda z kontuberni miała swojego patrona. Cechy były początkowo bardziej bractwami niż, patrząc przez pryzmat współczesności, stowarzyszeniami, więc dlatego nazywano je *confraternitas*, a wyrazem modlitwy i wykonywaniem Bożych przykazań była praca: *bo ztąd, że i Święci pracowali, ma rzemieślnik brać przykład, jak czcigodna jest praca, jak przez pracę trzeba chwałę Bożą szerzyć, dobrze czynić i sobie przez miłosierdzie boskie na niebo zarobić*<sup>447</sup>. Patronką szewców została święta Barbara, dziewica i męczennica. Oprócz tego, że nasi lubelscy szewcy mieli ją za swoją przewodniczkę, jest także orędowniczką cieśli, kamieniarzy, kowali, ludwisarzy, murarzy, szczotkarzy, tkaczy i patronką dobrej śmierci. Legenda głosi, że Barbara była piękną córką bogatego poganina – Dioskura z Heliopolis w Bitynii, który wysłał ją na naukę do Nikomedii, pełniącej funkcję stolicy wschodniej części cesarstwa. To tam właśnie Barbara zetknęła się z chrześcijaństwem. Korespondowała z Orygenesem z Antiochii, jednym z największych filozofów i pisarzy ówczesnej doby. To pod jego wpływem przyjęła chrzest i złożyła śluby czystości. Kiedy Dioskur dowiedział się o pomysłach córki, jak najszybciej chciał wydać ją za mąż. A że nie był w stanie złamać jej oporu, to uwięził ją w wieży. I to niewiele pomogło, więc ojciec, wzburzony nieugiętą postawą Barbary, wpadł w gniew tak wielki, że ją zabił. Wkrótce, pewnie za swój niecny uczynek, zginął od rażenia piorunem<sup>448</sup>.

Ale święci nie tylko byli dla rzemieślników patronami, sami rzemieślnicy i paru swoich własnych świętych rzemieślników mieli. *Żadnej wątpliwości nie ulega, iż w pracowitym stanie rzemieślniczym wysokiej świątobliwości dostąpić można. Sam nawet jednorodzony Syn Boga Przedwiecznego, Jezus Chrystus, pierwsze lata żywota swego na ziemi, spędził przy warsztacie przybranego Ojca swojego świętego Józefa, który był cieślą. Święty Piotr apostoł, był z professyi rybakiem*<sup>449</sup>; *święty Paweł*<sup>450</sup>, *wielki nauczyciel narodów, pracą*

447 Chotkowski W., op. cit., s. 31.

448 Niewęglowski Al. W., *Leksykon świętych*, Świat Książki, Warszawa 2006, s. 195.

449 Swego czasu rybaków zaliczano do grona rzemieślników.

450 Święty Paweł z Tarsu był tkaczem płótna namiotowego.

ręczną, zarabiał na utrzymanie się swoje<sup>451</sup>. Do świętych przedstawicieli rzemiosła należał Aleksander, co węglarzem był, albo Atanazy, farbiarz, Baldomer – kowal z zawodu, folusznik Menginus, szewcy Kryspin i Kryspinian, ale najbardziej znanym w hagiografii jest św. Eligiusz.

Święty Eligiusz urodził się w Akwitanii, w mieście Chaptelat, około 588 roku, za czasów Merowingów. Rodzice, wychowani w chrześcijańskiej wierze, starali się i swojemu synowi przekazać wartości, jakimi się w życiu kierowali. *Wesoło i słodko im było, gdy postrzegli, że ziarno pobożnej ich nauki padło na dobrą rolę, i wielce się z tego radowali, gdy synaczek w ich towarzystwie z ochotą słowa Bożego słuchał, a na nabożeństwa uczęszczał, a obcowania ze swawolnemi chłopcami unikał.*<sup>452</sup> Kiedy chłopaczek już trochę podrośł, pomiarkowali się rodzice, że Eligiusz ma niesamowity talent i oddali go do rzemiosła na naukę, do złotnika, mistrza Ebbona w Limoges. Szybkie czynił postępy skromny uczeń, Ebbon bardzo go sobie chwalił, jednocześnie spodziewając się, że przyjdzie taki czas, że ów uczeń mistrza swego przerośnie. Pomimo ciężkiej pracy w złotniczym warsztacie, chłopiec nie zaniedbywał się w wierze i za pozwoleniem majstra pobożnie we mszach świętych uczestniczył, na co słynny Ebbon patrzył z ojcowskim zadowoleniem i rozczuleniem. A jak Eligiusz z nabożeństwa wracał, zaraz brał się ochoczo do roboty, jakby mu sił dwojako po Eucharystii przybywało. Pracował pilnie i rzetelnie, nie musiał Ebbon swemu uczniowi nic dwa razy powtarzać. Ten zapał do pracy i szacunek wobec Boga zaskarbiły mu poważanie i miłość starszych.

Przyszła jednak spodziewana chwila, kiedy to skończył nauki u Ebbona i musiał się Eligiusz z nim rozstać. Za radą mistrza i z rodzicielskim błogosławieństwem udał się do Paryża, aby tam dalej rozwijać swoje talenty i szczęście, jak to w Paryżu, znaleźć. I Paryż, to miasto kapryśne, za jego dobroć i rzetelność się odpłacił, bowiem w niedługim czasie stał się sławny, mieszkańcy zaczęli go uważać za najbieglejszego w swej sztuce złotnika. Jednak życie młodzieńca wcale tak do końca różami usłane nie było. Wychowany zgodnie z przykazaniami Kościoła i w bojaźni Bożej, lekkomyślności unikał, jako i tańców, gier czy innych płochych rozrywek albo pokus, o które wśród paryżan wcale trudno nie było. Poświęcał swój wolny czas, a jako rzemieślnik miał go przecież niewiele, na czytanie i studiowanie ksiąg świętych, co duszę jego ubogacały. Zaczęli więc ludzie złośliwie „świeckim zakonikiem” go wołać, bo nie rozumieli do końca jego przymiotów i zasad.

451 Marx L. F., op. cit., s. 1.

452 Marx L. F., op. cit., s. 52.

Ale byli i rozsądni, i mądrzy, dla których przyjaźń z Eligiuszem wielką nagrodą była, bo on sam był prawy i szlachetny.

Pewnego dnia frankijski król Chlotar II zapragnął mieć drogocenny tron z kruszcu wykonany, zdobny kosztownościami. Sam przygotował rysunek i polecił swojemu podskarbiemu, niejakiemu Babbonowi, aby do tej roboty zatrudnił najznamienitszego w swym rzemiośle złotnika. Babbon od razu wskazał na Eligiusza i dał mu tyle kruszcu i precjozów, ile wedle mniemania króla potrzeba było na wykonanie tronu. Król znał się na rządzeniu, bo królem przecież był, ale na złotnictwie niekoniecznie, więc kiedy Eligiusz dostarczył krzesło, hojnie mistrza wynagrodził, bo takie było ono piękne i okazałe, podkreślało królewski majestat i boskie namaszczenie. O resztę materiałów nawet nie zapytał. Lecz Eligiusz uczciwy był ponad miarę, reszty kruszcu nie wziął dla siebie, nie ukradł ani nie spieniężył, tylko drugi tron zrobił, równie wielce udano jako i pierwszy. Chlotar docenił poczciwość i cnotliwe serce Eligiusza, więc dał mu mieszkanie w zamku i warsztat, żeby odtąd tylko dla króla tworzył. Zgodził się młody mistrz, bo rodzice już umarli, a on oprócz talentu i sławny nie miał nic, tylko żeby siebie i swoją czeladkę wyżywić jako tako, bo co zarobił, to zwykł był zaraz ubogim rozdawać. Pracował dla monarchy bez chwili spoczynku, a dwór wszystko w zdumieniu i zachwycie przyjmował. Umarł Chlotar pewnego październikowego dnia roku Pańskiego 629. Po nim na tron wstąpił syn jego, Dagobert, za którego panowania Eligiusz jeszcze większych zaszczytów dostąpił, bowiem został kanclerzem, najważniejszym wśród ważnych królewskim doradcą. Dom mu monarcha darował w Paryżu, a i dobra znaczne w okolicach Limousin. Wszystko jednak dobrotliwy złotnik na klasztor dla panien i klasztor męski przeznaczył, wspomagając cały czas ich budowę. Łask dostąpił od Dagoberta co niemiara, ale co tylko otrzymał, zaraz ubogim oddawał albo do kościoła. Kiedyś przedstawił monarsze plan nowej świątyni, a Dagobert darował mu wielki plac w Limousin. Ale jak przyszło do mierzenia, okazało się, że plany nie pokrywają się z rzeczywistością, o stopę zaledwie, lecz ziemi zabrakło! Jakżeż się zmartwił Eligiusz, do nóg Dagobertowi padł i prosił o przebaczenie, bo przecież wcale oszukać nie chciał. Wzruszył się dobry król i wynagrodził jeszcze hojnie uczciwość Eligiusza. Sława Eligiusza jako dobrego i zacnego człowieka wyprzedziła jego sławę jako rzetelnego artysty. I jak umarł świątobliwy biskup Akaziusz, zaczął lud błagać Dagoberta, aby dał im Eligiusza na ten urząd. Bardzo się król ucieszył, ale i zafrasował, bo jak tu znaleźć takiego, co złote serce rzeczywiście ma? I jak tu samego Eligiusza skłonić, żeby godność taką przyjął, skoro dotąd stronił od tytułów i przywilejów? Jednak zacny złotnik musiał być posłusznym swemu panu i przyjąć w końcu

pasterską godność, a działo się to w roku 640. Dotąd wiódł żywot skromny, czas wolny od pracy świętym księgom darował, nie ubierał się zbyt kownie, pokucie się oddawał, więc tym bardziej i teraz, kiedy został biskupem, starał się wykonywać swoją posługę w skromności i w zgodzie z Bożymi przykazaniem, aby zmniejszyć wydatki, które przecież można było przekazać na bardziej szczytne cele. Eligiusz bardzo poważnie traktował swój powierzony przez króla i lud urząd, zatem starał się swoje owieczki odwiedzać jak najczęściej. A czynił to *per pedes apostolorum*, na wzór ewangelicznych poprzedników. Obwołano go więc apostołem Flandrii, Zelandii i Brabancji. Był przykładem pokory i radości z obecności Boga w codziennej służbie. Eligiusz zmarł 1 grudnia 660 roku, a po jego śmierci wiele cudów za jego wstawiennictwem miało miejsce.

Każde z konfraterni rzemieślniczych miały swoje sztandary, na których widniały podobizny patronów lub innych świętych, przy czym niekiedy wcale Eligiusza. Dysponowały też one niejako swoimi kościołami, ale najulubieńszym, ukochanym aż do końca swego istnienia była kolegiata św. Michała Archanioła: *uprzywilejowaną świątynią, w której murach, ołtarzach, obrazach, naczyniach świętych, bogatych ubiorach kościelnych, pomnikach grobowych, fundacjach i uposażeniach – składał Lublin w ciągu pokoleń i wieków dowody swej religijności, był kościół św. Michała Archanioła, najprzód parafialny, a potem kolegiacki, zwykle starą farą zwany, a przy ulicy grodzkiej do roku 1854 istniejący*<sup>453</sup>. To przy tej świątyni skupiły się bractwa czy stowarzyszenia religijne, których członkami byli co bardziej posażni i co bardziej pobożni i gorliwi w wierze lubelscy mieszczanie, w tym i rzemieślnicy, wespół z prałatami i kanonikami. Staraniem księdza Siarkiewicza, prałata-prepozyta kolegiaty, do życia powołano Arcybractwo Trójcy Przenajświętszej – *Archiconfraternitas Sanctissimae Trinitatis*, co miało miejsce w lipcu 1727 roku. Arcybractwo to dzierżyło palmę pierwszeństwa pomiędzy innymi, jakie działały przy farze. Mogło wybierać urzędników brackich co roku, we wtorek po Zielonych Świątkach. Członkowie brali udział w publicznych procesjach i co niedzielę śpiewali koronkę do Trójcy Przenajświętszej. Ponadto, w uroczystość św. Trójcy (przypada na niedzielę po Zesłaniu Ducha Świętego) uczestniczyli we mszy wotywniej za dusze żyjących i zmarłych braci oraz sióstr. Udawali się wówczas wraz z prebendarzem przebogatym pochodem na zamek, gdzie cały dzień spędzali na nabożeństwie, a następnie majestatycznie powracali do miasta. Co tydzień odprawiano jedną mszę w intencji duszyczek żywych i jedną za duszyczki umarłych, w nich też koniecznie bracia i siostry partycypować mieli nakazane. A ofiarni oni byli niezwykle. Taki na przykład Wojciech Ernest, obywatel

<sup>453</sup> Wadowski J. A., *Kościół lubelski*, Akademia Umiejętności, Kraków 1907, s. 101.

lubelski i garncarz, zapisał Arcybractwu zawrotną sumę 540 złotych polskich! Bractwo w 1832 roku przeniosło się do ówczesnego kościoła pojezuickiego pod wezwaniem św. Jana (dzisiejszej archikatedry) wraz z nabożeństwami.

Przy kolegiacie gromadziły się niemal wszystkie cechy rzemieślnicze, które miały tam swoje ołtarze, a te więcej uprzywilejowane – nawet kaplice, *gdzie służyły Bogu, średniowieczne, zbyt niekiedy surowe swe ustawy cechowe łagodząc wpływem moralnym Kościoła*<sup>454</sup>. W kolegiacie własne kaplice miały kontubernie krawców, kuśnierzy i złotników. Obowiązkiem cechów było utrzymywanie zarówno kaplic, jak i ołtarzy w należyтым porządku, a także – o ile zaistniała taka potrzeba – naprawiać je i konserwować, a owe prace fundowano ze środków własnych poszczególnych konfraterni. Obowiązkiem było także dostarczanie wina mszalnego. Potwierdzeniem, że konfratry bardzo poważnie traktowali swoje obowiązki względem świątyń, są zapisy w księgach brackich. Z wydatków, jakie zanotował lubelski cech krawców wynika, że kilkakrotnie prowadził prace remontowe w swojej kaplicy, szyby wstawiał, klucze i zamek wymieniał, a pod koniec XVIII stulecia ołtarz piękny ufundował. Krawcy naprawiali też własnym kosztem skrzynie, zakupili i kazali zamontować okazałe żyrandole. Kupowali też świece, kadzidło, mszalne wino. Zajmowali się dbaniem o przedmioty używane podczas mszy świętych – nawet płacili za pranie komż i obrusów ołtarzowych. Jako kapelani służyli rzemieślnikom *altaryści*. Jedną z najdawniejszych *altarii*<sup>455</sup> w kolegiacie była *altaria* św. Mikołaja, biskupa wyznawcy. Już w 1458 roku miała swojego *altarystę*, Stefana, który zarazem pełnił funkcję prepozyta w kościele św. Ducha. Trudno dziś stwierdzić, kto był fundatorem owej *altarii*, ale akta dawne wspominają, że ów Stefan zapisał na rzecz *altarii* dwie kopy groszy i ogród na Czwartku, leżący nieopodal kościoła św. Mikołaja. W 1461 roku Jan, syn Hanusza Neydeyka, lubelskiego rajcy, poczynił na rzecz *altarii* zapis czterech marek rocznie z czynszu na browar. Dzięki tym zapisom Jan – archidiacon oraz administrator diecezji lubelskiej – wydał akt erekcyjny tej *altarii* 20 czerwca 1463 roku, tym samym nakładając na *altarystę* obowiązek odprawiania nabożeństwa w święto parafialne i co tydzień mszy za zmarłych. Ołtarz tej *altarii* mieścił się od strony południowo-wschodniej kolegiaty, tuż obok kaplicy św. Jerzego i kaplicy św. Mikołaja. *Altaria* i kaplica miały swoje własne naczynia, bieliznę, szaty oraz różne przybory. Kaplicą opiekował się cech

<sup>454</sup> Wadowski J. A., op. cit., s. 102.

<sup>455</sup> *Altaria* – rodzaj prebendy (fundacji) kościelnej, której celem jest sprawowanie kultu przez altarystę przy specjalnie wyznaczonym do tego celu ołtarzu. Uposażenie *altarii* wiązało się z ołtarzem umiejscowionym w kościele parafialnym lub kolegiackim.

krawców, ale pomimo prawa kollacyi<sup>456</sup> należała faktycznie do lubelskich rajców. Z czasem dochody z *altarii* św. Mikołaja połączono z dochodami z *altarii* św. Anny.

Krawcy urzędowali więc w kaplicy św. Mikołaja i św. Anny, a to dzięki przywilejom przez biskupów krakowskich wydanym: Piotra Myszkowskiego w dniu 20 maja 1589 roku i Jerzego kardynała Radziwiłła z 3 października 1596 roku. Krawcy nosili na pierśiach podobiznę św. Anny, a podczas pogrzebów występowali w czarnych togach. Św. Anna była matką Najświętszej Maryi Panny, bardzo często przedstawianą wraz ze św. Joachimem. Ewangelie milczą na ich temat, ale bogatych wiadomości dostarcza literatura apokryficzna. Anna pochodziła z kapłańskiej rodziny z Betlejem, nie bardzo podległego miasta. Od IV stulecia ukazuje się przy Owczej Sadzawce w Jerozolimie, gdzie stał dom jej i Joachima, a obecnie znajduje się kościół, wzniesiony przez krzyżowców. Św. Anna jest patronką rodzących, matek, położnic, powoźników i młynarzy. Razem ze św. Joachimem orędują małżonkom<sup>457</sup>.

Krawcy posiadali też własną kamienicę, z której to dochód czerpali, a podarował ją im rajca lubelski Piotr Czarnyjan. Ich własnością były różne przedmioty, które służyły do sprawowania mszy i odprawiania procesji. Kapelanem cechu krawieckiego był miejscowy *altarysta*, któremu urząd za zezwoleniem władz miejskich oraz kapituły tenże sam Jerzy kardynał Radziwiłł powierzył.

W kaplicy św. Mikołaja i św. Anny ołtarz miał pośrodku rzeźbioną podobiznę św. Mikołaja, a po bokach malowane na drewnie podobizny św. Stanisława biskupa i męczennika, św. Jakuba Apostoła, św. Rocha i św. Sebastiana, które wieńczyło przedstawienie Chrystusa ukrzyżowanego. W kaplicy Najświętszej Maryi Panny był bardzo stary obraz w ołtarzu Najświętszej Maryi Panny Niepokalanego Poczęcia. Kaplica znajdowała się w południowej części, była sklepiona kopułą szkloną, wyposażona w dwa okna i kraty.

Ale kolegiata upadała, jako że i Lublin upadał, mimo wzruszającej uwagi ze strony cechów. Na nic zdały się próby jej renowacji. Brakowało pieniędzy na restaurację, a odpadające ze ścian płyty muru zaczęły zagrażać życiu mieszczan. Wówczas to władze miejskie 2 marca 1824 roku zawarły umowę z mistrzem ciesielskim Janem Woźniakowskim, na mocy której rzeczony przedsiębiorca zobowiązał się do rozbiórki murów i uprzątnięcia placu z gruzu. Rozbiórka ciągnęła się kilka lat, gdyż przemyślny majster Woźniakowski co lepszą cegłę wybierał i domy z niej murował, nie godziło się bowiem tyle dobrego

456 Prawo kollacyi – prawo prezenty, prawo do przedstawiania biskupowi kandydata na wakujące przy kościele beneficjum.

457 Niewęglowski Al. W., op. cit., s. 121.

materiału zmarnować. Gruzu nie usunął, zostawiając go na miejscu. Mury kościoła były pono nadzwyczaj zdrowe, aż prochu do ich rozsadzenia trzeba było używać, zatem interes na tym pan Woźniakowski zrobił nieliczy.

Kuśnierzom poświęcono kaplicę Najświętszej Maryi Panny. Oczywiście utrzymywali kaplicę z własnych składek. W grobowcach, które znajdowały się w kaplicy, chowali kuśnierze swoich zmarłych, a podczas procesji występowali w czarnych sukmanach z kapturami. I dla nich miejscowy *altarysta* był kapelanem. Jeśli chodzi o cech złotniczy, to ta konfraternia kaplicę św. Elżbiety zgodzie panów rajców i członków kapituły oraz biskupów krakowskich – Jerzego Radziwiłła (1596 r.) i Bernarda Maciejowskiego (1600 r.) zawdzięczała. Bractwo mogło tam chować zmarłych członków cechu. W czasie procesji występowali w sześć osób w czarnych sukniach z kapturami. Istniały też w owym czasie i inne cechy, ale one, czyli szewski, ślusarski, kowalski, siodlarski, piekarski, rzeźniczy, mularski i garncarski, nie miały ni przywileju posiadania własnych ołtarzy nawet, ni kaplic tym bardziej. Ale i one mogły zagospodarować dla siebie jakieś zakamarki w kolegiacie, gdyż w osobnych skrzyniach trzymały własne świece czy inne przedmioty, dla nich też odprawiano nabożeństwa. Przede wszystkim były one ku czci patronów, nadto za dusze zmarłych (*żałomsze*) czy też na inne okoliczności. Podczas procesji przedstawiciele tych kontuberni występowali w odpowiednich ubiorach i z chorągwiami.

Okres reformacji nieco rozluźnił dotąd spójną dyscyplinę i mimo iż cechy nie odzyskały dawnego blasku, utrzymały się w oparciu o prawo zwyczajowe i silną więź z Kościołem. Przy kolegiacie, od początku XVII wieku aż do jej rozbiórki, funkcjonowało aż 12 kontuberni.

Rzemiosło dominowało w każdym, nawet najbardziej drobnym aspekcie miejskiego życia. Miały więc i ulice nazwy od zawodów rzemieślniczych, jakie wykonywano w mieście. Była więc Złota od złotników, Czapnicza, Kowalska, Olejna (alias Różana), o których to między innymi znajdujemy wzmianki w aktach miejskich z 1792 roku<sup>458</sup>. A skoro dominowało w życiu miejskim, to możemy już sobie zdawać sprawę z tego, że tym bardziej i dla samych rzemieślników było ono wyznacznikiem wszystkiego, przede wszystkim etosu pracy, postrzeganym w wymiarze sokratejskiej cnoty. Cnotę ateńczyk uważał za dobro bezwzględne, związane z pożytkiem i szczęściem, bowiem tylko to, co dobre, jest naprawdę pożyteczne. Cnota zarazem jest wiedzą, ale *wiedza potrzebna do cnoty jest oczywiście innego rodzaju niż ta, którą zbierali filozofowie greccy: to nie wiedza o żywiołach, gwiazdach, o kosmosie, lecz o sprawiedliwości i odwadze, nie przyrodnicza,*

458 Riabinin J., Materjały..., op. cit., s. 11.

lecz etyczna. Opiera się nie na czysto teoretycznym roztrząsaniu, lecz na praktycznym rozsądku<sup>459</sup>. Cnoty można się było nauczyć. Sokrates, mimo iż był nauczycielem, nie uważał, że posiada gotową wiedzę. Nie obiecywał swoim uczniom, że nauczy ich prawdy, lecz że wspólnie będą owej prawdy szukać. Nie był zatem teoretykiem, a wirtuozem metody i to metody dialogu, bowiem obydwie praktyki, jakimi się posługiwał, wymagały interakcji drugiego człowieka. Pierwszą z nich była metoda elenktyczna, czyli zbijania – Sokrates perfekcyjnie sprowadzał do absurdu fałszywą tezę przeciwnika, poprzez pytania zmuszając go do wyciągania wniosków i w konsekwencji do zdemaskowania, że wiedza, jaką ów posiada, jest niczym innym, jak tylko pozorem. Metoda druga – majeutyczna (położnica) – była wiarą filozofa w to, że każdy człowiek ma w sobie pokłady wiedzy prawdziwej, tkwiącej gdzieś głęboko w jego jestestwie. Ze względu na to, iż nie uświadamia on sobie posiadania tak wielkiego daru, należy mu w tym dopomóc, wydobyć prawdę na światło dzienne. W tym celu nauczyciel powinien stosować właśnie metodę majeutyczną, czyli poprzez zadawanie pytań i odpowiedzi interlokutora, wiedzę tę urodzić. Mistrz, szkoląc swój narybek, był właśnie takim współczesnym Sokratesem, nauczycielem, który pomaga i razem ze swoim podopiecznym szuka prawdy, dobra i szacunku do pracy. Bardzo dużą rolę w tej kwestii odgrywały statuty, dając podwaliny pod ustrój cechowy, kreując każdą sferę życia rzemiosła i na co dzień, i od święta. Wyznaczały granice postępowania, poprzez system kar ucząc niczego innego, jak wrażliwości na drugiego człowieka, objawiającej się w bojaźni Bożej, bogoboju, szacunku do siebie samego i innych, ale i otwartości, chęci pomocy bliskim, przy czym krąg ten rozszerzał się na wszystkich członków danego bractwa, tworząc swoisty społeczny mikrokosmos, tak silny zresztą do dziś, kiedy czasy raczej człowieczeństwu zaprzeczają. A tak te wszystkie małe i wielkie sprawy dawnego rzemiosła lubelskiego kodyfikował przywilej nadany podzameckim piekarzom przez króla Zygmunta III Wazę:

*Sigismundus Tertius Dei gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lituaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae Livniaquae et caet, nec non Suecorum, Gottorum, Vandalorumque haereditarius Rex. Significamus praesentibus literis nostris quorum interest universis et singulis. Exhibitos nobis fuisse articulos infrascriptos contubernio Pistorum sub Castro Lublinensi servientes quo seidem ordini bonique publici causa Magnus Ioannes Firley de Dambrowicza Capitaneus Lublinensis literis suis authenticis comprehensos concessit at approbavit Supplicatumque dicti Contubernii nomine fuit nobis ut ipsi eosdem articu-*

*los autoritate quoque nostra Regia approbare atque confirmare dignemur Eorum vero exemplum tale est. Jan Fierley z Dambrowicze Podskarbi Coronny lubelski et caet. Starosta. Wszem wobec y kazdemu zosobna komu to wiedzieć należy oznajmujemy isz przyszedłszy przed nasz Piekarze s podzamcza lubelskiego okazali nam Articuli niektóre spisane do porządku bractwa rzemioszla ich sluzące y prosieli nasz abišmy one z zwierzchności naszey potwierdzili y umocnieli. A te articuli od słowa do słowa takie są.*

*Naprzód ma być Mistrzów rzemioszla Piekarskiego na podzamczu lubelskiem szesnascie, którzybykolwiek piekarskiego rzemiosła został Mistrzem a Czech alias bractwo przyjął będzie powinien dacz do skrzynki braczkicy złotych pietnascie monetij y lidzby Polskiei. Tho iest na wosk na swiece połowicze a do skrzynki braczkicy druga połowicze na potrzeby nasze. Do tego powinni będą kazdi z nich pokazacz listi od urodzenia y nauki prócz teraznieyszich piekarzów którzy te czech naprzód zakładają których urodzenie y w rzemieszle nauka jest dobrze swiadoma sluzicz w kościele powinni będą kazdi z nich rok ieden. To iest swiece zapalacz przy mszi także y na niesporze y na iutrznicy. Młodszy brat powinien będzie do umarłego swiece y mari odniezcz także i doł kopacz a onemu będą powinni pomocz trzy bracia młodszy którzy przed nim taką służbę odprawowali, to iest mari do umarłego odniezcz y czialo do grobu odniezcz. A gdzieby młodszy brat omieszkal tey posługi wyszey mianowaney będzie powinien dacz do skrzynki braczkicy wini wosku font. Do tego iesliby który z braczkicy albo zona albo dzieczie iego umarło tedi wsziszczy bracia będą powinni wyniszczyć za ciałem pod wini wosku fontem do skrzynki braczkicy. Po śmierci mistrza albo brata zesłego wdowie tey, której by mąż umarł wolno będzie iey robicz rzemiosło do roku. Iesliby się brat na brata w bractwie bedacz targnął słowem nieuczciwem będzie powinien dac wini kamień wosku. Brat bratu iesli zeby przekazil w targu to iest iesliby ieden począł targowacz drugiby przyszedłszy polepszel albo podrzuciel będzie dacz wini wosku pul kamienia. Iesliby zeby tesz brat brata w melciu... koley, będzie powinien dacz wini wosku pul kamienia... przerwczonim Mistrzom, które iem przynależą. To iest pszenicze zita y innego zboza będzie iem wolno kupowacz y chleb tak pszenni iako y czarny w iatkach szwych y na miejscach zwyklich bedziw iem wolno przedawacz bez przekazi y bronienia wszelakiego. Piekarze pod insza iakaskolwiek iurisdicią przez przywilem będączi nie mają tim przerwczonim piekarzom z Podzamcza lubelskiego żadnej przekazi w rzemieszle ich czinicz czoby miało bydz za umnieyszeniem w pozitkach ich pod zabieraniem tak mąki jako i chlebów tym wszitkich przez piekarze podzameczkie z pomoczą zamkową który ma bydz obroczonij do spitala. Thim ze przerwczonim piekarzom neima bydz przeszkoda żadna od piekarzów ze wsiow y miasteczek w przedawaniu chleba tylko w wolny targ*

<sup>459</sup> Tatarkiewicz W., *Historia filozofii*, t. I, *Filozofia starożytna i średniowieczna*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1933, s. 74.



miasta Lublina. A w iarmark niedziel dwie y to niemaią przywazacz chlebów pytlowanych tylko razowe wedlug dawnego zwyczaju. A gdzieby tem przeszkadzali przerzeczonym piekarzom tedi wolno będzie zabieracz chleby na spital. Żidowie lubelsczy także y postronni żidowie nie maią piekarzom podzamcza lubelskiego przeszkadzać w mleczu zbos w mlyniech różnych. Do thego nei maią przedawacz mak pszenich korczami ani miarkami. Także tesz nie będzie im wolno chleba piecz na przeday jak czarnego tak tesz pszennego. A gdzieby żidowie swowolnie te przeszkode czinieli piekarzom wyszey pomienionym tedi wolno będzie piekarzom przerzeczonym zabieracz iako chleby tak tesz y mąki na spital przez slugi zamkowe. Mistrzom wolno będzie towarzysze sobie chowacz y z miast ie przymowacz na potrzebę swą. Chlopiecz w mistrza ma sie uczicz któribi za pieniądze rok a do skrzinki braczkicy będzie powinien dacz groszi pietnascie y piwa kozłów dwa albo mistrz iego brat któriby chleba niepowiedzial do niedziel dwa będzie dacz powinien do skrzinki groszi pientascie piwa kozłów dwa. My tedi chcąc dobra Jego Królewskiej Mości rozmnozicz y rząd dobry miedź rzemiosly postanowicz te artykkuly ich wyszej opisane we wszistkim ile sie sprawem pospolitem zgadzają utwierdzamy y umaczniamy y nienaruszając zwierzchności wyszej starosciej powinności które czy podzamczanie do zamku zdawna powinni. A dla lepszey wiari tego wszistkiego ten list nasz rekaśmy naszą podpisali pieczęcią naszą zapieczetowacziesmy rozkazali Dan w Zamku Lubelskim dnia czreastego Miesiącza Wrzesnia Roku Panskiego MDXCV Jan Fierley z Dambrowicze Podskarbi Coronny. Nos itaque praedictae supplicationi uti iuste benigne annuentes praeinsertos articulos in omnibus eorum punctis clausulis et conditionibus in quantum iuri communi non repugnant approbandos atque confirmandos nobis esse duximus quaemadmodum approbamus atque confirmamus praesentibus literis nostris decernentes eosdem robur suum debitu mac legitimum obtinere debere. In cuius rei fidem praesentes manu nostra subscripsimus Sigilloque Regni communiri mandavimus. Datum Cracoviae die octava Mensis Decembris Anno Domini Millesimo Quingetesimo Nanagesimo Quinto Regnorum Nostrorum Poloniae octavo Sueciae anno secundo.

Sigismundus Rex.<sup>460</sup>

Trwali więc wierni swoim ideałom rzemieślnicy przez stulecia, opierając się wszelkim dziejowym zawieruchom. Są przedwieczni, bo od momentu, kiedy ktoś ten przysłowio- wy kamień ujął świadomie w dłoń i wykorzystał jako narzędzie dla własnej wytwórczo-

ści, rzemiosło towarzyszy człowiekowi cały czas, nieodłącznie, chociaż obecnie w coraz to bardziej zmyślnych zawodach, dostosowanych do bieżących potrzeb. Instytucjonalnie, po Kościele katolickim, jest najstarszą organizacją, jaka dotąd funkcjonuje w Polsce, rozpoznawalną w całej Europie. I jak Kościół jest świątynią dla Boga i jego wiernych, tak rzemiosło jest świątynią dla ludzi pracy, wykonywanej z pasją, oddaniem i w zgodzie z samym sobą.



<sup>460</sup> Przywilej nadany przez króla Zygmunta III piekarzom podzameckim w Lublinie dnia 8 grudnia 1595 roku w Krakowie, w: Kamiński J., *Z przeszłości rzemiosła piekarskiego w Lublinie*, Dom Książki Polskiej, Lublin 1932, s. 50–52.

## Bibliografia

1. Adamek T., *Kaplica zamkowa św. Trójcy w Lublinie i jej polichromia*, [w:] Radzik T., Witusik A. A., (red.), *Lublin w dziejach i kulturze Polski*, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Lublinie, Krajowa Agencja Wydawnicza – Lublin Sp. z o.o., Lublin 1997
2. Adamska K., *Język jako narzędzie poznania i komunikacji*, *Acta Universitatis Lodzensis Folia Psychologica* 17, 2003
3. Antoniewicz J., *Brązowa klamra do pasa z okresu wędrówek ludów. Sprawozdania PMA*, t. II, Książka i Wiedza, Warszawa 1949
4. Anusiewicz J., *Problematyka językowego obrazu świata w poglądach niektórych językoznawców i filozofów niemieckich XX wieku*, w: Bartmiński J. (red.), *Językowy obraz świata*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1990
5. Anusiewicz J., Dąbrowska A., Fleischer M., *Językowy obraz świata i kultura*, w: Dąbrowska A., Anusiewicz J., *Językowy obraz świata*, „Język a Kultura”, t. 13, Wrocław 2000
6. Baranowski I. T., *Przemysł polski w wieku XVI*, wyd. K. Tymieniecki, Warszawa 1919
7. Bartmiński J., *Lubelska etnolingwistyka*, „Analekta”, R. XI, 2002, z. 1–2
8. Bąkowski K., *Opowieści imci Pana Dymka żaka i pisarza cechowego spisał Klemens Bąkowski*, nakładem autora, Kraków 1908
9. Białkowski L., *Lublin na starych szlakach handlowych*, „Pamiętnik Lubelski”, t. III za lata 1835–1937, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1938
10. Bieniarzówna J., *Z dawnego Krakowa. Szkice i obrazki z XVII wieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957
11. Bogucka M., *Gdańsk jako ośrodek produkcyjny w XIV–XVII w.*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1962
12. Bogucka M., *Życie codzienne w Gdańsku w XV i XVI w.*, [w:] Cieślak E., *Historia Gdańska 1454–1655*, t. 2, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1982
13. Brückner A., *Dzieje kultury polskiej*, t. 1 *Od czasów przedhistorycznych do r. 1506*, W. L. Anczyc i Spółka, Kraków 1931
14. Brückner A., *Dzieje kultury polskiej*, t. III, *Czasy najnowsze do roku 1831*, W. L. Anczyc i Spółka, Kraków 1931

15. Bystroń J. S., *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. I, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976
16. Charewiczowa Ł., *Lwowskie organizacje zawodowe za czasów Polski przedrozbiorowej*, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Lwów 1929
17. Chmielewski Z., *Rotmistrz Henryk Leliwa-Roycewicz i jego żołnierze*, Stowarzyszenie Tenisowo-Narciarski Klub Dziennikarzy Media, Warszawa 2018
18. Chotkowski W., *Rzemiosła i cechy krakowskie w XV wieku*, nakładem autora, Kraków 1891
19. Cieślak F., Gawarecki H., Stankowa M. (oprac.), *Lublin w dokumencie 1317–1967*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1976
20. Collodi C., *Pinokio*, Wydawnictwo Olesiejuk, Warszawa 2017
21. Czechowicz J., *Poemat o mieście Lublinie*, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Oficyna Wydawnicza Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie, Lublin 2007
22. Čtvrtek V., Pilař R., *Rumcajs*, Wydawnictwo Wilga, Warszawa 2008
23. Danielewski I., *Ogólna pieśń dla młodzieży rzemieślniczej*, w: *Trzydzieści pieśni i piosenek dla rzemieślników, a szczególnie dla szewców, kowali, krawców, stolarzy, kołodziejów, piekarzy, rzeźników, rybaków, garncarzy, cieślów, mularzy, powroźników, młynarzy itd., z dodatkiem piosenki wykazującej, za którego rzemieślnika najchętniej panny za mąż iść rade*, nakładem i drukiem Władysława Dyniewiczza, Chicago, ok. 1906 (?)
24. Dąbrowski S., *Cech haftarzy lubelskich w XVII wieku*, „Pamiętnik Lubelski” t. 2 za lata 1931–1934, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1935
25. Dębowski E., *Dzieje rzemiosła w krótkim zarysie. Solidarność organizacyjna czeladniczych Związków Zawodowych i Cechów Rzemieślniczych w Polsce*, Instytut Przemysłowo-Rzemieślniczy Województwa Łódzkiego, Łódź 1947
26. Dobiecki A., Ślaski R., *Polska ustawa przemysłowa*, Poznań 1927
27. Duda S., *Rozwój rzemiosła w Lublinie w okresie międzywojennym*, „Annales UMCS”, vol. XXV, 4/1991
28. Eliade M., *Kowale i alchemicy*, Fundacja ALETHEIA, Warszawa 1993
29. Ereciński T., *Prawo przemysłowe miasta Poznania w XVIII wieku*, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań 1934
30. Filipowicz-Osieczkowska C., *Ze studjów nad szkołą polską malarstwa bizantyńskiego*, Gebethner i Wolff, Kraków 1936
31. Gawarecki H., *O dawnym Lublinie. Szkice z przeszłości miasta*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1986
32. Gawarecki H., Gawdzik Cz., *Lublin*, Arkady, Warszawa 1959
33. Giedroyć F., *Ustawy Cechów Cyrulickich w dawnej Polsce*, „Kronika Lekarska” 1897, r. 18, z. 3–8
34. Grochulska B., Prus W., *Z dziejów rzemiosła warszawskiego*, Warszawa 1983
35. Haisig M., *Rzemiosła kowalsko-ślusarskie na Śląsku do połowy XVIII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, Wrocław 1962
36. Herbst S., *Toruńskie cechy rzemieślnicze. Zarys dziejów*, Cechy Toruńskie, Toruń 1933
37. Homer, *Iliada*, Fundacja Nowoczesna Polska
38. Humboldt von H., *O myśli i mowie. Wybór pism z teorii poznania, filozofii dziejów i filozofii języka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002
39. Janas E., *Miasto wydziałowe. Lublin u schyłku XVIII wieku*, Radzik T., Witusik A. A. (red.) *Lublin w dziejach i kulturze Polski*, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Lublinie, Krajowa Agencja Wydawnicza – Lublin Sp. z o.o., Lublin 1997
40. Janiszewski M., *Geograficzne warunki powstawania miast polskich*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1991
41. Kamiński W., *Przypadki lubelskie, poema oryginalne wierszem takim jak Monomachium, ułożone w dziewięciu Pieniach przez W. K.*, 1810
42. Kamiński J., *Z przeszłości cechu krawieckiego w Lublinie*, Drukarnia Popularna, Lublin 1933
43. Kamiński J., *Z przeszłości rzemiosła piekarskiego w Lublinie*, Drukarnia Państwowa w Lublinie, Lublin 1932
44. Kamiński J., *Z przeszłości cechu bednarzy, stolarzy, stelmachów, kołodziejów, sitników i powroźników w Lublinie*, w: *Pamiętnik trzydziestolecia pracy naukowej prof. dr. Przemysława Dąbkowskiego wydany staraniem Kółka Historyczno-Prawnego Słuchaczy Uniwersytetu Jana Kazimierza 1897–1927*, Lwów 1927
45. Kamiński J., *Działalność wychowawcza dawnych cechów lubelskich*, Odbitka z „Księgi Pamiątkowej”, Lublin 1939
46. Kamykowski L., *Papiernia lubelska*, Pamiętnik Lubelski t. 2 za lata 1931–1934, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1935
47. Kierek A., *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918–1939* [w:] *Dzieje Lublina*, T. 2, pod red. S. Krzykały, Lublin 1975
48. Kiryk F., *Cechowe rzemiosło metalowe. Zarys dziejów do 1939 roku*, Biuro Wydawnictw KDW, Cech Rzemiosł Metalowych, Warszawa–Kraków 1972
49. Kiryk F., *Porządek cechowy w lokacyjnym Krakowie*, [w:] Rajman J. (red.), *Kraków: studia z dziejów miasta w 750. rocznicę lokacji*, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2007
50. Kitowicz J., *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1951
51. Klonowic S., *Ziemie Czerwonej Rusi (Roxolania)*, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego, Wilno 1851
52. Kłoczowski J., *Lublin po nadaniu prawa miejskiego*, [w:] Dobrzański J., Kłoczowski J., Mazurkiewicz J., Mencil T., Myśliński K., Ćwik W. (red.), *Dzieje Lublina. Próba syntezy*, t. 1, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1965
53. Koch W., *Style w architekturze. Arcydzieła budownictwa europejskiego od antyku po czasy współczesne*, Bertelsmann Publishing, Warszawa 1996
54. Kochanowski J., *Fraszki*, Fundacja Nowoczesna Polska
55. Koczorowska-Pielińska E., *Liczebność i specjalizacja rzemiosła w Starej i Nowej Warszawie w latach 1417–1526*, „Rocznik Warszawski” 1972
56. Koehler K., *Dawne cechy i bractwa strzeleckie: rzecz osnuta na danych o cechach i o Bractwie Strzeleckim w Kościanie*, Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, t. XXV, z. III i IV, 1899

57. Kopaliński W., *Słownik mitów i tradycji kultury*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988
58. Korotyński L. S., *Z życia cechowego w dawnych wiekach*, „Wisła” Miesięcznik Geograficzno-Etnograficzny t. XI, z. 1, 1897
59. Kraszewski J. I., *Wizerunki książąt i królów polskich*, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1888
60. Krzyżanowski J. (red.), *Nowa księga przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich*, t. III, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969–72
61. Kubala L., *Mieszczanin polski w XVII wieku*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1909
62. Kukiel M., *Dzieje Polski porozbiorowe 1795–1921*, Editions Spotkania, Paryż 1983
63. Kulischer J. M., *Dzieje gospodarcze Europy Zachodniej*, t. I *Wiek średni*, Gebethner i Wolff, Warszawa po 1920
64. Kuroń H., *Słownik rzemieślniczy*, Wydawnictwo Przemysłu Lekkiego i Spożywczego, Warszawa 1963
65. Kwiecień S., *Polskie prawo przemysłowe 1927–1939*, „Zeszyty prawnicze UKSW”, 11.2 (2011)
66. Lachs J., *Dawne lazienki krakowskie*, Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, Kraków 1919
67. Leciejewicz L., *Mały słownik kultury dawnych Słowian*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1988
68. Lenart B., *Słownictwo introligatorskie*, Polska Gazeta Introligatorska, nr 2–3, rok II, Poznań 1929
69. Lepczyński L., *Cech złotniczy w Krakowie*, „Rocznik Krakowski”, t. 1, 1898
70. Łoziński W., *Sztuka lwowska w XVI i XVII wieku: architektura i rzeźba*, nakł. Księgarni H. Altenberga, Lwów 1901
71. Madej A., *Dzieciństwo*, „Pamiętnik Lubelski” t. 2 za lata 1931–1934, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1935
72. Malinowski J., *Maurycy Gottlieb*, Arkady, Warszawa 1997
73. *Mały rocznik statystyczny 1937*, Warszawa 1937
74. M. A. R., *Ilustrowany przewodnik po Lublinie ułożony przez M.A.R.*, nakładem autora, Warszawa 1901
75. Marx L. F., *Żywoty świętych rzemieślników tudzież książeczka do nabożeństwa dla rzemieślników*, nakładem J. Glücksberga, Warszawa 1851
76. Mayer Z., *Wizerunek Trybunału Koronnego. Studium prawnobyczajowe*, Lwów 1929
77. Mazurkiewicz J., *Początki ustroju cechowego w Lublinie*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1948
78. Mączak A., Samsonowicz H., Zientara B., *Z dziejów rzemiosła w Polsce*, Państwowe Wydawnictwo Popularno-Naukowe „Wiedza Powszechna”, Warszawa 1954
79. Mączyńska M., *Ziemie w dorzeczu Odry i Wiśły w III i IV w. po Chr.*, [w:] Bursche A., Kowalski K., Rogalski B. (red.), *Barbarzyńskie tsunami. Okres Wędrówek Ludów w dorzeczu Odry i Wiśły*, Uniwersytet Warszawski, Muzeum Narodowe w Szczecinie, Warszawa–Szczecin 2017
80. Mianowski H., *O rzemiosle*, [w:] *Dziesięciolecie Polski Odrodzonej, Księga Pamiątkowa 1918–1928*, Kraków – Warszawa 1928
81. Michalski W., *Pięć wieków poezji o Lublinie. Antologia*, Związek Literatów Polskich Oddział w Lublinie, Lublin 2002
82. Mikulec B., *Wśród pionierów polskiego przemysłu*, [w:] Radzik T., Witusik A. A., (red.), *Lublin w dziejach i kulturze Polski*, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Lublinie, Krajowa Agencja Wydawnicza – Lublin Sp. z o.o., Lublin 1997
83. Morawski F., *Dworzec Mojego Dziadka*, w: Mościcki H., *Jan Kiliński. Szewc warszawski i pułkownik wojsk polskich*, Wydawnictwo im. M. Brzezińskiego, Warszawa 1919
84. Myśliński K., *Wójt dziedziczny i rada miejska w Lublinie 1317–1504*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1962
85. Myśliński K., *Średniowiecze. W dobie tworzenia się państwa polskiego*, [w:] Zins H. (red.), *Historia Lublina w zarysie 1317–1968*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1972
86. Niewęgłowski Al. W., *Leksykon świętych*, Świat Książki, Warszawa 2006
87. Nowak B., *Rzemiosło Lublina od XIV do połowy XVI wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1991
88. Orzelska-Konarska B., *Mistrzowie i czeladnicy. Pozycja społeczna czeladzi w cechach krakowskich w XV–XVII wieku*, Związek Izb Rzemieślniczych, Warszawa 1968
89. Orzeszyna M., *Antoine Cierplikowski. Król fryzjerów, fryzjer królów*, Znak Horyzont, Kraków 2015
90. Pachoński J., *Zmierzch sławetnych. Z życia mieszczan w Krakowie w XVII i XVIII wieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956
91. Paprocki F., *Jan Kiliński 1760–1819*, Biuro Wydawnictw C.T., Warszawa 1970
92. Parandowski J., *Mitologia*, Iskry, Warszawa 1982
93. Pasierbiński T., *Hieronim z Moskorzewa Moskorzewski*, Kraków 1931
94. Pastusiak L., *Prezydenci Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2002
95. Pastusiak L., *Zamachy na prezydentów USA*, Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna ADAM, Warszawa 2010
96. Pazdro Z., *Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich od drugiej połowy wieku XIV do połowy wieku XVII*, Drukarnia Wł. Łozińskiego, Lwów 1900
97. Pękalski M., *Przyczynek do dziejów cechu krawców urzędowskich w XIX wieku*, Urzędów 1938
98. Pietkiewicz Z., *Rzemiosła w Polsce*, Warszawa 1925
99. Pietrzykowski M., *Mitologia starożytnej Grecji*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1979
100. *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2012
101. Piszczek Z. (red.), *Mała encyklopedia kultury antycznej A–Z*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1966
102. Pleszkowski S., *Prospekt dzieła. I. O chorobach rzemieślników i o tych, które pochodzą z rozmaitych profesy. II. O pożytku kąpieli i wód mineralnych*, Drukarnia A. Marcinowskiego, Wilno 1828
103. Plezia M., *Legenda o smoku wawelskim*, Rocznik Krakowski 42, Kraków 1972
104. Porazińska J., *Szewczyk Dratewka*, Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2011
105. Ptański C., *Studium o rozmiarach, strukturze, wytwórczości i rozmieszczeniu rzemiosł w województwie lubelskim*, Lublin 1939

106. Ptaśnik J., *Studia nad patrycjatem krakowskim wieków średnich*, „Rocznik Krakowski” 1913
107. Radzki A., *Z dziejów rzemiosł lubelskich w ostatnich latach*, „Reklama”, 8 stycznia 1922, nr 2
108. Riabinin J., *Materiały do historii miasta Lublina 1317–1792*, Wydawnictwo Zarządu Dziennika Lublina, Lublin 1938
109. Riabinin J., *Miecznicy lubelscy*, „Pamiętnik Lubelski” t. 2 za lata 1931–1934, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Lublin 1935
110. Riabinin J. (oprac.), *Lauda miejskie lubelskie XVII wieku*, Magistrat Miasta Lublina, Lublin 1934
111. Riabinin J., *Nazwiska, przezwiska i przemianki dawnych mieszczan lubelskich*, „Głos Lubelski”, Lublin
112. Riabinin J., *Materiały do monografii Lublina. Lublin w księgach wójtowsko-ławniczych XVII-XVIII wieku*, Magistrat m. Lublin, Lublin 1928
113. Riabinin J., *Z lubelskiej terminologii rzemieślniczej*, „Głos Lubelski”, Lublin 1937
114. Riabinin J., *Jeszcze o czarach i gusłach w dawnym Lublinie*, „Głos Lubelski”, Lublin 1936
115. Reymont W. S., *Insurekcja*, w: Mościcki H., *Jan Kiliński. Szewc warszawski i pułkownik wojsk polskich*, Wydawnictwo im. M. Brzezińskiego, Warszawa 1919
116. Rolska-Boruch I., *Cech złotników lubelskich (XVI–XVII w.)*, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1997
117. Rozwałka A., *Przemieszczenia lubelskiego grodu w czasach średniowiecza i jego związki z powstaniem miasta*, [w:] Radzik T., Witusik A. A. (red.), *Lublin w dziejach i kulturze Polski*, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Lublinie, Krajowa Agencja Wydawnicza – Lublin Sp. z o.o., Lublin 1997
118. Samsonowicz H., *Historia Polski do roku 1795*, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1990
119. Samsonowicz H., *Ideologia mieszczańska w Polsce w XIII w.*, [w:] Skubiszewski P. (red.), *Sztuka i ideologia XIII wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1974
120. Samsonowicz H., *Kazimierz Wielki*, [w:] Garlicki A. (red.), *Poczet królów i książąt polskich*, Czytelnik, Warszawa 1984
121. Samsonowicz H., *Cechy rzemieślnicze w średniowiecznej Polsce: mity i rzeczywistość*, „Przegląd Historyczny” 75/3, 1984
122. Sapir E., *Status lingwistyki jako nauki*, w: idem, *Kultura, język, osobowość*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1978
123. Sierpiński S. Z., *Obraz miasta Lublina*, Drukarnia Maxymiliana Chmielewskiego, Warszawa 1839
124. Sikorski B., *Rzemiosło w Polsce*, Warszawa 1939
125. Skorupka S., *Słownik frazeologiczny języka polskiego*, t. II, Wiedza Powszechna, Warszawa 1968
126. Sokołowski K., *Rzemiosło*, Kielce 1936
127. *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1931*, Lublin 1932
128. *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1935*, Lublin 1936
129. *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1936*, Lublin 1937
130. *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie za rok 1937*, Lublin 1938
131. *Sprawozdanie Izby Rzemieślniczej w Lublinie 1) ze stanu rzemiosła w 1930 2) z działalności za lata 1929–1930*, Lublin 1938
132. Stadtmüller K., *Słownik techniczny*, t. II, wyd. Lech Dolniak, Poznań 1936
133. Surdacki M., *Edukacyjno-opiekuńcza funkcja cechów urzędowskich w XVI–XVIII wieku*, „Rozprawy z Dziejów Oświaty”, nr 44, 2005
134. Śladkowski W., *W epoce zaborów*, [w:] Radzik T., Śladkowski W., Wójcikowski G., Wójcikowski W., *Lublin. Dzieje miasta*. Tom II XIX I XX wiek, Towarzystwo Miłośników Lublina, Lublin 2000
135. *Święto rzemiosła pomorskiego w Toruniu dnia 23 czerwca 1935 r.*, Pomorska Drukarnia Rzemieślnicza w Grudziądzu, Grudziądz 1935
136. Tatkiewicz W., *Historia filozofii*, t. I, *Filozofia starożytna i średniowieczna*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1933
137. Topolski J., *Gniezno miejscem wielkich jarmarków*, [w:] Topolski J. (red.), *Dzieje Gniezna*, PWN, Warszawa 1965
138. Trojanowska M., *Dokument miejski lubelski od XIV do XVIII wieku. Studium dyplomatyczne*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1977
139. Tworek S., *Rozkwit miasta. Renesans*, [w:] Dobrzański J., Kłoczowski J., Mazurkiewicz J., Mencil T., Myśliński K., Ćwik W. (red.), *Dzieje Lublina. Próba syntezy*, t. 1, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1965
140. Tymowski M., Kieniewicz J., Holzer J., *Historia Polski*, Editions Spotkania, Warszawa 1990
141. Wadowski J. A., *Kościół lubelskie*, Akademia Umiejętności, Kraków 1907
142. Wilk-Jakubowski G., *Prawne podstawy funkcjonowania samorządu gospodarczego w II RP*, Kielce 2008
143. Wojciechowski S., *Położenie i rozwój przestrzenny miasta*, [w:] Dobrzański J., Kłoczowski J., Mazurkiewicz J., Mencil T., Myśliński K., Ćwik W. (red.), *Dzieje Lublina. Próba syntezy*, t. 1, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1965
144. *Wskazówki dla działaczy rzemieślniczych. Referaty wygłoszone na kursie dla działaczy rzemieślniczych 18–20 stycznia 1936 roku*, Lublin 1936
145. Wyrobisz A., *Budownictwo murowane w Małopolsce w XIV–XVII w.*, „Przegląd Historyczny” 1966, t. 57, z. 2
146. Wyrobisz A., *Warunki rozwoju przemysłu w Polsce w XVI i pierwszej połowie XVII w.*, [w:] Kwapien M., Maroszek J., Wyrobisz A., *Studia nad produkcją rzemieślniczą w Polsce XIV–XVIII w.*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1976
147. Wyrozumski J., *Tkactwo małopolskie w późnym średniowieczu*, PWN, Warszawa–Kraków 1972
148. Zakrzewski W., *Historia powszechna. Tom II. Historia wieków średnich*, G. Gebethner i spółka – Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków 1908
149. Zientara B., *Siemowit, Lestek, Siemomysł*, w: Garlicki A., *Poczet królów i książąt polskich*, Czytelnik, Warszawa 1984
150. Ziółkowska H., *Poznań w okresie tworzenia się państwa Piastów i feudalnego rozdrobnienia kraju (IX – połowa XIII w.)*, [w:] Malinowski K. (red.), *X wieków Poznania*, t. I, Wydawnictwo „Sztuka”, Warszawa 1956



## Akty prawne:

1. Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 VI 1927 r. *O prawie przemysłowym*, Dz. U. RP 1927, nr 53, poz. 468
2. Ustawa z dnia 19 VII 1939 r. *O izbach rzemieślniczych i ich związku*, Dz. U. RP 1939, nr 65, poz. 434
3. *Prawa, Przywileje i Statuta Miasta Krakowa 1507-1795*, wyd. Franciszek Piekosiński i Stanisław Krzyżanowski, Kraków 1885, t. I nr 658 r. 1578 art. 18, cech rzeźników
4. Archiwum Państwowe w Krakowie (AP Kraków), Akta Depozytowe (AD) sygn. 948, Zbiór przepisów o zagajeniu zebrań cechu złotników, r. 1606
5. AP Kraków, AD 182, *Rejestr chłopców rzemiosła kotlarskiego*
6. AP Kraków, AD 531, Akta luźne odnoszące się do cechu siodlarzy
7. AP Kraków, AD 217, Akta luźne mieczowników. Statut z 1618 r. art. 47

## Źródła internetowe:

1. [http://www.jhi.pl/psj/Centralny\\_Zwiazek\\_Rzemieslnikow\\_Zydow\\_Rzeczypospolitej\\_Polskiej](http://www.jhi.pl/psj/Centralny_Zwiazek_Rzemieslnikow_Zydow_Rzeczypospolitej_Polskiej) (dostęp 30.08.2018)
2. <http://www.jhi.pl/psj/ORT> (dostęp 30.08.2018)

## Spis treści:

1. Szewcy w tarapatach. Rzecz o słynnych rzemieślnikach
2. Rzemiosło – kręgosłup miasta
  - a. Rzym Wschodu
  - b. Czas w przestrzeni i przestrzeń w czasie
  - c. Świt miasta – okres przedlokacyjny
  - d. Dobry król Władysław
  - e. Anielskie emporium – miasto umiłowane
3. Upadek
  - a. Ostatnie tchnienie
  - b. Feniks z popiołów zmartwychwstały
4. Rzemiosło lubelskie na tle ogólnych tendencji i zmian w rzemiośle krajowym w okresie II Rzeczypospolitej Polskiej
  - a. U progu niepodległości (1918–1926)
  - b. Stan prawny rzemiosła w II RP. Rozporządzenie Prezydenta RP z 7 czerwca 1927 roku o prawie przemysłowym
  - c. Definicja prawna i rozumienie rzemiosła w okresie międzywojennym.
  - d. Kto mógł być rzemieślnikiem?
  - e. Kształcenie rzemieślników
  - f. Cechy, zrzeszenia i związki rzemieślnicze
  - g. Izby rzemieślnicze
  - h. Stan rzemiosła w okresie II RP
  - i. Lublin jako ośrodek rzemieślniczy w okresie dwudziestolecia międzywojennego.
  - j. Stan rzemiosła w Lublinie
  - k. Struktura rzemiosła w Lublinie
  - l. Nielegalne rzemiosło w Lublinie
  - m. Kredytowanie rzemiosła
  - n. Struktura narodowościowa rzemiosła w Lublinie
  - o. Strajki i protesty lubelskich rzemieślników
  - p. Organizacje rzemieślnicze w Lublinie
  - q. Nauka rzemiosła
5. Rzemieślnicze apostołowanie.
  - a. *Disce puer* rzemiosło, *ego faciam* te mości panie
  - b. *Suspensus in vacuo*
  - c. *Puer discens*
  - d. Magister
6. Szewski gnyp daje chlyb czyli rzemieślnicze cuda-wianki

